



JOY FIELDING



*Ulica
Szalonej
Rzeki*

PROLOG

Dochodziła właśnie trzecia rano, jego ulubiona pora dnia. Niebo było jeszcze ciemne, a ulice świeciły pustkami. Większość ludzi wciąż spoczywała w łóżkach, porażona we śnie tak samo jak ta kobieta w sypialni przy końcu korytarza. Przez moment zastanawiał się, czy coś jej się śni, i myśli, że oto senny koszmar tak bliski jest spełnienia, wywołała na jego ustach radosny uśmiech.

Roześmiał się, uważając, by nie wydać przy tym żadnego dźwięku. Nie ma sensu jej budzić, dopóki nie zdecydował, co ma zamiar zrobić. Wyobraził sobie, jak się porusza, jak siada na łóżku i potrząsając głową, patrzy, jak on się zbliża, a na jej twarzy pojawia się znajomy wyraz rozbawienia zmieszany z ledwie skrywaną pogardą. Słyszał tę pogardę w jej niskim, wiecznie schrypniętym głosie. Jak zwykle cały ty, powiedziałałaby mu, zawsze wszystko robisz na wariata i ładujesz się w coś bez sprecyzowanego planu.

Ale tym razem mam plan, pomyślał, prostując się. Przez chwilę podziwiał swoją szczupłą sylwetkę i twarde bicepsy widoczne spod krótkich rękawów czarnego T-shirta. Zawsze przywiązywał dużą wagę do wyglądu, a teraz, w wieku trzydziestu dwóch lat, był w lepszej formie niż kiedykolwiek przedtem. To dzięki pobytowi w więzieniu, pomyślał i znów roześmiał się bezgłośnie śmiechem.

Nagle do jego uszu doleciał jakiś ostry dźwięk, więc odwrócił się w kierunku otwartego okna. Liść ogromnej palmy łomotał w górną krawędź szyby. Przybierający na sile wiatr smagał delikatne firanki z białego szyfonu. Teraz bardziej przypominały serpentyny niż zasłony, a on zinterpretował ich oszalały taniec jako zachętę. Najwyraźniej zamierzały mu kibicować. Na kanale Pogoda obiecywali, że przed świtem nad większą część obszaru Miami nadciągną silne ulewy. Siedemdziesiąt procent szans na gwałtowne burze, ostrzegła ładniutka prezenterka, ale co ona może wiedzieć? Panienka czyta tylko to, co napisali na monitorze, który ma przed nosem. Zresztą te głupie prognozy i tak w połowie wypadków się nie sprawdzają. Co oczywiście nie ma najmniejszego znaczenia. Jutro wieczorem prezenterka pojawi się na ekranie z kolejnymi, mało wiarygodnymi przepowiedniami. Ciekawe, że nikt nigdy

nie ponosił za to odpowiedzialności. Na myśl o tym ułożył swoje schowane w rękawiczce palce w pistolet i nacisnął wyimaginowany spust.

Dziś jednak ktoś odpowie za swoje czyny.

Trzema krokami przemierzył na ukos mahoniową podłogę niewielkiego saloniku, po drodze zahaczając biodrem o ostro zakończony narożnik wysokiego fotela, bo o jego obecności w tym miejscu zdążył całkowicie zapomnieć. Rzucił jakieś ciche przekleństwo - soczystą wiązaną inwektyw, wymyśloną przez współwięźnia z celi w Raiford - a następnie opuścił okno i dokładnie je zamknął. Delikatny szum klimatyzacji momentalnie zastąpił odgłosy rozdzierającego wycia wiatru. Jak dobrze, że znalazł się w środku akurat na czas, a wszystko to dzięki małemu oknu na bocznej ścianie, które - tak jak przypuszczał - udało mu się otworzyć bez większych problemów. Naprawdę, powinna była do tej pory pomyśleć o systemie alarmowym. Samotna kobieta... Ile razy powtarzał jej, że sforsowanie tego okienka nie jest niczym trudnym. No, cóż... Przynajmniej nie może mówić, że jej nie ostrzegałem, pomyślał, wspominając czasy, kiedy siadywali, sącząc wino - choć w jego wypadku zawsze było to piwo - przy stole w jadalni. Ale nawet w tamtych dniach wczesnej znajomości, kiedy wciąż zachowywała ostrożny optymizm, nie potrafiła się opanować i bez przerwy dawała mu do zrozumienia, iż jego obecność w jej domu jest bardziej tolerowana niż pożądana. A ilekroć zwracała ku niemu spojrzenie - o ile w ogóle raczyła coś takiego zrobić - jej nos marszczył się lekko w mimowolnym odruchu, jakby poczuła jakiś nieprzyjemny zapach.

Myślałby kto, że jej pozycja towarzyska pozwalała na to, by spoglądać na innych z góry i zadzierać ten swój uroczy, malutki nosek, pomyślał, podczas gdy jego wzrok powoli przyzwyczajał się do ciemności. Teraz był już w stanie rozeznaczyć zarys małej, zielonej sofy i szklanego stolika do kawy, który zajmował środek pokoju. To musiał jej przyznać - potrafiła ładnie urządzić każde wnętrze. Jak to wszyscy o niej mówili? Że ma dobry gust. Tak, to było właściwe określenie. Dobry gust. Gdyby jeszcze potrafiła ugotować coś przyzwoitego, zaśmiał się w duchu, przypominając sobie obrzydliwe wegetariańskie mikstury, jakie usiłowała mu wtryniać na kolację. Do diabła, nawet więzienne żarcie smakowało o niebo lepiej niż tamto gówno. Nic dziwnego, że nie udało się jej złapać żadnego faceta.

Zresztą w tej kwestii także żywił pewne podejrzenia.

Wkroczył do maleńkiej, przylegającej do salonu jadalni, i przesunął dłońmi po kilku wysycielanych krzesłach z wysokimi oparciami, które stały dookoła owalnego stołu ze szklanym blatem. Mnóstwo tu szkła, pomyślał, wyginając palce obciążone rękawiczkami z lateksu. Absolutnie nie zamierzał zostawiać po sobie wiele mówiących odcisków palców.

I kto to mówił, że on zawsze i wszystko robi na wariata? Kto śmiał twierdzić, że nigdy nie ma gotowego planu działania?

Zerknął w stronę kuchni znajdującej się po prawej stronie i pomyślał, że może warto byłoby zajrzeć do lodówki, a nawet wziąć stamtąd piwo, oczywiście, jeśli wciąż je tam trzymała. Prawdopodobnie nie, skoro on od dawna przestał należeć do stałego grona jej gości. Był jedyną osobą w tym towarzystwie, która gustowała w tak prostackich trunkach, bo reszta z uporem godnym lepszej sprawy trzymała się chardonnay bądź merlota, czy jak tam się nazywało to gównno, którym się rozkoszowali. Według niego wszystkie wina miały ten sam smak - lekko kwaśny i metaliczny - a po wypiciu czegoś takiego zawsze dokuczał mu ból głowy. Zresztą, może to towarzystwo tych ludzi powodowało, że po krótkim czasie łeb zaczynał mu pękać. Wzruszył ramionami na samo wspomnienie tych zawoalowanych spojrzeń, jakie wymieniali między sobą, gdy zdawało im się, że on patrzy w inną stronę. To tylko przelotne zauroczenie, mówiły spojrzenia. W niewielkich dawkach ten facet jest nawet zabawny. Pełen powierzchownego uroku. Uśmiechajcie się i znoście go cierpliwie. Nie będzie się pętał między nami na tyle długo, by miało to jakiegokolwiek znaczenie.

Ale on wciąż tam był.

I jego obecność wciąż miała znaczenie.

W dodatku teraz wróciłem, pomyślał, a w kącikach jego wydatnych ust pojawił się okrutny uśmiezek.

Krnąbrny kosmyk długich, brązowych włosów opadł na czoło i wślizgnął się do lewego oka. Niecierpliwym ruchem odsunął go na bok i założył za ucho, a następnie skierował się przez wąski korytarzyk w stronę sypialni mieszczącej się na tyłach schludnego bungalowu. Minął pokój wielkości szafy, gdzie pani domu ćwiczyła jogę

i gdzie medytowała; poczuł resztkę woni kadzidła, która emanowała ze ścian jak zapach świeżo położonej farby. Uśmiezek na jego ustach znacznie się poszerzył. Jak na kogoś, kto tak ciężko pracował, żeby zachować spokój, była zaskakująco napięta i skłonna do kłótni z najbardziej nawet błahego powodu. Bez przerwy dopatrywała się chęci obrażenia jej nawet wówczas, gdy wcale nie miał takiego zamiaru, zawsze gotowa skoczyć mu do gardła przy najmniejszej prowokacji z jego strony. Nie znaczyło to oczywiście, że drażnienie się z nią nie należało do jego ulubionych rozrywek.

Drzwi do sypialni stały otworem i już z korytarza mógł rozeznąć pod cienkim, bawełnianym prześcieradłem kształt jej wąskich bioder. Zaczął się zastanawiać, czy leży tam nago i co mógłby zrobić, gdyby jego przypuszczenia okazały się słuszne. Właściwie nie interesowała go jako kobieta. Była trochę za bardzo stonowana, zbyt krucha jak na jego gust, jak gdyby każdy uścisk mógł się zakończyć przełamaniem jej na pół. On lubił kobiety bardziej mięsiste, łagodniejsze i bardziej uległe. Lubił mieć coś, za co mógłby złapać, w co mógłby wbić zęby... Mimo wszystko, jeśli była nago, to...

Nie była. Gdy tylko przestąpił próg pokoju, ujrzał białe i niebieskie pasy na bawełnianej bluzie. Nie wiedział, że ona wkłada na noc męskie piżamy? - pomyślał. Nie powinno cię to dziwić. Zawsze ubierała się bardziej jak chłopak niż dziewczyna. „Kobieta”, usłyszał w myślach, jak go poprawia, kiedy zbliżał się do wielkiego łóża. Odpowiedniego dla królowej, pomyślał, spoglądając w dół. Tyle że ona nie przypominała królowej, zwinięta na lewym boku w na wpół embrionalnej pozycji. Jej normalnie opalona cera wyglądała teraz bladawo, a kosmyk ciemnych włosów przylepił się do prawego policzka i zabłądził do częściowo otwartych ust.

Szkoda, że nie potrafiła trzymać tych swoich wielkich ust zamkniętych na kłódkę.

Wtedy dziś w nocy składałby być może wizytę komu innemu, albo w ogóle nie musiałby nikogo odwiedzać.

Ostatni rok mógłby nigdy się nie zdarzyć...

Ale się zdarzył, pomyślał, na zmianę zaciskając i rozluźniając pięści. A stało się tak w dużej mierze dlatego, że jego stara kumpelka Gracie nie potrafiła swoich głupich

opinii zatrzymać dla siebie. To ona wszczęła całą sprawę, to dzięki jej agitacji ludzie zwrócili się przeciwko niemu. Wszystko, co mu się przytrafiło, było wyłącznie jej winą. Dobrze się składa, że dzisiejszej nocy sama będzie musiała naprawić to, co zepsuła.

Spojrzał w stronę okna na przeciwległej ścianie sypialni. Srebrny księżyc mrugał do niego między listewkami białych, kalifornijskich żaluzji. Na zewnątrz wiatr bawił się w malarza surrealistę, długimi pociągnięciami pędzla łącząc odmienne kolory i powierzchnie, ale tu, w środku, panował całkowity bezruch. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie lepiej będzie odejść i zostawić ją w spokoju. Przypuszczalnie wcale nie musiał jej budzić, żeby znaleźć to, czego szukał. Zapewne znajdowało się to w którejś z bocznych szuflad antycznego biurka z dębowego drewna, wciśniętego pomiędzy okno a toaletkę, albo było przechowywane na twardym dysku laptopa. Tak czy inaczej, znajdowało się gdzieś w pobliżu. Musiał jedynie wyciągnąć rękę, a potem rozplątać się w ciemności tak, żeby nikt o niczym nie wiedział.

Tylko gdzie tu miejsce na przyjemność?

Wsunął prawą dłoń do kieszeni dżinsów i poczuł pod palcami twarde ostrze noża. Na razie spoczywało bezpiecznie w drewnianej obudowie; wyciągnie je stamtąd, gdy nadejdzie właściwy moment. Ale najpierw ma mnóstwo innych spraw do załatwienia. Równie dobrze będzie można zrobić to po drodze, pomyślał, ostrożnie wślizgując się do łóżka. Biodrem otarł się o jej pośladek, kiedy materac opadał pod jego ciężarem i dopasowywał się do kształtów ciała. Instynktownie przewróciła się na lewy bok, a jej głowa opadła w stronę jego ramienia.

- Hej, Gracie... - zagruchał głosem miękkim jak aksamit. - Dziewczyńko, czas się obudzić...

Z jej gardła wyrwał się niski jęk, ale nawet nie drgnęła.

- Gracie... - powtórzył, tym razem nieco głośniej.

- Mmm... - mruknęła, z uporem zaciskając powieki. Wie, że tu jestem, pomyślał. Robi ze mnie durnia.

- Gracie! - warknął.

Natychmiast otworzyła oczy, a potem wszystko potoczyło się błyskawicznie. Oprzytomniała w jednej chwili i walczyła ze wszystkich sił, żeby usiąść, wydając przy

tym przeraźliwe kocie pomiaukiwania. Sekundę później zerwała się z łóżka.

Odruchowo zacisnął palce na jej szyi, żeby ją uciszyć, a wtedy wrzaski zmieniły się w kwilenie, coraz słabsze, w miarę jak rósł nacisk na jej krtań. Urywającymi haustami łapała powietrze, a wtedy on bez najmniejszego wysiłku podniósł ją jedną ręką i przyszpilił do ściany za łóżkiem.

- Zamknij się - powiedział zwyczajnym tonem, kiedy czubkami palców starała się dosięgnąć krawędzi łóżka. Jej paznokcie rozpaczliwie drapały po lateksowych rękawiczkach, choć wszelkie wysiłki, żeby oswobodzić się z morderczego uchwytu, z góry były skazane na niepowodzenie.

- Zamkniesz się wreszcie czy nie? Jej oczy wyraźnie się rozszerzyły.

- No, co to ma być?

Czuł, że ona usiłuje coś wychrypieć, ale jedyne, na co mogła się zdobyć, to przerywany łkaniem płacz.

- Przyjmuję to jako odpowiedź na „tak” - oświadczył, powoli rozluźniając uścisk. Patrzył, jak ona ześlizguje się po ścianie i z powrotem opada na poduszki. Zachichotał, kiedy runęła na skotłowaną pościel, jednocześnie usiłując wciągnąć do płuc powietrze. Góra pizamy podjechała do połowy pleców i teraz widział poszczególne kręgi jej kręgosłupa. Tak łatwo byłoby go złamać na dwoje, pomyślał, rozkoszując się tą wizją. Złapał pełną garścią jej włosy i szarpnięciem odwrócił jej głowę tak, że nie miała wyjścia. Musiała na niego patrzeć.

- Cześć, Gracie - powiedział, czekając na znajome zmarszczenie nosa. - O co ci chodzi? Czy obudziłem cię w środku jakiegoś fajnego snu?

Nic nie odrzekła, ale w jej spojrzeniu pojawił się cień strachu pomieszanego z niedowierzaniem.

- Jesteś zdziwiona, że mnie widzisz? Strzeliła oczyma w stronę wyjścia z sypialni.

- Wiesz, chyba nie powinnaś realizować tego pomysłu - oznajmił łagodnie. - Oczywiście, jeśli nie chcesz, żebym na serio się zezłościł... Pamiętasz, co się ze mną dzieje, kiedy wpadam w złość? - dodał po chwili milczenia. - Pamiętasz, Gracie?

Opuściła głowę.

- Spójrz na mnie. - Znow szarpnął ją za włosy i odgiął głowę do tyłu tak mocno, że jej grdyka przypominała teraz zaciśniętą pięść.

- Czego chcesz? - z gardła Gracie wydobył się ochryply szept.

W odpowiedzi szarpnął jeszcze mocniej.

- Czy powiedziałem, że wolno ci się odzywać?! Powiedziałem?!

Próbowała zaprzeczyć, ale nie była w stanie wykonać najlżejszego ruchu.

- Zakładam, że chcesz powiedzieć „nie”.

Bez uprzedzenia rozluźnił uścisk, a wtedy jej głowa opadła na pierś, zupełnie jakby ktoś ją zgilotynował. Z oczu Gracie popłynęły strumienie łez, co stanowiło pewną niespodziankę. Nie spodziewał się płaczu, przynajmniej na razie.

- No więc, co tam u ciebie słyszać? - rzucił od niechcienia, jakby chodziło o najwykleszą pogawędkę. - Możesz odpowiedzieć - dodał, zauważywszy jej wahanie.

- Nie wiem, co chciałbyś wiedzieć - odezwała się po dłuższej chwili.

- Zapytałem, co u ciebie słyszać? Chyba wiesz, co się mówi w takiej sytuacji?

- Wszystko w porządku.

- Tak? Na przykład co?

- Proszę. Nie mogę...

- Ależ możesz. To się nazywa rozmowa, Gracie. Wygląda mniej więcej tak: ja coś mówię, a potem ty coś mówisz. Jeśli zadam ci pytanie, to mi odpowiadasz. A jeśli twoja odpowiedź mnie nie usatysfakcjonuje... No cóż, wtedy będę musiał zrobić ci krzywdę. Z jej gardła wyrwał się mimowolny okrzyk.

- Więc najpierw zapytałem: „Co u ciebie słyszać”, na co otrzymałem mało wyszukaną odpowiedź: „Wszystko w porządku”. Wtedy rozwinąłem temat: „Tak? Na przykład, co?”. I teraz znow twoja kolej.

Przysiadł na łóżku i pochylił się w jej kierunku.

- Olśnij mnie swoim dowcipem.

Patrzyła, jakby wątpiła, czy on jest przy zdrowych zmysłach. Wiele razy widział ten wyraz w jej oczach i zawsze doprowadzało go to do szału.

- Nie mam pojęcia, co ci odpowiedzieć.

W jej głosie usłyszał coś na kształt przekory, ale postanowił to zignorować. Na razie.

- No dobrze. Zaczniemy od pracy. Jak ci leci w pracy?
- W porządku.
- Zaledwie „w porządku”?! Zawsze sądziłem, że uwielbiasz uczyć.
- Teraz jestem na rocznym urlopie naukowym.
- Na urlopie naukowym? To nie żarty. Założę się, że twoim zdaniem nie wiem,

co to znaczy.

- Ralph, nigdy nie uważałam cię za głupka.
- Naprawdę? W takim razie świetnie umiesz oszukiwać.
- Co tutaj robisz?

Uśmiechnął się, a potem znenacka zadał cios, który rzucił ją z powrotem na poduszkę.

- Czy powiedziałem, że teraz twoja kolej na zadawanie pytań? Wydaje mi się, że nie. Siadaj! - wrzasnął, kiedy zakryła rękoma twarz. - Słyszysz? Gracie, nie każ mi tego dwa razy powtarzać.

Podciągnęła się do pozycji siedzącej, drżącymi palcami zakrywając czerwony policzek. Cały jej sprzeciw ulotnił się bez śladu.

- Ach, jeszcze jedno. Nie nazywaj mnie Ralph. Nigdy nie lubiłem tego imienia. Postanowiłem je zmienić zaraz, jak tylko wyjdę na wolność.

- Wypuścili cię? - mruknęła. Zaraz potem skrzywiła się i cofnęła, najwyraźniej próbując uniknąć ewentualnego uderzenia.

- Musieli mnie wypuścić. Sam nie wiem, od czego zacząć, żeby ci uświadomić, ile moich praw zostało pogwałconych - uśmiechnął się na samo wspomnienie. - Mój prawnik określił to, co mnie spotkało, jako parodię wymiaru sprawiedliwości, a ci sędziowie, do których wnosił apelację, musieli się z nim zgodzić. Nie mieli wyjścia. Czekaj, na czym to skończyliśmy? Och, na twoim urlopie naukowym. To dość nudny temat. Chyba już nie mam ochoty o tym słuchać. Powiedz mi lepiej, jak tam twoje życie uczuciowe?

Potrząsnęła głową.

- Co to miało znaczyć? Że nie masz życia uczuciowego, czy że nie chcesz o nim opowiedzieć?

- Nie ma o czym mówić.

- Nie widzisz się z nikim?

- Nie.

- Ciekawe, czemu wcale mnie to nie dziwi...

Nie odezwała się, ale jej spojrzenie poszybowało w kierunku okna.

- To tylko burza - rzekł. - Nikogo tu nie ma.

Uśmiechnął się do niej swoim chłopięcym uśmiechem, wyćwiczonym podczas długich godzin spędzonych przed lustrem. Dzięki niemu zawsze zdobywał dziewczynę, na którą akurat miał ochotę. Nieważne, jak bardzo protestowały; w końcu żadna z nich nie była w stanie oprzeć się urokowi tego uśmiechu. Ale Gracie pozostała całkiem nieczuła na jego wdzięki. Uśmiechał się do niej, a ona patrzyła przez niego gdzieś w przestrzeń, jakby wcale nie istniał.

- Kiedy ostatni raz kochałeś się z kimś, dziewczynko? Jej ciało natychmiast się spięło.

- Uważam, że jesteś bardzo atrakcyjną kobietą. I jesteś młoda, chociaż nie ma co ukrywać, że nie stajesz się coraz młodsza. A tak w ogóle to ile masz lat?

- Trzydzieści trzy.

- Naprawdę?! Więc jesteś starsza ode mnie. Nie miałem o tym pojęcia. - Uniósł brwi w udawanym zdziwieniu. - Założę się, że nie wiem o tobie mnóstwa rzeczy.

Wyciągnął rękę i odpiął górny guzik w bluzie od piżamy.

- Nie - wyszeptała, nie ruszając się z miejsca. Odpiął następny guzik.

- Co „nie”? - Nawet bez krótkiego „proszę”, pomyślał. Typowe.

- Nie rób tego. Przecież tego nie chcesz.

- O co chodzi, Gracie? Uważasz, że nie jestem dość dobry dla ciebie? - Niemal bez wysiłku jednym szarpnięciem oderwał pozostałe guziki, a potem ujął obie połówki kołnierzyka i przyciągnął ją do siebie. - Wiesz, Gracie, co sobie myślę? Że twoim zdaniem żaden mężczyzna nie jest dość dobry, by z tobą sypiać. Chyba powinienem ci pokazać, jak bardzo się mylisz.

- Nie. Posłuchaj, to czyste szaleństwo. Znów wsadzą cię za kratki. Nie chcesz tego, prawda? Dostałeś drugą szansę na normalne życie. Jesteś teraz wolnym człowiekiem. Dlaczego chcesz zaryzykować, że to wszystko stracisz?

- Sam nie wiem. Może dlatego, że tak uroczo wyglądasz w tej lesbijskiej piżamce...

- Proszę cię. Jeszcze nie jest za późno. Wciąż możesz stąd wyjść...

- ...a może dlatego, że gdyby nie ty, nie musiałbym marnować dwunastu miesięcy życia na siedzenie w pierdlu.

- Nie możesz mnie winić za to, co się stało.

- Nie? A czemu?

- Bo nie miałam z tym nic wspólnego.

- Naprawdę? Czy przypadkiem nie ty trulaś wszystkim dookoła, że to moja wina, tak długo aż ci uwierzyli?

- Nie musiałam tego robić.

- Oczywiście, że nie musiałaś! Po prostu nie mogłaś się powstrzymać, tak? No i spójrz, co się stało. Straciłem dosłownie wszystko. Pracę. Rodzinę. Wolność.

- A ty w niczym sobie na to nie zasłużyłeś - oznajmiła gorzko.

W jej głosie znów pojawiła się znajoma nutka sprzeciwu, która zawsze budziła w nim złość.

- Och, wcale nie twierdę, że jestem czysty jak łąza. Łatwo wpadam w złość, przyznaję się bez bicia. Rzeczywiście, może czasem mój temperament wymyka się nieco spod kontroli.

- Ralph, ty ją katowałeś. Dzień w dzień. Ilekroć się widziałyśmy, miała na ciele świeże siniaki.

- Bo była niezdarna jak cholera. Nic nie mogłem poradzić na to, że zawsze wpieprzała się tam, gdzie nie trzeba.

W odpowiedzi Gracie pokręciła głową.

- Gdzie jest teraz?

- Co?

- Jak tylko stamtąd wyszedłem, pojechałem prosto do domu. I wiesz, co tam znalazłem? Parę pedałów, która w moim mieszkaniu uwiła sobie miłosne gniazdko. A kiedy spytałem, gdzie się podziali poprzedni lokatorzy, jeden z nich zamrugał tymi wysmarowanymi tuszem rzęsami i mrużąc skromnie oczęta, odparł, że absolutnie nie mają pojęcia. Absolutnie - ostatnie słowo powtórzył o oktawę wyżej. - Dokładnie tak

się wyraził ten chudy jak patyk pedzio! Jakby był pieprzoną królową Anglii. Mało brakowało, a byłbym mu przywalił w tę cholerną buźkę!

Jedną ręką złapał ją mocniej za kołnierz, a drugą wyciągnął z kieszeni nóż i za pomocą kciuka odblokował ostrze.

- Powiedz mi, Gracie, gdzie ona jest.

Jak oszalała walczyła, żeby się uwolnić, kopiąc z całych sił i na oślep waląc pięściami.

- Nie mam pojęcia - wykrztusiła wreszcie. Bez ostrzeżenia znów ucapił ją za gardło.

- Powiedz, albo złamię ci ten cholerny kark. Przysięgam.

- Wyjechała z Miami zaraz po tym, jak cię zamknęli.

- Dokąd?

- Naprawdę nie wiem. Nikomu nic nie powiedziała.

Jednym ruchem przewrócił ją na plecy i usiadł na niej okrakiem, jednocześnie rozcinając sznurek przytrzymujący spodnie od pizamy. Nawet na moment nie zwolnił przy tym morderczego uścisku.

- Liczę do trzech i w tym czasie masz mi powiedzieć, gdzie ona jest. Jeden... dwa...

- Proszę, nie!

- Trzy.

Przycisnął nóż do jej szyi, a drugą ręką zaczął ściągać pizamę poniżej bioder.

- Nie, proszę! Powiem ci, powiem!

Uśmiechnął się i zwolnił uścisk na tyle, żeby mogła nabrać swobodnie powietrza.

- No to gdzie? - spytał, podnosząc nóż na wysokość jej oczu.

- Pojechała do Kalifornii.

- Do Kalifornii?

- Żeby być blisko matki.

- Nie. Nie zrobiłaby tego. Wiedziała, że to pierwsze miejsce, jakie przyjdzie mi do głowy.

- Przeprowadziła się tam trzy miesiące temu. Myślała, że skoro minęło tyle czasu, to jest już bezpieczna. Poza tym chciała się wynieść z Florydy jak najdalej.

- Och, jestem pewien, że to prawda. - Jego ręka powędrowała w stronę zamka błyskawicznego w dzinsach. - Tak samo jak tego, że kłamiesz jak bura suka.

- Wcale nie kłamię.

- Owszem, kłamiesz. W dodatku kiepsko ci to idzie. - Przytknął ostrze noża do jej policzka, a potem lekko nacisnął i przesunął od oka w kierunku podbródka.

- Nie! - Teraz wrzeszczała już na cały głos, miotając się przy tym od krawędzi do krawędzi łóżka, podczas gdy krew lała się z jej twarzy coraz obfitszym strumieniem i czerwieniła białą powłoczkę poduszki. Brutalnie rozsunął jej nogi i wcisnął się między uda. - Powiem ci prawdę! Powiem ci prawdę!

- I co, tak po prostu mam uwierzyć w to, co mi teraz powiesz?

- Tak! Mogę ci to udowodnić!

- A to w jaki sposób?

- Bo to jest zapisane.

- Gdzie?

- W notesie z adresami.

- I gdzie on jest?

- W mojej torebce.

- Gracie, powoli zaczynam tracić cierpliwość...

- Torebka jest w szafie. Jeśli pozwolisz mi wstać, to ją przyniosę.

- A co ty na to, żebyśmy zrobili to razem?

Podniósł się i zapiął suwak, a potem poderwał ją z łóżka i powlókł za sobą. Kurczowo ścisnęła brzeg spodni od piżamy, by utrzymać je na biodrach, podczas gdy on otworzył szafę i bystrym spojrzeniem obrzucił jej zawartość. Kilka jaskrawych bluzeczek z nadrukami, pół tuzina spodni, parę ekskluzywnych marynarek, co najmniej dziesięć par butów i rząd skórzanych torebek.

- Która? - zadając to pytanie, już sięgał na półkę.

- Pomarańczowa.

Jednym zamachem zrzucił torebkę na podłogę.

- Otwórz.

Popchnął Gracie tak mocno, że upadła na kolana na biały dywanik z surowej wełny. Kilka kropli krwi spłynęło w dół, brudząc pomarańczową skórę torebki. Nie zwracała na to uwagi, pochłonięta otwieraniem zameczka. Następna kropla utonęła w białym włosiu dywanu.

- A teraz daj mi ten przeklęty notes. Powstrzymując łkanie, zrobiła jak kazał. Otworzył notes. Przerzucał kartki, aż natrafił na nazwisko, którego szukał.

- No i w końcu wyszło na jaw, że wcale nie pojechała do Kalifornii - odezwał się z uśmiechem.

- Proszę cię... - Pociągnęła nosem. - Masz to, czego chciałeś.

- Boże, jak się nazywa ta ulica?! Ulica Szalonej Rzeki... - Te trzy słowa wypowiedział z przesadną artykulacją.

- Proszę - zatkała. - Idź już sobie.

- Chcesz, żebym sobie poszedł? To właśnie powiedziałaś?

W milczeniu skinęła głową.

- I kiedy tylko drzwi się za mną zamkną, zadzwonisz do swojej przyjaciółeczki, żeby ją ostrzec, tak?

Pokręciła głową.

- Nie zadzwonię do niej.

- No jasne, że nie zadzwonisz! Tak samo jak nie zadzwonisz na policję, prawda?

- Nigdzie nie zadzwonię, przysięgam!

- Naprawdę? Cholera, jakoś trudno mi w to uwierzyć...

- Proszę cię...

- Wiesz co, Gracie, chyba nie mam wyboru. To znaczy, nie mam wyboru, nawet jeśli zapomnę, że nie mogłem doczekać się chwili, kiedy cię zabiję... Prawie tak samo jak chwili, kiedy będę zabijał ją. Chyba to rozumiesz, prawda?

Uśmiechnął się, gwałtownie poderwał ją na nogi i przytknął nóż do gardła.

- Dobranoc, Gracie... - szepnął czule.

- Nie! - wrzasnęła, rzucając się na niego z wściekłością, jakby prerażenie dodało jej sił.

Łokciem grzmotnęła go pod żebra, aż uszło z niego całe powietrze, a potem wywinęła się i popędziła w kierunku wyjścia. Była już prawie przy końcu korytarza, kiedy zaplątała się w opadające spodnie od piżamy i rozłożyła się na drewnianym parkiecie jak długa. Mimo to nie zatrzymała się nawet na sekundę, tylko czmychnęła do drzwi, wrzeszcząc przy tym jak opętana w nadziei, że ktoś ją usłyszy i pospieszy na ratunek.

Z pobłażliwym uśmiechem obserwował jej poczynania. Minie mnóstwo czasu, zanim zdoła się pozbierać z podłogi. Uparta bestia, pomyślał z pewnym podziwem, i w dodatku silna, jak na kogoś tak wychudzonego. Poza tym lojalna wobec przyjaciół. Chociaż... Kiedy znalazła się w sytuacji bez wyjścia, wołała wydać przyjaciółkę niż poddać się jego niezbyt romantycznym zapędom. Może więc wcale nie jest aż tak lojalna, jak początkowo sądził? Nie, bezwzględnie zasłużyła na swój los. Mało tego, sama się prosiła.

Postanowił jednak, że mimo wszystko nie poderżnie jej gardła. Schował nóż i złapał ją za szyję dokładnie w chwili, gdy sięgała do mosiężnej gałki przy drzwiach wejściowych. Nie, pomyślał, nóż by tylko spowodował niepotrzebny bałagan, nie wspominając o niepotrzebnym ryzyku. Na pewno jej krew znalazłaby się wszędzie, a wtedy natychmiast byłoby wiadomo, że stało się coś złego. I nie trzeba wiele czasu, żeby jego nazwisko znalazło się na liście podejrzanych, zwłaszcza gdy policja sprawdzi, kiedy wyszedł z więzienia, i doda dwa do dwóch.

Teraz kopała z całych sił i darła go pazurami, a jej zielone oczy błagały, aby przestał, gdy on stopniowo zaciskał palce na jej szyi. Chyba także próbowała wrzeszczeć, ale on prawie jej nie słyszał, całkowicie pochłonięty tym, co w danej chwili robił. Zawsze lubił używać rąk. Były czymś tak bardzo osobistym, czymś tak konkretnym. Poza tym sprawiało mu satysfakcję, kiedy czuł, jak życie ucieka powoli z jej ciała.

To dobrze, że była właśnie na urlopie naukowym. Dobrze, bo dzięki temu zyskiwał trochę czasu. Mogą upłynąć dni, a nawet tygodnie, zanim ktoś złoży doniesienie o jej zaginięciu. Choć z drugiej strony wiedział, że nie ma co na to liczyć. Gracie miała mnóstwo kumpelek i całkiem możliwe, że była z którąś z nich umówiona

na jutrzejszy lunch. Nie powinien więc czuć się zbyt pewnie. Im wcześniej złoży wizytę na ulicy Szalonej Rzeki, tym lepiej.

- Chyba zabiorę cię na małą przejażdżkę wzdłuż wybrzeża - powiedział, kiedy oczy Gracie zrobiły się tak wielkie, że miał wrażenie, iż zaraz eksplodują. - Gdzieś po drodze wrzucę cię do jakiegoś bagna, żeby aligatory zajęły się tobą na swój sposób.

Nawet kiedy jej ramiona zwisły bezwładnie po bokach, nawet kiedy wiedział na pewno, że jest nieżywa, trzymał w kleszczach jej szyję przez następną minutę, w milczeniu odliczając sekundy. Dopiero wówczas zaczął po kolei odginać palce. Gdy jej ciało osunęło się na jego stopy, uśmiechnął się z satysfakcją, a potem wrócił do sypialni. Zdjął z poduszki zakrwawioną poszewkę i uporządkował łóżko, dokładając wszelkich starań, żeby pokój wyglądał tak jak przedtem. Potem podniósł z podłogi torebkę, wsadził do kieszeni garść banknotów razem z kartą kredytową i rozejrzał się za kluczami.

- Nie obrazisz się, jeśli pożyczę sobie twój samochód? - spytał, kiedy wrócił do przedpokoju i dźwignął wciąż jeszcze ciepłe ciało.

Gracie patrzyła na niego zimnym, martwym spojrzeniem. Uśmiechnął się.

- Rozumiem, że chciałaś powiedzieć „nie”.

1

Jamie Kellogg miała pewien plan. W zasadzie plan był dość prosty. Należało znaleźć jakiś względnie przyzwoity bar, zaszyć się w ciemnym kącie, gdzie nikt nie widziałby jej łez, a potem utopić żale w kilku szklaneczkach białego wina z dodatkiem wody sodowej. Nie mogła sobie pozwolić na upicie się do nieprzytomności, a nawet na to, żeby zwyczajnie zakręciło się jej w głowie. Czekala ją długa droga do Stuart, dlatego musiała się mieć na baczności. Zresztą, po co ryzykować, że dopadnie ją poranny kac. Lepiej było nie mieć kaca, kiedy pani Starkey wisiała jej nad głową jak wypatrujący zdobyczy albatros.

Rozejrzała się po prawie pustej ulicy. Szanse na to, że gdzieś w pobliżu znajdzie jakiś przyzwoity bar, były bliskie zeru, choć czyż może być lepsze miejsce na knajpę niż okolice szpitala? Przez ramię zerknęła na niskie zabudowania znane pod nazwą Dobrego Samarytanina, i wykrzywiła się na samo wspomnienie sceny, która rozegrała się niedawno na oddziale intensywnej terapii. „Tylko nie próbuj nam wmawiać, że poczułaś się zaskoczona” - prawie słyszała, jak matka na zmianę z siostrą szepcą jej do ucha te słowa, a ich głosy splatają się w idealnej harmonii. Tak było zawsze, albo przynajmniej zawsze do czasu, gdy ich matka jeszcze żyła.

- Oczywiście, że byłam zaskoczona - mruknęła, nie poruszając wargami. - Skąd miałam wiedzieć?

Nagły powiew wiatru poniósł to pytanie w ciepłe, wieczorne powietrze. Dobrze, że nareszcie przestało padać. Przez ostatnie dwa dni całe wschodnie wybrzeże Florydy padło ofiarą serii dramatycznych burz i niektóre ulice - w tym również ta, przy której Jamie mieszkała - zostało całkowicie zalanych. Tak, wiem, że to wszystko dlatego, że upierałam się przy kupnie apartamentu z widokiem na wodę. Ale, na litość boską, chodziło tylko o niewielką rzeczkę. Nie mieszkam przecież w piekielnie drogim segmencie nad oceanem, jak moje młodsze rodzeństwo. Jamie maszerowała w stronę małego parkingu połączonego z budynkiem szpitala, prowadząc dalej tę milczącą dysputę z nieobecną siostrą i zmarłą niedawno matką. Kto mógł przewidzieć, że ten przeklęty strumień wyleje?

„To twój problem, moja droga”, odrzekł głos matki.

„Jak zwykle nie pomyślałaś”, dodała siostra.

To wszystko dlatego, że nigdy nie miałyście do mnie zaufania, wyszeptwała, sadowiąc się za kierownicą starego, jasnoniebieskiego thunderbirda. Był jedyną rzeczą, z którą wyszła - czy może raczej wyjechała? - z małżeństwa, zakończonego w zeszłym roku rozwodem. Powoli wytoczyła się z parkingu, pełna nadziei, że uda się jej znaleźć jakąś odpowiednią knajpkę, zanim dojedzie do autostrady.

Szczęśliwym zrządzeniem losu jej apartament znajdował się na drugim piętrze trzykondygnacyjnego budynku, więc uniknął zalania, jakie dotknęło pechowych lokatorów z mieszkań położonych na dole. A jeśli już mówimy o szkodach wyrządzonych przez wodę... Jamie szybko zerknęła we wsteczne lusterko i z ulgą stwierdziła, że tak zwany wodoodporny tusz wytrzymał atak płaczu i nie spłynął razem ze łzami, pozostawiając na policzkach dwie czarne smugi. Wręcz przeciwnie, brązowe oczy spoglądały na nią z wyrazem łagodnego spokoju. Przedzielone pasemkami w kolorze słońca i długie do ramion włosy okalały miłą, owalną buzię, na której dziwnym trafem wewnętrzne rozterki właścicielki nie pozostawiły najmniejszego śladu. Zresztą, któż to wpadł na wspaniały pomysł, żeby robić mu niespodziankę? Czyż nie powtarzał jej aż do znudzenia, że nie znosi niespodzianek?

Pod wpływem impulsu skręciła w lewo w Dixie i skierowała się na południe. Co prawda oznaczało to, że później będzie miała przed sobą dłuższą drogę, ale od centrum West Palm dzieliło ją zaledwie kilka skrzyżowań, a w barach znajdujących się wzdłuż Clematis na pewno jest przyjemniej niż w tych na Palm Beach Lakes Boulevard. Poza tym, jeśli nie spodoba się jej w jednym miejscu, po prostu wyjdzie stamtąd i przeniesie się do następnego lokalu. Nawet nie będzie musiała wsiadać do samochodu.

Czerwony mercedes wyjeżdżał właśnie z parkingu na Datura, więc szybko wskoczyła na jego miejsce i starannie zaparkowała wzdłuż krawężnika, a potem wysiadła z auta, wyłowiła ze środka torebkę i pogrzebała w niej w poszukiwaniu drobnych. Wrzuciła do pobliskiego parkomatu więcej, niż było trzeba, tak na wszelki wypadek, choć w zasadzie nie zamierzała zostać tu długo.

Skręciła w Clematis dokładnie w chwili, gdy z naprzeciwka nadeszła jakaś para. Szli, obejmując się ciasno, a ich złączone ze sobą biodra kołysały się we

wspólnym rytmie. Złote szpilki młodej kobiety stuknęły metalicznie o płyty chodnika. Zanim przeszli na światłach przez jezdnię, zatrzymali się na moment, żeby się pocałować. Pewnie wracają do domu, gdzie będą żyć długo i szczęśliwie, pomyślała z zazdrością, spoglądając, jak znikają w mroku. Pokręciła głową. Ona wcale nie oczekiwała aż tyle; ją by zadowolił nawet jeden wieczór spędzony bez kłamstw i wykrętów.

W Watering Hole panował zaskakująco duży tłok jak na środę. Jamie zerknęła na zegarek. Siódma. Pora kolacji, w dodatku początek maja. Właściwie czemu miałyby tutaj być pusto? Popularny lokal przy modnej ulicy... Mimo że tak zwany sezon formalnie już się skończył, po mieście wciąż kręciło się sporo turystów, którzy zapuścili się w te rejony w ucieczce przed zimą, a teraz niespieszno im było pakować manatki i wracać na lato na północ. Być może właśnie coś takiego powinna zrobić: spakować wszystkie graty, wrzucić je na tylne siedzenie auta i wynieść się stąd w diabły. Zresztą w jej wypadku nie byłby to pierwszy raz.

Kto miałby za nią tęsknić? Z pewnością nie rodzina. Matka umarła przed ośmioma tygodniami; ojciec razem z żoną numer cztery - niewiarygodna sprawa, ale poślubił dwie Joan, jedną Joanne, a teraz ożenił się ze stewardesą o imieniu Joanna, która, mając trzydzieści sześć lat, była zaledwie o siedem lat starsza od Jamie - mieszkał gdzieś w New Jersey; siostra zapewne będzie zadowolona z jej decyzji. („Jesteś gorsza niż moje dzieciaki", powiedziała Cynthia, kiedy Jamie zadzwoniła do niej wczoraj, żeby poskarżyć się, że powódź o mało nie zalała jej mieszkania, w nadziei, że usłyszy słowa współczucia). Praca w agencji ubezpieczeniowej na stanowisku likwidatora szkód okazała się nudna jak diabli i nie dawała najmniejszych szans na rozwój, a szefową była wstrętne baba, która uwielbiała wściekać się z byle powodu. Jamie już dawno rzuciłaby w cholerę tę robotę, gdyby nie fakt, że dostała ją dzięki rekomendacji Todda, męża Cynthii. „O co ci chodzi? Czy kiedykolwiek udało ci się dotrzymać tego, co sobie postanowiłaś?". Niemal słyszała siostrzane upomnienia, po których następowała zwykła konkluzja: „Powinnam była to przewidzieć. Jesteś jak chorągiewka". Potem Cynthia nabierała rozpędu: „Kiedy wreszcie przestaniesz się wygłupiać i weźmiesz odpowiedzialność za własne życie? Masz zamiar skończyć to prawo, czy nie?". I żeby ostatecznie zmieszać ją z błotem dodawała: „Trzeba być

ostatnią kretynką, żeby rzucić szkołę tuż przed dyplomem i wyjść za jakiegoś palanta, którego ledwo znałaś".

Na wypadek, gdyby Jamie miała jeszcze siłę oddychać, siostra chowała w zanadrzu argument nie do odparcia. „Wiesz, że mówię to wszystko wyłącznie dla twojego dobra. Najwyższy czas, żebyś się pozbierała i zaczęła żyć jak normalny człowiek. Kiedy ty wreszcie dorośniesz?”.

Jamie odsunęła jedno z wysokich krzeseł przy długim barze i skinęła na barmana. Poczekał tylko, aż Cynthia dowie się o tym, co dziś się stało, pomyślała i podjęła śmiałą decyzję - zamiast białego wina z wodą sodową zamówi szklaneczkę miejscowego burgunda. Obejrzała się, jednym spojrzeniem omiatając całe wnętrze baru. W przyćmionym świetle ujrzała sporą, prostokątną salę, która otwierała się na patio usytuowane wprost na chodniku. Pod rozdzielającą wnętrze ścianą z czerwonej cegły, dokładnie naprzeciwko baru, stał rząd wyściełanych ław, a na środku i w przedniej części lokalu znajdowały się tuziny stolików. Wykładana terakotą podłoga odbijała odgłosy kroków zgromadzonego w środku tłumu - tłumu, który w przeważającej części składał się z młodych kobiet, podobnych do niej.

Ciekawe, gdzie się podzieli mężczyźni, pomyślała Jamie z roztargnieniem. Oprócz dwóch czterdziestokilkulatków przy sąsiednim stoliku, którzy byli tak pogrążeni w dyskusji nad nowym logo firmy, że nawet nie podnieśli oczu, kiedy przeciskała się obok nich w obcisłych, odkrywających pępek dzinsach i jeszcze bardziej obcisłej różowej bluzeczce, oraz ponurego jegomościa z nieco przydługimi wąsami w stylu Toma Sellecka, sączącego drinka w odległym końcu baru, w całym lokalu nie było ani jednego faceta. Przynajmniej na razie. Jamie spojrzała na zegarek, choć od chwili, gdy robiła to ostatni raz, upłynęło zaledwie kilka minut. Przypuszczalnie mężczyźni przychodzą tu trochę później, uznała. Godzina siódma oznacza, że jeśli chłopak umawia się z dziewczyną o tej porze, czuje się w obowiązku postawić jej kolację zamiast jedynie kilku drinków. Barman podszedł do niej z zamówionym winem.

- Proszę.

Wzięła szklaneczkę i jednym haustem łyknęła jej zawartość, jakby w środku znajdowało się wyłącznie powietrze.

- Ciężki dzień?

- Mój chłopak wylądował w szpitalu - odparła i natychmiast poczuła się jak ostatnia kretynka. Na litość boską, ale powiernika sobie wybrała! Boże, jakie to żałosne. Chociaż z drugiej strony... Jeśli opowie barmanowi smutną historyjkę o nieszczęściu, jakie ją spotkało, może nie będzie jej kusiło, żeby zwierzyć się siostrze. Albo może barman - który był wysoki, przystojny i miał interesującą szramę pod prawym okiem - poprosi ją, żeby zaczekała, aż skończy zmianę. Potem we dwoje usiądą obok fontanny przy końcu ulicy, a on okaże się wrażliwym, zabawnym i sprytnym chłopakiem...

- Przepraszam. Czy coś pan mówił?

- Pytałem, czy pani chłopak jest bardzo chory.

- Nie. Miał wypadek w pracy i konieczna była operacja.

- Naprawdę? Jaki wypadek?

- Potknął się o róg dywanu, kiedy szedł do toalety, i skręcił nogę w kostce - odparła ze śmiechem, bo teraz cała sprawa wydała się jej niezwykle zabawna.

- Ale Leser - odrzekł krótko barman.

Jamie uśmiechnęła się i podniosła do ust szklaneczkę. Upiła duży łyk, czekając, aż barman odejdzie i dopiero wówczas podniosła wzrok. No to tyle, jeśli chodzi o poczucie humoru i spryt, pomyślała. Niezależnie od tego, jak bardzo byłaby zdesperowana czy samotna, postanowiła nigdy nie umawiać się na randkę z facetem, który używa słowa „leser”.

Zerknęła w kierunku gościa z wąsami w stylu Toma Sellecka, ale on na wszelki wypadek siedział skulony nad własnym drinkiem. Na krótko podniósł głowę, napotkał w przelocie jej spojrzenie, a następnie odwrócił się, jakby chciał podkreślić brak zainteresowania jej osobą.

- Te wąsy nie wyglądają na prawdziwe - mruknęła pod nosem i wpatrzyła się w stojącą przed nią szklanę, zahipnotyzowana własnym odbiciem w głębokiej czerwieni wina.

W następnej chwili ujrzała siebie samą, jak wchodzi frontowymi schodami do szpitala Dobrego Samarytanina i pyta czarnoskórą damę o manierach królowej, siedzącą za blatem w recepcji, jak trafić do pokoju Tima Rannellsa.

- Na dziś rano miał zaplanowaną operację kostki - poinformowała recepcjonistkę, ściskając kurczowo prezent, jaki mu przyniosła. Plastikowa torebka marszczyła się pod jej palcami.

Kobieta wystukała podane nazwisko na klawiaturze komputera i przez jej sympatyczną twarz przemknął cień niepokoju.

- Przykro mi, ale pan Rannells został przeniesiony na oddział intensywnej terapii.

- Intensywnej terapii?! Z powodu skręconej kostki?!

- Niestety, tylko tyle udało mi się ustalić.

Recepcjonistka skierowała Jamie na trzecie piętro, gdzie mieścił się wskazany oddział. Ale drzwi prowadzące do środka były zamknięte i nikt nie reagował na wezwanie, kiedy wciskała dzwonek. Przez następne kilka minut chodziła tam i z powrotem po sterylnej poczekalni, zastanawiając się, jak to możliwe, żeby trzydziestopięcioletni, zdrowy mężczyzna przyszedł do szpitala na stosunkowo niewielki zabieg i wylądował na intensywnej terapii.

- Równie dobrze może pani usiąść - odezwała się kobieta o bladej cerze i krótkich, brązowych włosach, siedząca na jednym z pomarańczowych, plastikowych krzeseł, które stały pod kompletnie nagimi ścianami.

Jej błękitne oczy spoglądały na Jamie z wyrazem zmęczenia. - Wydaje mi się, że oni są tam teraz dość zajęci.

- A długo pani czeka?

- Prawdę mówiąc, przyjechałam tu z przyjaciółką. - Rozpostarła na kolanach magazyn „People”, który przed chwilą czytała. - Jej córka miała wypadek samochodowy i lekarze nie są pewni, czy z tego wyjdzie.

- O Boże, jakie to straszne. - Jamie rozejrzała się dookoła, choć nie bardzo było na co patrzeć. - Mój chłopak miał mieć dziś rano operację - zaczęła, choć tamta o nic nie pytała. - Ale jakimś trafem wylądował właśnie tutaj.

Nie mogąc opanować nerwów, wróciła do dzwonka i zaczęła naciskać go raz za razem.

- Tak? - odezwał się kilka sekund później czyjś głos. - W czym mogę pomóc?

- Nazywam się Jamie Kellogg - zawołała do domofonu. - Przyszłam do Tima Rannellsa.

- Czy jest pani krewną pana Rannellsa?

- Lepiej powiedzieć, że tak - poradziła kobieta siedząca na pomarańczowym krześle. - Inaczej pani nie wpuszczą.

- Jestem jego siostrą - odpowiedziała Jamie bez zastanowienia. Chyba zrobiła tak dlatego, że właśnie przed chwilą myślała o swojej siostrze. Cynthia od tygodni prosiła ją, żeby wpadła do niej przejrzeć rzeczy ich matki.

- Proszę usiąść i poczekać - odparł bezcielesny głos i się wyłączył.

Jamie obróciła się w stronę nieznamym na pomarańczowym krześle.

- Dziękuję, że mnie pani ostrzegła.

- Oni mają tu swoje zasady. - Kobieta wzruszyła ramionami. - A tak w ogóle, to jestem Marilyn.

- A ja Jamie - odrzekła Jamie. - Chciałabym, żeby mi wreszcie ktoś powiedział, co tu się dzieje...

Wpatrzyła się w przycisk domofonu.

- Jak sądzisz, chyba nie mogło się stać nic złego? - dodała po chwili.

Boże, co za głupie pytanie, zreflektowała się natychmiast, choć wcale jej to nie powstrzymało od zadania następnego.

- Nie mógł przecież umrzeć, jak ci się wydaje?

- Na pewno zaraz ktoś do ciebie wyjdzie - odparła Marilyn.

- Chciałam tylko zaznaczyć, że trafił do szpitala z powodu skręconej kostki.

- Postaraj się zachować spokój.

Jamie uśmiechnęła się, choć czuła, jak w kącikach oczu zbierają się piekące łzy. Matka też zazwyczaj powtarzała, żeby Jamie spokojnie na coś poczekała.

- Moja mama bez przerwy mi to mówiła - odruchowo wypowiedziała na głos to, o czym właśnie myślała. - Mówiła, że jestem zbyt impulsywna, że reaguję bez zastanowienia i że mam zwyczaj wyciągać wnioski, zanim zdążę zapoznać się ze wszystkimi faktami.

- Bardzo trafne określenie.

- Moja mama była sędziwą.

- Od razu widać, że miała skłonność do osądzania innych.

Jamie odchyliła się do tyłu, zupełnie zbita z tropu ostatnią uwagą Marilyn. Ze wszystkich stron bez przerwy słyszała, że jej matka to wspinała osoba i teraz zaskoczył ją i nieoczekiwany komentarz, i uczucie wdzięczności, jakie ją ogarnęło, gdy usłyszała słowa obcej kobiety.

- Bardzo przepraszam, nie chciałam cię urazić.

- Nie uraziłaś mnie.

Nieznajoma zajęła się czasopismem, które leżało na jej kolanach.

- Mam siostrę - ciągnęła Jamie, bynajmniej nie zachęcana. - Jest właśnie taka, jaka ja miałam być... Skończyła prawo, wyszła za męża, ma dwoje dzieci... No wiesz, po prostu doskonała pod każdym względem.

- Chciałaś powiedzieć, że jest równie doskonała jak wrzód na dupie.

Jamie się roześmiała. Im więcej Marilyn mówiła, tym większą budziła w niej sympatię.

- Ona jest w porządku - powiedziała. - Tylko czasami bywa trudno, bo to ja jestem starszą siostrą. To ona powinna brać ze mnie przykład, a nie odwrotnie.

Czekała, aż Marilyn powie, że siostra z pewnością bierze z niej przykład. Nawet jeśli nie było w tym krzty prawdy, to taka uwaga sprawiłaby jej prawdziwą przyjemność. Ale Marilyn milczała. Nagle drzwi prowadzące na oddział intensywnej terapii otworzyły się z rozmachem i do poczekalni wkroczyła atrakcyjna kobieta w czarnych spodniach i obcisłej żółtej bluzce, skrzywiona jak nieszczęście. Wyższa od Jamie kilka centymetrów i o kilka lat starsza, reprezentowała ten typ urody, jaki dość agresywnie rzuca się w oczy; jej sięgające do podbródka włosy były odrobinę za czarne, a szminka trochę za jaskrawa.

- Która z was nazywa się Jamie Kellogg? - zapytała na wstępie.

Jamie poderwała się na równe nogi.

- Ja.

- Podobno jesteś siostrą Tima Rannellsa?

Czy to możliwe, żeby to była lekarka Tima, pomyślała Jamie, przekonana jednocześnie, że ta pani powinna popracować nad swoimi manierami.

- Prawdę mówiąc, przyrodną siostrą - odpowiedziała i w ostatniej chwili ugryzła się w język, żeby nie posunąć się dalej. Czyż matka nie mówiła jej wielokrotnie, że kłamliwego świadka od razu można rozpoznać po tym, że z własnej i nieprzymuszonej woli podaje mnóstwo szczegółów, o które nikt nie pytał?

- Tim nie ma siostry. Ani rodzonej, ani przyrodniej - zdecydowanie oświadczyła kobieta, a Jamie poczuła, jak krew odpływa jej z twarzy. - Kim jesteś?

- A kim pani jest? - odwzajemniła się Jamie.

- Ja? Nazywam się Eleanor Rannells i jestem żoną Tima.

Te słowa podziały na Jamie jak uderzenie pięścią. Nagle zabrakło jej powietrza; z trudem zdołała utrzymać się na nogach.

- Pytam raz jeszcze, kim ty jesteś, do diabła?! Ten wrzask przywrócił jej poczucie rzeczywistości.

- Pracuję z pani mężem - odpowiedziała szybko, choć przy ostatnim wyrazie prawie się udławiła. - A to jest Marilyn - wskazała na siedzącą na plastikowym krześle kobietę, która natychmiast upuściła na podłogę magazyn i wstała.

- Bardzo mi przyjemnie panią poznać - uśmiechnęła się Marilyn, wyciągając rękę.

- Pracujecie w Allstate?

- Ja w dziale odszkodowań - powiedziała Jamie. - Marilyn jest z działu płac.

- Właśnie - przytaknęła Marilyn.

- Nic nie rozumiem. Co tutaj robicie? I czemu próbowałaś kłamać, że jesteś siostrą Tima?

- Dowiedziałyśmy się, że Tim miał wypadek - wyjaśniła Jamie. - Pomyślałyśmy sobie, że może trzeba wpaść do szpitala zobaczyć, jak się czuje. Mamy dla niego prezent. Najnowszą powieść Johna Grishama.

Eleanor Rannells bez słowa wzięła książkę z rąk Jamie i wsadziła pod pachę.

- A na oddział intensywnej terapii wpuszczają tylko krewnych - podjęła Marilyn. - Sama więc pani rozumie...

- Więc dlatego powiedziałaś, że jesteś jego siostrą, choć on nie ma siostry - zwróciła się Eleanor do Jamie.

W przeciwieństwie do żony, którą jak widać ma, pomyślała Jamie. Zaczęła się zastanawiać, czy Eleanor naprawdę kupiła ich historyjkę, czy po prostu była zbyt uprzejma, żeby robić sceny.

- Jak on się czuje? - spytała.

- Źle zareagował na znieczulenie. Przez chwilę naprawdę był w fatalnym stanie, ale teraz niebezpieczeństwo już minęło, choć oczywiście nie ma mowy o przyjmowaniu gości.

- Proszę pozdrowić go od nas - powiedziała Marilyn.

- Oczywiście. - Eleanor pogładziła grzbiet książki. - Dziękuję za prezent. Skąd wiedzieliście, że on uwielbia Grishama?

- Zgadłyśmy - odparła Jamie, patrząc, jak żona jej ukochanego zamyka za sobą drzwi prowadzące na oddział intensywnej terapii.

- Dobrze się czujesz? - usłyszała obok głos Marilyn.

- On ma żonę.

- Najwyraźniej tak.

- On ma żonę!

- Może chcesz napić się wody?

- Spotykaliśmy się od czterech miesięcy. Jak mogłam się nie zorientować, że jest żonaty?

- Możesz mi wierzyć, takie rzeczy zdarzają się nawet najlepszym z nas - pocieszyła ją Marilyn.

- Boże, jaka ja byłam głupia!

- Wcale nie. Po prostu trafiłaś na niewłaściwego faceta.

- Nie po raz pierwszy.

- I pewnie nie po raz ostatni. Nie bądź dla siebie taka surowa.

- Co za kłamliwy sukinsyn! - Jamie wybuchnęła płaczem. Łzy bólu i wściekłości płynęły strumieniami po jej policzkach.

- Cicho, dziewczyno, daj spokój. W życiu zdarzają się gorsze rzeczy.

- I co ja mam teraz zrobić?

- Powiem ci, czego nie powinnaś robić. Nie powinnaś płakać, bo szkoda łez na takiego gnojka. - Marilyn otarła delikatnie opuszkami palców mokre ślady na twarzy

Jamie. - Jesteś uroczą młodą kobietą i z pewnością niedługo znajdziesz innego chłopaka. A teraz wracaj do domu, nalej sobie kieliszek wina i zrób gorącą kąpiel w pianie. Od razu poczujesz się lepiej, zobaczysz. Jamie uśmiechnęła się przez łzy.

- I przestań się mazać. Zaraz rozpuści ci się tusz.

- Dzięki, że mi pomogłaś... No, w tej rozmowie.

- Cała przyjemność po mojej stronie. A teraz idź. Wyjdź stąd i zapomnij o tym, co się stało.

Jamie ruszyła w kierunku windy, ale nagle zatrzymała się i popatrzyła na Marilyn.

- Mam nadzieję, że córka twojej przyjaciółki wyjdzie z tego - powiedziała na pożegnanie.

- Dziękuję.

- Przepraszam, co pan mówi? - nagle powróciła do rzeczywistości, kiedy barman pochylił się w jej stronę.

- Powiedziałem, że ten dżentelmen przy końcu baru pyta, czy może pani postawić drinka.

Naprawdę? - pomyślała Jamie. Kiedy siadała, ledwie raczył rzucić okiem w jej stronę. Poza tym, w przygarbionej postaci było coś złowróżbnego, jakby chciał skryć jakąś mroczną tajemnicę, a ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowała, był kolejny facet, który miałby przed nią jakieś sekrety. Jednak gdy podniosła wzrok, przekonała się, że gość podobny z wąsów do Toma Sellecka zniknął, a na jego miejscu siedział świeżo ogolony młody mężczyzna z włosami przystrzyżonymi na jeża i przyglądał się jej z krzywym uśmiechem. Zauważywszy jej spojrzenie, uniósł swój kufel w milczącym toaście.

Nagle ujrzała przed sobą obraz Tima Rannellsa spoczywającego na szpitalnym łóżku, a obok jego żonę, która czyta mu na głos książkę, prezent od Jamie. Po chwili do obrazu Eleanor Rannells dołączyła siostra Jamie, Cynthia, a zaraz potem ich matka. Teraz wszystkie trzy zgodnie kręciły głowami i spoglądały na nią z dezaprobatą. „Jak możesz w ogóle zastanawiać się nad czymś tak głupim i ryzykownym?“, pytały unisono.

Odepchnęła od siebie tę wizję, gwałtownym ruchem odrzuciła na bok blond włosy, po czym jednym haustem wychyliła to, co jeszcze zostało w jej szklance, i wręczyła ją barmanowi.

- Proszę mu powiedzieć, że piję burgunda.

2

- No więc jak, czy teraz mogę zaprosić cię na kolację?

Jamie roześmiała się, owijając ciaśniej prześcieradło dookoła nagich piersi. Patrzyła z uwagą na przystojnego nieznajomego, któremu najpierw pozwoliła wejść do swojego mieszkania, a zaraz potem wpuściła go do łóżka. Miał mięsiste, pełne wargi, nieduży, niezwykle kształtny nos i najbardziej błękitne oczy, jakie w życiu widziała. Jak to się stało, że akurat mnie przytrafiło się takie szczęście? - pytała samą siebie. Ona, która zawsze wpadała z deszczu pod rynnę i z jednego chorego układu przechodziła do następnego, jeszcze gorszego, jakimś cudem wreszcie trafiła na ideał. W dodatku w zwykłym barze i do tego wtedy, kiedy czuła się zrozpaczona i pogrążona w depresji. Ten człowiek nie tylko wyglądał znacznie lepiej niż wówczas, gdy spojrzała na niego po raz pierwszy w przyćmionym świetle wewnątrz baru, nie tylko miał ciało wyrzeźbione jak posągi greckich bogów - kiedy zdjął koszulę, z wrażenia przestała na moment oddychać - ale także okazał się zaskakująco uważającym i czującym kochankiem, który w równym stopniu troszczył się o własną satysfakcję i o jej przyjemność. Przez ostatnich kilka godzin bez znużenia oddawali się uciechom cielesnym, a mimo to dalej pragnęła go dosłownie każdym skrawkiem ciała, jakby zakończenia wszystkich jej nerwów nagle zostały obnażone i podatne na bodźce. Na samą myśl o tym poczuła przyjemne pulsowanie między nogami, więc szybko podniosła do twarzy prześcieradło, żeby ukryć uśmiech zadowolenia. W jej nozdrza natychmiast wdarł się jego zapach - męski i pełen rzeźkości. Wszystko pachniało jego obecnością - prześcieradła, poduszka, czubki jej palców i jej skóra. Boże, co to za cudowna woń, pomyślała, opierając głowę o zagłówek łóżka i oddychając pełną piersią. Wszystko w tym mężczyźnie było cudowne. Nawet jego imię. Brad, powtórzyła po cichu. Brad Fisher. Jamie Fisher, dodała natychmiast i zaraz przywołała

się do porządku: Hej, moja droga, znowu zaczynasz? Właśnie dlatego wciąż wpadasz w kłopoty. Zwolnij trochę i niczego sobie nie obiecuj.

- Naprawdę masz chęć zaprosić mnie na kolację? - spytała kokieteryjnie.

- Już wcześniej ci to proponowałem - przypomniał.

To prawda. Po pierwszej kolejce zapytał, czy ma ochotę coś zjeść, ale odmówiła. Jutro rano muszę wcześniej iść do pracy, powiedziała, rozdarta pomiędzy impulsem nakazującym ucieczkę a chęcią rzucenia się w ramiona nieznanego.

No cóż, w takim razie pozwól przynajmniej, że ci postawię jeszcze jednego drinka, zaproponował i szklaneczka wina w jakiś magiczny sposób zjawiała się tuż obok jej dłoni.

Jamie zerknęła na budzik stojący obok wielkiego łóżka, które zajmowało większą część maleńkiej sypialni. To łoże, całkiem niepotrzebne i przesadnie duże, kupiła niedawno. Zrobiła to wyłącznie dlatego, że Tim powiedział, że lubi mieć sporo miejsca do spania. W każdym razie używał tego argumentu, żeby jej wytłumaczyć, dlaczego nigdy nie zostaje u niej na całą noc. Ale nawet gdy sprawiła mu niespodziankę - nawiasem mówiąc, czy nie uprzedzał jej, że nienawidzi niespodzianek? - i sprzedała podwójne łóżko lokatorowi z sąsiedniego mieszkania, a następnie zastąpiła je tym kosztownym monstrum, Tim nadal znajdował setki powodów, dla których musiał uciekać przed północą: pilne spotkanie wcześniej rano, wizyta u lekarza w Fort Lauderdale, przeziębienie, którego właśnie się nabawił... Jak to się stało, że niczego nie podejrzewała? Czy faktycznie coś z nią było nie tak? Jak mogła być tak naiwna, zwłaszcza po tym wszystkim, co przeszła w ciągu ostatnich kilku lat?

Należało raczej użyć słowa „głupia”.

Oczywiście, siostra ostrzegła, że jej sypialnia jest za mała na tak wielkie łoże - i jak zwykle okazało się, że miała rację. Łóżko przytłoczyło rozmiarami maleńki pokój. Z trudem można było przecisnąć się między nim a ścianą, a już zupełnie niemożliwe stało się, by zrobiły to w tym samym czasie dwie osoby.

- O co chodzi? - spytał Brad.

- A czemu myślisz, że w ogóle o coś chodzi? Wzruszył ramionami i czubkiem palca musnął koniuszek swojego niemal doskonałego nosa.

- Bo nagle tak posmutniałaś.

- Naprawdę?

Jego przystojną twarz rozświetlił uśmiech, w którym w równych proporcjach kryły się zarówno niewinność, jak i skłonność do psot.

Jamie zapragnęła nagle ujawnić, jakie myśli krążą jej po głowie, i powierzyć temu mężczyźnie wszystko, o czym myślała w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Oparła się jednak tej potrzebie i postanowiła powiedzieć coś całkiem innego.

- Zastanawiałam się tylko, gdzie można o tej godzinie cokolwiek zjeść.

- A może coś na wynos?

- Znakomicie.

- Pizza?

- Oczywiście.

Zaskoczona, jak przyjemne i łatwe może być życie, wyrecytowała z pamięci numer telefonu najbliższej pizzerii.

- Nie wychodzę zbyt często - usprawiedliwiła się, czując, jak jej policzki zalewa rumieniec zażenowania.

Brad sięgnął w poprzek łóżka po telefon, który stał razem z budzikiem na małym, plastikowym stoliczku, a wtedy jego muskularne ramię otarło się o jej pierś, wysyłając w głąb ciała lawinę rozkosznych wibracji. Ze wszystkich sił starała się nie ruszyć, podczas gdy on wystukiwał na klawiaturze podany numer i zamawiał dużą pizzę.

- Czy może być pepperoni z grzybami? - spytał, jednocześnie wsuwając rękę pod prześcieradło, żeby pieścić jej piersi. Odruchowo wstrzymała oddech.

- Przywiozą za pół godziny - powiedział, odstawiając telefon na miejsce. Oparł się na łokciu i spojrzał na nią. - Albo może później - dodał z figlarnym uśmiechem.

Ktoś powinien zamknąć ten uśmiech w butelce, pomyślała.

- No i jak się czujesz? - zapytał.

- Wspaniale. A ty?

- Nigdy nie czułem się lepiej. Dobrze się stało, że przed powrotem do domu postanowiłem wstąpić na małego drinka.

- A gdzie jest twój dom? - spytała z nadzieją, że niezbyt daleko. Być może książkę z bajki nie będzie musiał łykać w pośpiechu pizzy i zaraz zmykać.

„Przepraszam, ale wcześniej rano mam ważne spotkanie. Wizytę u doktora w Fort Lauderdale, bo właśnie dopadło mnie przeziębienie”.

- Właściwie nie mam teraz domu - powiedział zwyczajnym tonem. - Od paru tygodni wynajmuję pokój w Breakersie.

- Mieszkasz w Breakersie?

Breakers był najbardziej prestiżowym i prawdopodobnie najdroższym ze wszystkich luksusowych hoteli w Palm Beach.

- Tylko przez pewien czas. Dopóki nie zdecyduję, co dalej robić.

- Z czym?

Uśmiechnął się, ale jego chłopięca figlarność gdzieś zniknęła. Teraz wydawał się starszy i bardziej rozważny.

- To chyba zabrzmiał dość banalnie, jeśli powiem, że ze swoim życiem.

- To wcale nie brzmi banalnie - oburzyła się, choć prawdę mówiąc, dokładnie tak było. Przynajmniej do pewnego stopnia. Jej siostra z pewnością uznałaby takie sentymentalne wyznania za zbyt oklepane. Ale przede wszystkim Cynthia nie poderwałaby nieznanego przystojniaka i nie pozwoliła, żeby stawiał jej drinka. Nie mówiąc już o tym, że nie byłoby mowy o zaproszeniu go do mieszkania i uprawianiu miłości na wielkim łożu, które miało być niespodzianką dla jej żonatego kochanka. Nie, Cynthia była zbyt zrównoważoną osobą, żeby zrobić coś w tym stylu. Zresztą jej życie ułożyło się całkiem inaczej: poznała Todda, kiedy była w dziewiątej klasie, na pierwszym roku college'u wyszła za niego za mąż i zdążyła urodzić dwoje dzieci jeszcze przed zrobieniem dyplomu na wydziale prawa.

- Powinnaś myśleć bardziej praktycznie - powiedziała kiedyś do Jamie. - Gdybyś została na prawie, dziś mogłybyśmy wspólnie prowadzić firmę.

- Problem w tym, że ja wcale nie chcę być prawnikiem.

- Jesteś niemożliwą romantyczką... To właśnie jest problem.

- Jesteś żonaty, prawda? - zwróciła się do Brada, choć właściwie znała odpowiedź. Taki facet jak Brad Fisher musiał być żonaty. Pewnie przeżywają teraz trudny okres, bo inaczej dlaczego mieszkałby w Breakersie? Zaczęli z żoną się

sprzeczać, więc na jakiś czas wyprowadził się z domu, żeby dać im obojgu czas na ochłonięcie i opamiętanie się, co bez wątpienia nastąpi zaraz po tym, jak skończy swoją pizzę.

- Żonaty? - Roześmiał się i pokręcił głową. - Nie. Oczywiście, że nie!

- Naprawdę?

- A czy przyszedłbym tutaj, gdybym miał żonę?

- Sama nie wiem... A przyszedłbyś?

- Mieszkam w Breakersie, ponieważ skończyła mi się umowa najmu mieszkania. Poza tym sprzedałem swój biznes i w pewnym sensie jestem na rozstaju dróg...

Jakich dróg? - pomyślała.

- A czym się zajmowałeś? - spytała na głos.

- Komunikacją.

Odebrała to jako ironię, ponieważ słowo „komunikacja” ma tak wiele znaczeń, że właściwie jego odpowiedź niczego nie wyjaśniła.

- Możesz to sprecyzować?

- Mówię o programowaniu komputerowym - wyjaśnił. - Napisałem kilka programów, które zwróciły na mnie uwagę paru szczech z Krzemowej Doliny. Skończyło się na tym, że złożyli mi niezmiernie interesującą propozycję.

- I przyjąłeś ją?

- Hej, może jestem maniakiem komputerowym, ale nie wariatem.

Jamie na serio wątpiła, czy którekolwiek z tych dwóch określeń pasuje do kogoś takiego jak Brad Fisher. Czy w ogóle facet może być bardziej pociągający, zastanawiała się, myśląc jednocześnie, że Brad jest jeszcze bardziej ciekawym człowiekiem, niż przedtem sądziła. Nie tylko wyglądał jak młody bóg, nie tylko fantastycznie sprawdził się w roli kochanka, ale był też genialnym wynalazcą. Co więcej, nie miał nikogo, jeździł dobrym samochodem i sprawiał wrażenie niezależnego finansowo. Na tyle niezależnego, że mógł pozwolić sobie na zamieszkanie w Breakersie, dopóki nie podejmie decyzji, co dalej zrobić z własnym życiem. Nie mogła lepiej trafić.

- Będziesz przerażony, kiedy ci powiem, że jeśli chodzi o komputery, to jestem całkowitą ignorantką - powiedziała szybko, żeby nie zdradzić swoich myśli. - W pracy bez przerwy zawiesza mi się komputer. To straszna męka.

- A gdzie pracujesz?

- W Allstate. Przyjmuję wnioski o odszkodowanie.

Skinął głową, spoglądając na nią oczyma w kolorze szafiru.

- Kiedyś straciłam przez to wszystko, co zrobiłam danego dnia - oznajmiła, choć bała się, żeby nie zacząć paplać o byle czym. - Moja szefowa kazała mi zostać i odwalić całą robotę jeszcze raz. Było już dobrze po północy, kiedy skończyłam.

- To musiało być coś ważnego.

- Nic takiego, co nie mogło poczekać do rana... Ale pani Starkey uparła się, że to ja musiałam popełnić jakiś błąd, bo nikomu innemu w biurze komputer się nie zawiesza, więc skoro to moja wina, to powinnam napisać całą pracę od początku, i...

Nagle zdała sobie sprawę, że trajkocze jak przekupka z bazaru. Postanowiła przestać, i to zaraz, w przeciwnym razie wszystko legnie w gruzach.

- Rozumiem, że zostałaś w biurze i zrobiłaś, co ci kazała.

Oddechnęła głęboko, a potem wolno wypuściła powietrze.

- Wtedy byłam najbliższa tego, żeby rzucić w cholerę tę robotę.

- Rozumiem, że zdarzało ci się myśleć o tym przynajmniej kilka razy.

- O, prawie każdego dnia!

- Tak bardzo nienawidzisz swojej pracy?

- Po prostu nie tak wyobrażałam sobie to, co będę robić w życiu.

- A co chciałaś robić?

- Nie będziesz się śmiać?

- Czemu miałbym się śmiać? - zapytał całkiem poważnie.

Westchnęła i postanowiła zdradzić swój sekret.

- Zawsze chciałam być kimś w rodzaju pracownika opieki społecznej.

W szafirowych oczach pojawił się jakiś błysk.

- Kimś w rodzaju...? Jamie zeszywniała.

- Naprawdę.

Szafirowe oczy zmrużyły się podejrzliwie.

- Więc czemu nie zostałam pracownikiem opieki?

- Bo moja matka bez przerwy powtarzała, że taki zawód nie da mi pieniędzy.

Chciała, żebym została prawnikiem.

- A ty zawsze robiłaś to, czego chciała mama?

- Bóg jeden wie, że bardzo się starałam... - Jamie pokręciła głową. - Ale to bez znaczenia, bo i tak nigdy mi się nie udawało jej zadowolić. - Wzruszyła ramionami. - Zresztą, teraz już nie ma o czym mówić. Moja matka umarła przed dwoma miesiącami.

- Nareszcie możesz przestać się starać - zachichotał drwiąco.

- No wiesz, trudno jest przełamać niektóre przyzwyczajenia.

- A może jeszcze nie jesteś na to gotowa? Uśmiechnęła się smutno.

- Czemu ludzie zadają mi wciąż to samo pytanie?

- Przepraszam.

- Nie przepraszaj. To nie twoja wina, że sama nie wiem, czego chcę.

- Och, moim zdaniem wkrótce będziesz wiedziała.

- Oczywiście... Łatwo ci mówić, skoro jesteś geniuszem komputerowym.

- Zrezygnuj z pracy - powiedział Brad.

- Co takiego? Nie mogę. Moja siostra dostałaby szalu.

- Mógłbym zatrudnić dobrego pracownika opieki społecznej. - Pochylił się i miękko zagarnął jej usta.

Po chwili Jamie zaczęła się śmiać.

- Mój Boże, świetnie całujesz - powiedziała, niechętnie odrywając się od niego, żeby zaczerpnąć powietrza.

- Jeśli już mówimy o siostrach... - uśmiechnął się zagadkowo. - Jak myślisz, kto mnie nauczył się całować?

- Twoja siostra? - spytała z niedowierzaniem.

- Siostry - sprecyzował. - Miałem aż trzy. Byłem najmłodszy w rodzinie, więc wykorzystywały mnie bez skrpułów - zaśmiał się. - Kiedy zaczęły chodzić na randki, ćwiczyły wszystko na mnie. „Jak ci się to podobało, Bradley? A może lepiej tak?”. A potem zaczęły przyprowadzać do domu swoje przyjaciółki, i wtedy te sprawy zainteresowały mnie na serio.

- No pewnie.

- Właśnie, bo mogłem stać się bardziej... Chwileczkę, jak by to określiła pracownica opieki socjalnej? Bardziej aktywny. Tak, właśnie o to mi chodziło. Stałem się zdecydowanie bardziej aktywny i właśnie wtedy zaczęły mi mówić, co lubią, a czego nie. Powtarzały, że nie ma nic gorszego, niż kiedy facet brutalnie wpycha dziewczynie język do połowy gardła. Że znacznie lepiej posuwać się wolno i delikatnie. Właśnie tak... - znów wziął Jamie w ramiona i dotknął ustami jej ust.

Czuła, jak jego język pieści wewnętrzną powierzchnię jej warg, jak szoruje po jej języku, a potem wślizguje się głębiej. Czuła, jak Brad oplata ją ramionami i pociąga na łóżko, a sam kładzie się na niej. Lecz zamiast wdrzeć się w głąb jej ciała, zaczął zsuwać się coraz niżej i niżej, czubkiem języka rysując ścieżkę rozkoszy, która wiodła od szyi do piersi i dalej, aż w końcu jego głowa znalazła się między jej nogami. I wówczas zaczął wyczyniać tak cudowne rzeczy, że aż krzyknęła, bo jej ciałem wstrząsnęła seria spazmów, jakich nigdy dotąd nie doświadczyła.

- Tylko mi nie mów, że to siostry nauczyły cię takich rzeczy - powiedziała później, kiedy była już w stanie wydobyć z siebie głos.

Roześmiał się.

- Nie, do tego doszedłem samodzielnie. Chcesz mi wmówić, że jeszcze nikt cię tak nie pieścił?

- Nie, w ten sposób nie.

Pomyślała o swoim byłym mężu. Właściwie musiała go błagać, żeby kochał się z nią po francusku... Kilka razy zdarzyło się, że spełnił jej prośby - niechętnie i z oporami - ale wówczas, gdy tylko skończył, zrywał się z łóżka i biegł do łazienki szorować zęby i płukać gardło. Niewiele czasu upłynęło, gdy przestała prosić go o cokolwiek.

- Byłeś kiedykolwiek żonaty? - zapytała znienacka.

- Tak - odparł lekko, ale nie podjął tematu.

- I?

- I nie wyszło.

- Widzę, że nie bardzo chcesz o tym mówić.

- Nie o to chodzi. Rozmowa o tym nie sprawia mi przykrości, tylko zwyczajnie nie bardzo jest o czym mówić. Nasz małżeństwo najpierw było dobre, a potem dobre być przestało. To nie była niczyja wina i na szczęście udało się nam pozostać w przyjacielskich układach. Prawie co tydzień gadamy przez telefon.

- Naprawdę?

- No cóż, mamy przecież wspólnego syna.

- Masz syna?!

- Tak. Nazywa się Corey i ma teraz pięć lat. Czekał, gdzieś powinienem mieć jego zdjęcie...

Brad dosłownie promieniał z dumy, kiedy sięgał po dzinsy porzucone w odległym kącie łóżka. Wyciągnął z kieszeni portfel i zza pliku starannie poukładanych banknotów dwudziestodolarowych wyjął pogniecioną fotografię.

Prześliczny, płowowłosy chłopczyk spoglądał na Jamie z nieśmiałym uśmiechem.

- Tak wyglądał rok temu, w swoje czwarte urodziny. Od tamtego czasu sporo urósł.

- Jest bardzo do ciebie podobny.

- Tak myślisz?

- No wiesz, ma trochę jaśniejsze włosy, ale uśmiecha się zupełnie jak ty.

- Tak... - Brad wsadził zdjęcie do portfela, a portfel do kieszeni spodni. - Tylko że jego matka niedawno wyszła znowu za mąż i przeprowadziła się na północ.

- Zabrała Coreya?

- Niestety tak.

- Kiedy ostatnio widziałeś syna?

- Prawie trzy miesiące temu.

- Musi ci być strasznie ciężko.

- Wiesz, Beth poprosiła mnie, żebym dał mu trochę czasu na przystosowanie się do nowego życia. Pomyślałem, że ma rację.

Jamie pokręciła głową.

- Jesteś niewiarygodnie uczciwym facetem.

- Wcale nie - sprzeciwił się.

- Znam niewielu eksmałżonków, którzy byliby tak wyrozumiali dla byłych żon.
- Twój nie był?
- Skąd wiesz, że miałam męża?
- Domyśliłem się po sposobie, w jaki powiedziałaś „eksmałżonek”.

Uśmiechnęła się.

- Jak długo byłaś mężatką? - spytał po chwili.
- Niezbyt długo. Niecałe dwa lata.
- I nie masz dzieci - raczej stwierdził, niż zapytał.

Nie była pewna, czy powinna pokręcić głową, czy przytaknąć.

- Nie mam.
- Twoja matka nie akceptowała tego małżeństwa?
- Och, to łagodnie powiedziane.
- Nie lubiła zięcia?
- Uważała, że właśnie dla niego rzuciłam szkołę.
- A było inaczej?

Pokręciła przecząco głową.

- Był tylko wymówką, na którą czekałam.
- Nie kochałaś go?
- Właściwie nawet go nie znałam.

Brad wybuchnął śmiechem, a ta kaskada srebrzystego śmiechu upewniła ją, że wszystko będzie dobrze tak długo, jak długo on jest przy niej.

- Czy wiesz, że kiedy było już po rozwodzie, moja teściowa kazała mi zwrócić całą biżuterię, jaką jej syn dał mi w prezencie, nie wyłączając ślubnej obrączki? Powiedziała, że to ich pamiątki rodowe i że poda mnie do sądu, jeśli jej tego nie oddam.

- Urocze.
- Też tak sędzę. - I oddałaś?

- Oczywiście. Nie chciałam tych cholernych świecidełek... Oddałam wszystko z wyjątkiem pary kolczyków z perłami, które cały czas nosiłam. Z nimi nie miałam zamiaru się rozstawać. - Skrzywiła się z niesmakiem. Czemu rozmawiają o jej byłym mężu i jego matce? Jej łóżko było wprawdzie olbrzymie, ale za małe dla nich

wszystkich. - Tak czy owak, to już bez znaczenia. Ich już nie ma w moim życiu i nigdy więcej nie muszę kogokolwiek z nich oglądać.

- Więc jesteś wolna i możesz robić to, na co masz ochotę.
- Mówisz o tym, jakby to była najłatwiejsza rzecz pod słońcem.
- Bo to jest łatwe.

Zamknęła oczy, oparła głowę o pierś Brada i pozwoliła się ukołysać przy wtórze jego miarowego oddechu.

- Czy kiedykolwiek myślałaś o tym, żeby wsiąść do samochodu i pojechać tam, dokąd oczy poniosą?

- Cały czas o tym myślę.

3

Śnił jej się pogrzeb matki.

Tyle tylko, że we śnie wśród niosących trumnę nie widziała swoich przyjaciół ani znajomych, lecz kolejne żony ojca. Każda ubrana była w szyfonową suknię drużny panny młodej w kolorze jasnego fioletu, a w rękę ścisnęła bukiet pachnących, białych lilii. Jej siostra, wysoka i dostojna w ciemnopurpurowej szacie odpowiedniej dla mistrzyni ceremonii, stała tuż obok trumny i co chwila spoglądała na zegarek. „Czeka na mnie”, domyśliła się Jamie, usiłując dostrzec wśród tłumu żałobników własną postać.

- Już idę! - wrzasnęła gdzieś na obrzeżach własnej świadomości. - Zaczekaj!

Ujrzała siebie, jak rusza pędem w stronę zgromadzenia dokładnie w chwili, gdy trumna zaczęła miarowo zniżać się ku dziurze w ziemi. „Chryste Panie, przecież jestem zupełnie goła”, spostrzegła w ostatniej chwili. Próbując zakryć swoją nagość przed przerażonym wzrokiem siostry, potknęła się o pobliski kamień i przeleciała kilka metrów w powietrzu. Nagle wieko trumny uchyliło się, jakby zapraszało ją do środka.

Spoczywająca na białej satynie matka otworzyła brązowe oczy upstrzone złotymi plamkami i spojrzała oskarżycielsko na Jamie.

- Czy jesteś gotowa? - spytała.

Jamie wydała okrzyk przestachu i usiadła na łóżku, z trudem łapiąc powietrze. Serce waliło jej jak młotem, a między nagimi piersiami sączyła się strużka potu.

- Cholera - mruknęła, odgarniając włosy z czoła. Poczucie rzeczywistości wracało w miarę, jak rozpoznawała otoczenie. Otoczenie wydawało się łatwe do zaakceptowania: jej własne mieszkanie, maleńka sypialnia i ogromne łóżko. Z rzeczywistością sprawa wyglądała całkiem inaczej: była dwudziestodziewięcioletnią kobietą, przykutą do pracy bez perspektyw, z eks-mężem mieszkającym w Atlancie i żonatym kochankiem, który akurat leżał w szpitalu, a w jej łóżku wylegiwał się przygodnie poznany mężczyzna...

Okazało się jednak, że Brad Fisher zdążył gdzieś zniknąć, co stwierdziła po chwili, kiedy oprzytomniała już całkowicie. Teraz nie była pewna, czy powinna śmiać się, czy raczej płakać. Może ten przystojny nieznajomy także był wytworem wyobraźni?

Mrowienie między nogami przekonało ją wkrótce, że Brad jak najbardziej należał do rzeczywistości. Zresztą o tym samym świadczyło niewielkie wgłębienie na poduszce, gdzie jeszcze niedawno spoczywała jego głowa.

- Cholera - powtórzyła głośniej, nasłuchując, czy z sąsiedniego pokoju nie dojdą do niej dźwięki świadczące o czyjejś obecności, jednak wszędzie panowała cisza. Kiedy uświadomiła sobie, że odszedł, ukryła twarz w dłoniach, choć musiała przyznać, że w pewien sposób sprawiło jej to ulgę. Przynajmniej nie trzeba będzie znosić przykrych chwil niezręcznego milczenia, fałszywych obietnic, że wkrótce się spotkają, ani sprawiającego ból pocałunku w czoło, po którym kochanek śpieszy w stronę wyjścia... Brad postanowił oszczędzić im tego i powinna być mu wdzięczna. Z drugiej jednak strony, nic nie mogła poradzić na to, że czuła się opuszczona i wykorzystana... Właściwie mogła uważać, że padła ofiarą nadużycia. Znowu.

- Nie bądź głupia - powiedziała do siebie. - Tak samo ty wykorzystalaś Brada Fishera, jak on ciebie. Jak to mówi stare porzekadło? Że najlepszym lekarstwem na jednego faceta jest następny facet. Z pewnością nie jesteś na tyle głupia, by się spodziewać, że podryw na jedną noc przerodzi się w stałe, głębokie uczucie.

Tyle tylko, że w głębi duszy dokładnie tego oczekiwała.

Teraz zaczęła się zastanawiać, w którym momencie Brad wyslizgnął się z jej łóżka i z jej życia. Czy wymknął się zaraz jak zasnęła, czy też pozwolił sobie na luksus kilkugodzinnej drzemki, zanim zdecydował się na ucieczkę? W końcu dostał przecież to, po co tu przyszedł. To się nazywa uczciwe załatwienie sprawy, pomyślała z głośnym westchnieniem, odsuwając swój sen w obszar niezbyt przyjemnych, mglistych wspomnień, które czaiły się tuż poza zasięgiem umysłu. Mimo wszystko byłoby miło z jego strony, gdyby został na tyle długo, by powiedzieć jej „dzień dobry”, zdecydowała, spoglądając na stojący obok łóżka budzik. Ósma piętnaście.

- Och, nie! - wykrzyknęła. Niezależnie jak bardzo będzie się śpieszyć z prysznicem i ubieraniem, jak szybko będzie jechać i ile wymówek wymyśli po drodze, w pracy zjawi się później, niż powinna, co doprowadzi panią Starkey do dzikiej furii.

„Ale z ciebie idiotka”. Wpadając do łazienki, wyobraziła sobie niezadowoloną minę swojej siostrzyczki. „Nie jesteś w stanie zapamiętać, że wieczorem trzeba nastawić budzik”.

No cóż, wczoraj byłam trochę zajęta, pomyślała, dławiąc uśmiezek. Wskoczyła do brodzika, ustawiła się prosto pod dyszą wylotową, a następnie odkręciła kran z gorącą wodą i dokładnie przepłukała usta.

- Ale z ciebie idiotka - powtórzyła. Wypluła wodę, a niewidzialne ręce Brada rozcierały mydło po jej ciele, ślizgały się po piersiach i brzuchu, aż w końcu zniknęły w fałdkach pomiędzy jej nogami. Boże, czy naprawdę musiało to być tak cholernie przyjemne, zastanawiała się kilka sekund później, wyskakując spod prysznica. Chwyciła wielki, żółty ręcznik, żeby się osuszyć; wycierała się gwałtownymi ruchami, jakby pragnęła zdrzeć skórę i w ten sposób wymazać wspomnienie tamtego dotyku. To było zbyt dobre, żeby mogło być prawdziwe, przyszło jej do głowy stare powiedzenie. Umyła jeszcze zęby i wyszczotkowała włosy, a potem włożyła pierwsze z brzegu ubranie, jakie znalazła w szafie. Dopiero później zorientowała się, że tę samą granatową spódnicę i szarobłękitną bluzkę miała na sobie poprzedniego dnia.

„Kiedy coś wydaje się zbyt dobre, żeby było prawdziwe, to zwykle tak jest”, ostrzegął głos siostry, podczas gdy Jamie wpychała do ust kawałek zimnej pizzy i biegła do drzwi.

„Nie robisz makijażu?”, spytała matka.

Ale ona już zbiegała po betonowych schodach na parking znajdujący się na tyłach trzypiętrowego budynku. Ukradkiem rozejrzała się w poszukiwaniu samochodu Brada, choć świetnie wiedziała, że go tam nie znajdzie. Jak mogłaś być taką debilką, wymyślała sobie, grzebiąc w torebce w poszukiwaniu kluczyków. Ciekawe, co sobie myślałaś? No właśnie. Cały problem w tym, że nie myślałaś, powiedziała, zanim matka lub siostra zdążyły ją wyprzedzić.

„Zawsze myślisz dopiero wtedy, kiedy jest już za późno”, zdążyły jeszcze dodać.

Jamie zerknęła na zegarek. Ósma czterdzieści.

- Cholera, spóźnię się jak diabli. Pani Starkey chyba mnie zabije.

Ale kiedy wreszcie opadła na krzesło przy swoim biurku, pani Starkey akurat nie było w pobliżu. Zegar wskazywał dziesięć po dziewiątej. Pozostałe cztery koleżanki z działu odszkodowań, które siedziały razem z nią w zalanej słonecznym blaskiem sali, ledwie zauważyły jej przybycie, choć Jamie odniosła wrażenie, że Mary McTeer lekko potrząsnęła głową.

- Wszystko w porządku? - spytała Karen Romanick, nie odrywając wzroku od komputera. Karen była w Allstate najbliższą przyjaciółką Jamie, choć rzadko zwierzały się sobie z osobistych spraw i nigdy nie spotykały się poza biurem. Z wyglądu przypominała wiotką trzcinę, ale burza blond loków kłębiąca się dookoła głowy nadawała każdemu jej działaniu posmak gorączkowego pośpiechu. Z tego właśnie względu Jamie dostawała nerwicy za każdym razem, gdy tylko spędziła w jej towarzystwie więcej niż kilka minut.

Teraz skinęła głową, że tak.

- Pani Starkey jeszcze nie przyszła? - spytała szeptem.

- Och, oczywiście, że przyszła.

Karen powiedziała to takim tonem, że wszelkie komentarze stały się zbędne. Pani Starkey była w biurze i do tego wyglądało na to, że jest dziś w nie najlepszym humorze.

- Świetnie... - mruknęła Jamie.

Włączyła komputer i otworzyła plik, nad którym pracowała poprzedniego dnia.

- Udało ci się wejść do szpitala? - spytała Karen, prawie nie otwierając ust.

- Jasne.

- I jak tam Tim?

- On jest żonaty - poinformowała ją Jamie. Dopiero po chwili zarejestrowała dziwny wyraz na długiej, trójkątnej twarzy przyjaciółki. - Wiedziałaś o tym? - spytała z niedowierzaniem.

- A ty nie wiedziałaś?

Boże, jaką ja jestem idiotką, pomyślała Jamie. Czyżby była jedyną osobą na ziemi, która nie miała o tym fakcie pojęcia?

„Widzisz tylko to, co chcesz zobaczyć”, odezwała się matka.

Nagle rozdzwonił się telefon na biurku Jamie. Może to Brad, pomyślała. Jest mu przykro, że musiał wyjść tak wcześnie i chce się jakoś usprawiedliwić. Wzięła głęboki wdech i podniosła słuchawkę w trakcie drugiego sygnału.

- Jamie Kellogg - powiedziała z nadzieją w głosie. - W czym mogę pomóc?

Lecz zamiast uspokajającego głosu Brada, który szeptał jej do ucha słowa wyjaśnienia, usłyszała nosowy nowojorski akcent Selmy Hersh. Pani Hersh dzwoniła z pretensjami, że Jamie nie odezwała się do niej wczoraj, tak jak obiecała.

- Strasznie przepraszam. - Jamie gorączkowo usiłowała sobie przypomnieć, kim jest pani Hersh. Nerwowo szukała właściwego pliku. - Wczoraj miałam problemy z komputerem i nie mogłam uzyskać dostępu do informacji, które były mi potrzebne.

W odpowiedzi Selma Harsh prychnęła szyderczo.

- Więc kiedy mogę się spodziewać czeku? - warknęła. Jamie pośpiesznie przejrzała akta sprawy.

- Pani Hersh, niestety wydaje mi się, że wciąż nie dostaliśmy wszystkich potrzebnych dokumentów - odparła.

- O czym pani mówi, do cholery?!

- Potrzebne jest oświadczenie lekarza o przyczynie śmierci pani męża.

- Macie przecież kopię świadectwa zgonu. Czego jeszcze chcecie?

- To standardowa polisa, pani Hersh. Musimy mieć na piśmie oświadczenie lekarza, który stwierdził zgon, razem z dokładnym określeniem przyczyny śmierci.

- Mąż zmarł na zapalenie płuc.

- Tak, ale potrzebujemy mieć to na piśmie, na papierze firmowym z nagłówkiem...

- Mój mąż zmarł w JFK Memorial - przerwała jej Selma Hersh. - Jak mam się teraz dowiedzieć, który z tamtejszych lekarzy stwierdził zgon?

- Jestem pewna, że uzyska pani od szpitala niezbędną pomoc przy ustaleniu nazwiska lekarza.

- To przecież śmieszne.

- Przykro mi, pani Hersh. Jeśli dostarczy nam pani to oświadczenie, natychmiast wystawimy czek.

- To jakiś absurd. Proszę połączyć mnie z pani przełożonym.

- Jak tylko przyjdzie do biura, przekażę jej, żeby do pani zadzwoniła - odparła Jamie, ale na drugim końcu linii panowała już głucha cisza. - Życzę miłego dnia - zdążyła dodać, zanim telefon odezwał się kolejny raz. Jamie wzięła głęboki oddech i ułożyła usta w uprzejmy uśmiech.

- Jamie Kellogg - powiedziała do słuchawki.

- Cześć, Jamie.

Natychmiast rozpoznała głos Tima, choć stracił on swoją zwykłą dźwięczność. Zaczęła się zastanawiać, czy Tim wciąż leży na oddziale intensywnej terapii i czy jego żona stoi obok i pilnie słucha. Najlepiej będzie, jak odłoży słuchawkę, pomyślała.

- Nie odkładaj słuchawki - powiedział szybko, jakby odgadł jej zamiar. - Proszę, Jamie, posłuchaj, co mam ci do powiedzenia.

- Widzę, że jakimś cudem udało ci się przeżyć - odparła lodowatym tonem.

- Tak mi przykro... - zaczął drżącym głosem. Miała wrażenie, że za chwilę wybuchnie łzami.

Pokręciła głową. Czowała, że znów znalazła się niebezpiecznie blisko, by znów wsiąknąć w ten układ. Ostatecznie spotykali się od czterech miesięcy. W tym czasie stał się jej kochankiem, jej powiernikiem, a od czasu do czasu bywał nawet przyjacielem. A teraz leżał w szpitalu, ledwie uniknąwszy śmierci...

Do diabła, co się ze mną dzieje, zganiała samą siebie. Trzasnęła pięścią w klawiaturę komputera, a ekran natychmiast wypełnił się czernią. Na litość boską, ten facet był żonaty i przez cały czas najbezczelniej na świecie ją okłamywał. Czy nie

miała już w sobie ani krzty dumy albo instynktu samozachowawczego? Czy małżeństwo niczego jej nie nauczyło?

- Czego żałujesz, Tim? - prychnęła, myśląc o Selmie Hersh i o tym, że teraz powinna okazać, iż ma trochę oleju w głowie, tak jak tamta starsza kobieta. - Czy tego, że mnie okłamywałeś, czy że zostałeś przyłapany?

- Jednego i drugiego - przyznał po chwili.

- Co ci powiedziała żona?

- Że mam gości z biura. Nie trzeba było być geniuszem, żeby się domyślić...

- Bierzesz rozwód? - przerwała.

Nastąpiła kolejna chwila milczenia, nieco dłuższa od poprzedniej, a potem nieśmiało: „Nie”.

Palant, pomyślała Jamie. Tyle czasu trzeba mu było, żeby wydusić z siebie prawdę.

- Musiałyście odegrać niezłą scenkę wczoraj wieczorem - zachichotał cicho.

- Ty draniu... - powiedziała powoli. - Bawi cię to, prawda?

Śmiech gwałtownie zmienił się w kaszel.

- Co? Nie, oczywiście, że nie.

- Nie pochlebiaj sobie, ty żałosny sukinsynu.

- Jamie, chyba za bardzo to przeżywasz.

- Idź do diabła. - Trzasnęła słuchawką, kończąc w ten sposób rozmowę.

W ciszy, która teraz zapadła, stopniowo zaczęły docierać do niej inne dźwięki. Szum komputera, lekko zgrzytliwy dźwięk głosu Mary McTeer, która naradzała się właśnie z jakąś koleżanką, stukanie palców Karen Romanick w klawiaturę i rytmiczny oddech osoby stojącej tuż za jej plecami. Okręciła się wokół własnej osi, z góry wiedząc, kogo zobaczy, zanim jeszcze dostrzegła długie, wypielęgnowane paznokcie, które były firmowym znakiem pani Starkey. Postukiwały niecierpliwie o rękawy jedwabnej, beżowej bluzki.

- Cóż to za interesujący sposób rozmowy z klientami - zauważyła pani Starkey. Jej piwne oczy rzucały piorunujące spojrzenia zza kwadratowych okularów w szylkretowej oprawce. - Nic dziwnego, że jesteś tak lubiana.

- Bardzo przepraszam - wyszeptała Jamie, choć nie bardzo wiedziała, za co właściwie przeprasza. Czy za to, że okazała się kompletną idiotką, czy też że roman-
sowała z żonatym mężczyzną? A może za przespanie się z nieznajomym, albo za
prowadzenie prywatnych rozmów w czasie pracy? Za wszystko razem, czy za każdą
rzecz z osobna? Do diabła - niech pani Starkey wybierze sobie to, na co ma ochotę! Bo
naprawdę wszystko było żalosne - całe jej mizerne i zmarnowane życie.

- Proszę do mojego biura - wycedziła pani Starkey, a potem odwróciła się na
płaskich obcasach swoich brązowych pantofli i odmaszerowała, nie zaszczycając
Jamie nawet jednym spojrzeniem.

- Cholera!

Jamie popatrzyła na ciemny ekran komputera.

- Cholera - powtórzyła. Nie była w stanie wykonać najlżejszego ruchu.

- Po prostu idź tam, grzecznie jej wysłuchaj i nawet nie próbuj prowadzić
dyskusji - poradziła szeptem Karen.

- Nie sądzę, żebym miała siłę teraz z nią rozmawiać.

- A ja sądzę, że nie masz wyboru.

- Psiakrew.

- Przepraszam ją, trochę się ukorzysz i będziesz dalej miała pracę - dodała Karen.

- Ale ja nie chcę takiej pracy - powiedziała Jamie głośno.

- Co ci odbiło, do jasnej cholery?

Jamie odepchnęła krzesło od biurka i poderwała się na równe nogi.

- Mówię, że nie chcę takiej pracy.

- Co ty wyrabiasz?

Tymczasem Jamie zaczęła opróżniać biurko ze swoich rzeczy. Zabrała notes z
telefonami, różową szminkę, obcinacz do paznokci, zapasową parę rajstop.

- Rezygnuję - odparła zdecydowanie.

- Bez rozmowy z panią Starkey?

- Ona jest dość bystrą osobą. Na pewno się domyśli. - Pochyliła się, żeby
uścisnąć oniemiałą ze zdumienia koleżankę. - Odezwę się, jak sprawa nieco
przycichnie.

Z tymi słowami ruszyła w kierunku wyjścia.

- Jesteś pewna, że tego właśnie chcesz? - zawołała za nią Karen. - To znaczy, czy nie uważasz, że trochę pochopnie podjęłaś tę decyzję?

Jamie widziała, jak pani Starkey przygląda się jej przez przeszkloną ścianę swojego biura, i rozkoszowała się wyrazem, jaki pojawił się na kanciastej twarzy szefowej.

- Miłego dnia! - krzyknęła do koleżanek, a potem zatrzasnęła za sobą drzwi.

*

Do domu dotarła przed dziesiątą. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie wstąpić do Breakersa, ale przemyślała sprawę i doszła do wniosku, że jednak nie. Jeśli Brad będzie chciał się z nią spotkać, to dobrze wie, gdzie jej szukać. Nawiasem mówiąc, sposób, jaki wybrał, żeby wymknąć się z jej mieszkania, najlepiej świadczył o jego zamiarach wobec niej. Zresztą, czy można go było o to winić? Dziewczyna, która idzie z facetem do łóżka na pierwszej randce, wystawia sobie fatalne świadectwo, a przecież ona nie poczekała nawet do pierwszej randki. Na litość boską, dopiero co się poznali i od razu pozwoliła się uwieść.

- Co się z tobą dzieje? - mruzczała pod nosem, idąc w górę po schodach prowadzących do mieszkania. Skinęła ręką zgarbionemu starszemu panu, który właśnie pojawił się na końcu korytarza, ale on spojrzał na nią tak, jakby nie miał pojęcia, kim jest. Zresztą może naprawdę nie wiedział, pomyślała, nasłuchując burczenia w brzuchu. W domu nie miała nic do jedzenia poza resztką zimnej pizzy. Powinna była kupić płatki zbożowe i mleko. I może kilka jajek. Na myśl o omlecie z serem ślinka napłynęła jej do ust. Do tego bagietka z ziarnem sezamowym i filiżanka mocnej, czarnej kawy... Na klatce schodowej unosił się kuszący aromat świeżo zaparzonej kawy. Niedobrze się stało, że nie zawarła bliższej znajomości z sąsiadami. Mogłaby teraz wpaść do przyjaciół na kawę.

Niestety nie miała przyjaciół, tak samo jak nie miała pracy.

- I w dodatku nie mam nawet odrobiny kawy - Załkała, przekręcając klucz w drzwiach mieszkania i wchodząc do salonu.

Kiedy znalazła się w środku, nęcący zapach otoczył ją ze wszystkich stron; przez moment myślała nawet, że pomyliła drzwi i weszła do cudzego mieszkania. Jednak czerwona używana sofa, którą dostała od siostry, kiedy ta zmieniała meble,

wciąż stała pod ścianą na drugim końcu pokoju; po jej prawej stronie znajdowało się czarne, wyściełane skórą krzesło kupione na wyprzedaży u Searsa i kosztowny, szklany stoliczek odziedziczony po matce, na którym jak zwykle wałała się partia najświeższych magazynów ze świata mody.

Niewątpliwie więc było to mieszkanie Jamie, a przystojny mężczyzna, który wyłonił się z maleńkiej kuchni i siedł teraz w jej kierunku z filiżanką parującego płynu w wyciągniętej ręce, był tym samym mężczyzną, z którym spędziła upojną noc. Był tutaj, wciąż gotów odgadywać jej życzenia i spełniać potrzeby, więc to z pewnością musiał być sen. Prawdę mówiąc, cały ranek wyglądał jak sen - sen, który teraz zaczynał zmieniać się w coś cudownego, więc niechybnie lada moment Jamie się obudzi, choć była to ostatnia rzecz pod słońcem, jakiej sobie życzyła. Proszę, nie pozwól mi się obudzić, błagała w myślach, gdy on podawał jej filiżankę i schylał się, żeby musnąć wargami jej usta.

- Wróciłaś - powiedział i znów ją pocałował.

Wydaje się taki rzeczywisty, pomyślała. I jego głos brzmi jak na jawie.

- Ty także - usłyszała własną odpowiedź. Ten dźwięk wyrwał ją z marzeń i przywrócił do rzeczywistości.

Brad Fisher wciąż tam był.

- Obudziłem się dość wcześnie, więc postanowiłem, że zrobię ci niespodziankę i przygotuję jedno z moich specjalnych śniadań - skinął głową w kierunku kuchni. - Ale szafki świeciły pustkami, dlatego wyskoczyłem do Publiksa, żeby kupić bagietki...

- Kupiłeś bagietki?

- Tak, bo myślałem, że zdążę ze wszystkim, zanim wyjdiesz do pracy, ale po drodze nawalił mi samochód. Musiałem wezwać pomoc drogową i kiedy tu dotarłem, okazało się, że już cię nie ma.

- Przyniosłeś bagietki?

Uśmiechnął się.

- Ktoś jest chyba potężnie głodny.

Jamie opadła ciężko na kanapę, zanurzyła się w poduszki i pociągnęła potężny łyk kawy. Chyba dotąd żadna kawa nie smakowała równie bosko.

- Jak się dostałeś do środka?

- Zwyczajnie - wzruszył ramionami. - Drzwi nie były zamknięte.
- Zapomniałam zamknąć drzwi?!
- Najwyraźniej.
- Najpierw zapomniałam nastawić budzik, a potem zostawiłam otwarte drzwi.

Moja mama powtarzała w kółko, że zapomniałabym własnej głowy, gdyby nie to, że jest przymocowana do tułowia.

- Czy kiedykolwiek powiedziała ci coś miłego?
- O, tak. Kiedyś usłyszałam od niej, że mam niewyparzoną gębę.

Brad wybuchnął śmiechem.

- Niezupełnie to miałem na myśli.
- Wiesz, zrezygnowałam z pracy - zakwilila.
- Naprawdę? To wspaniale.
- Wspaniale? Wcale nie. To było głupie i impulsywne...
- Przecież nienawidziłaś tej pracy.
- Wiem, ale dzięki niej miałam z czego płacić rachunki.
- Na pewno znajdziesz sobie coś innego.

Znów pociągnęła łyk kawy, podczas gdy na twarzy Brada zagościł nieśmiały uśmiech.

- O co chodzi? - spytała.
- Mam świetny pomysł.

Poczuła niepokojące mrowienie pomiędzy nogami.

- Tak?
- Moim zdaniem powinniśmy zrobić to, o czym rozmawialiśmy zeszłej nocy.

Przechyliła głowę na bok. Nie bardzo mogła sobie przypomnieć, by o czymkolwiek rozmawiali.

- Myślę o tym, że powinniśmy wsiąść do samochodu i pojechać, gdzie nas oczy poniosą - wyjaśnił. - Tylko musimy wziąć twój samochód, bo mój jest w warsztacie.

- A dokąd chcesz jechać?
- Dokądkolwiek.
- Chyba nie mówisz poważnie.
- Bardzo poważnie.

- Ja nie mogę - odparła zdecydowanie.

- Dlaczego? Oboje jesteśmy bez pracy i oboje nie mamy żadnych zobowiązań.

Nic nas tu nie trzyma. To doskonały moment.

- Ty naprawdę mówisz całkiem serio.

- Absolutnie.

Rozległ się dźwięk telefonu. Jamie chwyciła słuchawkę i przycisnęła ją do ucha.

- Halo?

Nagle ręce Brada znalazły się na jej piersiach, a jego usta zaczęły przesuwać się po jej ramionach, muskając je w serii drobnych pocałunków.

- Do wszystkich diabłów, co się z tobą dzieje? - po drugiej stronie rozległ się nieznośny sprzeciwu głos siostry.

- Cześć, Cynthia. A co u ciebie?

- Przestań się wygłupiać z tym „co u ciebie"! Co ty wyrabiasz, do jasnej cholery!

Jamie zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem Cynthia nie kazała zamontować w jej mieszkaniu kamery i czy teraz przygląda się, jak palce Brada przesuwiają się delikatnie po obrysie sutków widocznych pod cienkim materiałem błękitnej bluzeczki.

- Przed chwilą dzwonił do mnie Todd i powiedział, że miał telefon od Lorraine Starkey. Jest wściekła. Opowiedziała mu o twoim wyczynie...

- To nie był żaden wyczyn.

- A jak określisz to, że ot tak, rzuciłaś pracę? I nawet nie wpadło ci do głowy, żeby złożyć formalne wypowiedzenie, nie wspominając już o tym, że chyba należało się jakoś wytłumaczyć.

Jamie jęknęła głośno, bo palce Brada właśnie wślizgnęły się pod bluzkę.

- Tylko tyle masz do powiedzenia?

Chciała go jakoś powstrzymać, ale skończyło się na tym, że telefon wyleciał jej w rękę.

- Jamie? - głos siostry dobiegał teraz z leżącej na kolanach słuchawki. - Co się dzieje?

- Przepraszam. Po prostu upuściłam słuchawkę. Nastąpiła chwila milczenia.
- Jest tam ktoś jeszcze? - spytała siostra podejrzliwie.
- Co? Oczywiście, że nie.

Brad pochylił się lekko i wsparł podbródek na ramieniu Jamie. Najwyraźniej nie chciał uronić nawet jednego słowa z tej konwersacji.

- Dobrze się czujesz? - zapytała w końcu Cynthia. - Może masz jakieś załamanie nerwowe, co?

- Cynthio, ja naprawdę nienawidziłam tej pracy.
- Wiesz o tym, że nie możesz w kółko robić tego samego, prawda?
- Znajdę sobie coś innego.
- Nie o tym mówię. Wiesz, co miałam na myśli?
- Chyba tak, chociaż nie jestem pewna.
- Nie możesz bez przerwy zachowywać się jak skończona kretynka.
- Wiem.
- Więc zadzwoń do pani Starkey i powiedz, że jest ci przykro i chcesz ją

przeprosić.

- Nie mogę.
- Dlaczego nie możesz?
- Bo wcale nie jest mi przykro.
- No dobrze, posłuchaj więc - powiedziała Cynthia. - To nie jest najlepszy

moment na takie dyskusje. Pogadamy o tym, jak przyjedziesz.

- Co masz na myśli? Jak gdzie przyjadę?
- A co ty masz na myśli, pytając, co ja mam na myśli?
- Co?
- Coś pięknego - wyszeptał bezgłośnie Brad i zachichotał.
- Co to było? - zdenerwowała się Cynthia.
- Co?
- Śmiejesz się?
- Jasne, że nie.
- To dobrze, bo to wcale nie jest śmieszne.
- Mówię przecież, że się nie śmieję.

- No to o której przyjedziesz? Tylko nie próbuj mi wmawiać, że zapomniałaś i masz inne plany.

Brad zaczął kiwać głową.

- Powiedz jej, że jesteś zajęta - szepnął jej wprost do ucha.

- Co tam mamrociesz? - spytała Cynthia.

- Przykro mi, Cyn. Już sobie coś zaplanowałam.

- Nie możesz mi tego zrobić - zaprotestowała Cynthia. - Powiedziałaś, że dziś do mnie przyjedziesz i że przejrzymy rzeczy mamy. Obiecałaś.

- Może kiedy indziej. Jutro...

Brad zareagował energicznym kręceniem głowy.

- Jutro też będziesz zajęta - odpowiedział.

- Co? - Cynthia była coraz bardziej rozdrażniona.

- Jutro nie. Przykro mi, ale jutrzejszy dzień też mi nie pasuje.

- Tak samo niedziela - mruknął Brad.

- Wygląda na to, że ten tydzień w ogóle nie wchodzi w grę.

- No dobrze, to w końcu kiedy wpadniesz? Nie możemy odkładać tej sprawy w nieskończoność.

Ciekawe, dlaczego nie możemy, pomyślała Jamie. Skąd się wziął *ten* pośpiech przy porządkowaniu rzeczy mamy? Przecież ona nigdzie się nie wybiera. Jamie przytuliła policzek do twarzy Brada, czując, jak jednodniowa szczecina delikatnie drapie jej skórę.

- Wiesz, chyba muszę się wyrwać stąd na parę dni - powiedziała nieoczekiwanie, ale te słowa wywołały na twarzy Brada radosny uśmiech. - Może na tydzień.

- Co? Co ty pleciesz? Co to znaczy, że musisz się wyrwać? Właściwie dokąd się wybierasz? I po cholere masz się gdzieś włóczyć? - Cynthia zarzuciła ją wściekłymi pytaniami.

- Po prostu muszę zrobić sobie przerwę.

- Przerwę?!

- Niedługo. Tydzień... Może dwa - dodała szybko, widząc jak Brad unosi w górę wskazujący i środkowy palec prawej ręki.

- To nie do pojęcia! Kiedy podjęłaś tę decyzję?

- Zadzwoń do ciebie za parę dni.

- Zadzwoń, jak dorośniesz - warknęła Cynthia i trzasnęła słuchawką.

Brad poderwał się na równe nogi.

- No to jedziemy, Jamie.

- Ona naprawdę się wściekła.

- Do diabła z nią! - Chwycił ją za rękę i zaczął wirować po całym salonie. - No dalej, dziewczynko. Czas jest zbyt cenny, żeby go marnować. Chodź, najwyższa pora ruszać w drogę.

- Ale dokąd jedziemy? Mamy w ogóle jakiś plan?

- No jasne, że mamy. Jedziemy na północ. Może zatrzymamy się na parę dni w Ohio.

- W Ohio? Co jest w Ohio?

- Mój syn. Zaczekaj, aż go poznasz. Zakochasz się w nim od pierwszego wejrzenia. No chodź już. Chyba nie masz zamiaru się rozmyślić, prawda?

Dokładnie nad tym zaczęła się zastanawiać. To wszystko działo się za szybko, jak na jej gust. Stanowczo za szybko. Dziś już raz pozwoliła sobie na podjęcie decyzji pod wpływem impulsu... Czy teraz naprawdę chciała jechać w nieznaną z facetem, którego ledwo co spotkała? W dodatku jej samochodem. Nie, trzeba wziąć głęboki oddech, uspokoić się i jeszcze raz przemyśleć sprawę...

- Rozumiem, że chcesz powiedzieć „nie” - szepnął, składając na jej ustach delikatny pocałunek.

Właściwie czego się boję, pomyślała, odrzucając wszelkie obawy.

- Gdzie mieszka w Ohio? - spytała.

- W Dayton - odparł i obdarzył ją ciepłym uśmiechem. - Przy ulicy, która nazywa się ulicą Szalonej Rzeki.

4

Dwupiętrowy drewniany dom pod numerem sto trzydzieści jeden przy ulicy Szalonej Rzeki wyglądał mniej więcej tak samo jak wszystkie domy w okolicy: był stary i nieco odrapany. Szara farba na ścianach obłaziła tu i ówdzie, a białe niegdyś okiennice przy czterech frontowych oknach były poplamione i wypaczone pod różnymi kątami. Te na zewnątrz sypialni sprawiały wrażenie szczególnie zniszczonych - oblepione brudem nagromadzonym przez wiele lat ledwie trzymały się na zawiasach. Zupełnie jak ja, pomyślała Emma, oddychając rześkim porannym powietrzem i z ociąganiem wchodząc po sześciu sypiących się schodkach, które prowadziły do frontowych drzwi. Na moment zatrzymała się na maleńkim ganku przed zniszczonymi zewnętrznymi drzwiami, za którymi kryły się właściwe drzwi - solidne i pomalowane na czarno, chociaż ich kolor także zdążył już wyblaknąć, a powierzchnię pokrywała sieć zadrapań. Zaraz za progiem wszystko było jeszcze bardziej odrapane, kruszące się i wyblakłe. Stary dom czasy świetności zdecydowanie miał już za sobą. Emma wzruszyła ramionami. A kto nie miał? Nawiasem mówiąc, czego mogła się spodziewać za czynsz, jaki płaciła za tę ruderę?

Kilka lat temu cała ulica została wykupiona przez deweloperów, którzy wpadli na pomysł, żeby wyburzyć tu wszystkie domy i na ich miejscu postawić rząd ekskluzywnych, jednorodzinnych willi. W ich języku nazywało się to „uszlachetnianiem terenu”. Ale ktoś w radzie miejskiej wyraził sprzeciw i projekt trafił na półkę, gdzie ugrzązł na dobre. Tymczasem deweloperzy - niechętni do rezygnowania z planowanej inwestycji i pełni nadziei, że znajdą satysfakcjonujące porozumienie z władzami następnej kadencji - zdecydowali się wynajmować istniejące domy na zasadzie wynajmu miesięcznego. Rezultat był taki, że w krótkim czasie ulica Szalonej Rzeki stała się przystanią dla kobiet, których życie właśnie się zmieniało; kobiet, których przeszłość okrywał mrok, przyszłość zdawała się wielce niepewna, a teraźniejszość istniała jedynie w zawieszeniu. Nic dziwnego, że większą część lokatorów stanowiły samotne matki i ich potomstwo. Kiedy Emma ze swoim małym synkiem przyjechała do miasta i rozglądała się za tanim mieszkaniem w bezpiecznej okolicy, najchętniej w zasięgu szkoły podstawowej, agent nieruchomości zastanawiał się tylko przez pół

sekundy, zanim skierował ją na ulicę Szalonej Rzeki. Owszem, tamtejsze domy nie były w olśniewającej kondycji, lokator mógł otrzymać wypowiedzenie najmu z zaledwie dwumiesięcznym terminem wypowiedzki, ale mieszkańcy ulicy ciężko pracowali nad uatrakcyjnieniem swojego otoczenia, sadząc kwiaty w ogródkach i malując ściany na różnorodne pastelowe kolory. Poza tym, gdzie indziej w mieście można wynająć za te pieniądze mieszkanie z dwiema sypialniami?

- To uroczy mały domek - zachęcał agent nieruchomości. - Ma naprawdę spory potencjał.

Potencjał na dobry początek, myślała wtedy Emma. Tylko potencjał kosztuje, a niewielkie pieniądze, jakie udało się jej ukryć przed byłym mężem, topniały w zaskakująco szybkim tempie. Wkrótce nie będzie po nich śladu.

Założyła za ucho ciemne włosy sięgające do ramion, nasłuchując odgłosów ptaków kryjących się w pobliskich drzewach. Ciekawe, jakie to ptaki i jakie drzewa, pomyślała z roztargnieniem. Powinna wiedzieć takie rzeczy. Powinna wiedzieć, jakie to ptaki - drozdy, sójki czy kardynały - wyśpiewywały swoje poranne serenady, kiedy odprowadzała synka do szkoły. Powinna znać te drzewa - klony, dęby, a może wiązy? - które rosły w równych rzędach po obu stronach długiej ulicy i rzucały głęboki cień na malutki skrawek trawnika przed wejściem do jej domu. Powinna orientować się w takich sprawach. Tak samo powinna znać nazwy kwiatów - czy to peonie, niezabudki czy bratki - które stara pani Discala zasadziła ostatnio wzdłuż chodnika przed swoim domem. Emma wyłowiła z bocznej kieszeni džinsów pęk kluczy, otworzyła na oścież pierwsze drzwi, a potem następne. I jedno, i drugie wyraziły swój protest, głośno skrzypiąc. Pewnie trzeba je naoliwić, pomyślała z roztargnieniem. Tylko jakim olejem? Zwierzęcym, mineralnym czy może roślinnym?

Wewnątrz domu panował zaduch, ale Emma od razu odrzuciła myśl o otwarciu okna. Prawdę mówiąc, ta temperatura odpowiadała jej letargicznemu nastrojowi, graniczącemu z przygnębieniem. Planowała dziś wybrać się do miasta i poszukać jakiejś pracy, ale synek nie spał zbyt dobrze - znów dopadły go nocne koszmary - przez co ona także nie spała. Szczerze wątpiła, czy ciemne półksiężycy pod zwykle tak pełnymi życia, błękitnymi oczyma zrobią dobre wrażenie na ewentualnym pracodawcy. Te oczy zawsze były jej największym atutem. Wielkie i owalne,

nadawały wyraz całej twarzy, która poza tym nie wyróżniała się niczym szczególnym. Zresztą, nie zdecydowała jeszcze, jakiego rodzaju pracy powinna szukać.

- Zajmę się tym później - powiedziała do porannej gazety, która wciąż spoczywała tuż za frontowymi drzwiami na podłodze z jasnych desek.

Przeszła na ukos przez korytarz rozdzielający dom na niezbyt interesujące połowy. Salon po lewej stronie był tylko nieznacznie większy od jadalni po prawej, a w położonej za jadalnią kuchni ledwie mieścił się okrągły, biały stolik i dwa składane krzeselka, które wypatrzyła w jakimś salonie z używanymi meblami. Stamtąd zresztą pochodziła większość wyposażenia domu. Brązowa kanapa o dziwnym kształcie - która zdaniem jakiegoś nieudolnego projektanta miała być szczytem nowoczesności - zajmowała większą część salonu. Stała pod frontowym oknem obok zaskakująco wygodnego fotela w odcieniach beżu i zieleni, oddzielona od niego białym stolikiem. Wyposażenie jadalni składało się z czterech szarych, plastikowych krzeseł ustawionych dookoła kwadratowego stołu średniej wielkości, przykrytego obrusem w kwiaty. Kupiła ten obrus, aby ukryć pod nim porysowany blat. Ściany w całym domu pomalowano na taki sam nudny, biały kolor, a nagie podłogi aż się prosiły o dywany. Jednak w samej koncepcji układania dywanów było coś, co sugerowało trwałość i poczucie bezpieczeństwa, a jak ona miała myśleć o zapuszczeniu tu korzeni, o osiedleniu się na stałe i budowaniu przyszłości, kiedy wciąż oglądała się za siebie? Nie, na to było jeszcze stanowczo za wcześnie. Może pewnego dnia...

- No dobrze - powiedziała do siebie. - Dość tego.

Zaczęła się wspinać po stromych schodach na piętro, a każdy krok przypominał jej o tym, że na ulicy Szalonej Rzeki jeden dzień podobny jest do drugiego.

Weszła do sypialni i rzuciła się na niezastłane podwójne łóżko, zastanawiając się, czemu ktoś właśnie tak nazwał tę ulicę, kiedy wspomniana rzeka znajdowała się kilka kilometrów dalej? Plotka głosiła, że podobno w pobliżu był jakiś jej dopływ, ale wysechł wiele lat temu. Ciekawe, skąd w ogóle wzięła się nazwa Szalona Rzeka? Czy rzeczywiście rzeka zasłużyła sobie na takie miano? Może wywarła na kimś wrażenie gniewnej, nieokiełznanej i dzikiej? A może te same przymiotniki pasowały do opisu tutejszych mieszkańców? Kolejna nierozwiązana tajemnica, jedna z tych, jakie niosło

ze sobą życie, zdecydowała Emma, zamykając oczy. Zresztą, co ją to mogło obchodzić? Miała własne problemy, o wiele bardziej istotne.

Po pierwsze - syn. Musiała coś zrobić z dręczącymi go nocnymi koszmarami, które utrudniały życie im obojgu. W miarę upływu czasu zdarzały się coraz częściej i coraz dłużej trwało uspokajanie malca. W końcu doszło do tego, że chłopiec spał jedynie przy zapalonym świetle i domagał się, żeby przez całą noc włączone było radio. Co gorsza, wymyślił szereg nonsensownych rytuałów poprzedzających pójście do łóżka i poświęcał na nie coraz więcej czasu. Przez trzydzieści sekund szczotkował zęby, przeznaczając dokładnie piętnaście ruchów na górny rząd i piętnaście na dolny. Potem płukał usta - najpierw lewa strona, potem prawa, a następnie trzy splnięcia do umywalki. Wchodząc do swojego wąskiego łóżeczka, dwukrotnie dotykał drewnianej ramy i dopiero wtedy wślizgiwał się pod kołdrę. Już leżąc, wyciągał rączkę i klepał ścianę nad głową. Według niego żadna z tych czynności nie mogła zostać pominięta ani w żaden sposób zmieniona bez narażania się na najstraszliwsze konsekwencje. Synek bał się dosłownie wszystkiego, uświadomiła sobie nagle Emma i jęknęła z rozpaczy. Zaczęła się zastanawiać, czy zawsze był taki bojaźliwy, ale po prostu starał się tego nie okazywać.

Zgoda, ostatni rok nie był dla niego łatwy. Do diabła, nie był łatwy także dla niej. Przeprowadzali się trzy razy, a Dylan wciąż nie potrafił zrozumieć, dlaczego musiał opuścić rodzinny dom, pozostawiając w nim wszystko, co było znajome i bliskie: nianię, własny pokój, przyjaciół, zabawki... Bez przerwy pytał, gdzie się podziewa tatuś i czy ktoś się nim opiekuje. Nie lubił ich nowych imion i nie pomogły wyjaśnienia, że tak samo nazywał się bohater jej ulubionego serialu *Beverly Hills 90210*. Z kolei imię Emma wzięło się stąd, że Rachel z serialu *Przyjaciele* nazwała tak swoją nowo narodzoną córeczkę, więc czy synek nie uważa, że to imię pasuje do niej znacznie bardziej niż poprzednie? Regularnie napominała go, że musi być ostrożny i że nie wolno mu się pomylić i wśród obcych używać swojego starego imienia. To bardzo ważne, ostrzegała, choć nie mówiła dlaczego. Nie potrafiła tak po prostu powiedzieć mu prawdy o ojcu. Zresztą i tak był za mały na to, żeby cokolwiek zrozumieć. Może jeśli będą musieli znów się przeprowadzić, pozwoli, żeby sam wybrał sobie imię.

Przekręciła się z pleców na bok i otworzyła oczy, żeby popatrzeć przez okno. Delikatne smugi białych chmur płynęły po nieskazitelnie błękitnym niebie, a obsypana świeżymi listkami gałąź drzewa rosnącego tuż obok domu uderzała miarowo w szybę. Było zimno jak na maj. Powietrze na zewnątrz pachniało wilgocią i niosło groźbę deszczu, a deszczu Emma szczerze nienawidziła. Pogoda była jedną z tych rzeczy, które bardzo brała sobie do serca, choć wiedziała, że to głupie. Z drugiej jednak strony, czy ten cholerny ziąb musi trwać aż tak długo? Dorastała w miejscu, gdzie przez większą część roku świeci słońce i jest ciepło. Może któregoś dnia będzie jej dane tam wrócić.

Tymczasem tkwiła tu, na ulicy Szalonej Rzeki. Jeszcze miesiąc i szkoła się skończy. Co wtedy pocznie z Dylanem? Wątpiła, czy chciałby gdzieś pojechać, nawet gdyby miała pieniądze, żeby wysłać go na obóz, a raczej nikt się nie zgodzi, by przez całe dwa miesiące zabierała go ze sobą do pracy. Jak więc w ogóle mogła myśleć o znalezieniu sobie zajęcia? Może powinna przekonać starą panią Discala, by zaopiekowała się synkiem. Dylan bardzo ją lubił. Mówił, że przypomina mu jego nianię.

To wszystko moja wina, myślała, walcząc ze snem, który kleił jej powieki. To przez nią syn bał się własnego cienia. Jeśli szybko czegoś nie wymyśli, oboje zwariują. Wtedy nazwa ulica Szalonej Rzeki okaże się prorocza.

Wreszcie pogąrzyła się w półodrętwieniu, czy raczej w półśnie; wyobrażenia mieszały się z rzeczywistością, tworząc dziwaczne połączenia, które zaczęły wnikać w jej świadomość. W jednej chwili w przypiływie szaleństwa pakowała swoje rzeczy, żeby uciekać z domu, a w następnej nurkowała w odmętach burzliwego strumienia. Znajome twarze stały w rzedzie na nieznanym brzegu i wołały do niej różnymi imionami, by zwrócić na siebie jej uwagę. Widziała, jak rzucają w jej kierunku kije i przestępują z nogi na nogę; niektórzy wymachiwali w powietrzu zaciśniętymi pięściami, jakby chcieli wyważyć niewidzialne drzwi.

Ktoś jest przy drzwiach, uzmysłowiła sobie, kiedy walenie stawało się coraz głośniejsze. Kto? Strach niemal zupełnie ją sparaliżował. Nikogo się nie spodziewała i raczej mało prawdopodobne było, żeby któryś z sąsiadów zdecydował się wpaść bez zaproszenia. Nie zabiegała o niczyją przyjaźń podczas miesięcy tu spędzonych, a

nawet starała się nie dostrzegać gestów sympatii ze strony innych samotnych matek. Sądziła, że tak jest lepiej. Nie było sensu przywiązywać się do kogoś ani angażować w sprawy innych ludzi, kiedy jej własne obfitowało w ciągłe napięcia. Jeden telefon, albo niespodziewane spotkanie, mógł skończyć się tym, że znów będzie zmuszona do ucieczki pod osłoną nocy. Czy naprawdę było takie dziwne, że jej stosunek do świata zaczął udzielać się synkowi? Jego nauczycielka, panna Kensit, bez przerwy ubolewała nad tym, że Dylan nie ma żadnych przyjaciół. A może to puka panna Kensit? Czy przyszła jej powiedzieć, że synkowi przytrafiło się coś strasznego? Że ktoś go wprowadził?

Usiadła na łóżku wyprostowana jak struna, usiłując otrząsnąć się z przerażenia, które dopadło ją w jednej chwili, ale ono trzymało się jej jak uporczywe przeziębienie.

Czyżby mężowi udało się ich namierzyć?

Zerknęła na zegarek i poderwała się z łóżka. Przespałam pół godziny, pomyślała, wypadając na korytarz na piętrze. Czy to możliwe, że podczas tych trzydziestu minut, kiedy jej instykt samozachowawczy pracował na zwolnionych obrotach, świat zmienił się raz jeszcze - tym razem na zawsze? A wszystko to stało się bez jej wiedzy, a co więcej, bez jej zgody?

- Nigdy się na to nie zgodzę - wykrzyknęła, zsuwając się po schodach. Dla utrzymania równowagi przyciskała rękę do ściany, a jej palce pozostawiały na gładkiej, białej powierzchni mokry ślad potu. - Nigdy tego nie zaakceptuję.

Wzięła głęboki oddech i na moment zatrzymała powietrze w płucach, a potem na oścież otworzyła drzwi i wyjrzała przez wizjer. Zabiję cię, jeśli mnie do tego zmusisz, myślała, przyglądając się nieznanemu mężczyźnie w mundurze. Prędzej popełnię morderstwo, niż pozwolę, żebyś odebrał mi syna.

- Paczka - oznajmił nonszalancko młody człowiek z szeroką szparą między przednimi zębami. - Nie zmieści się do skrzynki.

Emma otworzyła zewnętrzne drzwi, a wtedy listonosz - dopiero teraz go rozpoznała - wręczył jej dużą, wypchaną kopertę, a także zwykłą pocztę. Następnie odwrócił się na pięcie i zbiegł po schodach na chodnik. Szybko zamknęła drzwi i rozdarła wyściełaną kopertę, wyciągając z niej coś, co wyglądało na bardzo długi list, starannie napisany na komputerze i podwójnie złożony. Strach na nowo chwycił ją za

gardło, gdy szybko przerzucała kartki w poszukiwaniu ostatniej strony, lecz zamiast podpisu ujrzała tam jedno słowo - KONIEC.

- O co tu chodzi? - spytała na głos, wracając na początek listu.

Szanowna Pani Rogers. Dziękujemy bardzo za umożliwienie nam przeczytania Pani krótkiego opowiadania Last Woman Standing. Choć naszym zdaniem jest ono zabawne i dobrze napisane, to nie sądzimy, by pasowało do zainteresowań czytelniczek „Women's Own”. Życzymy z całego serca, aby Pani praca została przyjęta przez redakcje innych czasopism i mamy nadzieję, że będzie Pani o nas pamiętać w przyszłości. Z wyrazami szacunku...

Do diabła, co to ma być, zdziwiła się Emma, ale zaraz pomyślała, że listonosz dostarczył ten list pod niewłaściwy adres. Prawdę mówiąc, cała poczta zaadresowana była do kogoś innego. Do niejakiej Lily Rogers mieszkającej przy ulicy Szalonej Rzeki pod numerem sto trzynaście. Sto trzynaście, nie sto trzydzieści jeden. Emma знаła z widzenia tę Lily Rogers. Mieszkała na samym końcu ulicy, dziewięć domów dalej, i machała ręką na powitanie za każdym razem, gdy widziała Emmę. Kilka razy próbowała nawet zagadać, ale Emma zawsze uciniała rozmowę i odchodziła w swoją stronę.

- Proszę zaczekać! - zawołała Emma. Prędko otworzyła jedne i drugie drzwi. Rozejrzała się w poszukiwaniu niesolidnego doręczyciela, ale ten zdążył już zniknąć za rogiem, a ona nie miała zamiaru go ścigać. Po prostu sama odda tę pocztę Lily Rogers, kiedy po południu będzie szła do szkoły po syna. Nie ma pośpiechu. Nikomu nie jest spieszno usłyszeć, że został odrzucony.

Emma podniosła wyżej list, żeby zerknąć na opowiadanie. *Last Woman Standing*, przeczytała. Napisane przez Lily Rogers.

Pauline Brody myślała o lizakach z lukrecji. Długich i skreconych, w czerwonym kolorze, jej starsza siostra mawiała o nich, że tak naprawdę wcale nie są zrobione z lukrecji, tylko z jakiegoś plastiku, wypełnionego paskudnym czerwonym barwnikiem, przez który może kiedyś, kiedy będzie dorosła, zachorować na raka.

No tak, pomyślała Emma. Wsadziła opowiadanie do koperty i upuściła całą pocztę Lily na podłogę obok drzwi, przy okazji zabierając stamtąd poranną gazetę, a następnie wróciła do kuchni z tyłu domu. Słońce wlewało się do środka przez duże

okno nad zlewem i tańczyło na gładkim blacie, który ciągnął się od małej, białej lodówki aż do piekarnika. Nie było tu ani zmywarki, ani mikrofalówki, nie wspominając o grillu, ale Emma na myśl o tym czuła coś na kształt wdzięczności. Nie potrzebowała żadnej z wyżej wymienionych rzeczy. Nie miała ich podczas małżeństwa z ojcem Dylana i w związku z tym ich brak nie dawał się jej we znaki. Do czorta, wszystko było w porządku, dopóki tylko działał ekspres do kawy. Wypłukała kubek pod bieżącą wodą i nalała świeżej kawy, która czekała zaparzona w dzbanku. No, może nie jest taka całkiem świeża, pomyślała i pociągnęła spory łyk, sadowiąc się jednocześnie przy stole. Rozłożyła gazetę na stronie z ogłoszeniami. Dość już tego ociągania się, zdecydowała. Najwyższy czas, żeby wreszcie znaleźć pracę.

Z jękiem sięgnęła do szuflady obok zlewu. Nie, stanowczo nie da rady zrobić tego sama. Potrzebuje wsparcia. I ono tam było - z tyłu szuflady, ukryte pomiędzy ściereczkami do naczyń i zmywakami. Paczka salemów razem z pudełkiem zapalek. To tak w nawiązaniu do tych rzeczy, od których można dostać raka, pomyślała. Wyciągnęła ze środka jednego papierosa, zapaliła i głęboko się zaciągnęła, z lubością przymykając oczy. Tyle było innych rzeczy, o które musiała się martwić... Prawda wyglądała tak, że Emma uwielbiała palić. Uwielbiała wszystko, co wiązało się z paleniem - od smaku tytoniu na języku, ciepła powoli rozchodzącego się po całym gardle, wyraźnego ucisku w płucach, kiedy docierał do nich dym, poprzez uczucie dogłębnej przyjemności przy wydmuchiwaniu go w powietrze. Nie troszczyła się o to, co mówili specjaliści. Jej zdaniem coś, dzięki czemu człowiek czuje się aż tak dobrze, nie może być całkiem złe.

Oczywiście, kiedyś w ten sam sposób myślała o mężczyznach.

Poza tym, była jeszcze obietnica, jaką dała Dylanowi. Tak, przyrzekam, że więcej nie będę palić. Nie, nie mam zamiaru umierać. Tak, to był mój ostatni papieros. Nie, nigdy więcej nie zapalę. Obiecuję. Widzisz? Mamusia wyrzuca te paskudne papierosy. Zobacz. Wszystkie wyrzuciłam. Przestań płakać. No przestań płakać, synku, proszę cię.

Będzie musiała pootwierać okna i porządnie wywietrzyć, zanim Dylan wróci do domu. A potem umyć zęby. Piętnaście ruchów szczoteczką na górze i piętnaście na

dole, uśmiechnęła się smutno na wspomnienie wieczornych rytuałów. Boże, co powinna zrobić z tym dzieckiem?

- A co powinnam zrobić z sobą? - zapytała przeglądając listę ofert opatrzoną wspólnym nagłówkiem „Dam pracę”.

„Superinteres”, głosiła pierwsza z ofert. „Szukasz fajnej pracy? Wspaniała atmosfera i zarobki czekają na ciebie”.

- Jak dla mnie, może być - mruknęła i przeczytała resztę ogłoszenia.

„Czternastu przed. ds. F/T marketingu do rozwijającej się firmy. Bez telemarketingu”.

- Do licha, co to jest F/T marketing? - zapytała na głos. Zaciągnęła się mocno i zaczęła przeglądać pozostałe oferty na tej stronie.

„Posada w biurze turystycznym, dwadzieścia dwa nowe miejsca pracy, 10 dol./godz. + 40 dol. - 100 dol. Codzienna wypłata gotówką...”.

„Potrzebny piekarz do piekarni portugalskiej. Prosić Tony'ego lub Anitę...”.

„Osiemnastu konsultantów ds. podróży potrzebnych w departamencie rezerwacji...”.

„Poszukiwany kierownik domu resocjalizacyjnego. Wynagrodzenie pięćdziesiąt tysięcy dolarów rocznie...”.

- O, to brzmi całkiem przyzwoicie! „...wymagane minimum pięcioletnie doświadczenie na podobnej posadzie. Zgłoszenia i cv. proszę przysyłać mailem na adres...”.

- Kurczę blade. No to by było tyle.

I nagle pukanie do drzwi. I znów z przerażenia wstrzymała oddech.

- Nie bądź głupia - powiedziała do siebie. - To tylko listonosz. Przyszedł naprawić swoją omyłkę.

Jeszcze raz zaciągnęła się papierosem, a potem wrzuciła go do zlewu i podeszła do drzwi z kubkiem kawy w ręku. Podniosła z podłogi pocztę Lily Rogers i dopiero wtedy otworzyła drzwi.

Kobieta, która stała na progu, była młodą i ładną blondynką. W pewnym sensie ładną, pomyślała Emma, dostrzegając okrągłą buzię, mały zadarty nos i nieco zbyt

obfity biust. Szkoda. Ta dziewczyna mogłaby uchodzić za piękność, gdyby schudła o kilka kilogramów. A gdyby pozbyła się dziesięciu, byłaby chodzącą doskonałością.

- Cześć - powiedziała Lily Rogers, a w jej piwnych oczach pojawił się uśmiech. Wyciągnęła przed siebie nieduży stos listów. - Znalazły się w mojej skrzynce przez pomyłkę. Chyba mamy nowego listonosza, bo ten chłopak, który dotąd tu przychodził, zwykle nie robił takich błędów - mówiła, gdy Emma uchyliła drzwi na tyle, żeby mogły wymienić pocztę. - Och! - wymknęło jej się, gdy zauważyła, że duża koperta jest rozerwana.

- Bardzo przepraszam - powiedziała natychmiast Emma. - Zdążyłam ją otworzyć, zanim zauważyłam, że...

- Nic nie szkodzi. Mam nadzieję, że to dobra wiadomość.

Emma się nie odezwała.

- Cholera... - mruknęła Lily Rogers, nawet nie zadając sobie trudu, żeby przeczytać list od wydawcy.

- Oni tam napisali, że to opowiadanie jest ciekawe i dobrze skonstruowane - pocieszyła ją Emma, ale zaraz skwapliwie dodała: - Przepraszam. Nie miałam zamiaru wtykać nosa w nie swoje sprawy...

- Okay, nic się nie stało - powiedziała Lily.

Ale nie wyglądało na to, że się zupełnie nie przejęła. Prawdę mówiąc, była bliska łez. Trzeba ją trochę pocieszyć, a potem niech idzie w swoją stronę, pomyślała Emma.

- Może napijesz się kawy? - usłyszała własny głos, a zaraz potem ugryzła się w język. Co ją napadło, do jasnej cholery? Wcale nie chciała, żeby Lily Rogers pętała się po jej domu. Tak bardzo jej zależało, żeby nie zawrzeć bliższych związków z żadną z sąsiadek. I co najlepszego zrobiła? Nie chciała mieć przyjaciółki. Nie mogła sobie na to pozwolić.

- Dziękuję, to miło z twojej strony. - Lily poszła za Emmą do kuchni.

Emma rzuciła swoją pocztę na blat, mimochodem rejestrując, że składa się ona z dwóch rachunków i ulotki reklamującej wakacje na Cape Cod. Potem zgarnęła ze stołu gazetę i naląła kubek kawy dla Lily, gestem wskazując, żeby wyciągnęła dla siebie składane krzesło.

- Dziękuję. - Lily usiadła i założyła nogę na nogę. Na sobie miała skromny, szary kostiumik z logo miejscowego klubu zdrowia. - Pracuję w siłowni Scully przez cztery dni w tygodniu, od dziesiątej do trzeciej po południu - wyjaśniła, gdy dostrzegła spojrzenie Emmy. - Wtedy Michael jest w szkole. Czy twój syn chodzi do tej samej klasy? Do panny Kensit?

Emma przytaknęła i sięgnęła do szuflady obok zlewozmywaka po następnego papierosa.

- Masz ochotę? - spytała.

- Nie, dzięki. Nie palę.

Emma skinęła głową i zapaliła drugiego w tym dniu papierosa. Przez chwilę w milczeniu wydmuchiwała w powietrze okrągłe obłoczki dymu.

- No więc, jak tam z tym twoim opowiadaniem? - spytała w końcu, wskazując podbródkiem na leżącą przed Lily kopertę.

Lily wzruszyła ramionami.

- Wiesz, jest takie powiedzenie, że nadzieja żyje wiecznie...

- Chcesz zostać pisarką?

- Marzę o tym niemal od dzieciństwa. Zawsze mnie proszono, żebym czytała na głos w klasie swoje prace i wszyscy uważali, że są wspaniałe. Mój nauczyciel od angielskiego w dziesiątej klasie bez przerwy powtarzał, że będę kiedyś znaną postacią w literaturze... - Znów wzruszyła ramionami. - No cóż, wciąż próbuję.

- Więc to nie był pierwszy list z odmową?

- Raczej sto pierwszy. Mogłabym sobie nimi wytapetować ściany.

- Naprawdę? - zachichotała Emma, uświadamiając sobie, że się świetnie bawi.

Ile czasu minęło, odkąd ostatni raz siedziała przy kawie z inną dorosłą osobą i rozmawiała z kimś, kto miał więcej niż pięć lat? - A mnie raz coś opublikowano - zwierzyła się.

Piwne oczy Lily rozszerzyły się ze zdumienia. Odstawiła kubek na stół.

- Tak? Gdzie?

- W „Cosmopolitan” - przyznała ze zmieszaniem Emma. - To dawne dzieje.

Zresztą tamto opowiadanie było całkiem inne od tych, jakie ty pisziesz. To był raczej opis moich doświadczeń jako modelki.

- Jesteś modelką?

Emma wołałaby, żeby Lily nie była tak zaskoczona.

- Tak naprawdę to nie. W każdym razie już nie. Bawiłam się w to ładnych parę lat temu, jeszcze zanim wyszłam za męża.

- I czemu zrezygnowałaś? Emma wzruszyła ramionami.

- A bo ja wiem? Właściwie bez powodu.

Lily skinęła głową, jakby wszystko zrozumiała. Jakim cudem, pomyślała Emma.

- Używałaś kiedykolwiek tuszu do rzęs firmy Maybelline?

- No jasne.

- Pamiętasz, jak wyglądała ich reklama? Ta z wielkimi, błękitnymi oczami, które patrzyły w górę?

- Tak, chyba pamiętam.

- To właśnie były moje oczy.

- Twoje? Żarty sobie stroisz?

I znów Emma wołałaby, żeby Lily nie okazywała tak wielkiego zdziwienia.

- Dokładnie to powiedziałam, kiedy pewnego popołudnia w McDonalddie podszedł do mnie pewien niechlujny gość. Oznajmił, że jest fotografem i że mam fantastyczne oczy. Następnie wręczył mi wizytówkę, co potraktowałam jako dowcip, rozumiesz? Kiedy pokazałam tę wizytówkę mamie, zadzwoniła do niego i okazało się, że to prawdziwy spec... No a potem moje oczy były na wszystkich reklamówkach tuszu Maybelline.

- To fantastyczna sprawa.

- Taak... Brałam jeszcze udział w paru innych rzeczach, ale potem wyszłam za męża i... No cóż, sama wiesz, jak to jest.

Lily skwapliwie przytaknęła, jakby naprawdę wiedziała. Emma zaciągnęła się papierosem.

- Jesteś mężatką? - zapytała.

- Jestem wdową - szepnęła Lily tak cicho, że Emma ledwie usłyszała.

- Wdową? O rany! Jak to się stało?

- Wypadek na motocyklu. - Lily potrząsnęła głową, jakby chciała odpędzić od siebie jakieś nieprzyjemne wspomnienie. - Więc sprzedałaś swoją historię modelki „Cosmopolitan”? - spytała, wyraźnie usiłując zmienić temat. - To cudownie.

Chciałabym ją zobaczyć.

- Ja też - przyznała Emma. - Niestety, zostawiłam wszystkie odbitki tam, skąd się przeprowadzałam.

Na twarzy Lily pojawiło się zamyślenie. Odstawiła kubek na stół i zerknęła na zegarek.

- Muszę już lecieć, bo inaczej spóźnię się do pracy. Zebrała swoje listy i podniosła się z krzesła.

- Posłuchaj - powiedziała już w drzwiach. - Parę miesięcy temu założyłam klub książki. To tylko kilka dziewczyn z sąsiedztwa i parę osób z mojej pracy. Spotykamy się dziś wieczorem u mnie, więc możesz wpaść, jeśli będziesz miała ochotę.

- Nie, dzięki - odparła szybko Emma. - Kluby książki raczej mnie nie interesują.

- No cóż, może zmienisz zdanie... - Lily zbiegła ze schodów, a kiedy stanęła na chodniku, odwróciła się raz jeszcze. - Siódma trzydzieści - zawołała. - Numer sto trzystaście.

5

Jamie gapiła się przez okno. Jej samochód pędził na północ płatną autostradą Florida Turnpike, a ona się zastanawiała, czy przypadkiem nie przeżywa właśnie jakiegoś załamania nerwowego. Nie tylko rzuciła pracę, zraziła do siebie siostrę i wręczyła kluczyki od swojego auta mężczyźnie, którego ledwie знаła, lecz w dodatku nawet na chwilę nie przestała się uśmiechać od czasu, gdy trzy godziny temu wyruszyli w podróż. I to pomimo faktu, że na długim, nudnym odcinku autostrady nie było niczego ciekawego, bo od dawna już nie bawiły jej pozornie niewyczerpane zapasy dowcipu na billboardach reklamujących Yeehaw - miasteczko, którego przemysł opierał się głównie na sprzedaży zniżkowych biletów do Disney World i Universal Studios. ZOBACZ MYSZKĘ MIKI ZA MYSIĄ CENĘ, głosił dumnie jeden z nich, a za nim szybko następowały kolejne: MIODZIO! I jeszcze: ALE ZABAWA! I

następny: ZOBACZYĆ I UMRZEĆ! A potem jeszcze jeden: ZAPRASZAMY DO YEEHAW! Jamie pomyślała, że gdyby ułożyć te billboardy jeden przy drugim, to objęłyby obszar większy niż cała miejscina zwana Yeehaw.

Między billboardy wplecione zostały reklamy soku pomarańczowego z Florydy - SAMO ZDROWIE! - pomieszane z zaproszeniami do rezerwatów dzikich zwierząt i zachętą do kupowania ostatniego krzyku nowoczesności zwanego Słoneczną Przepustką. Było to urządzenie, dzięki któremu kierowcy mogli przejeżdżać przez liczne stanowiska do pobierania opłat za przejazd bez konieczności czekania w kolejce. ON NIE JEST GWIAZDĄ FILMOWĄ / JEGO WÓZ TO STARY GRAT / ALE JEDZIE PRZEZ BRAMKI / JAKBY NALEŻAŁ DOŃ ŚWIAT - głosiła seria napisów. Poza tym gdzieś tam widniały billboardy reklamujące przekonania polityczne albo poglądy konkretnych grup interesu. Jeden z nich napominał kierowców: WYBIERZ ŻYCIE, a zaraz potem padało pytanie: CZY NIE JESTEŚ SZCZĘŚLIWY, ŻE TWOJA MATKA PODJĘŁA TAKĄ DECYZJĘ? Na innym można było przeczytać: NARODY ZJEDNOCZONE CHCĄ CI ODEBRAĆ BRONĀ!

To możliwe tylko na Florydzie, pomyślała Jamie, przyglądając się, jak pasażerka w kabriolecie przed nimi podnosi do góry długie, opalone nogi i opiera je na desce rozdzielczej, ukazując światu pomalowane na jaskrawe kolory paznokcie u stóp. Wyglądają jak garść M&M-sów, przyszło jej do głowy, zanim skupiła uwagę na tablicach rejestracyjnych wozów, które śmigały obok niej - TRZEWIA, SCHNĘ Z TĘSKNOTY, PAPUGA - i równie często spotykanych nalepkach na zderzakach, które wychwalały dumnych rodziców i ich wspaniałe potomstwo. Dostrzegła także napis ONA JEST DZIECKIEM - NIE MA WYBORU na większym od przeciętnych bagażniku starego, białego lincolna continental, plakat przyklejony od środka na oknie obok tylnego siedzenia pasażera dodge'a caravana: NIE MA SIŁY PRZYCIĄGANIA - TO ZIEMIA WSYSA oraz ulubiona sentencja Jamie, wymalowana ręcznie na całej tylnej szybie jaskrawożółtej corvetty: OSZCZĘDŹ KONIA, DOSIĄDŹ KOWBOJA. W końcu przymknęła powieki, bo doszła do wniosku, że od mrużenia oczu w oślepiającym blasku słońca zaczyna ją boleć głowa. O mało nie odpłynęła w sen, ukołysana przez płynące z radia hipnotyczne melodie country. Piosenki niezmiennie opowiadały o bólu serca, picciu, w kółko o tym samym. Nagłe

szczypanie w okolicach pęcherza uprzytomniło jej, że nie była w toalecie, odkąd wyszła ze swojego mieszkania.

Minęły zaledwie trzy godziny ich długiej podróży, a ona już czuła się zmęczona, bolała ją głowa i ogólnie było jej nieswojo, jednak mimo tych drobnych niedogodności nie potrafiła sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz była w tak radosnym nastroju.

- Czemu się uśmiechasz? - spytał Brad i sam się uśmiechnął.

Jamie zachichotała.

- Bo nie mogę uwierzyć, że tak mi dobrze - powiedziała, otwierając oczy.

Prawa ręka Brada ześlizgnęła się z kierownicy i spoczęła na jej nagim udzie.

- Och, z pewnością możesz.

Zarumieniła się, rzucając pospieszne spojrzenie na jaguara na sąsiednim pasie. Przez ostatnich kilka kilometrów oba samochody na zmianę się wyprzedzały.

GORĄCY DOKTOREK, głosił napis na tablicy rejestracyjnej. Zaczęła się zastanawiać, czy ten facet za kierownicą naprawdę jest wziętym lekarzem, czy raczej niewymagającym producentem filmów dokumentalnych. Równie dobrze mógł być przystojnym weterynarzem albo dentystą cierpiącym na manię wielkości. Zastanawiała się, czy on widzi, jak ręka Brada zagłębia się w lewej nogawce jej szortów. Ale GORĄCY DOKTOREK gapił się przed siebie, pozornie zajęty zwykłym w środku dnia natłokiem samochodów, i wydawał się całkiem nieświadomy, że tuż obok niego rozpoczynają się seksualne igraszki.

- Rozepnij szorty - polecił Brad.

- Co takiego?!

- Słyszałaś przecież.

- Nie mogę.

- A dlaczego nie?

- Bo nie mogę. Ludzie zobaczą.

- Nikt na nas nie patrzy. Poza tym nie mogę się do ciebie dostać.

Seria łagodnych elektrycznych impulsów rozeszła się po jej ciele, kiedy powoli - aczkolwiek niechętnie - usunęła rękę Brada ze swoich szortów i celowo skrzyżowała nogi.

- Chyba powinieneś bardziej skupić się na tym, co się dzieje na drodze.
- Jak mogę skupić się na drodze, kiedy siedzisz obok i wyglądasz tak diablo ponętnie.

Ponętnie, powtarzała po cichu, rozkoszując się brzmieniem tego słowa. Czy ktokolwiek powiedział jej kiedyś, że jest ponętna? Facet w ciągu sekundy poprawił swoje notowania. Wzięła głęboki oddech, żeby stłumić jęk czystej przyjemności, jaką odczuwała, słysząc jego słowa. Jak to się stało, że właśnie jej przypadło w udziale takie szczęście? To samo pytanie zadawała sobie poprzedniego wieczoru. Jak doszło do tego, że improwizowana przygoda na jedną noc zmieniła się w najlepsze, co ją dotąd w życiu spotkało? PUŚĆ SIĘ I WPUŚĆ BOGA, przypomniała sobie inny - być może proroczy - napis na zderzaku, który zauważyła, gdy tylko wyjechali ze Stuart.

Kiedy już zapadła decyzja o wyjeździe z miasta, wszystko inne potoczyło się ze zdumiewającą prędkością, jakby ktoś nacisnął niewidzialny przycisk.

Jamie szybko pozbyła się biurowego ubrania i włożyła stare, białe szorty i pomarańczowy T-shirt, a następnie wrzuciła kilka drobiazgów do torby podróżnej, którą Brad włożył później do bagażnika. Prosił, żeby nie zabierała zbyt wiele, i obiecał, że kupi wszystko, czego będzie po drodze potrzebowała. Wszystko, czego będzie chciała. I obojętnie, kiedy będzie chciała. Nikt nigdy nie mówił jej takich rzeczy. Tak samo jak nikt nie powiedział, że jest ponętna. Nie tylko ponętna, ale diablo ponętna. Jej uśmiech wyraźnie się poszerzył.

- Czy wyglądam ponętnie? - spytała, w nadziei że znów usłyszy to słowo.

- W sam raz, żeby cię schrupać - oświadczył przekornie. - Właściwie mogę zjechać z drogi, jak tylko trafi się jakaś stacja benzynowa, i zwyczajnie cię zjeść.

Nie mówiąc nic więcej, zjechał na lewy pas, sygnalizując w ten sposób, że szuka zjazdu.

- Co? Nie, Brad. Nie możesz. Jesteś niepoważny.

- Och, jestem śmiertelnie poważny. Poza tym nagle poczułem, że jestem głodny jak wilk.

- Nie, Brad. Nie możemy - sprzeciwiła się bez przekonania, kiedy opuścili autostradę.

- Dlaczego nie możemy?

- Bo w samochodzie nie będę się czuła swobodnie.

Ale Brad zupełnie zignorował jej protesty.

Jechał za dużym tirem po łagodnie wijącej się drodze, która prowadziła do centrum obsługi znajdującego się pomiędzy dwiema nitkami autostrady. Za zatłoczonym przez ciężarówki i samochody osobowe parkingiem mieściła się samoobsługowa stacja benzynowa z trzema rzędami dystrybutorów, a za nią nieduży sklep. Jamie zastanawiała się, czy Brad mówił serio, a jeśli tak, to gdzie zamierzał zaparkować, żeby mogli pozostać niezauważeni. Czy naprawdę chciał ją przelecieć na środku zapchanego parkingu, w środku autostrady Florida Turnpike, w środku dnia i w samym środku Ameryki? Czyżby nie wiedział, że za taki czyn mogą trafić prosto do aresztu? I czy ona naprawdę miała zamiar mu na to pozwolić?

Mimo gorących protestów ogarnął ją dziwny zachwyty na myśl o uprawianiu miłości w miejscu publicznym. W dodatku na parkingu przed centrum obsługi, gdzie dookoła stało mnóstwo samochodów i ciężarówek, i gdzie znużeni podróżą ludzie chodzili tam i z powrotem, żeby rozprostować nogi. Co to znaczy być należycie obsłużonym, zaśmiała się sama do siebie! Nigdy dotąd nie ważyła się na nic podobnego i szczerze wątpiła, czy autorzy tych wszystkich głupich billboardów i nalepek na zderzaki WYBIERZ ŻYCIE! brali pod uwagę taki właśnie scenariusz.

Mimo wszystko, właśnie tak zamierzam postąpić, myślała ogarnięta nową falą euforii, kiedy Brad wjeżdżał na pas sąsiadujący ze sklepem. Wybrać życie. Puścić się i wpuścić Boga. Choć w tym wypadku raczej Brada, poprawiła się. Wstrzymała oddech, kiedy przekreślił kluczyk w stacyjce i odwrócił się na fotelu w jej stronę. Czy naprawdę chciał to zrobić właśnie tu i właśnie teraz?

- Tylko ci dokuczałem - powiedział, uśmiechając się leniwie. - Wiesz przecież, że nie zgodziłbym się na to, byś czuła się skrepowana.

- Wiem - odparła krótko. Miała nadzieję, że ani jej twarz, ani głos nie zdradzą rozczarowania. Do diabła, co się z nią stało? Czy nie miała za grosz wstydu albo poczucia przyzwoitości?

Brad musnął w przelocie jej policzek, a potem wysiadł z samochodu. Swoją kartą kredytową zapłacił za paliwo. Jamie dostrzegła, że wybrał na dystrybutorze najdroższą benzynę.

- Nie potrzebujesz iść do toalety? - zapytał, pochylając się w stronę przedniego fotela. - Teraz jest chyba najlepszy moment.

- Dobry pomysł.

- Moim zdaniem, są tam z tyłu - wskazał ręką kierunek, kiedy Jamie wygramoliła się z samochodu. - Ale chyba musisz wziąć ze sklepu klucz.

Gorąco uderzyło w Jamie jak niegrzeczny przechodzień, a jego siła prawie powaliła ją na chodnik. Potknęła się o własne nogi i na wpół przytomnie odwróciła się do Brada, który stał obok jej samochodu. Pomachał do niej jedną ręką, a drugą zręcznie obsługiwał dystrybutor. Jego bajkowy uśmiech był w stanie przyćmić nawet parzące słońce Florydy.

- Wszystko w porządku? - zawołał. Skinęła głową.

- Przynieść ci coś? Coca-colę? Chipsy?

- Może colę. Dać ci pieniądze?

Jamie zaśmiała się, unosząc wysoko swoją brezentową torbę.

- Ja stawiam.

Weszła do małego sklepiku; chłodne powietrze objęło ją przyjemnym uściskiem, gdy tylko otworzyła drzwi. Nagle gdzieś z dali dobiegło trzaśnięcie drzwiczek, ryk silnika i pisk opon, ale ledwie zwróciła na to uwagę. Komuś się śpieszy, pomyślała, gapiąc się na stojak z przekąskami i czasopismami. Stara i zepsuta gra wideo stała w odległym kącie za stosem zamkniętych pudeł. W ustawionych wzdłuż ściany czterech olbrzymich lodówkach z przeszklonymi drzwiami chłodziły się mleczne przetwory i napoje. Jamie wyciągnęła z pierwszej z nich kilka puszek z jakimś gazowanym płynem i przecisnęła się obok pary w średnim wieku, która pochylając się nad mapą, zawzięcie dyskutowała na temat przeoczonego zjazdu z autostrady.

- Ile płacę? - spytała młodą kobietę, która snuła się za ladą, żując gumę.

- Dwa dolary pięćdziesiąt centów.

Jamie wręczyła jej pięciodolarowy banknot i czekała na resztę. W portfelu miała na oko około stu dolarów gotówką.

- Czy mogę wziąć klucz do toalety?

- Nie trzeba klucza - odpowiedziała kasjerka i z hukiem wrzuciła do plastikowej torby dwie puszki coli. -

Zamek jest zepsuty - wyjaśniła, wręczając Jamie zakupy.

Wspaniale, pomyślała Jamie. Zabrała torbę i pochylając głowę, wyszła na oślepiająco jasne słońce. Kątem oka dostrzegła jakiegoś bezdomnego włóczęgę w łachmanach, w tenisówkach nie od pary. Stał obok skrzynek z gazetami i kołysał się miarowo, jakby był pogrążony w głębokiej modlitwie. Odrażający typ, uznała bez zastanowienia. Małe strumyczki potu zaczęły się zbierać tuż pod linią włosów.

- Hej! - wrzasnął ktoś. Odruchowo spojrzała w tamtą stronę, przekonana, że zobaczy Brada stojącego przy jej samochodzie, ale ujrzała tylko jakiegoś nastolatka, który wołał kolegę. Nigdzie za to nie widziała Brada Fishera ani błękitnego thunderbirda. Jej ciało wykonało pełny obrót o trzysta sześćdziesiąt stopni, ale sytuacja w najmniejszym stopniu nie uległa zmianie. Zarówno jej zaufany rumak, jak i książkę z bajki zniknęli.

Gdzie on się podział, pytała sama siebie, kręcąc się w kółku jak szalona.

„Kiedy coś wydaje się zbyt dobre, aby mogło być prawdziwe, to zwykle tak jest”, usłyszała zgodne głosy siostry i matki.

Tylko że nic się tu nie zgadzało. Brad miał dziś rano szansę, żeby zostawić Jamie i odejść. Do diabła, przecież to zrobił. Dlaczego więc wrócił - w dodatku z bagietkami - jeśli planował porzucić ją zaledwie kilka godzin później?

Jamie znała odpowiedź na to pytanie, zanim jeszcze do końca narodziło się w jej głowie. Ponieważ potrzebował samochodu, przypomniała sobie. Jego był zepsuty, a on musiał znaleźć jakiś środek transportu, żeby dostać się do Ohio.

Ponieważ skłamał, gdy mówił o swoich pieniądzech, o tym, że wynajmuje apartament w Breakersie i Bóg jeden wie, o czym jeszcze.

Ponieważ czekała go długa i nudna podróż, a jej osoba stanowiła przyjemne urozmaicenie.

Znowu wyszłam na skończoną idiotkę, pomyślała, a łzy napłynęły jej do oczu i pociekły po policzkach. Starła się nie zwracać na nie uwagi, kiedy maszerowała dookoła sklepiku w stronę toalety na zapleczu.

Cholerna idiotka, dodała jeszcze i pociągnęła za drzwi, na których widniał napis „adies”. „L” już dawno gdzieś zniknęło, podobnie jak Brad Fisher.

Pomieszczenie okazało się zaskakująco czyste. Z nieskazitelnie białych ścian promieniował zapach środków dezynfekujących. Zielony, plastikowy kosz stał pod zielonym blatem, w którym zatopione były dwie szarawe umywalki z emalii. Najwyraźniej ktoś chciał rozjaśnić to małe, pozbawione okien wnętrze i przed dużym lustrem za umywalkami ustawił w butelce po coli plastikowe kwiatki. Przypuszczalnie ta sama osoba śpieszyła się przy czyszczeniu lustra i rezultatem tego pośpiechu były fantazyjne smugi w nieregularnych odstępach rozdzielające szklaną powierzchnię.

Jamie otworzyła drzwi do bliższej z dwóch kabin, położyła na podłodze torebkę i torbę z zakupami i ściągnęła szorty do samego dołu, chociaż siostra ostrzegła ją, że lepiej nie siadać w publicznej toalecie na desce klozetowej. „Najlepiej przykucnij”, pouczała Cynthia.

„W ostateczności wyłóż deskę papierem toaletowym”, zalecała matka.

W odpowiedzi Jamie usiadła bezpośrednio na sedesie, ukryła głowę w dłoniach i walczyła ze łzami.

- Co ja wyrabiam? Co ze mną jest nie tak?

Pozostała w tej pozycji długo po tym, gdy skończyła, i podniosła wzrok dopiero, kiedy usłyszała, że ktoś otwiera zewnętrzne drzwi i wchodzi do środka. A potem zapadła cisza. Nikt się nie poruszał, nie odkręcał wody ani nie wchodził do drugiej kabiny. Słysząc było jedynie ciężki, chrapliwy oddech.

Jakby ten ktoś na coś czekał.

- Brad? - zawołała z nadzieją w głosie. - Czy to ty?

Dalej nic.

Podciągnęła szorty i usiłowała zobaczyć cokolwiek przez szparę w drzwiach, ale była w stanie dostrzec jedynie srebrzysty połysk lustra i cień czegoś czarnego, co odbijało się w gładkiej powierzchni. Wstrzymała na moment powietrze i zaczęła nasłuchiwać; tamten oddech stawał się głośniejszy i coraz bardziej nierówny. Potem rozległo się szuranie i w otworze pod drzwiami pojawiła się para zniszczonych tenisówek. To ten bezdomny spod sklepu, uświadomiła sobie z przerażeniem. Ten,

który bez celu kręcił się obok regału z gazetami. Przyszedł za nią tutaj, a teraz stał przed kabiną i czekał, aż wyjdzie. Dlaczego? Co zamierzał zrobić?

Gorączkowo spoglądała to na jedną, to na drugą ścianę kabiny, starając się rozważyć wszystkie możliwości. Najbezpieczniej było nie robić nic - po prostu zostać na miejscu i czekać, aż nieznajomy wyjdzie z toalety. Poza tym, ktoś w końcu przyjdzie tutaj za potrzebą. Mogła też zacząć krzyczeć i mieć nadzieję, że w tym hałasie na zewnątrz ktoś usłyszy jej wrzask. Zresztą sam krzyk powinien wystraszyć nieznajomego. Albo sprowokować do działania, uznała po chwili. Może raczej powinna zaryzykować ucieczkę. Tego bezdomnego widziała co prawda jedynie przez krótką chwilę, ale facet wywarł na niej wrażenie słabeusza, w dodatku prawdopodobnie opóźnionego umysłowo. Podobnie jak ona sama, dodała w myślach i gdyby nie była aż tak przerażona, pewnie zaczęłaby się śmiać. Znowu usiadła na desce klozetowej, zdecydowana poczekać, aż intruz sobie pójdzie. Sekundę później zerwała się na równe nogi. A co będzie, jeśli ten typek spróbuje wyłamać drzwi? Nie sprawiały wrażenia szczególnie solidnych. Jedno dobre pchnięcie i pewnie by mu się udało. Zresztą, może będzie wolał wspiąć się i przeleźć przez przegrodę.

Spojrzenie Jamie natychmiast poszybowało w górę. W głębi ducha przygotowała się na widok zamglonych szaleństwem oczu i niesamowitego, bezzębnego uśmiechu, ale na szczęście para zniszczonych tenisówek wrosła w podłogę tuż przed drzwiami kabiny. Dobry Boże, co powinna teraz zrobić?

Instynktownie sięgnęła po plastikową torbę, która stała obok sedesu. Torebka wydawała się zbyt lekka, by spowodować jakiegokolwiek obrażenia, ale uderzenie dwiema puszkami coli mogło wywołać pożądaną efekt. Oczywiście zakładając, że miałyby wystarczająco dużo miejsca, by wziąć solidny zamach i wystarczająco dużo czasu na wycelowanie w głowę napastnika. I jeśli on nie zaatakowałby pierwszy.

Chryste Panie, niech mi ktoś pomoże, modliła się, słysząc czyjeś łkanie i wiedząc, że to jej głos. Proszę Cię, Panie Boże, niech on odejdzie. Jeśli on odejdzie, obiecuję, że już nigdy nie popełnię żadnego głupstwa, będę we wszystkim słuchać siostry i nie będę sypiać z żonatymi mężczyznami ani podrywać w barach nieznajomych facetów. Znajdę następną pracę i nie porzucę jej niezależnie od tego, jak

bardzo będzie nudna i beznadziejna. Jeśli wyciągniesz mnie z tego bagna, mogę nawet zdobyć się na przeproszenie Lorraine Starkey.

I nagle tenisówki się wycofały. Zewnętrzne drzwi otworzyły się, a potem zamknęły. Facet sobie poszedł, uświadomiła sobie i poczuła niesamowitą ulgę.

- Puść się i wpuść Boga - wyszeptwała z wdzięcznością, a potem powolutku, ściskając torebkę w jednej, a plastikową torbę w drugiej ręce, popchnęła drzwi kabiny.

Nikogo nie było.

Stała na środku dusznego pomieszczenia i czekała, aż jej oddech się uspokoi. Czy to możliwe, że to całe zajście było wyłącznie wytworem chorej wyobraźni?

Podeszła do umywalki i ochlapała twarz zimną wodą, a następnie wyciągnęła z podajnika kilka brązowych papierowych ręczników, żeby wytrzeć łzy z oczu i policzków. Odrzuciła włosy do tyłu i wciągnęła w płuca potężny haust powietrza. Jej gehenna jeszcze się nie skończyła. Teraz musiała wymyślić jakiś sposób, jak się dostać z powrotem do domu. Jakimś cudem udało się jej przeżyć jedno potencjalnie niebezpieczne spotkanie, ale czekało ją coś znacznie gorszego niż sam na sam z obłąkanym włóczęgą - rozmowa z siostrą. Odruchowo otworzyła zewnętrzne drzwi, zastanawiając się, czy na pewno jest na to gotowa.

Stał tuż za progiem. Jego czarne łachmany zasłaniały słońce, a rysy twarzy skrywał głęboki cień. Jamie zobaczyła przed sobą długi nos, usta ukryte w zmierzwionej i bezkształtnej długiej brodzie i ciemne, rozbiegane oczy. Oczy szaleńca, przyszło jej do głowy. Raptem usłyszała czyjś przeraźliwy krzyk. Swój krzyk, uświadomiła sobie nagle.

- Zostaw mnie w spokoju! - wyła, zalewając się łzami. - Odejdź ode mnie!

Mężczyzna odsunął się pośpiesznie.

- Jamie? Wszystko w porządku? - dobiegł skądś znajomy głos. - Już jesteś bezpieczna. Wszystko okay.

Natychmiast przestała płakać i wierzchem dłoni otarła łzy.

- Brad? To ty? - zapytała z powątpiewaniem, jakby nie wierzyła własnym oczom.

- A twoim zdaniem kto?

Obróciła się dookoła, jednocześnie strzelając oczami w kilku różnych kierunkach.

- Tutaj był taki człowiek. Widziałeś go?

- Widziałem, jak jakiś żebrak ucieka w krzaki. Dlaczego? Co tu się stało?

Chciał ci zrobić krzywdę?

- Nie - przyznała uczciwie. Zrobiła przerwę, żeby spokojnie nabrać oddechu. -

Po prostu mnie nastraszył.

I opisała dokładnie, co przed chwilą zaszło.

- Wygląda na to, że chyba ty bardziej go nastraszyłaś - potrząsnął głową, jakby ta cała sytuacja wydawała mu się całkiem zabawna. - Nie powinnaś była iść sama w takie odludne miejsce. Czemuś mnie nie zawołała, jak tylko go zobaczyłaś?

- Rozglądałam się, ale nigdzie cię nie było.

- Bo zauważyłem, że w jednej z opon jest mało powietrza, więc pojechałem, żeby ją napompować. A potem doszedłem do wniosku, że właściwie ja także powinienem skorzystać z toalety. I właśnie wtedy usłyszałem ten piekielny hałas... - uśmiechnął się przebiegle. - Jesteś temperamentną osobką, wiesz o tym?

- Naprawdę?

Dotąd nikt jej nie mówił, że ma temperament. Owszem, że jest bezmyślna albo uparta jak osioł. Ale nigdy nie słyszała określenia „temperamentna”.

- Temperamentna... - zamruczał i zawrócił ją z powrotem do łazienki, a następnie kopnięciem zamknął za nimi drzwi. - I bardzo, bardzo sexy...

Zablokował wejście wielkim, zielonym koszem na śmieci i odwrócił się do Jamie.

- Bardzo, bardzo sexy - powtórzył.

- Co robisz? - zawołała.

- A co według ciebie robię?

Jedną rękę przytrzymał ją przy ścianie, a drugą sięgnął do suwaka w szortach Jamie. Sekundę później uniósł ją w powietrze i brutalnie wepchnął się do jej wnętrza.

Chwytała haustami powietrze, wciąż nie mogąc uwierzyć, że wszystko zmienia się w takim tempie. W jednej minucie była przerażona, w drugiej czuła ulgę, a w trzeciej ogarnęło ją takie podniecenie, że ledwo była w stanie oddychać. Wczepiła się

palcami w ramiona Brada, jakby od tego zależało jej życie, a on wirował z nią dookoła małego wnętrza, wbijając się z całej siły w środek jej ciała. W przelocie ujrzała w lustrze odbicie własnej twarzy; ledwo rozpoznała tę kobietę, która patrzyła na nią ze szklanej powierzchni. Otwarte usta, odrzucona w ekstazie głowa... Kim ty jesteś, zadawała sobie pytanie? Co robisz?

- To wszystko twoja wina - powiedział jej później Brad. Zabrał z butelki po coli plastikowy kwiatek i wetknął jej za ucho. - Wszystko przez to, że jesteś tak cholernie ponętna.

Jamie wyszła za nim z łazienki z opuszczoną głową. Nogi ugięły się pod nią, jakby miały całkiem odmówić posłuszeństwa. Temperamentna i ponętna, z dumą powtarzała na zmianę te dwa słowa. Szła za Bradem do samochodu, szczęśliwa, że to ona jest winna temu, co się stało.

6

Do godziny dziesiątej brakowało jeszcze jednej minuty, kiedy Lily przepchnęła się przez drzwi z grubego, podwójnego szkła i weszła do siłowni Scully, mieszczącej się w małym, nierzucającym się w oczy centrum handlowym, które od ulicy Szalonej Rzeki dzieliło kilka minut jazdy autobusem. Odrzucone przez redakcję opowiadanie wystawało niedbale z otwartej torebki. Z radosnym uśmiechem przywitała mocno opaloną kobietę, która siedziała w recepcji, i wręczyła jej kubeczek kawy z odtłuszczonym mlekiem.

- Bogowie cię zesłali - oznajmiła Jan Scully, biorąc kawę. Jednym ruchem oderwała przykrywkę i chciwie zassała gorącą pianę. - Skąd wiedziałaś, że przez cały ranek usychałam z tęsknoty za kawą?

- Bo codziennie za nią tęsknisz - powiedziała Lily do czterdziestodwuletniej właścicielki siłowni.

Wszystko w tej kobiecie było absolutnie wspaniałe, poczynając od wzrostu - Jan miała około metra siedemdziesięciu - do pełnych, pomarańczowych ust, regularnie ostrzykiwanych kolagenem, aż do turkusowo niebieskich cieni na powiekach i hałaśliwego śmiechu, który dudnił w jej ciele jak grzmot.

Fotografie Jan z okresu rozkwitu - większość z nich przedstawiała ją w skąpym bikini, dumnie unosząc nad burzą krzykliwie czerwonych loków rozmaite trofea zdobyte na zawodach kulturystycznych - pokrywały ścianę za recepcją, same zaś trofea - talerze z brązu, srebrne kubki i rzeźby z kamienia - wypełniały szklane półki stojącej pod ścianą gablotki. Dziś Jan ubrana była jak zwykle, to znaczy miała na sobie szary T-shirt bez rękawów, dzięki czemu jej kształtne ramiona i stalowe bicepsy wydawały się lepiej wyeksponowane, a pasujące do koszulki spodnie od dresu zostały zsunięte nisko na biodra, żeby lepiej było widać jej nienaturalnie płaski brzuch. Na przodzie T-shirta i na obu pośladkach dresu widniało logo siłowni, wymalowane oślepiająco różowymi literami, co chyba miało sugerować, że dzięki członkostwu w klubie Scully każdy może osiągnąć równie wspaniałe rezultaty co Jan.

Lily wepchnęła torebkę pod kontuar i wyciągnęła jeden z dwóch ukrytych pod spodem taboretów, od niechcienia rzucając okiem na salę ćwiczeń za szklaną ścianą z tyłu recepcji. Naliczyła sześć osób - pięć kobiet i jednego mężczyznę, którzy ćwicząc na rozmaitych przyrządach, wyciskali z siebie siódme poty. Uśmiechnęła się pod nosem, bo wiedziała o czymś, o czym tamci nie mieli pojęcia; że co prawda regularne ćwiczenia pomagały Jan utrzymać doskonałą kondycję jak na kobietę powyżej czterdziestki, ale ostatnio przeprowadzone operacje spłaszczenia brzucha i podniesienia biustu - nie wspominając o rozległej liposukcji bioder i pośladków - przyniosły jeszcze lepsze efekty. „Kiedy przekroczy się pewien wiek, same ćwiczenia guzik dają”, zwierzyła się Jan głębokim, gardłowym głosem, w którym pobrzmiwały echa jej dzikiej, zmarnowanej młodości. Lily zobowiązała się utrzymać w sekrecie tę tajemnicę. Oczywiście, Jan pomogło też, że nie rodziła dzieci, myślała Lily, gładząc się po własnym, nieco wystającym brzuszku. Nie, siłownia była jedynym dzieckiem Jan, ciężko wywalczonym podczas prawnej batalii z byłym małżonkiem, wypasionym na sterydach mięśniakiem. Ten łajdak opuścił ją dla dwudziestotrzyletniej pielęgniarki, pracującej u tego samego chirurga plastycznego, który ostatnio usuwał worki spod pełnych niedowierzania oczu Jan.

Ktoś inny mógłby się rozkoszować podobną ironią losu, lecz Lily stanowczo nie pozwalała sobie na tak nieuprzejme myśli. To właśnie Jan dała jej pracę, gdy po raz pierwszy znalazła się w Dayton, nie zważając na totalny brak doświadczenia

kandydatki. Tym samym zasłużyła sobie na wdzięczność i najlepsze życzenia ze strony Lily, oraz na kawę z mlekiem, którą Lily przynosiła jej każdego dnia.

- Jak dziś wygląda sytuacja? - spytała, kiedy Jan opróżniła kubeczek i zaczęła zbierać swoje rzeczy.

- Jak tylko otworzyłam, był tłok jak diabli. Stan Petrofsky przyjechał jeszcze przede mną i aż przestępował z nogi na nogę, żeby jak najprędzej dostać się do środka i trochę poćwiczyć. Chyba musi mieć jakąś nową laskę, skoro tak mu zależy - roześmiała się dudniącym śmiechem i zerknęła w stronę sali. - Ale jak widzisz, już trochę się przerzedziło.

Rozległo się brzęczenie telefonu i Lily podniosła słuchawkę.

- Dzień dobry, tu siłownia Scully - powiedziała z uśmiechem. - Tak, siłownia jest otwarta. Zgadza się, od siódmej do dwudziestej drugiej od poniedziałku do soboty i od ósmej do szóstej w niedziele. Mmm... Tak, oczywiście, że tak - mówiła dalej Lily, w odpowiedzi na dalsze pytania rozmówcy. - No cóż, opłata członkowska jest stała i na początku wynosi pięćset dolarów, a potem trzydzieści dolarów co miesiąc. Jednak obecnie mamy specjalną promocję i oferujemy przystąpienie do klubu za jedyne dwieście pięćdziesiąt dolarów. Tak, plus trzydzieści dolarów za miesięczny abonament.

- Nie zapomnij jej powiedzieć, że dostanie jeszcze darmowy kubek i koszulkę - zauważyła Jan.

- Aha, dorzucamy jeszcze darmowy kubek i T-shirta - dodała posłusznie Lily.

- Weź jej nazwisko - przypomniała szeptem Jan, kiedy Lily właśnie zamierzała o to zapytać.

- Przepraszam, jak pani godność? - Lily chwyciła ołówek i na kawałku papieru naskrobała *Arlene Troper*. - Tak jest, mamy kilka bieżni, kilka atlasów i duży wybór hantli - mówiąc to, zerknęła przez szklaną ścianę. Stare wyposażenie prezentowało się raczej marnie. - Mamy także ławkę, wiosła i stacjonarny rowerek. Nie, Gravitronu u nas nie ma. Naszym zdaniem najlepiej sprawdzają się proste zestawy - wymyślała na poczekaniu. Kobieto, czego ty się spodziewasz za tak małe pieniądze, miała ochotę dodać, ale się powstrzymała. - Poza tym otrzyma pani indywidualnie opracowany zestaw ćwiczeń. Tak jest, to wszystko zawarte jest w opłacie wstępnej. Dobrze.

Bardzo pani dziękuję, pani Troper. W takim razie czekamy na panią. Okay. Do zobaczenia. - Odwiesiła słuchawkę. - Arlene Troper powiada, że wybiera się do nas dziś po południu.

- Widzisz sama, co to znaczy darmowy kubek - odparła ze śmiechem Jan. - To zawsze działa.

Co prawda Jan uśmiechała się, ale Lily widziała jej zdenerwowanie. Ilość wykupionych abonamentów systematycznie spadała od czasu, gdy Art Scully otworzył własny klub w konkurencyjnym centrum handlowym, położonym zaledwie kilka przecznic dalej. Siłownia Arta była większa, nowocześniej wyposażona i cieszyła się lepszą opinią. Art także miał w ofercie kartę stałego klienta i w ramach abonamentu ćwiczący otrzymywali darmowego T-shirta, ale bez kubka, na co Jan natychmiast zwróciła uwagę.

Jan zarzuciła na ramię swoją wielką torebkę z kwiecistym nadrukiem, krytycznym spojrzeniem obrzuciła własną postać odbijającą się w szkle gablotki i ruszyła do drzwi.

- No to do zobaczenia wieczorem - powiedziała na odchodne. - Jaką książkę mieliśmy na dziś przeczytać?

Lily westchnęła. Pięć kobiet, które stanowiły trzon klubu książki zbierającego się co miesiąc w domu Lily, wiedziało, że do spotkania należy się przygotować. To znaczy, że powinny przynajmniej przeczytać książkę, która miała być przedmiotem dyskusji.

- *Wichrowe wzgórza* - powiedziała z rezygnacją.

- Super. Czytałam to w średniej szkole. Cathy i ten facet, Clifford...

- Heathcliff.

- Racja. Ale pamiętam, że to dobry kawałek. W każdym razie muszę już lecieć.

Życz mi szczęścia.

- A do czego potrzebne ci szczęście? - rzuciła Lily, ale drzwi wejściowe zdążyły się już zamknąć. - Powodzenia! - dodała poniewczasie, mając nadzieję, że Jan nie zamierza popełnić jakiegoś głupstwa. Na przykład, zasięgnąć opinii kolejnego doktora w sprawie podniesienia łuków brwiowych, co chodziło jej po głowie od chwili, gdy ujrzała w jednym z tabloidów zdjęcie Catheriny Zeta-Jones. Doszła

wówczas do wniosku, że nikt nie może wyglądać równie efektownie bez drobnej interwencji chirurga.

- To nienaturalne - powtarzała z przekonaniem. - Coś takiego w przyrodzie nie występuje.

Lily wyszła zza kontuaru i podeszła do czarnej, skórzanej sofy, żeby uporządkować stos czasopism leżących w bezładzie na kwadratowym, dębowym stoliku do kawy, który stał obok. Z jednej okładki uśmiechała się promiennie Julia Roberts, z innej wdzięczyła Gwyneth Paltrow. Obie wyglądały niebiańsko pięknie, choć Lily widziała zdjęcia Gwyneth w dresie, z matą do jogi w rękę, i wtedy nie wyglądała tak bajecznie. Nawet Julia Roberts od czasu do czasu sprawiała wrażenie zmęczonej, mizernej i wcale nie tak urodziwej, zwłaszcza gdy nie była wystrojona.

- Cechą prawdziwie pięknej kobiety jest to, że nie zawsze wygląda pięknie - powiedziała kiedyś matka Lily.

To była jedna z tych powtarzanych z upodobaniem sentencji, która z pozoru wydawała się głęboka i przemyślana, ale po bliższych oględzinach nie można było dopatrzeć się w niej jakiegokolwiek sensu. Mimo to Lily czerpała z tych słów pewną pociechę, jak zresztą z całej mieszanki prostej mądrości życiowej i zdrowego rozsądku matki. Gdybym w połowie potrafiła być takim oparciem dla mojego syna, jakim moja matka była dla mnie, uważałabym się za szczęściarę, myślała. Z całego serca pragnęła, aby matka mogła być teraz przy niej. Nieubłagana prawda, że odeszła na zawsze, docierała do świadomości Lily powoli i z oporami. Tyle straciłam, myślała, walcząc z napływającymi do oczu łzami. To właśnie matka podtrzymywała wszystkich na duchu po tym, jak w pewną paskudną, nasiąkniętą deszczem noc Kenny stracił panowanie nad motocyklem i uderzył w drzewo, zaledwie kilka przecznic od ich domu. W chwili najczarniejszej rozpaczony to właśnie ona kołysała Lily w ramionach i podejmowała desperackie próby przekonania córki, że śmierć Kenny'ego nie jest jej winą i że nie ma powodu się oskarżać.

I Lily prawie jej wierzyła.

Prawie.

Telefon znów zadzwonił, więc szybko wróciła do recepcji.

- Dzień dobry, tu siłownia Scully - oznajmiła z udawaną wesołością.

Prezentowanie pozytywnego nastawienia i optymistyczne podejście do klienta miało w tym biznesie kluczowe znaczenie. - Tak, siłownia jest otwarta do dziesiątej. Tak jest, zgadza się. Nie, obawiam się, że będzie musiał pan uzyskać członkostwo, żeby korzystać z naszych urządzeń. Ale mamy specjalną ofertę na wejście... Halo? Halo?

Wzruszyła ramionami i odwiesiła słuchawkę. Już nie obrażała się, kiedy ludzie przerywali rozmowę w pół słowa. Ludzie są zajęci, myślała. Nie zawsze mają czas na spełnianie zachcianek innych, zwłaszcza kiedy już wiedzą, że nie będą zainteresowani ofertą. Przestała odbierać tego typu afronty osobiście, tak samo jak przestała uważać ciągle odrzucanie swoich opowiadań za oznakę braku talentu. Poza wszystkim, czytanie to bardzo osobista sprawa. Przekonała się o tym, prowadząc klub książki. To, co jedna osoba uważała za błyskotliwe i głębokie, innej wydawało się banalne i płytkie. Nie można zadowolić wszystkich. Nawet nie warto próbować.

Lily patrzyła, jak Sara Chan, atrakcyjna trzydziestokilkulatka, schodzi z atlasu, owija cienki, biały ręcznik dookoła równie cienkiej i białej szyi, a potem czeka, aż jej przyjaciółka Palm Farelli skończy ćwiczyć na bieżni. Kilka minut później obie kobiety, rozmawiając o czymś z ożywieniem, przeszły przez szklane drzwi dzielące salę ćwiczeń od recepcji i nie spojrzawszy nawet na Lily, ruszyły w stronę szatni, która znajdowała się za skórzaną kanapą. Jestem dla nich niewidzialna, pomyślała. No i dobrze, przypomniała sobie rady Marthy Stewart.

Nagle frontowe drzwi stały otworem i do środka wkroczył jakiś mężczyzna o krępej budowie ciała, z krótko obciętych ciemnych włosami i masywnymi rękoma, które wystawały z rękawów jasnobrązowej wiatrówki.

- Dzień dobry - powitał Lily, a ona sięgnęła pod kontuar, żeby podać mu czysty ręcznik.

- Co dobrego dziś słysząc, detektywie Dawson? - spytała, podobnie jak robiła to w każdy poniedziałek, środę i piątek, kiedy ubrany po cywilnemu policjant wpadał na siłownię na swoją zwykłą, czterdziestominutową porcję ćwiczeń.

- Wszystko dobrze - brzmiała rutynowa odpowiedź. - A będzie jeszcze lepiej, jeśli zgodzisz się pójść ze mną na kolację - dorzucił nieoczekiwanie.

Lily odruchowo cofnęła się o krok, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Taki tekst poważnie różnił się od ich zwykłego, żartobliwego przekomarzania się i dlatego nie bardzo wiedziała, co powinna zrobić. Wcale nie chodziło o to, że uważała detektywa Dawsona za kogoś nieatrakcyjnego. Wręcz przeciwnie. Podobał się jej od chwili, gdy się poznali, krótko po tym jak zaczęła pracować w Scully. Pamiętała, że wówczas wtargnął przez frontowe drzwi jak burza. „Czy to pani impala stoi na miejscu dla niepełnosprawnych? Bo jeśli tak, to zaraz każę ją odholować”, warknął od progu. „Nie, nie moja”, zająknęła się z wrażenia, „ja nie mam samochodu”. „Za to ma pani przepiękny uśmiech”, odpowiedział szybko i sam się uśmiechnął.

- Nie mogę. Dziś mam spotkanie klubu książki - powiedziała teraz.

Jeff Dawson zmrużył ciemnoniebieskie oczy i zmarszczył nos - dwukrotnie już złamany - jakby natknął się na coś, co stanowczo mu się nie podobało.

- Klub książki? Chcesz powiedzieć, że robisz mniej więcej coś takiego jak Oprah?

- Tak, tyle że nie ma kamer i nie dostaję siedmiocyfrowej pensji - uśmiechnęła się. Pomyślała, że do twarzy mu z tą lekką nadwagą, ale zaraz potrząsnęła głową, zła na samą siebie. Właśnie dlatego, że wydawał się atrakcyjny, nie powinna się nigdy z nim umawiać. Czy nie zdecydowała, że te sprawy już jej nie interesują? Teraz musi się skoncentrować na synu i na odbudowaniu własnego życia. Mały, niezobowiązujący flirt to jedna sprawa, jednak coś poważniejszego nie wchodziło w rachubę. Nie miała już sił na błahe randki ani czasu na zaspokajanie czyichś kaprysów, nie mówiąc o cierpliwym znoszeniu nieuchronnego rozczarowania i patrzeniu na to, jak znowu jej świat z hukiem rozpada się na kawałki.

- W takim razie może jutro? - spytał.

- Jutro?

- Kolacja w Joso, o siódmej trzydzieści?

Lily nigdy dotąd nie jadła w tej popularnej i dość drogiej restauracji w centrum miasta, choć słyszała o niej same dobre rzeczy. McDonald był znacznie bardziej odpowiedni, biorąc pod uwagę tempo, w jakim żyła. Zresztą, gdzie miałyby szukać opiekunki do dziecka na tak późną porę?

- Wiesz, ja mam syna - powiedziała po prostu, uważnie patrząc w twarz Jeffa Dawsona w poszukiwaniu najłżejszych oznak zaskoczenia.

- Syna?

- Tak. Nazywa się Michael i ma pięć lat.

- A moje córki mają dziewięć i dziesięć. Mieszkają ze swoją matką. Oczywiście jesteśmy rozwiedzeni. Od trzech lat - zaśmiał się dziwnie, jakby czuł się skrępowany tym wyznaniem. - A ty?

- Ja jestem wdową. Od zeszłego roku. Wypadek na motocyklu - wyjaśniła, zanim zdążył zapytać.

- Przepraszam.

- Nie mogę pójść z tobą jutro wieczorem na kolację - powiedziała cicho.

Jeff Dawson skinął głową, jakby wszystko rozumiał.

- Może innym razem - oznajmił lekko i odsunął się od kontuaru, żeby pójść do sali ćwiczeń. O mały włos nie zderzył się z Sandra Chan i Pam Farelli, które były już ubrane i gotowe do wyjścia.

- Ale fajny gość - powiedziała Pam, na tyle głośno, by mieć pewność, że ją usłyszał. Wzrok Sandry natychmiast podążył we wskazanym kierunku. - Wspaniałe tricepsy - ciągnęła, patrząc, jak detektyw zrzuca wiatrówkę i pręży muskularny tors, ukryty pod białym T-shirtem.

- Zawsze wychodzimy za wcześnie. - Pam wydeła piękne usta. - Kto to jest? - zwróciła się do Lily, jakby nagle dostrzegła jej obecność. - Czy on tu regularnie ćwiczy?

Lily poczuła nieoczekiwane ukłucie zazdrości. Musiała siłą się powstrzymać, żeby nie wybiec zza kontuaru i nie wypchnąć tych wścibskich bab na ulicę.

- Przepraszam, o co pani pytała? - odezwała się zamiast tego uprzejmym tonem.

- Pytam o tego faceta, który wyciska na ławce ponad sto kilo i nawet się nie spoci... - powiedziała Pam i wskazała podbródkiem w stronę detektywa. - Wiesz coś o nim?

- Na przykład, czy jest żonaty? - dodała Sandra Chan.

- Wiem, że ma dwie córki. - Lily udała, że zajmuje się czymś pod kontuarem. - Mają dziewięć i dziesięć lat, o ile się nie mylę.

Obie panie unisono wzruszyły ramionami.

- Cholera - mruknęła jedna.

- Ci najlepsi zawsze są żonaci - dopowiedziała druga.

No cóż, to nawet nie było całkowite kłamstwo, pomyślała Lily, kiedy obie kobiety popchnęły zewnętrzne drzwi i zniknęły w blasku słońca. On naprawdę ma dwie córki. I mają dziewięć i dziesięć lat. Czemu jednak nie powiedziała całej prawdy?

Zebrała włosy w koński ogon, związała czarną, elastyczną gumką, którą znalazła w torebce, i wygładziła stos białych ręczników, choć ułożone były bez zarzutu. Wszystko po to, by nie spoglądać co chwila na salę ćwiczeń. Nie chciała patrzeć na atrakcyjnego mężczyznę, zaledwie kilka lat starszego od niej, który miał na sobie obcisły, biały T-shirt i podnosił sztangę o wadze ponad stu kilogramów, nawet się przy tym nie pocąc. To była ostatnia rzecz, jaką chciała widzieć... I ostatnia, jaką potrzebowała widzieć. Mężczyźni tacy jak Jeff Dawson mogli pobudzać jej wyobraźnię w chwilach, gdy traciła nad sobą kontrolę, jednak teraz potrzebna jej była przede wszystkim zdrowa dawka rzeczywistości. Wysunęła z torebki opasłą kopertę i położyła na kontuarze. To właśnie jest rzeczywistość, myślała, wyciągając swoje opowiadanie i list z odmową.

Szanowna Pani Rogers...

To chyba ja.

Dziękujemy bardzo za umożliwienie nam przeczytania pani krótkiego opowiadania Last Woman Standing...

Co za durny tytuł! Powinnam była wymyśleć coś sensowniejszego.

Mimo że naszym zdaniem jest ono zabawne i dobrze napisane...

No i co jest złego w tym, że zabawne i dobrze napisane?

...nie wydaje nam się, aby pasowało do zainteresowań czytelniczek „Women's Own”...

Do diabła, dlaczego nie? Co w nim jest nie tak?

Życzymy z całego serca, aby Pani praca została przyjęta przez redakcje innych czasopism...

Jakich „innych czasopism”? Przecież próbowałam już we wszystkich!

...i mamy nadzieję, że będzie Pani pamiętać o nas w przyszłości...

Raczej próżna nadzieja!

...z wyrazami szacunku...

Niech się wypchają, powiedziała głośno, wsadzając list i opowiadanie do koperty. No to chyba dość na dzisiaj tej rzeczywistości, zdecydowała, a jej spojrzenie - wbrew najlepszym intencjom - odruchowo pobiegło w stronę sali ćwiczeń. Ada Perlman, której piękne, siwe włosy upięte były tuż nad karkiem w elegancki, francuski kok, mozoliła się na bieżni, poruszając się z prędkością najwyżej dwóch kilometrów na godzinę. I tak osiągnęła lepszy rezultat niż Gina Sorbara, balansująca na granicy otyłości pani w średnim wieku, której aktywność przypominała ruchy lunatyka. Jonathan Cartesis dzielnie walczył z wiosłami, a Bonnie Jacobs, leciwa dama ze zdiagnozowaną ostatnio osteoporozą, stała przed rzędem pojedynczych ciężarków z taką miną, jakby nie wiedziała, co tutaj robi. Tylko policyjny detektyw Jeff Dawson wyglądał tak, jakby znajdował się na właściwym miejscu. Leżał na plecach z nogami ustawionymi po obu stronach wąskiej ławki, a jego mocne uda napinały się miarowo, gdy w regularnych odstępach podnosił nad głowę sztangę. Kurczę, on naprawdę dobrze wygląda, pomyślała Lily i wtedy spostrzegła, że Bonnie Jacobs macha do niej ręką. Uśmiechnęła się, odpowiadając tym samym, ale pani Jacobs machała dalej. Najwyraźniej wzywała ją do środka. Lily pospiesznie zsunęła się ze stołka i weszła do sali, starannie unikając patrzenia w stronę pochrzającego z wysiłku detektywa.

- Czy coś się stało, pani Jacobs?

- Doktor powiedział, że powinnam ćwiczyć z ciężarkami, ale nie mam pojęcia, co mam robić. - Mówiąc to, chwyciła za dwie dziesięciokilogramowe sztangi, które prawie powaliły ją na kolana.

- Och, nie, pani Jacobs! To stanowczo za dużo dla pani! Może sobie pani zrobić krzywdę. Proponuję zacząć od tego. - Lily podniosła z półki małe ciężarki i podała starszej damie.

- Ale czy to wystarczy?

- Z pewnością. Niczego więcej pani nie potrzebuje, proszę mi wierzyć - powiedziała i zaraz potem opadły ją wątpliwości.

Dlaczego pani Jacobs miała jej wierzyć? Dlaczego ktokolwiek miałby to robić? Zademonstrowała kilka najprostszych ćwiczeń na bicepsy i tricepsy, a także na mięśnie klatki piersiowej, pleców i ramion.

- Wszystko mogę zapisać, jeśli pani sobie życzy - zaproponowała i szybko wycofała się z powrotem do recepcji.

Następne pół godziny minęło spokojnie - mówiła „dzień dobry” osobom, które wchodziły, „do widzenia” tym, które opuszczały siłownię, wyjęła z pralki jedną zmianę ręczników i załadowała następną. Trochę też zastanawiała się nad tym, jak Michael radzi sobie w szkole - zabrał dziś ze sobą maskotkę Kermita, bo na lekcjach mieli przedstawiać swoje ulubione pluszaki i opowiadać o nich innym dzieciom. Myślała, co porabia Jan, bo prosiła, żeby życzyć jej szczęścia, a także czy sama powinna jeszcze próbować napisać kolejne opowiadanie. Miała mnóstwo pomysłów, choć większość z nich była całkiem nieprawdopodobna. Co zawsze jej radzili bardziej doświadczeni w tym fachu? Żeby pisać o tym, co się dobrze zna. Ciekawe, czy potrafiłaby się na to zdobyć. Czy zdobyłaby się, aby być tak dzielna. Albo tak głupia.

Pokręciła głową, nieumyślnie znów rzucając okiem w głąb sali ćwiczeń, dokładnie w chwili, gdy Jeff Dawson podniósł się i usiadł okrakiem na ławce. W jednej chwili ławka zmieniła się w motocykl. Lily zachłysnęła się własnym oddechem i bezwiednie uniosła do ust rękę. Oczywiście, że on jeździ na motocyklu. Jest przecież gliniarzem i prawdopodobnie dostał motocykl razem z przydziałem terenu do patrolowania. Odwróciła się, stanowczo sprzeciwiając się dalszemu roztrząsaniu tej sprawy. Zresztą, co to za różnica, skoro i tak nie miała zamiaru się z nim spotykać?

- Wszystko w porządku? - zapytał, nagle zjawiając się obok niej.

Potrafił się poruszać z niewiarygodną gracją, jak na tak dużego mężczyznę.

- Oczywiście? A czemu pytasz?

- Bo jesteś trochę błada. Na pewno dobrze się czujesz?

- Jeździsz na motocyklu? - usłyszała własny głos. Nawet jeśli to pytanie go zaskoczyło, nie dał po sobie poznać.

- Nie. Nie jeżdżę, odkąd mam dzieci.

Lily skinęła głową i popatrzyła błagalnym wzrokiem na telefon, zaklinając go, żeby zadzwonił.

- Czy to znaczy, że jeszcze raz przemyślałaś moją propozycję na jutrzejszy wieczór? - dodał po dłuższej chwili.

- Przykro mi, ale naprawdę nie mogę - odpowiedziała. Szczęśliwym zrządzeniem losu w tym momencie zewnętrzne drzwi otworzyły się i do środka wkroczyła jej sąsiadka, Emma Frost.

- Cześć, Emma! - zawołała Lily. Uśmiechnęła się radośnie, jakby były najlepszymi przyjaciółkami na świecie. - Co tutaj robisz?

- Pomyślałam, że zobaczę, gdzie pracujesz, i może nawet się zapiszę. - Wielkie oczy Emmy błędziły po wnętrzu siłowni.

- Wspaniale. Teraz mamy specjalną ofertę na wejście. Tylko dwieście pięćdziesiąt dolarów na początku i potem trzydzieści co miesiąc.

- Dwieście pięćdziesiąt dolców? - powtórzyła Emma. Jej wzrok wreszcie zatrzymał się na Jeffie Dawsonie.

- To całkiem przyzwoita suma, jeśli porównasz ją z cenami innych klubów w mieście - wtrącił się Jeff.

- A ty jesteś...

- Jeff Dawson, stały członek klubu. Do tego z niezłym stażem.

- Och, to widać na pierwszy rzut oka - powiedziała żartobliwym tonem i wyciągnęła rękę. - Emma Frost.

- Czy my się gdzieś nie spotkaliśmy? - Ścisnął jej dłoń, jednocześnie taksując ją badawczym spojrzeniem.

- Nie sędzę. A dlaczego pytasz?

- Bo wydaje mi się, że cię znam.

- Oczy Emmy były na wszystkich opakowaniach tuszu do rzęs Maybelline - odezwała się Lily.

- Nie używam zbyt często tuszu do rzęs, przynajmniej ostatnio - wtrącił ze śmiechem. - Mój szef strasznie się krzywi, kiedy to robię.

Emma wbiła wzrok w podłogę.

- A tak dokładnie to czym się zajmujesz? - spytała.

- Jeff jest policjantem - oświadczyła Lily. Czy to tylko jej wyobraźnia, czy Emma wzdrygnęła się, słysząc te słowa?

- Lepiej już pójde. - Jeff oderwał się wreszcie od kontuaru w recepcji. - W razie czego w segregatorze masz mój numer - zwrócił się do Lily. - Zadzwoń, gdybyś jednak zmieniła zdanie.

Potrzebował zaledwie trzech kroków, żeby dotrzeć do wyjścia.

- Miły gość - zauważyła Emma, gdy tylko drzwi się za nim zamknęły. A potem spojrzała na Lily. - O czym on mówił?

Ale Lily potrząsnęła głową, jakby chciała odepchnąć od siebie to pytanie.

- Chodzicie ze sobą, czy jak? - dopytywała się Emma.

- Nie, oczywiście, że nie.

- To czemu się rumienisz?

- Wcale nie - zaprzeczyła Lily, nieświadomie naśladowując własnego syna.

- Okay - Emma wzruszyła ramionami. - Może wpadnę na to spotkanie klubu książki, jeśli zaproszenie jest jeszcze aktualne.

- No jasne, że tak. Czytałaś przypadkiem *Wichrowe wzgórza*! "

- Chyba żartujesz! To moja ulubiona książka.

- Świetnie. W takim razie widzimy się wieczorem. Emma podeszła do drzwi, ale przed wyjściem przystanęła na chwilę i odwróciła do Lily

- Lepiej nie angażuj się w związek z gliniarzem - powiedziała.

- A co, masz coś przeciwko policjantom? - Lily dołożyła wszelkich starań, aby jej głos zabrzmiał swobodnie.

Emma znów wzruszyła ramionami.

- Po prostu uważam, że się do niczego nie nadają.

7

Główna różnica pomiędzy Florydą a Georgią, jaką Jamie była w stanie zauważyć na pierwszy rzut oka - przynajmniej na tym odcinku autostrady I-75 - polegała na tym, że zmianie uległ wygląd wszechobecnych billboardów, które przerywały nudną jednostajność krajobrazu po obu stronach ruchliwej autostrady. Dojrzała brzoskwinia z Georgii zastąpiła soczyste pomarańcze z Florydy, a cebule Vidalia wypełniły puste miejsce po reklamach Sun Pass, które zniknęły razem z końcem

płatnego kawałka autostrady, to znaczy w Wildwood. Zamiast tablic odliczających kilometry dzielące podróźnych od Yeehaw pojawiły się niezliczone billboardy zachwalające smak orzeszków ziemnych i nerkowców. MY JESTEŚMY ORZESZKI! MAMY SKORUPKI! SKOSZTUJ NERKOWCA! Jamie dostrzegła też wysoce niepokojącą liczbę ogłoszeń reklamujących przybytki, które wydawały się zwykłymi burdelami dla kierowców ciężarówek. Kilka napisów wskazywało drogę do lokalu pod tytułem NIEPRYZWOITA KAFEJKA - WSZYSTKO NA WIERZCHU! oraz jej siostrzanego klubu CAFE EROTICA - TYLKO DLA ODWAŻNYCH! PARY MILE WIDZIANE! Inne zachwalały WSPANIAŁE ŻARCIE w towarzystwie nagich pań.

PEŁNA KOEDUKACJA!, obiecywał kolejny znak, choć bardziej trafne byłoby inne określenie - PRZEPUSTKA DO PIERDLA! - myślała Jamie, taksującym spojrzeniem obrzucając obfite loki i pełne usta młodych dam, które patrzyły na nią z tekturowych reklam. Wszystkie one dniem i nocą służyły rozrywce znudzonych podróźnych, podobnie jak szeroka oferta ZABAWEK DLA DOROSŁYCH I KASET WIDEO! Te przydrożne oazy otwarte były przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, a ich usługi można było streścić jednym hasłem: ŻARCIE I ZABAWA.

- Żarcie i zabawa... - powtórzyła Jamie, kręcąc z podziwem głową na widok ogromnej liczby samochodów przed każdym z przybytków, gdy śmigali obok zatłoczonych parkingów. Dochodziła szósta wieczorem, ale niebo wciąż było tak samo błękitne i jasne jak w godzinach południowych. Jamie wyprostowała nogi, wygięła w łuk plecy i szerokim ruchem zatoczyła głową pełne półkole, nasłuchując, jak trzeszcza jej stawy. Była zupełnie wykończona siedzeniem w jednej pozycji, choć to przecież Brad prowadził przez całą drogę.

- Zmęczona? - spytał, jakby czytał w jej myślach.

- Troszeczkę.

- Możemy się zatrzymać przy następnej kafejce dla odważnych - w błękitnych oczach pojawił się figlarny błysk.

- Mówisz serio?

- Wiesz, że jestem gotów zrobić wszystko, żeby cię uszczęśliwić.

Jamie wyraźnie się rozpromieniła.

- Lubię słuchać takich rzeczy - powiedziała i wtedy on zaczął się śmiać.

Uwielbiała jego śmiech. Prawdę mówiąc, uwielbiała właściwie wszystko, co dotyczyło Brada Fishera. Czy to możliwe, żeby w tak krótkim czasie zakochać się po uszy? Dokładnie rzecz ujmując, w czasie krótszym niż dwadzieścia cztery godziny?

Jej siostra z pewnością obstawałaby przy twierdzeniu, że to zwykłe szczeniackie zadurzenie i że Jamie chce się w ten sposób ostatecznie wyzwolić z ostatniego, fatalnego układu, który zresztą także nie miał nic wspólnego z prawdziwą miłością, dodałaby jej matka. Prawdziwą miłość należało budować na fundamencie zaufania i prawdy. Potrzebowała czasu, żeby się rozwinąć, a jej podstawę stanowiły wspólne cele i zainteresowania, tak samo godne szacunku jak wzajemne, czysto chemiczne przyciąganie. Nawiasem mówiąc, tylko idioci zakochują się od pierwszego wejrzenia - co do tego obie zgadzały się bez zastrzeżeń. Najtrudniejszą częścią miłości było wytrwanie w niej.

- No więc, opowiedz mi, jakie masz hobby? - spytała, żeby uciszyć te dokuczliwe, wszyszkowiedzące głosy.

- Hobby?

- Chyba masz jakieś, co?

- A ty?

- Tak naprawdę to nie - przyznała po chwili milczenia. - Choć pewnie powinnam mieć.

- Dlaczego?

- Sama nie wiem. Moja mama uwielbiała grać w scrabble. I zawsze mnie namawiała, żebym z nią grała. Ale nigdy nie podobały jej się słowa, jakie układałam - mówiła, że są za proste i że powinnam lepiej wykorzystać swoje litery... W sumie kończyło się na tym, że układała słowa za nas obie, a ja jedynie musiałam siedzieć i przyglądać się, dopóki się jej nie znudziło. Zresztą i tak to ona zawsze wygrywała. Z kolei moja siostra jest fanką brydża. Bez przerwy marudzi, żebym się nauczyła, ale jakoś nie mam ochoty. Ona i jej mąż, jak tylko usiądą do gry, zaczynają od razu na siebie wrzeszczeć. Kiedy byłam mała, zbierałam lalki Barbie - mówiła dalej, uśmiechając się do tych odległych wspomnień. - Czy to się liczy jako hobby?

- A nadal je zbierasz? Jamie pokręciła głową.

- W takim razie się nie liczy.

Zmarszczyła brwi, zastanawiając się, co się stało z kolekcją lalek. Nie widziała ich - a prawdę mówiąc, nawet o nich nie myślała - od czasu, gdy wyprowadziła się od matki. Prawdopodobnie nadal tam są, uświadomiła sobie, bezpieczne pośród innych rzeczy należących do zmarłej. Wśród tych rzeczy, które razem z Cynthią miały przeglądać dzisiejszego wieczora.

- Teraz twoja kolej - zwróciła się do Brada, w myślach wyrzucając cały dziecinny zbiór przez okno samochodu. One były częścią jej przeszłości, podczas gdy siedzący obok mężczyzna należał do czasu teraźniejszego. Może nawet do przyszłego, jak powoli pozwalała sobie myśleć. - Już dość gadałam na swój temat. Teraz ty opowiedz coś o sobie.

- A co chcesz wiedzieć?

- Sama nie wiem. Cokolwiek.

- Cokolwiek?

- Tak. Cokolwiek. Opowiedz mi o jakichś szczegółach z twojego życia.

- Szczegółach?

- Tak jest. Życie składa się z drobiazgów. Czy nie tak właśnie mówią?

Psiakrew, czy na pewno tak mówią? A może to chodziło o Boga? Że Bóg jest widoczny w szczegółach. Albo diabeł?

- Życie składa się z drobiazgów... - powtórzył jak echo. - Wiesz, podoba mi się to zdanie.

Jamie oblała się rumieńcem. Nareszcie powiedziała coś, co mu się spodobało. Nie było sensu teraz tego zmieniać.

- Na przykład powiedz mi, co lubisz robić. To znaczy... No wiesz, z wyjątkiem czego.

- Z wyjątkiem kochania się z tobą, tak? - Pochylił głowę w jej kierunku i prowokacyjnie wsunął język między zęby.

- Tak jest - odpowiedziała szybko. Znów poczuła między nogami znajome mrowienie. - Uważaj na drogę.

- A po co? Chodzi ci o robienie czegoś, co mnie interesuje?

Jamie się uśmiechnęła.

- Wiem już, że lubisz komputery.
- Komputery?
- No, przecież piszesz oprogramowanie. Chyba to właśnie mi powiedziałeś, prawda?
- Czy to możliwe, że źle go zrozumiała?
- Przepraszam, myślałem, że pytasz o moje hobby.
- Powiedziałeś przecież, że nie masz żadnego hobby. Popatrzył na nią z uśmiechem.
- No dobrze, powiedzmy, że lubię filmy.
- Tak? A jakie?
- Takie, jak wszyscy chłopcy. Kino akcji, filmy o wojnie, thrillery...
- Ja też lubię thrillery. Może potem pójdziemy na jakiś film? Może po drodze trafimy na kino dla kierowców?
- Dla kierowców? Myślisz, że coś takiego w ogóle jeszcze funkcjonuje?
- Nie mam pojęcia. Ale może gdzieś przy autostradzie mają coś takiego.
- Patrzyła na ciągnący się w nieskończoność pas trawy, który rozdzielał południową i północną nitkę autostrady, ale nie widziała niczego poza nieprzerwanym strumieniem aut płynącym w oba kierunki.
- Na co umarła twoja matka? - zapytał nieoczekiwanie Brad.
- Jamie wzięła głęboki oddech i powoli go wypuściła.
- Na raka. Zaczęło się mniej więcej pięć lat temu od lewej piersi. Lekarze ją zoperowali i myśleli, że wszystko udało się wyciąć. Ale to były tylko pozory. W taki podstępny sposób działa rak.
- I wszystko się odnowiło - raczej stwierdził, niż zapytał.
- Za drugim razem zaatakował ją dokładnie między płucami, więc tak naprawdę niewiele można było zrobić.
- Musiało jej być ciężko.
- Tak przypuszczam. Ale się nie skarżyła. Powiedziała, że fakty są faktami i że człowiek musi przyjąć je do wiadomości... Z zawodu była sędzią - dorzuciła po chwili.
- A jakie sprawy sądziła?

- Kryminalne.

- Wygląda na to, że była dość trudną osobą.

- No, na pewno nie było z nią łatwo żyć pod jednym dachem. - Jamie wzruszyła ramionami. - Wiesz... Myślę, że ciężko jest być kimś, kto ma jakąś władzę, w pewien sposób kontroluje życie innych ludzi i przez cały dzień mówi im, co mają robić, a potem wraca do domu i musi sobie radzić z zarozumiałą gówniarą, której wydaje się, że pozjadała wszystkie rozumy. To znaczy, wyobraź sobie, że z jednej strony jesteś kimś ważnym, bo w sądzie nikt nie śmie nawet wyjść do toalety bez twojego pozwolenia - dosłownie! - i wszyscy ci nadskakują w nadziei na przychylny dla siebie orzeczenie, a z drugiej, masz córkę, która ciągle się z tobą kłóci i nigdy nie słucha, nie mówiąc już o przyjmowaniu jakichkolwiek rad... To chyba musiało być dla niej trudne.

- Wyobrażam sobie, że dla was obu.

- Miała zwyczaj wyrzucania rąk w powietrze, o tak - Jamie zademonstrowała ten ruch, wyciągając ręce i rozczapierzając palce, jakby miała zamiar rozsypywać konfetti. - A potem wychodziła ciężkim krokiem z pokoju i mruczała do siebie: „No, pięknie. Tylko tak dalej. Rób sobie, co chcesz”. Bez trudu można było sobie wyobrazić jej sędziowską, długą togę, która ciągnie się za nią. - Jamie pokręciła głową. - Mówiła, że jestem niepoprawna.

- To znaczy?

- Uparta, pozbawiona samokontroli. - Jamie westchnęła ciężko. - I że nie poddaję się żadnej resocjalizacji.

- Nie poddajesz się resocjalizacji... - powtórzył z uśmiechem. - Mnie się to podoba.

- A mnie nie. Lubię myśleć o sobie, że jestem dobrym człowiekiem.

- Na tym właśnie polega twój problem.

- Tak?

- Za dużo myślisz.

- A co z twoją matką? - zapytała.

Nagle wydało się jej nieco dziwne, że za każdym razem, gdy ona pyta go o cokolwiek, kończy się na tym, że zaczynają rozmawiać o niej. Czy to możliwe, żeby była tak bardzo skoncentrowana na sobie?

Brad rozciągnął usta w wymuszonym uśmiechu, a jego palce zacisnęły się mocniej na kierownicy.

- Co z moją matką? - powtórzył jak echo.

- No cóż, opowiadałeś mi o swoich siostrach, ale ani słówkiem nie wspomniałeś mamy ani taty.

- Pewnie dlatego, że nie bardzo jest o czym opowiadać. Moi rodzice to zwykli, ciężko pracujący i bogobojni obywatele naszego wielkiego, pięknego kraju.

- Czemu mówisz to z takim sarkazmem?

- A mówię z sarkazmem?

- Sama nie wiem.

- Znowu za bardzo kombinujesz.

- Gdzie mieszkają? - spróbowała z innej strony.

- W Teksasie.

- Nigdy jeszcze nie byłam w Teksasie.

- Chyba żartujesz?

- Wcale nie. Jest mnóstwo miejsc, w których nigdy nie byłam.

- W takim razie będę cię musiał kiedyś tam zabrać. Uśmiechnęła się na samą myśl o takim rozwiązaniu.

- Bardzo bym chciała - odparła powściągliwie.

- A ty przez całe życie mieszkałaś na Florydzie?

- Przez większą część. Moja matka oczywiście chciała mnie wysłać do Harvardu, ale ja zdecydowałam, że wolę zostać na Florydzie. Potem przez krótki czas mieszkałam w Atlancie - dodała niechętnie.

- A co jest w Atlancie?

- Mój były.

- I jego mamusia - dokończył teatralnym szeptem. Znowu cała rozmowa kręci się dookoła czyichś mamus, pomyślała z irytacją.

- Może lepiej nie wracajmy do tego tematu - powiedziała na głos.

- Wręcz przeciwnie - zaproponował. - Za kilka godzin będziemy przejeżdżać przez Atlantę. Proponuję, żebyśmy do nich wpadli powiedzieć „cześć”. Jak ci się to podoba?

- Nie bardzo - odparła. - Spójrz, czy to policyjny wóz? - dodała, wskazując na czarno-biały samochód zaparkowany na poboczu autostrady.

- Psiakrew! - Brad wdepnął z całej siły na hamulec, choć jego wysiłek, żeby zredukować prędkość, zanim znajdą się w zasięgu radaru, z góry skazany był na porażkę.

Za późno. Krążownik znalazł się tuż za nimi, migając światłami.

- Psiakrew! - zawołał Brad jeszcze raz i z całej siły walnął otwartymi dłońmi w kierownicę.

Kiedy wreszcie zatrzymał samochód, Jamie wstrzymała oddech. Była przerażona jak diabli, choć sama nie wiedziała dlaczego. Obróciła się na fotelu, kiedy policjant w kasku z opuszczoną osłoną powoli zbliżał się do nich od strony kierowcy. Brad odkręcił szybę.

- Proszę prawo jazdy i dowód rejestracyjny - powiedział oficer, pochylając się do okna.

Brad sięgnął do kieszeni, a Jamie pospiesznie otworzyła schowek na rękawiczki i wyjęła stamtąd dowód rejestracyjny.

- Proszę wyjąć prawo jazdy z portfela - poinstruował Brada, a ten szybko wykonał polecenie.

- Czy wie pan, jak szybko pan jechał? - Odziana w rękawiczkę dłoń zabrała oba dokumenty.

- Nie jestem pewien - odpowiedział Brad. - Ale nie sądzę, żebym...

- Skasowałem pana przy prędkości stu dwudziestu pięciu kilometrów na godzinę - przerwał mu oficer. - Na tym odcinku obowiązuje prędkość stu dziesięciu kilometrów.

- Ja tylko próbowałem nadażyć za ruchem samochodów.

- Proszę tu poczekać - polecił policjant i wrócił do swojego wozu.

- Sukinsyn - zamruczał Brad, gdy tamten oddalił się o parę kroków.

- Co on robi?

- Poszedł sprawdzić, czy nie mamy zaległych mandatów.

- Naprawdę?

Jamie nasłuchiwała się opowieści o przedstawicielach wymiaru sprawiedliwości grasujących na drogach Południa i przesadzonych historii o podróżnych, którzy zmuszani byli do płacenia na miejscu wygórowanych kar lub zamykano ich w więzieniach, jeśli nie mieli przy sobie dość gotówki. Zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem jej samochód nie zostanie skonfiskowany i czy przyjemnie będzie spędzić noc w celi jakiegoś prowincjonalnego aresztu. Wyobraziła sobie swoją matkę, która przygląda się jej z wysokości błękitnego, bezchmurnego nieba i z dezaprobatą kręci głową.

- Brad! Dobrze się czujesz? - zapytała, bo nagle uświadomiła sobie, że Brad siedzi obok zeszywniały i z nachmurzoną miną.

Nie odpowiedział jej.

- Brad? - powtórzyła, ale wtedy obok ich samochodu znów pojawił się ten policjant i wręczył im prawo jazdy Brada i dowód rejestracyjny.

- Na tym obszarze jest sporo patroli - zauważył. - Sugeruję, żeby pan jechał wolniej, bo znów zostanieie zatrzymani.

Wypisał mandat i podał przez okno.

- Och, panie Fisher - dodał na odchodnym. - W jednej z tylnych opon ma pan chyba za niskie ciśnienie. Może lepiej niech pan się zatrzyma w Tifton, żeby ktoś rzucił na to okiem.

- Oczywiście - burknął Brad.

- Dziękujemy bardzo, panie oficerze - zawołała Jamie w ślad za policjantem. - To miło z jego strony, że powiedział nam o tej oponie...

- Dupek - parsknął Brad, wciskając do kieszeni dzinsów prawo jazdy razem z dowodem.

- Na ile cię skasował?

W odpowiedzi Brad podarł mandat na drobne kawałki i rzucił na podłogę.

- A jakie to ma znaczenie?

- Co robisz? - zaprotestowała. - Chyba nie masz zamiaru tego wyrzucić.

- Owszem, mam.

Włączył silnik, poczekał na dogodny moment i szybko wskoczył na prawy pas, mocno wciskając pedał gazu. Po chwili znów pędzili z prędkością znacznie przekraczającą dopuszczalne normy.

Jamie nie odezwała się ani słowem. Brad był wściekły, to pewne, a ostatnią rzeczą, jakiej sobie życzyła, było powiedzenie czegoś, co jeszcze bardziej wytrąciłoby go z równowagi.

- Jak myślisz, co się mogło stać z tą oponą? - zaczęła nieśmiało po kilku sekundach milczenia.

- Skąd mam wiedzieć? - warknął. - To przecież twój pieprzony samochód.

Łzy napłynęły jej do oczu. Poczua się tak, jakby z całej siły uderzył ją w twarz.

- Przepraszam - zawołał natychmiast. - Jamie, strasznie cię przepraszam!

- W porządku - wyjąkała z trudem.

- Nie, wcale nie w porządku. Nie powinienem był się tak do ciebie odezwać.

- Byłeś wkurzony.

- To nie jest żadne wytłumaczenie. Naprawdę bardzo mi przykro.

- Nie rozumiem - powiedziała. - To przecież tylko głupi mandat. W dodatku naprawdę jedziemy za szybko - dodała, zerknąwszy na deskę rozdzielczą.

Brad pospiesznie zdjął nogę z gazu, żeby dostosować prędkość auta do obowiązującego ograniczenia.

- Przepraszam - powtórzył raz jeszcze.

- Wygląda na to, że nie przepadasz za glinami.

Zareagował śmiechem i wtedy Jamie poczuła, że napięta atmosfera zaczyna ustępować. Uśmiechnęła się z wdzięcznością. Znow wszystko było w porządku. Dzięki uprzejmości policji stanu Georgia zdarzyła im się mała przerwa w podróży, ale na szczęście już wszystko wróciło do normy.

- Nienawidzę tych skurwysynów - warknął i cały spokój diabli wzięli.

Jamie zeszywniała i z przerażenia prawie przestała oddychać.

- Dlaczego? - ośmieliła się wyszeptać.

Brad potarł wierzchem dłoni koniuszek nosa i zmrużył oczy, żeby sprawdzić we wstecznym lusterku, co się dzieje z tyłu. Najwyraźniej zastanawiał się, ile może jej powiedzieć.

- Kiedy miałem siedemnaście lat, mój ojciec sprawił sobie nowy wóz - zaczął. - To był pontiac firebird - rozpromienił się na samo wspomnienie. - Czerwony, z turbodoładowaniem, ze skórzaną tapicerką w czarnym kolorze... Prawdziwa piękność. Stary był z niego dumny jak cholera, bez przerwy go czyścił i polerował. Niech cię Bóg broni, abyś spróbowała się o niego oprzeć albo zostawić na lakierze odciski brudnych paluchów! Gwarantuję ci, że dostałby szału. No cóż, ale co byś zrobiła na miejscu siedemnastoletniego gówniarza, który chce zaimponować dziewczynom, a jego ojczulek ma nowiutkiego, czerwonego firebirda?

- Chyba nie wzięłaś go bez pytania?

Zerknął na nią spod oka.

- Pewnej nocy wyczekałem, aż rodzice położą się spać, a potem zabrałem z garażu to świeżo umyte, lśniące nowością cudo i pojechałem na przejażdżkę z moją ukochaną Carrie-Leigh Jones. Pamiętam, jak siedziała na tym czarnym, skórzanym fotelu obok mnie i jak myślałem, że jeśli teraz nie uda mi się jej przelecieć, to już chyba nigdy.

Jamie się uśmiechnęła, choć przeczuwała, że zbliża się jakieś nieszczęście.

- Jeździliśmy sobie tak przez pewien czas. Prowadziłem bardzo ostrożnie, bez żadnych popisów czy szaleństw typu gaz do dechy, a potem skierowałem się do Parku Namietności czy jak mu tam było... Przynajmniej tak go wtedy nazywaliśmy, ponieważ wszyscy tam chodzili w wiadomych celach. Tamtej nocy w parku było wyjątkowo spokojnie. Chyba dlatego, że przyjechaliśmy o późnej godzinie i większość dzieciaków wróciła już do domów... W każdym razie zaczęliśmy się z Carrie całować i właśnie miałem na serio zabrać się do niej od spodu - tak o tym mówiliśmy - kiedy usłyszałem, jak obok zatrzymuje się tamten samochód. Z początku sądziłem, że to jakiś inny chłopak, któremu też się poszczęściło, ale zanim zdążyłem spojrzeć w górę, oślepiło mnie światło latarek. Dwaj gliniarze wyciągnęli mnie na zewnątrz i zaczęli tłuc jak psa, tuż przed nosem Carrie-Leigh... - Twarz Brada pociemniała na wspomnienie tego, co zdarzyło się potem. - Byłem już ledwo przytomny, kiedy w końcu jeden z nich przełożył mnie sobie przez kolano, zupełnie jakbym był małym dzieckiem, a jego kumpel zdjął pas i spuścił mi lanie. Pamiętam, że beczałem jak dzieciak i błagałem, żeby przestali. A potem usłyszałem, jak jeden z nich pyta Carrie-

Leigh, czemu nie poszukała sobie prawdziwego faceta... Obiecali, że nie powiedzą jej starym, gdzie ją znaleźli, jeśli ona też będzie trzymać język za zębami i nikomu nie powie, co się tu zdarzyło.

Jamie z trudem wydobyła z siebie głos.

- I co dalej?

Brad wzruszył ramionami.

- Mniej więcej to, czego się możesz spodziewać. Odwieźli Carrie-Leigh do domu, a mnie zostawili w tym parku na pastwę losu, żebym sam się sobą zajął... - Zamilkł na długą chwilę. - W końcu jakoś udało mi się dotrzeć do chałupy, choć bałem się jak diabli, że zabrudzę krwią te pieprzone fotele z czarnej skóry. W dodatku byłem na tyle głupi, by mieć nadzieję, że mój stary śpi. Ale nie, czekał przy drzwiach... Okazało się, że to on zadzwonił po gliniarzy i kazał im dać mi nauczkę.

- Kazał cię zbić?

- Żeby sobie oszczędzić kłopotu, jak przypuszczam. - Brad uśmiechnął się smutno. - Kiedy mnie zobaczył, zaczął się śmiać, a potem powiedział, że jeśli jeszcze kiedyś ośmielę się dotknąć jego samochodu, to zabije mnie gołymi rękoma. - Zaśmiał się, a ten niewesoły śmiech odbił się od szyb auta.

- Boże, to coś strasznego.

- Wcale nie. To po prostu samo życie. Jak to mówiła twoja matka - fakty są faktami i człowiek musi się z nimi pogodzić? Hej, popatrz - zawołał, wskazując na wielki znak na poboczu drogi.

WITAJCIE W TIFTON, głosił napis, OTO ŚWIATOWA STOLICA KSIĄŻKI.

- Ciekawe, skąd o tym wiedzą? - mruknął Brad.

- Może zatrzymamy się, żeby coś zjeść - zaproponowała Jamie. - Przy okazji ktoś mógłby sprawdzić tę oponę.

Brad skinął głową.

- Bardzo cię przepraszam, Jamie - powiedział ponownie.

Wyciągnęła rękę i czule objęła palcami jego dłoń.

- Za co? - spytała.

8

- W porządku, Dylan. Chodź już na górę! - zawołała, podchodząc do szczytu schodów. Wyszła z łazienki opatulona w duży ręcznik w kolorze musztardowym, a drugim, mniejszym, owinęła mokre włosy. - Czas iść do łóżka.

Cisza.

Nagie stopy Emmy zatupały po deskach podłogi korytarza na piętrze. Po chwili zajrzała do sypialni syna. Sypialni wielkości znaczka pocztowego, pomyślała z gorącością, kiedy jej wzrok przesunął się po łóżku przypominającym rozmiarami leżankę, które zajmowało środek pokoju, po brązowej macie do kąpielni, która służyła za dywanik, i prostej komodzie z drewna, opartej o przeciwległą ścianę. Jeden ze szkolnych rysunków Dylana, nieoprawiony kolaż wypełniony mnóstwem kolorowych szczegółów - spore, zielone wzgórze, jakaś figura odziana w czerwony płaszcz i białe łyżwy potężnych rozmiarów, która skacze wysoko w powietrze w napadzie radosnego uniesienia, rozkładając przy tym szeroko nogi i opierając na biodrach ręce, w prawym górnym rogu uśmiechnięte, żółte słończko, a do tego bezcielesne, różowe i niebieskie buźki, rozrzucone nierównomiernie po całej kartce - przypuszczalnie zatytułowany „Jak wyobrażam sobie Panią Zimę”, wisiał na ścianie przyklejony taśmą i stanowił jedyną ozdobę malutkiego pokoiku.

- Dylan, chodź już, kochanie. Gdzie jesteś?

Emma zerknęła na zegarek. Było już parę minut po siódmej. Miała jeszcze prawie pół godziny, żeby się ubrać i wysuszyć włosy, a potem asystować synowi w jego wieczornych rytuałach, zanim wyjdzie do Lily. Może uda się zrobić tak, żeby zasnął jeszcze przed przyjściem starej pani Discała... Pod warunkiem, że zaraz go znajdzie.

Nagle dopadł ją paniczny strach. A jeśli ich kryjówka została odkryta? Może ojciec Dylana wdarł się tu, kiedy była zajęta śpiewaniem pod prysznicem? Porwał dziecko i zniknął z nim w ciemnościach nocy... Jeśli to prawda, może za to winić wyłącznie siebie. Wcale nie musiała myć włosów, były jeszcze całkiem znośne. Dlaczego tak zależało jej, żeby zrobić dobre wrażenie na garstce jakichś bab, których nie знаła i których opinia wcale nie powinna jej obchodzić? Kobiet, których towarzystwa

unikala aż do chwili, kiedy zamieszanie z listami sprowadziło pod jej drzwi tę uroczą i niczego niepodjejrzejawiającą sąsiadkę? To właśnie ona zaoferowała Emmie powrót do innego życia - życia, w którym było miejsce na coś więcej niż tylko na kręcenie się wokół zwykłych spraw, spanie i sztywne wieczorne rytuały. Życia, w którym był czas na spotkania z przyjaciółmi i rozmowy z innymi ludźmi, pomyślała. Po prostu był czas na życie. Ta propozycja wydawała się zbyt kusząca, żeby tak zwyczajnie ją odrzucić.

- Dylan! - wrzasnęła z całych sił, balansując na granicy hysterii.

- Schowałem się - dobiegł ją słaby, przytłumiony głosik z wnętrza niedużej szafy.

Oddechnęła z ulgą i natychmiast się uspokoiła.

- No to już wyjdź, bo trzeba iść spać.

- Najpierw musisz mnie znaleźć.

Ściągnęła z głowy ręcznik, zarzuciła go na nagie ramiona i ruszyła w kierunku niedużego podestu.

- Mam cię znaleźć? Ale jak? Zawsze umiesz się tak dobrze schować. Chyba nie dam rady.

Tupiąc, podeszła do swojej sypialni, z przesadą otworzyła drzwi, a następnie głośno je zamknęła.

- Nie, tu cię nie ma... To gdzie jesteś? Może mi podpowiesz?

Z sąsiedniego pokoju dobiegł przytłumiony chichot. Wróciła do sypialni Dylana.

- I tu też cię nie ma - mówiła dalej, zbliżając się do łóżka, żeby podnieść cienki koc w brązowo-białe pasy, który wisiał po obu bokach ramy. - Zobaczmy... Jesteś pod łóżkiem? - Zamilkła na chwilę. - Nie, pod łóżkiem też nie.

- Zajrzyj do szafy - odpowiedział jej głośnym szeptem.

- Chyba rzeczywiście muszę sprawdzić w szafie - oznajmiła. Kilkoma długimi krokami przemierzyła na ukos pokój i otworzyła na oścież drzwi. Od razu spostrzegła Dylana. Zwinął się w kłębek pod tylną ścianą, a głowę ukrył pod stosem brudnych ubrań, które czekały tu od tygodnia, aż ona przypomni sobie o nich i zanieśie do pralni. - Nie, tutaj też cię nie ma - powiedziała, mimo że dostrzegła, jak bielizna trzęsie się od tłumionego śmiechu. - Gdzieżeś ty się schował?

- Spójrz na dół, głuptasie.

- Na dół? Ale tam są tylko rzeczy do prania. - Pochyliła się i wyciągnęła ręce. -
Lepiej zabiorę je do pralni, bo zasmrodzą nam cały dom.

Dylan pisnął z uciechy i wysunął głowę, rozrzucając przy okazji ubrania.

- To ja, mamusiu - zawołał, skacząc w jej objęcia. Cofnęła się o krok, jakby rzeczywiście ją zaskoczył.

- Nie! Naprawdę schowałeś się pod tymi rzeczami do prania?

Kiwnął głową z wielkim entuzjazmem.

- Ale cię nabrałem.

- No pewnie, że tak.

- To teraz twoja kolej. - Zsunął się na podłogę i spoglądał na nią wyczekująco.

- Kochanie, teraz nie mogę! Muszę się ubrać i wysuszyć włosy.

- Nie. Teraz ty musisz się schować. - Duże, niebieskie oczy natychmiast wypełniły się łzami.

Emma wiedziała już, że kiedy dzieciak patrzy na nią w ten sposób, lepiej od razu dać za wygraną.

- No dobrze. Ale zaraz potem pójdziesz do łóżka. Umowa stoi?

- Stoi.

- To zamknij oczy i policz do dziesięciu.

Zdażył doliczyć do pięciu, zanim Emma dotarła do drzwi. Gdzie mam się schować, zastanawiała się, wpadając do łazienki. Wskoczyła do wciąż mokrej wanny i owinęła się zasłoną. Boże, ile bym dała za osobną kabinę prysznicową, pomyślała w chwili, gdy Dylan doszedł do dziesięciu.

- Idę. Wszystko jedno, czy jesteś gotowa, czy nie.

I chciałabym mieć jacuzzi, fantazjowała, czekając, aż na podłodze z kafelków rozlegną się drobne kroki jej synka. Zamiast tego usłyszała, jak potyka się na schodach prowadzących na parter. Dokąd on się wybiera? Musiał przecież wiedzieć, że schowała się pod prysznicem, bo zawsze tak robiła. Co tym razem wykombinował? Odsunęła białą, plastikową zasłonkę, ostrożnie wyszła z wanny i na palcach podeszła do szczytu schodów. Słyszała, jak Dylan grzebie w szafkach kuchennych. Zupełnie jakbym była w stanie wcisnąć się w którąkolwiek z nich, uśmiechnęła się na samą

myśl o tym i zaczęła rozczesywać włosy, a następnie musnęła różem policzki i nałożyła na rzęsy trochę tuszu.

- Oczywiście maybelline - poinformowała swoje odbicie w lustrze. Tymczasem Dylan skończył przeszukiwać kuchnię i przeniósł się do jadalni.

- Mamusiu, nie mogę cię znaleźć - poskarżył się.

- Szukaj dalej - zachęciła go Emma i obrysowała kontur ust ołówkiem. Potem dwoma ruchami wypełniła obrys szminką i sięgnęła pod umywalkę, gdzie trzymała suszarkę do włosów. Powiew gorącego powietrza owiewał jej głowę, a ona w tym czasie robiła w myślach przegląd zawartości szafy. Co należy włożyć na spotkanie klubu książki, zastanawiała się? Spódnica wydawała się zbyt oficjalna, z kolei dzinsy mogły zostać odebrane jako oznaka lekceważenia. Chyba najlepsze będą zwykłe czarne spodnie, zdecydowała, choć jej jedyna para czarnych spodni była uszyta z wełny i nie bardzo nadawała się na tę porę roku.

Emma doszła do wniosku, że przydałoby się jej kilka nowych rzeczy, oczywiście nic ekstrawaganckiego czy niepraktycznego, po prostu jakieś bawełniane, luźne spodnie, a do tego kilka sympatycznych bluzeczek. Oczywiście Dylanowi też się należą nowe ciuchy, pomyślała, czując na plecach pełne wyrzutu spojrzenie niebieskich oczu.

- Wcale się nie schowałaś - powiedział drżącym głosem.

- Owszem - próbowała mu wyjaśnić. - Ale...

- Musimy zacząć jeszcze raz.

- Dylan...

- Wcale nie Dylan! - zaprotestował gniewnie. - Nie nazywam się Dylan!

Emma natychmiast opadła na kolana i wbiła palce w miękkie ciało na szczupłych ramionach synka.

- Owszem, nazywasz się Dylan. Dylan Frost. Powtórz to.

- Nie!

- Pamiętaj, o czym rozmawialiśmy? Jak ważne jest to, byś mówił, że jesteś Dylan Frost? Przynajmniej jeszcze przez jakiś czas.

- Ale ja nie chcę tak się nazywać.

- A chcesz, żeby oni tu przyjechali i zabrali cię od mamusi? Tego właśnie chcesz?

Malec zaczął gwałtownie kręcić głową, a w jego oczach błysnął strach.

Emma zdawała sobie sprawę, że powinna natychmiast przestać, ale nie mogła się powstrzymać. Musiała wbić mu do głowy, jak ważne jest, żeby dalej odgrywał tę farsę. Od tego zależało ich szczęście i spokój.

- Chyba nie chcesz mieszkać razem z obcymi ludźmi, prawda?

- Nie! - wykrzyknął chłopiec i ukrył twarzyczkę jej (ojciec (081) (jw) 0.12.26 Tczw 0.04

I gdy liczył, znowu schowała się za zasłoną prysznicową, a Dylan po chwili znowu popędził na dół, żeby sprawdzić zawartość kuchennych szafek. Zerknęła na zegarek. Stara pani Discala powinna przyjść lada moment, a ona była jeszcze daleko w lesie, jeśli chodzi o ukończenie przygotowań. Zaczęła się zastanawiać, czy protokół klubowych spotkań dopuszczał możliwość spóźnienia się o dziesięć... powiedzmy, o piętnaście minut. Może powinna przynieść jakieś ciasteczka albo butelkę wina? Nie mam w domu ani jednego, ani drugiego, mruknęła, nasłuchując kroków Dylana, który teraz wspinał się po schodach. Nareszcie! Sekundę później wszedł do łazienki i odsunął zasłonę. Wydawał się naprawdę zaskoczony, że właśnie tu się schowała.

- O rany, więc jednak mnie znalazłeś! - zawołała z udawaną konsternacją.

- Pobawmy się jeszcze raz - poprosił natychmiast.

- Ho, ho! Nic z tego. Najwyższy czas, żebyś zaczął się szykować do spania - powiedziała zdecydowanym tonem. - Idź po piżamę, a ja w tym czasie się ubiorę.

Dylan wyduł wargi, ale poddał się bez sprzeciwu i posłusznie zrobił to, co mu kazała. Emma wygramoliła się z wanny, wytarła mokre stopy w zniszczony, różowy dywanik, a następnie poszła do swojej sypialni, żeby przejrzeć zawartość szafy. Ostatecznie zdecydowała się na czarne spodnie i względnie nową, brzoskwińową bluzkę z dżerseju. Włosy były jeszcze wilgotne, więc kilka ciemnych pasm po obu stronach twarzy zdążyło zwinąć się w niesforne loki.

- Cholera jasna! - zakląła pod nosem. Na pewno nie będzie miała dość czasu, żeby się tym zająć i spróbować je ułożyć. Tak właśnie wygląda całe moje życie, pomysłała, kiedy syn w podskokach wpadł do pokoju. Na sobie miał niebieską, flanelową piżamę.

- Gdzie idziesz? - zapytał ostrożnie, gdy ją zobaczył.

- Nigdzie - skłamała i od razu pożałowała, że musiała to zrobić. Jednakże Dylan strasznie się niepokoił za każdym razem, gdy wychodziła bez niego, a w dodatku teraz za bardzo się spieszyła, by cokolwiek mu wyjaśnić. Tak było po prostu łatwiej i lepiej dla nich obojgu.

- To dlaczego tak się wystroiłaś?

- Wcale się nie wystroiłam.

- Owszem, tak.

Emma znowu pozwoliła sobie na kłamstwo.

- Nigdzie się nie wybieram - powiedziała. - Po prostu stara pani Discala ma przyjść z wizytą.

- A po co?

- Bo ją zaprosiłam.

- Czemu ją zaprosiłaś?

- Bo tak chciałam. - Stanowczo nie była w odpowiednim nastroju do gierki typu „dlaczego”.

Zostało jej zaledwie parę minut na to, żeby zapędzić Dylana do łóżka i poczekać, aż zaśnie. Dopiero wtedy będzie mogła wyjść. Normalnie chłopiec zasypiał natychmiast, choć swoje wieczorne rytuały wykonywał niespiesznie i z pewnego rodzaju namaszczeniem. Czasem spał, zanim jego głowa dotknęła poduszki, i nie budził się aż do rana. Oczywiście, o ile w środku nocy nie dopadł go jakiś koszmarny sen. Na szczęście to nie jest problem, myślała Emma, odprowadzając syna do łazienki. Patrzyła, jak powoli odkręca tubkę z pastą do zębów, a potem skrupulatnie wyciska żel w biało-zielone paski na miękkie włosie pomarańczowej szczoteczki. Miała zamiar wyjść tylko na kilka godzin i wrócić na tyle wcześnie, by zdążyć go pocieszyć, gdyby się przebudził.

Zaczęła przyglądać się własnemu odbiciu w lustrze, podczas gdy jej syn rozpoczął długi proces czyszczenia zębów. Wyglądam na strasznie zmęczoną, pomyślała. Nikt by nie wpadł na to, że mam dopiero trzydzieści lat, bo z tą ziemistą cerą wyglądam znacznie starzej... Potrzebne mi są wakacje, zdecydowała. Kilka dni spędzonych w samotności. Jakby to było cudownie, mówiła sobie po cichu, odliczając ostatnie z piętnastu pociągnięć szczoteczka, jakich jej syn potrzebował, żeby wyczyścić górne ząbki. Teraz przyszła kolej na dolne. Emma zwalczyła pragnienie, żeby wyrwać mu szczoteczka i samej dokończyć dzieła, a potem jak najszybciej zaprowadzić do łóżka. Przypomniała sobie, że kiedyś już tak zrobiła i że problemy, jakie z tego wynikły, prześladowały ich oboje przez długie dni. Wówczas na serio zaczęła się zastanawiać nad konsultacją ze szkolną pielęgniarką, ale szybko zrezygnowała z tego pomysłu. Pielęgniarka ze szkoły wiedziała, co należy zrobić z ciekającym nosem albo zadrapanym kolaniem, ale z pewnością nie miała pojęcia o

postępowaniu w przypadku natręctw myślowych i czynności przymusowych. Wizyta u prawdziwego terapeuty w ogóle nie wchodziła w rachubę. Terapeuci kosztują masę pieniędzy - pieniędzy, których Emmie stale brakowało. Poza tym, terapeuta zadawałby jej mnóstwo pytań, na które nie znała odpowiedzi. A jeśli nawet, to były to odpowiedzi, jakie powinna zachować dla siebie.

Dylan napełnił do połowy stojący z boku mały kubeczek, przerywając nalewanie wody dokładnie wtedy, gdy sięgnęła do ciemnej kreski biegnącej w poprzek różowego plastiku. Następnie wyplukał usta - najpierw z lewej, potem z prawej strony - i w końcu trzy razy splunął do umywalki, a potem ustawił kubeczek na blacie, dokładnie tam gdzie stał uprzednio. Wreszcie wytarł buzię w cienki, biały ręcznik.

- Skończyłem - oznajmił z dumą, tak jak każdego wieczora.

Pogłaskała go po szczupłym tyłeczku, jednocześnie popychając lekko w stronę drzwi. Odprowadziła synka do sypialni i patrzyła, jak dwukrotnie dotknął drewnianej ramy wąskiego łóżka, zanim wślizgnął się pod kołdrę, i jak sięgnął za głowę, by popukać w ścianę. Czyżby chciał w ten sposób sprawdzić, czy ściana wciąż jest na swoim miejscu? Może chodziło o poszukiwanie jakichkolwiek oznak trwałości, nieważne jak znikomych? Może to ona była odpowiedzialna za tak irracjonalne zachowanie dziecka, z niepokojem pytała samą siebie, co z kolei stało się jej wieczornym rytuałem.

No cóż, zmieniłam mu imię i powiedziałam, że obcy ludzie mogą przyjechać i go zabrać, przypomniała sobie i z żalem pokręciła głową, a w tym czasie Dylan włączył radio, które stało przy łóżeczku. Mimo wszystko nie mogła siebie obwiniać za ich obecną sytuację. Owszem, standard życia zdecydowanie im się pogorszył, a ona często bywała spięta i przygnębiona, ale kochała syna ponad życie i miała nadzieję, że pewnego dnia on zrozumie, dlaczego musiała potajemnie uciekać, pozbawiając go w ten sposób wszystkiego, co kochał i do czego się przyzwyczył. Czy wówczas podjęła słuszną decyzję? Mnie też dręczą nocne koszmary, chciała powiedzieć, ale zamiast tego powiedziała coś całkiem innego.

- Dobranoc, kochanie - pieszczotliwie pogłaskała go po włosach. - Śpij dobrze.

- Opowiedz mi jakąś bajeczkę.

O, to coś nowego, pomyślała Emma. Coś całkiem niespodziewanego. Dylan musiał wyczuć, że dziś jest inaczej niż zwykle. Spojrzała na zegarek. Było już prawie wpół do ósmej, więc teraz zaczęła się zastanawiać, co mogło zatrzymać panią Discala.

- Nie znam żadnych bajeczek - powiedziała ucziwie.

- Tak? A tatuś znał mnóstwo.

Emma poczuła, jak całe jej ciało sztywnieje.

- Wiem, skarbie, ale...

Urwała nagle, bo znów poczuła się głupia i niepełnowartościowa, tak samo jak przez większość czasu, jaki spędziła w małżeństwie z ojcem Dylana.

- Ale co?

Ale tatuś był kłamczuchem, chciała wykrzyknąć na cały głos. I znów powiedziała coś całkiem innego.

- Może jutro ci coś opowiem, dobrze? Może nawet pójdziemy do księgarni i będziesz mógł wybrać sobie jakąś książkę...

- Opowiedz mi teraz - domagał się z uporem.

Przez kilka sekund próbowała uruchomić wyobraźnię, ale bez powodzenia. Boże, co się ze mną dzieje, myślała w popłochu. Co ze mnie za matka, skoro nie potrafię opowiedzieć dziecku żadnej historyjki?

- No dobrze... Ale jeśli ci coś opowiem, to obiecujesz, że zaraz potem pójdziesz spać?

Dylan z entuzjazmem kilkakrotnie skinął głową.

- Okay. Ale tylko jedną - zastrzegła, żeby zyskać na czasie. Z pewnością pamiętam choć jedną bajeczkę z własnego dzieciństwa, pomyślała. Tyle tylko, że nikt nigdy nie czytał mi bajek, kiedy szłam spać, dodała w duchu zaraz potem.

- Mamusiu? - Dylan spoglądał na nią pytająco.

- No więc tak... Pewnego razu był sobie mały chłopiec - zaczęła.

- A jak się nazywał?

- Richard.

- Ale ja nie lubię tego imienia.

- Nie? A jakie lubisz?

- Buddy.

- Buddy?

- No... W mojej klasie jest chłopiec, który nazywa się Buddy, i jest naprawdę fajny.

- Fajny?

- Tak. To czy ten chłopiec z bajki może nazywać się Buddy?

Emma wzruszyła ramionami, przy okazji zerkając na zegarek. Było już dokładnie wpół do ósmej.

- Więc dobrze, niech będzie Buddy...

Boże, gdzie się podziewa pani Discala? Zwykle wszędzie przychodziła punktualnie.

- Mamusiu? - ponaglił ją Dylan.

- Co?

- No, był sobie mały chłopiec, który nazywał się Buddy...

- Tak jest. Dawno, dawno temu był sobie mały chłopiec. Nazywał się Buddy i miał pięć lat.

- A jak wyglądał?

- Był wysoki. Miał mniej więcej sto dziesięć centymetrów wzrostu i jasnobrązowe włosy, które bardzo pasowały do jego prześlicznych, błękitnych oczu.

- To zupełnie jak ja.

- Zgadza się. Buddy był podobny do ciebie.

I co dalej, myślała w popłochu. Nigdy nie była dobra w wymyślaniu czegokolwiek, jak na przykład Lily, którą proszono w klasie, by czytała na głos swoje opowiadania. Jej wyobraźnia nie działała w taki sposób. Bez trudu mogła mówić o tym, czego sama doświadczyła - a Bóg jeden wie, że mogłaby przytoczyć niejedną historię - ale nie umiała układać wierszyków dla dzieci ani bajeczek.

- W każdym razie Buddy lubił lizaki z lukrecją - recytowała, bo szczęśliwie przypomniały jej się fragmenty z opowiadania Lily. - Takie długie, skręcone i czerwone, o których jego siostra mówiła, że wcale nie są zrobione z lukrecji, tylko z jakiegoś plastiku.

- Z plastiku?

„Nasączonego paskudnym, czerwonym barwnikiem, od którego Buddy na pewno dostanie raka, kiedy już będzie dorosły”, mówiła dalej w myśli. Nie powtórzyła tego na głos. Dylan i tak miał dość powodów do niepokoju. Dlaczego Lily nie napisała czegoś odpowiedniego dla dzieci?

- No więc, Buddy i jego mamusia mieszkali w małym domku na obrzeżach miasta.

- A gdzie był tatuś Buddy'ego?

- Buddy nie miał tatusia - odparła krótko. I wtedy zadzwonił telefon.

- Zamknij oczy i poczekaj na mnie - poleciła małemu Emma. - Za chwilę wrócę.

Popędziła do swojej sypialni i odebrała w połowie trzeciego sygnału.

- Halo?

To była pani Discala. Strasznie przeprasza, ale dziś nie da rady popilnować dziecka. Nadwyrężyła sobie plecy, kiedy po południu sadziła nowy krzak róży na podwórku za domem, i od tego czasu leży jak długa; myślała, że jej do wieczora przejdzie, ale nie przeszło, więc skontaktowała się telefonicznie ze swoim synem, który jest felczerem, i on poradził, żeby wzięła kilka tabletek advilu, zrobiła sobie gorącą kąpiel i poszła do łóżka. Naprawdę jest jej przykro, bo za nic w świecie nie chciała sprawić Emmie zawodu, zwłaszcza w ostatniej chwili, ale naprawdę nie widzi możliwości, żeby w obecnym stanie zajmować się małym dzieckiem, nawet tak grzecznym jak Dylan i nawet wówczas, gdy dziecko śpi. Po prostu nie może i już. Jeszcze raz bardzo przeprasza.

- Nic nie szkodzi - odparła Emma. Odwiesiła słuchawkę i dopiero wtedy wybuchnęła płaczem. - Niech to diabli!

Sama była zaskoczona, że tak bardzo poczuła się rozczarowana takim obrotem sprawy. Od dawna pozbawiona towarzystwa dorosłych, nie przypuszczała nawet, jak ogromnie go pragnie i dopiero teraz dotarło do niej, że bardzo czekała na dzisiejszy wieczór, nawet jeśli miał być wypełniony siedzeniem w gronie nieznanych jej bab i dyskutowaniem na temat książki, której nigdy nie czytała.

Co ją podkusiło, by powiedzieć Lily, że *Wichrowe wzgórza* to jej ulubiona powieść? Może ulubiony tytuł, ponieważ tyle tylko udało się jej przeczytać z tej prze-

klętej książki. Czytanie nigdy nie zajmowało wysokiej pozycji na jej liście priorytetów, co pewnie wynikało z faktu uczęszczania do ekskluzywnej, prywatnej szkoły - podobno ekskluzywnej, poprawiła się - gdzie od studentów oczekiwano, że będą czytać co najmniej jedną książkę tygodniowo, co stanowiło część ogólnego programu promującego doskonałość w każdej dziedzinie. I co z tego, że nigdy nie wypromowano niczego poza własnymi korzyściami i że chodziło jedynie o zachowanie status quo? Nie, w Bishop Lane Schools for Girls, do której została przyjęta - aczkolwiek niechętnie - ponieważ jej matka była pracownikiem miejscowego aresztu, o wiele bardziej liczyło się to, skąd przychodzisz, niż dokąd zmierzasz. A ponieważ ona pochodziła ze społecznych nizin, generalnie nie spodziewano się po niej zbyt wiele.

Może dobrze się stało, że dzisiejszy wieczór ułożył się tak, jak się ułożył, pomyślała. Dość niezręcznie byłoby znaleźć się wśród samych obcych osób. W końcu palnęłaby coś głupiego i pokazała się w jak najgorszym świetle, i te nowo poznane kobiety zaczęłyby jej unikać, tak samo jak koleżanki z klasy w Bishop Lane, kiedy zorientowały się, że jest kimś niewiele lepszym od dzieciaka z organizacji dobroczynnej. Córka stróża, tak ją nazywały. Nie liczyło się, że jej dziadek ze strony matki był niegdyś tak samo bogaty jak każda z nich, ponieważ to nie ich rodzice roztrwonili odziedziczoną fortunę w serii nieudanych transakcji i jeszcze gorszych inwestycji, nie ich ojcowie odeszli w siną dal, kiedy pieniądze się skończyły, nie ich matki zmuszone były pracować na dwóch posadach, żeby spłacać najgorsze długi, i na trzeciej, żeby mieć z czego pokryć bieżące potrzeby... Czyż można się dziwić, że jej matka nigdy nie miała czasu, żeby czytać córce bajeczki? I czy to takie niezwykle, że jej własne życie, pełne fatalnych wyborów i jeszcze gorszych konsekwencji, przypominało poskręcaną spiralę, która nieuchronnie ciągnęła ją w dół?

Spędziła niemal trzydzieści lat na walce z pojęciem, że biologia jest przeznaczeniem; pełna determinacji, żeby uciec przed nieuchronnym losem, przeskakiwała przez kolejne przeszkody, które stale piętrzyły się przed nią. Jednak mimo wszystko - niezależnie od drogi, którą zdecydowała się wybrać - zawsze kończyła w tym samym miejscu, w którym zaczynała. Kolejne miasta dzieliła odległość setek kilometrów, ulice nosiły różne nazwy, a i tak w pewien zasadniczy

sposób wciąż wydawały się takie same. Niezależnie od tego, jak daleko jechała, zawsze lądowała z powrotem na ulicy Szalonej Rzeki.

Wytarła łzy i wzięła głęboki oddech. Doszła do wniosku, że ma cholerną chęć na papierosa. Królestwo za papierosa, myślała, rozglądając się po pokoju. Jej wzrok zatrzymał się na małym telewizorku wepchniętym w kąt, więc zaczęła się zastanawiać, czy w dzisiejszym programie jest coś godnego uwagi. Powinna wreszcie przesunąć odbiornik do salonu, żeby Dylan miał do niego łatwiejszy dostęp, ale prawda wyglądała tak, że telewizor działał równie usypiająco na nią, jak radio na syna.

Weszła do sypialni dziecka, zdecydowana zaproponować mu pół godziny telewizji w zamian za to, żeby nie kazał jej kończyć opowiadania, ale szczęśliwym zrzędzeniem losu Dylan zdążył zasnąć.

- Dzięki Ci, Panie Boże - wyszeptła, całując chłodne czoło synka i poprawiając mu kołdrę. - Śpij dobrze - dodała od progu.

Wślizgnęła się do kuchni, zapaliła papierosa i wyszła z nim na zewnątrz. Przy końcu ulicy zatrzymał się stary cadillac; z fotela kierowcy wygramoliła się jakaś potężna kobieta z burzą płomiennorudych włosów, ubrana w spodnie przypominające skórę lamparta, i pospiesznie przebiegła na drugą stronę drogi. Najwyraźniej to jedna z wielbicielek *Wichrowych wzgórz*, zaśmiała się Emma. Pewnie by wypadało zadzwonić do Lily i wyjaśnić, dlaczego nie może przyjść, ale nie wymieniły się numerami telefonów. Zresztą Lily i tak wkrótce się zorientuje, że Emma nie przyjdzie. Trzeba będzie przeprosić Lily, gdy się spotkają następnym razem, i wszystko jej wytłumaczyć.

Zresztą, równie dobrze może to zrobić teraz, doszła do wniosku po krótkim namyśle. Dylan śpi już w najlepsze, a ona uwinie się dosłownie w parę minut. Czy komuś stanie się przez to krzywda? Jeszcze raz zaciągnęła się dymem, a potem zgmiotła obcasem niedopałek i ruszyła w stronę domu Lily.

9

- Tu jest napisane, że to właśnie w Tifton narodził się pomysł zbudowania międzystanowej autostrady numer 75. - Jamie powiedziała to pełnym głosem, bo od sąsiedniego stolika co chwila dobiegały wybuchy głośnego śmiechu. Z nudów zaczęła czytać broszurkę, którą znalazła przy wejściu do tego zatłoczonego i niezbyt wyrafinowanego lokalu o nazwie Bar-B-Quepit, gdzie zatrzymali się na kolację. Towarzystwo, które tak dobrze się bawiło, składało się z awanturniczo nastawionych młodych mężczyzn, okupujących wydzielony ławami kąt tuż za plecami Brada.

- Chcesz powiedzieć, że mają jeszcze inne osiągnięcia oprócz tytułu ŚWIATOWEJ STOLICY CZYTELNICTWA. - Brad z przesadą wypowiedział ostatnie słowa, żeby zmanifestować swój kompletny brak zainteresowania wszystkim, co dotyczyło Tifton.

Jeden z siedzących za nim młodych byczków podniósł się, żeby łatwiej ściągnąć na siebie uwagę udręczonej do granic wytrzymałości kelnerki.

- Hej, Patti! - zawołał. - Możesz nam tu przynieść więcej piwa?

- Siadaj, Troy - odparła, nie zaszczycając go nawet jednym spojrzeniem.

Młody człowiek, najwyraźniej całkiem niedawno wypisany z grona nastolatków, był bardzo wysoki i bardzo szczupły, z szerokimi, kościstymi barkami. Nosił długie, czarne włosy, które opadały mu na blisko osadzone, małe i ciemne oczka. Zza krawędzi mocno wyciętych dżinsów wysuwał się skrawek białych bokserek, same dżinsy zaś trzymały się tak nisko, że Jamie zaczęła się bać, iż młodzieniec lada chwila zgubi całą dolną część garderoby. Niespiesznie osuwając się z powrotem na swoje miejsce, dostrzegł spojrzenie Jamie i mrugnął do niej uwodzicielsko.

Jamie natychmiast wbiła wzrok w broszurkę. Nie była pewna, ale wydawało jej się, że usłyszała słowo „dziwka”, które jak drobna moneta poszybowało w powietrzu, a potem spadło tuż u jej stóp.

- Mieszka tu piętnaście tysięcy ludzi - oznajmiła znacznie głośniejszym głosem, niż zamierzała.

Ale Bradowi było wszystko jedno, jak wielka jest populacja mieszkańców Tifton. Zamoczył frytkę w keczupie i położył ją na czubku języka.

Jamie rozejrzała się po niewielkiej restauracji, starannie unikając patrzenia na chłopców zgromadzonych za plecami Brada. Udała, że szalenie ją interesują źle dopasowane i poplamione deski na podłodze, ciemnozielone winylowe obicia krzeseł i beżowe błyszczące blaty stołów. Z zawieszonych w strategicznych miejscach czarnych, welwetowych zasłon spoglądały na nią niewinne twarzyczki o wielkich, przejrzystych oczach. Na dużej tablicy z tyłu widniała wypisana kredą lista dań polecanych przez szefa kuchni. Dziś była to zupa z czarnej fasoli i półtora funta żeberka. Niewielką przestrzeń wypełniał szczelnie obłoczek słodkawego dymu, który wydobywał się zza zamkniętych drzwi prowadzących do kuchni. Co prawda nie było tu klimatyzacji, ale dwa ogromne, zawieszane nad głowami gości wentylatory pracowały z maksymalną mocą, przez co przykry, wieczorny upał wydawał się mniej dokuczliwy.

Kątem oka dostrzegła jakieś poruszenie. Odwróciła się i ujrzała, jak wychudzony chłopak kiwa na nią palcem, uśmiechając się zalotnie. Zauważywszy jej spojrzenie, złożył usta jak do pocałunku i mlasnął głośno. Jamie odwróciła wzrok, zastanawiając się jednocześnie, czy powinna o tym powiedzieć Bradowi, ale zdecydowała, że lepiej nie. Brad miał dziś dość powodów do zdenerwowania. Ostatnią rzeczą, jakiej sobie życzyła, było zdenerwować go jeszcze bardziej.

Zdawała sobie sprawę, że jego frustracja wzięła się głównie stąd, iż wszystkie warsztaty samochodowe w mieście były już pozamykane, co oznaczało nocleg w Tifton. Na początku Brad nie wydawał się szczególnie zirytowany, ale krótka wyprawa do centrum miasta - które składało się z dwudziestu ulic i zabudowań pomiędzy nimi - przekonała go, że Tifton zostało mianowane ŚWIATOWĄ STOLICĄ CZYTELNICTWA, ponieważ poza czytaniem NIE BYŁO TU ABSOLUTNIE NIC DO ROBOTY, jak oznajmił z narastającym zniecierpliwieniem. Jamie była znacznie bardziej wyrozumiała.

Kochała stare domy, zbudowane między tysiąc osiemsetnym a tysiąc dziewięćset trzydziestym rokiem, usadowione w cieniu olbrzymich, wiekowych drzew okalających wąskie ulice, i miała nadzieję, że rano, zanim wyjadą, zdążą odwiedzić

przynajmniej jeden z przepięknych, historycznych kościołów lub któryś z pieczołowicie odrestaurowanych budynków. Zresztą, czy nie tak wyglądał pierwotny plan ich podróży? Mieli przecież jechać przed siebie, dokąd poprowadzi ich droga. No i cóż, zdarzyło się, że przez uszkodzoną oponę wylądowali w Tifton. Może więc należało to jakoś wykorzystać?

- Tu jest napisane, że w Tifton powstała nie tylko autostrada numer siedemdziesiąt pięć, ale cały plan połączeń międzystanowych - czytała dalej nienaturalnie ożywionym głosem, który nawet ją samą zaczynał drażnić. Za wszelką cenę usiłowała zignorować nieustanne zachęty, które docierały do niej z sąsiedniego stolika. - Właśnie stąd pochodził pierwszy w kraju projekt, który uzyskał federalną aprobatę i odpowiednie fundusze. A stało się tak, ponieważ...

Dwaj kumple młodego człowieka odwrócili się na swoich miejscach, żeby popatrzeć na obiekt westchnień przyjaciela. Jeden z nich miał proste jak druty blond włosy, związane w koński ogon; drugi był ogolony na łyso i kiedy się uśmiechał, kąciki jego warg podjeżdżały w górę, odsłaniając zęby i obnażając dziąsła, jak u warczącego wściekłego psa.

Brad odsunął swój talerz na środek stołu i pochyliwszy się w przód, oparł się na łokciach, zupełnie nieświadomy sceny, jaka rozgrywa się za jego plecami.

- Ponieważ?

- Ponieważ dobrzy ludzie z Tifton chcieli ograniczyć przepływ „śnieżnych ptaszków”, które podróżują z północy na południe, szczególnie w okresie zimy - czytała dalej Jamie, zdecydowana zignorować zaloty trzech podejrzanych wielbicieli. Chyba w końcu dadzą sobie spokój. - Zdecydowali się więc zbudować obwodnicę wokół miasta. Najwyraźniej spędzili całe lata na studiowaniu i tworzeniu planów, aż wreszcie ruszyli z inwestycją, podpisali kontrakty i tak dalej, a wtedy bingo! Zaledwie miesiąc później prezydent Eisenhower podpisał projekt ustawy, dotyczącej rozbudowy całego systemu połączeń międzystanowych. Wiedziałaś o tym?

Brad pokręcił głową, z udawanym podziwem, wznosząc oczy do sufitu; w tym samym czasie z kuchni wynurzyła się kelnerka z tacą pełną piwa.

- Więc kiedy Tifton miał już gotowe wszystkie plany, zdecydowano, że prace rozpoczną się właśnie tutaj - czytała Jamie. - Ale posłuchaj dalej... Przepisy prawa

federalnego zezwalały na budowę jednego zjazdu co dwanaście kilometrów, ale ponieważ tutaj już wcześniej rozpoczęto budowę aż ośmiu zjazdów, Tifton ma lepszy dostęp do autostrady niż jakiegokolwiek inne miasto w Stanach.

Spojrzała zalotnie na siedzącego naprzeciwko niej mężczyznę w nadziei, że wywoła na jego twarzy jeden z tych olśniewających uśmiechów. Ten uśmiech miał ją upewnić, że choć niewiele go obchodzi, co ona teraz mówi, to jednak wciąż uważa, że jest śliczna jak diabli. Jednak Brad gapił się przez panoramiczne okno z taką miną, jakby przez ostatnie sześćdziesiąt sekund zastanawiał się wyłącznie nad tym, który z licznych zjazdów powinien wybrać, żeby wynieść się stąd jak najszybciej. Chłopcy po sąsiedzku również stracili zainteresowanie dla jej osoby i szczęśliwie zajęli się dręczeniem kelnerki.

- Tifton jest także siedzibą Prestolite Wire - kontynuowała przekornie, bo chciała ściągnąć uwagę Brada. - Produkuje zapłony i instalacje elektryczne dla Forda, Chryslera, Nissana, Hondy i jeszcze paru innych. Brad?

- Hmm...

- Tifton jest...

- Co ty wyrabiasz, Jamie? - parsknął ze zniecierpliwieniem.

- O co chodzi?

- Uważasz, że naprawdę jestem zainteresowany tym, co się dzieje w jakiejś cholerniej dziurze, w której przypadkiem muszę spędzić noc?

Jamie oparła się o tył ławy, niepewna co - i czy w ogóle - ma odpowiedzieć. Jej koszulka natychmiast przylepiła się do ciemnozielonego winylu. Nagle uświadomiła sobie, że podniesiony głos Brada dotarł do chłopców siedzących za nim; widziała, jak się poruszają, jak chyliły ku sobie głowy i nieznacznie kulą ramiona. Ten z ogoloną głową oparł wytatuowane przedramię na oparciu ławy i podrapał się po uchu. Kiedy ustawił się profilem, zauważyła, że ma nisko osadzone brwi i nos zakrzywiony jak dziób drapieżnego ptaka.

- To przecież nic złego - powiedziała uspokajającym tonem, nie wiedząc, czy występuje w imieniu Tifton, czy własnym.

- Doprawdy, nic złego - zaczął ją przedrzeźniać. - Kim ty jesteś, do cholery, cheerleaderką w miejscowej izbie handlu?

Łzy napłynęły jej do oczu. Szybko pochyliła głowę, żeby nikt ich nie zauważył.

- Przepraszam - powiedział natychmiast. - Przepraszam, Jamie!

Ale ona wpatrywała się w środek talerza, a cała jej uwaga skoncentrowana była na tym, żeby powstrzymać drżenie dolnej wargi.

- Jamie? - wyciągnął rękę przez stół, a jego palce, wciąż lepkie od żeberek, które jadł przed chwilą, splotły się z jej palcami. - Słyszałaś, co mówiłem? Powiedziałem, że przepraszam.

Powoli podniosła wzrok i napotkała jego spojrzenie.

- Nie rozumiem, dlaczego tak się złościysz - odezwała się szeptem, żeby ich rozmowa nie dotarła do niczyich uszu. - Nic nas przecież nie goni, nie mamy żadnego napiętego planu.

- Wiem.

- Myślałam, że nasza zabawa polega częściowo na tym, że mamy odkrywać różne, położone z dala od uczęszczanych szlaków miejsca... Właśnie takie jak to.

- No, jeśli chodzi o Tifton, to trudno powiedzieć, że leży z dala od szlaku. - Sprytny uśmiezek pojawił się najpierw na jego ustach, a potem w spojrzeniu. - Pamiętaj o tych ośmiu zjazdach i w ogóle...

Jamie także się uśmiechnęła, choć wcale nie było jej do śmiechu.

Brad pochylił się nad lśniącym blatem i wytarł krnąbrną łzę, która wymknęła się spod powieki Jamie i spłynęła na policzek. Jego palce pachniały sosem do grilla. Zaciągnęła się tym zapachem, z trudem opierając się chęci, by je oblizać.

- Naprawdę cię przepraszam, Jamie. To chyba przez to, że tak się śpieszę, żeby zobaczyć mojego syna.

- Musisz za nim tęsknić.

Brad zasygnalizował kelnerce, że prosi o rachunek.

- No więc, co masz ochotę robić teraz, moja prześliczna dziewczynko? Myślisz, że jest tutaj jakieś kino?

- Chyba miejscowi nie spędzają całych wieczorów wyłącznie na czytaniu, co? - odpowiedziała. Zaczął się śmiać. Jamie czuła się absolutnie szczęśliwa, że nazwał ją swoją prześliczną dziewczynką. Jej zachwyt był tym większy, że usłyszała coś tak

miłego po niezbyt przyjemnie spędzonej godzinie. - Gdzieś w pobliżu musi być jakieś centrum handlowe. Myślisz, że możemy zaryzykować jazdę na tej oponie?

Brad wzruszył ramionami.

- Najwyżej będziemy musieli jeszcze raz ją napompować. Zresztą, do rana nic nie powinno się stać. No to jak, jedziemy?

- A nie jesteś za bardzo zmęczony? To ty prowadziłeś przez całą drogę.

Pokręcił głową. Kelnerka w drodze do kuchni rzuciła rachunek na ich stół, więc wyjął z portfela dwudziestodolarowy banknot i włożył pod talerz.

- Jeszcze tylko muszę zajrzeć do łazienki, a potem idziemy się bawić.

Złożył na jej czole przelotny pocałunek i skierował się w stronę toalet, które znajdowały się z tyłu restauracji. Jamie patrzyła za nim, dopóki nie zniknął między wahadłowymi drzwiami z drewna, a potem - świadoma, że wbijają się w nią trzy pary oczu - zaczęła udawać, że szuka czegoś w torebce.

- Zgubiłaś coś, lalczko? - usłyszała głos, który dobiegał z sąsiedniego stolika.

Zesztywniała, a jej palce zacisnęły się na tubce ze szminką.

- Już znalazłam - odpowiedziała ze zdawkowym uśmiechem i podniosła oczy, zdecydowana nie dać się zastraszyć.

- Może pomóc ci się umalować, co? - Młody mężczyzna z wystającymi bokserkami nagle wysunął się ze swojej ławki i wślizgnął na siedzenie obok niej, kościstym biodrem wpychając ją w sam kąt. Dwaj jego kumple natychmiast zajęli miejsca z przeciwnej strony.

Jamie zerknęła w kierunku toalet, ale nigdzie nie dostrzegła Brada, jedyna zaś kelnerka na sali zajęta była zdejmowaniem z tacy talerzy z żeberkami i ustawianiem ich na innym stole. Przemknęło jej przez myśl, że może powinna zacząć krzyczeć, ale doszła do wniosku, że jednak nie. Ostatecznie przebywała w dobrze oświetlonej sali pełnej ludzi. Poza tym, lada chwila zjawi się tu Brad. Może lepiej unikać robienia sceny, jeśli nie zachodziła absolutna konieczność?

- Dziękuję, ale sama sobie poradzę - odpowiedziała z godnością.

- Ona sama da sobie radę - oznajmił ten z łysą głową, kiedy Jamie schowała szminkę do torebki.

- Założę się, że masz rację. A tak przy okazji, jestem Curtis. - Młodzieniec z końskim ogonem wyciągnął rękę poprzez stół.

- Wayne - dołączył się ten ogolony.

- A ja mam na imię Troy - powiedział chłopak obok niej.

- Jamie - odpowiedziała, zdecydowana podjąć tę grę, choć ręce nadal trzymała na kolanach.

- Czy ten niebieski thunderbird na parkingu to twój samochód? - zapytał Curtis. Skinęła głową.

- Tak myśleliśmy. Nie wygląda na tutejszy.

- Co się stało z tą oponą? - zainteresował się Wayne.

- Nie mamy pojęcia. Mam nadzieję, że jutro uda się ją naprawić.

- A co robisz dziś wieczorem? - dopytywał się Troy.

- Chyba pójdziemy do kina. - Jamie spojrzała w stronę toalet. Czemu Brad tak długo nie wraca?

- Wczoraj widzieliśmy superfilm, prawda, chłopaki? - powiedział Troy.

- No, naprawdę był fajny - przytaknęli jego koledzy.

- Tak? Jaki to był?

- Ten nowy z Tomem Cruise'em. Grają go w multipleksie w North Central.

- To daleko stąd?

- Coś ty, najwyżej pięć minut - uśmiechnął się Curtis, obnażając przy tym dziąsła.

- Jak smakowały zeberka? - Wayne zaczął się bawić skrawkiem dwudziestodolarowego banknotu, który wystawał spod talerza Brada.

- Były przepyszne.

- Najlepsze w całej Georgii - odparł z dumą Curtis. - To tata Troya jest właścicielem tej knajpy.

No, to mogę się odprężyć, pomyślała z ulgą, bo przecież chłopcy nie zaczną rozrabiać w restauracji należącej do ojca Troya. Zakładając oczywiście, że jego ojciec faktycznie jest właścicielem. Znów poczuła, jak jej ciało sztywnieje.

- No cóż, proszę mu w takim razie przekazać, że jedzenie jest naprawdę znakomite. A teraz, jeśli zechcecie mi wybaczyć...

- A może masz ochotę na deser? - przerwał jej Troy. Najwyraźniej nie miał zamiaru ruszyć się z miejsca. - Polecam ciasteczko z brzoskwinia.

- Och, brzmi zachęcająco, ale chyba nie zdołam zjeść ani kęsa - powiedziała. - A teraz...

Troy niechętnie się odsunął. Podniosła się, a wtedy wydało jej się, że czyjaś ręka przesunęła się po jej udzie. Na szczęście w tej samej chwili Brad wyszedł z łazienki.

- Jakież kłopoty? - spytał, mierząc wzrokiem trzech młodzieńców.

- Chcieliśmy pomóc twojej dziewczynie stąd wyjść. - Curtis leniwie wzruszył ramionami.

- Podobno jest tu w pobliżu multipleks - wtrąciła szybko Jamie. Wyczuła, że awantura wisi w powietrzu, więc lepiej było jak najprędzej się stąd wydostać.

- Tak? - wycodził Brad.

- W North Central - dorzucił Wayne. - Grają tam ten film z Tomem Cruise'em.

- Cóż, brzmi całkiem zachęcająco.

- Bo ten film naprawdę jest niezły. Jest nawet całkiem dobry - zgodził się Curtis.

- No dobrze, może pójdziemy - powiedział Brad. - Dzięki za pomoc.

- Jeszcze się zobaczymy i to wkrótce - rzekł Troy z przesadnym, południowym akcentem, kiedy Brad wziął Jamie pod ramię i pociągnął w stronę wyjścia z restauracji, i dalej na parking.

- Wszystko w porządku? - spytał, kiedy szli w stronę samochodu. Z niskich chmur zaczęła kapać lekka mżawka.

Przytaknęła, choć wciąż jeszcze czuła, jak drżą jej nogi. Była zadowolona, że może się wesprzeć na czyimś ramieniu.

- Najpierw ten pomyleniec w łazience, potem trzech bandziorów w restauracji... Nawet na moment nie mogę spuścić cię z oka.

Jamie zachichotała, bo przypomniała sobie, ile razy słyszała te słowa z ust matki.

- To chyba nie jest najlepszy pomysł.

- Będę musiał to sobie zapamiętać. - Spojrzał na niesforną oponę.

- Co o tym myślisz? Możemy zaryzykować jazdę do multipleksu?

Brad odwrócił się do niej z jednym ze swych zabójczych uśmiechów.

- A cóż byłoby warte życie bez ryzyka?

Kiedy Jamie i Brad wyszli z kina, tamci czekali przy ich samochodzie.

- No i jak się wam podobał Tom Cruise? - spytał Troy. Curtis stał z lewej strony, z papierosem przyklepionym do dolnej wargi, a Wayne opierał się o drzwi pasażera. Samochód stał na samym końcu olbrzymiego parkingu i jak okiem sięgnąć, poza nimi nie było żywej duszy. Mżawka ustała, ale wciąż wiał porywisty, przesycony wilgocią wiatr, co tylko potęgowało grozę sytuacji.

Jamie poczuła, jak oparta na jej ramieniu ręka Brada robi się ciężka niczym kamień.

- Był wspaniały - oznajmił, na wszelki wypadek usuwając Jamie za siebie.

- Tom Wspaniały - przytaknął Curtis i wybuchnął śmiechem.

- A co wy, chłopcy, tutaj robicie? - zapytał Brad swobodnym tonem, w którym zabrzmiała niemalże przyjacielska nuta.

- Martwiła nas wasza opona - wyjaśnił Troy. - Pomyśleliśmy, że zajrzemy i sprawdzimy, czy wszystko w porządku. Na wypadek, gdyby trzeba było was gdzieś podzucić albo coś w tym stylu.

- Cóż, to bardzo miło z waszej strony, ale chyba poradzimy sobie sami.

- Naprawdę? - Wayne oderwał się od samochodu i powoli ruszył w ich kierunku, co nie wróżyło niczego dobrego. - Jesteś pewien? Twoja dziewczyna wygląda na nieco zmęczoną. Pomyśleliśmy, że może będzie ci potrzebna niewielka pomoc.

Dwaj pozostali posuwali się krok w krok za nim.

O Boże, pomyślała Jamie. Instynktownie cofnęła się, zagarniając jednym spojrzeniem cały obszar opustoszałego parkingu. Do diabła, gdzie się podziali ludzie? I co im strzeliło do głowy, żeby zatrzymać się tak daleko od kina?

- Brad...

- Wszystko w porządku, Jamie.

- Tak, Jamie - podjął Troy i przysunął się bliżej. - On ma rację. Zaraz się przekonasz, co to znaczy miło spędzać czas.

- No, chłopcy, chyba jednak posuwacie się za daleko - ostrzegł Brad.

W jego głosie było coś, co sprawiło, że tamci stanęli jak wryci.

- Och, czemu tak sądzisz? - odezwał się po chwili milczenia Wayne. - Masz zamiar nas powstrzymać?

- Jeśli będę musiał...

- Brad, może po prostu uciekajmy stąd - wyszeptała mu wprost do ucha.

- Nie denerwuj się, Jamie - odparł Brad wystarczająco głośno, żeby tamci mogli go usłyszeć. - Zapowiada się superubaw, prawda, chłopcy?

Wsadził rękę do kieszeni. Młodzi mężczyźni chyba znów nabrali śmiałości, bo podchodzili coraz bliżej. Curtis szedł pierwszy.

Jamie usłyszała jakieś dziwne kliknięcie i ujrzała ostrze noża, które zamigotało w ciemności, przesywając ze świstem powietrze. W tej samej chwili została odepchnięta na bok z taką siłą, że upadła. Po drodze zdażyła jednak dostrzec, jak Brad chwytając Curtisa za koński ogon, obraca dookoła i zamyka w morderczym uścisku, a potem przyciska nóż do odsłoniętego gardła.

- A teraz wam pokażę, co ja uważam za dobrą zabawę. - Brad lekko nacisnął ostrze i na skórze chłopca ukazały się krople krwi.

- Hej, proszę pana... - zawołał Troy. Cofnął się o krok i nerwowym ruchem podciągnął opadające spodnie. - Proszę nie brać tego serio. My tylko chcieliśmy sobie zażartować.

- Według mnie to nie wyglądało na żarty.

- Proszę... - zaskomlał Curtis.

- Założmy, że wam wierzę - powiedział Brad. Jamie odniosła wrażenie, że ta sytuacja naprawdę zaczyna go bawić. - Macie mniej więcej trzy sekundy na to, żeby przeprosić moją dziewczynę, bo inaczej poderżnę gardło waszemu kumpłowi.

- Brad... - próbowała się wtrącić. - Nie...

- Wszystko w porządku, Jamie. No to jak, chłopaki? Co robimy?

- Przepraszamy - powiedział szybko Wayne.

- Naprawdę bardzo przepraszamy - powtórzył jak echo Troy.

- No a ty, śmieciu? - Brad lekko dźgnął nieszczęsnego więźnia w szyję. - Masz zamiar przeprosić tę panią, czy nie?

- Przepraszam - wyskrzeczwał Curtis.

- Grzeczni chłopcy. A teraz proponuję, żebyście wynieśli się stąd tak szybko, jak tylko możliwe.

Brad rozluźnił uchwyt, jednocześnie okręcając sobie koński ogon chłopaka dookoła palców, a następnie wykonał szybki ruch nadgarstkiem, tak lekki i zwinny jakby przecinał kostkę masła, i związane włosy zostały mu w ręku. Trzej młodzi ludzie puścili się biegiem przed siebie. Brad patrzył za nimi, dopóki nie zniknęli mu z oczu, a potem pomógł Jamie podnieść się z ziemi. Kiedy stała już na własnych nogach, otworzył dłoń i wyrzucił w górę miękkiego kłębek. Bez słowa przyglądał się, jak włosy opadają na dół i wiatr rozwiewa je niczym popiół z ogniska.

- Na pewno jego mama pomyśli, że teraz synek wygląda o niebo lepiej. A ty jak myślisz?

- Ciągle nie mogę uwierzyć, że to wszystko naprawdę się zdarzyło - powiedziała później. Przed chwilą skończyli się kochać i teraz Jamie leżała zwinięta w ramionach Brada na wielkim łóżku w motelu, a ich nagie ciała błyszczały od potu. W małym telewizorze, który stał na komodzie zrobionej z imitacji ciemnego drewna, nadawano właśnie „The Tonight Show with David Letterman”, ale odbiornik miał wyłączony dźwięk.

- Ale była zabawa!

Wyswobodziła się z jego objęć i usiadła prosto.

- Nie, to wcale nie była zabawa. Zwariowałeś czy co?

- Owszem. Na twoim punkcie - powiedział, pociągając ją z powrotem na dół.

Jamie nic nie mogła poradzić na to, że się uśmiechnęła, choć wciąż jeszcze drżała. Nie przestała się trząść nawet na moment od chwili, gdy meldowali się w motelu.

- A jeśli oni pójdą na policję?

- Nie pójdą.

- Skąd wiesz?

- Wiem.

Jamie podciągnęła kwiecistą, ciemną narzutę i owinęła się nią na wysokości piersi. Umieszczony w kącie skąpo umeblowanego pokoju klimatyzator włączał się i

wyłączał bez uprzedzenia w nieregularnych odstępach czasu. Na małym stoliczku tuż obok Jamie leżał pilot od telewizora, przytwierdzony tam na stałe - przypuszczalnie po to, żeby zapobiec kradzieży. W odwecie za tę zniewagę ktoś przedsiębiorczy wyciągnął baterie, przez co pilot stał się kompletnie bezużyteczny, więc żeby wyłączyć odbiornik, trzeba było wstać z łóżka. Wszystko wskazywało na to, że telewizor będzie włączony przez całą noc.

- Mogę cię o coś zapytać?

- Chcesz wiedzieć, skąd wytrzasnąłem ten nóż - oznajmił spokojnie, jakby przez cały wieczór czekał na to pytanie.

- Myślałam, że posiadanie noży sprężynowych jest niezgodne z prawem.

Delikatnie odsunął jakiś kosmyk, który przywarł do jej czoła.

- Nie wiem, czy ci mówiłem, że zanim zająłem się biznesem komputerowym, przez pewien czas pracowałem z tak zwaną trudną młodzieżą.

- Co? Nie, nie mówiłeś.

- Był tam jeden dzieciak, o którym wszyscy mówili, że jest... Jak to mówiła o tobie twoja matka?

- Niereformowalna?

- Właśnie. Chociaż ja osobiście wolę określenie „wolny duchem”. To ktoś taki jak ty - dodał, całując Jamie w czubek nosa.

Czuła, że dosłownie cała się rozpląta. Nie była niereformowalna. Była wolnym duchem.

- W każdym razie ten dzieciak twierdził, że dzięki mnie udało mu się zmienić swoje życie, że gdyby nie ja... - Brad wpatrzył się z roztargnieniem w migający ekran.

- I na pożegnanie wręczył mi ten nóż. Powiedział, że już nie będzie mu potrzebny. Od tamtej pory stale go noszę, na szczęście.

Jamie pokręciła głową. Ten facet chował w zanadrzu mnóstwo niespodzianek.

- No cóż, dziś wieczorem z pewnością mieliśmy szczęście.

- Czasami trzeba się bronić - mruknął. - Siebie i ludzi, których się kocha.

Z wrażenia wstrzymała oddech. Czy w ten zawoalowany sposób chciał powiedzieć, że ją kocha?

- Nikt dotąd nie dbał o mnie tak jak ty - wyszeptwała.

Wtuliła się w niego z całej siły, śląc do Boga dziękczynne modlitwy za to, że spotkała na swojej drodze takiego człowieka. Bratnią duszę, która potrafiła dostrzec jej wnętrze i w lot rozumiała, kim ona tak naprawdę jest. Mężczyznę, który się o nią troszczył, ochraniał ją, który się nią opiekował. Dziś wieczorem mogła zostać zgwałcona albo nawet gorzej, uświadomiła sobie z przerażeniem. Zacisnęła powieki i próbowała odpędzić myśli o tym, jakie straszne rzeczy mogły się jej przydarzyć, gdyby Brad nie pospieszył z pomocą. Jestem prawdziwą szczęściarą, pomyślała, wzdychając głęboko, i zapadła w kamienny sen.

10

- Cześć. No chodź! - Lily chwyciła Emmę za rękę i wciągnęła do środka.

- Mogę zostać tylko przez chwilę - powiedziała od razu Emma, bo właśnie przyszło jej do głowy, że chyba musiała postradać zmysły, zostawiając Dylana samego, nawet na parę minut.

- Już zaczynałam się bać, że się rozmyśliłaś. Właściwie przyszedłam tylko po to, by ci powiedzieć, że nie mogę zostać, pomyślała Emma, ale na głos powiedziała coś całkiem innego.

- Musiałam zaczekać, aż Dylan zaśnie - oznajmiła i pozwoliła zaprowadzić się do salonu. Ale tu milutko, pomyślała z zachwytem na widok blad różowych tapet w delikatne kwiatki na ścianach korytarza. Mimowolnie zaczęła się zastanawiać, ile to mogło kosztować. Powinnam coś takiego zrobić w swoim przedpokoju, pomyślała.

Salon był pomalowany na ciemniejszy odcień różu niż korytarz, a meble - choć na pierwszy rzut oka widać było, że nie są nowe - sprawiały wrażenie przytulnych i wygodnych. Na dwóch kanapkach obitych różowym, kwiecistym materiałem i ustawionych frontem do siebie siedziały cztery kobiety i wyglądało na to, że czują się tu zupełnie swobodnie. Tak samo jak amazonka

z burzą skręconych włosów, odziana w spodnie we wzorek skóry lamparta, którą Emma spostrzegła, gdy tamta wysiadała ze starego cadillaca. Teraz spoczywała zwinięta w precelek na beżowym dywaniku przed kominkiem. Na jej widok Emma zaczęła się zastanawiać, jak to możliwe, że ktoś w ogóle potrafi wygiąć się pod takim

kątem. Zaraz potem przyszło jej do głowy pytanie, czy ten kominek działa, i co ona robi w gronie obcych bab, kiedy powinna siedzieć w domu ze swoim synkiem.

- Szanowne panie, oto Emma Frost - oznajmiła uroczyście Lily, wypychając gościa na środek pokoju. - Jeśli wydaje się wam znajoma, to dlatego, że kilka lat temu jej oczy znalazły się na opakowaniach tuszu do rzęs Maybelline.

- Naprawdę jesteś modelką? - wykrzyknęła któraś z nich.

- Już nie.

- Ja bardzo lubię tusze Maybelline - zaćwierkała inna. - Moim zdaniem są najlepsze.

- No, no... Musiałaś na tym zarobić kupę forsy. Jak się więc stało, że wylądowałaś na ulicy Szalonej Rzeki? - zapytała z podłogi diwa w skórze lamparta.

- Och, to długa historia - odpowiedziała szybko Emma.

- Nie wiem, czy wiesz, ale to jest klub książki - powiedziała tamta. -

Uwielbiamy długie historie.

Wszystkie jak jeden mąż gruchnęły śmiechem.

- Naprawdę masz przepiękne oczy - zauważył ktoś.

- Pozwól, że ci przedstawię nasze sąsiadki - mówiła dalej Lily. - Emma, to jest Cecily Wahlberg. Mieszka w tym domu pomalowanym na liliowo.

- Pod numerem sto dwadzieścia trzy - wytłumaczyła Cecily, jakby przy ulicy znajdowało się więcej domów w rzeczonym kolorze. Założyła nogę na nogę i kościstymi palcami przeczesła obcięte na pazia blond włosy.

- ...Anne Steffoff...

- Spod numeru sto piętnaście - odezwała się Anne dźwięcznym barytonem, który doskonale pasował do jej krótkiej, z geometryczną dokładnością ostrzyżonej fryzury. - Ja też mam zamiar pomalować dom na fioletowo.

- Ale ja jej na to nie pozwolę - odezwała się pani siedząca obok. - Jestem Carole McGowan, druga połowa Anne - powiedziała i mocno uścisnęła dłoń Emmy.

Emma rozpoznała te trzy kobiety, ubrane zwyczajnie w dżinsy i T-shirty w pastelowych kolorach, i poczuła wyrzuty sumienia na myśl, że w przeszłości tak starannie unikała jakichkolwiek kontaktów z nimi. Z całej trójki Cecily wydawała się najbliższa jej wiekiem, i o ile Emma dobrze pamiętała, Cecily miała córkę trochę

starszą od Dylana. Anne i Carole tak na oko były z dziesięć lat starsze. Wyobraziła sobie obie panie, jak spacerują po ulicy Szalonej Rzeki ze swoimi spasionymi sznaucerami.

- A to jest Pat Langer, która kiedyś pracowała w Scully, ale zrezygnowała, żeby urodzić dziecko.

- Zdrajczyni - parsknęła upozowana na podłodze dama.

- Cześć. - Pat nieśmiało machnęła ręką, po czym natychmiast ponownie zapadła w fotel.

- Ile ma twoje dziecko?

- Dwa miesiące. - Pat uśmiechnęła się z dumą. - Daliśmy mu na imię Joseph.

Wygląda na niewiele starszą od własnego malucha, pomyślała Emma, zastanawiając się w tej samej chwili, kto został z małym Josephem.

- A ja to co? - zaprotestowała Jan i wyprostowała rękę odzianą w obcisły trykot.

- Jan Scully - oznajmiła. - Właścicielka siłowni Scully. Lily mówiła mi, że zastanawiasz się nad przystąpieniem do klubu.

- No cóż, ja...

- Teraz jest bardzo dobry moment, żeby to zrobić.

- Bo damy darmowy T-shirt i kubek - dorzuciły unisono pozostałe panie i wszystkie znowu wybuchnęły śmiechem.

Cóż to za uwodzicielski dźwięk, pomyślała Emma. Przez chwilę tęskniła za tym, żeby otulić się tym śmiechem i razem z nim rozpląnąć w powietrzu. Albo jeszcze lepiej: zakorkować go w butelce i zabrać do domu, gdzie mogłaby ją otwierać, ilekroć poczuje się smutna czy zagubiona, co ostatnimi czasy zbyt często się zdarzało. Kiedy po raz ostatni słyszała taki beztroski, głośny śmiech? Powinna im powiedzieć, że opiekunka do dziecka nie przyszła, w związku z czym ona czym prędzej musi wracać do siebie. Na pewno by ją zrozumiały. Mało tego, zaczęłyby nalegać, by już szła, a ona przecież tak strasznie pragnęła zostać. Choćby tylko jeszcze przez parę minut.

- Okay, musicie mi wybaczyć, że przy okazji staram się załatwić biznes - powiedziała Jan, wydymając okazałe usta. - Byłam dziś w banku i wyobraźcie sobie, że te sukinsyny odmówiły mi przyznania kredytu.

- Nie! - zawołała Carole.

- To niemożliwe - poparła ją Anne.

- Czy wyjaśnili ci, dlaczego? - zapytała Lily. Jan wzruszyła ramionami.

- Nie musieli. Ostatecznie jestem kobietą, a ten świat należy do facetów.

- O tak... - mruknęła Cecily.

- Chcecie wiedzieć, co tak naprawdę mnie wkurzyło? - spytała Jan.

- No, co cię wkurzyło? - Anne i Carole odezwały się jednocześnie.

- To, że jeśli szybko nie uda mi się zdobyć kilku nowych członków, będę musiała zamknąć interes, a na to właśnie liczy mój były mąż. Już słyszę, jak mówi: „Uprzedzałem, że ta siłownia to moje dzieło i że nie dasz rady prowadzić jej beze mnie. Powinnaś była się zgodzić, żebym ją od ciebie odkupił, kiedy jeszcze była taka szansa”. Cholera, niech zgnije w piekle! Jesteś mężatką? - zwróciła się do Emmy.

- Rozwódką.

- No więc pewnie się ze mną zgodzisz, że mężczyźni to skończone dranie - zabrzmiało to raczej jak stwierdzenie niż pytanie.

- Absolutnie - zgodziła się Emma.

- Święte słowa - zawtórowała jej Cecily.

- Przestań, bo akurat my nie bardzo nadajemy się do rozmowy na ten temat. - Anne nieznacznie skinęła głową w stronę swojej partnerki. W odpowiedzi Carole wyszczerzyła w uśmiechu wszystkie zęby i pogłaskała Anne po udzie.

- Przykro mi, moje panie, ale zupełnie się z wami nie zgadzam - sprzeciwiła się Lily.

- Bo akurat ty trafiłaś na chodzącą doskonałość - wtrąciła Cecily.

- Wcale nie. Sama znam mnóstwo świetnych facetów - zawołała Lily. - Mój ojciec, brat...

- To tylko świadczy o tym, że wyjątek potwierdza regułę - zawyrokowała Jan i odwróciła się do Emmy. - Czemu się rozwiodłaś?

- Jan, daj sobie spokój - powiedziała Cecily. - Przecież Emma dopiero co przyszła. Jeszcze ją wystraszysz i dziewczyna ucieknie.

- Och, ona nie wygląda na taką, którą łatwo przestraszyć, prawda kochanie? - spytała Jan.

To chyba sygnał dla mnie, pomyślała Emma. Powinnam jak najszybciej stąd zmykać. Jednak zamiast tak postąpić, zaczęła mówić.

- Mój były mąż, ten zboczeniec, bo tylko tak go wspominam, był nałogowym kłamcą, który w dodatku nie mógł powstrzymać się od sypiania z kim popadnie. Chociaż szczerze mówiąc, nie jestem pewna, czy naprawdę chodziło o nałóg, ponieważ wiele razy zdarzały się noce, kiedy leżałam obok jak ścierka do naczyń, a on zdawał się tego nie zauważać ani nie mieć nic przeciwko... Zdecydowałam się odejść, gdy odkryłam na dnie jego szafy, wśród magazynów o golfie, stos pism z dziecięcą pornografią.

Nagle zamilkła. Mogłaby dalej rozwijać temat, ale widząc wyraz osłupienia na twarzach nowych znajomych, doszła do wniosku, że na ten wieczór miały już dość.

- To może porozmawiamy o Heathcliffie? - zaproponowała nieśmiało Lily.

- O kim? - zdziwiła się Pat.

- O bohaterze powieści, o której miałyśmy dziś dyskutować.

- Och, o nim...

- Tak jest, właśnie o nim.

- No powiedzcie, czy ona nie jest urocza? - Jan rozplątała się z godną uwagi łatwością i podskoczyła, żeby objąć Lily. - Ona naprawdę myśli, że spotykamy się tu co miesiąc, żeby porozmawiać o książkach.

- A czym według was powinien się zajmować klub książki?

- Czy nie jest urocza? - powtórzyła Jan.

- Moim zdaniem Lily ma rację - odezwała się łagodnie Pat, ale jej głos zabrzmiał słabo i mało przekonująco. - Ja też uważam, że mężczyźni nie są tacy źli.

- Jak możesz mówić coś podobnego? - oburzyła się Jan. - Ile razy wypłakiwałam się na moim ramieniu z powodu tego imbecyla, za którego wyszłaś za mąż! Ile razy ci powiedział, że nie jest gotów na żadne zobowiązania, nawet gdy już było wiadomo, że jesteś w ciąży! A co powiesz o tamtym wypadku, kiedy wyszedł sobie z domu w środku nocy i nie odzywał się przez cały tydzień?!

- Ale wrócił - odparła Pat z godnością. - I dalej jesteśmy małżeństwem.

- Daj mi znać, jeśli uda się wam żyć długo i szczęśliwie - w głosie Jan brzmiała gorycz.

- Czy możemy wrócić do *Wichrowych wzgórz*? - spróbowała ponownie Lily.

- Po prostu zupełnie nie rozumiem, dlaczego mamy z takim lekceważeniem odnosić się do mężczyzn - mówiła dalej Pat, nie zwracając na nią najmniejszej uwagi.

- Ostatecznie niektóre z nas wychowują przecież samotnie synów.

Powinnam być teraz w domu z Dylanem, pomyślała Emma w przyływie poczucia winy.

- Córki są jeszcze gorsze - przytaknęła Cecily. - Przynajmniej tak twierdziła moja matka, a ona miała dwie córki i dwóch synów. Mówiła, że jeśli chodzi o chłopca, to wystarczy zainteresować go sportem. No chyba że trafi ci się dzieciak z artystyczną duszą, bo wtedy z góry masz przechlapane.

- A jeśli już mowa o porażce... - podjęła Lily, machając w powietrzu egzemplarzem *Wichrowych wzgórz*. - Czy waszym zdaniem związek Cathy z Heathcliffem był skazany na porażkę dlatego, że ich miłość była tak namiętna? Czy może ta niezwykła intensywność uczuć wynikała z faktu, że niepowodzenie ich związku z góry było przesądzone?

Kobiety popatrzyły na nią w taki sposób, jakby nagle spadła z księżyca.

- Myślę, że trochę z jednego powodu, a trochę z drugiego - odezwała się Emma, ponieważ wyczuła narastającą frustrację Lily. Sama była zdumiona, że jej opinia zabrzmiała tak wiarygodnie, choć naprawdę nie miała pojęcia, o czym mówi. - Moim zdaniem, jedna rzecz wynika z drugiej i prawie niemożliwe jest stwierdzić, gdzie jedna się kończy, a druga zaczyna.

- Na tym właśnie polega wielka miłość - westchnęła Anne.

- „Wielka” tylko dlatego, że się źle skończyła - dopowiedziała Carole.

- Chcecie powiedzieć, że nie ma czegoś takiego jak romantyczna miłość? - spytała Pat.

- Chodzi o to, że romantyczna miłość nigdy nie trwa długo - poprawiła Jan.

- Naprawdę nie potraficie sobie wyobrazić, jak Cathy i Heathcliff wymieniają bezzębne pocałunki w jakimś domu spokojnej starości? - zdziwiła się Anne.

- Chyba nie - mruknęła Carole.

- Na pewno nie. Lepiej, żeby straszili na wrzosowiskach w charakterze urodziwych i wiecznie młodych duchów - zgodziła się Cecily.

- A co waszym zdaniem łączy wszystkie romantyczne pary, jakie znamy z historii? - spytała Emma, już zupełnie pewna siebie. - Romea i Julię? Tristana i Izoldę? Hamleta i Ofelię?

Jan uśmiechnęła się triumfalnie.

- Wszyscy młodo poumierali - oznajmiła z satysfakcją.

* * *

- No cóż, to był naprawdę interesujący wieczór - powiedziała Lily, kiedy razem z Emmą siedziały na schodkach prowadzących do jej domu i drobnymi łykami popijały kawę.

Właśnie dochodziła dziesiąta. Wszystkie panie rozeszły się do domów mniej więcej pięć minut temu i Emma miała szczerzy zamiar wyjść razem z nimi. A mimo to zaczęła się ociągać i w rezultacie dała się namówić na jeszcze jedną filiżankę kawy, choć dawka kofeiny, jaką dziś przyjęła, na pewno nie pozwoli jej zasnąć przez co najmniej tydzień. Teraz czuła się lepiej, bo w czasie przerwy na papierosa pobiegła do domu i przekonała się, że Dylan śpi jak kamień. Poza tym z miejsca, gdzie siedziały obie z Lily, doskonale widać było jej mieszkanie, więc nie miała się czego obawiać.

- Tak, naprawdę było super - przyznała z chęcią.

- Choć trochę trwało, zanim zabrałyśmy się do książki - zaśmiała się Lily. - Ale przypuszczam, że tak jest chyba za każdym razem, gdy w jednym miejscu zbierze się kilka bab.

- No cóż, nie bardzo się mogę wypowiadać na ten temat.

- Nie masz przyjaciółek?

- Raczej w ogóle nie mam przyjaciół. Kropka.

- Więc wygląda na to, że jesteś typem samotnika - zauważyła Lily.

- Cóż, w ciągu ostatniego roku przeprowadzaliśmy się kilka razy, a pewnie sama wiesz, jak wtedy jest ciężko znaleźć jakieś sensowne towarzystwo.

- Mimo wszystko uważam, że warto mieć przyjaciół. Ja wręcz przepadam za moimi kumpelkami.

- A co z przyjaciółmi płci męskiej? Lily wzruszyła delikatnymi ramionami.

- Ostatnimi czasy ograniczam się do kobiet.

- A detektyw Dawson?

Lily znów wzruszyła ramionami.

- Sprawia wrażenie sympatycznego faceta.

- Rozumiem więc, że zmieniłaś zdanie?

- W związku z czym?

- W związku z tym, o czym rozmawialiście, kiedy dziś rano przyszedłam na siłownię. Wydaje mi się, że chciał się umówić z tobą na randkę.

- Na jutrzejszy wieczór. Zaprosił mnie na kolację do Joso.

- I odmówiłaś mu? Chyba postradałaś zmysły!

- Myślałam, że nie lubisz gliniarzy.

- Bo nie lubię. Ale potrafię docenić kolację w dobrym lokalu. Czemu powiedziałaś „nie”? Wiem, że to nie moja sprawa, ale miałam wrażenie, że między wami coś jest...

- Sama nie wiem, czemu odmówiłam - odparła Lily. - Przez cały dzień zadaję sobie to pytanie.

- Umawiałaś się z facetami po tym, jak zginął twój mąż?

- Kilka razy. Ale to nie było nic poważnego.

- Za to teraz czujesz, że może być inaczej. Że ten facet naprawdę zaczyna cię interesować.

- Co takiego? Nie. Kto mówił, że to coś na serio?

- Ty - przypomniała jej Emma.

- Ja przecież ledwie go znam.

- Ale myślisz, że może chciałabyś poznać bliżej. Lily westchnęła rozdzierająco i wzniosła oczy do rozgwieźdzonego nieba.

- Sama nie wiem, co myślę.

- No cóż, uważam, że powinnaś do niego zadzwonić. Jesteś to winna swoim przyjaciółkom.

- Jak mam to rozumieć? - zaśmiała się Lily.

- Bo dzięki tobie będziemy miały temat do rozmowy, kiedy spotkamy się następnym razem. Oczywiście, oprócz Steinbecka.

Lily znów się roześmiała. Jej śmiech zadźwięczał perłście niczym głos małego dzwonka.

- Więc rozumiem, że masz zamiar przyłączyć się do naszej małej grupy?

- A mogę sobie to przemyśleć?

- Jasne. Twoje komentarze były naprawdę bardzo głębokie i interesujące. A to, co powiedziałaś o Romeo i Julii oraz Tristanie i Izoldzie, rozkręciło całą dyskusję.

Emma się uśmiechnęła. Przypomniła sobie olbrzymią kolekcję nagrań operowych, które zbierała jej matka - zapalona wielbicielka pięknego śpiewu, choć ona nigdy nie miała dość cierpliwości, żeby wysłuchać czegokolwiek; nie wiedziała też, kim byli Tristan i Izolda ani nie знаła szczegółów ich romansu, ale przeczuwała, że wszystko musiało się skończyć źle. Tak samo jak w większości oper. To śmieszne, jak pozornie nieważne wspomnienia mogą czasem okazać się bardzo przydatne, pomyślała, upijając kolejny łyk kawy. Jakże bardzo pragnęła siedzieć dalej na stopniu frontowych schodów, przez całą noc pić kawę i upajać się cudownym, wspaniałym poczuciem wolności. Wolności od trosk. Od obowiązków. Od przeszłości...

- Więc twoim zdaniem powinnam zadzwonić do Jeffa Dawsona i powiedzieć mu, że zmieniłam zdanie?

- A zmieniłaś?

- No nie wiem. Zresztą nie mam z kim zostawić synka... - dodała natychmiast. - A to miało być już w tę sobotę.

- To przyprowadź Michaela do mnie. - Emma ze zdziwieniem usłyszała własny głos. Czyżby naprawdę zaofiarowała komuś pomoc?

Lily podniosła głowę i spojrzała na ciemne okno sypialni małego.

- Nie mogę - westchnęła.

- Dlaczego? Ja i tak siedzę w domu, a chłopcy mogą przecież od czasu do czasu nocować u siebie. Jestem pewna, że Dylan będzie zachwycony.

Czy rzeczywiście, zastanowiła się w tej samej sekundzie? Czy jej syn ucieszy się, że czyjaś obecność zakłóciła mu wieczorny rytuał?

- Mogą we dwóch spać w moim łóżku. Zobaczysz, że będą świetnie się bawić.

Naprawdę? Będą się bawić? A jeśli ten eksperyment okaże się totalną katastrofą?

- Mogę to jeszcze przemyśleć? - poprosiła Lily. - To znaczy, Michael dziś zachowywał się jak anioł, ale on potrafi być kłopotliwy.

- To zupełnie jak detektyw Dawson.

Nagle nocną ciszę przerwało szczekanie psów. Obydwie odwróciły głowy w kierunku, z którego dobiegał dźwięk, i ujrzały, jak Anne i Carole wychodzą z domu, ciągnięte w dół ulicy przez dwa spasiose sznauclery.

- No i kto kogo wyprowadza na spacer? - zawołała Lily, kiedy psy pędem mijają jej dom tylko po to, żeby zatrzymać się przy najbliższej latarni. Najpierw jeden pies podniósł łapę, zaznaczył swoje terytorium, później to samo zrobił drugi, a potem znów pierwszy.

- Typowi mężczyźni - zauważyła ze śmiechem Anne, a następnie wzięła pod rękę przyjaciółkę i obie pozwoliły ciągnąć się dalej.

- Czy zdarzyło się kiedyś, żeby napastowała cię kobieta? - spytała nieoczekiwanie Emma.

- Co takiego? - oczy Lily rozszerzyły się ze zdumienia.

- Mnie tak - mówiła Emma. - Dawno, dawno temu. Zrobiła to jedna z nauczycielek z prywatnej szkoły, do której chodziłam.

- Mój Boże! Jak to się stało?

- Miałam wtedy trzynaście, może czternaście lat. Właśnie zaczęłam się zaokrągląć, choć nie bardzo zdawałam sobie z tego sprawę. Była u nas taka nauczycielka gimnastyki, pani Gallagher, którą wszyscy kochali. Nosila długie, lśniące blond włosy, które pozwalała swoim uczennicom szczotkować. Wyobrażasz sobie coś podobnego? A my, głupie kozy, uważaliśmy czesanie przetłuszczających się kudłów tej wstrętnej baby za szczególne wyróżnienie. Pewnego dnia to mnie przypadł ten zaszczyt. Stałam za jej plecami i posłusznie machałam szczotką, choć miałam wrażenie, że zaraz ręce odpadną mi ze zmęczenia. Nie przerwałam jednak nawet na chwilę, a ona powiedziała, że robię to lepiej niż którakolwiek z dziewcząt i że wkładam w to wiele serca, co oczywiście zaowocowało tym, że zaczęłam szczotkować jeszcze mocniej. Wtedy poprosiła, żebym przyszła do niej pod koniec dnia, i tak zrobiłam. Tylko że tym razem to ona zaczęła czesać mnie. Muszę przyznać, że robiła to wspaniale. W pewnej chwili zaczęła się zachwycać, że mam takie bajecznie piękne włosy, takie delikatne i miękkie... A potem poczułam, jak coś przesuwają się po moim karku i wiedziałam, że z pewnością nie jest to szczotka.

- Zaczęła cię całować?

Emma skinęła głową. Uniosła jedną brew i zagryzła wargi.

- Co wtedy zrobiłaś?

- Nic. Byłam przerażona jak diabli, więc siedziałam potulnie jak trusia. A ona zaczęła gadać coś w rodzaju: „Prawda, że to przyjemne? Lubisz, jak to robię?”. W końcu zerwałam się z krzesła i uciekłam. Nie zatrzymałam się, dopóki nie wpadłam do domu.

- Powiedziałaś komuś o tym?

- Mojej matce. Była dyrektorką szkoły.

- I co? Pewnie z miejsca ją zwolniła?

- A skąd. Nie uwierzyła mi. Według niej wszystko zmyśliłam, żeby zwrócić na siebie uwagę.

Lily sprawiała wrażenie głęboko wstrząśniętej.

- Boże, jakie to musiało być dla ciebie straszne. W odpowiedzi Emma tylko wzruszyła ramionami.

- Ale ty miałaś interesujące życie - westchnęła Lily po kilku sekundach.

- Czasami aż za bardzo. - Emma dokończyła kawę i podniosła się ze schodów. - Chyba muszę już wracać do domu - oznajmiła, oddając gospodyni kubek z logo siłowni Scully.

- Bardzo się cieszę, że przyszłaś.

- Ja też. Daj mi znać, co postanowiłaś. - Emma zeszła na chodnik i pomachała ręką na pożegnanie. - Świetnie się bawiłam - dorzuciła, niechętnie stawiając krok za krokiem. Kiedy doszła do własnych drzwi, odwróciła się raz jeszcze, ale Lily zdążyła już zniknąć w głębi domu. Chyba jednak nie należało opowiadać takich bzdur, że jej matka była dyrektorką szkoły, pomyślała. Otworzyła zamek i na palcach wślizgnęła się do środka. Czyżby obawiała się, że jeśli powie prawdę, Lily przestanie ją lubić? To idiotyczne. Lily w niczym nie przypominała dziewcząt, z którymi Emma chodziła do szkoły. Z pewnością nie zaczęłaby jej lekceważyć, nawet gdyby wiedziała, że matka Emmy pracowała w miejscowym areszcie.

Jednak z drugiej strony, czy jedno kłamstwo więcej miało jakiegokolwiek znaczenie, skoro skłamała już tyle razy?

Zajrzała do pokoju Dylana. Spał głęboko i mocno. Szkoda, że ja tak nie potrafię, pomyślała z zazdrością, kiedy zdejmowała ubranie, żeby wślizgnąć się do łóżka.

Zamknęła oczy i czekała, aż zjawią się demony.

11

O brzasku, w ciągu tych chwil, kiedy człowiek balansuje między snem a jawą, Jamie na nowo przeżywała prawie dwa lata piekła, jakim było jej małżeństwo z Markiem Dennisonem. Wszystko zaczęło się w niezwykle stosownym momencie, bo podczas nocy poślubnej, kiedy seria telefonów od oszalałej ze zmartwienia mamusi pana młodego co chwila przerywała im próby skonsumowania dopiero co zawartego związku.

- Jak mogłeś mi zrobić coś takiego? - dobiegało ze słuchawki zawroźnienie świeżo upieczonej teściowej. - Co ci strzeliło do głowy, żeby ożenić się z ledwie poznaną dziewczyną? Z dziewczyną, o której nie wiesz absolutnie niczego?

Jamie czekała, aż jej mąż powie coś w rodzaju: „Wiem wszystko, co potrzebuję wiedzieć. Wiem, że ją kocham”, ale zamiast tego usłyszała długą serię unizonych przeprosin. Przepraszał dosłownie za wszystko - za to, że podjął tę decyzję tak nagle, za niepotrzebny pośpiech i ucieczkę z ukochaną, za zdumiewający brak względów dla uczuć matki... A potem nastąpiły zapewnienia, że on i jego nowa żona nie mają zamiaru osiedlać się w Palm Beach i że oczywiście zrezygnują z planów wyjazdu w podróż poślubną na Bahamy, za to przylecą do Atlanty pierwszym porannym lotem, żeby dodać mamusi otuchy. Jamie w desperackiej próbie pozyskania względów teściowej posunęła się nawet do tego, że zaproponowała jej wspólne wyjazdy w poszukiwaniu dla nich mieszkania. Powiedziała też tej szalonej kobiecie, że docenia jej wysiłki i że wręcz nie może się doczekać, kiedy wejdzie do tak blisko ze sobą związanej i kochającej się rodziny. Zaraz potem nastąpiło trzaśnięcie słuchawką, a potem na linii zapadła głucha cisza.

Nie trzeba dodawać, że tej nocy ich gra miłosna okazała się kompletnym fiaskiem, bo mimo wysiłków Jamie, jej mąż nie mógł uzyskać pełnej erekcji.

- Gdzieś się tego nauczyła? - warczał gniewnie i odpychał ją od siebie. - Twoi koledzy z college'u lubili takie rzeczy?

Właśnie wtedy pierwszy raz pomyślała o tym, żeby odejść. Pamiętała, jak zwinięta w kłębek po przeciwnej stronie łóżka zastanawiała się, czy nie lepiej byłoby spakować torbę i po prostu wyjść. Schować dumę do kieszeni i wrócić do domu, do mamy. Od ślubu nie upłynęły jeszcze dwadzieścia cztery godziny, więc bez trudu mogła uzyskać unieważnienie, a potem wrócić na wydział prawa, jeszcze raz zapisać się na semestr wiosenny... Zwyczajnie wydobyć się z tego bagna, w które wpakowała się z własnej i nieprzymuszonej woli. I to jak najszybciej.

Tylko jak mogła opuścić męża teraz, kiedy wydawał się tak głęboko dotknięty, kiedy dosłownie płakał, żeby została, i bez przerwy przepraszał za te straszne rzeczy, które mówił jej przed chwilą? Twierdził, że to wszystko ze zdenerwowania i konsternacji. Wcale tak nie myślał i chyba ona o tym wie. Błagał, żeby go zrozumiała, by okazała odrobinę cierpliwości i dała mu jeszcze jedną szansę. Jego matka ma za sobą ciężkie życie, tłumaczył. Owdowiała w wieku zaledwie trzydziestu sześciu lat, a wtedy syn stał się jej jedynym oparciem. Do niego się zwracała w trudnych chwilach, na nim polegała w każdej sprawie i tylko dlatego miała siłę dalej żyć, wstawać rano z łóżka... A on w wieku ośmiu lat musiał się stać prawdziwym mężczyzną. Przez ostatnie dwie dekady byli dla siebie wszystkim. Chyba to naturalne, że ciężko jest jej zaakceptować obcą dziewczynę, która tak nagle wkroczyła w ich życie. Jeśli Jamie zechce tylko być cierpliwa...

I Jamie zgodziła się spróbować. Poza tym doszła do wniosku, że mąż miał rację. Jego matka po prostu się zdenerwowała, że bez uprzedzenia podjęli tak ważną decyzję. To nie miało nic wspólnego z jej osobą i w związku z tym nie powinna tego afrontu brać sobie do serca. Nawet jej własna matka o mało nie dostała apopleksji, kiedy Jamie oznajmiła, że wychodzi za mąż za chłopaka, którego poznała przed dwoma tygodniami.

- Mamo, to jest Jamie. Jamie, to jest moja mama, Laura Dennison - powiedział dumnie, przedstawiając sobie nawzajem dwie kobiety swojego życia.

Jamie była zaskoczona, że jej teściowa jest tak drobna i filigranowa, bo przez telefon sprawiała wrażenie kogoś znacznie potężniejszego. W rzeczywistości mierzyła

niewiele ponad metr sześćdziesiąt i nie mogła ważyć więcej niż pięćdziesiąt kilogramów. Jamie, choć wcale nie była szczególnie wysoka, wyglądała przy niej jak okazały wieżowiec. Właściwie dlaczego tak się bałam tego spotkania, zastanawiała się? Bez wahania wyciągnęła ramiona w stronę kobiety o krótkich, kasztanowych włosach i zimnych, niebieskich oczach.

- Wyglądasz zupełnie inaczej, niż sobie wyobrażałam - odezwała się teściowa, sztywno przyjmując serdeczny uścisk Jamie.

- Tak się cieszę, że nareszcie się poznałyśmy - odwzajemniła się Jamie i odsunęła się o krok. - Czy mogę mówić do ciebie „Laura”?

- Lepiej zostańmy przy „pani Dennison” - brzmiała cierpka odpowiedź.

- Po prostu za szybko zaczęłaś się spoufalać - oznajmił mąż Jamie, kiedy znaleźli się we dwoje w jego dawnej sypialni. - Moja mama nigdy nie była zbyt wylewna.

- Ona mnie nienawidzi.

- Nie masz racji.

- „Lepiej zostańmy przy pani Dennison” - odparła Jamie lodowatym tonem, naśladowując teściową.

- Daj jej trochę czasu - nalegał mąż. - Wciąż jest trochę oszołomiona. Po prostu bądź miła i weź na przeczekanie. Musisz wykazać trochę cierpliwości.

- Będę tak miła, jak tylko potrafię - uśmiechnęła się figlarnie, obejmując męża w pasie i przyciągając do siebie. Jej dłonie osunęły się na jego pośladki.

- To chyba nie jest dobry pomysł - wskazał podbródkiem na drzwi sypialni.

- Wszystko w porządku. Zamknęłam je na klucz.

- Na klucz? Czemu?

- Bo pomyślałam, że przyda nam się małe sam na sam. - Przesunęła ręce z pośladków na brzuch.

W końcu on także się uśmiechnął. Delikatnie zaczął skubać wargami jej szyję.

- Naprawdę tak pomyślałaś?

Potem zaczął ją całować, a ona natychmiast przypomniała sobie, że właśnie to najbardziej ją w nim pociągało. Zawsze była nienasycona, jeśli chodzi o pocałunki.

Byli już na wpół nadzy, kiedy rozległo się energiczne pukanie do drzwi. Zaraz potem pukanie powtórzyło się, a następnie ktoś zaczął gorączkowo kręcić gałką.

- Mark! - Przez solidne, drewniane drzwi doleciał głos pani Dennison. - Mark, jesteś tam?

- Chwileczkę, mam! - zawołał i w popłochu zaczął wciągać na siebie ubranie. Jamie oplotła ramionami jego szczupłe pośladki i próbowała z powrotem wciągnąć go do łóżka.

- Powiedz jej, że jesteś zajęty - szepnęła namiętnie.

- Ubieraj się - odpowiedział krótko.

- Czy coś się stało? - pytała jego matka, wciąż przekręcając tam i z powrotem gałkę.

Mark wyrwał się z objęć Jamie i podszedł do drzwi. Zanim je otworzył, jeszcze raz spojrzął na żonę.

- Guziki - zbeształ ją, wskazując na wpół rozpiętą bluzkę.

- Dlaczego drzwi były zamknięte? - dopytywała się pani Dennison, rzucając przy tym oskarżycielskie spojrzenia na Jamie.

- Siła przyzwyczajenia - wzruszyła Jamie ramionami i przywołała na usta uśmiech.

- W tym domu nie zamyka się drzwi - oznajmiła teściowa tonem nieznoszącym sprzeciwu.

- A czy coś się stało? - zainteresowała się Jamie.

Pani Dennison wyglądała na zakłopotaną i targaną sprzecznymi uczuciami, jakby sama ze sobą toczyła dyskusję, co ma teraz zrobić.

- Pomyślałam, że powinnaś to mieć - odezwała się po dłuższej chwili i wyciągnęła do synowej rękę. Na otwartej dłoni spoczywała para najpiękniejszych kolczyków ze złota i pereł, jakie dotąd zdarzyło się Jamie widzieć. - Należały do mojej prababki. Dawno temu obiecałam synowi, że dostanie je kobieta, którą poślubi.

Wyprostowała szczupłe ramiona i odchrząknęła, jakby chciała jak najprędzej wyrzucić z siebie ostatnie kilka słów.

- A więc teraz są twoje, jak sądzę.

- Mam! - to coś przepięknego!

- Rzeczywiście są śliczne - zgodziła się Jamie. Nagle kamień spadł jej z serca. Mąż miał rację, pomyślała. Jego matka jest wspaniałą kobietą i tylko musi oswoić się z myślą o pospiesznym ożenku syna. Trzeba okazać odrobinę cierpliwości. - Naprawdę jestem wzruszona - dodała.

- Chcę, żebyśmy się dobrze zrozumiwały - wycedziła pani Dennison. - Jeśli wasze małżeństwo się rozpadnie, masz mi je zwrócić.

Wtedy po raz drugi w ciągu dwóch dni małżeństwa pomyślała o tym, żeby odejść, ale zamiast to zrobić, znów pozwoliła się przekonać, że teściowa potrzebuje czasu na przystosowanie się do sytuacji. Powtarzała sobie, że to jej wina, bo zbyt wiele się spodziewała, a ponieważ to właśnie ona nalegała na szybkie zawarcie małżeństwa, do niej należało cierpliwie czekać, aż sprawy się ułożą. Po prostu jej oczekiwania okazały się zupełnie oderwane od rzeczywistości. Nie można wyjść za mąż za faceta, którego ledwie się zna, przeprowadzić się z nim do obcego miasta i myśleć, że od razu wszystko będzie super.

Problem w tym, że właśnie tego się spodziewała.

Myśl o tym, że ten wysoki, młody mężczyzna o nieśmiałym uśmiechu i zakrzywionym nosie, którego poznała na pokazie samochodowym - przyjechał tam na zjazd sprzedawców samochodów, ona przyszła obejrzeć stare automobile - nie był seksownym rycerzem w lśniącej zbroi, jak sądziła na początku, lecz bojaźliwym i niepewnym siebie mamisynkiem, sprawiała Jamie tak wielki ból, że wołała odepchnąć ją od siebie.

Wszystkie kłopoty znikną jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, kiedy tylko przeprowadzimy się do własnego mieszkania, mówiła sobie w kółko. Sprawy będą wówczas wyglądać zupełnie inaczej. Jak tylko uda mi się odseparować go od mamusi, znów zmieni się w mężczyznę, za którego wyszłam - albo raczej myślałam, że wychodzę.

Jednak Mark Dennison okazał się szczególnie oporny wobec wszelkich prób przecięcia niewidzialnej pępowiny.

- Nie rozumiem, dlaczego tak ci się spieszy, żeby się stąd wyprowadzić - narzekał. - Mama dla nas gotuje, prowadzi dom, robi pranie. Na litość boską, przecież

ona robi wszystko, żeby ci dogodzić! Czy naprawdę nie jesteś w stanie tego docenić? Co ci się nie podoba?

- Po prostu uważam, że byłoby fajnie, gdybyśmy mieli własne gniazdko. No wiesz, nareszcie moglibyśmy częściej być sami. I byłoby trochę więcej okazji, żeby się kochać - szepnęła, czule gładząc męża po udzie.

Znacznie więcej okazji, dodała w myślach. W ciągu ostatnich tygodni ich pożycie intymne praktycznie ustało.

- Czy ty nie potrafisz myśleć o niczym innym? - zapytał oskarżycielskim tonem. - Dlaczego nie poszukasz sobie jakiejś pracy? - dodał jednym tchem, jakby to drugie zajęcie było prawdziwym substytutem pierwszego.

Jamie postąpiła zgodnie z jego życzeniem. Została sekretarką w przedsiębiorstwie zajmującym się zarządzaniem nieruchomościami, choć ta praca straszliwie ją nudziła. Wytrzymała tam niecały miesiąc, a potem objęła posadę recepcjonistki w popularnej firmie deweloperskiej. Tym razem pracowała zaledwie sześć tygodni. W końcu zaczęła mówić o powrocie do college'u i uzyskaniu tytułu specjalisty w zakresie pomocy społecznej.

- Dlaczego chcesz pracować w opiece socjalnej? - dopytywała się teściowa.

Z kolei Mark stał się jeszcze bardziej zamknięty w sobie, aż w końcu Jamie zrezygnowała z planów powrotu do szkoły i znalazła kolejną posadę sekretarki, tym razem w niedużym towarzystwie ubezpieczeniowym.

Wreszcie mąż zgodził się łaskawie, żeby obejrzeni kilka mieszkań w najbliższym sąsiedztwie, ale wówczas jego matka zaczęła chorować. Lekarze nie bardzo mogli ustalić przyczynę niedomagania, choć zgodnie twierdzili, że może to być coś o podłożu nerwowym. Jak więc można było choćby pomyśleć o wyprowadzce, dopóki mama nie odzyska pełni zdrowia?

Ona jak nic dożyje stu lat, myślała z pasją Jamie. W końcu doszła do wniosku, że nie ma najmniejszych szans na uregulowanie swojego życia, jeśli nie weźmie spraw we własne ręce. Sama znalazła odpowiednie mieszkanie, podpisała umowę najmu i oznajmiła mężowi, że pod koniec miesiąca się przeprowadza. Z nim albo bez niego. Wreszcie zgodził się na przeprowadzkę, aczkolwiek uczynił to z wielką niechęcią. Tak zakończył się pierwszy rok ich małżeństwa.

Drugi rok w większości wyglądał tak samo.

Jamie pracowała w zawodzie, którego nie znosiła, za męża miała człowieka, którego prawie nie знаła i rzadko widywała - bo Mark nabrał zwyczaju wpadania do mamusi każdego dnia po drodze z pracy; czasami jadł u niej kolację i nawet nie zadawał sobie trudu, żeby powiadomić o tym żonę - a w dodatku została odcięta od własnej rodziny i przyjaciół.

Próbowała znaleźć sobie jakieś towarzystwo i w krótkim czasie udało się jej zebrać grono przyjaciółek, którym mogła się zwierzyć i wyżalić. To właśnie one jej poradziły, żeby zerwała związek i w ten sposób zapobiegła dalszym nieszczęściom.

- Jedyne, co zyskałaś przez małżeństwo, to zamiana jednej władczej mamuśki na inną - mówiły.

I miały rację. Jamie wzmocniła się kilkoma szklaneczkami wina i zadzwoniła do domu teściowej, by oznajmić mężowi, że przeprowadza się z powrotem do Palm Beach. Godzinę później zjawił się u jej progu z bukietem kwiatów, przeprosinami i łzami.

- Proszę cię, nie wyjeżdżaj - błagał. - To wszystko moja wina. To ja okazałem się kompletnym idiotą. Obiecuję, że teraz wszystko będzie inaczej. Bo ja się zmienię. Proszę, daj mi jeszcze jedną szansę. Wszystko się ułoży, zobaczysz. Obiecuję...

I miał rację. Sprawy naprawdę zaczęły zmierzać w dobrym kierunku. W każdym razie tak było przez parę tygodni.

A potem wszystko się pogorszyło.

Dość już tego, pomyślała, przekręcając się w łóżku na bok. W końcu czara gorzycy się przepełniła, przypomniała sobie, choć wcale nie chciała przeżywać na nowo tamtych bolesnych miesięcy. Przeszłość została definitywnie zamknięta. Już nigdy nie będzie musiała oglądać Marka Dennisona. Teraz miała przed sobą nowe życie, bo po kilku falstartach wreszcie spotkała mężczyznę swoich marzeń. Pod wpływem tej myśli wyciągnęła rękę, żeby pogłodzić Brada po plecach.

Ale obok niej nie było nikogo.

- Brad?

Wygramoliła się z łóżka i rozejrzała dookoła po pustym pokoju. Nadstawiła uszu w nadziei, że ponad szumem klimatyzacji usłyszy odgłos wody w prysznicu, warczenie golarki czy splukiwanie toalety.

Wszędzie jednak panowała cisza. Podbiegła do okna i jednym szarpnięciem odsunęła zasłony. Blask słońca eksplodował prosto w jej twarz jak nagły rozbłysk flesza i na moment całkowicie ją oślepił. Ale nawet poprzez mgłę pełną białych i czerwonych plamek zdołała dostrzec, że parking znajdujący się tuż pod oknami motelu świecił pustkami. Jej samochód zniknął. Czyżby ta podejrzana trójka łobuzów w jakiś sposób zdołała odkryć miejsce ich pobytu i wróciła tu, żeby zastawić na Brada pułapkę?

A potem ujrzała wielką kartkę białego papieru, która przesłaniała ciemny ekran telewizora, przytrzymywana leżącą na górze Biblią.

„Pojechałem do warsztatu. Niedługo wrócę. Idź do lobby i zjedz śniadanie. Jest w cenie noclegu”.

Uśmiechnęła się, przyciskając do piersi kartkę niczym tarczę, która miała ją chronić. Serce wciąż waliło jej jak młotem. Sama widzisz, powtarzała sobie. Mówiłam przecież, że nie ma się czego obawiać. On jest cały i zdrowy, i myśli o tobie. Tak jak zawsze.

Szybko wykapała się pod prysznicem i umyła włosy, a potem zaczęła się ubierać. Jej wybór padł na białą koszulkę i różowe spodnie ze zwężanymi nogawkami. Następnie wrzuciła do torby wszystkie swoje rzeczy, żeby być gotową do wyjazdu, kiedy Brad wróci, i jeszcze raz uważnym wzrokiem rozejrzała się po pokoju, czy niczego nie zostawiła. W końcu wyszła do lobby.

- Czy jeszcze można zjeść śniadanie? - spytała przedwcześnie połyśniętego młodego człowieka, który siedział w recepcji. Zegar nad jego głową wskazywał dokładnie dziewięć trzydzieści sześć.

- Za rogiem.

Wskazującym palcem prawej ręki pokazał, dokąd powinna iść. Jamie zauważyła, że na końcu palca brakowało koniuszka i zaczęła się zastanawiać, jak to się mogło stać. Ruszyła do wyznaczonej części holu. Ujrzała zielony dywan na podłodze i kilka małych stolików z krzesłami oraz starą beżową kanapę ze stojącym

obok dużym telewizorem. Wzdłuż jednej ze ścian ustawiono wąski stół, na którym leżały nieapetycznie wyglądające zimne bagietki i kawałki białego, testowego pieczywa. Między nimi wałało się kilka sztuk duńskich ciasteczek, jedno z serem, inne z marmoladą truskawkową. Jamie zdecydowała się na to z serem, a potem napełniła styropianowy kubeczek ciepłą kawą i zaniósła wszystko do najbliższego stolika. Była zupełnie sama. No cóż, jest już dość późno, pomyślała i upiła łyk kawy. Odwróciła się w stronę telewizora, gdzie jakiś facet w imponującym kowbojskim kapeluszu i koszuli w biało-niebieską kratę lewą ręką czule obejmował swoją strzelbę, a w prawej trzymał egzemplarz Konstytucji. Ciekawe, co ktoś taki myśli o posiadaniu noży, zastanawiała się.

- No i co o tym sądzisz? - przemówił tuż obok niej jakiś męski głos.

Jamie podniosła oczy. Łysiejący mężczyzna z recepcji nalał sobie filiżankę kawy, a potem usiadł przy sąsiednim stoliku, wyciągnął długie nogi i z lubością zaciągnął się zapachem niezapalonego papierosa. Znak umieszczony na ścianie nad telewizorem mówił jasno, że palenie jest tu zabronione.

- A o co konkretnie chodzi? - odezwała się. O zakaz palenia? Kontrolę broni palnej? Czy o noże sprężynowe?

- O kawę - odparł z uśmiechem. - Właśnie próbujemy nowego gatunku kawy.

- Jest całkiem w porządku.

- Tylko „w porządku”? Jamie upiła kolejny łyk.

- Tak, po prostu „w porządku”.

- Taak... Dokładnie to samo myślałem - zgodził się łysiejący młodzieniec o lekko zadartym nosie. Podrapał się po udzie i postawił kubeczek na małym, okrągłym stoliku, a potem jeszcze raz wciągnął w nozdrza woń papierosa. - Nic nadzwyczajnego. A tak przy okazji, to na imię mam Dusty.

- Jamie - odwzajemniła się. - Za to ciasteczka duńskie są naprawdę pyszne - dla podkreślenia swoich słów ugryzła spory kawałek.

- Tak? Ja osobiście wolę bułeczki z cynamonem. Mają mnóstwo rodzynek.

- Ale ich tu nie widzę.

- No tak, o tej godzinie ich nie zobaczysz. Zawsze znikają jako pierwsze.

Jamie znów ugryzła ciasteczko i popiła kawą, podczas gdy Dusty nie przestawał wachać papierosa. Facet w kapeluszu tłumaczył długo i szeroko, że strzelby nie zabijają ludzi. To ludzie pociągają za spust. W tym momencie Jamie zaczęła się zastanawiać, czy Brad naprawdę zamierzał poderznąć gardło tamtemu chłopcu.

- Dokąd jedziesz? - spytał Dusty po chwili milczenia.

- Do Ohio.

- Jesteś stamtąd?

- Nie. Nigdy dotąd tam nie byłam.

- Ja też. Jeszcze nie miałem okazji ruszyć się z Georgii - mówiąc to, Dusty zwięził małe, brązowe oczka, jakby dopiero teraz zaczął się zastanawiać, dlaczego tak się stało. - No więc co takiego jest w Ohio?

- Syn mojego ukochanego - odpowiedziała, rozkoszując się smakiem ostatniego słowa, pieszcząc uszy jego dźwiękiem. Jak mogła choćby pomyśleć, że byłby w stanie zrobić użytek z tamtego noża?

Dusty zaczął pukać palcami w blat stolika. Miejsce mężczyzny w kowbojskim kapeluszu zajął Charlton Heston. Przemawiał na jakimś zgromadzeniu, które wyglądało na wiec.

- Z moich zimnych, martwych rąk! - wrzasnął przy akompaniamencie grzmiących braw.

Ciekawe, o co mu chodziło, zdziwiła się Jamie.

- Co się stało z twoim palcem? - spytała głośno.

Dusty wyciągnął w górę wskazujący palec i zaczął mu się przyglądać z taką miną, jakby nie mógł sobie przypomnieć.

- Ach, to był wypadek z kosiarką - oznajmił po dłuższej chwili.

Jamie się wzdrygnęła.

- Psiakość.

Dusty zaczął się śmiać.

- Psiakość?

- Musiało boleć jak cholera, co?

- Eee, wcale nie tak bardzo. Przynajmniej nie od razu. Na początku nie wiedziałem nawet, co się stało i dopiero jak spojrzałem na dół, zobaczyłem krew. - Potrząsnął głową. - O rany, naprawdę sporo było tej krwi.

- A nie mogli ci przyszyć tego koniuszka? - spytała Jamie.

- Nie mogli go znaleźć. Zwyczajnie gdzieś poleciał i przepadł.

Wyobraziła sobie czubek palca Dusty'ego, który śmiga w powietrzu tak samo jak obcięty koński ogon Curtisa. Usłyszała czyjś śmiech i ze zgrozą uzmysłowiła sobie, że to ona się śmieje.

- O Boże, strasznie przepraszam. Wcale nie miałam zamiaru się śmiać. To przecież coś okropnego. Bardzo mi przykro...

- Niepotrzebnie. To było naprawdę śmieszne. - Dusty też zaczął się śmiać.

- I nie znaleźliście go?

- Nie, dopiero następnego dnia, a wtedy było już za późno. Zresztą ciągle go mam.

- Naprawdę?!

- Oczywiście nie przy sobie.

- Bogu niech będą dzięki - westchnęła z ulgą.

- Amen - dokończył Dusty i znów zaczęli się śmiać.

Na ekranie telewizora pojawił się jakiś cień. Jamie podniosła głowę i ujrzała Brada, który stał oparty o przeciwległą ścianę i przyglądał się im badawczym wzrokiem.

- Co was tak rozbawiło? - spytał podejrzliwie. Jamie zerwała się na równe nogi.

- Och, długo by trzeba opowiadać - zachichotała.

- Nie szkodzi, mamy mnóstwo czasu - odparł Brad. - Mechanik powiedział, że raczej nie uda mu się naprawić tego grata wcześniej niż po południu.

- Możecie nie zwalniać pokoju aż do czwartej - zaproponował Dusty. - Dopiero wtedy zabieramy się do sprzątania.

- Dzięki - rzucił za nim Brad, kiedy Dusty odwrócił się i ruszył w stronę recepcji.

- No to mamy trochę czasu, żeby się zrelaksować - zaczęła Jamie. - Może pójdziemy na spacer? Jest tu kilka kościołów...

- Twoim zdaniem to dobry pomysł, żeby od razu tak się spoufalać z takimi ludźmi? - Brad przerwał jej w pół zdania. - Czy wczorajszy wieczór naprawdę niczego cię nie nauczył?

Potrzebowała dobrych kilku sekund, żeby zrozumieć, o co chodzi.

- Masz na myśli Dusty'ego? - zaśmiała się. - Możesz mi wierzyć, on jest całkiem niegroźny.

- Lepiej ty uwierz mnie. Nie ma czegoś takiego.

Jamie wysunęła się do przodu. Stała dokładnie na wprost Brada, wspięła na czubki palców i ustami musnęła jego wargi. Jakie to słodkie, że starał się być taki opiekuńczy i tak troszczył się o jej bezpieczeństwo.

- Ja ci wierzę bez zastrzeżeń.

Uśmiechnął się i wyciągnął białą, plastikową torbę, którą dotąd trzymał ukrytą za plecami.

- Kupiłem coś dla ciebie.

- Naprawdę? A co?

- Otwórz.

Jamie wzięła z jego rąk torbę, z zaciekawieniem sięgnęła do środka i wyciągnęła pudełko. Na widok nieprawdopodobnie zgrabnej lalki w czerwonych pantoflach na wysokich obcasach i o platynowych włosach zalała się Izami rozrzewnienia.

- Boże, nie wierzę własnym oczom! Kupiłeś mi Barbie!

- Pomyślałem, że może znów zaczniesz je zbierać - rzekł Brad.

Jamie rzuciła się w jego ramiona.

- Nie mogę w to uwierzyć! - wykrzyknęła z zachwytem. Brad przycisnął ją mocno do piersi, kiedy dźwięk wystrzałów dobiegający z telewizora odbił się echem od ścian salki.

- Chodź - powiedział. - Zabierzemy Barbie do kościoła.

12

- No dobrze, Dylan, czas już wyjść - zawołała Emma zza zamkniętych drzwi łazienki. Dochodziła szósta trzydzieści i Lily w każdej chwili mogła przyprowadzić Michaela.

- Idź stąd - odpowiedział jej drżący głosik.

- Co się dzieje, kochanie? Coś z brzuszkiem? Nie było odpowiedzi.

- Dylan, wiesz przecież, że mama nie lubi, kiedy zamykasz drzwi na zasuwkę.

- Idź stąd - powtórzył.

Emma wzięła głęboki oddech i zmusiła się do uśmiechu. Przypomniała sobie, że coś czytała na ten temat. Podobno jeśli człowiek zmusi się do uśmiechu, niezależnie od tego jak naprawdę się czuje, od razu robi mu się lepiej. Myśl pozytywnie, a to od razu przyniesie pożądane efekty. Boże, co to za bzdury, pomyślała z lekką irytacją.

- Kochanie, lada chwila przyjdzie do nas twój przyjaciel Michael.

- To nie jest mój przyjaciel - padła natychmiastowa riposta.

- Chodźcie razem do klasy, więc myślałam, że go lubisz.

- Wcale go nie lubię.

Tym razem uśmiech znacznie więcej ją kosztował.

- No cóż, wystarczy więc, że on lubi ciebie. I cały dzień czekał na to, aż przyjdzie do nas, żeby tu przenocować.

- Nie zgadzam się, żeby spał w moim łóżku.

- Już ci mówiłam, że będziecie spać u mnie. Obaj prześpicie się w mojej sypialni.

- Ale ja nie chcę spać w twoim łóżku.

- W porządku. W takim razie będziemy musieli coś wymyślić, ale teraz...

- I nie chcę, żeby on bawił się moimi zabawkami.

- To w takim razie wychodź, żebyś mógł mieć na niego oko, bo zaraz tu będzie.

- Nie. Powiedz mu, żeby sobie poszedł do swojego domu.

- Nie mogę. Obiecałam jego matce...

Nagle urwała. Co ja wyrabiam, zaczynam się kłócić z pięciolatkiem, pomyślała.

- Dylan, wychodź stamtąd natychmiast albo naprawdę pożałujesz. *Bo jak tupnę i jak chuchnę, to twój domek zaraz zdmuchnę.* Dylan, słyszysz mnie?

Cisza. A potem rozległo się szuranie odsuwanej zasuwki i skrzypnięcie powoli otwieranych drzwi od łazienki. Dylan stał na środku małego pomieszczenia i mierzył matkę wściekłym spojrzeniem, a jego dolna warga wyraźnie drżała.

- No dobrze. Już wystarczy tych głupot jak na jeden dzień. Teraz zejść na dół. Zrobiłam na kolację makaron z serem.

- Nienawidzę makaronu z serem - odparł, nie ruszając się z miejsca.

- Co ty pleciesz? Przecież zawsze go uwielbiałeś.

- Wcale nie. Nienawidzę go.

- Chodź wreszcie na dół - Emma sięgnęła po rękę syna. Nagle z konsternacją zauważyła, że na podłodze przed sedesem jest wielka kałuża. - Co tu się stało?

- Miałem wypadek. - Dylan odwrócił wzrok, a jego policzki pokryły się krwistym rumieńcem.

Emma przeniosła wzrok z podłogi na deskę sedesową i wreszcie na ścianę za sedesem. Dekoracyjny rozprysk moczu pokrywał całą powierzchnię, jakby ktoś wymalował tu jakieś cholerne graffiti.

- Młody człowieku, to nie był żaden wypadek. Zrobiłeś to specjalnie.

- Wcale nie - upierał się Dylan. - Po prostu nie wcelowałem.

- No cóż, tak czy inaczej będziesz musiał to posprzątać. - Namoczyła ścierkę do podłogi i wcisnęła chłopcu do ręki. - I to zaraz.

- Nie.

- Dylan, już powiedziałam, że mam już dość tych głupot jak na jeden dzień.

W odpowiedzi otworzył dłoń i ścierka klapnęła na podłogę.

- Okay. Pan będzie uprzejmy to podnieść.

- Nie.

- A może wolisz klapsa? Może to bardziej ci odpowiada? Bo jeśli chodzi o mnie, to wręcz nie mogę się doczekać.

- Jesteś wstrętna! - wrzasnęła. Nagle przepchnął się obok niej i wypadł z łazienki. - Jesteś wstrętną mamusią!

- A ty jesteś paskudnym gówniarzem - zrewanżowała się Emma, łapiąc syna przy samych schodach. Frustracja prawie całkowicie zmasała z jej ust sztuczny uśmiech, a cisnące się do oczu łzy dokończyły dzieła. Chwyliła chłopca za rękę, obróciła dookoła i wymierzyła mu kilka solidnych klapsów, co wywołało nowy wrzask oburzenia.

I właśnie wtedy zabrzączał dzwonek u drzwi.

Emma zamarła z ręką uniesioną w powietrzu. Boże, co mnie napadło, zreflektowała się? Czy nie obiecywałam sobie, że niezależnie od wszystkiego nigdy nie będę się odgrywać na synu? Wzięła kilka głębokich oddechów i natychmiast powtórzyła całą serię jeszcze raz, żeby całkowicie się uspokoić.

- No dobrze, teraz idziemy na dół - zaczęła, starając się przemawiać miękko, ale zdecydowanie. - Przywitasz się z Michaeliem, następnie pójdziesz do kuchni i zjesz każdy kęs makaronu z serem, jaki ci nałożyłam. Co więcej, postarasz się, żeby ci smakowało. A potem powiesz: „Dziękuję, mamusiu, że zrobiłaś taką pyszną kolację” i zabierzesz Michaela do swojego pokoju. Pozwolisz mu się bawić tymi zabawkami, którymi będzie chciał się bawić, w przeciwnym razie kiedy jutro rano się obudzisz, nie będzie już żadnych zabawek, łącznie ze Spidermanem. Czy to jasne, Dylan? Czy zrozumiałeś, co powiedziałam?

- Nienawidzę cię - odpowiedział.

- No pięknie. Pamiętaj jednak, że masz tylko mnie.

- Ja chcę do tatusia - wrzasnął jej prosto do ucha, a potem wyrwał się z jej objęć i popędził do łazienki, z hukiem zamykając za sobą drzwi.

- Dylan!

W odpowiedzi usłyszała trzask zasuwki.

- Dylan, proszę cię, nie rób tego! Proszę!

- Ja chcę do tatusia!

Z dołu znów dobiegło brzęczenie dzwonka.

Emma stała na środku korytarza; walczyła ze łzami, jednocześnie usiłując odzyskać poczucie jakiejś równowagi. Do diabła, jak mogło dojść do czegoś podobnego? Co ona najlepszego zrobiła?

- Dylan, kochanie, strasznie przepraszam! Ja wcale nie chciałam...

- Idź sobie!

Emma pokręciła głową, wycierając obiema dłońmi łzy spływające po policzkach. Dzwonek odezwał się trzeci raz.

- Momencik! - krzyknęła i zaczęła zbiegać ze schodów.

Dlaczego ostatnimi czasy tak łatwo traciła panowanie nad sobą? Oczywiście Dylan znowu obudził się w środku nocy, bo jak zwykle dręczyły go koszmary. W rezultacie przez cały dzień był zmęczony i marudził z byle powodu, co ją również bardzo zmęczyło. Rola samotnego rodzica nie należała do najłatwiejszych, ale w tym właśnie tkwił sęk: to ona była rodzicem, a on jej dzieckiem. W ich układzie to ona była dorosła, co oznaczało, że nie może tracić zimnej krwi za każdym razem, kiedy Dylan zacznie się źle zachowywać. Poza tym, samodzielnie podjęła decyzję, żeby zaprosić Michaela na dzisiejszą noc. Nie uzgadniała tego z Dylanem, nie wzięła pod uwagę jego życzeń, choć w głębi duszy świetnie wiedziała, że jej synkowi z pewnością nie spodoba się ten pomysł. Tak samo, jak wiedziała, że to ona ukształtowała go w ten sposób i że ponosi odpowiedzialność za nadmierną ostrożność Dylana i za jego osamotnienie. Jak mogła się spodziewać, że chłopiec inaczej zareaguje na wieść, iż dla kaprysu, wiedziona nagłym, nierozsądnym impulsem zaprosiła do ich grona kogoś w zasadzie obcego? Nie miało znaczenia, że w tym wypadku gość był nieszkodliwym pięciolatkiem, ani że chodził do tej samej klasy, ani że mieszkał kilka domów dalej przy tej samej ulicy. Był obcy, więc należało się go obawiać i w konsekwencji odrzucać.

Zupełnie jak w jakimś opowiadaniu Lily, myślała Emma, otwierając na oścież frontowe drzwi. Lily i jej syn stali tuż za progiem i uśmiechali się do niej ciepło. Lily miała na sobie ciemnoniebieski sweter i ani odrobiny makijażu. Włosy związała w nieporządny kucyk, z którego we wszystkich kierunkach wysuwały się zabłąkane blond pasma. Jednak na jej okrągłej twarzy malowało się tak radosne oczekiwanie, że ten widok dosłownie zapierał dech w piersiach. Przez moment Emma poczuła ukłucie zazdrości; wiele by dała, żeby znaleźć się teraz na miejscu Lily, choćby na tę jedną jedyną noc. Ona przynajmniej na coś czekała - a ile czasu upłynęło od chwili, kiedy Emma czekała na cokolwiek? Czekała na kolację z mężczyzną, który patrząc na

nią, miał w oczach tęsknotę, a nie wstręt. Szkoda, że to nie mój mąż zginął w wypadku motocyklowym, pomyślała Emma, zapraszając ich oboje do środka.

- Cześć. Wejdźcie, proszę.

- Przepraszam, że tyle razy dzwoniłam - zaczęła się usprawiedliwiać Lily. - Najpierw pomyślałam, że pewnie nie usłyszałaś, a potem, że dzwonek jest zepsuty, więc oczywiście dalej go przyciskałam, jakby to miało jakiś sens.

- Akurat byłam w łazience.

- Och, przepraszam!

- Nie bądź niemądra. - Emma zerknęła na małego chłopca, który stał tuż za swoją mamą, kurczowo ściskając w jednym ręku małą torbę z rzeczami, a drugą tuląc do piersi pluszowego Kermita. Musiała siłą się powstrzymać, żeby się nie pochylić i nie ucałować jego krągłych, rumianych jak jabłuszka policzków. Czy wszyscy pięcioletni chłopcy wyglądają tak słodko i niewinnie? Do cholery, dlaczego więc tak bardzo się zmieniają, gdy dorosną? - Domyślam się, że to jest Michael.

- Tak, to jest Michael - oznajmiła Lily, a w jej głosie zabrzmiała matczyzna duma.

- A to jest Kermit - dodał malec, wyciągając w stronę Emmy zielonego pluszaka.

- No cóż, bardzo miło mi pana poznać, panie Michael. I pańskiego Kermita także. - Emma odwróciła się w stronę schodów. - Dylan, przyszedł Michael.

Cisza.

- Na pewno za chwilę zejdziesz na dół - oznajmiła z pośpiechem. - Jesteś głodny?
- spytała Michaela.

Bez słowa skinął głową, stawiając na podłodze torbę. Zaczęła się zastanawiać, czy naprawdę jest takim aniołkiem, na jakiego wygląda. Na przekór wszystkiego miała nadzieję, że jest odwrotnie.

- Lubisz makaron z serem? - spytała.

- To jego ulubione danie - odpowiedziała Lily.

- Moje też - oznajmiła Emma.

- I moje - powiedział Dylan, stając na szczycie schodów.

Emma poczuła, jak serce jej rośnie, jakby za chwilę miało pęknąć z nadmiaru miłości i wdzięczności.

- Dylan, skarbie, zobacz, kto przyszedł.

Dylan niezgrabnie ruszył w dół schodów, a jego palce zostawiały na ścianie kleisty ślad.

- Cześć - mruknął.

- A to jest mama Michaela, pani Rogers.

- Możesz mówić do mnie Lily.

- Czy to wypada, mamu? - spytał Dylan.

Emma poczuła, że zalewa ją fala miłości tak potężnej, że musiała czubkami palców wbić się w podłogę, żeby się nie przewrócić. Jej syn był czymś najlepszym, co przydarzyło się jej na tym świecie. Jak mogła być tak niedbała w stosunku do niego, tak wstrętna, jak sam to słusznie określił? Na litość boską, był przecież małym chłopcem, a ona oczekiwała od niego tak wiele. Bardzo mi przykro, kochanie, mówiła w głębi duszy. Wybacz mi, obiecuję, że już nigdy nie podniosę na ciebie ręki.

- Oczywiście, że wypada, kochanie.

- Jestem strasznie głodny. - Dylan wziął Michaela za rękę i poprowadził do kuchni, a obie panie szły za nimi. - Moja mama robi najlepszy na świecie makaron z serem. Prawda, mamusiu?

- To stary przepis. - Emma uśmiechnęła się do Lily. - Przekazywany z pokolenia na pokolenie w rodzinie Kraftów. Ale mimo to...

Lily zaczęła się śmiać, kiedy Emma nałożyła kopiaсте porcje na talerze chłopców.

- Masz czas na drinka? - spytała Emma, podnosząc z blatu kieliszek z białym winem, którym raczyła się przez całe popołudnie. Od kiedy nabrałam zwyczaju picia popołudniami, pomyślała nagle, kiedy poczuła, jak tanie wino rozlewa się ciepłem w jej gardle.

- Nie bardzo. Chętnie bym się czegoś napiła, ale naprawdę już muszę lecieć.

- Moja mama idzie na randkę - poinformował Dylana Michael.

- A co to jest randka? - zdziwił się Dylan. Michael konspiracyjnie pochylił się w jego kierunku.

- Randka jest wtedy, jak umawiasz się z kimś na kolację w restauracji.

Oczy Dylana rozszerzyły się ze zdumienia.

- Mamusiu, czy my możemy kiedyś umówić się na randkę?

- Nie mam nic przeciw temu - zaśmiała się Emma, pociągając kolejny łyżeczek wina.

Lily objęła syna na pożegnanie.

- Baw się dobrze, skarbie, rób wszystko, co powie pani Frost...

- Emma - poprawiła szybko Emma, choć prawdę mówiąc, wolałaby bardziej oficjalną formę. Matka od małego wpajała jej, że do starszych należy się zwracać z szacunkiem.

- ...i zobaczymy się rano. - Lily cmoknęła chłopca w policzek, a on w tym czasie nawet na chwilę nie przestał napychać buzi smakołykiem Kraftów. - Zostawiam mój numer na komórkę, zadzwoń, gdybyście mnie potrzebowali.

Wręczyła Emmie karteczkę ze starannie wykaligrafowanym rzędem cyfr.

- Jeśli będziesz uważała, że powinnam zabrać Michaela, jak będę wracała do domu, to nie zastanawiaj się, tylko dzwoń.

- Jestem pewna, że to nie będzie konieczne. Zatrzymały się przy frontowych drzwiach.

- Jak uważasz, naprawdę powinnam to zrobić? - spytała Lily, a w wielkich, piwnych oczach pojawiła się prośba o dodanie otuchy.

- Przestań się martwić. Michael na pewno świetnie da sobie radę.

- Ale ja wcale nie mówię o Michaelu. Mam na myśli Jeffa Dawsona.

- Wszystko będzie dobrze, zobaczysz. - Emma wyciągnęła rękę i pogłaskała nową przyjaciółkę po ramieniu.

- No, nie wiem. Masz pojęcie, ile czasu minęło od chwili, kiedy ostatni raz byłam z kimś na prawdziwej randce?

- Chyba potrafię sobie to wyobrazić.

- Nie będę wiedziała, jak się zachować ani co mówić.

- To słuchaj. Wiesz, co nam powtarzali na zajęciach z higieny? Pozwól mu mówić, dowiedz się, co go interesuje, i śmieję się z jego dowcipów.

- A jeśli nie powie żadnego dowcipu?

- To ty powiedz.
- O Boże, ale ja nie znam ani jednego. A ty?
- Co to jest: czarne, białe, czerwone, czarne, białe, czerwone i tak w kółko?
- Gazeta?
- Nie. Zakonnica spadająca z pagórka.
- Chryste, to chyba najgłupszy kawał, jaki kiedykolwiek słyszałam.
- Naprawdę? A w przedszkolu był bardzo popularny.
- Wiesz co, chyba się rozchoruję ze zdenerwowania.
- Na pewno wszystko pójdzie fantastycznie. - Emma otworzyła drzwi i leciutko

popchnęła Lily w kierunku podestu. - Zresztą pamiętaj, jeśli wszystko inne zawie-
dzie...

- To co wtedy?

Emma uśmiechnęła się i pociągnęła łyk ze szklaneczki.

- Zaczynij zmyślać.

Kiedy chłopcy zasnęli, Emma usiadła w salonie z kieliszkiem wina w ręku. Pomimo obaw Dylana - a także jej własnych - wieczorne zabawy przebiegły bez większych nieporozumień. Chłopcy skończyli jeść, a potem pobiegli na górę, żeby pobawić się zabawkami Dylana.

I choć nie było ich tam zbyt wiele - ukochany Spiderman, mała armia plastikowych żołnierzyków, trochę klocków lego, parę samochodów i ciężarówek - to obaj malcy wyglądali na całkiem zadowolonych. Potem nadszedł czas na obowiązkową grę w chowanego, która zawsze poprzedzała pójście do łóżka, następnie Dylan przystąpił do swoich wieczornych rytuałów, przy których udało mu się ograniczyć do minimum zwykle zamieszanie i wykazać maksimum subtelności. Jeśli nawet Michael zauważył coś dziwnego, to niczego nie skomentował. Potem on i Dylan wślizgnęli się do jej łóżka, a Emma zaczęła oglądać powtórkę *Przyjaciół* - a konkretnie tego odcinka, w którym Ross mówi: „Biorę sobie ciebie, Rachelo”, podczas gdy żeni się z kimś zupełnie innym. Jedyne denerwujący moment zdarzył się, kiedy przy końcu serialu Dylan zwrócił się do Michaela i z dumą obwieścił: „A moja mama dostała imię po dziecku Racheli”. Na szczęście wątpliwa logika tej wypowiedzi nie wzbudziła w Michaelu najmniejszych podejrzeń.

- Super - powiedział tylko.

- Super - powtórzył jak echo Dylan i zaczął się śmiać.

Teraz Emma siedziała na kanapie, sączyła wino i rozmyślała, co dalej robić z tak pięknie rozpoczętym wieczorem. Mogłaby poczytać książkę, gdyby miała w domu chociaż jedną. Nalała wina i zaczęła się zastanawiać, jak Lily daje sobie radę na randce.

- Za szczęśliwą parę - powiedziała, unosząc kieliszek. Szkoda, że nie zabrała z sypialni telewizora, bo teraz miałyby czym wypełnić czas. Nie można przecież przez cały wieczór siedzieć w jednym miejscu, gapić się w ścianę i pić na umór. A może wręcz przeciwnie? Może to całkiem dobry pomysł?

- Właściwie czemu nie? - odezwała się na głos. Zrzuciła domowe pantofle i podwinęła nogi, żeby jak najwygodniej ułożyć się na brązowej kanapie. Nie należę do tego miejsca, myślała, zamykając oczy. Nie należę do ulicy Szalonej Rzeki.

Zresztą, czy w ogóle istniało takie miejsce, w którym czułaby się jak u siebie?

Z pewnością nie pasowała do Bishop Lane School for Girls - tego straszliwego bastionu próżności, gdzie przebywały rozpieszczone córki miejscowej elity; gdzie tytuł królowej piękności był równie pożądany jak pozycja klasowej prymuski, co nie powinno nikogo dziwić, zważywszy na to, co wyprawiały i jak się prowadziły uczennice. Oczywiście nie znaczyło to, że Emma kiedykolwiek mogła zostać uznana za najlepszą uczennicę w klasie. Ha! Na to raczej nie było szans.

Chociaż w czasie pierwszego semestru zapowiadała się całkiem obiecująco. Ale to trwało zaledwie kilka krótkich miesięcy, kiedy jeszcze nikt nie wiedział, kim ona naprawdę jest; zanim koleżanki odkryły, że jest biedna jak mysz kościelna, a jej matka pracuje w miejscowym więzieniu. „Córka strażniczki”, szeptały na korytarzu za jej plecami, jakby był to rodzaj jakiejś zakaźnej choroby.

Tak bardzo pragnęła jedynie wtopić się w to towarzystwo, upodobnić do innych dziewcząt, ale jak miała to zrobić, skoro tamte miały wszystko, a ona nie miała nic? Nawet najtańsza para markowych dżinsów była poza jej zasięgiem... Czy to naprawdę takie dziwne, że zaczęła w końcu kraść w sklepach? Tu szminka, tam lakier do paznokci...

- Jaki piękny kolor - usłyszała następnego dnia komentarz Sary Johnson. To były pierwsze miłe słowa, jakie od wielu miesięcy usłyszała z ust rówieśniczki. Ten drobny sygnał akceptacji pozwolił jej przetrwać cały dzień i podtrzymywał na duchu, kiedy musiała znosić niezliczone afronty i złośliwości koleżanek. Więc czemu nie wziąć jeszcze tej pary skórzanych rękawiczek, zwłaszcza że sprzedawczyni wyglądała na strasznie przemądrzałą? A tenisówki? Czy nie były zupełnie takie same jak te, za które Lucy Dixon zbierała wyrazy uznania? A co z tą spódniczką i sweterkiem? Wyglądała w nich całkiem nieźle, a czuła się jeszcze lepiej. W tych ciuchach była równie dobra jak każda inna. Jeszcze im pokaże, że córka strażniczki nie potrzebuje niczyjej łaski.

Jaka to ironia losu, że musiała przywłaszczać sobie rzeczy, które do niej nie należały, by wreszcie zyskać uznanie w swoim środowisku, myślała teraz, przypominając sobie ten pośpiech, radosne podniecenie i poczucie własnej siły, jakich doświadczała za każdym razem, gdy jakiś przedmiot zniknął w otchłani jej przepastnej torby.

Przypominała sobie również to, co nieuchronnie następowało potem - wyrzuty sumienia, poczucie winy i obietnice, że natychmiast z tym kończy.

Tyle tylko, że nie skończyła. Mimo najlepszych chęci nie mogła. Aż w końcu któregoś dnia, gdy wychodziła z salonu Neimana Marcusa z trzema spódniczkami mini ukrytymi pod szkolnym mundurkiem, została zatrzymana przez pracownicę firmy ochroniarskiej, która śledziła jej poczynania. Znaleziono trzy minispódniczki, dwa biustonosze, komplet kaszmirowych sweterków... Nawet tę głupią tubkę kremu nawilżającego, który pod wpływem impulsu zwinęła z półki przy samym wyjściu, z zamiarem podarowania go mamie na Dzień Matki. To znaczy, jako jeden z prezentów. Kierownictwo sklepu powiadomiło o całym zajściu szkołę, matkę Emmy i policję, choć ostatecznie odstąpiło od wniesienia oskarżenia.

Tak właśnie wyglądał pierwszy kontakt Emmy z policją. Niestety, nie ostatni.

W następnym roku pewnego popołudnia opuściła zajęcia w szkole i zakradła się do miejscowego multipleksu. Oczywiście została złapana, a zarząd kina postanowił dla przykładu nadać całej sprawie rozgłos i zadzwonił do szkoły. Na dwa dni została zawieszona w prawach ucznia i dostała ostrzeżenie, że jeśli coś podobnego powtórzy

się w przyszłości, nie ma co liczyć na łagodne potraktowanie. Miała szczęście, że jej matka była cenionym i cieszącym się uznaniem pracownikiem, jak powiedział dyrektor szkoły.

Sześć miesięcy później matka dostała wymówienie. Co prawda znalazła sobie następną pracę, ale Emma musiała zmienić szkołę. To właśnie wtedy ufarbowała włosy, zmieniła pisownię imienia i zaczęła opowiadać wszystkim dookoła, że jej matka umiera na raka. Przez krótką chwilę zyskała dzięki temu pewną dozę akceptacji, ale potem jakaś litościwa dusza z poradni wychowawczej wpadła na pomysł, żeby zadzwonić do matki Emmy i zapytać, czy może jakoś jej pomóc w tym trudnym czasie. I znowu Emma została napiętnowana jako kłamczyni i oszustka. Kilka dni później wpadła przypadkiem na kilka dawnych koleżanek z klasy w Bishop Lane.

- Czy to prawda, że masz takie wielkie cycki dlatego, że nosisz dwanaście biustonoszy? - spytała jedna z nich.

W odpowiedzi Emma uderzyła ją pięścią w twarz.

- Zasłużyła sobie na to - prychnęła teraz. Opróżniając do dna butelkę, przypominała sobie z satysfakcją, jak tamta bezczelna suka zalała się krwią. Oczywiście, powiadomiono szkołę, tak samo jak matkę Emmy. Tym razem wezwano policję, choć znów żadne oskarżenia nie zostały wniesione. „Masz szczęście”, powiedział oficer, który ją aresztował. Zrobił jej wykład na temat niewłaściwości zachowania, a następnie zaproponował, żeby usiadła z nim na tylnym siedzeniu wozu patrolowego i zrobiła mu laskę.

A teraz podjęła się opieki nad synem swojej przyjaciółki - jedynej, jaką miała od lat - po to, żeby rzeczona przyjaciółka mogła pójść na kolację z - *ta dam!* - gli-niarzem. Następna z niespodzianek, jakie niesie ze sobą życie. Podobnie jak ironią losu był fakt, że matka Emmy naprawdę umarła na raka krótko po tym, jak córka zawarła to fatalne małżeństwo.

Emma z trudem podniosła się na nogi, jakby zamierzała uciec przed mężczyzną, którego poślubiła. Możesz biec bez końca, ale nie zdołasz się ukryć, myślała, patrząc, jak pokój wiruje dookoła niej. Szybko usiadła z powrotem. Dokąd tak naprawdę zmierzała? Jej przeszłość wlokła się za nią krok w krok, i nieważne było, jak szybko biegła, ani z jakim pośpiechem przenosiła się z miejsca na miejsce. Mogła

zaczynać wszystko od początku tyle razy, ile tylko chciała... A na końcu zawsze się okazywało, że wciąż drepcze w tym samym miejscu.

13

- Może jeszcze wina? - Jeff Dawson sięgnął poza grubą świecę w kolorze kości słoniowej, ustawioną na środku różowego, lnianego obrusa, po butelkę drogiego merlota.

Lily pokręciła głową, ale nagle zmieniła zdanie, bo właściwie jak często zdarzało się ostatnimi czasy, żeby piła dobre wino w modnej restauracji w towarzystwie sympatycznego mężczyzny? Kto wie, kiedy trafi się jej następna taka okazja? Powinna wykorzystać dzisiejszy wieczór najlepiej jak się da.

- Poproszę, ale tylko troszeczkę.

Jeff nalał odrobinę wina do jej kieliszka, a następnie podobną ilość do swojego.

- Jak ci smakuje łosoś?

- Jest znakomity. A twoja jagnięcina?

- Doskonała.

Jeff odkroił kawałek, nadział na widelec i podał jej przez stół. Węzeł krawata w kolorze burgunda naprężył się na jego byczej szyi. Choć miał na sobie szytą na miarę sportową marynarkę, a pod nią szaroniebieską koszulę, żadne ubranie nie było w stanie ukryć masywnych mięśni na ramionach i klatce piersiowej.

- Proszę, spróbuj.

Lily otworzyła usta i wzięła kęs mięsa.

- Och, jakie dobre! Chcesz w zamian łososia?

- Nie. Nigdy nie lubiłem ryb - przyznał się ze skruchą. - To przez moją matkę.

- No tak, oczywiście! Zawsze wszystkiemu winne są te nieszczęsne matki.

Jeff się roześmiał.

- Moja matka była naprawdę wspaniałą kobietą, choć z gotowaniem radziła sobie raczej kiepsko. Chyba jedyną rybą, jaką nam serwowała, były takie paskudne paluszki z łososia. Szczerze ich nienawidziłem.

- Ja też ich nie lubiłam.

- No więc sama rozumiesz, nie było szans, żebym zasmakował w rybach.

- Jeszcze nic straconego - zauważyła, wskazując na resztki łososia na swoim talerzu.

- Już chyba tak. Zdecydowanie należę do gatunku mięsożernych. - Dla potwierdzenia swych słów wpackował do ust potężną porcję jagnięciny.

Lily obserwowała, jak Jeff przeżuwa mięso. Obserwowanie pełnej entuzjazmu pracy jego szczęk zdecydowanie sprawiało jej przyjemność. Ma bardzo piękne usta, myślała, przesuując wzrokiem po pełnych, miękkich wargach, poprzez złamany dwukrotnie nos aż do szramy w kształcie litery Y na prawym policzku, i wreszcie zatrzymując się na pełnym szczeroci spójrzeniu blisko osadzonych, ciemnoniebieskich oczu. On nie jest przystojny, przemknęło jej przez głowę, nawet nie jest zbliżony do ideału męskiej urody, lecz paradoksalnie przez to wydaje się jeszcze bardziej pociągający. A ona nigdy nie zwracała uwagi na przystojnych facetów. Wołała mężczyzn, którzy mają jakąś skazę.

- Skąd się wzięła ta blizna? - spytała nagle. - Oczywiście nie musisz odpowiadać i w ogóle przepraszam, że pytam, ale..

- Nic nie szkodzi - odparł. - To pamiątka po walce na noże z dealerem narkotyków, który w dodatku był naćpany po uszy.

- O mój Boże! Naprawdę?

- Nie. - W świetle świecy dostrzegła w jego oczach szelmowskie błyski. - Ale zawsze chciałem to powiedzieć. Brzmi bardzo dramatycznie, nie sądzisz?

- Nigdy nie należałam do fanek tego typu dramatów.

- Nie? To dobrze, ponieważ prawda jest o wiele bardziej przyziemna.

- Więc jak to się stało?

- Miałem powiększającą się narośl na nerwie przebiegającym przez policzek. To było jakieś dziesięć, może jedenaście lat temu. Lekarze zdecydowali, że trzeba ją wyciąć.

- Brzmi dość groźnie.

- Nie tak groźnie jak walka na śmierć i życie z naćpanym narkomanem, wyćwiczonym w walce na noże, ale owszem, zgadzam się, że wtedy przeżyłem parę

chwil prawdziwej grozy - przyznał. - Na szczęście okazało się, że ta narośl jest niezłośliwa. A więc...

- A więc? - Lily dziobnęła kawałek sałaty i ukradkiem zerknęła na swoją bluzkę w kolorze melona, żeby sprawdzić, czy przypadkiem nie poląła jej sosem. To właśnie jedna z rzeczy, która zawsze musi mi się przytrafić w najmniej odpowiedniej chwili, pomyślała, upychając za uchem niesforny kosmyk włosów. Przemknęło jej przez myśl, czy Jeff bawi się równie dobrze jak ona.

Restauracja rzeczywiście była urocza i w pełni zasługiwała na każdą z entuzjastycznych opinii, jakie ukazywały się w miejscowej prasie. Dość przytulna, ale nie klaustrofobiczna, romantyczna, ale nie mdła, i wyrafinowana, lecz nie pretensjonalna. Ściany w kolorze głębokiej czerwieni współgrały z jasnym dębem, którym wyłożony był sufit i podłoga. A jedzenie było wręcz wyśmienite, choć Lily prawie zaniemówiła na widok cen.

- A więc... - powtórzył Jeff i oboje wybuchnęli śmiechem - ...czy już ci mówiłem, jak pięknie dziś wyglądasz?

Lily poczuła, że się rumieni. Znów zaczęła wpychać włosy za lewym uchem, choć jeszcze nie zdążyły się stamtąd wyslizgnąć, a potem wbiła wzrok w talerz.

- Tak, już coś wspominałeś.

- Czy zgodzisz się, żebym powiedział to jeszcze raz?

- Proszę bardzo.

- Wyglądasz prześlicznie.

Lily uśmiechnęła się i machnęła ręką, jakby chciała odsunąć od siebie ten komplement.

- Nie wierzysz mi? - Jeff pochylił się w przód i oparł muskularne przedramię na blacie stołu.

- No cóż, chyba mogłabym zgubić parę funtów...

- Żartujesz.

- Przynajmniej pięć.

- Absolutnie wykluczone.

- To bardzo miłe z twojej strony, ale...

- Hej, nie zapominaj, że jestem gliniarzem. Gliny nigdy nie kłamia.

- Naprawdę?

- To znaczy, raczej nie. Od czasu do czasu zdarza mi się skłamać jak każdemu.

- Na przykład kiedy? - spytała Lily.

- Co kiedy?

- Kiedy zdarza ci się kłamać?

Jeff odłożył widelec i wpatrzył się w sufit. Najwyraźniej potraktował to pytanie całkiem serio.

- Cóż, jeśli chodzi o mój zawód, to kłamię wtedy, gdy chcę uzyskać jakieś informacje albo wyciągnąć z kogoś przyznanie się do winy.

- Czy to etyczne?

- Zdecydowanie. W konstytucji nie ma ani słowa o tym, że trzeba być bezwzględnie uczciwym, kiedy ma się do czynienia ze złodziejami albo mordercami.

- A często masz do czynienia z mordercami? W odpowiedzi wzruszył ramionami.

- Szczerze mówiąc, nie za często. Statystycznie rzecz biorąc, morderstwo jest raczej rzadko spotykanym przestępstwem.

- I dzięki Bogu.

- Ale muszę przyznać, że ci mordercy, z którymi miałem do czynienia, nie różnili się zbytnio ode mnie albo od ciebie. Przynajmniej na pierwszy rzut oka.

- A na drugi?

- To zależy.

- Od czego?

- Od okoliczności. Jak mogę to najprościej wytłumaczyć? - Rozejrzał się po zatłoczonej sali, jakby szukał jakiejś znajomej twarzy. - Widzisz tę parę, która siedzi przy stole w samym narożniku?

Lily od niechcienia zerknęła w prawą stronę.

- Masz na myśli gościa z brodą i kobietę w sukience w groszki?

Jeff skinął głową.

- No to wyobraź sobie, że jutro rano czytasz gazetę i nagle dowiadujesz się, że Pan Broda został aresztowany za zamordowanie Pani Groszek.

- Okay - Lily zaryzykowała jeszcze jedno ukradkowe spojrzenie na parę w średnim wieku, która najspokojniej siedziała sobie przy stoliku w kącie, i zaczęła się zastanawiać, czy tamtym ludziom przemknęło przez głowę, że właśnie stali się przedmiotem podejrzanych spekulacji.

- A więc scenariusz numer jeden: Pan Broda mówi Pani Groszek, że musi po kolacji wpaść na parę godzin do biura. Pani Groszek wraca do domu. Broda pracuje przez pewien czas, a potem dochodzi do wniosku, że na dziś ma dość i jedzie do domu znacznie wcześniej, niż się go tam spodziewano. Wchodzi do mieszkania i zastaje Panią Groszek w niedwuznacznej sytuacji, w dodatku ze swoim najlepszym przyjacielem. Wpada w szal i rozmazuje Panią Groszek po ścianach.

- To typowe zabójstwo w afekcie - odparła Lily, wyobrażając sobie panią w sukience w groszki rozmazaną na ciemnoczerwonej ścianie restauracji. Musiała siłą się opanować, żeby nie wybuchnąć śmiechem. - Nie mówiąc o tym, że niezwykle malowniczo opisane. Jeff także się uśmiechnął.

- Prawnik natychmiast wysunąłby argument, że w normalnych warunkach Pan Broda nigdy nie popełniłby tak straszliwej zbrodni, że jest porządnym obywatelem, który płaci podatki, kocha swojego psa i opiekuje się owdowiałą matką, ale szok, jaki przeżył, kiedy znalazł żonę w łóżku ze swoim najlepszym przyjacielem, sprawił, że chwilowo postradał zmysły i przez to nie ponosi odpowiedzialności za swoje czyny. I całkiem możliwe, że sąd przychyliłby się do tej wersji wydarzeń. Pan Broda mógłby więc zabić kogoś, ale nie zasługiwałby na miano mordercy. Taka sytuacja może się przydarzyć każdemu z nas, zgadza się?

Lily skinęła głową.

- No to scenariusz numer dwa: Pan Broda i Pani Groszek wracają do domu. Ona zaczyna mu robić wyrzuty, że przez cały wieczór flirtował z kelnerką; on na to, że chyba zwariowała; ona wyzywa go od skurwysynów; on nazywa ją zwykłą zdzirą. Walka na słowa robi się coraz bardziej gorąca. Zaczynają na siebie wrzeszczeć, aż wreszcie dochodzi do rękoczynów. W którymś momencie ona chwyta nóż i zadaje mu cios prosto w serce. On umiera, zanim zdąży upaść na podłogę, a ona szlocha przed policjantem, że wcale tego nie chciała. Prawnik przedstawia w sądzie rozmaite dowody niewierności Pana Brody, a Pani Groszek strasznie się kaja za swój czyn. Jest

bogobojną kobietą, która nigdy nie dostała nawet mandatu za parkowanie; nigdy więcej tego nie zrobi, i tak dalej...

- I znów wychodzi na to, że mogła kogoś zabić, choć wcale nie jest morderczynią - podjęła Lily. - To może się zdarzyć każdemu z nas.

- Scenariusz numer trzy: małżonkowie wracają do domu. Pan Broda wypił za dużo i zaczyna używać Pani Groszek w charakterze worka treningowego. Co prawda, robi to regularnie, ale dziś wyjątkowo przykłada się do pracy. Mówi jej, że ją zabije, ale w pewnym momencie Pani Groszek udaje się wyrwać; chwyta ze stołu pistolet i...

- ...i zabija Pana Brodę w obronie własnej.

- Właśnie. Zabija go, ale nie jest morderczynią.

- A scenariusz numer cztery?

- Taki sam, z tą różnicą, że Pan Broda spełnia swoją groźbę i bije Panią Groszek na śmierć.

- Moim zdaniem to całkiem co innego.

- Jak to rozumiesz?

- W tym wypadku on jest prawdziwym mordercą.

- Więc uważasz, że coś takiego nie może przytrafić się każdemu, zakładając szczęśliwy - lub nieszczęśliwy - zbieg okoliczności?

- Uważam, że wszyscy możemy stać się ofiarami - powiedziała Lily, starannie dobierając słowa. - To znaczy, wszyscy możemy od czasu do czasu dokonać złego wyboru, ale w tym wypadku mówisz o celowym wykorzystywaniu, o świadomym i trwającym przez dłuższy czas brutalnym traktowaniu innej ludzkiej istoty, aż do odebrania jej życia włącznie... - Wzdrygnęła się i sięgnęła po kieliszek, żeby uspokoić się łykiem wina. - Myślę, że ten scenariusz jest inny. W tym wypadku nie może być żadnych wątpliwości.

- Zgadza się - odparł Jeff. - Pan Broda jest urodzonym mordercą, który zasługuje na to, żeby resztę życia spędzić w odosobnieniu. Jednak czy mogłabyś się tego domyślić, kiedy widzisz, jak siedzi sobie przy stoliku, śmieje się i popija kawę? Wygląda przecież dokładnie tak samo jak ja czy ty. I to prowadzi nas do scenariusza numer pięć i do najbardziej niebezpiecznego rodzaju zabójcy - do psychopaty.

- Co sprawia, że akurat psychopata jest bardziej niebezpieczny niż inni?

- Totalny brak sumienia. Plus to, że umie się zmieniać jak kameleon. Zmienia swoją osobowość równie łatwo, jak ty zmieniasz ubranie. Tak naprawdę nie posiada prawdziwych uczuć, ale za to świetnie potrafi udawać. Możesz być żoną kogoś takiego jak Pan Broda przez wiele lat i pewnego ranka budzisz się tylko po to, by się dowiedzieć, że okłamywał cię od pierwszego dnia. Wcale nie studiował w szkole medycznej, za to ma w Kanadzie drugą rodzinę, a jego trzy poprzednie żony zniknęły w tajemniczych okolicznościach. O tym wszystkim dowiadujesz się, jeśli masz sporo szczęścia. Jeśli nie, możesz już więcej się nie obudzić, albo wyjść na spacer z psem i rozpląnąć się w powietrzu, a parę miesięcy później zostać odnaleziona w pobliskim jeziorze albo na wysypisku śmieci. I wówczas wychodzi na jaw, że Pan Broda przez te wszystkie lata jedynie czekał na właściwy moment.

- Ale dlaczego w ogóle zabił?

- Z powodu polisy na życie, innej kobiety, strachu, że w końcu odkryjesz jego prawdziwe oblicze... Czasami robi to wyłącznie dlatego, że to lubi. Do diabła, dla niego to równie łatwe jak zabicie muchy.

- To straszne. - Lily znów zerknęła w tył. Mężczyzna z brodą właśnie włożył do ust porcję musu jabłkowego i zaraz znów zaczął rozmawiać ze swoją towarzyszką w sukience w groszki. - Nigdy w życiu bym się nie domyśliła, kiedy na nich patrzę.

- No właśnie, pomyśl o tym. Co ludzie zwykle mówią, kiedy dowiedzą się o jakiejś szczególnie odrażającej zbrodni? - spytał Jeff. - Jak reagują sąsiedzi mieszkający obok dziwaka, który właśnie został aresztowany za pogrzebanie żywcem na swoim podwórku dwudziestu osób? Zawsze słyszy się to samo: „Był taki miły, taki spokojny. Nigdy w życiu byśmy go nie podejrzewali”.

- Chcesz więc powiedzieć, że każdy człowiek ma jakieś sekrety?

- Ja nie mam - uśmiechnął się. - W moim wypadku - co na wystawie, to i w sklepie.

No cóż, to co na wystawie zdecydowanie mi się podoba, pomyślała Lily i na wszelki wypadek wzięła do ust łośosia, żeby nie powiedzieć tego na głos.

- A jeśli chodzi o sprawy osobiste? - spytała.

- Osobiste?

- Kłamiesz w sprawach osobistych?

- Czy kłamię w sprawach osobistych? - powtórzył. - Owszem, ale są to wyłącznie drobne kłamstewka.

- Na przykład?

- Na przykład moja matka na ostatnie święta Bożego Narodzenia wydziergała mi sweter w jakimś zupełnie dzikim kolorze, w różowe i ciemnoczerwone pasy. Bóg jeden wie, co jej przyszło do głowy. Oczywiście była szalenie dumna z siebie i bez przerwy pytała, czy mi się ten sweter podoba. No i co miałem jej powiedzieć? Że to najbardziej ohydna rzecz pod słońcem i że prędzej umrę, niż włożę na siebie coś podobnego? Jasne, że nie. Powiedziałem, że sweter jest przepiękny i że strasznie mi się podoba.

- Więc zdarza ci się kłamać po to, żeby chronić czyjeś uczucia?

- Tak, poza tym, wydaje mi się, że czasami trochę przesadzam - dodał po chwili namysłu. - No wiesz, żeby ubarwić jakoś moje historyjki.

- Coś w rodzaju opowieści o taaakiej rybie?

- W moim wypadku raczej o sprawcy.

- Sprawcy? Zaczął się śmiać.

- Sprawcy przestępstwa, zbrodniarzu, oszuście... Jednym słowem, o facecie, na którego poluję. Zawsze musi być kimś w rodzaju mistrza olimpijskiego, którego nawet Superman nie dałby rady pokonać. Rozumiesz, coś w tym stylu.

Teraz z kolei Lily wybuchnęła śmiechem.

- Wygląda na to, że lubisz być policjantem.

- No jasne. I to bardzo.

- A co lubisz najbardziej?

- Szczerze?

- Jeśli się nie boisz, że zranisz moje uczucia. Uśmiechnął się.

- Szczerze mówiąc, w tym zawodzie wszystko mi się podoba. Lubię rozwiązywać zagadki, ratować cudze psy, odnajdywać czyjeś dzieci. Lubię zatrzymywać złych ludzi i wsadzać ich do ciupy. Lubię chodzić do sądu. Do cholery, lubię nawet prawników, choć akurat tę informację powinienem zatrzymać dla siebie.

- Postaram się nikomu jej nie zdradzić.

- A ty? - spytał od razu. - Co ty lubisz?

- No cóż, na pewno lubię tego łososia. - Wybrała resztki z talerza, choć świetnie wiedziała, że to tylko pretekst, by uchylić się od odpowiedzi. Czuła, że Jeff bacznie ją obserwuje i czeka na dalsze słowa. - I lubię tę restaurację.

Urwała na moment, odłożyła widelec i w końcu spojrzała mu prosto w oczy.

- Cieszę się, że zmieniłam zdanie i przyszłam tu z tobą.

- A dlaczego zmieniłaś zdanie?

- Naprawdę chcesz wiedzieć?

- Jeśli się nie boisz, że zranisz moje uczucia - odparł i oboje się uśmiechnęli.

- Wiesz, wcale nie chodziło o to, że nie chciałam przyjść. Od początku chciałam.

- I oczywiście z tego powodu powiedziałaś „nie”.

- Po prostu od długiego czasu nie byłam na prawdziwej randce i nie byłam pewna, czy to dobry pomysł.

- Dlaczego?

- Dlaczego nie byłam pewna, czy to dobry pomysł?

- Dlaczego nie byłaś na randce?

Lily ułożyła starannie na talerzu widelec i nóż, a potem palcami prawej dłoni pomasaowała kark.

- To długa historia - odparła.

- Powiedziałaś mi kiedyś, że twój mąż zginął w zeszłym roku w wypadku motocyklowym.

Bez słowa skinęła głową.

- Jak długo byliście małżeństwem?

Milczała przez chwilę. Tak naprawdę nie miała ochoty rozmawiać o swoim małżeństwie, ale unikanie tego tematu mogło wywołać wrażenie, że kryje się w nim coś tajemniczego, a tego za nic nie chciała. Zresztą, czy Jeff nie powiedział, że uwielbia rozwiązywać zagadki?

- Cztery lata. Kiedy wychodziłam za mąż, byłam w ciąży - dodała, choć wcale o to nie pytał.

- Czy to było dobre małżeństwo?

W odpowiedzi wzruszyła ramionami.

- Powiedzmy, że zdarzały się wzloty i upadki. Przytaknął na znak, że rozumie.

- Mimo wszystko ten wypadek musiał być strasznym szokiem.

- Był.

Lily usłyszała własny głos, odległy i obojętny, jak echo w trzecim odbiciu.

- Pamiętam, jak tamten policjant wchodził do naszego domu... Pamiętam wyraz twarzy mojej matki, kiedy wyjeżdżałyśmy do szpitala... Pamiętam, jak policjant mówił, że powinnyśmy się przygotować na naprawdę straszny widok, ponieważ Kenny jechał bez kasku i jego twarz jest potwornie zmasakrowana, i że wszędzie jest pełno krwi... Powiedzieli nam, że połamał sobie prawie wszystkie kości, ale jakimś cudem ciągle żył... Wyszłyśmy do szpitala, a kilka minut potem Kenny umarł.

- Tak mi przykro.

- To była moja wina - powiedziała stanowczo.

- Twoja wina? W jaki sposób tego typu wypadek mógł być zawiniony przez ciebie?

- Bo się pokłóciliśmy. Kłóciliśmy się wtedy przez całe popołudnie.

Jeff wyciągnął rękę poprzez stół i nakrył jej dłoń.

- Ludzie czasami się kłócą, Lily. To jeszcze wcale nie znaczy, że Kenny zginął przez ciebie.

- Nic nie rozumiesz. Był wtedy wściekły jak diabli. Nie powinnam była pozwolić, żeby brał motocykl.

- A byłaś w stanie go powstrzymać?

- Nie - przyznała i wysunęła rękę spod jego dłoni, żeby wytrzeć łzy, które popłynęły po jej policzku. - Przepraszam cię. Czy możemy porozmawiać o czymś innym?

- Oczywiście. Muszę cię bardzo, ale to bardzo przeprosić.

- Za co?

- Za to, że się mieszam w nie swoje sprawy.

- Jesteś przecież gliną - przypomniała mu. - Mieszanie się w cudze sprawy jest częścią twojej pracy.

- Bardzo wspaniałomyślnie z twojej strony - powiedział. - No więc, o czym chciałabyś porozmawiać?

Lily sprawdziła godzinę.

- Prawdę mówiąc, zrobiło się późno, więc pewnie zaraz będę musiała zmykać do domu.

- Jan zdradziła mi, że oddałaś Michaela na przechowanie.

- Och, kochana Jan! - zawołała Lily, obiecując sobie w duchu, że rano powie jej kilka słów do słuchu. - Co jeszcze ci powiedziała?

- Że jesteś najlepszą pracownicą, jaką kiedykolwiek miała, ale że tak naprawdę chciałabyś zostać pisarką.

Lily skinęła głową. Jak często udaje się nam zdobyć to, czego w głębi duszy pragniemy, pomyślała.

- Czy sądzisz, że moglibyśmy odłożyć tę rozmowę do następnego razu? - spytała. - Obiecałam Emmie, że wpadnę do niej, jak będę wracać do domu, żeby zobaczyć, jak chłopcy sobie radzą.

- Czy Emma to ta dziewczyna, którą wczoraj poznałem? Ta z oczami od tuszu Maybelline?

Czyżby się przesłyszała? Przez moment miała wrażenie, że w głosie Jeffa zabrzmiała nuta sarkazmu.

- Wygląda na to, że nie bardzo jej wierzysz.

Jeff wzruszył ramionami.

- Jestem gliną, pamiętaj o tym. Podejrzliwość jest wpisana w ten zawód.

- Uważasz, że ona kłamie?

- Nie wiem.

- Ale dlaczego miałyby to robić?

- Nie wiem - powtórzył. - Zresztą, może się mylę.

No, no, musiałaś zbić na tym kupę kasy, usłyszała w pamięci słowa Jan. Jak to się stało, że wylądowałaś na ulicy Szalonej Rzeki?

- Wiesz przecież, że zawód modelki nie jest najpewniejszym zawodem na świecie - powiedziała prędko, żeby uciszyć wątpliwości dręczące ich oboje. - W jednej chwili możesz być na świeczniku, a w następnej nikt o tobie nie pamięta.

- Co do tego nie ma najmniejszych wątpliwości.

- Ona nawet napisała jakieś wspomnienia, które ukazały się w „Cosmopolitan”.

- Naprawdę? Czytałaś je?

- Nie. Dlaczego pytasz? Myślisz, że to też kłamstwo?

- Po prostu zapytałem, czy je czytałaś.

- Nie czytałam. Uważasz, że tę historyjkę także sobie wymyśliła? Z jakiego powodu?

- Może żeby ci zaimponować?

- Zaimponować?

- No wiesz, coś w rodzaju opowieści o taaakiej rybie.

Lily wzruszyła ramionami. Zrobiło się jej nieswojo na myśl, że nowa przyjaciółka próbowała ją oszukać.

- Wiesz co - odezwał się Jeff, sięgając do kieszeni po komórkę. - Najlepiej zadzwoń do niej i sprawdź, co porabiają chłopcy. Jeśli okaże się, że jest jakiś problem, natychmiast odwiozę cię do domu. Jeśli nie, zjemy jeszcze coś słodkiego. Słyszałem, że mają tu nieziemsko pyszne ciastka z czekoladą.

Lily wzięła telefon i pospiesznie wybrała numer Emmy. Zadzwoił raz, drugi i trzeci, aż w połowie czwartego sygnału Emma podniosła słuchawkę.

- Halo? - spytała oszołomiona, jakby telefon wyrwał ją ze snu.

Lily zerknęła na zegarek. Było zaledwie parę minut po dziewiątej.

- Emma, to ja, Lily. Obudziłam cię?

Nagle ujrzała Emmę przy stole, ściskającą w dłoni kieliszek z winem.

- Nie, oczywiście że nie - odparła Emma i odchrząknęła. - Po prostu miałam jakąś chrypkę.

- Dzwonię, żeby się upewnić, czy wszystko w porządku.

- Absolutnie. Chłopcy śpią jak anioły. A jak twoja randka?

- Świetnie. Pomyślałam tylko, że może powinnam się zameldować.

- Okay, no to możesz uznać, że się zameldowałaś. A teraz przestań się martwić i baw się dobrze. Z chłopcami wszystko w porządku.

Lily położyła telefon na wyciągniętej ręce Jeffa. Automatycznie zerknęła w stronę, gdzie siedział mężczyzna z brodą i jego towarzyszka w sukience w groszki, ale już ich nie było.

- No i co? - usłyszała pytanie Jeffa. - Wszystko jak należy?

Uśmiechnęła się, odsuwając gdzieś na bok nieprzyjemne myśli.

- Wszystko - odparła.

14

- Mówię ci, to najlepsze ciasto czekoladowe, jakie kiedykolwiek jadłam. - Jamie nadziała na widelczyk następny kawałek ciasta składającego się z trzech warstw i przełożonego karmelowym lukrem, a następnie wsadziła do ust. Jej kubki smakowe natychmiast zaczęły rozkoszować się bogatym, wilgotnym smakiem pysznej czekolady, podczas gdy oczy usiłowały nie dostrzegać nachmurzonej miny Brada, która zastąpiła jego zwykłą żartobliwość i pogodę. Tę zmianę nastroju dawało się dostrzec nawet w jego postawie, bo w pochyleniu ramion i głowy pojawiło się coś prawie złowrogiego. Błękitne oczy rzucały lodowate błyski i konsekwentnie unikały spojrzenia Jamie. Miękkie, pełne wargi zacisnęły się w wąską linię, wymazując na dobre cień wspaniałego uśmiechu. Najwyraźniej Brad miał jakieś kłopoty.

- Na pewno nie chcesz spróbować?

Odwrócił głowę, od niechcenia pociągnął łyk kawy i zajął się grą sprawnościową, którą kierownictwo restauracji przezornie umieściło na każdym stoliku. Na wypadek, gdyby rozmowa przestała się kleić, pomyślała Jamie, obserwując, jak Brad przesuwając po trójkątnej tabliczce kolorowe pionki. Gra polegała na tym, żeby przewrócić wszystkie z wyjątkiem jednego.

- Wiesz, chyba to prawda, co mówią o czekoladzie. Podobno dzięki niej w mózgu uwolnione zostają endorfiny i przez to człowiek zaczyna się czuć jak młody bóg. Jak wtedy, kiedy ćwiczysz. Najwyraźniej endorfiny w naturalny sposób powodują poprawę kondycji. Endorfiny to w sumie śmieszne słowo, nie uważasz? - trajkotała jak najęta, choć Brad nie wykazywał najmniejszej ochoty, żeby odpowiedzieć. - Zawsze się zastanawiam, skąd się biorą takie słowa i kto je wymyśla.

Brad dalej zajmował się grą; przeskoczył małym niebieskim pionkiem przez żółty, a potem cisnął nim o błyszczący drewniany blat pomiędzy dwoma białymi, które zostały wyeliminowane wcześniej.

- Brad, co się stało?

- Nic - mruknął niechętnie, choć najwyraźniej było wręcz przeciwnie.

Jamie przełknęła następny kęs ciasta i rozejrzała się po zatłoczonej restauracji.

- Jak myślisz, dlaczego nazwali tę grę Zwariowaną Beczka?

Brad wzruszył ramionami, a jego wzrok pobiegł w ślad za kręcącą się między stolikami atrakcyjną kelnerką, której kruczoczarne włosy pasowały do służbowej marynarki w krzykliwym, pomarańczowym kolorze.

- Nie mam pojęcia, Jamie. To przecież restauracja należąca do jakiejś sieci - odparł. - Kogo obchodzi, jak sobie coś tam nazywają?

Jamie przyjrzała się z uwagą drewnianej, lakierowanej podłodze, różnym meblom wykonanym z drewna i różnym drewnianym ozdóbkom.

- Może dlatego, że z tego samego rodzaju drewna robi się beczki - zauważyła, choć nawet w jej własnych uszach to wyjaśnienie zabrzmiało mało przekonująco. Zresztą, jak w tym kontekście wytłumaczyć słowo „zwariowana”? - A może chodzi o jakiś specjalny rodzaj beczki?

Brad zamrugał kilkakrotnie.

- Co ty pieprzysz, Jamie?

- Ja tylko... Zresztą nieważne.

Brad skończył kolejną rundę; na trójkątnej tarczy w każdym narożniku został mu jeden pionek.

- Trzy sztuki... Całkiem niezły wynik - odezwała się.

- Bardzo marny - odpowiedział, zabierając się znów do gry.

- Chyba musiałbyś być geniuszem, żeby udało ci się zostać z jednym pionkiem.

- Przypuszczam, że nie jestem geniuszem.

Jamie wepchnęła do ust ostatni kawałek ciasta, a potem widelczykiem starannie zebrała okruchy. Żadna ilość endorfin nie byłaby w stanie poprawić tak fatalnego nastroju, pomyślała.

- Czy jesteś o coś na mnie zły? - nie wytrzymała wreszcie, bo miała już dość napiętej atmosfery.

Wreszcie oderwał oczy od stołu, po raz pierwszy, odkąd usiedli.

- A dlaczego miałbym być na ciebie zły?

- Nie mam pojęcia, ale wydaje się, że nagle zrobiłeś się całkiem obcy.

- Obcy?

- Przez ostatnie pół godziny okropnie wydymasz usta - oznajmiła, zdecydowana schwytać byka za rogi.

- Wcale nie. - Nagłym ruchem przewrócił na stół kilka niebieskich pionków.

- Ależ tak. Zobacz, co wyprawiasz z górną wargą - powiedziała w nadziei, że Brad w końcu się uśmiechnie.

Ale się nie uśmiechnął.

- Za dużo rzeczy sobie wyobrażasz, Jamie - odparł.

- Nie sądzę. Odkąd powiedziałam, że nie chcę zatrzymać się na noc w Atlancie, niemal się do mnie nie odzywasz. Jesteś zły, że nie chcę zatrzymać się w Atlancie?

Znów wbił wzrok w blat stołu.

- To nie ma znaczenia. Po prostu myślałem, że to dobre miejsce na odpoczynek. Sama przecież mówiłaś, że nigdzie się nam nie spieszy.

- Ale ja naprawdę nie znoszę Atlanty.

- W porządku.

- W porządku?

- Rozumiem.

- Naprawdę rozumiesz?

- No cóż, prawdę mówiąc, nie bardzo - przyznał, machając rękoma ze złością.

Kilka kolorowych pionków pofrunęło na podłogę. - Nie bardzo wiem, o co ci chodzi.

Boisz się, że wpadniesz na swojego byłego, czy jak?

- Nie o to chodzi.

- Więc o co?

Jamie przez chwilę obserwowała, jak jeden z żółtych pionków toczy się po podłodze, aż wreszcie zatrzymał się tuż obok ciężkiego, czarnego buciora, który należał do osobnika spożywającego posiłek przy sąsiednim stole.

- Nie wiem - powiedziała w końcu.

- Co z tobą, Jamie? A może jeszcze nie przebolełaś rozstania z tamtym chłopakiem?

- Co takiego?! Chyba żartujesz! Oczywiście, że już dawno o nim zapomniałam.

- W takim razie nie rozumiem.

- Po prostu, moje wspomnienia związane z Atlantą nie należą do najprzyjemniejszych.

- W takim razie trzeba postarać się o nowe wspomnienia.

- Posłuchaj, jeśli będziemy jechać jeszcze przez czterdzieści minut, dojedziemy do Adairsville. Tuż obok mieści się bajeczne miejsce o nazwie Barnsley Gardens, które podobno jest najbardziej romantycznym zakątkiem w całej Georgii. Wiesz, to coś w stylu *Przeminęło z wiatrem*. Są tam jakieś ruiny, w których podobno straszy, wodne ogrody i całe kilometry pól z kwiatami. I jeszcze pięciogwiazdkowy ośrodek, gdzie stoją parterowe domki stylizowane na dziewiętnasty wiek. Możemy się zatrzymać w którymś z nich. Oczywiście, o ile nie uznasz, że to zbyt kosztowna impreza, bo w takim wypadku możemy mieszkać gdzie indziej...

- Jamie - przerwał jej w pół słowa. - Jestem zmęczony. Nie mam ochoty siedzieć za kółkiem przez następne czterdzieści minut.

- Ja mogę prowadzić - zaproponowała z entuzjazmem.

Pokręcił głową.

- Chcę wreszcie odpocząć i trochę się zrelaksować. To był dość wyczerpujący dzień.

Naprawdę? Szybko przywołała w pamięci wszystkie wydarzenia minionego dnia. Najpierw uroczy poranek w Tifton, podczas którego zwiedzili wszystkie kościoły i zajrzeli do wszystkich sklepów w ścisłym centrum, potem przyjemny, spokojny lunch w lokalnej kafejce, następnie gdzieś około trzeciej po południu odbiór samochodu. Dziurawa opona została wymieniona na fabrycznie nową, za co Brad na własne żądanie zapłacił swoją kartą. Potem na nowo podjęli podróż na północ autostradą I-75, z godzinną przerwą w Macon po tym, jak wzrok Jamie przykuła reklama Georgia Music Hall of Fame, gdzie Brad kupił im obojgu pasujące do siebie, niebieskie T-shirty. A potem ruszyli w dalszą drogę. Jednym słowem, wszystko układało się super aż do momentu, kiedy Brad wspomniął o zamiarach przenocowania w Atlancie.

- Chyba nasze traumatyczne przeżycia z wczorajszego wieczora zaczęły dawać o sobie znać - powiedział teraz. - Ale wiesz, mimo to chętnie wytrzymam jeszcze pół godzinki albo coś koło tego, jeśli sobie życzysz.

- Źle się czujesz?

- Nic mi nie będzie.

- Może powinieneś coś zjeść?

- Po prostu muszę się na chwilę położyć.

- Więc może ja poprowadzę, a ty w tym czasie się zdrzemniesz? - zaofiarowała się Jamie.

- Nie, ja będę prowadził - odparł zdecydowanym tonem i dał sygnał kelnerce. - Robi się ciemno, a dookoła Atlanty jest naprawdę spory ruch. To za bardzo ryzykowne, a ja nie chcę, żeby coś ci się przytrafiło.

Jamie wyciągnęła rękę w poprzek stołu i czułym gestem nakryła jego dłoń. Co się z nią działo? Czy nie była w stanie dostrzec, że on jest naprawdę zmęczony? Czemu zachowywała się tak samolubnie? A może rzeczywiście miał rację? Może w głębi duszy faktycznie się obawiała, że przypadkiem wpadnie na swojego byłego małżonka, albo, co gorsza, na jego mamusię. Ale nawet jeśli jakimś cudem się spotkają, to co z tego? Ona ma przy sobie seksownego, przystojnego faceta, z którym wszędzie się może pokazać. Mężczyznę, który ma w sobie to wszystko, czego brakowało byłemu mężowi. Laura Dennison z pewnością dostrzeże to już na pierwszy rzut oka. Do diabła, mogłaby wynikać niezła zabawa, gdyby naprawdę się spotkali!

„Szykuje się niezły ubaw, prawda, chłopcy?“, przywołała z pamięci słowa Brada.

- Okay, możemy zostać na noc w Atlancie.

- Co? Nie - przeciwstawił się Brad. - Przecież nienawidzisz Atlanty. Nie czułabyś się komfortowo.

- Na pewno wszystko będzie w porządku - zapewniła.

- Lepiej pojedźmy do tego Beardsley Gardens...

- Barnsley - poprawiła go z uśmiechem. - Możemy tam pojechać innym razem.

Na przykład jutro wieczorem, albo w drodze powrotnej. Pewnie i tak musielibyśmy najpierw zrobić rezerwację. Takie miejsce chyba wymaga rezerwacji na parę miesięcy do przodu.

Skinał głową, jakby rozumiał słuszność jej argumentów, aczkolwiek zrobił to z wyraźną niechęcią.

- Niewątpliwie masz rację - odparł. - Telefon do nich będzie pierwszą rzeczą, jaką wykonam jutro rano. Zobaczą, co się da zrobić.

- Wspaniale.

Podeszła kelnerka z rachunkiem.

- O kurczę, nagle zachciało mi się jeść - wykrzyknął Brad. - Może faktycznie powinienem coś wrzucić na ruszt. Nie pogniewasz się, że coś zamówię? Poproszę zestaw śniadaniowy, z dobrze wysmażonym boczkiem i dwoma sadzonymi jajkami - zwrócił się do kelnerki, zanim Jamie zdążyła otworzyć usta. - Och, i jeszcze kilka tych wyśmienitych ciasteczek plus filiżanka kawy. A ty, Jamie? Masz ochotę na drugi kawałek czekoladowego ciasta?

- Dzięki, ale nie. - Jamie nie mogła wyjść z podziwu, że Brad tak szybko wpadł w szampański nastrój.

- Czy wiesz, gdzie w Atlancie jest jakieś dobre miejsce na nocleg? - Pochylił się poprzez stół ku Jamie i zamknął jej dłoń w swoich dłoniach.

- Och, tam są setki moteli.

- Zapomnij o motelu. Musimy znaleźć coś specjalnego.

- No, jest Ben Western...

- A coś lepszego niż Ben?

- No cóż, jest również Ritz Carlton przy Peachtree Drive, ale...

- Ale?

- Ale to jest w Buckhead*.

- W Butthead?

* Nieprzetłumaczalna na język polski gra słów.

Jamie zaczęła się śmiać.

- Szkoda, że moja była teściowa tego nie słyszy, bo jej zdaniem Buckhead to najlepszy adres w całej Atlancie. Nie jestem pewna, czy dalej by tak uważała, gdyby ta dzielnica faktycznie nazywała się Butthead.

- A według mnie to brzmi całkiem nieźle. Poza tym trudno przebić Ritza. Co ty na to?

Jamie uśmiechnęła się słodko.

- Trudno przebić Ritza - zgodziła się.

Wspaniałe, złoto-białe lobby hotelu Ritz Carlton było wypełnione po brzegi japońskimi turystami. Jamie przeciskała się za swym towarzyszem w kierunku recepcji.

- Chcieliśmy wynająć pokój na dzisiejszą noc - powiedział Brad do recepcjonisty, gdy tylko młody człowiek w ciemnym garniturze i w wykrochmalonej na sztywno koszuli skończył obsługiwać poprzedniego gościa. - Może być apartament, jeśli jakiś akurat jest wolny - dodał, rzucając na marmurowy blat swoją kartę kredytową.

- Tak jest, sir. Pozwoli pan, że sprawdzę, czy dysponujemy wolnym apartamentem.

Apartament, pomyślała Jamie. Apartament w hotelu Ritz Carlton.

- Moja była teściowa pewnie by dostała ataku serca i padła trupem na miejscu, gdyby mogła mnie teraz zobaczyć - szepnęła, nie mogąc dłużej powstrzymać rozpierającej ją radości.

- Mamy uroczy apartament dla niepalących na dziesiątym piętrze, z widokiem na Galerię.

- Co o tym sądzisz, Jamie? - spytał Brad. - Apartament z widokiem na Galerię?

- Czemu nie? - odparła ze śmiechem.

- Dama mówi: „czemu nie?” - powtórzył jak echo, a potem szepnął wprost do jej ucha: - Co to jest ta Galeria?

- Będzie pan uprzejmy podpisać się tutaj, panie Hastings - odezwał się recepcjonista, spoglądając na kartę kredytową i podsuwając w stronę Brada formularz meldunkowy.

Hastings? - zdziwiła się Jamie. Już otwierała usta, żeby go poprawić, ale recepcjonista zdążył przesunąć kartę przez czytnik. Widziała, jak przez moment się zawahał, a potem spróbował po raz drugi.

- Bardzo przepraszam, ale czy ma pan może inną kartę?

- A coś jest nie tak z tą?

- Nie mam pojęcia, ale transakcja została odrzucona.

- To niemożliwe. Proszę spróbować jeszcze raz.

Recepcjonista ponowił próbę, ale i tym razem bez skutku.

- Bardzo mi przykro, sir. Może inna karta...

- Jakiś problem? - zainteresowała się Jamie. Twarz Brada pociemniała.

- To znów ta głupia karta. Pasek magnetyczny musiał się zetrzeć.

- Akurat w Ritzu? - zażartowała, ale Brad się nie uśmiechnął, tylko ze złością wyduł wargi. - Ja wciąż mam tego typu kłopoty. Czy ma pan może kawałek celofanu?

- spytała młodego człowieka z recepcji. - Czasami pomaga, jeśli się owinie kartę celofanem... Albo może ma pan plastikową reklamówkę.

- Jamie, daj spokój. Pójdziemy gdzie indziej.

W jednej chwili jej radosne podniecenie ulotniło się bez śladu. Już zdążyła przyzwyczać się do myśli, że dzisiejszą noc spędzi w Ritzu.

- Chwileczkę, ja też mam kartę kredytową - zawołała z pośpiechem. Pogrzebała w torebce i wręczyła ją recepcjoniście. Do diabła, ciekawe, ile taka przyjemność mogła kosztować?

- Nie chcę płacić twoją kartą - sprzeciwił się Brad.

- Nie przejmuj się. Do tej pory ty płaciłeś za wszystko.

- Przykro mi. - Urzędnik zwrócił jej kartę, rozglądając się dookoła półprzytomnym wzrokiem, jakby wzywał na pomoc swoich kolegów. - Ta karta również została odrzucona.

- Cholera jasna - mruknęła Jamie. Nie dostała ostatniej wypłaty, a koszt doby hotelowej w apartamencie przypuszczalnie był wyższy niż suma na jej koncie.

- Może w takim razie zwykły pokój? - spytała.

- Niestety, nie dysponujemy wolnymi pokojami - odparł recepcjonista, jednak w jego głosie zabrzmiała taka niepewność, że nawet Jamie zorientowała się, że kłamie. - Może spróbują państwo w Embassy Suites. To tylko kilka przecznic stąd.

- Wsadź sobie gdzieś te cholerne Embassy Suites - burknął Brad.

- Brad...

- Chodź, Jamie. - Przełożył jej torbę przez lewe ramię, swoją przez prawe, a potem chwycił ją za łokieć i pociągnął przez wciąż kłębiący się w lobby tłum Japończyków w kierunku obrotowych, przeszklonych drzwi. Cisnął bilet z parkingu

boyowi hotelowemu i zaczął nerwowo przechadzać się tam i z powrotem przed frontowym wejściem.

- Wszystko w porządku, Brad. Znajdziemy inny hotel.
- Nie będę mieszkał w jakimś pieprzonym Embassy Suites.
- W Atlancie są miliony hoteli. Na pewno uda się nam znaleźć coś

sympatycznego.

- Pieprzone karty kredytowe.
- Brad, takie rzeczy się zdarzają. Nic się nie stało.
- A właśnie, że się stało. To było krępujące jak wszyscy diabli. - Potrząsnął głową i przesunął dłonią po krótko obciętych włosach. - Niech to szlag!

Jamie przygryzła dolną wargę, żeby powstrzymać się przed kolejnymi próbami pocieszenia. Lepiej niech wyrzuci z siebie tę złość, myślała. Niech się jej pozbędzie. To oczywiste, że musiał się poczuć cholernie upokorzony, zwłaszcza jeśli takie rzeczy dotąd mu się nie zdarzały. Za kilka minut się uspokoi i wszystko wróci do normy.

- Zauważyłeś, że on zwrócił się do ciebie per „panie Hastings”? - odezwała się pod wpływem nagłego impulsu.

Natychmiast przestał chodzić i odwrócił się w jej kierunku.

- Co takiego?

- Ten facet w recepcji. Wtedy, kiedy cię prosił, żebyś się podpisał. Powiedział „panie Hastings”.

- Naprawdę?

- Już miałam go poprawić, ale wtedy okazało się, że karta została odrzucona i...
Brad pokręcił głową.

- Hastings to część mojego nazwiska. Nazywam się Brad Hastings Fisher - wyjaśnił. - Ten dureń nie potrafił nawet porządnie przeczytać tego, co tam było napisane. Nic dziwnego, że wszystko spieprzył.

Jamie zareagowała uśmiechem. Brad Hastings Fisher, powtórzyła sobie po cichu, kiedy chłopak z obsługi wyprowadzał niebieskiego thunderbirda na długi, okrągły podjazd. Takie dystyngowane nazwisko.

- Posłuchaj, jesteś zmęczony. Dlaczego nie chcesz się zgodzić, żebym ja poprowadziła...

- Wsiadaj do samochodu, Jamie - rozkazał, sadowiając się za kierownicą, podczas gdy boy hotelowy otwierał dla niej drzwi pasażera. - Ja pojedę, a ty będziesz robić za przewodnika wycieczki.

- Teraz? Ale przecież mówiłeś, że jesteś wyczerpany!

- Akurat teraz buzuje we mnie adrenalina, aż miło. Ale jak kawałek się przejadę, na pewno mi przejdzie.

Pomyślała, że może warto mu zasugerować jazdę do Adairsville, ale zaraz się zreflektowała. Nie było sensu ryzykować nowej awantury.

- Naprawdę chcesz, żebym ci pokazała najładniejsze widoki?

- A może przez chwilę pojeździmy sobie po Buckhead? Pokażesz mi, gdzie mieszkałaś.

Jamie westchnęła. Przejażdżka po Buckhead była ostatnią rzeczą, jakiej teraz pragnęła. Miała ochotę na przyjemną, gorącą kąpiel i marzyła, żeby zaraz potem wślizgnąć się do miłego, wygodnego łóżka. Ale skoro Brad potrzebował tego, żeby się uspokoić...

- Skręć w lewo - powiedziała, kiedy ruszył z podjazdu. - A teraz w prawo. Okay. Jedź prosto do następnego skrzyżowania i tam skręć znowu w prawo. A potem tak, jak prowadzi droga...

- Ho, ho, te domy to naprawdę coś - zauważył. - Zupełnie jak z *Przeminęło z wiatrem*.

Jamie zerknęła na rząd pałacowych rezydencji otoczonych długimi, ciągnącymi się w dal trawnikami, ukrytych przez wzrokiem ciekawskich za wysokimi bramami z kutego żelaza.

- Dość trudno przyjrzeć się im po ciemku. Może powinniśmy z tym poczekać do jutra.

- Nie, teraz jest odpowiednia pora. Naprawdę mieszkałaś w którymś z tych pałaców?

- Ależ skąd. Mieszkałam w małym mieszkanku mniej więcej pięć skrzyżowań stąd. Musimy skrócić na następnych światłach w prawo.

- A gdzie jest dom twojej teściowej? - Brad zupełnie zignorował jej wskazówki i dalej jechał prosto.

Jamie poczuła nagle, jak cała sztywnieje.

- Mojej teściowej?

- Mówiłaś przecież, że ona mieszka w Butthead. Jamie przytaknęła.

- Mniej więcej półtora kilometra stąd.

- Pokaż mi gdzie.

- Brad...

- Ja tylko staram się jak najlepiej poznać moją dziewczynkę. No, dalej! Zaraz potem znajdziemy jakiś motel i wskakujemy do łóżka.

Moją dziewczynkę, powtórzyła w duchu, smakując dźwięk tych słów. Skinęła głową i bez dalszych sprzeciwów poprowadziła go poprzez pagórkowate uliczki i ostre zakręty, z których w większości składało się luksusowe przedmieście o nazwie Buckhead. Przez moment przemknęła jej myśl, że właściwie mogłaby pokazać dowolny dom i powiedzieć, że właśnie tu spędziła najgorszy rok swojego życia, ale obawiała się, że on wyczułby kłamstwo. Zresztą, dlaczego miałaby go oszukiwać? W ciągu kilku minut znaleźli się na Magnolia Lane. Tutejsze domy były znacznie mniejsze i mniej majestatyczne niż tamte w pobliżu Peachtree Drive, ale wciąż przyjemne i wciąż bardziej niż porządne. Jak na ironię, po ich rozwodzie Mark nie wrócił do matki, lecz znalazł sobie jakieś mieszkanie i zamieszkał sam.

- To tutaj. Numer dziewięćdziesiąt dwa. Po prawej stronie, drugi od końca.

Brad zatrzymał samochód w zatoczce przed białym, drewnianym domem, a reflektory thunderbirda omiotły olbrzymi napis „Na sprzedaż”, ustawiony na starannie wypielegnowanym trawniku. Po obu stronach pomalowanych na czarno frontowych drzwi stały majestatyczne, betonowe kolumny. Zasłony we wszystkich oknach były dokładnie zaciągnięte, choć pokoje na parterze tonęły w ciemności. Światło błyszczało w jednym jedynym oknie na piętrze. W sypialni pani Dennison, uświadomiła sobie Jamie, tłumiać dreszcz.

- Jak widzę, stara wiedźma wreszcie zdecydowała się go sprzedać.

- Jak uważasz, może powinniśmy zapukać do drzwi i złożyć jej propozycję nie do odrzucenia? - spytał Brad.

Nagle zasłony na piętrze rozsunęły się i w oknie pojawiła się samotna postać. Stała nieruchomo i wpatrywała się poprzez ciemność w kierunku ulicy.

- Wynośmy się stąd - szepnęła Jamie. - Brad, proszę cię - ponagliła, gdy nawet nie drgnął. - Jedźmy stąd, zanim ona rozpozna mój samochód.

- Masz rację - zgodził się. Zawrócił szerokim łukiem i popędził spokojną, pogrążoną we śnie uliczką.

15

- Jamie. Hej, Jamie, obudź się!

- Mmm? - Jamie przetoczyła się na plecy, nie otwierając oczu. - Tak...

- Obudź się.

Podskoczyła, jakby ktoś wylał na nią szklanek lodowatej wody. Serce waliło jej jak młotem, a suche z przerażenia usta wyrzucały z siebie potoki słów.

- Co się stało? Co się dzieje? Czy coś złego?

Może chłopcy z Tifton natrafili na ich ślad? Może włamali się do pokoju?

Ale siedzący obok Brad śmiał się cicho i uspokajająco gładził ją po nagich plecach.

- Spokojnie, wszystko w porządku. Nie musisz się aż tak przejmować. Nie miałem zamiaru cię przestraszyć.

Jamie starała się ze wszystkich sił skupić spojrzenie na wnętrzu taniego, motelowego pokoju, ale wokół niej wszystko wirowało, a w dodatku wszędzie panowała ciemność. Wciąż była noc. Przynajmniej tyle wiedziała na pewno, bo w szparze między ciężkimi kotarami prześwitywał kawałek księżyca, a czerwone cyfry na zegarze stojącym obok niewygodnego łóżka potwierdzały, że jest dopiero trzecia nad ranem. Na litość boską, toż to środek nocy! Owinęła się ciaśniej lichym prześcieradłem i czekała, aż Brad wytłumaczy, co się właściwie stało. Ale on nic nie mówił. Po prostu siedział z głupkowatym uśmiechem na przystojnej twarzy i w milczeniu gapił się na nią.

- Brad, o co chodzi? Czy coś się stało?

- Nic się nie stało.

- Coś jest nie tak?

- Nie, wszystko w porządku.

- Nic nie rozumiem. To po co mnie budziłeś?

A może to jej się coś przyśniło i tylko wyobraziła sobie, że on ją woła? Może to ona, nie on, postawiła wszystko na głowie? Może on spał głęboko i to z jej winy oboje ocknęli się o tej nieprzypadkowej godzinie?

- Czy przyśnił mi się jakiś koszmar?

- Nie sądzę, bo spałaś jak aniołek. Więc jednak to on ją obudził. Dlaczego?

- Nic nie rozumiem. Czemu...

- Kocham cię - powiedział po prostu.

Jeśli kołatały się w niej jeszcze jakieś pozostałości snu, to w tym momencie zniknęły bez śladu. Jamie była teraz absolutnie i w pełni przytomna.

- Co takiego? - spytała, choć słyszała doskonale za pierwszym razem. - Co? - powtórzyła, w nadziei że usłyszy to jeszcze raz.

- Posłuchaj, wiem, że to się dzieje za szybko i pewnie myślisz, że kompletnie zwariowałem...

- Wcale nie myślę, że zwariowałaś. - W jej oczach pojawiły się łzy.

- Po prostu siedziałem tutaj i przyglądałem się, jak śpisz - mówił dalej, koniuszkami palców ścierając wilgotne ślady. - I nagle ta świadomość spadła na mnie jak grom z jasnego nieba. Pomyślałem sobie: „Kocham tę kobietę”. Kocham ją. Kocham cię, Jamie - dodał, pochylając się ku niej, żeby ją pocałować. Zrobił to tak delikatnie, jakby motyl musnął jej wargi, a potem odleciał.

- Chcesz powiedzieć, że obudziłeś mnie po to, by mi powiedzieć, że mnie kochasz?

- Miałem wrażenie, że zwariuję, jeśli będę musiał czekać z tym do rana.

- Kochasz mnie - powtórzyła Jamie. Obiema dłońmi przygarnęła do piersi te dwa niewidzialne słowa i trzymała blisko przy skórze, aż poczuła, jak wkradają się w głąb jej ciała, przenikają do krwi i razem z nią podążają w kierunku serca. Tyle czasu już minęło od chwili, gdy słyszała coś podobnego. Od tak dawna nie czuła, że jest kochana.

- Dlaczego? - nie chciała o to pytać, ale nie mogła się powstrzymać. - Dlaczego mnie kochasz?

Co tu jest do kochania, dodała po cichu.

- Dlaczego cię kocham? - powtórzył z niedowierzaniem. - Nie mam pojęcia. A dlaczego ktoś kogoś kocha?

- Co we mnie kochasz? - spróbowała z innej strony. Może w ten sposób zachęci Brada do odpowiedzi?

- Co w tobie kocham? Poczekaj, niech się zastanowię... - Zatrzymał się, jakby naprawdę musiał sobie coś przemyśleć. - Kocham sposób, w jaki patrzysz... - zaczął, tym razem wyraźnie ją przedrzeźniając. - Kocham twoje oczy... Twoje włosy... Twoje piersi...

Przesunął palcami po jej twarzy do ramion, pozostawiając na jej ciele delikatną białą ścieżkę.

- Kocham sposób, w jaki odrzucasz do tyłu głowę, kiedy jesteś podniecona, i kocham twój śmiech. Przypomina mi trochę miły poszum wiatru. I kocham to, jak całujesz - dodał, zbliżając usta do jej ust. Tym razem ich pocałunek był mocniejszy. - I to, jak jęczysz z rozkoszy, kiedy dotykam pewnego miejsca o tu, z tyłu szyi...

Dotknął ją właśnie tam, a ona odpowiedziała jękiem, jakby tym gestem dał jej sygnał. Po chwili zaczęła się śmiać.

Miły poszum wiatru, pomyślała, przysłuchując się własnemu śmiechowi.

- Ale najbardziej ze wszystkiego kocham twoje zamiłowanie do przygód, to, że nie boisz się ryzyka i robisz, na co masz ochotę. Kocham twoją bezkompromisowość i chęć, żeby spróbować wszystkiego.

Uśmiechnęła się. To, co jej matka i siostra uważały za lekkomyślność i działanie pod wpływem impulsu, w jego oczach zyskało miano odwagi i bezkompromisowości.

- Bo mnie inspirujesz - odpowiedziała.

- Wcale nie. To ty jesteś moim natchnieniem. - Znów ją pocałował, tym razem dłużej, a jego język pobawił się z jej językiem. - No więc jak, bardzo jesteś na mnie zła?

- Zła na ciebie? - Parsknęła śmiechem. - Na Boga, dlaczego?

- Że cię obudziłem. Spałaś tak głęboko.

- Chyba żartujesz. Budź mnie zawsze, kiedy będziesz miał ochotę mi to powiedzieć.

- Jesteś taka piękna, kiedy śpisz. Tak pełna spokoju. Taka pogodna.

Jamie przytuliła się do niego. Oparła głowę o jego pierś i zaczęła nasłuchiwać bicia serca.

- Nie mogłeś zasnąć? Wzruszył ramionami.

- Tysiące myśli krążyło mi po głowie.

- O czym tak rozmyślałeś?

- Och, zastanawiałem się nad małą niespodzianką...

- Niespodzianką? Jaką niespodzianką? Wysunął się z jej ramion i sięgnął po dzinsy.

- Czas się ubierać, kochanie.

- Co?!

Brad skoczył na równe nogi.

- No chodź! Rusz wreszcie tę wspaniałą dupcię i włóż coś na siebie.

Mówiąc to, wsuwał spodnie na swoje szczupłe pośladki.

- Nie, Brad, zaczekaj! Co się dzieje? Co ty wyrabiasz?

- Zaraz zobaczysz.

- A nie mogę zobaczyć rano?

To jakieś wariactwo. Był przecież środek nocy.

Zaśmiał się.

- O wiele zabawniej będzie po ciemku.

- Ale co?

- Jamie, chodź wreszcie! Chcesz popsuć całą niespodziankę?

I wtedy nagle zrozumiała - jadą do Barnsley Gardens. W jakiś sposób zdołał wszystko zaaranżować. Poczekał, aż ona zaśnie, wykonał kilka niezbędnych telefonów, a teraz stał przed nią, wyznając miłość. Na litość boską, tak był tym podekscytowany, że nie potrafił ustać w miejscu; z niecierpliwością przestępował z nogi na nogę, czekając, aż wydostaną się z tego lichego hoteliku i wreszcie ruszą przed siebie.

- Okay - zawołała, wyskakując z łóżka. Brad wydał z siebie okrzyk radości.

- Brawo! Oto moja dziewczynka.

Z pośpiechem wbiegła do łazienki, żeby opryskać twarz zimną wodą i przesunąć grzebieniem po włosach.

- Zostaw to - ponaglił ją, obserwując z malutkiego korytarza jej poczynania. - Wyglądasz wspaniale.

- Wyglądam jak ktoś, kogo obudzono w środku nocy - odparła.

Nie miała najmniejszego zamiaru przestraszyć ludzi, którzy pracowali w Barnsley Gardens na wieczornej zmianie. Ciekawe, do której czynna jest recepcja? No i w jaki sposób Brad zdołał tak szybko wyjaśnić problemy z kartą kredytową? Już otwierała usta, żeby o to zapytać, ale w ostatniej chwili się rozmyśliła. Nie chciała zepsuć niespodzianki.

- No chodź, Jamie. Później wyczyścisz zęby - zniecierpliwił się, kiedy sięgnęła po szczoteczkę.

- Nie mam zwyczaju wychodzić, dopóki nie umyję zębów - oznajmiła.

Skończyła toaletę i zabrała się do pakowania kosmetyków.

- Co ty wyrabiasz? - Teraz już Brad się zdenerwował.

- Szykuję się do wyjazdu.

- Możesz spakować te rzeczy rano.

- Jak to „rano”? Myślałam, że wyjeżdżamy!

- Staramy się wyjechać - powiedział. Zebrał ubranie, które miała na sobie poprzedniego wieczora, i cisnął w jej kierunku. Jakimś cudem zdołała je złapać, zanim upadło na podłogę.

- Więc wracamy tutaj?

- No jasne, że wracamy. Trzeba się przecież w końcu wyspać.

- Nie rozumiem.

- Ufasz mi? - spytał, choć w jego tonie pojawił się cień zniecierpliwienia.

- Oczywiście, że ci ufam.

- No to jedźmy wreszcie.

Wyciągnęła ze swojej torby czystą zmianę bielizny i zaczęła się ubierać. Zanim skończyła zawiązywać trampki, Brad zdążył już otworzyć drzwi. Wilgotne nocne powietrze wtargnęło do środka, jakby próbowało wypchnąć ją na zewnątrz. Więc wcale nie jadą do Barnsley Gardens, myślała, idąc do samochodu. Jakoś zdołała

opanować rozczarowanie. Czy mimo wszystko nie powiedział przed chwilą, że ją kocha? A czyż nie kochał jej - przynajmniej częściowo - dla jej odwagi, niezależności i chęci, żeby wszystkiego w życiu spróbować?

Czy naprawdę chciała sprawić mu zawód?

- No to jedźmy - powtórzyła jak echo jego słowa i wsiadła do samochodu.

Minutę później byli już w drodze, choć Jamie nie miała pojęcia, dokąd jadą. Zdawało się jej, że po prostu kręcą się w kółko. Po dziesięciu minutach wciąż jeszcze jechali, a ona z coraz większym trudem opanowywała senność. Zaczęła się zastanawiać, czy zaproponować mu pomoc, ale wyraz determinacji na twarzy ukochanego - widziała to nawet po ciemku - sprawił, że pozwoliła, by sprawy toczyły się swoim biegiem. Najwyraźniej Brad przedsięwziął jakiś plan. Następna niespodzianka w tej nocy pełnej niespodzianek. Może lepiej się zrelaksować, pomyślała. Zamknęła oczy i zaczęła się przysłuchiwać głosom dobiegającym z radia. Akurat nadawano jakąś rozmowę ze słuchaczami.

- Człowieku, nie mam pojęcia, co z nią zrobić. Jest seksowna jak diabli, ale od miesiący mnie okłamuje i oszukuje na każdym kroku.

- Z tego co widzę, chłopie, masz tylko dwa wyjścia. Możesz zostać w tym układzie i pozwolić, żeby dalej cię okłamywała i traktowała jak ostatniego durnia albo możesz pokazać, że jesteś mężczyzną i od niej odejść.

- Ale ja ją kocham.

- Hej, a słyszałeś kiedyś o czymś takim jak myślenie pewną częścią ciała?

Jamie nagle otworzyła oczy, bo samochód skręcił w prawo. Do diabła, gdzie się znajdowali?

- Brad...

- Szszsz... - przyłożył palec do ust. - Chcę tego posłuchać.

- Nie, stary, to wcale nie tak.

- Chłopie, wszyscy tak mówią.

Pomyślała, że rozpoznaje białe kolumny pałacowej rezydencji, która stała na rogu ulicy, ale usiłowała sobie wmówić, że to niemożliwe.

- Gdzie my jesteśmy?

- Szszsz... Prawie na miejscu.

- *Ona jest po prostu oszalamiająca.*

- *Te najgorsze zawsze takie są.*

- Brad...

- Szszsz...

- *Kiedy idzie ze mną do łóżka, może potem robić, co tylko zechce. Nie potrafię jasno myśleć.*

- *Bo przestajesz myśleć głową, chłopie. Używasz do myślenia zupełnie innej części ciała. A ta część, jak wszyscy wiemy, nie zawsze potrafi najlepiej ocenić czyjś charakter.*

Czyżby w powrocie znaleźli się w Buckhead?

- *Stary, ty nic nie rozumiesz.*

- *No jasne, że rozumiem. Wszyscy rozumiemy. Jest pierwszorzędną dupą.*

Pieprzy się z tobą tak, jak żadna inna. Ale to ma swoją cenę, koleś. Musisz wreszcie podjąć decyzję. Ile tak naprawdę warte jest babranie się w tym gównie?

Jamie wyprostowała się na fotelu. Zgadza się, byli w Buckhead. Ale dlaczego?

- *Koleś, mówię ci, ty jej nie znasz. Czasem kiedy jesteśmy razem, mam wrażenie, że to prawdziwy anioł.*

- *Ona jest wcieloną diablicą, bracie. Wiek od niej, póki jeszcze możesz.*

Jamie wyciągnęła rękę i wyłączyła radio. Głosy ucichły.

- Brad, o co chodzi? Czemu tu przyjechaliśmy?

- Mnóstwo czasu myślałem o tym, o czym mi opowiedziałas.

- To znaczy?

- O twojej byłej teściowej. Odruchowo wstrzymała oddech.

- Mojej teściowej? Na litość boską, dlaczego?

- Sam nie wiem. Pewnie dlatego, że przyjechaliśmy tu wcześniej i ona pojawiła się w oknie... Przypomniałem sobie, jak kazała ci zwrócić ślubną obrączkę.

- I tak nie chciałabym jej mieć, możesz mi wierzyć.

- A te złote kolczyki z perłami?

Jamie wyobraziła sobie wspaniałe perły w kształcie serca, osadzone w czystym złocie.

- Co zamierzasz? - spytała.

- No cóż, właśnie o tym myślałem - oznajmił, odwracając się ku niej. Znow ujrzała jego zabójczy uśmiech. - Moim zdaniem możesz je mieć z powrotem.

- Co? - Próbowała się roześmiać, ale na widok jego oczu śmiech zamarł jej w gardle. - Chyba nie mówisz serio.

Pokręcił głową.

- Wręcz przeciwnie. Jestem śmiertelnie poważny.

Jamie zaczęła wiercić się w fotelu. Ulice robiły się coraz bardziej znajome. Byli teraz zaledwie kilka przecznic od Magnolia Lane.

- Brad, zatrzymaj się. Zawracaj. To czyste szaleństwo.

- Szaleństwem jest jedynie to, że przez tę wstrętną babę moja dziewczynka przez dwa lata była nieszczęśliwa. I nie próbuj mi wmawiać, że nigdy nie myślałaś o tym, by wyrównać rachunki.

- Wyrównać rachunki? O czym ty mówisz?

- O tym, żeby odebrać to, co ci się słusznie należy.

- Ale to nie należy do mnie.

- Oczywiście, że tak. Sama przecież podarowała ci te kolczyki, zgadza się?

- Tak, ale potem kazała mi je zwrócić.

- Czyli zrobiła coś, do czego nie miała prawa.

- Być może, ale...

- W tym wypadku nie ma żadnego „ale”. Właśnie skręcili w Magnolia Lane.

- Brad, proszę. Zatrzymaj się. Nie wolno nam tego robić.

- Oczywiście, że wolno. Wolno nam zrobić wszystko, czego chcemy.

- Ale ja tego nie chcę.

- Co się z tobą dzieje, Jamie? Nagle straciłaś zapał do przygód?

Nawet w tych ciemnościach dostrzegła w jego oczach rozczarowanie.

- Nie, wcale nie o to chodzi. Po prostu...

Brad zatrzymał niebieskiego thunderbirda o kilka domów przed numerem dziewięćdziesiątym drugim.

- Zapomnij o całej sprawie - powiedział nagle. - Masz rację. To był głupi pomysł.

Głębokie westchnienie ulgi wyrwało się z jej piersi, zadrżało na wargach i roztrzaskało się w zetknięciu z powietrzem. Prawie widziała, jak się rozprasza, jakby chciało uciec we wszystkich możliwych kierunkach. Co ten Brad sobie myślał, na Boga? Był przecież ekspertem od komputerów, a nie złodziejem, który w środku nocy włamuje się do cudzych domów.

- Jedźmy już - poprosiła, z trudem zachowując spokój.

- Wiesz, że chciałem to zrobić tylko dla ciebie - powiedział.

- Wiem. Ale...

- Ale...

- Jesteś zmęczony i nie myślisz jasno. Rano będzie ci się wydawało, że to był jakiś koszmarny sen.

Dokładnie tak, uznała po chwili. Z pewnością to, co teraz przeżywała, nie mogło dziać się naprawdę. Za chwilę się obudzi i przekona, że wszystko wróciło do normalności. Może się więc odprężyć i przestać tak głęboko oddychać, bo to się skończy hiperwentylacją. To tylko kretyński sen.

Brad objął ją czule jednym ramieniem i przyciągnął bliżej, a drugą ręką przekreślił kluczyki w stacyjce.

Natychmiast się odsunęła.

- Co ty robisz?

- Idę po twoje kolczyki. - Wsunął do kieszeni kluczyki od samochodu, otworzył drzwiczki i wysiadł.

Sekundę później już go nie było.

- Brad, zaczekaj! Zatrzymaj się! Proszę! - Dogoniła go tuż przed drzwiami domu Laury Dennison. On chyba przeżywa jakieś załamanie nerwowe, pomyślała. Albo chce spłatać jej paskudnego figła. W każdym razie musi go powstrzymać, zanim sprawy zajdą za daleko.

- A oto moja dziewczynka! Widzę, że zmieniłaś zdanie.

- Brad...

- Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć.

- Brad, proszę cię. Wracajmy do samochodu.

- Jak sobie chcesz. Ja idę tam - wskazał na pograżony w ciemności dom.

„Dlaczego”, miała ochotę wrzasnąć, a zamiast tego zapytała:

- Jak chcesz się tam dostać? Nie mamy kluczy, a w domu jest alarm.

Ta informacja na sekundę go zatrzymała.

- Musisz przecież znać kod - powiedział po chwili.

- Od mojej wyprowadzki sto razy zdążyła go zmienić.

- A właściwie dlaczego miałyby zmieniać kod? Chyba nie spodziewała się, że kiedykolwiek tu wrócisz.

- Co będzie, jeśli jednak zmieniła? I alarm się włączy?

- To wtedy będziemy zwiewać.

- A jeśli nie zrobimy tego wystarczająco szybko i nas schwytają?

- To wykluczone. - Wydawał się całkiem pewny siebie. - No chodź, Jamie.

Zapowiada się niezła zabawa.

Wziął ją w ramiona i obdarzył namiętym pocałunkiem, który był orzeźwiający, a zarazem oszłamiający.

- Nikomu nie stanie się krzywda. Po prostu wejdziemy i zabierzemy to, co i tak prawnie ci się należy. Ona nawet się nie dowie, że tu byliśmy.

- Brad, posłuchaj, co ty bredzisz. Mówimy o włamaniu się do czyjś domu. O popełnieniu najzwyczajszej kradzieży. I o tym, że może zostaniemy złapani i trafimy do więzienia.

- Chodź, Jamie. Co się stało z tym wolnym duchem, który wzbudził we mnie miłość?

To pytanie szarpnęło ją za serce.

- Brad, to nie w porządku.

- A twoim zdaniem, jej zachowanie względem ciebie było w porządku?

- Nie. Ale wiesz, że te dwie sprawy nie są równoważne, jeśli chodzi o wyrządzone zło.

Zaczął się śmiać.

- Chyba tak ujęłaby to twoja matka.

Jamie parsknęła z oburzeniem, choć musiała przyznać mu rację. Jej matka powiedziałaby dokładnie to samo.

- I twoja siostra - dodał dla lepszego efektu. - Myślałem, że nie jesteś do nich podobna.

- Nie jestem.

- A jednak chyba to prawda, że jabłko pada niedaleko od jabłoni.

- Brad, ja mówię całkiem serio.

- Myślisz, że ja nie?

- Moim zdaniem, nie przemyślałeś tego do końca.

- Czego dokładnie?

- Całej tej sprawy. - W świetle księżyca widziała, jak uśmiech powoli zanika na jego twarzy, ustępując miejsca chłodnej, twardej masce. - To nie jest zabawa.

- Oczywiście, że jest. To pewnego rodzaju przygoda.

- Nie. Włamanie się do cudzego domu jest przestępstwem, nie przygodą.

- Tylko wtedy, jeśli dasz się złapać. - Na usta Brada znów zaczęło się wkradać coś w rodzaju uśmiechu. - A my się nie damy, masz na to moje słowo. No to co, jesteś gotowa?

Jamie zamilkła. „Jesteś gotowa?”. To pytanie słyszała przez całe swoje życie. Czy była gotowa? I na co? Kim był ten mężczyzna i w co zamierzał ją wpakować?

- Musisz mieć więcej wiary, Jamie. Musisz się zdecydować - czy wolisz być córeczką swojej mamusi, czy kobietą, w której, jak myślałem, się zakochałem.

„Kobietą, w której, jak myślałem, się zakochałem...”.

- Brad, zaczekaj. Proszę...

- Liczę na ciebie, Jamie. - Ruszył na ukos przez trawnik. - Robię to dla ciebie, dziecinko - zawołał przez ramię.

*On jest wcielonym diabłem, usłyszała nagle głos spikera z nocnej audycji.
Wynoś się stamtąd, póki jeszcze możesz.*

Mimo wszystko, czy mogła się zgodzić, żeby wszedł do tego domu sam? Nawet jeśli zdoła sforsować drzwi, nie zna kodu, więc nie potrafi wyłączyć alarmu. Zostanie złapany na gorącym uczynku i skończy się na tym, że trafi do więzienia na ładnych parę lat. I w imię czego? Z powodu jakichś kolczyków ze złota i pereł, które jego zdaniem należały do niej? Ponieważ chciał jej zaimponować? A może dlatego, że jego duma nie pozwalała mu się wycofać?

Ale niby dokąd miałyby pójść bez niego? Kluczyki do auta były w jego kieszeni, a perspektywa samotnego spaceru o trzeciej nad ranem przez wyludnione uliczki Atlanty wydawała się mało kusząca. Tak samo nie mogła stać tu i czekać, aż on wyjdzie. Co prawda, nie zrobiła dyplomu z prawa, ale wiedziała wystarczająco dużo na temat przestępczości, by rozumieć, że w razie czego zostanie uznana za współniczkę.

„Czy jesteś córeczką swojej mamusi, czy kobietą, w której, jak myślałem, się zakochałem?”.

Jestem. Jestem kobietą, w której się zakochałeś.

On jest wcielonym diabłem. Wynoś się stamtąd, póki jeszcze możesz.

To jest mężczyzna, którego kocham, pomyślała Jamie. Kocham go, a on dał mi wybór: czy chcę być córeczką mamusi, czy kobietą, która zasługuje na jego miłość. To pewna forma testu. O to tylko w tym wszystkim chodzi. On mnie sprawdza. W rzeczywistości wcale nie zamierza włamywać się do domu Laury Dennison. Po prostu chce się przekonać, kim naprawdę jestem.

„Czy jesteś gotowa?”.

Bez namysłu przeskoczyła przez obramowanie z czerwonych cegieł i pobiegła za nim.

- Brad - zawołała po cichu. Jej szept pognał przez ciepłą ciemność, prześlizgnął się między ulotnymi cieniami i rzucił w pościg za stadem rozbrykanych duszków. Gdzie on się schował? Czy czekał za najbliższym drzewem, żeby znienacka wyskoczyć, gdy ona podejdzie bliżej?

Przystanęła na środku długiego podjazdu i obejrzała się za siebie, by sprawdzić, czy nikt jej nie obserwuje z okien sąsiednich domów. Jednak wszystkie domy na ulicy spowijała ciemność, jeśli nie liczyć lamp nad frontowymi drzwiami. Zerknęła w stronę drugiego piętra, sprawdzając, czy zasłony w sypialni Laury Dennison przypadkiem nie drgnęły, ale wszędzie panował spokój. W tle słyszała jedynie cykanie świerszczy, odbite echo ulicznego hałasu i całą gamę zwykłych, nocnych szmerów. Na moment wstrzymała oddech i wpatrując się w sylwetkę domu, wróciła pamięcią do dnia, gdy ujrzała go po raz pierwszy. Przypomniała sobie, jak ogromne wywarł na niej wrażenie i ile obudził nadziei. Byłam wtedy taka młoda, pomyślała, choć od tamtego czasu

upłynęło zaledwie kilka lat. Od kiedy zaczęłam czuć się tak strasznie staro, zdziwiła się, jednocześnie ostrożnie stawiając krok za krokiem. Gdzie się podział mój nieustający optymizm?

- Brad! - zawołała ponownie i aż skuliła się na dźwięk własnego głosu, choć przecież starała się wołać jak najciszej. Spojrzała w kierunku frontowych drzwi, ale tam też go nie było. Czyżby zdążył już prześlizgnąć się do tylnego wejścia? A może po prostu odszedł stąd na piechotę, pozostawiając ją własnemu losowi, ponieważ oblała jego test?

- Brad? - spróbowała jeszcze raz i zbliżyła się do bocznych drzwi.

Nagle wyczuła za plecami czyjąś obecność. Jakaś ręka otoczyła jej szyję i zasłoniła usta i nos. Nie mogła oddychać. Nie była w stanie się ruszyć. Niech mi ktoś pomoże, wrzeszczała w duchu, choć jedynym dźwiękiem, jaki z siebie wydała, był zduszony okrzyk przestrawu.

- Jamie, wszystko w porządku - usłyszała wprost do ucha. - To ja, Brad.

Puścił ją, a wtedy okręciła się dookoła i wpadła prosto w jego ramiona.

- Cicho bądź, bo obudzisz wszystkich sąsiadów - powiedział szybko.

- O mało nie umarłam ze strachu.

- A twoim zdaniem, ilu włamywaczy może pracować na jednej głupiej uliczce?
- spytał przekornie.

Być może zaczęłaby się śmiać, gdyby nie była tak bardzo przerażona. Nagle Brad odsunął się od niej i sięgnął do kieszeni. Czego tam szukał, kluczyków do samochodu czy sprężynowego noża, pomyślała? Odruchowo cofnęła się o krok, ale spostrzegła, że Brad wyjmuje portfel, a następnie wyciąga z niego kartę kredytową.

- Co robisz? - wyszeptwała.

- Niech ta cholerna karta wreszcie do czegoś się przyda - mruknął i zaczął nią manewrować przy zatrasku zamka.

- Brad, chodźmy stąd. Ten żart stanowczo posunął się zbyt daleko. Nawiasem mówiąc, takie akcje udają się tylko w telewizji... - zaczęła, ale w tej samej chwili usłyszała krótkie kliknięcie i drzwi stanęły otworem.

- O Boże - zdążyła powiedzieć, zanim rozległ się pisk, który zasygnalizował, że alarm właśnie został aktywowany i że mają teraz trzydzieści sekund na wstukanie kodu, w przeciwnym razie włączą się syreny.

- O Boże... - powtórzyła raz jeszcze.

Brad chwycił ją w objęcia i wpił się w jej usta namiętym pocałunkiem. Z jego twarzy promieniowało radosne podniecenie.

- Kocham cię, Jamie - powiedział.

16

Emmę obudził przeraźliwy wrzask.

Wskoczyła z łóżka, a jej wzrok odruchowo pobiegł do budzika na nocnym stoliku. Dopiero wtedy uświadomiła sobie, że przecież budzika tara nie ma. Upłynęło ładnych kilka sekund, zanim oprzytomniała na tyle, by przypomnieć sobie, gdzie jest: w pokoju Dylana, w jego łóżeczku. Syn spał dziś w jej sypialni razem z synem Lily, Michaeliem. To znaczy, spał przynajmniej do tej pory. Jednak w tym momencie wrzeszczał jak opętany, co znaczyło, że znów dręczą go nocne koszmary, a to z kolei oznaczało, że jest mniej więcej trzecia nad ranem. Złe sny pojawiały się z taką regularnością, że Emma mogła według nich regulować zegarek. Jeśli w ciągu najbliższych dni nie uda się jej przespać choć jednej nocy, to wkrótce ona także zacznie wrzeszczeć, myślała, biegnąc na bosaka przez korytarz w stronę sypialni.

Pospiesznie sprawdziła, czy nie zapomniała włożyć piżamy, zanim wsunęła się wieczorem do łóżeczka Dylana. Wtargnięcie nago do pokoju, w którym przebywali dwaj pięcioletni chłopcy, raczej nie było dobrym pomysłem. Biednemu dzieciakowi znów mogłoby się przyśnić coś złego. W głowie jej dudniło i wszystko wskazywało na to, że rano będzie mieć kaca jak diabli. Zakładając oczywiście, że uda się jej wrócić do łóżka i jeszcze trochę pospać.

- Wszystko w porządku, Dylan - zawołała, włączając nocną lampkę i chwytając w objęcia szlochającego synka. Obok niego Michael spał jak zabity, a jego blond kędziorki rozsypane po poduszce wyglądały jak seria znaków cudzołowu.

- Ssss, Dylan, mamusia jest tutaj. Pst, nie chcesz chyba obudzić Michaela, prawda?

Wpatrzyła się w syna Lily, dziwiąc się, jak można spać tak głęboko, kiedy nad uchem rozlega się kocie zawodzenie.

- Znow śniło mi się coś strasznego - zapłakał Dylan i wtulił się w nią całym ciałem.

- Wiem, skarbie. Ale to już minęło. Jestem tutaj i wszystko jest w porządku.

- To był jakiś pan - zaczął Dylan.

O, to coś nowego, pomyślała Emma. Nigdy dotąd nie zdarzyło się, żeby Dylan pamiętał cokolwiek z tego, co mu się śniło.

- Jakiś pan? A poznałeś go? Dzieciak energicznie potrząsnął głową.

- Nie widziałem jego twarzy, bo na głowie miał czapkę.

- Czapkę?

- Bejsbolówkę. No wiesz, taką, jaką nosił tatuś. Tyle tylko, że to nie był tatuś - dorzucił szybko, jakby chciał dodać jej otuchy. Emma zadrżała, starając się odgonić widmo byłego męża, ale było już za późno. Stał pod ścianą po przeciwnej stronie pokoju i uśmiechał się od ucha do ucha.

- Ten pan stał w końcu łóżka i mi się przyglądał.

- No cóż, ale teraz widzisz chyba, że tam nikogo nie ma. - Emma wyswobodziła się z objęć synka i podeszła do okna, żeby wyjrzeć na ulicę.

Duch męża gapił się na nią spod stojącej pod oknem latarni. „Możesz uciekać, ale i tak nie zdołasz się przede mną ukryć”, ostrzegła zjawa.

Dylan pobiegł za nią, złapał z tyłu za nogi i wbił palce w miękką bawełnianą piżamę. Czują, jak paznokcie drapią jej uda.

- Mamusiu, nie! Nie patrz tam, proszę cię!

- Tam nikogo nie ma, kochanie. - Wzięła go na ręce i podniosła do okna. - Widzisz? Tylko owady, które krążą dookoła lampy.

- A czemu to robią?

- Bo przyciąga je światło.

- Dlaczego?

O mój Boże, pomyślała Emma. Była zbyt wyczerpana, żeby o trzeciej nad ranem bawić się w zgadywanke. Powinna chyba wiedzieć takie rzeczy.

- Nie mam pojęcia, kochanie - przyznała szczerze. Może chce lepiej widzieć? A może przyciąga je ciepło lampy? Albo pragnienie śmierci?

- Ten pan powiedział, że mnie potnie na tysiąc kawałeczków i rzuci rekinom na pożarcie - poskarżył się Dylan.

Rekiny w Ohio, zdziwiła się Emma? Nic dziwnego, że dzieciak obudził się z takim wrzaskiem.

- Nigdy mu na to nie pozwolę - pocieszyła synka. - Chyba o tym wiesz, prawda?

Główka Dylana podskoczyła kilka razy w górę i w dół. Policzki miał mokre od łez.

- Teraz już jesteś bezpieczny, mój maleńki - szepnęła, niosąc go z powrotem do łóżka. - Nic złego ci się nie przytrafi, dopóki jesteś ze mną. Zawsze będę cię bronić i zrobię wszystko, żeby nic ci nie groziło.

Położyła go obok Michaela.

- A teraz spróbuj zasnąć, kochanie. Widzisz, jak Michael głęboko śpi?

- Bo nie śni mu się nic złego.

- Nie.

- Ma szczęście.

- Tak. - Pocałowała spocone czołko, odsuwając opuszkami palców mokre kosmyki włosów. - Tobie też już nie przyśni się nic złego. Zgoda?

- Zostań tutaj - zażądał.

- Nie mogę, kotku. Nie zmieścimy się we troje.

- Zmieścimy się, zobaczysz. - Dylan przysunął się bliżej Michaela, który odruchowo przeturlał się na bok. - Widzisz?

- No dobrze.

Ułożyła się obok Dylana.

Natychmiast jedną rączką objął ją w pasie, a nogę zarzucił na jej udo, jakby chciał ją przytrzymać na miejscu. Wspaniale, pomyślała. Teraz naprawdę znalazłam się w pułapce. Zamknęła oczy, modląc się o odrobinę snu, lecz za każdym razem, gdy

zasypiała, Dylan kopał ją, przekręcał się na bok albo jęczał przez sen, tak że natychmiast się budziła. Dudnienie w jej głowie przybierało na sile i wkrótce wiedziała na pewno, że tej nocy już nie zaśnie.

Miała zaledwie dwadzieścia lat, gdy poznała człowieka, który później miał zostać ojcem Dylana. Był starszy od niej i o wiele bardziej doświadczony, lecz podobnie jak ona, nie umiał znaleźć sobie miejsca i nie bardzo wiedział, co dalej ma zrobić ze swoim życiem. Emma natychmiast poczuła duchową więź z małym, zagubionym chłopcem ukrytym pod postacią dorosłego mężczyzny i zgodziła się uciec z nim do Las Vegas.

- Jesteś w ciąży? - brzmiało pierwsze pytanie matki, gdy stamtąd wrócili.

- Nie. Jesteś zadowolona?

- Nie. A ty jesteś pewna?

Nawet nie spytała, czy Emma oszalała z miłości. Interesowało ją wyłącznie to, czy córka jest w ciąży. Tak jakby był to jedyny powód, dla którego ktoś mógłby się z nią ożenić.

- Czy tak zamierzasz nam pogratulować, mamo?

A potem, choć matka wcale o to nie pytała, dodała:

- Kochamy się. Naprawdę, bardzo się kochamy - powtórzyła, jakby chciała przekonać samą siebie, że o to właśnie chodziło. Bo prawda wyglądała niestety tak, że Emma wcale nie była pewna, czy kocha swojego męża, czy też nie. Niewiele mieli ze sobą wspólnego; on czasami bywał w złym humorze albo czymś zaabsorbowany, ona zaś nigdy nie wiedziała, jakie myśli chodzą mu po głowie. Ale wiedziała na pewno, że uwielbia brzmienie jego głosu, kiedy mówił jej, że on ją kocha; rozkoszowała się jego wzrokiem, gdy na nią patrzył, podobał jej się własny wizerunek, odbity w jego oczach.

Jeśli jednak Emma nie знаła zbyt dobrze swojego męża, to on z pewnością nie znał jej wcale.

Nie miała zamiaru go okłamywać. Historie, jakie mu opowiadała o starannym wychowaniu, jakie odebrała, o swoich szkolnych osiągnięciach, o przyjęciu na Uniwersytet w Princeton - służyły wyłącznie temu, by mu zaimponować. A potem, kiedy już zrobiła na nim wrażenie i kiedy on zakochał się po uszy, i kiedy zostali mężem i żoną, czyż miała inny wybór, niż tylko ciągnąć tę farsę? Wkrótce się okazało,

że kłamstwo przychodzi jej znacznie łatwiej niż powiedzenie prawdy. W dodatku z biegiem czasu coraz trudniej było odróżnić jedno od drugiego.

- Czy ty przypadkiem się mnie nie wstydzisz? - zapytał krótko po ślubie.

- Oczywiście, że nie!

- No bo wiesz, nie jestem tak rozgarnięty ani bystry jak ty. Nie dostałem się do Princetown...

- No to co? - spytała wtedy. - Ja też nie chodziłam do Princetown, prawda?

- Tylko dlatego, że twoja matka była bardzo chora.

- Proszę, nie wspominaj o tym przy niej. Ta sprawa bardzo ją martwi...

- Nie bój się, w ogóle nie będę poruszał tego tematu. Ale czy musiałaś jej mówić, że studiowałem w Yale? Myślałem, że spadnę z krzesła, jak to powiedziałaś!

- Ale nie zauważyłam, żebyś zaprzeczył.

- Bo z wrażenia zapomniałem języka w gębie.

Emma odrzuciła do tyłu długie, piękne włosy, jakby chciała w ten sposób zaznaczyć, że zupełnie nie rozumie jego obaw.

- Powiedziałaś jej, że chodziłeś na Yale, ponieważ wiedziałam, że ta wiadomość ją uszczęśliwi. Takie rzeczy zawsze szalenie jej imponowały.

- No cóż, w końcu jednak trzeba będzie powiedzieć prawdę.

- Dlaczego? - zaniepokoiła się natychmiast.

- Bo prawda i tak wyjdzie na jaw - odparł krótko.

- Prawda co?

- Prawda wyjdzie na jaw - powtórzył.

- Przecież to nie ma sensu.

- A mnie się wydaje, że jednak ma.

- Ale co to znaczy? Że prawda siedzi schowana w szafie, jak jakiś dowcipniś?

Uśmiechnął się ze skrepowaniem.

- Wiesz świetnie, co mam na myśli.

- Wiem jedynie, że wyszłam za męża za najprzystojniejszego i najbardziej seksownego faceta na świecie - zawołała, obejmując go ciasno ramionami i przyciskając swoje biodra do jego bioder. Uśmiechnął się i ukrył twarz na jej szyi. Jakimś cudem uwierzył w te brednie, pomyślała z ulgą. No to tyle, jeśli chodzi o prawdę.

Ale prawda wyglądała tak, że każdego dnia on coraz bardziej zamykał się w sobie. Bez przerwy ją oskarżał, że go okłamuje. Odwzajemniała mu się podejrzeniami, że ją zdradza. Ich pożycie intymne stopniowo stawało się coraz uboższe, aż zupełnie zanikło, po tym jak zaczęła podejrzewać - co okazało się prawdą! - że jest w ciąży. Po narodzinach syna mąż zaczął sypiać na kanapie. Oczywiście w tych rzadkich chwilach, gdy w ogóle zadawał sobie trud, żeby wrócić na noc do domu.

Z początku starała się rozpalić na nowo ich namiętność. Kupowała erotyczną bieliznę, pomyślała nawet o kajdankach, a wszystko po to, żeby zwabić go do sypialni. Jednak jej wysiłki okazały się daremne. Pewnej nocy, kiedy wrócił po wieczornym pijaństwie w towarzystwie kolegów, postanowiła doprowadzić do konfrontacji.

- Z którą zdziwą spotykasz się teraz? - spytała bez ogródek.

- O czym ty mówisz, do diabła?

- Wiesz dobrze, o czym mówię.

- Nie bądź śmieszna.

- Nie jestem śmieszna - odparowała. - Ale też nie jestem głupia.

- No to przestań się tak zachowywać.

- Masz zamiar wreszcie powiedzieć mi, gdzie byłeś do tej pory?

- Byłem w knajpie, a ze mną byli David i Sal. Świetnie o tym wiesz. A teraz posłuchaj, jestem zmęczony...

- Ja też.

- No więc idź do łóżka.

- Sama? Znowu?

- Chyba już o tym rozmawialiśmy. Nie mogę ci dać tego, czego potrzebujesz.

- Potrzebuję jedynie odrobiny zainteresowania. Czy jestem tak okropna, że nie masz ochoty mnie dotknąć? No, dalej - wrzasnęła i uderzyła go pięścią w ramię. -
Dotknij mnie.

Zaczęła na oślep okładać go pięściami, a nawet posunęła się do tego, że otwartą dłońią pacnęła go w twarz.

- Spróbuj udawać, że jestem Davidem albo Salem.

- Przestań - zawołał. Chwycił ją za obie ręce i przytrzymał siłą.

- To boli - zapłakała.

Natychmiast ją puścił. Wtedy bez zastanowienia uderzyła go mocno w twarz, a on momentalnie oddał policzek.

Z każdą chwilą wyglądało to coraz gorzej.

- Opowiadasz swoim przyjaciółkom, że cię pobiłem? - spytał z niedowierzaniem tydzień później.

- A czemu mam milczeć? To przecież prawda.

- Moja droga, nie jesteś w stanie rozpoznać prawdy nawet wtedy, gdy przypadkiem spadnie ci prosto na głowę.

- Dobrze ci tak - mruknęła teraz, przekręcając się na bok. - Wszystko, co wydarzyło się potem, było twoją i wyłącznie twoją winą. Prosiłam, żebyś okazał mi nieco uwagi. Chciałam jedynie, żebyś choć trochę mnie kochał.

- Co? - spytał Dylan oszołomionym głosem, a jego ciało natychmiast zrobiło się sztywne. - Czy znowu musimy uciekać?

- Nie, maleńki. Wszystko w porządku. Możesz spać spokojnie, mój skarbie.

- Kocham cię, mamusiu.

- Ja też cię kocham, syneczku.

Lily śniła o lodach. Stała na zewnątrz restauracji urządzonej w stylu lat pięćdziesiątych i jadła mały rożek lodów truskawkowych. Lody kapały na białą, czystą bluzeczkę i pozostawiały na niej podłużny, różowy ślad, który leniwie rozszerzał się od miejsca na wysokości piersi w stronę pępka. Stojący obok Jeff Dawson delektował się olbrzymim, cukrowym rożkiem, oblanym gęstą, deserową czekoladą. Nagle pochylił się w jej stronę, jakby miał zamiar spróbować lodów, ale zamiast tego chwycił ją za rękę i zaczął wylizywać otwartą dłoń. Jakiś motocykl przemknął obok nich i niemal w tej samej chwili z restauracji wybiegła jej matka, wymachując amerykańską flagą i wykrzykując coś na temat oświadczenia podatkowego. Sekundę później z nieba spadł olbrzymi orzech kokosa i ktoś wrzasnął, że przed chwilą wydarzył się wypadek. Lily spojrzała na przód swojej bluzki i spostrzegła, że różowe plamy zmieniły się w krwistą czerwień. Krew sączyła się z okolicy serca, zupełnie jakby ktoś do niej strzelił.

W przerażeniu usiadła na łóżku. Cały przód jej różowej, bawełnianej piżamki był mokry od potu.

- Wielki Boże... - wyszeptała, wypatrując w przyćmionym świetle budzika. Dziesięć po trzeciej. - Znakomicie.

Wygrzebała się z łóżka i poszła do łazienki, żeby położyć na kark chłodny kompres i ręcznikiem wytrzeć się z potu.

- Okay, to wcale nie było zbyt trudne do rozgryzienia - mruknęła. Sen zaczynał już blaknąć, a postacie rozplływały się w niepamięci, zupełnie jakby ktoś wycierał je gumką.

Najwyraźniej fakt, że tak dobrze było jej na dzisiejszej randce z Jeffem, wywołał w niej poczucie winy, a podświadomość próbowała ją ostrzec... Przed czym? Co takiego usiłowała przekazać jej własna podświadomość? Że Jeff stanowi dla niej zagrożenie? A może to ona jest niebezpieczeństwem dla niego? Może jeśli pozwoli mu się do siebie zbliżyć, wielki kokosowy orzech spadnie z nieba i zabije go, tak jak zabił Kenny'ego?

Tylko że Kenny nie zginął przez bezduszny orzech kokosa.

Potrząsnęła głową. To jedynie głupi sen, pomyślała. Garść oderwanych obrazów, które do niczego nie pasują. No bo jak inaczej wytłumaczyć pojawienie się matki wymachującej amerykańską flagą i bredzącej coś o ostatnim zeznaniu podatkowym? Jeśli sny rzeczywiście mają pełnić rolę swoistego zwiastuna, byłoby miło, gdyby od czasu do czasu udało się odnaleźć w nich jakiś sens.

- No, lody truskawkowe jak najbardziej mają sens - powiedziała, kierując się w stronę schodów. To strasznie dziwne uczucie być w domu samej, bez Michaela. Bez brzmienia jego głosu, hałaśliwych salw śmiechu i rytmicznego oddechu ten niewielki dom wydawał się całkiem pusty. W przelocie dostrzegła rozmaite obrazki wykonane farbami plakatowymi albo wodnymi, które pokrywały ściany jego sypialni, i cofnęła się o kilka kroków. Weszła do pokoju, pstryknięciem włączyła górne światło i zaczęła się im przyglądać, jak zwykle zadziwiona talentem synka. I wcale nie myślała tak wyłącznie dlatego, że była jego matką. Wszyscy, którzy znali jego prace, uważali tak samo. Nauczycielka Michaela, panna Kensit, powiedziała jej, że chłopiec jest najbardziej uzdolnionym artystycznie dzieckiem, jakie miała okazję spotkać podczas swojej dziewięcioletniej kariery pedagogicznej. Jeden z obrazków - akwarelę przedstawiającą grupę saren, które pasą się na ukwieconej łące nad brzegiem

strumienia - zniosła nawet dyrektorowi szkoły. A dyrektor przystawił w prawym górnym rogu złotą gwiazdkę i oświadczył, że Michael pewnego dnia zostanie znanym artystą, a on będzie dumny, bo jako pierwszy poznał się na jego talencie. Ten obrazek wisiał teraz na honorowym miejscu naprzeciwko łóżka Michaela, pomiędzy rysunkiem przedstawiającym chłopca i jego matkę, biegnących ramię w ramię przez pole wysokiej trawy, i abstrakcyjnym malowidłem wykonanym plakatówką, na którym żółto-zielone i zielone koła wirowały tak intensywnie, że w tym tańcu prawie uciekały z kartki.

Lily przesuwiała się od ściany do ściany i oglądała każdy obrazek w takim skupieniu, jakby właśnie zwiedzała Luwr. Na jednym ujrzała wazon wypełniony ciemnoczerwonymi i żółtymi kwiatami, na innym chłopca skaczącego z samolotu. Chłopiec był dwukrotnie większy niż samolot, a za jego plecami otwierał się olbrzymi spadochron. Obok wisiał szkic węglem przedstawiający chłopczyka z matką stojących dumnie przed małym, trójkątnym domkiem. Na innym, przyczepionym do ściany tuż nad łóżkiem, matka tuliła do snu swojego maleńkiego synka, a zza okna uśmiechał się do nich puzaty księżyc. Michael nie rysował ludzików z patyka, jak większość małych dzieci. Postacie, które zamieszkiwały jego świat, były w pełni uformowane, choć ich proporcje mogły budzić pewne wątpliwości. Jedne miały olbrzymie głowy, inne zaś łebki nie większe od pigułki. Niektóre zostały obdarowane niezwykle długimi rękoma, podczas gdy u innych nogi wyrastały prosto z szyi. Jednak uwagę Lily przykuła inna rzecz. Na żadnym z obrazków Michaela nie było dorosłego mężczyzny.

To moja wina, pomyślała.

Chwyciła poduszkę leżącą w łóżeczku i przytuliła do niej twarz, wciągając w nozdrza słodki zapach.

- Wynagrodzę ci to, kochanie - szepnęła. - Obiecuję.

Strzepnęła poduszkę i odłożyła ją na miejsce, a następnie wyłączyła światło i zeszła na dół, do kuchni, gdzie nałożyła sobie sporą miseczkę lodów i usadowiła się z nią przy kuchennym stole.

- Nie mogę uwierzyć, że znów jem - mruknęła do siebie. Czy nie mówiła przed chwilą Jeffowi, że jest tak najedzona, iż chyba w życiu już nie spojrzy na żaden

smakołyk? No jasne. Prędeż rak świśnie, a ryba zaśpiewa, niż ona zrezygnuje ze słodczy.

No to by było tyle, jeśli chodzi o pozbycie się trzech kilogramów, pomyślała, postanawiając jednocześnie, że następnego dnia pójdzie poćwiczyć na siłowni, choć był to jej wolny dzień i obiecała Michaelowi, że wybierze się z nim do kina. Może powinna zapytać Emmę, czy ona i Dylan nie chcieliby się przyłączyć? Albo jeszcze lepiej: zaproponuje, że sama pójdzie z chłopcami, dzięki czemu Emma będzie miała wolne popołudnie. Biedna dziewczyna wyglądała tak, jakby bardzo potrzebowała chwili wytchnienia, więc mogła dla niej zrobić przynajmniej tyle. Samotne wychowywanie dziecka było naprawdę trudnym zadaniem. Zwłaszcza chłopca i zwłaszcza wówczas, kiedy człowiek nie bardzo wiedział, co się dzieje w tej małej główce.

„Na pewno niewiele”, powiedziałyby Jan, a potem wybuchnęła tym swoim grzmiącym śmiechem. Jan nigdy nie miała dzieci, choć gdzieś w Kalifornii mieszkał jej siostrzeniec, z którym utrzymywała częste kontakty.

Jaki będzie Michael, kiedy dorośnie, zastanowiła się Lily Czy nadal będzie patrzył na nią z takim uwielbieniem jak teraz? Czy wciąż zechce darzyć ją miłością, kiedy dojrzeje na tyle, by poznać wszystkie fakty i zrozumieć pewne wręcz niewyobrażalne sprawy? A może zacznie mieć do niej urazę i obrzuci oskarżeniami, że pozbawiła go ojca wówczas, gdy dorastającemu chłopcu był najbardziej potrzebny? Może przy pierwszej lepszej okazji ucieknie do Europy i tylko od czasu do czasu zadzwoni z różnych miejsc, myśląc o niej coraz rzadziej, za to z coraz większymi pretensjami?

Lily uzupełniła zawartość miseczki, dochodząc przy tym do wniosku, że chyba wszystkie lody na świecie nie złagodzą jej dręczących ją wyrzutów sumienia. Choć na pewno warto spróbować, zdecydowała, wpychając do ust łyżeczkę po łyżeczce i rozkoszując się zimnym smakiem. Odruchowo sięgnęła po pióro i kawałek papieru, i zaczęła bazgrać serie połączonych ze sobą serduszek. Robiła to jako dziecko, przypominała sobie teraz, choć rysowanie nigdy nie należało do jej mocnych stron. Nie, jej talent nierozzerwalnie był związany ze słowami. Uwielbiała wymyślać rozmaite historie, z niczego tworzyć jakieś postacie, a potem patrzeć, jak przybierają określone

kształty i zaczynają dorastać. Tak, jej przeznaczeniem było zostać pisarką, dokładnie tak, jak przepowiedziała nauczycielka w szkole.

- Mam zamiar poświęcić się pisaniu książek - oznajmiła z dumą Kenny'emu i on przez moment także wydawał się z tego dumny. Ale potem, oczywiście, zaszła w ciążę i to w znacznym stopniu przesądziło o jej karierze literackiej. Hinduscy mędrcy zalecali, żeby pisać o tym, o czym się wie, ale w końcu co ona wiedziała, skoro nawet nie potrafiła ustrzec się przez ciążę, jak elokwentnie wykrzyczał jej Kenny w tamtą fatalną, przesiąkniętą deszczem noc.

- Znacznie łatwiej jest pisać o tym, czego się nie zna - mruknęła, odsuwając się od kuchennego stołu. To, czego nie wiedziała, starczyłoby, żeby wypełnić wiele, wiele tomów.

Chociaż Jeff wydawał się uważać ją za całkiem interesującą osobę.

- Miał biedak nadzieję, że go uszczęśliwię - powiedziała wolno, wspinając się po schodach. W sumie miał szczęście, pomyślała i o mały włos nie zaczęła chichotać. Miał szczęście, że go nie zaprosiłam, by wszedł do środka.

Dlaczego tego nie zrobiłam?

To wydawało się takie łatwe. Okazja sama się nadarzyła, bo dzisiejszej nocy miała cały dom dla siebie. Kto wie, kiedy następnym razem przytrafi się coś podobnego? A przecież uważała Jeffa za atrakcyjnego faceta. Nie, więcej niż atrakcyjnego. Za pociągającego. W dodatku było jasne, że on czuje to samo wobec niej. Zjedli doskonałą kolację, a potem pojechali na spacer do nowego RiverScape Park, do punktu widokowego, gdzie pięć rzeczek Dayton - Twin Creek, Wolf Creek, Great Miami, Stillwater i Mad - łączy się w jedną, a potem ruszyli przed siebie jedną z dobrze oświetlonych ścieżek.

- Wiesz, że Dayton jest w Stanach numerem jeden, jeśli chodzi o liczbę wynalazców? - spytał, wskazując na liczne złote gwiazdy, które dla uhonorowania tych wynalazców zostały osadzone w betonie.

- Naprawdę? A o jaki rodzaj wynalazków chodzi?

- No cóż, to właśnie w Dayton bracia Wright pracowali i ulepszali swojego słynnego Fliera.

- Racja. Pamiętam, że gdzieś o tym czytałam.

- Dobrze, ale pewnie nie wiesz o spadochronach, zsypach na listy w biurowcach, składanych drabinkach, taśmie celofanowej, tacce na kostki lodu, parkometrach, kasach fiskalnych, projektorach filmowych, maskach gazowych, a także setkach innych rzeczy codziennego użytku, które także zostały wynalezione w Dayton - wyliczał, zatrzymując się tylko dla zaczerpnięcia oddechu. - Nie wspominając już o chipsach pokrytych czekoladą.

- Chipsy pokryte czekoladą?

- Możemy je kupić u Krogera.

- O nie, dziękuję bardzo. Jestem tak najedzona, że chyba w życiu nie spojrzę na żadne smakołyki.

Spacerowali jeszcze przez dziesięć minut, zatrzymując się tylko, żeby z podziwem przyrzeć się dziwnemu wiatromierzowi, wymyślonemu przez braci Wright. Była to laleczka wycięta z cienkiej blachy, przymocowana do metalowego masztu, która kołysała się na różne strony w zależności od podmuchów wiatru.

- Właśnie tak najczęściej się czuję - przyznała Lily.

- No to lepiej mocno się trzymaj - powiedział, ujmując jej dłoń.

Jego dotyk podziałał na nią zupełnie jak porażenie prądem. Stała wyprostowana i sztywna jak drut, kiedy jej ręka zniknęła w jego dłoni, a on pociągnął ją z powrotem w stronę samochodu. Ile czasu upłynęło od chwili, gdy trzymała za rękę kogoś, kto miał więcej niż pięć lat?

- Byłaś już w Art Institute? - spytał, kiedy przejeżdżali obok budynku z kamienia pokrytego piękną, czerwoną dachówką, zaraz za zjazdem numer 54B. Najwidoczniej nie miał pojęcia, że przed chwilą uwolnił wewnątrz jej ciała tak silne emocje.

- Nie, jeszcze nie - zdołała wykrztusić. - Cały czas mam zamiar wybrać się tam z Michaeliem.

- Twój syn lubi sztukę? Skinęła głową.

- Och, tak. On jest bardzo utalentowany - oświadczyła z prawdziwą dumą.

- Chciałbym go poznać. Może któregoś dnia zechcesz nas sobie przedstawić.

Uśmiechnęła się, ale nic nie powiedziała. Przez resztę drogi do domu koncentrowała się na tym, żeby zapamiętać dotyk jego palców splecionych z jej palcami i na zastanawianiu się, co powinna zrobić, jeśli zechce ją pocałować.

- Dziękuję za przemiły wieczór - powiedział, kiedy podchodzili do frontowych drzwi jej domu.

- Ja też dziękuję. - Była stremowana jak nastolatka, którą ktoś zaprosił na pierwszą w życiu randkę.

- Mam nadzieję, że kiedyś to powtórzymy.

- Bardzo bym chciała.

Wsadziła rękę do torebki w poszukiwaniu kluczy. Czy on mnie teraz pocałuje, zastanawiała się? A może czeka, żebym zaprosiła go do środka? Właśnie tak powinnam zrobić. Zaprosić go do domu.

- Dziękuję za wycieczkę do RiverScape Park. Jeśli kiedyś będziesz miał dosyć pracy w policji, możesz zostać wspaniałym przewodnikiem - powiedziała, przekręcając klucz w zamku. Przystąpiła próg, a wówczas pierwsze drzwi stały się wygodną barierą pomiędzy nią a jego ustami.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Z tymi słowami odwrócił się i odszedł. Poczekała, aż jego samochód zniknie w oddali, a potem zamknęła za sobą drzwi i skierowała się do schodów, żeby pójść prosto do łóżka.

Teraz była trzecia nad ranem, a ona znów znajdowała się w punkcie wyjścia. Po wejściu na piętro zatrzymała się na ostatnim stopniu schodów. Na zewnątrz lekka bryza przybierała na sile, powoli zmieniając się w wiatr, który niósł ze sobą groźbę deszczu. Wróciła do sypialni, wślizgnęła się do łóżka i przykryła głowę kołdrą, żeby uchronić się przed duchami, które uderzały o szyby i starały się dostać do środka.

17

- Szybko, jaki był ten cholerny kod? - syknął Brad ponad jednostajnym piskiem, ostrzegającym przed rychłym włączeniem alarmu.

Jamie podskoczyła w stronę klawiatury umieszczonej tuż za drzwiami i z pośpiechem wystukała cztery cyfry. Niech to będą te, co potrzeba, modliła się w duchu. Ręce trzęsły się jej tak bardzo, że ledwie czuła pod opuszkami palców gładką

powierzchnię klawiszy. Boże, żeby tylko nie okazało się, że kod został zmieniony. Proszę, niech ten pisk wreszcie się skończy.

I nagle w całym domu zapadła głucha cisza.

- Brawo, Jamie - wyszeptał Brad. Ujął ją mocno za ramię, odwrócił do siebie i z wdzięcznością cmoknął w policzek. Potem puścił, a wtedy zatoczyła się do tyłu, bo nogi odmówiły jej posłuszeństwa, i o mały włos nie upadła na mały skrawek podłogi wyłożony terakotą.

- Hej, ostrożnie - powiedział, wyciągając rękę. Zdążył ją złapać za ramię, zanim uderzyła w stojącą obok wejścia szafę.

Serce waliło Jamie tak głośno i tak szybko, że musiało upłynąć dobre kilka sekund, zanim uświadomiła sobie, że ich włamanie pozostało niezauważone. Byli bezpieczni. Teraz mogą spokojnie odejść i żywa dusza się nie zorientuje, że w ogóle ktoś tu wszedł.

- Brad, wynośmy się stąd - szepnęła, ciągnąc go za rękaw.

- Szszsz... - W odpowiedzi podniósł palec do ust i przechylił głowę na jedną stronę, jakby czegoś nasłuchiwał.

W domu panowała kompletna cisza. Z góry nie dochodził odgłos ostrożnych kroków ani przytłumiony szept osoby, która z trwogą wydzwaniała pod numer dziewięćset jedenaście. Wszystko zdawało się spoczywać w bezruchu i spokoju, tak jak powinno być tuż po trzeciej nad ranem. To przecież cholerny środek nocy, uświadomiła sobie Jamie. Wszyscy normalni ludzie o tej porze śpią.

Do diabła, to co oni w takim razie tu robią? I jak w ogóle mogło dojść do czegoś podobnego?

Czy to możliwe, że Laura Dennison nie usłyszała przez sen tego przeraźliwego pisku? A może właśnie w tej chwili ukradkiem skrada się w kierunku wyjścia i przez przyciśniętą do ucha komórkę przekazuje policji dokładny opis niebieskiego thunderbirda, zaparkowanego kilka domów dalej? „Dokładnie takim samochodem jeździ moja była synowa”.

Z pewnością musiała się obudzić. Chociaż... Laura Dennison zawsze należała do osób, które szybko zapadają w głęboki sen. Ile razy Jamie słyszała chełpliwe zapewnienia, że teściowa zasypia jak zabita natychmiast, kiedy tylko głową dotknie

poduszki? Nie, ona nie używa żadnych środków nasennych, oświadczyła z nieukrywaniem samozadowoleniem, gdy pewnego razu Jamie poskarżyła się, że nie sypia zbyt dobrze i zapytała, czy w domu jest może tylenol. Poza tym, pani Dennison sypiała przy zamkniętych drzwiach - jedynych, które miały prawo być zamknięte w domu na Magnolia Street. Wydawało się więc całkiem możliwe, że jednak nie słyszała zawodzenia ostrzegającego o aktywowaniu alarmu.

A może wcale nie było jej w domu, pomyślała Jamie z nadzieją. Może pojechała z Markiem na wakacje, albo umówiła się na brydża z jedną z tych pań, z którymi spotykała się co tydzień... Albo wybrała się gdzieś z całym tym pieprzonym towarzystwem. Zawsze przecież bredziły o tym, że pewnego dnia wyjadą razem na wycieczkę lub na jakiś turniej brydża, żeby zarobić trochę tych pieprzonych mistrzowskich punktów, które nie wiadomo na jaką cholere były im potrzebne. Więc może właśnie dziś wprowadziły w końcu ten zamiar w życie, a to oznaczało, że dom był pusty i nie ma potrzeby denerwować się tak bardzo, że aż robiło się niedobrze. Okrutna wiedźma odleciała na miotle, żeby gdzieś tam odprawić swoje piekielne harce.

Tyle tylko, że tego nie zrobiła.

Gdyby Laura Dennison naprawdę wyjechała, to kim byłaby ta kobieta, której cień w oknie sypialni dostrzegła Jamie wieczorem? Nie, pani Dennison z pewnością przebywała w domu. Jamie czuła jej obecność w powietrzu, w którym wisiał ciężki smród przypominający woń eteru. Trucizna wypełniła jej nozdrza i wtargnęła do płuc, przez co każdy oddech stał się nie tylko bolesny, ale i niebezpieczny. Brad delikatnie pociągnął ją za rękę i przepchnął do przodu, mimo że ciało Jamie nadal ciążyło w stronę drzwi.

- Brad... - zaczęła nieśmiało, a wtedy on nagle puścił jej dłoń. Patrzyła, jak przeskakuje po trzy stopnie na wyłożonych dywanową wykładziną schodach, śmiało zmierzając ku centralnej części domu. On się zupełnie nie boi, zdążyła pomyśleć, i już w następnej sekundzie pędziła w górę trzy kroki za nim.

Nawet w ciemności bez trudu rozpoznała każdy mebel stojący w ogromnym salonie. Oto wyściełana różowo-białym perkalem sofa, która stała naprzeciw długiego okna, wychodzącego na front domu i obramowanego pasującymi do niej zasłonami.

Tuż przed nią znajdował się mały stolczyk do kawy z sosnowego drewna, a po obu jego stronach dwa fotele w zielono-białe pasy. Większą część przeciwległej ściany zajmował potężny kominek z czerwonej cegły i dwa ciemnozielone, haftowane krzesła w stylu królowej Anny. Czarny fortepian, wciśnięty w odległy kąt salonu ustawiono przodem do środka pokoju, ale o ile Jamie wiedziała, nikt nigdy na nim nie grał. Tak samo jak nikt nie używał wspaniałych, przywiezionych z Włoch szachów z kości słoniowej, które zajmowały środek stoliczka do kawy, ani przepięknego świecznika z brązu, ustawionego na obramowaniu kominka razem z pustą vazą na owoce z różowego szkła i kilkoma oprawionymi w ramki fotografiami, które przedstawiały matkę i syna. Ściany w salonie były białe, podobnie jak mały, puchaty dywanik. Poza tym po obu stronach kominka wisiały dwa krajobrazy przedstawiające świat w mrocznych kolorach, a na każdym skrawku wolnej przestrzeni ustawiono wazon z różowymi i białymi storczykami zrobionymi z jedwabiu. Pani Dennison w kółko się chwaliła, że nikt nie potrafi odróżnić ich od prawdziwych kwiatów.

- Brad, chodźmy już stąd.

- O, biały dywanik - zauważył lekko, jakby wcale nie usłyszał błagalnej prośby.

- Całkiem śmiała decyzja, albo wręcz przeciwnie, bardzo głupia.

Powoli i z rozmysłem strząsnął z trampek trochę ulicznego brudu wprost na śnieżnobiałe włosie.

- Brad, przestań!

- A czemu?

- Bo ona się domyśli, że ktoś tutaj był.

- Bo był.

- Wiem, ale...

- Możesz mi podać którąś z tamtych rzeczy? - przerwał jej, wskazując gzyms kominka.

- Co?

- Któryś z tych świeczników.

- Po co?

- Mam pewien pomysł.

- Jaki znów pomysł? - Głos Jamie odbił się w jej uszach głośnym echem, aż sama się skrzywiła. Jej była teściowa mogła spać jak kamień, ale ostatecznie wszystko ma swoje granice. Im mniej będą gadać, tym lepiej. Jak również im prędzej się stąd wyniosą, tym lepiej.

- Zaufaj mi - powiedział szeptem.

Jamie niechętnie podniosła masywny świecznik. Był cięższy, niż się spodziewała, i o mało nie wyslizgnął się spomiędzy palców.

- Ostrożnie! - ostrzegł ją Brad. Odruchowo zacisnęła dłoń.

- Postaw go tam - wskazał na fortepian.

- Ale po co?

- Zrób to i już.

- Nie rozumiem.

- Postaw go na klapie. Tak, właśnie tutaj - uśmiechnął się, kiedy Jamie ustawiła świecznik na zamkniętym instrumencie w kolorze hebanu. - Ta stara wiedźma będzie się całymi dniami zastanawiać, jak, do diabła, ten świecznik tam się znalazł - dodał, żeby odpowiedzieć na jej milczące pytanie.

- Pewnie pomyśli, że to robota sprzątaczkii. - Jamie znów zaczęły ogarniać wyrzuty sumienia.

- A tam co jest?

- Brad, nie! Po prostu...

Ale on już zdążył pchnąć uchylane drzwi, które prowadziły do jadalni.

Tradycyjny stół z orzecha na środku prostokątnego pomieszczenia otaczało osiem drewnianych krzeseł z wysokimi oparciami, wyłożonych krwistoczerwoną skórą. Pasująca do całości, wysoka serwantka stała pod jedną ze ścian, a jej wnętrze wypełniała ekskluzywna porcelana i drogie szkło. Brad rzucił okiem w tamtym kierunku, ale bez zastanowienia popchnął następne drzwi, które oddzielały jadalnię od kuchni.

- Cholernie chce mi się pić - powiedział, idąc w stronę lodówki.

Poszła za nim, cały czas rzucając przez ramię pełne obaw spojrzenia.

- Brad, najwyższy czas, żebyśmy stąd zwiewali.

- Mam ochotę na szklankę mleka.

- Mleka?!

Jednym pociągnięciem otworzył drzwiczki lodówki na całą szerokość i schylając się, zaczął penetrować wnętrze.

- Zobaczmy... Sok pomarańczowy, jajka, sok żurawinowy, talerz czegoś, co wygląda na resztki spaghetti...

W ciemności błysnęła nagle jakaś biel. Dopiero w tym momencie Jamie spostrzegła, że Brad ma na sobie lateksowe rękawiczki.

- Włożyłeś rękawiczki? - spytała z niedowierzaniem.

Wyciągnął z górnej półki karton półtłustego mleka i rozejrzał się dookoła.

- Cholera, gdzie ona trzyma szklanki? - mruknął, ignorując pytanie Jamie.

- Skąd wytrzasnąłeś te rękawiczki? - Jamie nie dawała za wygraną.

Wzruszył ramionami, jakby jej pytanie było kompletnie bez sensu.

- Gdzie są szklanki? - otworzył pierwszą z brzegu szafkę.

- Tam - wskazała na właściwą, po prawej stronie nad kuchenką. - Brad, co ty robisz, na litość boską?

- Nalewam sobie mleka - wyjął jedną ze szklanek i napełnił po brzegi. - Ty też chcesz?

- Chcę jedynie stąd wyjść, i to jak najszybciej.

- Wyjdziemy, tylko pozwól mi dokończyć mleko.

Jednym haustem opróżnił szklankę i odstawił ją do zlewu.

Do diabła, co to wszystko znaczy? Co on wyrabiał i dlaczego w ogóle pomyślał o czymś takim jak rękawiczki?

- Brad, to stanowczo przestało mi się podobać. Wychodzę.

W jednej chwili znalazł się tuż obok, chwycił ją w ramiona i wpił się w jej usta namiętym pocałunkiem. Poczowała na języku smak mleka.

- Nie - wyszeptał namiętnie. - Nie możesz teraz wyjść. Jeszcze nie. - Rękoma objął jej pośladki i z całej siły przycisnął do siebie. - Przecież zabawa dopiero się zaczyna.

Jamie poczuła, że kręci się jej w głowie. Zaledwie przed kilkoma dniami była zwyczajną, młodą kobietą, która pracowała w nudnej i mało obiecującej firmie i romansowała z przeciętnym, żonatym facetem. A potem nagle poznała w barze

pewnego przystojniaczka, zrezygnowała z posady i wyruszyła z nowym kochankiem w nieznane. Bez oporów dała się skusić na uprawianie seksu w publicznej toalecie i na włamywanie się do domów obcych ludzi. Gdzieś po drodze na międzystanowej autostradzie Jamie Kellogg - córka Anny, siostra Cynthii, w końcu sędziny i prawniczki, na litość boską - zupełnie się zagubiła. Straciła poczucie własnej tożsamości - nie wiedziała, kim jest ani co robi, zupełnie jakby jakaś obca siła przejęła kontrolę nad jej ciałem i zniewoliła umysł.

„Nie” - usłyszała w myślach złorzeczenie matki. - „Nie uda ci się tak łatwo wykpić”.

„Kiedy wreszcie zaczniesz być odpowiedzialna za swoje czyny?” - dołączyła siostra.

W chwili rozpaczliwej zakryła uszy dłońmi.

- Brad, proszę cię. Chcę stąd iść. Proszę. Jestem wykończona.

- Moje kochanie czuje się zmęczone?

- Wykończone.

- Okay.

- Okay? Więc wychodzimy?

- Jak tylko uda nam się znaleźć to, po co tu przyszliśmy.

Odsunął się od niej i wrócił do jadalni. Natychmiast znalazła się tuż za nim.

- Brad, proszę. Trochę źle się poczułam...

- To tylko coś w rodzaju tremy. - Zdażył już wyjść z jadalni i był w połowie salonu. Najwyraźniej kierował się do schodów, które prowadziły na górne piętro, do sypialni. - No dobrze, w takim razie zostań tutaj.

Na moment zatrzymał się u podnóża schodów.

- Ale ponieważ nie mam pojęcia, gdzie ona trzyma te przeklęte kolczyki, będę musiał przekopać się przez wszystkie jej rzeczy, i kto wie, jak długo mi to zajmie. Może przez ten czas starucha się obudzi, a ja zostanę złapany na gorącym uczynku i resztę życia spędzę za kratkami. Ale to wszystko dla kobiety, którą kocham - mówił dalej i dodał: - No chodź, Jamie. Chyba nie chcesz mnie widzieć w więzieniu, co?

- Po prostu chcę się stąd wydostać, zanim będzie za późno.

- Już jest za późno - uśmiechnął się i popędził w górę, przeskakując po dwa stopnie naraz.

Uciekaj, pomyślała Jamie. Wynoś się stąd. Uciekaj, dopóki jeszcze możesz.
„Już jest za późno”.

Stał na górnym podejściu, czekając na nią, a jego wzrok przyciągał ją tak silnie, jak wędkarz przyciąga złowioną rybę. Nagle poczuła, że unosi jedną nogę i stawia ją na pierwszym stopniu. Zacisnęła dłoń na drewnianej poręczy, pozostawiając na ciemnym drewnie mokry od potu ślad.

On ma na sobie lateksowe rękawiczki, przypomniała sobie. Dlaczego? Skąd je wziął? Kiedy włożył?

Kim jest ten człowiek, zadała sobie pytanie, krok po kroku posuwając się w górę schodów.

On jest diabłem.

- Gdzie dalej? - spytał diabeł, kiedy Jamie znalazła się na ostatnim stopniu.

Spojrzeniem wskazała na prawo. Mogła nie wiedzieć dokładnie, co robi ani jak się wpędziła w tak kłopotliwe położenie, ale jedno wiedziała na pewno - tkwiła w tym po uszy i chciała stąd uciec tak prędko, jak tylko się da. Im szybciej znajdą te pieprzone kolczyki, tym szybciej się stąd wyniosą i tym szybciej ona znajdzie się z powrotem w upragnionym zaciszu motelowego pokoju. Wtedy będzie mogła trochę pospać, uspokoić myśli, a rano zdecyduje, co robić dalej. Jedno było jasne - Brad Fisher nie był człowiekiem, za jakiego uważała go na początku. Eksperci od komputerów, projektanci oprogramowania ani bogaci biznesmeni nie włamują się w środku nocy ludziom do domów. Nie wiedzą, jak otworzyć zamek kartą kredytową. Nie noszą w kieszeni sprężynowych noży ani lateksowych rękawiczek.

Kim ty jesteś? - myślała, patrząc, jak Brad na paluszkach skrada się przez korytarz i przystaje pod zamkniętymi drzwiami sypialni pani Dennison. Kim ty jesteś?

- Idziesz? - odwrócił się do niej z ręką na gałce drzwi.

Jamie nawet nie drgnęła.

Brad przekręcił gałkę, popchnął skrzydło drzwi i wyciągnął rękę w jej kierunku.

Wzięła głęboki oddech i zmusiła się, żeby oderwać stopy od podłogi.

Wolniutko, krok za krokiem, weszła do sypialni teściowej.

Zapach perfum Laury Dennison momentalnie wypełnił jej nozdrza; ten okropny, przyprawiający o mdłości, zbyt intensywny zapach gardenii. Jak czyjś natrętny palec wepchnął się głęboko do gardła i Jamie odruchowo wstrzymała oddech, żeby nie zakasłać.

- Ciii... - upomniał ją Brad. Na palcach zakradł się do wielkiego łóżka z koronkowym baldachimem i spojrzał na leżącą na nim osobę.

Pani Dennison spoczywała na plecach, z głową zwróconą w lewą stronę, ale jej twarz ukryta była pod wielką, czarną maską, która zakrywała oczy i większą część czoła. Rudobrazowe włosy wydawały się dłuższe niż dawniej, a ich białe odrosty były widoczne nawet w ciemności. Jamie wpatrywała się w swoją byłą Nemezis, czując, jak na nowo wypełnia ją nienawiść i wstręt. Czy naprawdę było to dla ciebie takie trudne, żeby okazać mi choć odrobinę sympatii, pytała bezgłośnie? Czemu tak bardzo starałaś się utrudnić mi życie i uczynić je jeszcze bardziej godnym pożałowania?

- Paskudna stara wiedźma, co? - uśmiechnął się szyderczo Brad.

Na dźwięk jego głosu oczy Jamie rozszerzyły się ze strachu. Natychmiast podniosła palec do ust, żeby nakazać mu milczenie.

- Wszystko w porządku - oświadczył lekko, a jego przyodżniane w lateksowe rękawiczki palce powędrowały ku twarzy śpiącej kobiety. - Widzisz? Ona ma w uszach zatyczki.

- Co takiego?

- Zobacz sama.

Miał rację. W każdym uchu Laury Dennison tkwiła mała gąbeczka. Nic dziwnego, że nigdy nie miała kłopotów ze snem. Zamknięta między maską a zatyczkami, naprawdę mogła spać jak zabita. Boże, jak ja tobą gardzę, myślała Jamie, przytłoczona intensywnością własnych negatywnych uczuć.

- Jak sądzisz, czy ona sypia nago? - Brad już złapał na brzeg kołdry, którą pani Dennison otuliła ramiona.

- Brad, przestań!

- Tylko rzucę okiem.

- Proszę. Przecież ona może się w każdej chwili obudzić...

Ale się nie obudziła. Poruszyła się tylko, a jej prawe ramię leciutko drgnęło, kiedy Brad pociągnął w dół ciężką kołdrę, aż zjechała na klatkę piersiową.

- Ale laska - mruknął z pogardą na widok koszuli nocnej z długimi rękawami. - Chyba powinniśmy się cieszyć, że czymś okryła swoje wdzięki - zachichotał.

Jamie z konsternacją zauważyła, że sama zaczęła się śmiać razem z nim. Ty stara, obrzydliwa wiedźmo, pomyślała, bo nagle powróciły do niej wspomnienia z prawie dwóch lat nieustannych upokorzeń i afrontów. Przypomniała sobie, jak teściowa z trudem raczyła przełknąć dwa kęsy kolacji - w której przygotowanie Jamie włożyła mnóstwo starań i serca - a następnego ranka uskarżała się, że nawet ta odrobina przyprawiła ją o nagłą niestrawność; o tym, jak celowo „zapominała” przedstawiać synową różnym znajomym, których spotykały na mieście, kiedy Jamie zapraszała ją na lunch; o sposobie, w jaki patrzyła na Jamie za każdym razem, gdy w ogóle zechciała się do niej odezwać; o nieustannym pomniejszaniu roli Jamie w nowej rodzinie; o ciągłej walce o uwagę i uczucia syna; o coraz większej animozji, która znalazła swój finał w tamtą pamiętną, okropną noc.

Jamie potrząsnęła głową, żeby odegnać te niemiłe wspomnienia, ale aktorzy już zdążyli ustawić się na scenie i zaczęli odgrywać z góry ustalone role. Podczas którejs z swych nierozważnych i z góry skazanych na porażkę prób ratowania małżeństwa Jamie zaprosiła na kolację przyjaciół Marka - Boba i Sharon Lasky oraz Pam i Rona Hutchinsonów. Oczywiście, Mark przybył z opóźnieniem, bo najpierw musiał jak zwykle zajrzeć do matki.

- Przyniosłem wam prezent - oznajmił, wkraczając jak gdyby nigdy nic do ich mieszkanka. - Słynny placek cytrynowy z bezami, który zrobiła mama.

- Och, to mój ukochany deser! - zawołał z entuzjazmem Bob.

Jamie tylko się uśmiechnęła i odstawiła do zamrażarki ciasto z czekoladą, choć jego przygotowanie zajęło jej całe popołudnie. Niezależnie od wszystkiego była zdecydowana wyrazić uznanie dla talentów kulinarnych teściowej i w ten sposób udowodnić mężowi, że jego żona potrafi pójść na kompromis.

Po kolacji usiedli i rozmawiając, oglądali w telewizji wybory Miss America. W pewnej chwili Mark pozwolił sobie na jakieś głupie uwagi o tym, że chciałby się umówić na randkę z jedną z uczestniczek konkursu - otoczoną burzą włosów bojowniczkę

o pokój na świecie, z wydatnym tyłeczkiem, uroczymi dołeczkami w policzkach i o ustach wypełnionych ząbkami wielkości gumy do żucia marki Chiclet.

- Chyba sobie żartujesz - powiedziała Pam. - Na litość boską, o czym ty byś z nią rozmawiał?

Mark zrobił prawdziwie przerażoną minę.

- Ja wcale nie chcę z nią rozmawiać - wykrzyknął wśród salw śmiechu.

- Smakowała ci kolacja? - spytała później Jamie, kiedy wszyscy się rozeszli, a oni szykowali się do łóżka. Przygotowała na dzisiejszy wieczór kurczaka w sosie cumberland i wszyscy, nie wyłączając Marka, prosili o dokładkę.

- Była całkiem okay.

- Tylko okay?

- A co to, do jasnej cholery, konkurs wędkarski, czy co? Czekasz, żebym prawil ci komplementy?

- Chodzi mi wyłącznie o to, że nigdy niczego nie mówisz.

- Powiedziałem przecież, że kolacja była okay. Za to deser był wręcz fantastyczny - dodał, włączając do łóżka. Od razu owinął się prześcieradłem, co stanowiło czytelny sygnał, że nie ma ochoty na seks. - Nie zapomnij zadzwonić do mojej mamy i podziękować.

- Wiedziała, że upiekłam na dzisiaj ciasto czekoladowe.

- Co takiego?

- Rozmawiałam z nią rano i mówiłam, że wieczorem przychodzą goście i że na deser mam zamiar zrobić ciasto z czekoladą.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Że mama postąpiła tak umyślnie?

- Więc czemu zrobiła placek z bezami, skoro wiedziała, że ja właśnie przygotowuję co innego? - Jamie nie dała się zbić z tropu.

- Nie wiem. Może chciała być miła? A może wiedziała, że to ulubiony deser Boba? Albo po prostu doszła do wniosku, że możesz wszystko spieprzyć.

- Niczego nie spieprzyłam.

- Ty zawsze wszystko potrafisz spieprzyć.

- Mark, to nie fair!

- „To nie fair” - zaczął ją przedrzeźniać. - Czy ty masz pięć lat, czy co?

Chryste! Jamie, czy ty w ogóle wiesz, jakie głupoty wygadujesz?!

Poderwał się z łóżka i w samych bokserkach zaczął chodzić po pokoju tam i z powrotem. Ostatnio wkładał je każdego wieczora, co zapewne miało być kolejnym sygnałem, że nie jest zainteresowany uprawianiem miłości.

- Moja mama przygotowała dla nas znakomity deser. Większość ludzi przyjąłaby go z wdzięcznością jako niezwykle miły gest, a ty uważasz, że to jakiś akt sabotażu. Do diabła, ona robi co może, żeby być dla ciebie miła, a ty...

- Robi co może, żeby udowodnić, że ja do niczego się nie nadaję.

- Bo faktycznie do niczego się nie nadajesz! - wrzasnął Mark. - A oprócz tego jesteś niewdzięczną suką!

Jamie poczuła się tak, jakby wymierzył jej policzek. Łzy stanęły jej w oczach.

A potem było jeszcze więcej gorzkich słów, jeszcze więcej oskarżeń i jeszcze więcej łez. Aż wreszcie zapadła cisza. Skończyło się na tym, że Mark się ubrał, wrzucił do torby podróżnej trochę ciuchów i jak burza wypadł z mieszkania. Nawet nie muszę pytać, dokąd się wybiera, pomyślała Jamie. Położyła się i odpłynęła w niespokojny sen.

Godzinę później obudził ją odgłos otwieranego zamka.

- Mark? - zapytała z nadzieją, siadając na łóżku. Oczy miała tak zapuchnięte od płaczu, że ledwie cokolwiek widziała.

Do pokoju wkroczyła Laura Dennison i bez słowa wyjaśnienia włączyła górne światło.

- Przyszłam po moją biżuterię - oznajmiła, jakby to była najbardziej naturalna rzecz pod słońcem.

Jamie nie wierzyła własnym uszom. Chyba śnię, pomyślała i zaczęła się szczytać.

- Co?

- Po obrączkę, bransoletkę i kolczyki - wyjaśniła pani Dennison.

- To chyba może poczekać do rana.

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu, to wołałabym od razu załatwić tę sprawę.

- Owszem, mam.

- To są nasze rodzinne klejnoty. Podam cię do sądu, jeśli spróbujesz je zatrzymać.

Zesztywniała z gniewu, zmęczenia i niedowierzania Jamie wygramoliła się z łóżka i poszła do toaletki, po drodze ściągając z palca obrączkę. W milczeniu rzuciła ją na wyciągniętą dłoń teściowej, razem z bransoletką i kolczykami ze złota i pereł, które nosiła w uszach zaledwie kilka godzin temu. Owszem, mam coś przeciw temu, myślała z wściekłością, patrząc, jak teściowa chowa swoje skarby do torebki i wymaszerowuje z pokoju.

- Boże, jak ja jej nienawidzę - jęknęła teraz, z odrazą spoglądając na śpiącą kobietę. - Kolczyki są w toalecie - powiedziała do Brada. - W górnej szufladzie, w głębi.

18

Brad jednym zgrabnym ruchem przemierzył na ukos puszysty, biały dywan i zatrzymał się przy toalecie. Niczym zawodowy tancerz, zauważyła z podziwem Jamie. Jakby całe życie spędził na włamywaniu się do domów podczas snu właścicieli. I jakby przetrząsanie cudzych rzeczy, żeby zabrać to, co najcenniejsze, było czymś, co świetnie znał z własnego doświadczenia. Tak samo jak pracę w godzinach nocnych. On trochę za swobodnie się czuje w tej sytuacji, pomyślała, widząc, jak Brad bez wahania ujmuje ozdobną rączkę z brązu i wyciąga górną szufladę komody z polerowanego drewna, a następnie przegląda jej zawartość. Wczoraj wieczorem w Tifon równie łatwo zdecydował się na wyciągnięcie noża.

Oczy Jamie powoli zaczęły przyzwyczajać się do ciemności. Teraz bez trudu mogła rozpoznać nawet najdrobniejsze szczegóły wyposażenia pokoju: niezliczenie wiele szklanych flakoników z perfumami, ustawionych w rzędzie na górze toaletki, wytłaczany na srebrno tytuł książki w miękkiej oprawie, która leżała na nocnym stoliku, małe pęknięcie w jasnoniebieskiej tapecie pomiędzy framugą drzwi a sufitem. Chociaż możliwe, że ten ostatni szczegół po prostu przywołała z pamięci, choć akurat tego nie mogła być pewna, bo przecież z całych sił usiłowała pozbyć się wspomnień wyniesionych z tego domu.

A teraz znów się tutaj znalazła, w samym środku tego wszystkiego.

I czego jeszcze? W co jeszcze wpakowała się przez własną głupotę?

Obok niej teściowa poruszyła się i cicho sapnęła przez otwarte usta. Przez sekundę Jamie ogarnął strach, że zaraz się obudzi, że jakiś impuls nakazał jej ocknąć się w środku nocy. Ale Laura Dennison tylko przekręciła się na lewy bok, prawą ręką odruchowo sięgając po kołdrę, żeby nakryć ramiona. Co należy zrobić, gdyby się teraz obudziła? Zresztą, może wcale nie śpi. Może tylko udaje, żeby ich nabrać.

- Miałabyś ochotę ją zabić, co? - odezwał się stojący przy komodzie Brad. Pełnymi garściami wyciągał z szuflady intymną garderobę właścicielki, miękkie koszulki przelewały mu się przez palce.

- Co?! Nie! Oczywiście, że nie! - Na czoło Jamie wystąpiły perliste krople potu, jakby nagle dostała gorączki. Nieoczekiwanie przypomniała sobie o sprężynowym nożu, który Brad miał w kieszeni.

- Gówno prawda! - parsknął z rozbawieniem. - Złotko, to jest wypisane na twojej twarzy. Nawet po ciemku widać w twoich oczach nienawiść do tej paniusi.

Znów się zaśmiał, choć tym razem zrobił to bezgłośnie.

Już miała zaprotestować, ale nagle coś ją powstrzymało. Dotarło do niej, że Brad miał stuprocentową rację. Z całego serca nienawidziła Laury Dennison.

- Wiesz, teraz masz okazję to zrobić - mówił dalej, a jego głos zmienił się w uwodzicielski szept. - Wystarczy, że weźmiesz tę poduszkę, która leży obok, przyciśniesz do jej twarzy i przytrzymasz przez parę minut. To naprawdę nic trudnego.

Jamie wpatrywała się w byłą teściową. Czy Brad rzeczywiście próbował zachęcić ją do popełnienia morderstwa? Czy naprawdę był gotów poderżnąć gardło tamtemu chłopcu? Nie bądź śmieszna, powiedziała do siebie i zmusiła się, żeby wyrzucić z głowy tę dokuczliwą myśl.

- Bierz te kolczyki i wynośmy się stąd.

Brad upuścił kłębek majteczek i staników na wierzch komody, i dalej przeszukiwał szufladę.

- Niczego tu nie ma - oznajmił po chwili.

- Nie ma szkatułki z biżuterią?

- Chodź i sprawdź sama.

Jamie na paluszkach podkradła się ku niemu, wiedząc, zanim jeszcze zajrzała do szuflady, że niczego tam nie znajdzie.

- Musiała schować gdzie indziej - mruknęła, a jej nienawiść do śpiącej kobiety jeszcze się zwiększyła. Nigdy niczego mi nie ułatwiałaś, prawda, pytała w myślach, jednocześnie wkładając bieliznę na miejsce. Po cichu przejrzała drugą szufladę, a następnie trzecią, ale rezultat wciąż był ten sam.

- Okay, niczego nie znalazłam. Idziemy.

- Nie, to musi gdzieś tu być. Jak myślisz, gdzie mogła to wsadzić?

- Nie mam pojęcia. Serce mi wali, w głowie mi się kręci. Chyba za chwilę zacznę rzygać. - Jamie zaszczękała zębami, jakby dopiero teraz z całą ostrością zdała sobie sprawę ze swojego położenia. Za długo tu jesteś, ostrzegало ją własne ciało. Wystawiasz na próbę swoje szczęście, wyzywasz los.

Wynoś się stąd, dopóki jeszcze możesz.

Ramiona Brada natychmiast zamknęły ją w ciasnym uścisku. W uchu słyszała jego miękki szept, który prosił ją, żeby się uspokoiła, kilka razy odetchnęła głęboko i wzięła się w garść.

- Chyba będę rzygać - powtórzyła z mocą, bo czuła, jak w gardle rośnie jej kłęb waty. Wyrwała się z objęć Brada i popędziła do przylegającej do sypialni łazienki, dokładnie zamykając za sobą drzwi. Pstryknięciem włączyła światło i natychmiast musiała zamknąć oczy, bo oślepił ją blask ośmiu punktowych żaróweczek na obramowaniu wysokiego, prostokątnego lustra, umieszczonego nad umywalką.

- O, mój Boże... - powiedziała do przerażonej, młodej kobiety zamkniętej w klatce ze szkła, łapiąc haustami oddech. - Co ty wyrabiasz, do jasnej cholery!

I wtedy ją zobaczyła. Szkatułkę z czerwonej emalii inkrustowanej kością słoniową, w której mieściły się tak zwane rodowe klejnoty. Najspokojniej w świecie stała sobie po prawej stronie na blacie obok umywalki, pomiędzy licznymi słoiczkami z kremami przeciwzmarszczkowymi i drogimi balsamami do nawilżania skóry. Obok niej, niczym żołnierz na warcie, sterczał duży lakier do włosów w sprayu, a dalej okrągła, szklana beczułka z bawełnianymi wacikami. Imponująca kolekcja tuszów, podkładów, szminek i cieni do powiek zajmowała całą wolną powierzchnię na blacie po drugiej stronie umywalki. Nieźle, jak na kobietę, która potrafiła mnie krytykować

za zbyt grube nałożenie tuszu, wyszeptła Jamie ze złością, a strach, że zostanie przyłapana na gorącym uczynku, nagle gdzieś się ulotnił. Uchyliła odrobinę drzwi do sypialni, krzywiąc się na widok strumienia światła, który jak ostrze noża przeciął na pół twarz pani Dennison.

- Brad... - szepnęła. - To jest tutaj. Nie było żadnej odpowiedzi.

Jamie wślizgnęła się do sypialni i zamknęła za sobą drzwi. Jej wzrok szybko przystosował się do ciemności.

- Brad?

Gdzie on się schował? Przygotowała się psychicznie na to, że zaraz wyskoczy z jakiegoś kąta niczym diabełek z pudełka, żeby ją nastraszyć, i na wszelki wypadek zakryła rękoma uszy. Ale nikt na nią nie wyskoczył, a jedynym dźwiękiem, jaki rozchodził się po pokoju, był miarowy oddech pani Dennison.

Gdzie on mógł być?

Usłyszała jakiś hałas i zamarła, obawiając się, że to pani Dennison wstała i teraz skrada się za jej plecami.

Wielki Boże, co miałyby jej powiedzieć? Jak wytłumaczyć, co robi w jej domu o tej porze? Zerknęła przez ramię, ale była teściowa nadal spała kamiennym snem. Jamie obróciła się na pięcie dokładnie w chwili, gdy Brad pojawił się na progu sypialni.

- Gdzieś ty był? - obrugła go wściekłym szeptem.

- Ciii... - ostrzegł i wsunął się do środka, badawczym wzrokiem obrzucając spoczywającą na łóżku postać.

- Dokąd poszedłeś?

Wzruszył ramionami, wyciągając zza pleców potężny świecznik z brązu.

- Pomyślałem, że możemy zrobić jej kawał.

- Kawał? O czym ty bredzisz? Postawił świecznik na komodzie.

- Zupełnie zgłupieje, jak się obudzi i to zobaczy.

- Tak, ale wtedy będzie wiedziała na pewno, że ktoś tu był. A potem przekona się, że zginęły kolczyki.

- Znalazłaś je? - zainteresował się natychmiast i uśmiechnął niecierpliwie.

Jamie wskazała podbródkiem w stronę łazienki.

- Tam? - Już szedł w tamtym kierunku i otwierał drzwi.

Ostre światło zalało całą sypialnię.

- Brad, na litość boską, zamknij te drzwi!

- Przestań się martwić - uspokoił ją. - Ona śpi jak zabita. Gdzie te kolczyki?

Jamie pospieszyła do łazienki. Starannie zamknęła drzwi, a potem wzięła z blatu szkatułkę i podniosła jej wieko.

- O kurczę - gwizdnął z podziwem. - Ładny widok, nie? - dorzucił z południowym akcentem.

„Ładny widok, nie?“, pomyślała z niedowierzaniem, zdumiona, kiedy zwyczajny południowiec zastąpił wyrafinowanego programistę, z którym wyruszyła w tę szaloną podróż. Siłą woli zmusiła się, żeby popatrzeć na małą, ale imponującą kolekcję, jaką kryła szkatułka. Kilka złotych bransolet, delikatny naszyjnik w kształcie kwiatów, wykonany z małych diamentów, pierścioneł z szafirami, para brylantowych spineł do mankietów, kilka bransoletek ze srebra, złote kolczyki z perłami, szeroka, zabytkowa obrączka z masywnego złota. Moja obrączka, pomyślała ku swemu zadziwieniu. I moje kolczyki.

- Weź je - powiedział Brad, jakby jej myśli były wypisane na jej czole wielkimi, fluorescencyjnymi literami. - Są przecież twoje.

Drżącymi palcami wyłuskała te dwie rzeczy, po czym odstawiła szkatułkę na miejsce. Na litość boską, na co się odważyła?

- A teraz je załóż - polecił.

Jamie odgarnęła włosy, przecisnęła najpierw jeden, a potem drugi kolczyk przez małe dziurki w płatkach uszu, a następnie spojrzała w lustro, żeby podziwiać efekt.

- Są znów tam, gdzie zawsze powinny być - oświadczył Brad, a ona mimo woli uśmiechnęła się, słysząc jego słowa.

Miał rację. Kolczyki rzeczywiście znalazły się znów na właściwym miejscu. Ostatecznie zapłaciła za nie dwoma latami życia. Zasłużyła, żeby je nosić.

- Bardzo ci w nich ładnie - podsunął się z tyłu i oplatając ją ramionami, złożył na szyi gorący pocałunek. - Wyglądasz po prostu prześlicznie.

Masz rację, faktycznie wyglądam przepięknie, pomyślała. Smutna, mała dziewczynka, która nosiła je jak przygniatający swym ciężarem welon, zniknęła bezpowrotnie. Na jej miejscu stała młoda, pewna siebie kobieta, a złoto i perły dodawały jej urody.

- Powinniśmy się stąd zbierać.
- Chyba nie masz zamiaru zostawiać reszty brylantów, co?
- One nigdy nie były moje - wyjaśniła Jamie.
- Ale teraz już są. - Upuścił w jej dłonie parę brylantowych zapinek.
- Nie. Nie mogę. Nie chcę ich mieć.
- Na pewno chcesz.

Zimne kamienie paliły jej dłonie dziwnym ogniem. Czowała, jak wypalają na skórze małe dziurki, zupełnie jakby to były krople kwasu. Szybko wrzuciła je z powrotem do szkatułki.

- Nie, nie chcę. Proszę cię, chodźmy stąd. Brad wzruszył ramionami.
- Okay. Jeśli jesteś pewna...
- Jestem.

Ruszyła w stronę wyjścia z sypialni. Po drodze obejrzała się - akurat w chwili, gdy Brad pakował coś do kieszeni dzinsów. Pospiesznie wyłączyła światło, żeby nie widzieć nic więcej.

- Dobrej nocy, pani Dennison - szepnął Brad, przechodząc obok łóżka. - Śpij smacznie, ty stara wiedźmo.

Zupełnie jakby mój gniew stał się jego gniewem, pomyślała Jamie. I doszła do wniosku, że w innych okolicznościach to by jej w pewien sposób pochlebiało. Wysunęła się na korytarz. Strach, który dotąd ścisnął jej wnętrzności, ustąpił miejsca uldze, i wreszcie mogła swobodnie odetchnąć. Jeszcze minuta i wyjdą stąd na zawsze. Będą mogli zapomnieć o tym incydencie godnym Bonnie i Clyde'a, i znów zacząć żyć jak normalni ludzie, którymi byli jeszcze całkiem niedawno.

Tylko kim byli naprawdę?

Kim była ona?

- Pokaż mi swój stary pokój - powiedział nagle Brad. Na dźwięk jego głosu podskoczyła, jakby ktoś wylał na nią szklanek zimnej wody.

- Co takiego?!

- Pokaż mi swój stary pokój - powtórzył, ciągnąc ją za ramię.

- Nie. Lepiej się stąd wynośmy.

- Nigdzie nie idę, dopóki nie pokażesz mi, gdzie kiedyś mieszkałaś.

Z impetem klapnął na środku wykładanego brązowym chodnikiem korytarza i skrzyżował nogi.

- Co ty wyrabiasz?! Wstawaj, na litość boską!

- Nie, dopóki mi nie obiecasz, że zaprowadzisz mnie do swojego pokoju.

- To przecież tylko zwykły pokój - upierała się, ale kiedy stało się jasne, że Brad nie ma zamiaru się ruszyć, z niechęcią ustąpiła. - No dobrze. Chodź, pokażę ci.

Natychmiast zerwał się na równe nogi i uśmiechając od ucha do ucha, poszedł za nią w głąb korytarza.

Dla niego to wspaniała zabawa, uświadomiła sobie Jamie. Na pierwszy rzut oka widać, że sprawia mu to wielką frajdę.

- Czy ty naprawdę uważasz, że to jest przyjemne? - spytała z niedowierzaniem, zatrzymując się przed drzwiami swojej dawnej sypialni.

- A ty nie? - Bez wahania wszedł do pokoju.

- Wręcz przeciwnie. Marzę o tym, żeby jak najszybciej stąd zwać.

- Chodź, Jamie. To naprawdę ekscytujące, musisz przyznać.

Chwycił ją za rękę i wciągnął do środka, zatrzymując się w nogach szerokiego łóżka.

- Czy właśnie tutaj to robiłaś? - Skoczył na narzutę w brązowo-czarne wzory i zaczął się huścić.

Jamie z pewnością wybuchnęłyby śmiechem, gdyby nie była aż tak spięta.

- Tak, tutaj. - Omiatała spojrzeniem swój pokój. Właściwie typowo chłopięcy pokój, pomyślała. Ciemne, ciężkie meble, ściany w nudnym, beżowym kolorze, nieco ciemniejszy dywanik z długim włosiem, nowoczesny zestaw stereo w jednym kącie i wielki telewizor z płaskim ekranem ustawiony naprzeciw łóżka. Żadnych falbanek ani typowo kobiecych dodatków. Kiedyś próbowała ocieplić wygląd tego pokoju, kupując reprodukcję Klimta, którą dostrzegła w jakimś sklepie z plakatami.

Chociaż formalnie nigdy nie zajmowała się malarstwem, uważała, że z tego obrazka przedstawiającego młodą parę emanowała zarówno namiętność, jak i czułość, i miała nadzieję, że coś z tej atmosfery stanie się inspiracją dla jej małżeństwa. Po powrocie do domu powiesiła go tuż nad łóżkiem.

- Jest piękny, prawda? - zapytała męża.

Bez słowa skinął głową, ale następnego dnia plakat gdzieś zniknął.

- Chodź, usiądź obok mnie - usłyszała miękki szept Brada.

Potrząsnęła głową. Teraz chciała jedynie stąd wyjść. Widok tego pokoju na nowo obudził w niej niechciane wspomnienia - o nocach, kiedy w ciemności wyciągała ręce do swojego męża tylko po to, by zostać odepchniętą; kiedy płakała w poduszkę tak długo, aż wreszcie zmorzył ją sen; kiedy budziła się rano i okazywało się, że on tymczasem zdążył już zjeść śniadanie z mamusią... Czy naprawdę nie zasługiwała na odrobinę miłości, na nawet najmniejszy objaw jakiegoś cieplejszego uczucia?

Brad wygładził miejsce obok siebie.

- No chodź. Usiądź tu.

Jej oczy napęłniły się łzami. Bez trudu pozwoliła się uwieść czulej słodczy, jaka zabrzmiała teraz w jego głosie. Opadła na łóżko obok niego, rozkoszując się dotykiem obejmujących ją ramion. Brad przyciągnął ją bliżej, złożył na czole lekki pocałunek i kołysał w dłoniach jej dłoń.

- Biedna Jamie... - szepnął, gdy ukryła twarz na jego piersi, a łzy zaczęły wsiąkać w ciemny materiał T-shirta. - Moja biedna, mała dziewczynka...

Całował teraz jej włosy i skronie, jej czoło i powieki, potem zsunął się na policzki, nos i wreszcie dotarł do ust. Jego pocałunki stawały się coraz bardziej natarczywe, namiętne, a ręce zaczęły pieścić piersi. Na litość boską, co on robił?! Co ona robiła?!

- Brad, nie! Przestań.

- Wszystko jest okay, Jamie. Odpręż się.

- Nie. Co ty robisz?

- Świetnie wiesz, co robię. - Jedną ręką powędrowała między jej nogi.

- Nie. Przestań.

- Dlaczego? Dlaczego?
- Bo to nie w porządku.
- Moim zdaniem jak najbardziej!

Próbowała go odepchnąć, ale jego ramiona opasywały ją niczym pędy dzikiej winorośli i więziły na miejscu, a język zachowywał się jak natrętny owad, którego nie była w stanie odpędzić.

- Nie możemy tego zrobić.
- Oczywiście, że możemy.
- Nie. A jeśli ona usłyszy? Jeśli się obudzi?
- Nic nie usłyszy, oczywiście jeśli przestaniesz robić tyle hałasu. - Brad zdążył już podciągnąć do góry jej bluzkę i teraz zabrał się do majteczek.

- Przestań!

- Opowiedz mi, Jamie, co robiłaś z nim w tym łóżku. - Całkowicie ignorował jej opór.

- To mi się wcale nie podoba. Chcę, żebyś przestał.
- Nieprawda, wcale nie chcesz. To podoba ci się tak samo jak mnie. - Popchnął ją na plecy, wdrapał się na nią i przytrzymał jej rękę. - Powiedz mi, czy obciągałaś mu fiuta?

Jamie tylko pokręciła głową, rozdarta pomiędzy pragnieniem, by krzyknąć, i chęcią zemdlenia. Wielki Boże, jak to się stało, że wpakowała się w takie tarapaty? Błagam, pozwól mi stąd wyjść cało, modliła się w myślach. Przysięgam, że już nigdy nie zrobię nic głupiego.

- Powiedz mi, czy obciągałaś mu fiuta? - powtórzył. Podniósł jej koszulkę powyżej piersi i zaczął całować sutki.
- Obciągałam - powiedziała głucho, w nadziei, że to mu wystarczy i pozwoli jej się wymknąć.

Dotyk języka na nagiej skórze wywoływał w niej fale mdłości; po raz drugi tego wieczoru miała wrażenie, że zaraz zacznie rzygać.

- A on lubił, jak to robiłaś?
- Nie sędzę. Chyba nie.

- Ale ty lubiłaś to robić, co? - Jednym ruchem rozpiął zamek błyskawiczny w dżinsach Jamie, zsunął je z pośladków i nieoczekiwanie zanurzył kilka palców we wnętrzu jej ciała. Zabolęło jak diabli. Krzyknęła.

- Ciii... - ostrzegł ją, wsuwając palce jeszcze głębiej. - Lubisz tak, prawda?

- Nie, wcale nie - odpowiedziała zgodnie z prawdą i zaczęła płakać.

- Na pewno lubisz. Wiem, że lubisz. Lubisz przecież ostry i mocny seks, nie?

- Nie, nie! Proszę cię, przestań!

Usłyszała odgłos rozpinanego suwaka i poczuła, jak on ściąga z siebie ubranie.

- Lubisz być w niebezpieczeństwie, przyznaj się. Podobało ci się zeszłej nocy na tym parkingu, co? To, jak patrzyli na ciebie tamci chłopcy. - Wyszarpnął z niej rękę tylko po to, żeby wepchnąć penis na jej miejsce. Brutalnie poruszał się w środku jej ciała, cały czas szepcząc do ucha:

- Lubisz bać się, że zaraz cię ktoś nakryje. Chcesz pieprzyć się w tym łóżku, zostawiać wszędzie swój zapach, swoje soki... Wyobraź sobie, jak jutro ta stara wiedźma wejdzie tutaj, pociągnie kilka razy nosem i powie: „Co tu tak pachnie?” - Zaśmiał się. - Hej, Jamie kochanie! - zawołał, nie przestając jej ujeżdżać („Oszczędź konia, dosiądź kowboja”, pomyślała, wylewając nowe potoki łez). - Jak myślisz, czy ona jeszcze pamięta, jak pachnie seks?

Jamie odwróciła głowę na bok, zamknęła oczy i próbowała udawać, że jest gdzieś na plaży, zagrzebana po szyję w piasku i od szyi w dół pozbawiona czucia. Jednak za każdym razem, gdy usiłowała się przekonać, że to, co się dzieje, nie może mieć nic wspólnego z rzeczywistością, Brad przyspieszał tempo ruchów i ich gwałtowność, i znów musiała stawić czoło prawdzie, że oto znajduje się w domu byłej teściowej, w łóżku eksmęża, gwałcona przez mężczyznę, z którym z własnej i nieprzymuszonej woli uciekła zaledwie kilka dni wcześniej; przez mężczyznę, z którym uprawiała seks w każdej możliwej pozycji i w każdym możliwym miejscu, i o którym myślała, że może być w nim zakochana. Wszystko to byłoby bardzo śmieszne, gdyby nie było tak żałosne. Tak cholernie żałosne, pomyślała, kiedy jego usta znów powróciły do jej piersi. W pewnej chwili poczuła, jak Brad gryzie ją w sutek, więc krzyknęła z bólu.

- Gotowa? - spytał, jakby wziął jej krzyk za objaw namiętności, a nie cierpienia.

Czy to możliwe? Czyżby naprawdę sądził, że sprawia jej przyjemność?

Wstrzymała oddech, bo Brad nagle zsunął się z niej i przekręcił na brzuch, a następnie rękami rozsunął jej pośladki i gwałtownie wepchnął się w odbyty, na siłę drażąc sobie tunel przez całe ciało aż do serca. Czowała się tak, jakby ktoś rozdzierał ją na dwoje, jakby wewnątrz niej nagle zapalono pochodnię, a ogień pędził w górę, paląc na popiół wszystko, co napotkał na drodze. Ból stał się wręcz niewyobrażalny. Odruchowo wepchnęła do ust róg narzuty i zaczęła zaciskać na niej zęby, żeby uciszyć własny krzyk.

Nagle opadł na nią całym ciężarem i usłyszała jego śmiech, pełen zadowolenia i satysfakcji.

- To wszystko twoja wina, bo masz taki wspaniały tyłek - oznajmił. Wsunął się z niej i dla żartu klepnął po pośladku, ale dotyk jego palców odebrała jak smagnięcie biczem. Z jej piersi wyrwało się żalosne skomlenie.

- Hej, dobrze się czujesz? Nie wiedziałem, że wkraczam na dziewiczy teren.

Nie odezwała się ani słowem. Leżała na brązowo-czarnej narzucie, niezdolna do wykonania najłżejszego ruchu.

- Wiesz przecież, że to twoja wina, co? To dlatego, że jesteś tak cholernie seksowna - ciągnął, zapinając rozporek i wygładzając na sobie ubranie. - Przez ciebie zupełnie tracę głowę, wiesz o tym?

To wszystko moja wina, powtórzyła w duchu Jamie.

- No, zbieraj się, dziewczynko. Lepiej już wstań i się ubierz. Chyba zbyt długo tu siedzimy.

Walczyła z całych sił, żeby się podnieść, ale kiedy zdołała zwlec się z łóżka, nogi całkiem odmówiły jej posłuszeństwa. Zwalila się na dywan, jakby nagle tknął ją paraliż.

- O Boże!

- Ostrożnie, kochanie! Chyba nie chcesz zakrwawić całego dywanu?!

Krew, pomyślała. Więc ja krwawię?

- Umyjemy się, jak dotrzemy do motelu - powiedział, podnosząc ją z podłogi. Zgrabnie wciągnął dzinsy na jej biodra i zasunął suwak, bo jej palce stanowczo odmówiły współpracy.

- No chodź wreszcie. Najwyższy czas się stąd wynosić.

Byli już w połowie schodów, gdy z góry dobiegły odgłosy czyichś kroków. W pokoju pani Dennison paliło się światło.

- O Boże!

- Mark, czy to ty? - zawołała ostrożnie Laura Dennison, przekreślając włącznik na korytarzu dokładnie wtedy, gdy Brad i Jamie stali już na ostatnim stopniu.

- Jamie? - dodała z niedowierzaniem.

Jamie zamarła. Miała wrażenie, że jakaś gigantyczna sieć nagle opadła na jej głowę.

- Jamie, to ty?

- Wiejemy stąd - wrzasnął Brad i ten wrzask zmobilizował Jamie do działania.

Jednym szarpnięciem otworzyła frontowe drzwi i pomknęła w noc, nawet na moment nie zatrzymując się ani nie oglądając za siebie.

Spostrzegła, że Brada nie ma obok dopiero wówczas, kiedy wymiotowała na chodnik obok swojego samochodu. Zdążyła podnieść głowę dokładnie w chwili, gdy w sypialni Laury Dennison zgasło światło.

19

Emma w pierwszej chwili nie mogła się zdecydować, co począć ze swoją nieoczekiwane odzyskaną wolnością. Ile to czasu minęło od chwili, gdy ostatni raz miała dla siebie całą niedzielę... Na początku, kiedy Lily zaproponowała, że zabierze obydwu chłopców na cały dzień - najpierw śniadanie w International House of Pancakes, potem wizyta w Art Institute, następnie lunch w McDonalddie i w końcu wypad do kina - Emma wyraziła sprzeciw. Nie lubiła fast foodów prawie tak samo jak galerii malarstwa, a niewyraźny, lecz uporczywy ból gdzieś u podstawy czaszki sprawiał, że sama idea siedzenia w kinie w towarzystwie hałaśliwych pięciolatek wydawała się mniej niż kusząca. Jednakże jak mogła odmówić, kiedy Dylan patrzył na nią tymi swoimi wielkimi oczyma, w których kryła się tęsknota za taką wyprawą, a Lily uśmiechała się najśladszym z uśmiechów?

- Chodzi o to, że mam strasznie dużo do zrobienia - mruknęła, kiedy rysy Dylana ściągnęły się, a w oczach pojawiły łzy rozczarowania. Nie wspominając o

poważnym braku gotówki, dodała po cichu. Sama myśl o tym, że miałyby zmarnować te niewielkie pieniądze, jakie posiadała, na coś, co nie sprawiłoby jej najmniejszej przyjemności...

- Och, ty wcale nie musisz z nami iść - powiedziała Lily z ożywieniem, jakby spodziewała się ze strony Emmy takiej właśnie reakcji. - Pozwól, że sama pójde z chłopcami. Ja stawiam.

- Nie, na to absolutnie nie mogę się zgodzić. - Ten protest zabrzmiał słabo i nieszczerze nawet w jej własnych uszach.

- Oczywiście, że możesz. Ostatecznie opiekowałaś się Michaeliem przez całą zeszłą noc. Dziś moja kolej.

- No cóż, jeśli nie sprawi ci to zbyt wielkiego kłopotu...

- Mamusiu, ale ja chcę, żebyś ty też poszła - zapiszczał Dylan.

- Naprawdę nie mogę, kochanie. Mam strasznie dużo roboty.

- A co musisz zrobić?

- Och, mnóstwo rzeczy, skarbie. - Uklękła obok syna. - Teraz decyzja należy do ciebie. Możesz spędzić cały dzień z Michaeliem i jego mamą, pójść do kina i trochę się pobawić w różnych miejscach, albo zostać ze mną, ale pamiętaj, że ja muszę pozalaćwać różne sprawy, a to z pewnością będzie trochę nudne. Zdecyduj sam.

Ostatecznie wybór wydaje się oczywisty, pomyślała z nadzieją, że Dylan też tak to odbiera.

- Ale ja chcę, żebyś ty też poszła - powtórzył z uporem, jakby wcale nie słyszał jej słów.

- Nie ma takiej opcji, kochanie.

- A co to jest opcja?

- To znaczy, że albo możesz pójść z Michaeliem i Lily, albo siedzieć w domu ze mną.

Dylanowi stanowczo nie spodobała się jej wersja słowa „opcja”, przez następne pięć minut krążyli dookoła tego tematu, ale ostatecznie podjął jedyną sensowną decyzję i wyszedł razem z Lily i jej synem na śniadanie w International House of Pancakes.

- Odprowadzę go do domu około piątej - obiecała Lily, podczas gdy Emma patrzyła, jak syn ze swoim nowym przyjacielem odchodzi w dół ulicy.

Sama się zdziwiła, że tak łatwo - a nawet chętnie - zgodziła się wypuścić Dylana z domu, biorąc pod uwagę, jak bardzo go pilnowała podczas ostatniego roku. Jednak Lily była tak miła i tak odpowiedzialna, że nie wyobrażała sobie, by pod jej opieką coś złego mogło przytrafić się synkowi. Lily będzie go pilnowała równie gorliwie jak własnego syna, myślała, nieco oszołomiona perspektywą, że następnymi osiem godzin spędzi wyłącznie we własnym towarzystwie.

Niewiele później, stojąc pod prysznicem w potoku ciepłej wody, uświadomiła sobie, że nawet nie zapytała Lily, jak udała się wczorajsza randka. Chociaż właściwie wcale nie musiała tego robić, bo Lily wręcz promieniała, kiedy zjawiła się na progu jej domu o ósmej rano; najwyraźniej wszystko poszło świetnie. Po prostu później powie jej, że nie chciała pytać przy dzieciach. Może Lily będzie miała dla niej parę pikantnych detali, mimo że fakt, że przyszła tak wcześnie rano prawdopodobnie oznaczał, że detektyw nie spędził u niej całej nocy. Przełknęła dwie pastylki exceedryny i wytarła parę z lustra.

- Wyglądam wręcz okropnie - powiedziała.

Odbicie potwierdziło jej słowa. Ile czasu upłynęło od chwili, kiedy ostatni raz byłaś u jakiegoś przyzwoitego fryzjera, spytała z wyrzutem twarz w lustrze?

Oczywiście wyobraźni ujrzała nowy salon fryzjerski, który ostatnio otwarto w tym samym kompleksie handlowym, gdzie mieściła się siłownia Scully. Przechodziła obok niego następnego dnia. Jak on się nazywa? U Nan? Nancy? Nadine? U Natalie, przypominała sobie, przywołując z pamięci olbrzymi, biały plakat wywieszony w niewielkim, frontowym oknie, który dumnie obwieszczał, że salon rozpoczyna działalność i że będzie otwarty także w niedziele - choć tylko od dziesiątej do piątej po południu. Zaczęła się zastanawiać, ile Natalie bierze za zwykłe strzyżenie.

- Zresztą to i tak nie ma znaczenia. Nie mogę sobie pozwolić na takie ekstrawagancje, niezależnie od tego, ile to kosztuje.

Oczywiście, że możesz, sprzeciwiło się odbicie. Kiedy ostatnio pozwoliłaś sobie na jakąkolwiek przyjemność?

- Bardzo dawno - odpowiedziała głośno, pociągając za niesforne kosmyki. Zdecydowała, że przejdzie się do centrum handlowego zaraz, jak tylko ból głowy nieco zelżeje. Najpierw zajrzy do fryzjera, żeby zasięgnąć porady stylisty i obciąć włosy, a potem może wybierze się na zakupy. Do diabła, miała przed sobą osiem godzin wolnego i mogła już zacząć robić z nich użytek.

W salonie panował zdumiewająco duży ruch jak na niedzielny poranek. Natalie miała wypełniony czas aż do południa, więc Emma musiała zadowolić się fryzjerką o imieniu Christy, chociaż Christy wydawała się bardziej cierpieć z powodu kaca niż ona sama. Może zresztą chodziło o głośną muzykę reggae, pomyślała Emma, kiedy Christy prowadziła ją do umywalek zainstalowanych na końcu salonu. Christy była wychudzoną, młodą kobietą, ubraną w bluzkę w żółto-czarne pasy, czarną minispódniczkę, żółte rajstopy i ciężkie, czarne buciory. Wygląda jak gigantyczna pszczoła, uznała Emma, sadowiac się na krześle przy stanowisku Christy, podczas gdy fryzjerka zarzucała jej na ramiona czarną pelerynę i przesuwiała grzebieniem po świeżo umytych włosach. Żółto-czarny motyw powtarzał się nawet w obciętych na pazia włosach Christy, ufarbowanych na ciemnożółto, przy ich nasadzie widniały ciemne odrosty o długości jednego cala; taki sam układ kolorów występował w musztardowożółtym pierścieniu, który złowróbnym kręgiem otaczał lewe oko fryzjerki.

- Potknęłam się i upadłam - oznajmiła Christy, zanim Emma zdążyła o cokolwiek zapytać. - Oczywiście nikt mi nie wierzy - dodała natychmiast. - Wszyscy przypuszczają, że to mój chłopak podbił mi oko, chociaż Randy jest najmiłszym facetem pod słońcem, możesz mi wierzyć. Nie skrzywdziłby nawet muchy. Ale żebyś wiedziała, jak ludzie mu się przyglądają, kiedy idziemy razem... Pewnie byś nie uwierzyła. To nawet do pewnego stopnia zabawne, ale także dość krepujące. Chyba powinnam nosić tabliczkę z napisem „On tego nie zrobił” i strzałką skierowaną w stronę Randy'ego. No wiesz, jak na tych T-shirtach z napisami „Jestem z idiotką”. Nic nie poradzę, że on wygląda jak zapaśnik.

- Mnie też się kiedyś przytrafiło coś podobnego. - Emma dobrowolnie zdecydowała się co nieco o sobie powiedzieć. - Potknęłam się o zabawkę mojego

dziecka i z całej siły rąbnęłam o drzwi do kuchni... Oczywiście wszyscy obwiniali o to mojego byłego męża.

- Ach, więc jesteś rozwódką. - Christy rozczesywała długie do ramion ciemne włosy Emmy i przyglądała się uważnie jej odbiciu w lustrze. Wyciągnęła rękę i chwytając za podbródek, przekreśliła głowę Emmy najpierw w prawo, a następnie w lewo.

- Od roku.

- Tak? Ja nigdy nie byłam mężatką. To znaczy uznałam, że nie ma po co zawracać sobie głowy. To przecież tylko kawałek papieru. I po co to całe zamieszanie o to, że geje chcą zawierać związki małżeńskie? Ja mówię: jeśli chcą, niech sobie zawierają. Zobaczysz, niedługo oni będą jedynymi ludźmi, którzy w ogóle będą mieli ochotę, żeby się pobierać. Myślałaś o czymś konkretnym?

Upłynęło kilka sekund, nim Emma się zorientowała, że Christy ma na myśli jej fryzurę.

- Sama nie wiem... Może trochę skrócimy od spodu?

- Moim zdaniem, trzeba wyciąć także po bokach. Żeby nadać głowie jakiś kształt. Na razie twoje włosy trochę za bardzo przypominają uszy cocker spaniela.

Emma poczuła, że cała sztywnieje. Więc jej włosy przypominają uszy cocker spaniela, tak? I kto to mówi - kobieta, która wygląda jak pszczoła?

- Rób, jak uważasz.

- Och, uwielbiam, kiedy ludzie tak mówią. - Christy zaczęła czesać włosy Emmy ze znacznie większym ożywieniem i determinacją. - A tak w ogóle, co robisz?

Emma przebiegła w myślach listę swoich ulubionych zawodów. Mogła być kimkolwiek zapragnęła. Lekarką, prawniczką, policyjnym detektywem w spódnicy... Kimkolwiek, byle nie takim nieudacznikiem, jakim naprawdę była.

- Jestem pisarką.

Z pewnością Lily nie miałyby nic przeciwko temu, żeby Emma pożyczyła sobie na pół godziny jej tożsamość. Może nawet by jej to pochlebiło.

- Naprawdę? To super! A jakie rzeczy pisujesz?

- Krótkie opowiadania, artykuły do czasopism... Aktualnie pracuję nad powieścią.

- To wspaniale. Naprawdę podziwiam ludzi, którzy mają taki talent. - Raz za razem zaczęła ciachać zmierzwiłone włosy Emmy. - A skąd bierzesz pomysły?

Emma westchnęła. Jak to jest, że ludzie nigdy nie czują się usatysfakcjonowani tym, co usłyszeli, tylko zawsze potrzebują wiedzieć więcej i więcej? A z drugiej strony, czemu zawsze musiała wpakować się w podobną sytuację? Wiedziała świetnie, jak głupie i w konsekwencji destrukcyjne było takie zachowanie, a jednak nic na to nie mogła poradzić, ponieważ prawda - cała prawda i tylko prawda - okazywała się znacznie bardziej bolesna niż kłamstwo.

- Trudno powiedzieć - odparła wreszcie.

- Więc przychodzą ci do głowy ot tak, nagle i nie wiadomo skąd?

Mało brakowało, a Emma zaczęłaby się śmiać.

- Na to wygląda.

- Cholera, to brzmi naprawdę interesująco. - Christy zaczęła teraz strzyc okolice skroni. - A masz teraz jakiegoś chłopaka?

Emma skinęła głową. Psiakrew, zdążyła już całkiem się pogрузić. Równie dobrze mogła więc brnąć dalej.

- Owszem. Wczoraj wieczorem zaprosił mnie na kolację do Joso.

Na Christy nie wywarło to szczególnego wrażenia, jakby nigdy nie słyszała o Joso. Zresztą, może faktycznie nie słyszała.

- Taak... Gdzie go poznałaś?

- W siłowni Scully.

- Naprawdę? Ta Jan to dość oryginalna kobieta, co? Uwielbiam kłaść ręce na jej włosach i wciągać ją w dwudziesty pierwszy wiek. A ta kolekcja trofeów!

- Jest doprawdy imponująca.

- Słyszałam, że mąż rzucił ją dla chirurga plastycznego, który poprawiał urodę Jan.

- Wydaje mi się, że to chodziło o pielęgniarkę.

- To musi być ciekawa robota, nie sądzisz? Mam na myśli pracę u chirurga plastyka.

- Raczej nie - odparła Emma, zła, że znowu nie zdołała się powstrzymać. - Kilka lat temu sama pracowałam w takiej klinice. To wcale nie było takie ciekawe,

oczywiście pomijając fakt, że bez przerwy przychodziły do nas różne gwiazdy filmowe.

- Tak? Na przykład kto?

Emma potrząsnęła głową. Czy ty się nigdy niczego nie nauczysz, pomyślała ze złością.

- Naprawdę nie wolno mi powiedzieć.

Christy zrobiła minę świadcząca o rozczarowaniu i wyglądała w tym momencie zupełnie jak Dylan, kiedy nie dostał tego, o co prosił.

- A te wszystkie gwiazdy przyjeżdżały tutaj, do Ohio?

- Nie, wtedy mieszkałam w Kalifornii.

Christy uśmiechnęła się, co miało znaczyć: No tak, oczywiście, powinnam się była domyślić.

- Przypuszczam, że często gdzieś podróżujesz.

- Owszem.

- I pewnie dzięki temu masz o czym pisać.

- Pewnie tak.

Ta konwersacja powoli zaczynała ją nudzić. W ciągłym oszukiwaniu ludzi kryło się pewne niebezpieczeństwo - na dłuższą metę kłamstwo zaczynało Emmę męczyć. Zamknęła oczy i od czasu do czasu w odpowiednich momentach wydawała z siebie znaczące pochrząkiwania, by zasygnalizować, że słucha z uwagą gadaniny Christy, choć tak naprawdę dość szybko się wyłączyła. Na szczęście Christy zdawała się tego nie zauważać, a nawet jeśli zauważyła, to widocznie wcale jej to nie przeszkadzało. Przez cały czas trajkotała jak najęta, a jej głos działał na Emmę niczym środek nasenny, doprowadzając ją na skraj błogiej drzemki.

Wyobraziła sobie, że oto unosi się na różowej, nadmuchiwanej tratwie na środku przejrzystego, błękitnego morza. Muzyka reggae dobiegająca z głośnika nad jej głową nagle stała się żywym zespołem grającym na górnym pokładzie wymyślanego jachtu. Zabawa trwała w najlepsze. Ktoś wyrzucił przez burtę kieliszek napełniony szampanem, a Emma złapała go i uniosła w toaście, zwracając się w stronę przystojnego kapitana, podczas gdy ciepły wiatr pieścił jej uszy, a syreny bawiły się jej włosami.

- No więc, jak ci się podoba? - wdarł się w te marzenia czyjś głos, przecinając je z chirurgiczną precyzją.

Otworzyła oczy i ujrzała, jak Christy odkłada na stół suszarkę. Pochyliła się w przód, zahipnotyzowana widokiem swojej nowej kształtnej fryzurki, krótszej o kilka cali i miękko wymodelowanej po bokach.

- Jest przepiękna. Bardzo mi się podoba.

Christy uśmiechnęła się z dumą, jednocześnie zdejmując z ramion Emmy czarną pelerynę.

- Chcesz od razu umówić się na następną wizytę? Moim zdaniem powinniśmy się spotkać za sześć tygodni.

Sześć tygodni? Emma w popłochu usiłowała sobie przypomnieć, kiedy ostatnio z wyprzedzeniem planowała coś na tak odległy termin. Poza tym, kto wie, gdzie ona będzie za sześć tygodni? I nagle, po raz pierwszy od ponad roku, ogarnęło ją poczucie może nie bezpieczeństwa, lecz przynajmniej pewnego rodzaju stabilności. Może nie czuła się całkiem szczęśliwa, ale za to zaświtała jej iskierka nadziei. Jej świat nie był już tak ciasny i zamknięty w wąskim kręgu jak dawniej. Stanowczo zaczął się poszerzać. Miała wreszcie przyjaciółkę i perspektywy na poznanie następnych przyjaciół, a co może nawet bardziej istotne, jej syn spotkał chłopca, z którym się zaprzyjaźnił. Może przestaną go dręczyć nocne koszmary, a co za tym idzie, zniknie także koszmar, jakim stało się ich życie w ciągu ostatniego roku. Emma uśmiechnęła się do swojego odbicia. Nic tak jak nowa fryzura nie jest w stanie upewnić kobiety, że od tej pory wszystko będzie w porządku.

- Za sześć tygodni. Oczywiście.

Właściwie czemu nie? Emma wypłynęła z salonu, na moment zatrzymując się przy oknie wystawowym sklepu firmowego Marshalla z odzieżą o obniżonych cenach - jak bardzo przydałaby się jej do nowej fryzury nowa wiosenna garderoba, pomyślała z utęsknieniem - aż w końcu niechętnie ruszyła w dalszą drogę. Mijając siłownię Scully, machnęła na powitanie do Jan stojącej przy recepcji. Jan miała na głowie pomarańczową, odblaskową opaskę, która doskonale pasowała do krzykliwego koloru szminki. Ta szminka rzucała się w oczy nawet poprzez grube szkło frontowego okna. Jan uśmiechnęła się i gestem zaprosiła ją do środka.

- Cześć! No i co, myślałaś o przystąpieniu do naszego klubu? Pamiętaj, że teraz mamy na wejściu specjalne ceny. Tylko dwieście pięćdziesiąt dolarów plus trzydzieści co miesiąc, a do tego darmowy kubek i koszulka. - Z tym słowami sięgnęła pod kontuar, wydobyla stamtąd ogromny, czarny kubek ze złotym napisem Scully, i postawiła go na ladzie.

Emma zaczęła się śmiać. Czy ta kobieta nigdy nie odpuszczała?

- Prawdę mówiąc, byłam w salonie Natalie, żeby podciąć trochę włosy. No i jak ci się podobają? - spytała, widząc, że Jan nie zamierza tego komentować.

- Bardzo ładne. Teraz wszystkie musimy się zająć utrzymywaniem w formie naszych brzuszków. - Dla podkreślenia swych słów Jan pogładziła własny, idealnie płaski brzuch. - Jeśli chcesz, mogę opracować dla ciebie indywidualny program ćwiczeń. Zobaczysz, jak szybko osiągniesz najlepszą formę w życiu.

Nagle Emma zdała sobie sprawę, że Jan absolutnie nie ma pojęcia, kim ona jest. Mimo że nie dalej jak dwa dni temu spędziły razem cały wieczór, Jan jej nie poznała. To przez tę nową fryzurę, upewniła sama siebie, zastanawiając się jednocześnie, co w niej jest takiego, że ludzie nie są w stanie jej zapamiętać.

- Jan, to ja, Emma - powiedziała ze zniecierpliwieniem, bo mimo najlepszych chęci nie zdołała go ukryć. - Poznałyśmy się przedwczoraj u Lily.

- No jasne, że tak - odparła Jan bez chwili zastanowienia, ale oczy ją zdradziły. - Tylko się z tobą droczyłam. Szukasz Lily? - mówiła dalej, rzucając tęskne spojrzenie w stronę sali ćwiczeń, jakby chciała prześlizgnąć się przez szklaną ścianę. - Ona w niedziele tu nie przychodzi.

- Tak samo jak mnóstwo innych ludzi - zauważyła Emma, patrząc na samotną panią w średnim wieku, która ćwiczyła na bieżni. To drobny rewanż za to, że Jan nie przypomniała sobie, kim ona jest, pomyślała, skrywając uśmiezek. - Czy w niedziele zawsze jest tu tak pusto?

- Jeszcze jest dość wcześnie. Niedługo będzie tłok jak diabli.

Emma podeszła do gablotki z trofeami.

- Naprawdę sama to wszystko zdobyłaś? Twarz Jan natychmiast się rozjaśniła.

- No jasne, że tak.

Tanecznym ruchem prześlizgnęła się dookoła kontuaru i podeszła do gablotki, stukając o podłogę wysokimi obcasami wściekle różowych pantofli z wyciętymi palcami.

- Ile ich tutaj jest?

- O rany, już dawno straciłam rachubę. Chyba ze trzydzieści. - Jan otworzyła przeszkloną szafkę kluczykiem, który dyndał na zielonej bransoletce owiniętej dookoła jej nadgarstka. - A przynajmniej drugie tyle mam w domu.

- Za co je dostałaś?

- Och, za różne rzeczy. - Jan sięgnęła do gablotki i wyjęła stamtąd niewielką figurkę z brązu, przedstawiającą młodą kulturystkę. - To jest za zdobycie tytułu Najlepszej Kulturystki Ohio, a to... - Odstawiła figurkę i wzięła inne trofeum. Tym razem był to duży, srebrny puchar. - ...za zwycięstwo w konkursie w Boulder, w Kolorado, przed czterema laty.

Nagle rozległ się dzwonek telefonu.

- Zechcesz wybaczyć mi na chwilę? - Pospiesznie odstawiła puchar do gablotki i popędziła do recepcji, żeby odebrać telefon.

- Halo? Noah? - zakryła słuchawkę dłonią i odwróciła się do Emmy. - Mój siostrzeniec - powiedziała z dumą. - Właśnie dostał dyplom na MIT.

Emma skinęła głową z taką miną, jakby ta wiadomość wywarła na niej wielkie wrażenie.

- Dostałeś dwie propozycje pracy? - powtórzyła Jan i patrząc na Emmę, z uśmiechem podniosła do góry dwa palce. - To świetnie. I co, chcesz zapytać mnie o radę?

Wyprostowała ramiona i mrugnęła w stronę Emmy.

- No cóż, oferta numer jeden nie jest może zbyt ekscytująca, jeśli chodzi o samą pracę, ale byłbyś związany z dużą firmą, a oni płacą krocie. W wypadku oferty numer dwa firma płaci tyle co nic, ale praca wygląda na interesującą i chyba byś ją lubił. Już wiesz, co ci poradzę, choć i tak będziesz się pewnie wahał, co zrobić. - Jan sprawiała wrażenie nieco zaskoczonej. - Co takiego? Myślisz, że którą ofertę bym wybrała na twoim miejscu? - Tu nastąpiła chwila ciszy, a potem ognistorude loki zafalowały niecierpliwie. - Uważasz, że lepiej pracować za grosze, ale za to mieć z tego przyjem-

ność? Zwariowałeś czy co? - Jan ze złością machnęła ręką. - Kto powiedział, że zasłużyłeś sobie na to, by mieć w życiu same przyjemności? Na litość boską, najważniejsze, żebyś potrafił zarobić na życie. Chcę, żebyś był samowystarczalny, rozumiesz? I był w stanie sam się utrzymać.

Emma na paluszkach zaczęła się skradać w kierunku wyjścia.

- Zostawiam cię, żebyś mogła swobodnie porozmawiać - szepnęła, otwierając drzwi i wysuwając się na zewnątrz.

- Zaczekaj!

Gdy zamykała drzwi, wydawało jej się, że słyszy wołanie Jan, ale nie miała najmniejszej ochoty wysłuchiwać zwierzeń na temat siostrzeńca ani oglądać następnych trofeów.

„Kto powiedział, że zasłużyłeś sobie na to, by mieć w życiu same przyjemności?” - powtarzała w osłupieniu, kierując się w stronę ulicy Szalonej Rzeki. Nagle przystanęła, odwróciła się i pomaszerowała z powrotem do sklepu Marshalla.

- Do diabła, a kto powiedział, że nie powinniśmy od czasu do czasu sprawić sobie odrobiny radości?

Pociągnęła drzwi prowadzące do sklepu z odzieżą po obniżonych cenach i przestąpiła próg. Od razu skierowała się na prawo, do wieszaka z letnimi sukienkami. Przecież nie robiła takich rzeczy każdego dnia. Nawet nie raz w miesiącu. Kiedy ostatnio zdarzyło się, żeby kupiła coś wyłącznie dla siebie? Jak dawno temu pozwoliła sobie na jakiś elegancki ciuch?

Sprawdziła cenę na karteczce przypiętej do sukienki w jasnofioletowe i białe kwiaty, z odkrytymi plecami i ramionami. Sto dwadzieścia dolarów to było przynajmniej o sto więcej, niż mogła sobie pozwolić. No cóż, ale przynajmniej mogła ją przymierzyć, tak dla zabawy. Znalazła swój rozmiar, przerzuciła sukienkę przez ramię, a następnie przeszła do kolejnego wieszaka i to samo zrobiła z zestawem sweterków w brzoskwiowym kolorze. Trochę czasu spędziła na spacerowaniu między alejkami i wkładaniu do sklepowego wózka wszystkiego, co przyciągnęło jej uwagę, z wyjątkiem ażurowego szala z zielonkawego szyfonu, który okręciła sobie wokół szyi. Zawsze mogę nakłamać, że tylko go przymierzałam i zwyczajnie

zapomniałam zdjąć, pomyślała, chociaż o wiele trudniej byłoby w ten sam sposób wytłumaczyć obecność w jej torebce jedwabnej bluzki w kolorze fuksji.

W końcu popchnęła wózek w kierunku przymierzalni i ustawiła się na końcu kolejki kobiet, które czekały, aż zwolni się jakaś kabina.

- Za jednym razem może pani wziąć tylko pięć sztuk - powiedziała sprzedawczyni.

Emma z pośpiechem przejrzała zawartość wózka.

- Boże, sama nie wiem, co wziąć najpierw - jęknęła.

- Wiem, teraz wszystkie rzeczy są takie ładne.

Wreszcie Emma wybrała pięć przedmiotów, włączając w to suknię w jasnofioletowe i białe kwiaty, i wręczyła sprzedawczyni do przejrzania.

- Mnie się też bardzo podoba ta sukienka - powiedziała sprzedawczyni i podała wybrane przez Emmę rzeczy.

- Jest przepiękna, prawda? Czy byłaby pani tak uprzejma sprawdzić rozmiar? Czy to szóstka? Bez okularów jestem ślepa jak kret - skłamała Emma.

Kiedy panienka z obsługi szukała metki, Emma wsunęła brzoskwiniowy sweterek pod stertę pozostałych ubrań, które zabierała do przymierzalni.

- Tak, zgadza się. To rozmiar sześć. Chciałabym mieścić się w szóstkę - westchnęła sprzedawczyni.

- Moim zdaniem ma pani wspaniałą figurę - oświadczyła Emma, starając się, żeby zabrzmiało to przekonująco. Cholera, szkoda że nie włożyła dziś spódnicy. I to takiej długiej, która wydymała się jak balon. W ten sposób mogłaby stąd wynieść połowę sklepu, a tak będzie musiała zadowolić się zaledwie kilkoma rzeczami. Pozostała jedynie nadzieja, że wśród nich znajdzie się ten brzoskwiniowy sweterek, pomyślała, ściągając z siebie białą koszulkę i zastępując ją pulowerem bez rękawów. Następnie wsunęła rękę w rozpinany sweterek z tego samego zestawu i zaczęła podziwiać w lustrze własną sylwetkę. To, co ujrzała, zdecydowanie się jej podobało.

- Sprzedane - powiedziała do swojego odbicia, próbując zignorować uporczywy głosik dźwięczący gdzieś w głowie, który przypominał jej, że przecież przysięgała więcej tego nie robić. Przymierzyła resztę ubrań, a potem powtórzyła cały proces od początku. Tym razem zdołała ukryć na sobie dwie sztuki odzieży.

- Nie bierze pani tej sukienki? - spytała ze zdziwieniem sprzedawczynie, kiedy Emma po raz ostatni wyszła z przymierzalni.

- Niezbyt dobrze na mnie leży - odparła Emma. Dzięki Bogu. Chyba serce by jej pękło, gdyby sukienka leżała jak ulał, a ona musiała ją zostawić. Nie było sposobu, by wynieść coś tak dużego bez zwrócenia na siebie uwagi. Przynajmniej nie na tej wycieczce.

- I co, nic innego nie pasowało?

- Czasem tak bywa.

- No cóż, następnym razem życzę więcej szczęścia - odpowiedziała sprzedawczynie.

Wychodząc z przymierzalni, Emma uśmiechała się radośnie. Dzień zapowiadał się naprawdę wspaniale. Nie tylko czekało ją całe wolne popołudnie, lecz także miała na głowie uroczą, nową fryzurkę, a w torbie parę rzeczy, które mogły stanowić początek całkiem nowej kolekcji garderoby. Jeśli uda się jej znaleźć pracę i zacząć zarabiać przyzwoite pieniądze, wyśle do Marshalla anonimowy czek, żeby pokryć koszty tych kilku ciuchów, które dzisiaj wzięła.

A ponieważ tak czy inaczej w końcu za wszystko zapłaci, równie dobrze może wybrać jakąś biżuterię, która pasowałaby do nowych ubrań, myślała, patrząc z podziwem na parę kolczyków z perłami.

- Czy mogłabym je zobaczyć? - spytała stojącą za kontuarem dziewczynę.

Nastolatka, w której płatkach uszu połyskiwały wielokolorowe wkretki z kryształu, z zastanawiającą starannością wyjęła kolczyki ze szklanego pudełeczka. Emma zauważyła, że podobne kryształki stanowiły ozdobę przerażająco długich paznokci w intensywnie czerwonym kolorze, a jeden duży, czerwony kryształ tkwił z boku nosa jak wielki pieprzyk.

- Ile one kosztują? - Emma podniosła w górę kolczyki i zaczęła się przeglądać w małym lusterku, które stało na kontuarze.

- Pięćdziesiąt pięć dolarów.

- Strasznie dużo.

- Bo to są prawdziwe perły - odparła dziewczyna.

Emma o mały włos nie wybuchnęła śmiechem. Zupełnie jakby ta pannica umiała odróżnić perły od orzeszków ziemnych, pomyślała.

- A te? - wskazała różowe serduszka z kryształu górskiego. - I te... - skierowała palec w stronę malutkich, błękitnych kwiatuszków. - Mogłabym je zobaczyć?

Po kolei podnosiła do uszu różne pary kolczyków przechylając głowę z boku na bok i podziwiając sposób, w jaki każde z nich podkreślały zgrabny zarys jej długiej szyi. Może któreś z nich nie były aż tak drogie jak te „perły”. Może mogłaby sobie na nie pozwolić.

- A ile te kosztują?

- Serduszka sześćdziesiąt pięć, a kwiatki pięćdziesiąt.

- Och!

No to tyle, jeśli chodzi o to, czy ją stać. Położyła je na ladzie i nagle podjęła decyzję, że odda także wszystkie inne rzeczy, które dziś ukradła. Nie jestem już tamtą dziewczyną, przypomniała sobie. Nie przywłaszczam sobie tego, co do mnie nie należy.

- Przepraszam! - zawołała jakaś klientka stojąca przy drugim końcu kontuaru. - Czy ktoś może mi pomóc?

Sprzedawczyni na moment odwróciła głowę w tamtym kierunku, a wtedy Emma bez zastanowienia zgarnęła różowe serduszka do kieszeni marynarki.

- Proszę iść - powiedziała wspaniałomyślnie do dziewczyny za ladą. - Ja przyjdę innym razem.

No to tyle, jeśli chodzi o rozpoczynanie nowego życia.

Była już prawie przy drzwiach, gdy nagle na jej ramieniu spoczęła czyjaś ciężka ręka.

- Proszę mi wybaczyć - odezwał się złowrogo jakiś męski głos. - Chyba będzie lepiej, jeśli pójdzie pani ze mną.

20

Jamie otworzyła oczy i zobaczyła, że Brad stoi obok łóżka i przygląda się jej z uwagą.

- Ho, ho, popatrzcie tylko, kto wreszcie zdecydował się otworzyć oczęta - powiedział na powitanie.

Nie odezwała się ani słowem.

Po chwili usiadł obok niej. Poruszenie materaca rozdarło ciało Jamie jak bagnet; zagryzła dolną wargę, żeby nie zawyć z bólu.

- No, przestań się wreszcie dąsać. Chyba nie jesteś wciąż na mnie wściekła za wczorajszą noc, co? - Wyciągnął rękę i delikatnie odsunął z jej czoła kilka za-
błąkanych kosmyków.

Każdy mięsień jej ciała natychmiast się naprężył, przesyłając bolesne impulsy od palców nóg aż do dłoni, choć prawie wcale się nie poruszyła.

- Która godzina? - zapytała ciężkim, matowym głosem.

- Dochodzi dwunasta - odparł i zaśmiał się radośnie. - No chyba mam u ciebie jakiś plus za to, że pozwoliłem ci tak długo spać?

- Dwunasta... - powtórzyła. Dziwne, ale to słowo nic jej nie mówiło. Co to znaczy, że jest dwunasta? Czy cokolwiek jeszcze ma jakieś znaczenie?

- Najwyższy czas ruszać w drogę.

Najwyższy czas ruszać w drogę, powtórzyła w duchu, zastanawiając się, o jaką drogę mu chodzi.

- Rusz się wreszcie, Jamie. O pierwszej musimy zwolnić pokój.

Wstał, podszedł do komody i rzucił na łóżko te same ciuchy, które miała na sobie zeszłego wieczoru.

- Ubieraj się. Czas się stąd wynosić.

Sądząc po stanowczości, z jaką to powiedział, zaczynał chyba tracić cierpliwość, więc spróbowała się podnieść. Najpierw wysunęła jedną nogę, potem wsparła się na łokciach, ale cały czas miała wrażenie, że podczas snu ktoś założył jej na każdą kończynę opatrunek z gipsu. Ramiona były ciężkie jak kotwice i ciągnęły ją w dół, a najłżejszy nawet wysiłek sprawiał, że zapadała się coraz niżej i niżej w

bezdenną otchłań. Gdyby to mogło być prawdą, pomyślała, kiedy Brad w końcu zerwał cienkie prześcieradło z jej nagiego ciała. Zimne powietrze z klimatyzatora uderzyło w niczym nieosłoniętą skórę i Jamie poczuła, że dostaje gęsiej skórki.

- Wstawaj, Jamie. I to już.

- Muszę wziąć prysznic - zamruczała, nie ruszając się z miejsca.

- Co? Chyba jaja sobie ze mnie robisz! Znowu prysznic? Pół nocy przestałaś pod tym przeklętym prysznicem!

- Potrzebuję się wykapać - powtórzyła z uporem. Nagle ze zdziwieniem spostrzegła, że stoi na własnych nogach. Przytrzymała się ściany i powlokła wzdłuż łóżka, po drodze starając się zignorować setki niewidzialnych żyłek, które cięły ją po udach, a także ostrza noży trafiających gdzieś w okolice kręgosłupa.

- Masz pięć minut - zawołał Brad.

W przelocie ujrzała w lustrze swoje odbicie, chociaż ledwo poznała napuchniętą twarz i oczy, w których kryła się udreka. Gdyby nie złote kolczyki z perłami wysuwające się spod zmierzwionych włosów, mogłaby wziąć tę zjawę za wytwór swojej zmęczonej wyobraźni.

- Hej, Jamie! - powiedział Brad, kiedy go mijała. - Kocham cię. Wiesz o tym, prawda?

Nagle ciało Jamie złożyło się w pól jak scyzoryk, zupełnie jakby na jej głowę spadł grad nieoczekiwanych ciosów i powalił ją na kolana. Niczym wyciągnięta z wody ryba wielkimi haustami zaczęła łapać powietrze.

Brad w jednej chwili znalazł się obok niej i zamykając w ciasnym uścisku, podciągnął do pozycji stojącej.

- No, Jamie, kochanie, nie wolno tak reagować, kiedy mężczyzna wyznaje ci miłość.

Jamie wykręciła się z jego objęć.

- Aj, Jamie! Przestań wreszcie się tak zachowywać!

W odpowiedzi okręciła się wokół własnej osi, a jej oczy krzyczały to, czego nie mogły wykrzyczeć usta. Przestań się tak zachowywać? Przestań się tak zachowywać?!

- No, dalej, Jamie! To przecież wcale nie było takie straszne. Prawdę mówiąc, to była pyszna zabawa, jak się nad tym głębiej zastanowić.

Nie wierzyła własnym uszom. Czy on mówił to na serio? Czy według niego słowo „zabawa” było odpowiednie, żeby określić czyn, jakiego dopuścił się wobec niej poprzedniej nocy?

- „Zabawa”? - usłyszała własny płacz. - Na litość boską, przecież ty mnie zgwałciłeś!

- Ej, nie przesadzaj! Musisz przyznać, że też miałaś z tego frajdę. Przynajmniej troszeczkę.

- Jak możesz tak mówić?! Jak możesz nawet tak myśleć?!

- Bo znam kobiety - odparł złowieszczo. - I znam ciebie - dodał jeszcze bardziej złowrogim tonem.

Czy to prawda, myślała spłoszona? Czy to możliwe, że ten nieznajomy wie o niej więcej niż ona sama? Że już w chwili, gdy ją zobaczył, dostrzegł w niej coś - albo, co bardziej prawdopodobne, brak czegoś - a później po prostu zachowywał się tak, jak podpowiadał mu instynkt? „To wszystko twoja wina”, usłyszała, wchodząc na chłodne płytki terakoty w łazience i starannie zamykając za sobą drzwi.

- Nie zamykaj się na klucz - krzyknął za nią Brad.

Zatrzymała się z ręką na zasuwce. Wystarczyłby jeden ruch, żeby zatrzymać Brada na zewnątrz, przynajmniej na jakiś czas. Może w końcu zmęczy go czekanie, daremne perswazje i dobijanie się do drzwi. Może tymczasem zjawi się sprzątaczką, żeby doprowadzić pokój do porządku. A może, jeśli ona zacznie teraz z całej siły wrzeszczeć, on przestraszy się i ucieknie? Choć pewnie prędzej rozwali drzwi, złapie ją za włosy i rzuci na łóżko. A potem co? Powtórka wczorajszej „zabawy”?

- O Boże - jęknęła. Ręka opadła, a po policzkach popłynął gorący strumień łez.

- Hej, Jamie! - zawołał Brad tuż zza drzwi. - Chcesz, żebym przyszedł i umył ci plecy?

Nic nie odpowiedziała, tylko szybko weszła do wanny, zaciągnęła przezroczystą, plastikową kurtynkę i odkręciła kran. Czowała, jak woda gwałtownie zmienia się z zimnej w ciepłą. Przez moment przeleciało jej przez głowę, że może powinna otworzyć usta i wypełnić gardło wodą. Czy to możliwe, żeby w ten sposób się utopić, myślała, odwracając się o sto osiemdziesiąt stopni? Woda natychmiast pomknęła w dół jej pleców i zniknęła pomiędzy pośladkami.

- O Boże - zapłakała ponownie, a z jej oczu wytrysnął świeży potok łez. Podniosła rękę, żeby odgarnąć z twarzy mokre włosy, a wtedy jej palce natrafiły na kolczyki ze złota i pereł.

- Boże, co ja najlepszego zrobiłam? - załkała. To samo pytanie zadawała sobie przez całą noc. Co się wydarzyło? Co ona zrobiła?

Najpierw spała w łóżku w motelu. Co prawda nie był to Ritz, ale pokój okazał się czysty, a łóżko wygodne. I nagle Brad zaczął szeptać jej do ucha, że ją kocha, i tak od słowa do słowa namówił ją, żeby wstała i wyszła razem z nim w chłodną noc. Potem, jadąc przez miasto, skręcił w Magnolia Lane i dopiero wtedy wtajemniczył ją w swoje plany. Zignorował jej protest, wysiadł z samochodu, a ona poszła za nim, usiłując sobie wmówić, że on zaraz się zatrzyma, odwróci do niej i powie, że to był tylko żart.

Ale Brad się nie zatrzymał... Kiedy znaleźli się wewnątrz domu, rozległ się ostrzegawczy pisk alarmu, który umilkł, gdy tylko wcisnęła odpowiedni kod. Kod, który pani Dennison z łatwością mogła zmienić; kod, który powinna była zmienić... Dlaczego nie przyszło jej do głowy, żeby zmienić ten przeklęty kod? Sytuacja wyglądałaby całkiem inaczej, gdyby Laura Dennison po prostu zmieniła kod. Popiskiwanie szybko by się zmieniło w wycie syreny, a wtedy ona i Brad uciekliby stamtąd pod osłoną ciemności i przez całą drogę do motelu zaśmiewaliby się do rozpuku. Ale to było głupie, słyszała ich chichotanie, gdy z powrotem wskakiwali do łóżka. Cóż to był za kretyński pomysł!

Ale Laura Dennison nie zmieniła kodu ani się nie obudziła. Przynajmniej nie wtedy, gdy oni włączyli się po pokojach na parterze, ani kiedy znaleźli się tuż obok jej łóżka, ani nawet wówczas, gdy przeszukiwali szuflady komody.

Stojąc pod strumieniem wody, Jamie ujrzała samą siebie, jak sięga po złote kolczyki z perłami, spoczywające w szkatułce z czerwonej emalii i jak podnosi je do uszu. Zobaczyła, jak tuż przed ucieczką Brad wpycha do kieszeni diamentowe zapinki, a potem siada na środku korytarza i z uporem odmawia wyjścia, dopóki Jamie nie pokaże mu pokoju, w którym kiedyś mieszkała. A potem widziała ten pokój, z jego beżowymi ścianami i obrzydliwą narzutą w brązowo-czarne pasy.

Chodź, usiądź obok mnie.

Brad, nie. Przestań!

Wszystko jest okay, Jamie. Odpreź się.

Nie. Przestań.

Opowiedz mi, Jamie, co robiłaś z nim w tym łóżku.

To mi się wcale nie podoba. Chcę, żebyś przestał.

Nieprawda, wcale nie chcesz. To podoba ci się tak samo jak mnie. Lubisz ostry, brutalny seks.

Nie, nie! Proszę cię, przestań.

Gotowa?

I ten zatechły zapach materiału, z którego uszyta była narzuta... Poczula go w chwili, gdy Brad dosiadł jej od tyłu. A potem przeszywający ból; ogień, który na wskroś przepalił jej ciało, niszcząc jego wnętrze, i pozostawił ją rozdartą i krwawiącą. Pozostawił na pewną śmierć.

Wiesz przecież, że to wszystko twoja wina.

To moja wina.

Nagle ktoś załomotał w drzwi.

- Hej, Jamie, jak długo zamierzasz tam jeszcze sterczeć?

Jamie ze strachem spojrzała w kierunku, z którego dochodził ten dźwięk. Pospiesznie chwyciła mydło i zaczęła nim masować piersi, jakby chciała zmyć z sutków ślady zębów Brada.

Nagle dobiegł ją głos pani Dennison, stojącej u szczytu schodów.

„Jamie? To ty?”.

A potem ujrzała samą siebie, jak wybiega z domu byłej teściowej i pędzi co sił w nogach w dół ulicy, do swojego samochodu. Patrzyła, jak pada na chodnik, nie mogąc się poruszyć.

Dokąd powinna była wtedy pójść? Na policję? Tylko co miała im powiedzieć? Że została zgwałcona? Że jej kochanek zmusił ją do odbycia stosunku analnego, a wszystko to stało się w domu byłej teściowej? Że włamali się tam, by ukraść parę kolczyków, które teraz wiszą w jej uszach? I że uciekła stamtąd, pozostawiając chłopaka sam na sam z okradzioną kobietą? I że wszystko, co wydarzyło się tej nocy, jest wyłącznie jej winą?

- Masz jeszcze dwie minuty, Jamie, i wchodzę.

A potem znalazł się obok niej. Delikatnie pomógł wsiąść do samochodu, oparł jej głowę o szybę przy fotelu pasażera i wtedy w szkle dostrzegła cień jego uśmiechu. Poczowała, jak silnik samochodu mruczy coraz głośniejsze, gdy Brad wyjeżdżał z zatoczki. Usłyszała jego śmiech i pełne podniecenia pstrykanie palcami, kiedy triumfalnie poklepywał kierownicę.

- No, to było naprawdę coś - powiedział i znów się zaśmiał.

Jakimś cudem zdołała wydobyć z siebie głos.

- Co tam się stało?

- A co masz na myśli?

- O Boże. - Z jej gardła wydarł się niski jęk i odbił echem od wnętrza samochodu.

Brad sięgnął poprzez fotel i lekko ścisnął jej udo.

- Odpręż się, Jamie. Nic tam się nie wydarzyło. - Roześmiał się ponownie.

- Co to znaczy?

- To znaczy, że nic szczególnego się nie stało.

- Ale przecież ona nas widziała. Widziała mnie.

- Ona tylko myślała, że cię widzi. Przekonałem ją, że była w błędzie.

- Jak? W jaki sposób udało ci się tego dokonać?

- Potrafię być bardzo przekonujący, wiesz o tym doskonale.

- Ale nie zrobiłeś jej krzywdy?

- Nie musiałem. - Wzruszył ramionami i na następnym skrzyżowaniu skręcił w prawo.

- Nic nie rozumiem. To co w takim razie jej powiedziałaś?

- Wy tłumaczyłem, że to wszystko było tylko głupią pomyłką i jeśli mi obieca, że nie zadzwoni na policję, to ja ze swej strony obiecuję nie wracać, żeby jej skrócić kark. Mam wrażenie, że absolutnie na to przystała.

- Naprawdę?

- Mniej więcej.

- Do jakiego stopnia więcej? - Jamie wstrzymała oddech.

- Jamie kochanie, naprawdę nie masz się o co martwić.

- Ale możesz mi dać słowo, że nie zrobiłeś jej krzywdy? - odezwała się błagalnym tonem.

- Już ci powiedziałem, że nie, prawda?

Czy to możliwe? Zastanawiała się teraz, w jaki sposób udało się jej tak łatwo przekonać samą siebie, że Brad nie kłamie.

Bez przeszkód wrócili do motelu. Nie była w stanie wykrzesać z siebie dość siły, by otworzyć drzwi, więc zrobił to za nią, a potem pomógł wsiąść i podtrzymał za łokieć, gdy potykając się, szła w kierunku ich pokoju. Kiedy znaleźli się w środku, od razu weszła do łazienki i zdjęła z siebie ubranie. Na widok krwawych plam na majteczkach, ciemnych sińców wokół piersi, na ramionach i udach, i zaschniętej krwi dookoła pośladków z wrażenia wstrzymała oddech. I znowu zaczęła wymiotować, choć w jej żołądku niewiele już zostało. Potem zwinęła się na środku podłogi z małych, białych kafelków, podkuliła nogi do klatki piersiowej i zaczęła płakać, starając się kolanami stłumić łkanie. To właśnie wtedy Brad zagroził, że wejdzie do środka, więc jakoś pozbierała się z podłogi i wsunęła się pod prysznic, gdzie stała tak długo, aż zabrakło ciepłej wody, a nawet dłużej, dopóki nie usłyszała, jak drzwi się otwierają i Brad wchodzi do łazienki. Przez przeźroczystą, plastikową kurtynkę jego rysy wydawały się zmienione nie do poznania. Tak właśnie wygląda prawdziwy Brad Fisher, przyszło jej do głowy, kiedy odsuwał zasłonę i zakręcał kran. Nagle wróciła jej ostrość widzenia. To diabeł, pomyślała.

A ona jest uczennicą diabła.

Tym razem też był zaskakująco delikatny. Wytarł ją do sucha wszystkimi ręcznikami, potem zaniósł do łóżka, owinął aż po szyję prześcieradłem, a potem sam ułożył się obok i kołysał ją w ramionach tak długo, aż poddała się i zapadła w sen.

- Jamie! - zawołał jeszcze raz. Razem z nim do łazienki wtargnął zimny prąd powietrza.

Zakręciła kran i owinęła zasłonką prysznicową dookoła swojego nagiego ciała, zasłaniając się nią jak wielkim szalem.

- Już czas jechać - powiedział.

Skinęła głową. Poczekala, aż Brad wycofa się do pokoju, a potem wygramoliła się z wanny i wytarła poplamionym krwią ręcznikiem. Dokąd on teraz chce jechać? -

zastanawiała się. Czy naprawdę na serio mówił o kontynuowaniu ich podróży? Zupełnie jakby ostatnia noc nigdy się nie zdarzyła. Jakby nie włamali się do domu Laury Dennison i nie uciekli z jej biżuterią. I jakby on nie zgwałcił jej, Jamie, i w łóżku jej byłego męża nie popełnił na niej sodomii.

No, dalej, Jamie! To przecież wcale nie było takie straszne. Prawdę mówiąc, to była pyszna zabawa, jak się nad tym głębiej zastanowić.

Drzwi otworzyły się z trzaskiem i Brad wrzucił do środka jej dzinsy, T-shirta i czystą zmianę bielizny. Jamie ubrała się, a potem myła zęby tak mocno, że aż dziąsła zaczęły krwawić, i czesała włosy, dopóki nie zabolą jej skóra na głowie. Następnie po kolei wyszarpnęła oba kolczyki, nie zważając, że na płatkach uszu pojawiła się krew, i położyła je na umywalce.

- Dokąd jedziemy? - zapytała po powrocie do sypialni. Brad zrobił zagadkową minę.

- A o co konkretnie pytasz? Wiesz przecież, dokąd jedziemy.

- Wciąż masz zamiar dotrzeć do Ohio?

- Oczywiście. Myślałem, że chcesz poznać mojego syna.

- Ale po wczorajszej nocy...

- Jak długo masz zamiar obsesyjnie wracać do wczorajszej nocy? - wybuchnął. Przytrzymał dla niej drzwi, a potem poprowadził do samochodu, ciągnąc za sobą obie torby z rzeczami. Uderzały o chodnik, od czasu do czasu podskakiwały na kółkach, aż w końcu przewróciły się na bok, jakby one też nie miały ochoty jechać dalej.

- Wsiadaj - polecił Brad.

Jamie tylko przelotnie pomyślała, czy nie warto byłoby spróbować ucieczki. Zresztą czy ucieczka miała jakiś sens? Właściwie dokąd miałyby uciekać?

Niebo było przejrzyste błękitne, z kilkoma tylko białymi, puszystymi chmurami, które płynęły gdzieś nad horyzontem. Zrobiło się całkiem ciepło, w powietrzu nie czuło się wilgoci. Piękny dzień, pomyślała Jamie, kiedy wyjeżdżali z parkingu. Jej oczy szukały na skrzyżowaniu policyjnych radiowozów, uszy wyczuwały się na dźwięk syren, ale w pobliżu nie było nikogo. Czy to możliwe, że Brad powiedział jej prawdę co do Laury Dennison? Czy faktycznie zdołał ją przekonać, że

dla własnego dobra powinna trzymać język za zębami i udawać, że ostatnia noc w ogóle nie miała miejsca?

W radiu jakaś kobieta śpiewała piosenkę o utraconej miłości i Brad zaczął śpiewać razem z nią. Ma miły głos, uświadomiła sobie Jamie. Przyjemny w brzmieniu, dodała, czując jak przeszywa ją dreszcz. Odwróciła głowę.

- Chyba musimy zatrzymać się na tankowanie - oznajmił, wjeżdżając na jakąś stację znajdującą się tuż przed powrotem na autostradę. Wskoczył z samochodu i z tylnej kieszeni dzinsów wyciągnął portfel.

- Przekonamy się zaraz, czy ta głupia karta będzie dziś bardziej użyteczna niż wczoraj.

Wsunął kartę kredytową do odpowiedniego otworu.

- No, Gracie, kochanie, jeszcze tylko ten jeden raz.

Kilka sekund później karta została odrzucona. Brad parsknął ze złością i cisnął ją na przednie siedzenie.

- Masz przy sobie jakąś gotówkę? - zwrócił się do Jamie. - Zdaje się, że ostatnio trochę się splukałem.

Kto to jest Gracie, myślała Jamie, sięgając po torebkę. Wyciągnęła dwudziestodolarowy banknot i przez otwarte okno podała Bradowi.

- Grzeczna dziewczynka - pochwalił.

Gracie, powtarzała po cichu Jamie. Z ukosa spojrzała na kartę leżącą na sąsiednim fotelu, aż wreszcie podniosła ją do oczu.

G. HASTINGS

Zechce pan podpisać tutaj, panie Hastings?

Przykro mi, sir. Czy ma pan może inną kartę?

Gracie, kochanie.

On zwrócił się do ciebie per „panie Hastings”.

Hastings to pierwsza część mojego nazwiska. Nazywam się Brad Hastings Fisher.

Brad Hastings Fisher... Co za dystyngowane nazwisko.

- Kto to jest Gracie Hastings? - spytała, kiedy Brad z powrotem usiadł za kierownicą.

W odpowiedzi wyjął z jej ręki kartę, złożył na pół i zginał tak długo, aż przełamała się na dwoje. Cisnął przez okno obydwie połówki i ruszył w stronę wyjazdu na autostradę I-75 w kierunku północnym.

Jamie odwróciła się od niego i skoncentrowała na obserwowaniu tego, co działo się za oknem. Samochód nabierał prędkości. Mogłabym teraz otworzyć drzwiczki i wyskoczyć, pomyślała. Oczyma wyobraźni ujrzała, jak jej ciało stacza się z przedniego siedzenia i przez moment szybuje w powietrzu niczym zużyty kleenex, zdążając w stronę ciemnej nawierzchni drogi. Czowała, jak jej głowa uderza w twarde podłoże i pęka na części, twarz niknie, wbita gdzieś na tył czaszki, a pełne połamanych kości ciało podskakuje po autostradzie w strumieniu iskier, zanim uderzy w nie następny samochód i wyrzuci na pobocze jak niecelnie kopniętą piłkę. Czy tak haniebny koniec wystarczy, by stłumić ogień, który wciąż rozdzierał jej wnętrze? Zamknęła oczy, udając, że śpi.

- Hej, Jamie - odezwał się Brad mniej więcej pół godziny później. - Zobacz, gdzie jesteśmy.

Z niechęcią uniosła powieki.

- Barnsley Gardens, następny zjazd - oznajmił. - Ciągle masz ochotę tam pojechać?

Pokręciła głową. Boże, czy on naprawdę mówił serio?

- Jesteś pewna? Bo pojedę tam z wielką chęcią, jeśli dzięki temu moja dziewczynka znów będzie mnie kochać.

- Ale ja nie chcę tam jechać.

- Myślałem o tej pięciogwiazdkowej restauracji, bo doszedłem do wniosku, że chyba musisz być strasznie głodna. Przez cały dzień nic nie jadłaś.

- Niczego nie chcę.

W milczeniu minęli zjazd prowadzący do Barnsley Gardens.

- Więc co...? Nie będziesz ze mną rozmawiać przez cały dzień? Masz zamiar w ten sposób mnie ukarać?

- Jestem zmęczona, Brad. Nie mam ochoty na rozmowę.

Przez kilka minut nic nie mówił, aż wreszcie nie wytrzymał.

- Wiesz, czytałem gdzieś, że wszystkie kobiety od czasu do czasu śnią o tym, że ktoś je gwałci.

Jamie nic nie powiedziała, chociaż przyszło jej do głowy, że w tym stwierdzeniu jest ziarno prawdy. Sama od czasu do czasu miała takie fantazje.

Było coś dziwnie ponętnego, a nawet wyzywającego w samej idei, że ktoś bierze ją wbrew jej woli; że ona nie ma wyboru i musi się poddać. Lecz to, co w fantazjach wydawało się erotyczne i przyjemne, w rzeczywistości okazało się brutalne i odstręczające.

W marzeniach nigdy nie została ranna, niezależnie od tego, jak gwałtowny i perwersyjny był jej napastnik. Nie czuła dyskomfortu, upokorzenia ani strachu. Nie doznała też prawdziwego cierpienia. Jej wnętrze nie paliło żywym ogniem, a serce nie pękało z bólu. Gwałciciel z sennych marzeń tak naprawdę nie miał nad nią władzy. Robił wyłącznie to, na co pozwalała jej wyobraźnia, i w końcu zawsze się okazywało, że o jej satysfakcję troszczył się nie mniej niż o własną. W ostatecznym rozrachunku wychodziło więc na to, że to ona przez cały czas kontrolowała sytuację.

Rzeczywistość okazała się całkiem inna.

W rzeczywistości nie było miejsca na jakąkolwiek przyjemność.

- Och, a tak przy okazji... - zawołał w pewnej chwili Brad i sięgnął do kieszeni.
- Zapomniałaś czegoś zabrać z motelu.

Na jego otwartej dłoni spoczywały dwa kolczyki ze złota i pereł i mrugały do niej uwodzicielsko. Brad uśmiechnął się najbardziej lodowatym ze swoich uśmiechów, a potem rzucił je prosto na jej kolana.

21

Emma zamarła. Masywna dłoń spoczywała całym ciężarem na jej ramieniu, jakby chciała przeniknąć przez dzins kurtki, wełniane sweterki, bawełnianego T-shirta, a potem przedrzeć się przez skórę i przeciąć przez kości, żeby w końcu powalić ją na kolana. Oddychanie zaczęło sprawiać jej trudność, jakby nagle zabrakło świeżego powietrza.

W głowie widziała rozbłyśki światła. Całe wnętrze sklepu zaczęło się zamazywać; jedno przejście łączyło się z drugim, męska konfekcja zderzyła się z biżuterią, codzienna odzież dla kobiet stoczyła w stronę działu z obuwiami, a lady z kasami runęły jedna na drugą niczym rzędy domina. Czyżby to oznaczało, że za chwilę zemdleje?

- Ja wszystko mogę wytłumaczyć - powiedziała, obracając się wokół własnej osi. Ciężka dłoń zacisnęła się jeszcze mocniej, jakby chciała powstrzymać ją przed upadkiem.

Oczy, w które Emma patrzyła, były ciemnoniebieskie i osadzone blisko nosa, który został złamany przynajmniej kilka razy i nigdy nie doczekał się prawidłowego nastawienia. Na prawym policzku widniała mała blizna w kształcie litery Y, ciemne włosy przycięte były na jeża. Jak u policjanta, pomyślała Emma i nagle całe pomieszczenie przestało wirować. Okazało się, że jest w stanie przyporządkować tej twarzy imię.

- Jeff... - powiedziała i to słowo zabrzmiało w jej ustach jak westchnienie ulgi.

Detektyw Jeff Dawson patrzył na nią takim wzrokiem, jakby nie miał bladego pojęcia, kto przed nim stoi.

- Nazywam się Emma. Emma Frost. Poznaliśmy się przedwczoraj w siłowni Scully. Jesteś członkiem klubu i masz niezły staż - zażartowała w nadziei, że wywoła na jego ustach uśmiech. - Jestem przyjaciółką Lily - ciągnęła, kiedy nie odezwał się ani jednym słowem. Dlaczego zawsze musi przypominać ludziom, kim jest? Nagle jej ręce pofrunęły w kierunku głowy. - Och, całkiem zapomniałam, że zmieniłam fryzurę. To pewnie dlatego mnie nie poznałeś.

- Och, poznałem cię, co do tego nie ma wątpliwości - odparł lodowatym tonem.

- Po prostu nie wierzyłem własnym oczom. Co ty wyrabiasz, do diabła?

- To wcale nie jest tak jak myślisz - zająknęła się. - Ja miałam zamiar zapłacić za te kolczyki. Oczywiście, że zamierzałam za nie zapłacić!

- Czy dlatego wsadziłaś je do kieszeni?

- Po prostu się bałam, żeby gdzieś po drodze ich nie upuścić.

- A ten szal, który masz na sobie?

Ręka Emmy natychmiast powędrowała do zielonego szyfonu, który od niechcienia okręciła wokół szyi, a palce zaczęły grzebać przy węźle znajdującym się na wysokości gardła. Przez chwilę miałam wrażenie, że to pętla na szubienicy, pomyślała, zrywając z siebie to paskudztwo.

- Och, tylko go przymierzałam, bo nie mogłam się zdecydować, czy chcę go wziąć, czy nie - odchyliła materiał, żeby mógł coś zobaczyć. - Na litość boską, widzisz przecież, że wciąż jest na nim metka! Gdybym chciała go ukraść, to chyba bym się jej pozbyła, nie sądzisz?

Boże, czyżby zamierzał ją aresztować? Dziewczyna z działu biżuterii z wielokolorowymi wkrętkami w uszach ostrożnie podeszła do nich.

- Czy macie państwo jakiś kłopot?

Emma zerknęła na detektywa, potem przeniosła wzrok na sprzedawczynię i znów na Jeffa.

- Chyba musiały się o coś zaczepić i upadły na podłogę - wymyśliła na poczekaniu. Sięgnęła do kieszeni, wyciągnęła stamtąd kolczyki z różowego kryształu górskiego i położyła na kontuarze.

- O mój Boże! Bardzo pani dziękuję - zawołała dziewczyna i szybko odłożyła je na właściwe miejsce do gablotki.

Detektyw Dawson pochylił się i szepnął Emmie wprost do ucha:

- A ta fioletowa bluzka, którą masz w torebce?

Emma zamknęła oczy i zaczęła niepewnie kręcić głową.

- Jak długo mnie obserwowałeś?

- Przynajmniej przez pół godziny.

Cholera, zakłęła w myślach. Teraz zaczęła się zastanawiać, czy zabierze ją na posterunek, gdzie zostanie poddana rewizji osobistej. Nie, na to nie może pozwolić. Nie teraz. Nie wtedy, kiedy jej życie nareszcie zaczęło się układać.

- Proszę - powiedziała błagalnym tonem, kiedy Jeff Dawson wyprowadził ją z działu z biżuterią. - Nie możesz mnie aresztować. Dylan by tego nie zniósł. To mój syn i mam z nim różne problemy. Jeśli mnie aresztujesz, nie mam pojęcia, co się z nim stanie.

Gdybym tylko mogła się teraz rozplakać, myślała. Jak te aktorki w operach mydlanych, które mają łzy na zawołanie.

- Powinnaś była wcześniej pomyśleć o synu - odparł Jeff, dokładnie tak, jak tego oczekiwała.

Gliniarze są tacy łatwi do rozszyfrowania, pomyślała.

- Wiem. To było głupie. Ja byłam głupia. Proszę, błagam cię z całego serca...

- Nie musisz mnie błagać. - Jeff Dawson puścił ramię Emmy i podrapał się po głowie. - Nie mam zamiaru cię aresztować.

- Co?

- Powiedziałem, że nie mam zamiaru cię aresztować.

- Och, dzięki Bogu. Bardzo ci dziękuję.

- Oczywiście, zakładając, że wszystko odłożysz na miejsce.

- To się rozumie.

- Możesz mi wierzyć albo nie, ale przyszedłem tu wyłącznie po to, żeby cię odnaleźć.

- Co? Dlaczego? Mój Boże, czy coś złego przytrafiło się Dylanowi?!

- Nic się nie stało.

- W takim razie nie rozumiem.

- Posłuchaj, może pójdziemy na kawę do Starbucksa?

- Masz ochotę na kawę?

- Mam ochotę z tobą porozmawiać.

- O czym?

- Dowiesz się przy kawie.

- Zgoda. - On nie zabiera mnie na posterunek, on zaprasza mnie na kawę do Starbucksa, pomyślała i jak automat ruszyła w stronę wyjścia.

- Czy przypadkiem nie zapomniałaś o czymś? - spojrzał wymownie na jej torebkę.

Sięgnęła do środka. Udało się jej wyciągnąć jedwabną bluzeczkę w kolorze fuksji, nie ruszając żółtej, bawełnianej bluzy, którą także ukradła, idąc do przymierzalni. Teraz niechętnie wrzuciła ją do najbliższego wózka.

Ten gość sprawia wrażenie przyzwoitego człowieka, myślała, kiedy maszerowali różnym krokiem do Starbucksa, który mieścił się na drugim końcu centrum handlowego. Nic dziwnego, że Lily go polubiła. Zaczęła się zastanawiać, czy kiedykolwiek w życiu spotka kogoś takiego jak Jeff Dawson, ale zaraz odsunęła od siebie tę myśl. Mężczyźni podobni do Jeffa nie tracili głowy dla kobiet takich jak ona. Woleli dziewczyny w typie Lily - bardziej prostolinijne i o czystszej sercu, a przynajmniej takie, które nie kradły w sklepach i nie łąły.

Ramię Jeffa otarło się o jej ramię. Czy wyczuł, ile warstw ubrania mam na sobie? - pomyślała natychmiast. Na szczęście na zewnątrz było dość chłodno. Gdyby było o parę stopni więcej, znalazłaby się w poważnych tarapatach.

- Na co masz ochotę? - spytał, kiedy weszli do zatłoczonego lokalu i zmierzali w kierunku kontuaru.

- Na cappuccino.

- Raz cappuccino i raz zwykła kawa. - Jeff położył na blacie dwadzieścia dolarów. - Chcesz coś zjeść? Może muffinkę albo coś w tym stylu?

- Nie, dzięki.

Ostatnią rzeczą, jakiej sobie życzyła, było obsypanie nowego sweterka okruszkami. Zerknęła w dół i od niechcenia zaczęła zapinać guziki kurtki. Nie ma powodu, żeby ściągać na siebie niepotrzebną uwagę.

- Zimno?

- Po prostu nie jestem przyzwyczajona do klimatyzacji - skłamała gładko.

- W takim razie proponuję, żebyśmy usiedli obok okna. Przynajmniej jest tam trochę słońca.

Uśmiechnęła się, odebrała od młodego człowieka za ladą swoje cappuccino i posypała je cynamonem. Czy to możliwe, że on tylko się ze mną bawi, zastanawiała się, idąc za Jeffem do małego, okrągłego stoliczka w przedniej części kawiarni. Kiedy opadła na krzesło, blask słońca otulił jej ramiona jak znoszony szal. Dookoła niej ludzie prowadzili towarzyskie rozmowy albo czytali poranne gazety. Pociągnęła łyk ze swojej filiżanki, patrząc, jak Jeff robi to samo. Czy teraz wreszcie powie jej, po co tu przyszli?

- O czym chciałeś ze mną porozmawiać? - odważyła się w końcu zapytać.

- Byłem w Scully zaraz po tobie - zaczął.

Emma poczuła, jak serce w niej zamiera. O Boże, zdążyła pomyśleć.

- Jan chciała, żebym ci to przekazał - sięgnął do kieszeni swojej jasnobrązowej wiatrówki, wyciągnął z niej czarny kubek ze złotym napisem Scully i postawił między nimi. - Powiedziała, że wysłała stamtąd, zanim zdążyła ci go dać.

Emma z zadziwieniem patrzyła na kubek.

- Prosiła, bym ci powtórzył, że to na przeprosiny za to, że cię nie poznała. Najwyraźniej wybiegła za tobą, ale ty byłeś już w drodze do Marshalla, a ona nie mogła wyjść z siłowni, więc zaofiarowałem się, że cię znajdę.

- No cóż, wygląda na to, że spełniłeś obietnicę.

- Właśnie zacząłem się rozglądać po sklepie, kiedy zauważyłem pewną kobietę, która okręcała sobie szal wokół szyi. Instynkt podpowiedział mi, żeby nie spuszczać jej z oka. Nie poznałem cię aż do chwili, kiedy chowałaś do torby tę fioletową bluzkę.

- W kolorze fuksji - poprawiła go.

- Co?

- Ten kolor to fuksja, nie fiolet. Przepraszam, wiem, że to nie ma związku ze sprawą.

- Dlaczego to robisz?

Zaczęła się wiercić na krzeselku. Czubkami palców przesuwała po złotym logo siłowni.

- Może coś mnie opętało? - poszukała oczyma jego oczu. - Czy ja wiem? Ta bluzeczka była naprawdę przepiękna, a jedwab w doskonałym gatunku. Wiedziałam, że w życiu nie będę sobie mogła pozwolić na kupienie czegoś tak ładnego.

Skinął głową, choć jego wzrok mówił, że daleki był od przyznania jej racji.

- Chyba nie muszę ci przypominać, że okradanie sklepu jest poważnym przestępstwem.

- Wiem o tym.

- Jeśli zostaniesz skazana, będzie to oznaczało, że znajdziesz się w kartotece, a może nawet trafisz do więzienia.

- O Boże.

- Dziś byłem bliski tego, żeby cię aresztować - pokazał na palcach, jak mało brakowało, by tak się stało.

- Więc czemu tego nie zrobiłeś?

- Bo mnie zaskoczyłaś. Bo żal mi twojego dzieciaka. Bo jesteś przyjaciółką Lily i doszedłem do wniosku, że jestem ci coś winien.

- Winien? Mnie?

- Za wczorajszy wieczór. Emma skinęła głową.

- Dziękuję ci. Naprawdę bardzo ci dziękuję.

- Nie dziękuj. - Jeff rozejrzał się po zatłoczonej kawiarni, jakby się obawiał, że ktoś może podsłuchiwać ich rozmowę. - Nie dziękuj, tylko po prostu więcej tego nie rób.

- Nie zrobię.

- Pamiętaj, jeśli kiedykolwiek przyłapię cię na kradzieży, nie będę się zastanawiał, czyją jesteś przyjaciółką.

- To więcej się nie powtórzy, obiecuję. - Znów napiła się cappuccino, oblizła piankę, która osiadła na górnej wardze, i oparła się wygodnie o tył krzesła. Zaczynało jej być gorąco. Pot przesiąkał przez kolejne warstwy ubrania wepchnięte pod dzinsową kurteczkę. Zaczęła się zastanawiać, czy jeszcze jest coś, o czym Jeff chciałby z nią porozmawiać. Już dał jej kubek i wygłosił kazanie. Czy chodziło o coś innego?

- Rozumiem więc, że spędziliście z Lily przyjemny wieczór?

- Tak, było bardzo sympatycznie - powiedział, ale nie dodał nic więcej.

- Nigdy nie byłam w Joso, ale słyszałam, że to fantastyczne miejsce.

- Tak, bardzo sympatyczne - odparł krótko. Najwyraźniej miał jakąś słabość do tego przymiotnika.

- Wydaje mi się, że Lily też dobrze się bawiła. Raz kozie śmierć, zdecydowała. Jeff podniósł oczy znad filiżanki. Jego zainteresowanie wyraźnie się zwiększyło.

- A co, rozmawiałaś z nią?

- Tylko króciutko. Kiedy wpadła, żeby odebrać Michaela. Zaproponowała, że zabierze na cały dzień Dylana, co było naprawdę... miłe.

Pewnie Lily nigdy nie została przyłapana na kradzieży w sklepie, pomyślała w tej samej chwili. Jeff przytaknął i podniósł do ust filiżankę.

- No więc, opowiedz mi co nieco o Emmie Frost.

Wzięła głęboki oddech. Czyżby źle oceniła jego zamiary? Czy to możliwe, że zamierzał ją podrywać? Może cała groźba, że ją aresztuje była tylko czymś w rodzaju gry wstępnej? I jak ona miała się czuć, wkraczając na terytorium przyjaciółki, swojej najlepszej i jedynej przyjaciółki?

- A co chciałbyś wiedzieć?

- Cokolwiek - wzruszył ramionami, pochylił się w przód i oparł łokcie o blat stołu. Podbródek ukrył w splecionych dłoniach.

- No cóż, mam dwadzieścia dziewięć lat, jestem rozwiedziona, mam pięcioletniego synka...

- Dylana - dopowiedział.

- Tak, Dylana. - Czyżby jej nie wierzył? Czyżby planował coś w rodzaju zasadzki? - Poza tym niewiele jest do opowiadania.

- Ciekawe, czemu z trudem wierzę w to, co mówisz.

- Będziesz musiał mi to powiedzieć.

- Skąd pochodzisz?

- Urodziłam się w Buffalo.

- Buffalo?

- Tak, ale wyprowadziliśmy się stamtąd, kiedy miałam dwa latka.

- Dokąd?

- Cleveland, Detroit, Los Angeles, Miami... Wymień dowolne miasto, a pewnie okaże się, że tam mieszkałam. Bez przerwy gdzieś się przeprowadzaliśmy, kiedy byłam dzieckiem. Chyba wiesz, jak to bywa z żołnierskimi dziećmi - powiedziała, wzruszając ramionami.

- Nie wiedziałem, że w Detroit i Miami są bazy wojskowe.

Nagle poczuła, jak kilka kropelek potu zbiera się tuż za linią włosów, co groziło zrujnowaniem nowej fryzury.

- Akurat tam przeprowadziliśmy się już po śmierci mojego taty.

- Chyba musiał dość młodo umrzeć?

- Owszem, dosyć młodo.
- W jaki sposób oszedł?
- Został zabity w Wietnamie. Jeff skinął głową.
- Musiało być wam ciężko. Tak przenosić się z miejsca na miejsce...
- Owszem. Za każdym razem, kiedy już wtopiliśmy się w nowe sąsiedztwo, trzeba było się wyprowadzać i znów zaczynać wszystko od początku. Musiałam szukać sobie przyjaciół, przyzwyczajać się do nowej szkoły, nowych nauczycieli... Nie było łatwo.

- Dlaczego tak w kółko się przeprowadzaliście?
- Co?
- Powiedziałaś, że za każdym razem, kiedy zdążyliście wrosnąć w nowe otoczenie, musieliście się wyprowadzać.

- Nie powiedziałam, że musieliśmy! Po prostu przeprowadzaliśmy się, i już!
- Był jakiś szczególny powód?

Dlaczego zadawał jej tyle pytań? Emma czuła, że powoli zaczyna tracić cierpliwość. Kusiło ją, żeby czym prędzej dopić cappuccino, znaleźć jakąś wymówkę i wynieść się do wszystkich diabłów. Niestety, wyczerpała już zapas wymówek, a taki nagły odwrót prawdopodobnie nie był najlepszym sposobem postępowania z Jeffem Dawsonem.

- Tak. Moja mama wciąż była przenoszona z miasta do miasta.
- Więc ona też miała coś wspólnego z wojskowością? Roześmiała się.
- Owszem, jeśli chodzi o sposób mówienia. Była dyrektorem szkoły.
- I przenoszono ją z miasta do miasta? To chyba dość niezwykle w tym zawodzie?

- Dość niezwykle jest jedynie sposób podsumowania jej dokonań - odparła Emma.

- Jak to?
- Powiedzmy, że była takim typem człowieka i zostawmy to, dobrze?
- Jak sobie życzysz...

Życzę sobie, żeby jak najprędzej się stąd wynieść, pomyślała Emma. Czy on nigdy nie skończy tej kawy?

- Jak długo mieszkasz przy ulicy Szalonej Rzeki? - zapytał nieoczekiwanie.

- Od mniej więcej roku.

- Podoba ci się tutaj?

- Jest całkiem fajnie.

- Myślisz o przeprowadzce?

- Kto wie?

- W Dayton raczej nie ma pracy dla modelek - zauważył.

- Tak naprawdę wcale nie szukałam takiej pracy.

- Nie? Dlaczego?

- Dlatego że jestem tutaj, a tamto już się skończyło, jak sądzę.

- Nie sprawiało ci przyjemności?

- Szczerze mówiąc, nie bardzo. To znaczy, przez chwilę sądziłam, że to ciekawe zajęcie. Było wspaniale, kiedy ludzie robili wokół mnie mnóstwo zamieszania, powtarzali, jaka jestem piękna i tak dalej, ale w tym zawodzie człowiek podlega różnym stresom, o których przeciętni zjadacze chleba nie mają pojęcia.

- Na przykład jakim? Znow wzięła głęboki oddech.

- No, na przykład trzeba być szczupłym. Oczywiście, nie zwyczajnie szczupłym, lecz wręcz chudym. Cienkim aż do przesady.

- Chodzi o cienkie rzęsy?

- Co takiego?!

- Zawsze myślałem, że dobry tusz ma sprawić, że twoje rzęsy będą wyglądać na grubsze.

Za dużo myślisz, miała ochotę wykrzyknąć mu prosto w twarz.

- Robiłam też inne rzeczy, nie tylko w Maybelline.

- Tak? Jakie rzeczy?

- Reklamowałam różne produkty do włosów. No wiesz, „L'Oreal. Jestem tego warta”. - Roześmiała się.

- No chyba żartujesz. Widziałem te reklamy.

- Ja bratam w nich udział wiele lat temu. Jeszcze zanim zaczęto zatrudniać gwiazdy. Nie jestem nawet pewna, czy je nadawano w tych stronach.

- Dziwię się, że spece z Maybelline pozwolili ci robić reklamówki dla konkurencji.

- No cóż, tak naprawdę oni nie są dla siebie konkurencją. Obie firmy mają zupełnie inne produkty.

- To prawda.

- Poza tym, wtedy przepisy nie były tak restrykcyjne jak teraz.

- Miałaś mnóstwo szczęścia.

- Też tak uważam.

- I nigdy cię nie kusiło, żeby wrócić do tego biznesu?

- Raczej nie. Zresztą powoli zaczęłam się robić zbyt wiekowa, jak mi powiedziano.

- W wieku dwudziestu dziewięciu lat?

- Dla modelki to dużo. No, chyba że jesteś Cindy Crawford albo kimś takim.

- Więc co teraz robisz?

- Nie rozumiem.

- Żeby zarobić na utrzymanie. Pracujesz gdzieś? Emma wpatrzyła się w okno tęsknym spojrzeniem.

Słońce ostrym blaskiem świeciło jej prosto w oczy, a ona obserwowała beztroską młodą kobietę, która machając swobodnie rękoma, zmierzała do samochodu na parking. Zabierz mnie ze sobą, błagała w myślach.

- Obecnie nigdzie nie pracuję.

- Więc jesteś na chwilowym urlopie?

- Tak sędzę.

- Jakiś fundusz powierniczy?

- Co?

- Po prostu jestem ciekaw, z czego się utrzymujesz.

- Mam trochę oszczędności z czasów, kiedy byłam modelką. Niedużo już zostało - przyznała w nadziei, że to powstrzyma dalsze pytania. Miała już dosyć. - Planuję poszukać czegoś od jesieni, kiedy Dylan wróci do szkoły.

- A jaka praca cię interesuje? Może będę mógł ci pomóc.

- Och, to miło z twojej strony. Zapamiętam to sobie. A teraz mam nadzieję, że nie pomyślisz, iż jestem strasznie niegrzeczna, ale naprawdę muszę już lecieć. Mam mnóstwo spraw do załatwienia, zanim Dylan wróci do domu. Pranie, zakupy...

- Za wszystko oczywiście zapłacisz, jak sądzę. Zmusiła się do uśmiechu, zwalczając pragnienie, żeby rozbić mu na głowie kubek z logo Scully.

- No jasne. Nie musisz się o mnie martwić. - Wstała od stołu. - Dziękuję za kawę.

- Nie zapomnij o kubku! Wrzuciła kubek do torebki.

- Jeszcze raz dziękuję.

- Życzę miłego dnia - powiedział na pożegnanie.

- Cholera, cholera, cholera! - wrzasnęła Emma. Jednym szarpnięciem otworzyła frontowe drzwi swojego domu, jednocześnie zrywając z siebie kurtkę i kolejne warstwy odzieży, jakby jej ciało płonęło żywym ogniem.

- Psiakrew, zaraz się roztopię! - krzyknęła w głąb pustego mieszkania. W następnej sekundzie stała nago przed zlewem w kuchni i wielkimi haustami żłopała wodę prosto z kranu, jakby pochodziła z najczystszego źródła.

- Niech to diabli - powiedziała na widok swojego odbicia w polerowanej stali tostera. Po obu stronach głowy włosy zaczęły się podnosić, jakby lada moment zamierzały salwować się ucieczką. - Po prostu wspaniale. - Przemaszzerowała z powrotem do przedpokoju, żeby pozbierać porozrzucane na podłodze rzeczy. - Ta fryzura kosztowała mnie pięćdziesiąt pięć dolarów i guzik z niej zostało, a wszystko to pańska wina, panie Detektywie Dobroczyńco.

Podniosła brzoskwiniowy sweterek i przerzuciła go przez ramię, a potem wzięła jeszcze żółtą bluzę z bawełny, białego T-shirta, parę białych szortów i czarne legginsy - wszystko to zdołała ukryć pod swoim zwykłym ubraniem.

- Uważa się pan za takiego cholernego spryciarza, a jest zwykłym przygłupem! Co to miało być, według pana? Impreza na Dzień Dziecka? Czy pan sobie wyobraża, że ma do czynienia z jakąś amatorką? Pieprzony gnojek!

Chwyciła porzuconą tuż za drzwiami torebkę i pomaszzerowała na górę, do sypialni, gdzie cisnęła ją na łóżko. Kradzione rzeczy zaczęła utykać z tyłu szafy, żeby wykorzystać je kiedyś, w odległej przyszłości.

Klapnęła na łóżku, otworzyła torebkę, wyciągnęła z niej kubek z logo Scully i rzuciła w kąt. Wcale nie miała zamiaru przyjmować tych żalonych przeprosin - pojednawczego gestu, który miał jej wynagrodzić fakt, że Jan jej nie poznała. Przez ten pieprzony kubek o mało nie trafiłam do aresztu, pomyślała ze złością. Co za ironia losu. Gdyby nie ta cholerna skorupa, miałabym teraz prześliczne kolczyki z kryształu górskiego i wspaniałą jedwabną bluzeczkę. W kolorze fuksji, detektywie Dawson. Jeszcze raz sięgnęła w głąb torebki, a jej palce szybko natrafiły na przedmiot, którego szukała.

- Myślisz, że jesteś taki cholernie cwany, co? - uśmiechnęła się i był to pierwszy prawdziwy uśmiech od chwili, gdy opuściła salon Natalie. Wyjęła mały, ale zaskakująco ciężki puchar z brązu i stanęła przy oknie, żeby obejrzeć go w blasku popołudniowego słońca.

ZAWODY W KULTURYSTYCE KOBIET,
CINCINNATI, OHIO, 2002
DRUGA NAGRODA

Emma wolałaby trofeum za pierwsze miejsce, ale miała za mało czasu, by wybrzydzać. Po prostu wzięła coś niedużego z tylnego rzędu; coś, co nie rzucało się w oczy i czego brak nie zostanie od razu zauważony. Zresztą, czy Jan nie przyznała się, że nawet nie pamięta, ile nagród zdobyła? Może upłynie kilka tygodni, albo nawet miesięcy, zanim spostrzeże, że coś jej zginęło. A może potrwa to jeszcze dłużej.

Nagle uśmiech Emmy zastygł w nieprzyjemnym grymasie. Właściwie czemu ukradła tę bezwartościową błyskotkę? Była naprawdę paskudna, poza tym i tak nie będzie mogła postawić jej na widoku. W dodatku Jan była szefową Lily, a Lily była jedyną przyjaciółką Emmy. Musi jakoś zwrócić Jan jej własność. Chryste, co się z nią działo? Dlaczego pozwalała sobie na takie rzeczy? Zaniósła puchar do łazienki i wepchnęła do małej szafki pod umywalką. Oddam go przy pierwszej okazji, postanowiła. Trzeba tylko znaleźć jakiś sposób, żeby Jan niczego nie zauważyła.

A potem już nigdy w życiu niczego nie ukradnie.

- Chcesz się czegoś dowiedzieć? - spytał Brad, przerywając ponad godzinne milczenia. - Zaraz będziemy przejeżdżać obok Stolicy Dywanów Ameryki Północnej.

Jamie obojętnie popatrzyła na pobocze autostrady, a jej wciąż podpuchnięte oczy w końcu zdołały dostrzec drogowskaz sygnalizujący zjazd do Dalton - miasteczka liczącego dwadzieścia jeden tysięcy ośmiuset mieszkańców. STOLICA DYWANÓW AMERYKI PÓŁNOCNEJ, głosił napis. No cóż, czemu nie, pomyślała z roztargnieniem. Ameryka wydawała się stolicą wszystkiego, co stworzono na tym świecie, więc czemu akurat z dywanami miało być inaczej?

- To zadziwiające, ale sześćdziesiąt pięć procent dywanów, jakie w ogóle są produkowane, powstaje właśnie w Dalton. - Głos Brada był pełen entuzjazmu, jak gdyby stawał do konkursowych przesłuchań na spikera w telewizji.

Zacząła się zastanawiać, czy tylko informuje ją o faktach, czy też fantazjuje, żeby jej zaimponować. Jeszcze wczoraj każdy z powodów wydawałby się jej równie czarujący.

- Przeczytałem to w ulotce w naszym hotelu - oznajmił, jakby czytał w jej myślach. - Najwidoczniej jakaś córka farmera postanowiła wesprzeć rodzinę w czasach Wielkiego Kryzysu i zaczęła w domu tkąć narzuty i dywaniki. Potem dołączyły do niej inne kobiety i zanim ktokolwiek się obejrzał, już w Dalton rozkwitał chałupniczy przemysł, który w końcu stał się poważnym biznesem, przynoszącym miliardy dolarów zysku. To robi wrażenie, prawda?

Zbyła jego pytanie milczeniem. Czy naprawdę się spodziewał, że będzie z nim rozmawiała o jakichś głupich dywanach? Zresztą, może próbował przejąć rolę przewodnika tylko po to, by ją na nowo oczarować. Czyżby wyglądała na kogoś, kto tak łatwo da się udobruchać?

- Myślałem, że cię to zainteresuje, bo jak dotąd, to ty zadręczałaś mnie takimi nowinkami - powiedział, jakby znowu wiedział, co dzieje się w jej głowie.

Jamie zeszywniała. Wypełniła ją obawa, że jeśli pozwoli myślom swobodnie układać się w słowa, Brad zacznie rościć sobie prawo do nich i w końcu wykorzysta je przeciwko niej. „Bez słów nie ma myśli”, przypomniała sobie przeczytane gdzieś

zdanie, i starała się wypełnić umysł białym szumem. Jednak nie była w stanie zignorować tonu, jakim wypowiedział ostatnie słowa. Ten ton stanowił ostrzeżenie, że jej milczenie zaczyna go denerwować i że zaczyna czuć się urażony, jakby to jemu stała się krzywda. Gorzej, wzbiera w nim złość, a to oznacza, że wybuch może nastąpić w każdej chwili. Jamie zdecydowała, że w jej interesie leży, by już bardziej go do siebie nie zrażać. Jeśli tylko poczeka do następnego postoju, w tym czasie prowadząc uprzejmą konwersację na jakieś nieszkodliwe tematy, może zdoła go przekonać, że ma zamiar mu wybaczyć. To powinno nieco osłabić jego czujność i przy odrobinie szczęścia umożliwić jej ucieczkę.

- Co jeszcze wyczytałeś? - zmusiła się, żeby spojrzeć w jego kierunku.

Ze zdziwieniem stwierdziła, że nie wyglądał ani trochę inaczej. Wciąż był tak samo przystojny i promieniował z niego ten sam chłopięcy urok. Wciąż uśmiechał się tym samym zniewalającym uśmiechem. To tylko jej reakcja się zmieniła. Tęsknotę zastąpiła odraza, a w miejsce pożądania pojawił się wstręt. Strach i obawa na dobre wyгнаły wszelką myśl o miłości.

- No cóż, wiedziałas na przykład, że cały obszar Georgii pełen jest miejsc, gdzie podczas wojny secesyjnej toczyły się bitwy? Co prawda jedziemy w przeciwnym kierunku, ale autostrada I-75 prawie dokładnie pokrywa się ze szlakiem przemarszu Shermana w kierunku Atlanty. Za parę kilometrów dojedziemy do Rocky Face Ridge.

- Popatrzył na nią takim wzrokiem, jakby spodziewał się że ta nazwa nie jest jej obca.

- Mówi ci to coś?

- A powinno?

- Chryste, co ty robiłaś na lekcjach historii?! Spałaś, czy jak?!

- Historia nigdy nie była moją mocną stroną. Pokręcił głową, jakby zawiodła go na całej linii.

- Nie mogę uwierzyć, że nie wiesz.

Wzruszyła ramionami, ale nie odezwała się w obawie, że jeszcze bardziej go urazi.

- Rocky Face Ridge to miejsce, gdzie rozegrała się wielka bitwa pomiędzy wojskami Shermana a siłami rebeliantów. Walczyło tu około stu tysięcy ludzi. Wydaje mi się, że był to rok tysiąc osiemset sześćdziesiąty czwarty, może sześćdziesiąty piąty.

- I jak wielu zginęło? - spróbowała wykrzesać z siebie choć cień entuzjazmu.

- Pewnie kilka tysięcy, jak sędzę.

Skinęła głową. Nie była pewna, jak długo uda się jej podtrzymać rozmowę, nim wybuchnie płaczem.

- A całkiem niedaleko, tuż przed granicą Georgii z Tennessee, znajduje się Ringgold, gdzie doszło do największego pościgu za lokomotywą. To z pewnością pamiętasz.

- Czy chodzi o to, że żołnierze Unii ukradli cały pociąg, a jego załoga ruszyła w pościg, połowa z nich na własnych nogach? - Nie miała pojęcia, w jakich zakamarkach mózgu zdołała przechować tego typu informacje.

- No, no, całkiem nieźle!

- Wydaje mi się, że widziałam jakiś film na ten temat.

- Ja też - przytaknął entuzjastycznie. - Któregoś wieczoru puścili go na History Channel. Główną rolę grał Fess Parker. Wiesz, kto to jest Fess Parker, prawda?

O mój Boże, pomyślała w popłochu. Kim, do diabła, mógł być ten Fess Parker?

- Fess Parker to ten facet, który w telewizji grał Daveya Crocketta i Daniela Boone'a - wyjaśnił Brad. - A teraz, jeśli mi powiesz, że nie masz pojęcia, kim oni byli, to...

- Wiem, kim byli.

- No to powiedz.

Czy to jakiś rodzaj testu? Jeśli nie udzieli poprawnej odpowiedzi, on zatrzyma się gdzieś na poboczu drogi i za karę znów ją zgwałci?

- Davy Crockett był mieszkańcem pogranicza... - powiedziała prędko.

- „Davy, Davy Crockett - zanucił Brad. - Król dzikich osadników z pogranicza”.
No, mów dalej.

- Urodził się w tysiąc siedemset... - nie, nie mogła mówić dalej. A co będzie, jeśli popełni jakiś błąd? Jeśli pomylą się jej daty? Głos jej się załamał, a w oczach stanęły łzy.

- W tysiąc siedemset osiemdziesiątym szóstym w Limestone - wyrecytował płynnie. - Służył pod Andrew Jacksonem w latach tysiąc osiemset trzynaście - czternaście przeciw Indianom z plemienia Creek, a potem, w tysiąc osiemset dwudziestym

pierwszym, został wybrany do stanowych władz ustawodawczych, przez trzy kadencje zasiadał w Kongresie, aż w końcu stał się politycznym oponentem Jacksona i konserwatystą. Ostateczną porażkę poniósł w tysiąc osiemset trzydziestym piątym. Potem przeprowadził się do Teksasu, gdzie w tysiąc osiemset trzydziestym szóstym zginął w obronie Alamo.

- No, no! - zawołała Jamie, mimo woli pełna podziwu.

- A teraz Daniel Boone. - Najwyraźniej popisywanie się swoją wiedzą sprawiało mu prawdziwą uciechę. - Urodził się w tysiąc siedemset trzydziestym czwartym, w małej dziurze w pobliżu Reading, w Pensylwanii.

- Następnym król dzikich ludzi z pogranicza - wykrzyknęła i spostrzegła, że ramiona Brada wyraźnie zeszytniały. Z przerażenia wstrzymała oddech.

- Jego rodzina należała do sekty kwaków. Wkrótce wyprowadzili się z Pensylwanii i osiedli w Yadkin Valley w Karolinie Północnej, gdzie Boone stał się kimś w rodzaju badacza. Założył Boonesboro na Kentucky River i w tysiąc siedemset siedemdziesiątym szóstym został wybrany na kapitana milicji. Podczas Amerykańskiej Rewolucji schwyтали go Indianie Shawnee i przyjęli na członka plemienia, ale uciekł stamtąd po czterech miesiącach i założył nowe osiedle, Boone's Station w Kentucky, w pobliżu miejsca, gdzie teraz leży Athens. Przez kilka kadencji pracował jako członek Izby Niższej Kongresu Stanowego w Wirginii.

- Niezły z niego gość - odezwała się, kiedy stało się oczywiste, że powinna coś powiedzieć.

- No cóż, teraz okazuje się, że mnóstwo historii, jakie się o nim słyszy, to zwykła bujda, ale co z tego? I tak facet stał się legendą, racja?

Uśmiechnęła się, co powinno przez niego zostać odczytane jako dowód uwielbienia. Przynajmniej taką miała nadzieję.

- Racja.

- A jeśli chodzi o Fessa Parkera, to teraz jest grubą rybą wśród kalifornijskich producentów wina.

- Fess Parker... - powtórzyła. Nagle przeszył ją dreszcz, bo uświadomiła sobie, że nie dalej jak wczoraj rano zachwycała się jego znajomością historycznych błahostek. - Skąd to wszystko wiesz?

- Na temat Fessa Parkera? Przeczytałem w „People”.

- Nie, skąd wiesz o Davym Crockettcie i Danielu Boonie - poprawiła go.
Wzruszył ramionami.

- W zeszłym roku miałem mnóstwo czasu. Mogłem trochę odświeżyć swoje wiadomości.

- Jesteś bardzo utalentowanym człowiekiem - oświadczyła.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Nic - odparła szybko. - Po prostu jestem zdziwiona, że prowadząc firmę komputerową i pisząc oprogramowanie, znajdujesz jeszcze czas, by cokolwiek czytać.

- Czasami to czas znajduje ciebie - odrzekł zagadkowo.

Skinęła głową, zbyt zmęczona i zastraszona, żeby dalej drążyć ten temat.

- Jesteś także mężczyzną, który potrafi zaskakiwać - powiedziała w końcu, bo nic innego nie potrafiła wymyślić.

- Mam nadzieję, że nie zawsze w negatywny sposób - odparł.
Zmusiła się do uśmiechu.

- Nie zawsze.

- Czy to oznacza, że znów jesteśmy przyjaciółmi? - spytał po kilku sekundach milczenia.

- Przyjaciółmi? - Wyteńczyła wszystkie siły, żeby ukryć niedowierzanie.

- Wiesz chyba, jak mi przykro z powodu tego, co się stało.
„Z powodu tego, co się stało”, powtórzyła w duchu. Tak jakby coś rozegrało się poza jego kontrolą, a on nie miał z tym nic wspólnego.

- To nie stało się ot, tak sobie - odważyła się przypomnieć.

- Wiem. Wiem, że trochę mnie poniosło.

- Zrobiłeś mi krzywdę, Brad.

- Wiem o tym.

- I cierpiałam przez ciebie.

- I bardzo tego żałuję. Tak mi przykro, Jamie. Proszę, czy możesz mi wybaczyć? Przez cały dzień z tego powodu pluję sobie w brodę. To mnie doprowadza do obłądzenia. Wiesz przecież, że cię kocham, prawda?

Oczy Jamie wypełniły się łzami. Czy zaczynała tracić zmysły? Czy naprawdę prowadzi z nim taką dyskusję?

- Już sama nie jestem pewna, co wiem.

- Ej, kochanie! Musisz pamiętać tylko, że cię kocham. Możesz nic nie wiedzieć o Danielu Boonie czy Davym Croketcie, ale o tamtym musisz pamiętać.

Uśmiechnęła się niepewnie.

- Tak jest lepiej - odparł. - Teraz bardziej przypominasz moją dziewczynkę, Jamie - wyciągnął rękę i oparł na jej udzie.

Natychmiast się odsunęła.

- No już, nie przejmuj się tak bardzo! Niczego nie mam zamiaru zaczynać - wyglądał jednocześnie na zaskoczzonego i przepelnionego urazą. - Myślałem, że mamy to już za sobą.

- Chyba potrzebuję jeszcze trochę czasu - odpowiedziała błagalnym tonem.

- Jasne. Mamy czas - uśmiechnął się od ucha do ucha. - Przynajmniej do jutra wieczorem.

Na tak wyraźną implikację żołądek Jamie skurczył się do rozmiarów orzeszka.

- Dobrze się czujesz? - spytał.

- Jak sądzisz, czy moglibyśmy się gdzieś zatrzymać? Chcę się napić wody.

- Na tylnym siedzeniu jest kilka puszek coli. Kupiłem je, kiedy zatrzymaliśmy się na tankowanie.

- Wolalabym wodę.

- Może później.

Zamknęła oczy i próbowała policzyć do dziesięciu, a kiedy mimo to nie zdołała się uspokoić - do dwudziestu.

- Może posłuchamy muzyki? - spytała, kiedy już trochę się wyciszyła. W którymś momencie Brad wyłączył radio i wówczas powitała to z zadowoleniem. Teraz jednak cisza wydawała się wręcz przytłaczająca. Zupełnie jakby ktoś oczekiwał, że to ona ją wypełni.

Brad wcisnął włącznik i radio powróciło do życia, a nosowy, pełen optymizmu głos Shanii Twain wypełnił wnętrze auta. Jamie zaczęła mruczeć razem z nią, by robić wrażenie, że te mdłe piosenki bez reszty pochłaniają jej uwagę.

- Up, up, up - śpiewała Shania.
- Wiesz, że ona wcale się tak nie nazywa? - powiedział Brad.
- Naprawdę?
- Owszem. Jej prawdziwe imię brzmi Eileen, jeśli możesz w to uwierzyć.

Pochodzi z jakiejś małej miejsciny w północnym Ontario. Jej rodzice zginęli w wypadku samochodowym, więc sama wychowywała młodszych braci i siostry.

Jamie skinęła głową. Ta historyjka wydawała się jej znajoma.

- To z „People”?
- Nie, z „Entertainment Tonight”.
- Często oglądasz telewizję?
- Czasami. A ty?
- Więcej, niż powinnam.
- Kto to powiedział? Twoja matka i siostra?
- Nie mogę sobie przypomnieć, czy moja mama kiedykolwiek włączyła telewizor. Z kolei siostra twierdzi, że nie ogląda niczego poza PBS.
- Kłamie.
- Nie sądzę. Jest prawnikiem, więc...
- Więc co? Twoim zdaniem prawnicy nigdy nie kłamią?
- Miałam na myśli tylko to, że pomiędzy praktyką adwokacką i zajmowaniem się rodziną chyba faktycznie nie zostaje jej wiele czasu na siedzenie przed telewizorem, więc jest bardzo wybredna, kiedy już decyduje się coś oglądać.

- Gówno prawda.

Wzruszyła ramionami. Nigdy nie sądziła, że znajdzie się w sytuacji, kiedy będzie musiała stanąć w obronie siostry. Ani że będzie chciała to zrobić.

- Wiesz, co robi setka prawników na dnie oceanu? - spytał, uśmiechając się na myśl o puencie.

Pokręciła głową. Nie wiedziała i wcale jej to nie obchodziło.

- Zakładają biznes - zaśmiał się.

Zaczęła się zastanawiać, czy jej siostra słyszała ten dowcip. Cynthia nienawidziła kawałów o prawnikach. Jej zdaniem niewiele różniły się od rasistowskich obelg.

- Moja siostra powiada, że ludzie nienawidzą prawników aż do chwili, gdy ich potrzebują.

- A potem nienawidzą ich jeszcze bardziej. - Brad wziął głęboki oddech. - To kłamliwe, beznadziejne sukinsyny. Ktoś powinien zebrać ich do kupy, postawić pod ścianą i powystrzelać.

Jamie z wrażenia przestała oddychać, tak bardzo zaskoczyła ją jego gwałtowność.

- Okay, twoją siostrę możemy oszczędzić - dodał łagodniejszym tonem.

Spróbowała się uśmiechnąć.

- Wygląda na to, że miałeś złe doświadczenia z prawnikami.

- Każdy ma złe doświadczenia, kto musiał mieć z nimi coś wspólnego.

- Sądzę, że moja siostra jest niezłą prawniczką.

- Tak? A skąd wiesz? Widziałaś ją kiedyś w sądzie?

- Ona nie występuje w sądzie. Nie zajmuje się procesami.

PAPUGA, przypomniała sobie pierwszy etap ich podróży, swoje niewłaściwie ulokowane nadzieje, swoją utraconą niewinność. Jakże odległy wydawał się teraz tamten dzień.

- Więc jakim rodzajem usług prawniczych zajmuje się twoja siostra?

- Sprawami korporacji handlowych, poradami podatkowymi i tego typu rzeczami.

- To brzmi jak dobry dowcip.

- Wygląda na to, że ona naprawdę lubi to robić.

- Po prostu lubi pieniądze.

- Każdy je lubi.

- Och, to wcale nie jest prawda.

Prawda, pomyślała Jamie. Co to znaczy „prawda”? Czy cokolwiek, co powiedział jej o sobie przez te kilka dni, było prawdą? Czy to prawda, że sprzedałaś swoją firmę za jakieś śmieszne pieniądze, miała ochotę zapytać. Czy w ogóle prowadziłaś firmę komputerową? Czy naprawdę piszesz oprogramowanie? Czy faktycznie mieszkałaś w Breakersie, bo skończyła ci się umowa na wynajem apartamentu?

Czy twoja była żona i syn rzeczywiście mieszkają w Ohio? Co naprawdę zdarzyło się w domu Laury Dennison, kiedy stamtąd uciekłam?

- Kto to jest Grace Hastings? - To pytanie przeskoczyło długą kolejkę i wyrwało się jej jako pierwsze.

- Co?

- Grace Hastings - powtórzyła. - Kim ona jest, Brad?

Z pełną premedytacją zmusiła się, żeby wymówić jego imię - na znak, że znów zaczyna traktować go jak dawniej, jakby byli na najlepszej drodze do pojednania.

I chyba ta taktyka zaczęła przynosić efekty. Brad uśmiechnął się i pogłaskał jej dłoń, a ona z całych sił starała się nie wzdrygnąć ani nie odsunąć.

- Nikt, o kogo musiałabyś się niepokoić.

- Miałaś przy sobie jej kartę kredytową.

- Owszem, i parę razy bardzo mi się przydała.

- Ale...

- Grace była przyjaciółką Beth.

- Beth?

- Mojej byłej żony.

- Ach, tak...

Jamie zamilkła na moment. Mniej niż dwadzieścia cztery godziny temu uważała Beth Fisher za najszcześniejszą i najgłępszą kobietę pod słońcem. Najszcześniejszą, bo poślubiła tak wspaniałego faceta jak Brad, a najgłępszą, bo od niego odeszła. Jednak teraz tytuł Najgłępszej Kobiety Świata należał niewątpliwie do niej, do Jamie.

- Jak ona wygląda?

Brad ziewnął szeroko, jakby ten temat interesował go niewiele albo wcale.

- Chyba jest dość ładna. To robi ci jakąś różnicę?

- Po prostu jestem ciekawa.

- No cóż, znasz to stare przysłowie o ciekawości.

- Chodzi o to, że w głowie mam dwa, całkiem odmienne wyobrażenia.

- Jakie wyobrażenia?

- W jednym z nich widzę wysoką, eteryczną blondynkę.

- Eteryzną? Co to znaczy?

- Bardzo delikatną, kogoś w rodzaju anioła. Brad potrząsnął głową.

- Delikatna? Ktoś w rodzaju anioła? - zaśmiał się szyderczo. - A jaka jest w tym drugim?

- Niższa, o ciemniejszej karnacji, i mocniej zbudowana.

- Moim zdaniem, Beth ma w sobie trochę jednego i drugiego - odparł i znów się zaśmiał.

- A twój syn?

Ciekawe, czy ktoś taki w ogóle istnieje, pomyślała w tej samej chwili.

- A o co pytasz?

- Wiem, że mówiłeś, jak ma na imię, ale wyleciało mi z głowy - skłamała.

- Corey - powiedział, a jego twarz wyraźnie pociemniała.

A więc faktycznie ma syna, pomyślała. Przynajmniej w tej kwestii nie kłamał.

Piosenka się skończyła, Shania zniknęła, a spiker zapowiedział, że teraz pora na wiadomości. Zaraz potem nadano reportaż o ostatnich potyczkach w Iraku i samobójczym zamachu bombowym w Izraelu. Jakaś kobieta z Oklahomy wygrała pokaźną sumę w procesie przeciwko miejscowemu sklepowi z meblami, ponieważ podczas kupowania kanapy potknęła się o niesforne dziecko i złamała nogę. Fakt, że niegrzeczne dziecko było jej dzieckiem, nie miał najmniejszego znaczenia.

- Powinienem być zatrudnić jej prawnika - zauważył Brad.

- A dlaczego potrzebowałeś prawnika?

„Wciąż nie ma postępu w sprawie brutalnego morderstwa kobiety, do którego doszło wczesnym rankiem w Atlancie” - mówił dalej spiker.

Brad natychmiast przełączył kanał.

- Zaczekaj! - zawołała. - Co to było?

Boże, niech się okaże, że to pomyłka, modliła się jednocześnie, a jej myśli galopowały bezładnie. Niech wyjdzie na to, że się przesłyszałam, że spiker miał na myśli kogoś zupełnie innego. Proszę, nie pozwól, żeby to było to, o czym myślę.

„Nowy kryzys na Środkowym Wschodzie”.

Brad znowu zmienił stację.

„Nazywam się Margaret Sokołow i właśnie minęła godzina szesnasta”.

I znów ten głos zniknął, zastąpiony przez spikera na innym kanale.

„Policja wciąż szuka sprawcy brutalnego mordu, którego ofiarą dziś rano padła mieszkanka Atlanty”.

- Zostaw to - zażądała, kiedy Brad wyciągnął rękę, żeby wcisnąć przycisk.

- Jamie...

- Zostaw.

Brad wzruszył ramionami.

- Jak chcesz.

„Ciało Laury Dennison, lat pięćdziesiąt siedem, zostało odnalezione przez jej syna, Marka Dennisona, około ósmej rano, kiedy przed pójściem do pracy przyjechał do niej na śniadanie”.

Jamie poczuła, jak cała sztywnieje. Chryste, to przecież nie mogło zdarzyć się naprawdę.

„Mieszkanka Buckhead została pobita na śmierć. Policja nie ma na razie żadnych śladów ani podejrzanego o popełnienie tej okrutnej zbrodni i nie chce snuć domysłów...”.

Chrapliwy oddech Jamie wypełnił wnętrze auta. Brad wyłączył radio.

- Tylko nie zaczynaj mi tu histeryzować.

- Zabiłaś ją - wyszeptała, a cały świat zaczął wirować wokół niej.

- Bo tak naprawdę zasłużyła sobie na to, po tym wszystkim, co cię od niej spotkało.

- Zabiłaś ją.

- Jamie, to był wypadek.

- Wypadek?!

- Próbowałem tylko chronić ciebie.

- Chronić?! Mnie?!

- Ona cię rozpoznała. Najpierw starałem się przemówić jej do rozsądku, przekonać, że w życiu nie słyszałem o żadnej Jamie, ale roześmiała mi się prosto w twarz. Wtedy chciałem wytłumaczyć, że przyszliśmy tylko po to, co ci się słusznie należało, ale zaczęła wrzeszczeć. Krzyczała, że natychmiast zadzwoni na policję i że trafisz do więzienia na resztę życia, a ona z przyjemnością będzie się przyglądać, jak

gnijesz za kratkami. Na to nie mogłem pozwolić. Wtedy ją uderzyłem, ale ta stara suka dalej się darła. Więc waliłem na oślep, aż wreszcie się zamknęła.

- Powiedziałeś mi, że zdołałeś jej wyperswadować...

- Właśnie wtedy zaczęłaś bzikować. Co ci miałem powiedzieć? Zresztą, przecież wcale nie uwierzyłaś w te bzdury. Wiem, że nie uwierzyłaś.

On ma rację, pomyślała nagle, a to odkrycie odebrało jej mowę. Od początku znała prawdę, bo co innego mogło być prawdą?

- Pamiętaj, że zrobiłem to dla ciebie, Jamie, kochanie.

Jamie przycisnęła czoło do chłodnej szyby, zamknęła oczy i zaczęła się modlić o łaskę zapomnienia.

23

Lily siedziała przy kuchennym stole z piórem zawieszonym nad kartką czystego papieru i próbowała zebrać dziesiątki oderwanych myśli, które krążyły jej po głowie, a potem uporządkować je, nadać odpowiedni kierunek i natchnąć duchem dramatu. Tyle tylko, że jaki dramat może się narodzić po spędzonym na opiekowaniu się dwoma pięcioletnimi chłopcami popołudniu i siedzeniu z nimi w kinie? No, chyba że byłaby jakąś obłąkaną, powstrzymującą seksualne zapędy niańką, a jeden z chłopców byłby potomkiem jakiegoś cudzoziemca, względnie przedwcześnie dojrzałym seryjnym mordercą. Ale czy tego typu pomysły nie zostały już wykorzystane?

Oczywiście, to nie miało żadnego znaczenia. Jeśli setka pisarzy zasiądzie do pisania na ten sam temat, to otrzymamy sto różnych historii, jak mawiała jedna z nauczycielek wspierających literackie aspiracje Lily. Z tego wynikało, że dobry pomysł zawsze stanowi największy atut, i że jest nawet ważniejszy od tego, co się z nim potem zrobi. Niestety, w tym momencie nawet najlepszy temat nie byłby w stanie jej zainspirować.

A to w związku z tym, o czym wiesz, pomyślała. No cóż, wiem, że to seksualne niespełnienie, to pewne. A przynajmniej seksualna frustracja, poprawiła się po cichu, zastanawiając się, ile czasu minęło od chwili, gdy ostatni raz uprawiała miłość. Kogo ty chcesz oszukać, prychnęła zniecierpliwiona. Wiesz przecież dokładnie, kiedy

zdarzył się ten ostatni raz. Jej myśli poszybowały do tamtej pamiętnej marcowej nocy, czternaście miesięcy temu... Zerwała się na równe nogi, żeby zatrzymać napływ wspomnień, i podskoczyła do zlewozmywaka. Nalała sobie szklanek zimnej wody, choć wcale nie dręczyło jej pragnienie, a potem przez tylne okno wpatrzyła się w zapadający zmrok. Dochodziła ósma. Dni zdecydowanie się wydłużyły, pomyślała. Czas mijał tak szybko. Zanim zdąży się obejrzeć, nadejdzie lato, a po nim jesień. A za nim znów zima i następny marzec. Ile czasu wolno jej jeszcze zmarnować?

- W którymś momencie będę musiała pogodzić się tym, że życie jest takie, jakie jest - oznajmiła otaczającej ją ciszy. - I zacząć znowu żyć. Zacząć się pieprzyć.

Zaczęła się zastanawiać, jak to robi Jeff Dawson? Jak wygląda nago?

- Och, proszę - zbeształa samą siebie. Jednym haustem przełknęła całą szklanek wody, jakby chciała ugasić tłący się wewnątrz niej ogień, a potem wróciła na krzesło w kuchni. Złapała pióro - znacznie mocniej, niż należało - przy okazji wbijając sobie paznokieć palca wskazującego w środkowy palec. Przez kilka sekund zastanawiała się nad czymś, a potem naskrobała parę słów i starannie je podkreśliła.

Lily Rogers Podróż w nieznane

- Jak dotąd, całkiem nieźle - mruknęła, spoglądając na sufit. - Tylko co dalej?

Chyba powinnam zajrzeć do Michaela, zdecydowała, i już prawie się podniosła, ale uświadomiła sobie, że była u niego nie dalej jak dziesięć minut temu. Spał jak suseł, wyczerpany pełnym atrakcji dniem. Zerknęła na zegarek; minęła ledwie minuta, odkąd ostatnio sprawdzała czas. Ostatecznie mogła jeszcze pooglądać telewizję. Albo poczytać. Albo zadzwonić do Jeffa Dawsona, żeby powiedzieć mu raz jeszcze, jak miło wspomina ich wspólny wieczór, a potem może zasugerować, żeby wpadł na kawę. Nago.

- Chryste Panie! - jęknęła. - Dziewczyno, weź się w garść.

Lily Rogers Podróż w nieznane

Kiedy Nancy Firestone szła z synkiem ze szkoły do domu, nagle wpadło jej do głowy, że wszyscy trzej mężczyźni, z którymi uprawiała seks w ciągu ostatnich pięciu lat, już nie żyją.

- O rany - westchnęła, wpatrując się w kartkę papieru. Skąd jej przychodzą do głowy takie myśli? Powinna pisać o tym, co zna z własnego doświadczenia, a prawda wyglądała tak, że w ciągu ostatnich pięciu lat spała z jednym jedynym facetem.

Jeden z nich umarł na atak serca, drugi padł ofiarą złośliwego guza mózgu, a trzeci wjechał motocyklem w potężne drzewo, i w tym starciu nie miał żadnych szans.

- Wspaniale, po prostu wspaniale. - Oderwała kartkę z zeszytu i podarła ją na tuzin kawałeczków, następnie zgmiotła w garści i cisnęła na podłogę. Co przed chwilą sobie postanowiła w kwestii zaczynania na nowo życia? Musi napisać wszystko jeszcze raz.

Lily Rogers Podróż w nieznane

Kiedy Nancy Firestone szła z synkiem ze szkoły do domu, nagle przyszło jej do głowy, że wszyscy trzej mężczyźni, z którymi w ciągu ostatnich trzech lat uprawiała seks, już nie żyją. Jednego potrącił samochód, kiedy przechodził przez ruchliwe skrzyżowanie, drugi został powalony przez atak serca, trzeci zginął zastrzelony przez osobę - lub osoby - których tożsamości nie udało się ustalić.

- Tak już lepiej. - Jeśli nie będzie się ściśle trzymała znanych sobie faktów, równie dobrze może całkiem popuścić wodze fantazji. Tylko co teraz? - Chyba powinienam jakoś przedstawić Nancy.

Nancy Firestone mierzyła metr siedemdziesiąt pięć i była wyższa, niż należało się spodziewać, biorąc pod uwagę, że żadne z jej rodziców nie przekroczyło metra sześćdziesięciu pięciu. Miała długi nos, pełne usta, a jej włosy wydawały się odrobinę zbyt ciemne, żeby pasowały do bladej cery. Jednak najbardziej charakterystyczną cechą Nancy były oczy - wielkie, błękitne, które zawsze sprawiały wrażenie, że wiedzą więcej, niż mówią. Kryły w sobie całe pokłady tajemnic, jak wyszeptał jej do ucha

pewien mężczyzna, co usłyszawszy, Nancy odrzuciła głowę do tyłu i wybuchnęła śmiechem.

Lily opuściła długopis i zaczęła się zastanawiać, w którym momencie Nancy Firestone przeistoczyła się w Emmę Frost. I co Dylan miał na myśli, kiedy tego popołudnia powiedział, że jego mama dostała imię po niemowlęciu Rachel z *Przyjaciółek?*

- Pewnie chciałeś powiedzieć, że mają tak samo na imię, prawda? - poprawiła go automatycznie, kiedy światła w kinie zaczęły już przygasać. Obserwowała Dylana, jak zanurzył piąstkę w olbrzymiej torbie z popcornem, przy okazji wysypując na kolana prawie połowę jej zawartości.

- Nie - zaprotestował i zaczął napychać sobie buzię, jakby się bał, że w pewnym momencie Lily bez ostrzeżenia odbierze mu torbę. - Przedtem nazywała się inaczej, tylko nie wolno mi o tym nikomu mówić.

Potem dodał, że Dylan to nie jest jego prawdziwe imię, tylko pewnego dzieciaka, który mieszka w Beverly Hills, i że on nie lubi tego imienia, więc mama obiecała mu, że następnym razem sam sobie wybierze takie, jakie będzie chciał. Ale o tym też nie powinien opowiadać. Lily uśmiechnęła się i zapewniła, że nikomu nie zdradzi tajemnicy.

Teraz pokręciła głową z wymuszonym podziwem. Mogłaby wykorzystać trochę tego, co urodziło się w nadpobudliwej wyobraźni Dylana, do swojej własnej pracy.

Był naprawdę dziwnym dzieckiem, zdecydowała po dłuższym namyśle. Milczący i ostrożny w jednej chwili, gadatliwy i otwarty w następnej. Zupełnie pozbawiony strachu w pewnych sytuacjach, w innych bojący się własnego cienia. Jej matka mawiała o takich dzieciach, że są zmienne jak ogień i woda. Podobnie jak Emma, pomyślała Lily. Z nią też nigdy nie było się pewnym, na czym się stoi. Na przykład jak dziś wieczorem, kiedy Lily odprowadziła Dylana do domu. Emma potraktowała ją uprzejmie, ale z daleka, jakby patrzyła przez nią, a nie na nią. Ledwie zwróciła uwagę na komplementy dotyczące nowej fryzury i wyraźnie czuć było od niej odór papierosa, który jak plaster przykleił się do uroczego, rozpinanego sweterka w kolorze brzoskwini.

- Och, jaki śliczny. - Lily postanowiła spróbować jeszcze raz. - Chyba nowy, co?

- Nie, oczywiście, że nie! - padła ostra odpowiedź, choć samo „nie” zupełnie by wystarczyło.

- Mamo, ty śmierdzisz dymem! - wrzasnął nagle Dylan i zalał się łzami, oskarżając matkę o sprzeniewierzenie się danej mu obietnicy, że zrezygnuje z palenia.

Emma upierała się, że czuć ją tytoniem, ponieważ poszła na kawę ze starym znajomym, który „pali jak lokomotywa”.

- Z jakim znajomym? - Ale to pytanie pozostało bez odpowiedzi, chociaż po chwili zadał je po raz drugi.

Na policzki Emmy wystąpiły gniewne rumieńce. Pospiesznie podziękowała Lily, że dzięki niej Dylan spędził miło ten dzień, a potem zwyczajnie pokazała jej drzwi.

- Jeszcze raz dziękuję - powiedziała i wypchnęła ją na zewnątrz.

O co jej chodziło, dziwiła się teraz Lily, choć postanowiła z zachowania przyjaciółki nie wyciągać zbyt daleko idących wniosków. Emma zawsze zachowywała się bardziej niż powściągliwie. Ostatecznie, jeszcze zanim doszło do zamieszania z listami, nigdy nie raczyła zdobyć się na coś więcej poza zwykłym powitaniem. Mimo wszystko Lily miała nadzieję, że są na najlepszej drodze, by pewnego dnia zostać prawdziwymi przyjaciółkami. Czyżby dziś wydarzyło się coś, przez co nastawienie Emmy zupełnie się zmieniło?

- Okay - powiedziała na głos i znów skupiła uwagę na tym, co pisała. Podniosła długopis i odwróciła kartkę.

- A może spróbujemy z całkiem innej strony?

Lily Rogers Podróż w nieznane

Prawie dwa lata minęły od czasu, gdy Nancy Firestone po raz ostatni uprawiała seks.

- Oho!

Krażyły pogłoski, że ten ostatni raz był paskudny, brutalny i krótki. Jednym słowem, stanowił odpowiednie zakończenie małżeństwa, które od samego początku okazało się straszliwą pomyłką.

Wpatrzyła się w zdanie, które właśnie napisała, i z wrażenia przestała oddychać. Co ona wyprawia? Jednym, pełnym determinacji ruchem wyrwała kartkę z zeszytu, zwinęła te okropne słowa w ciasną kulkę i rzuciła w poprzek pokoju, w miejsce gdzie spoczywała już poprzednia, odrzucona strona. Do diabła, co najlepszego zrobiła?

Znów złapała za długopis i z wściekłością zaczęła gryzmolić na następnej kartce.

Lily Rogers Podróż w nieznane

Minęły prawie dwa lata od czasu, gdy Nancy Firestone po raz ostatni uprawiała seks. Dwa lata spędzone w samotności, tęsknocie i kłamstwie.

I znowu wyrwała kartkę, żeby wymazać własne słowa.

- Co się z tobą dzieje, na litość boską?! Spróbuj tylko jeszcze raz napisać coś równie głupiego!

Lily Rogers Podróż w nieznane

Minęły prawie dwa lata od chwili, gdy Nancy Firestone po raz ostatni uprawiała seks. Doszła do wniosku, że najwyższy czas, by wreszcie coś z tym zrobić.

- Co za dziewczyna z tej Nancy. Ale w tym jest coś więcej. - Lily zerwała się na równe nogi tak gwałtownie, że krzesło, na którym siedziała, przewróciło się na podłogę. Zostawiła je tam, gdzie upadło, a sama chwyciła torebkę i nerwowo zaczęła

w niej grzebać, aż w końcu trafiła palcami na wizytówkę, której szukała. Wyciągnęła ją na wierzch i popatrzyła na wypisany starannym drukiem numer telefonu, bez zastanowienia notując go w pamięci, a następnie wcisnęła klawisze w aparacie, zanim miała okazję pomyśleć, co tak naprawdę robi.

- Dwa lata bez seksu to piekielnie długo - powiedziała na głos, nasłuchując kolejnych sygnałów. Pierwszy, drugi, trzeci...

Czyjś głos odezwał się w trakcie czwartego dzwonka.

- Cześć - powiedział Jeff Dawson, jakby z góry wiedział, kto dzwoni. Jakby czekał na jej telefon.

No oczywiście, pomyślała Lily. Na pewno ma identyfikację przychodzących połączeń. Czy dlatego tyle czasu trwało, zanim odebrał telefon? Może się zastanawiał, czy w ogóle ma ochotę z nią rozmawiać?

- Cześć, mówi Lily. Lily Rogers - dodała na wypadek, gdyby znał więcej niż jedną Lily. Na wypadek, gdyby już zdążył wymazać ją z pamięci. Może powinna była powiedzieć, że mówi Nancy Firestone. Nancy Firestone z pewnością by wiedziała, jak poprowadzić rozmowę.

Ale Jeff Dawson wcale jej nie słuchał.

- *Dodzwoniłeś się do mieszkania Jeffa Dawsona* - mówił dalej znajomy głos. - *Tu moja automatyczna sekretarka.*

- Och, cudownie.

Tyle czasu żyła bez seksu, że nie była już w stanie rozróżnić nagrania od rozmowy z żywym człowiekiem.

- *Nie mogę w tej chwili odebrać telefonu, ale jeśli po sygnale zostawisz nazwisko, numer i krótką wiadomość, odezwę się do ciebie w możliwie najkrótszym czasie.*

- Nie sędzę - mruknęła i odwiesiła słuchawkę.

No cóż, widocznie Jeff dokądś wyszedł. Właściwie czemu nie miałby tego zrobić? Chyba nie spodziewałaś się, że będzie siedział w domu, z utęsknieniem wyczekując na twój telefon, prawda?

- Jasne, ale niewątpliwie byłoby to miłe.

Jeszcze przez parę chwil stała na środku kuchni, a potem odwróciła się na pięcie i wyszła.

Minutę później przycupnęła na brzegu swojego łóżka i zaczęła przełączać kanały w malutkim telewizorku.

- Chyba uda mi się wreszcie coś znaleźć.

Niestety, kiedy dwukrotnie przeszła przez wszystkie programy, z rozczarowaniem stwierdziła, że na żadnym z nich nie nadają niczego, co choćby w niewielkim stopniu wydało się interesujące. Co się z nią działo? Skąd ten niepokój? Miała za sobą całkiem udany dzień - galeria malarstwa okazała się rzeczywiście tak cudowna, jak mówił Jeff, a film - animowana opowieść o gadatliwych rekinach i innych podwodnych kombinatorach - okazał się miłą odmianą. Poza tym miała okazję najeść się frytek z McDonalda i sprzedawanego w kinie popcornu, a Michael nie sprawiał wieczorem żadnych kłopotów, tylko grzecznie położył się do łóżka. Dlaczego więc była dziś tak wyprowadzona z równowagi?

Czyżby zły humor Emmy okazał się zaraźliwy? A może była rozczarowana, że Jeff nie zadzwonił? Albo chodziło o to, że czuła się podniecona? Wzruszyła ramionami, ale nie udało się jej pozbyć nie milego wrażenia, że coś wisi w powietrzu. Coś nieprzyjemnego.

Wreszcie wybuchnęła śmiechem. Ile razy w ciągu minionego roku czuła to samo? I czy kiedykolwiek cokolwiek się stało? Nie. Prawdę mówiąc, jedyny raz, kiedy coś miało się wydarzyć, nie przeczuwała absolutnie niczego i wcale nie była przygotowana, aby stawić temu czoło. Czy miała jakiegokolwiek pojęcie o strasznym sekrecie, jaki ukrywał przed nią mąż? Czy choćby przez mgnienie oka podejrzewała, że Kenny uderzy motocyklem w drzewo?

Lily wpatrzyła się w ekran telewizora i nagle zdjęła kciuk z pilota, bo jej uwagę przyciągnął uroczy, stary dom na końcu okolonej drzewami ulicy.

- Czy w Atlancie działa następny seryjny morderca? - spytał dźwięczny, męski głos, podczas gdy na ekranie widok cichej uliczki zmienił się w portret atrakcyjnej, starszej kobiety. - Brak postępów w śledztwie w sprawie brutalnego morderstwa popełnionego we wczesnych godzinach rannych na bogatej wdowie mieszkającej w ekskluzywnej części Atlanty - kontynuował uroczyście spiker CNN, podczas gdy w

dole ekranu przesuwaly się pozostałe tematy dnia. - Laura Dennison, lat pięćdziesiąt siedem, została odnaleziona przez swojego syna, Marka Dennisona, około ósmej rano. Mieszkanka Georgii otrzymała wiele uderzeń w głowę zadanych tępym narzędziem. W chwili obecnej policja odmawia komentarza na temat, czy obecne zabójstwo może mieć związek z poprzednimi dwoma, których ofiarami w ciągu ostatnich ośmiu miesięcy padły w Atlancie dwie starsze kobiety.

- W tym momencie nie mamy podstaw sądzić, że te sprawy w jakikolwiek sposób są ze sobą powiązane - oznajmił z widocznym zniecierpliwieniem jakiś oficer policji. Wyraźnie starał się jak najszybciej uciec od mikrofonów, które jak oszalałe skakały mu przed oczyma.

- Lecz to oświadczenie wcale nie przekonuje stałych mieszkańców ekskluzywnych przedmieść Atlanty - mówił dalej komentator, a na ekranie ukazały się zatroskane twarze.

- Oczywiście, że się boję - zaliła się przed kamerą jakaś starsza dama. - Czy policja coś robi, żeby nas chronić?

- Trzy kobiety zostały zamordowane w ciągu zaledwie ośmiu miesięcy - dodała gniewnie inna. - To z pewnością robota seryjnego mordercy! Jak długo policja zamierza zaprzeczać temu, co oczywiste?

- Nikt się nie spodziewał, że podobna rzecz może się wydarzyć w miejscu takim jak Buckhead.

Lily wyłączyła odbiornik. Nie miała zamiaru wysłuchiwać opowieści o seryjnym zabójcy, który grasuje po ulicach, podczas gdy policja wydaje się tak samo bezradna jak zwykli obywatele.

Równie dobrze mogę zacząć czytać Steinbecka, pomyślała, kierując się ku schodom i zastanawiając się, ile członkiń klubu książki czyta o tej porze zadaną powieść. Przynajmniej robię dzięki temu trochę ćwiczeń, pomyślała, zeskakując z ostatniego stopnia i skręcając do salonu. Nagle poprzez przejrzyste zasłony zobaczyła na szybie cień mężczyzny.

Odruchowo wstrzymała oddech, podczas gdy tamten człowiek zamarł z głową schyloną w jej kierunku.

- O Boże - szepnęła, kiedy postać zniknęła. Niemal jednocześnie rozległo się stukanie do drzwi wejściowych, na początku niepewne, a potem coraz mocniejsze i bardziej natarczywe.

Ostrożnie przesunęła się w stronę holu.

- Lily? - usłyszała przez podwójne drzwi męski głos. - Lily? To ja, Jeff Dawson. Jesteś tam?

Jednym szarpnięciem otworzyła pierwsze skrzydło i wpatrzyła się przez ekranowe drzwi w twarz detektywa.

- Lily, przepraszam za to najście. Czy bardzo cię wystraszyłem?

Lily zachichotała, bo w tej samej chwili poczuła się jak ostatnia idiotka, choć jednocześnie ogarnęła ją niesamowita ulga.

- Właśnie oglądałam w telewizji wiadomości i mówili o tym seryjnym mordercy z Atlanty...

- I pomyślałaś sobie, że zboczył z drogi, żeby wpaść na ulicę Szalonej Rzeki?

- Chyba jednak trochę mnie to wystraszyło. Wejdz, proszę.

- A nie przeszkadzam?

- Nie, absolutnie.

- Byłem właśnie w pobliżu... - zaczął, ale nagle przerwał. - Szczerze mówiąc, byłem w zupełnie innej części miasta.

Wszedł do środka, a Lily zamknęła za nim drzwi.

- Dlaczego tak cholernie ciężko jest odgrywać trudnego do zdobycia?

Lily uśmiechnęła się słodko.

- Nie wiem, nigdy nie byłam dobra w męsko-damskich gierkach.

- To dobrze. Ja byłem w tym wręcz fatalny.

- Muszę się przyznać, że dzwoniłam do ciebie parę minut temu - powiedziała.

- Tak? A dlaczego?

- Bo pomyślałam, że może miałbyś ochotę wpaść na filiżankę kawy?

- Uwielbiam kawę.

- No cóż, w takim razie dobrze, że zadzwoniłam. Roześmiali się. Lily, lekko oszołomiona, ale szczęśliwa, poprowadziła go do kuchni.

- Mój Boże, co tu się stało?

Wzrok Lily zatrzymał się na przewróconym krześle i porzucanych po podłodze kulach z papieru. Szybko podniosła krzesło, ustawiła przy stole, a następnie do kosza pod zlewem wrzuciła zgniecione kartki papieru.

- Byłam trochę sfrustrowana opowiadaniem, które właśnie piszę.

- Czy można ci w czymś pomóc?

Możesz zdjąć ubranie i kochać się ze mną jak szaleniec tu, na kuchennym stole, pomyślała, odmierzając kawę na sześć filiżanek i odlewając do ekspresu odpowiednią ilość wody. Przez cały czas starała się opanować drżenie rąk. Udawanie niezbyt trudnej to jedna sprawa, a robienie z siebie idiotki to całkiem inna.

- Czy może być bez kofeiny? - spytała, odwracając się, ale w tym samym momencie on przystąpił do niej.

Ich pocałunek był delikatny i namiętny zarazem, jak wszystko, o czym śniła przez cały dzień. Z całej siły starała się trzymać ręce przy sobie, bo bała się, że jeśli tylko dotknie Jeffa, nie będzie się w stanie powstrzymać, dopóki nie zerwie z niego całego ubrania. Może zrobiliby to na stojąco? - pomyślała nieoczekiwanie dla samej siebie. A jeśli jej synek się obudzi, zejdzie na dół, i znajdzie ich splecionych w dzikim uścisku przy kuchennym kredensie?

- Więc zabrałam dziś chłopców do galerii, tak jak proponowałeś. To było coś wspaniałego, bardzo im się podobało - wyszeptała, żeby trochę zwolnić bieg wydarzeń.

- Chłopców? - spytał, ponownie odnajdując jej usta.

- Michaela i Dylana, syna Emmy.

Nagle poczuła, jak Jeff sztywnieje i przerywa pocałunek.

- Jeff? Coś nie tak?

Czyżby wspomnienie o synu nie tylko spowolniło sprawy, ale okazało się dla nich wręcz zabójcze?

Jeff cofnął się o krok, oparł o kuchenny stół i popatrzył w nią oczyma policjanta.

- Jak dobrze znasz tę Emmę Frost? - spytał. Co się dzieje, pomyślała spłoszona.

- Nie rozumiem...

- Mówię o twojej przyjaciółce Emmie. Jak długo ją znasz?

Czemu o to pyta?

- No cóż, od pewnego czasu jesteśmy sąsiadkami, ale tak naprawdę zaprzyjaźniłyśmy się parę dni temu. A czemu pytasz? Co się stało?

- Co możesz mi powiedzieć na jej temat?

- Czemu miałabym ci cokolwiek mówić? - Lily usłyszała w swoim głosie gotowość do obrony i zdziwiła się, kogo niby ma bronić.

- Widziałem się z nią dzisiaj.

- Tak? - Czy właśnie Jeffa miała Emma na myśli, kiedy wspominała o kawie ze starym znajomym, który „pali jak lokomotywa”? - Byłeś z nią na kawie?

- Tak, ale zaraz po tym, jak...

- Po tym, jak co?

Wielki Boże, pomyślała Lily. Po czym?

- Po tym, jak przyłapałem ją na kradzieży w sklepie.

- Co?!

- W salonie firmowym Marshalla. Mało brakowało, a byłbym ją aresztował.

- Co?! - powtórzyła Lily, zupełnie jakby potrafiła wymówić tylko to jedno słowo.

- Jedyne powód, dla którego tego nie zrobiłem, to ten, że jest twoją przyjaciółką.

- No wiesz, to przecież śmieszne. Nie potrafię sobie wyobrazić, żeby Emma ukradła cokolwiek.

- Ukradła bluzkę i szal, i parę kolczyków... Bóg wie, co jeszcze zdołała przemyścić pod ubraniem - wyliczył bez zająknięcia.

Nagle Lily ujrzała Emmę w uroczym sweterku w kolorze brzoskwini. Czy dlatego Emma nie chciała spojrzeć jej prosto w oczy, kiedy przyprowadziła Dylana do domu?

- Opowiedz mi, co wiesz na jej temat.

- Niewiele - przyznała Lily. - Tylko tyle, że kiedyś była modelką.

- Co jeszcze?

- Że sprzedała swoje wspomnienia do „Cosmopolitan”.

- Widziałaś je?

- No nie. Zostawiła je, kiedy odchodziła od męża.
 - A odeszła od niego, ponieważ...
 - ...ponieważ jej eks okazał się zbrojcem. Zajmował się dziecięcą pornografią i tego typu sprawami.
 - Czy powiedziała kiedyś, gdzie on mieszka?
- Lily pokręciła głową. Jeff zaczynał naprawdę budzić w niej przerażenie.
- Myślisz, że ona kłamie?
 - Powiedziała mi, że jej rodzina w kółko się przeprowadzała, ponieważ ojciec służył w armii.
 - Cóż, w tym chyba nie ma nic niezwykłego, przynajmniej z tego, co wiem o życiu takich dzieciaków.
 - No tak, ale w Miami ani w Detroit nie ma baz wojskowych, a właśnie te dwa miasta wymieniła. Kiedy ją o to zahaczyłem, zaczęła wymyślać jakieś bzdury, że to jej matka była przenoszona ze szkoły do szkoły.
 - Jej matka była dyrektorem w szkole - potwierdziła Lily. - Może po prostu przenosiła się tam, gdzie dostawała lepszą propozycję.
 - Emma powiedziała mi jeszcze, że jej ojciec zginął w Wietnamie, kiedy była dzieckiem.
 - Więc?
 - To raczej trudne, bo wojna w Wietnamie skończyła się przed jej urodzeniem.
 - Mój Boże!
- A ja zostawiłam z tą kobietą synka.
- Wiesz, jej syn powiedział mi dzisiaj coś dziwnego - przypomniała sobie nagle.
- Myślałam, że tylko fantazjuje, jak to dziecko...
- A co powiedział?
 - Że wcale nie nazywa się Dylan, a jego mama Emma, ale że nie wolno mu o tym komukolwiek mówić. Uważasz, że to może być prawda?
 - Uważam, że znacznie bardziej należy wierzyć Dylanowi niż jego matce.
 - Ale jeśli ona nie jest Emmą Frost, to kim jest? - zaniepokoiła się Lily.

Jeff nie odezwał się ani słowem, ale wszystko dopowiedziało jego milczenie. Cholera, nie mam pojęcia, ale zrobię wszystko co w ludzkiej mocy, żeby się dowiedzieć.

24

Jamie siedziała skulona na paskudnym, zrobionym z ciemnego drewna zagłówku nierównego, podwójnego łóżka i starała się przelykać łyżę. Brad kazał jej przestać płakać, a postępowanie zgodnie z jego życzeniami było niezwykle istotne, ponieważ nie chciała go więcej denerwować. Bo jeśli go zdenerwuje - tak jak wiele razy podczas tego wlokącego się w nieskończoność popołudnia - to może znów ją uderzy. Woląca nie ryzykować następnego bicia. Zwłaszcza teraz. Teraz, kiedy nareszcie wyglądał na odprężonego i szczęśliwego, a jego pięści spoczywały wygodnie po bokach, gdy leżał wyciągnięty w nogach łóżka, ze stopami zwisającymi z ohydnej, musztardowozielonej kapy, z oczyma przyklejonymi do telewizora.

Nagle ryknął śmiechem i odwrócił głowę w jej kierunku.

- Cha, cha! Słyszałaś to, Jamie, kochanie?

Co takiego, zastanawiała się? Kręgosłup jej zeszywniał od opierania się o twarde drewno zagłówka. Ciekawe, czy to prawdziwe drewno, czy tylko imitacja, pomyślała z roztargnieniem, bo bała się roztrząsać inne, znacznie bardziej istotne tematy. Na przykład, jak się wyrwać z tego okropnego, maleńkiego pokoiku w tym strasznym, tanim motelu? Albo w jaki sposób uciec od tego okropnego człowieka, który bez przerwy udawał, jak bardzo ją kocha, tłukąc po twarzy tak mocno, że zęby dzwoniły jej gdzieś koło uszu. Jak to możliwe, że kiedyś uważałam go za przystojnego, dziwiła się teraz na widok trującego uśmiechu, który zaczął się już wkradać w intensywny błękit jego oczu. Szybko wyrzuciła z głowy takie niepożądane myśli. On z pewnością je zobaczy, myślała ze strachem. Zobaczy i znów zacznie ją bić.

- Nie słyszałaś? - zapytał.

- Przepraszam - odparła z pośpiechem. Powinna była słuchać. Powinna być bardziej uważna.

- Za co przepraszasz?

- Za nic. Po prostu przepraszam.

Brad wsparł się na łokciach i parsknął śmiechem.

- Mam dla ciebie dobrą nowinę, dziewczynko - oznajmił. - Możesz się czuć zupełnie bezpieczna. Policja w Atlancie uważa, że to robota jakiegoś seryjnego mordercy. Dasz wiarę?

- Co?

O czym on mówi?

- Policja sądzi, że twoja teściowa została zamordowana przez jakiegoś przygłupa, który zajmuje się zabijaniem niewinnych kobiet.

Dlaczego oni tak uważają? - dziwiła się w duchu.

- Najwyraźniej dlatego, że w ciągu zeszłego roku wykończył już dwie inne staruszki - odpowiedział, zupełnie jakby wypowiedziała swoje wątpliwości na głos.

On czyta we mnie jak w książce, przestraszyła się. Zna każdą moją myśl. Dlatego to takie ważne, żeby mieć w głowie pustkę i zachować czysty, niczym niezamącony umysł.

- Głupie gliny - zaśmiał się znowu. - Hej - zawołał, kiedy spojrzał na okrągły, drewniany stół, wciśnięty między łóżko a okno. - Wciąż nie zjadłaś ani kęsa ze swojej kolacji.

- Nie mogłam - szepnęła. Na samą myśl o jedzeniu robiło się jej niedobrze.

Brad zerwał się na równe nogi, podszedł do stolika, podniósł papierową torbę z zimnym już cheeseburgerem i frytkami, i cisnął w stronę łóżka. Torba wylądowała prosto na kolanach Jamie, a wyraźny odór zarcia z McDonalda wdarł się w jej nozdrza, wywołując kolejną falę mdłości.

- Musisz nabrać siły, Jamie - powiedział takim tonem, jakby wyłącznie jej dobro leżało mu na sercu. - No dalej, zjedz coś.

Jamie przyciągnęła torbę do piersi, rozłożyła celofanowe opakowanie i powstrzymując siłą woli odruch wymiotny, skubnęła niepewnie kęs bułeczki.

- Brawo, moja dziewczynko - zawołał, a Jamie przypomniała sobie, jak zachwycona była, kiedy nazwał ją tak po raz pierwszy. - No dalej! Zjedz parę frytek.

Podszedł do niej, stanął obok i czekał, co zrobi.

- Ale naprawdę nie mogę - ośmieliła się sprzeciwić.

- Nie zjadłaś nic w czasie lunchu - zbeształ ją. - Dalej, zacznij wreszcie jeść.

Jedz, bo się zdenerwuję.

Jamie natychmiast wygarnęła pełną garść zimnych frytek i wepchnęła je do ust. Tylko nie zacznij rzygać, powtarzała sobie. Jeśli się rozchorujesz, Brad dostanie szału; powie, że zrobiłaś to celowo, że ma już tego dość, i że skoro zachowujesz się jak rozkapryszony dzieciak, to będzie musiał traktować cię jak dzieciaka. Sama wiesz, co to znaczy. Tych samych słów użył, kiedy meldowali się w tym nieszczęsnym motelu. To samo powiedział, zanim zaczął bić... Szybko wepchnęła do ust jeszcze jedną porcję frytek i ugryzła większy kęs cheeseburgera.

- Tak już lepiej. - Wrócił na swoje miejsce w nogach łóżka. - Hej, może gdzieś jest jakiś film z Chuckiem Norrisem?

Zaczął przeskakiwać po kolejnych kanałach, ale ponieważ nie było nic ciekawego, wkrótce znów trafił na CNN.

- Co za oszczędne gnojki. Żeby w tym cholernym motelu nie mieli nawet TNT?
- zaśmiał się. - Ale jutro będzie lepiej, obiecuję. Jutro dostaniemy świeży zastrzyk gotówki i będziemy mogli pojechać nawet do Ritza. Już mam dość gównianych hotelików.

- Skąd? - spytała, opuszczając na kolana cheeseburgera. Dopiero wówczas zorientowała się, że powiedziała to słowo na głos.

Brad mrugnął do niej z szelmowskim uśmiechem.

- Niech cię o to głowa nie boli. Jak tam twój burger?

Natychmiast podniosła bułkę do ust. Zmusiła się, żeby przeżuć kolejny kęs, choć jej kubki smakowe wydawały się zupełnie odrętwiałe. Przy odrobinie szczęścia ten paraliż rozszerzy się na całe ciało. Przy odrobinie szczęścia ta drętwota ogarnie także duszę.

Zamknęła oczy, oparła się i pozwoliła, żeby jej ciało zaczęło się kołysać, zupełnie jakby wciąż siedziała w samochodzie. Jechali dzisiaj ponad sześć godzin, zatrzymując się tylko raz, na przedmieściach Williamsburga - żeby zatankować i żeby ona mogła pójść do toalety. Brad wszedł tam razem z nią i stał tuż za drzwiami kabiny,

zupełnie jak tamten biedny obłąkaniec na Florydzie, podczas pierwszego dnia ich podróży. Jak dawno to było? - zaczęła się zastanawiać. Chyba całe życie temu.

Życie Laury Dennison.

- O Boże!

- Co się stało? - spytał z wyraźnym zniecierpliwieniem. - Chyba nie masz zamiaru znowu rzygać?

Pokręciła głową i znowu ugryzła bułkę, jakby chciała w ten sposób dowieść nowo nabytej odporności swojego żołądka.

- Dzięki Bogu. Chyba bym nie zniósł twoich kolejnych wygłupów.

Od chwili, gdy wyjechali z Dalton, Jamie wymiotowała trzy razy. Pierwszy raz tuż za Knoxville, gdzie Brad ledwo zdążył na czas zjechać na pobocze; drugi raz, gdy samochód wspinał się po stromej pochyłości na autostradzie, wyciętej w zboczu Pine Mountain, niezbyt daleko od granicy Tennessee z Kentucky. Tym razem Brad nie zadał sobie trudu, żeby gdzieś zjechać, bo - jak słusznie przypuszczał - w jej żołądku niewiele już zostało i nie było czym się przejmować. Powiedział wówczas, że jego zdaniem, ona robi to celowo, a odgłosy jej torsji zaczynają mu działać na nerwy. Roześmiała się z niedowierzaniem, ale zanim zdążyła skontrolować swoją reakcję, z jej ust wymknęło się pogardliwe prychnięcie. To właśnie wtedy uderzył ją po raz pierwszy - wierzchem dłoni walnął prosto w skroń, wywołując w mózgu falę wibracji, która rozeszła się gdzieś między uszami. Krzyknęła, a wówczas zbił ją znowu, co skończyło się rozcięciem wargi. Wtedy usłyszała, że jeśli nadal ośmieli się hałasować, złamie jej kark jak marną gałązkę, a ciało porzuci gdzieś na poboczu autostrady.

Po tym wszystkim siedziała cicho jak trusia.

W Berea, miasteczku liczącym dziewięć tysięcy dwustu mieszkańców, mijali z pół tuzina policyjnych wozów. Jamie za każdym razem wstrzymywała oddech, modląc się, żeby któryś z nich zatrzymał ich samochód. Jednak Brad z rozmysłem przestrzegął ograniczenia prędkości, a opony uporczywie trzymały powietrze, więc żaden z policjantów nie zwrócił na nich najmniejszej uwagi. Minęli zjazd do Lexington - dwieście czterdzieści jeden tysięcy ośmiuset mieszkańców; Georgetown - jedenaście tysięcy czterystu mieszkańców; Florence, gdzie populacja okazała się tak mała, że nawet nie warto było o niej wspominać, mimo że w miasteczku znajdowała się ogromna

fontanna w kształcie wieży z wielkim napisem FLORENCE Y'ALL; aż wreszcie dojechali do Cincinnati - milion osiemset dwadzieścia tysięcy mieszkańców.

- Już prawie jesteśmy na miejscu - oznajmił Brad tonem, w którym pobrzmiwało coś w rodzaju prawdziwej radości.

Od Dayton dzieliło ich mniej niż pół godziny jazdy. I właśnie wtedy Jamie zwymiotowała po raz trzeci. Tym razem Brad poczekał, aż zameldują się w zaniedbanym motelu na południe od Middleton - czterdzieści sześć tysięcy mieszkańców - i dopiero wtedy ją pobił.

Jamie opuściła jedzenie na kolana, podniosła rękę do ust i ostrożnie dotknęła miejsca, gdzie Brad ją uderzył. Dotąd nikt nigdy jej nie bił. Ani matka, ani Tim Rannells. Nawet Mark Dennison.

- Przestań wreszcie macać tę wargę - odezwał się Brad, chociaż nie zauważyła, by się odwrócił. - Znowu zaczniesz ci krwawić.

Natychmiast opuściła dłoń, a on przeczołgał się po łóżku na drugą stronę.

- No chodź - powiedział, pochylając głowę w jej kierunku. - Pocałuję i zaraz będzie lepiej.

Wstrzymała oddech, kiedy jego wargi muskały jej usta; miała wrażenie, że jak kwas parzą jej posiniaczone i obolałe ciało.

- Skończyłaś wreszcie kolację? - spytał, zaglądając do papierowej torby.

Zaczęła cichutko płakać.

- Brad, ja już naprawdę nie mogę.

Proszę, nie każ mi więcej jeść, błagała po cichu.

- W porządku, dziewczynko - powiedział uspokajającym tonem. - Nieźle dałaś sobie radę jak na kogoś, kto twierdził, że w ogóle nie jest głodny.

Jamie z wdzięcznością skłoniła głowę. Nieźle dała sobie radę. Brad był z niej zadowolony.

- Wiesz, co powinnaś teraz zrobić? - spytał nagle.

Zaprzeczyła gestem, zbyt przestraszona, by ośmielić się zapytać.

- Moim zdaniem powinnaś zadzwonić do swojej siostry.

- Mojej siostry?!

- Powiedziałaś jej przecież, że za parę dni się odezwiesz, więc powinnaś to zrobić.

- Naprawdę chcesz, żebym zadzwoniła do siostry? - powtórzyła z niedowierzaniem.

- No cóż, ona pewnie słyszała w wiadomościach, że ktoś przywalił w łeb tej starej suce z Atlanty, a chyba nie chcemy, żeby wyciągnęła z tego jakieś śmieszne wnioski, prawda? Więc uważam, że powinnaś do niej zadzwonić i uspokoić, że wszystko jest w porządku. - Sięgnął po słuchawkę i wręczył ją Jamie. - Powiedz jej... Powiedz, że jesteś w Savannah, tam, gdzie zawsze chciałaś pojechać, i że bawisz się jak nigdy w życiu. No, dzwoni - polecił, zabierając ze stołu telefon i rzucając jej na kolana. - Najpierw musisz chyba nacisnąć osiem albo dziewięć, żeby wyjść na zewnętrzną linię.

Jamie powoli podniosła słuchawkę, przycisnęła ją do ucha i wybrała numer siostry. Co właściwie ma jej powiedzieć, zastanawiała się przez cały czas. Jak powinna zacząć, żeby siostra zrozumiała, w jak poważnych tarapatach ona się znalazła?

- Pamiętaj, że tu jestem i będę słyszał każde twoje słowo - ostrzegł Brad. Wyciągnął z kieszeni nóż i leniwie machał nim tam i z powrotem, jednocześnie przytulając się do niej.

Ktoś odebrał telefon na początku drugiego sygnału.

- Halo? - zaćwierkał czyjś głosik.

- Melissa? - Na dźwięk głosu trzyletniej siostrzenicy w oczach Jamie pojawiły się łzy.

- Tak. A kto mówi?

- Ciocia Jamie, kochanie.

- Kto taki?

- Ciocia Jamie - powtórzyła, tym razem głośniej.

- Melissa, kto to? - usłyszała gdzieś w tle wołanie siostry.

Gdybym teraz zaczęła wrzeszczeć, pomyślała Jamie... Ale jeśli zacznę, nie będę mogła przestać. Dopóki on mnie nie uciszy. W ten sam sposób, w jaki uciszył Laurę Dennison.

- Melissa, czy mogę porozmawiać z mamusią? - spytała ostro.

- Halo? - usłyszała w następnej sekundzie głos Cynthii.

Wyobraziła sobie siostrę stojącą pośrodku nieskazitelnie czystej kuchni, z książką prawniczą w jednym ręku, a kucharską w drugim, trzymającą na biodrze małego Tylera, podczas gdy Melissa płacze się gdzieś w okolicy jej kolan.

- Halo? - powtórzyła Cynthia. Jej ton zdradzał, że nie ma czasu na żarty.

- Przywitaj się z siostrą, Jamie - szepnął Brad.

- Cynthia, to ja...

- Jamie? Jamie, gdzie jesteś? Todd, to Jamie!

- Gdzie ona jest? - zagrzemiał Todd.

- Gdzie ty się podziewasz, do diabła? - Cynthia powtórzyła pytanie męża. - Już odchodziliśmy od zmysłów, co się z tobą dzieje.

- Powiedz jej, że jesteś w Savannah - polecił Brad, zakrywając dłonią słuchawkę. - I że wszystko jest w porządku.

- Wszystko w porządku, Cynthia. Jestem w Savannah.

- W Savannah? Ona jest w Savannah - usłyszała, jak Cynthia zwraca się do Todda. - Dzięki Bogu. Tak strasznie się denerwowaliśmy. Nie wiedziałam, co myśleć, zwłaszcza po... Oglądałaś CNN?

Brad skinął głową.

- Tak - powiedziała szybko Jamie. - Nie mogłam w to uwierzyć.

- Nie wiedzieliśmy, co o tym myśleć. To znaczy, oczywiście nigdy bym nie uwierzyła, że mogłaś mieć coś wspólnego z tym, co spotkało panią Dennison, ale ostatnio tak dziwnie się zachowywałaś... Rzuciłaś pracę, wyjechałaś bez uprzedzenia, a ja wiedziałam, jak bardzo nienawidzisz tej kobiety. W dodatku nie dawałaś znaku życia. No cóż, powiedzmy po prostu, że jestem zadowolona, że wreszcie raczyłaś się odezwać. Kiedy masz zamiar wrócić do domu? Brad wzruszył ramionami.

- Nie jestem pewna.

- Co to znaczy, że nie jesteś pewna?

- Za tydzień albo dwa - odpowiedział szeptem Brad.

- Za tydzień albo dwa - powtórzyła za nim jak automat.

- Tydzień albo dwa? Jamie, co się dzieje?

- Nic.

- Proszę, obiecaj mi, że nie wyjdiesz za mąż.

- Co takiego?!

- Obie wiemy, jak bardzo potrafisz być impulsywna. Mam tylko nadzieję, że ostatni raz czegoś cię nauczył.

- Nie bój się, nie wyszłam za mąż.

Ta rozmowa powoli zaczynała przypominać jakiś surrealistyczny sen.

Brad zasłonił ręką usta, żeby powstrzymać wybuch śmiechu.

- Przyrzekasz?

- Do jasnej cholery, Cynthia...

- Okay, to mi wystarczy. Todd, ona na szczęście nie wyszła za mąż. Więc co właściwie robisz? Jesteś tam sama?

- Z przyjaciółmi - powiedział bezgłośnie.

- Jestem tu z paroma przyjaciółmi.

- Z jakimi przyjaciółmi? Ty przecież nie masz żadnych przyjaciół.

O Boże, pomyślała Jamie. To byłoby naprawdę zabawne, gdyby nie było tak cholernie żałosne.

- Powiedz jej, że musisz już iść. - Brad zaczął zataczać nożem kółka, sygnalizując w ten sposób, że powinna przyspieszyć bieg spraw.

- Cynthia, muszę powoli kończyć - powiedziała Jamie do siostry.

- Zaczekaj! Coś mi tu nie pasuje. Czuję to.

- Wszystko pasuje, możesz mi wierzyć.

- Obiecujesz?

- Cynthia, u mnie wszystko w porządku. Nie musisz się o mnie martwić.

- Och, z pewnością. - Tak jakby kiedykolwiek miało się to stać prawdą.

- Uściskaj ode mnie dzieciaki, a Toddowi daj wielkiego, ckliwego buziaka.

- Co?!

- Kocham cię, siostrzyczko.

Nastąpiła chwila ciszy. Jamie wyobraziła sobie wyraz konsternacji na twarzy młodszej siostry.

- Ja też cię kocham - powiedziała w końcu Cynthia.

- Zadzwoń za parę dni. - Jamie szybko odłożyła słuchawkę. Serce waliło jej jak młotem.

- Grzeczna dziewczynka - powiedział Brad.

Skinęła głową, zastanawiając się, czy Cynthia odczytała jej rozpaczliwe wołanie o pomoc. Z pewnością musiała wiedzieć, że ostatnią rzeczą, o jaką Jamie mogła ją poprosić, było to, żeby ucałowała od niej męża, choć naprawdę lubiła szwagra. To drobny znak, ale dodane do tego wyrazy siostrzanej miłości również musiały wydać się Cynthii czymś niezwykłym, więc całkiem możliwe, że zaczęła rozumieć, iż faktycznie zdarzyło się coś strasznego. Jednak czy to wystarczy, by zadzwoniła na policję i zaalarmowała, że jej siostra wpadła w jakieś tarapaty? Że powinni zacząć szukać niebieskiego thunderbirda? Jamie bez trudu wyobraziła sobie konwersację pomiędzy Cynthią a jej mężem.

- „Coś mi tutaj nie pasuje” - usłyszała jej słowa.

- „I to cię dziwi?” - odpowiedział Todd. - Pamiętaj, kochanie, że rozmawiamy o twojej siostrze”.

- „Przed chwilą powiedziała, że mam cię od niej gorąco ucałować”.

- „Pewnie już zdążyła się nawalić” - odparł zdecydowanym tonem, żeby rozproszyć obawy żony.

- „Ale powiedziała także, że mnie kocha”.

- „Jak nic, była pijana na umór”.

- „Taak... Pewnie masz rację - zgodziła się Cynthia. - Boże, czy ona wreszcie zacznie się zachowywać jak normalna, dorosła kobieta?”.

Jamie zamknęła oczy. Siostra nie zadzwoni na policję. Po prostu skończy przygotowywać kolację dla męża i dzieci, potem uporządkuje papiery, które przyniosła z biura, może odpowie na kilka telefonów, a następnie trochę poczyta, zanim nadejdzie pora, żeby iść do łóżka. Może ona i Todd będą się kochać, a może nie. Może pomyśli przez parę minut o starszej siostrze, zanim odpłynie w sen. Chociaż pewnie nie. Myślenie o dużej siostrzyczce było zbyt denerwujące, zbyt wyczerpujące. Zupełnie jakby Jamie była częścią nocnych koszmarów.

- „To nie jest twój problem” - usłyszała słowa Todda, kiedy Brad odstawił aparat na stolik przy łóżku.

- O co chodzi, Jamie, kochanie? - zapytał Brad. - Zaczynasz tęsknić za domem?

Jamie wpatrzyła się w stojącego obok łóżka mężczyznę. Obserwowała, jak rozciągając się, unosi wyprostowane ręce wysoko nad głowę, a nóż wydaje się naturalnym przedłużeniem jednej z nich, jakby był częścią jego ciała. Czymś w rodzaju dodatkowego palca.

- Kim ty właściwie jesteś? - zapytała, a słowa uleciały z jej ust razem z westchnieniem. Kiedy zdała sobie z tego sprawę, zadrżała jak osika, i wewnętrznie przygotowała się na spotkanie z pięściami Brada.

Ale on tylko się roześmiał.

- Co to za pytanie?

- Nigdy nie zajmowałeś się pisaniem oprogramowania, prawda?

Śmiech stał się znacznie głośniejszy.

- Nie mam bladego pojęcia o jakimś cholernym oprogramowaniu.

- I nie ma żadnej firmy komputerowej...

- ...którą sprzedałem za olbrzymie pieniądze? Nie, obawiam się, że nie ma.

Jamie skinęła głową na znak, że przyjęła do wiadomości to, co i tak od dawna było dla niej jasne.

- Czy przynajmniej rzeczywiście nazywasz się Brad Fisher?

- No cóż, druga część jest prawdziwa. Imię pożyczyłem sobie od Brada Pitta.

Nie sądzę, żeby miał coś przeciw temu. Pitt... - powtórzył. - Co za paskudne nazwisko.

Nie pojmuję, czemu go nie zmienił. Brzmi tak, jakby ktoś spluwał. - Brad z trzaskiem zamknął nóż i wsunął go do kieszeni dzinsów.

- A jak naprawdę masz na imię?

- Co to za różnica?

- Żadna, jak sądzę - odparła. Zresztą, czy cokolwiek miało jeszcze znaczenie?

- Na świadectwie urodzenia wpisane mam imię Ralph - powiedział, wpatrując się w swoje odbicie w lustrze, które stało na komodzie naprzeciwko łóżka. - Tak samo nazywał się mój ojciec. - Przesunął ręką po krótko przystrzyżonej, kasztanowej czuprynie. - Ale ja zawsze nienawidziłem tego imienia. Teraz nazywam się Brad Fisher. Mam nowe imię, nowe włosy i nową dziewczynę.

- A te rzeczy, które mówiłeś mi o swoim ojcu... - zaczęła Jamie. Zupełnie zignorowała ostatnie zdanie, ośmielona jego nagłą chęcią do opowiadania o sobie.

- O co konkretnie pytasz?

- Czy coś z tego było prawdą?

- Masz na myśli opowieść, jak zabrałem pannę Carrie-Leigh Jones na przejażdżkę nowym autem ojca?

Skinęła głową. Dostrzegła, że zwisające po bokach dłonie Brada na samo wspomnienie zacisnęły się w pięści.

- Owszem, to prawda.

- I to, że cię zbił, także?

Nic nie odpowiedział, ale jego twarz odbita w lustrze wyraźnie pociemniała.

- Co na to twoja matka? - spytała prędko.

- A o co pytasz?

- Czy kiedykolwiek próbowała go powstrzymać?

- O, tak - zaśmiał się ponuro. - Do dziś ma blizny na dowód, że próbowała.

- Więc ją też bił?

- Można to nazwać czymś w rodzaju rodzinnej tradycji.

- A twoje siostry?

- Nie mam sióstr - przyznał, z rozbawieniem potrząsając głową. - Chodzi ci o tę bajeczkę o tym, jak nauczyły mnie całować? No cóż, zaczerpnąłem ją z jakiegoś piśmidła, gdzie był wywiad z naszym dzielnym chłopcem, Tomem Cruise'em. Nawet nie jestem ci w stanie powiedzieć, ile razy dzięki tej historyjce przeleciałem jakąś panienkę - zaśmiał się. - W każdym razie to Tom nauczył się całowania od swoich sióstr. Jeśli chodzi o mnie, miałem tylko młodszego brata.

- Miałeś?

- Tak. Zabił się jakieś osiem lat temu. Krótko mówiąc, zaczął się na śmierć - wyjaśnił, zanim Jamie zdążyła o cokolwiek zapytać.

- Tak mi przykro - szepnęła i była to święta prawda. Żal jej było ich wszystkich.

- A czemu ci jest przykro? To była jego własna, cholerna wina. Zresztą, kogo to obchodzi? To było tak dawno.

- Gdzie teraz są twoi rodzice?

- Moja matka ciągle mieszka w Teksasie. Ojciec nie żyje. - Uśmiechnął się. -
Miał facet sporo szczęścia. Dopadł go atak serca, zanim ja zdążyłem go dorwać.

Jamie się wzdrygnęła, kiedy dotarła do niej ostatnia część informacji.

- A ta opowieść o tym, skąd wzięłeś nóż?

- Była cholernie dobra, nie sądzisz? Jestem całkiem dobry w wymyślaniu podobnych historyjek. - Roześmiał się i okręcił na pięcie, żeby na nią spojrzeć. - A właściwie czemu nagle mnie o to wypytujesz?

- Po prostu próbuję cię poznać - wyjąkała i dopiero wtedy uświadomiła sobie, że to prawda.

Brad wrócił do łóżka, usiadł i zamknął w dłoniach obie jej ręce.

- Chcesz wiedzieć, jaki jestem naprawdę, to miałaś zamiar powiedzieć, prawda?

Zesztywniała i cofnęła się pod jego dotykiem, powstrzymując się siłą woli przed wyrwaniem mu rąk.

- To prawda, chcę poznać prawdziwe oblicze Brada Fishera.

Chcę wiedzieć, kim jest mężczyzna, z którym sypiam, dodała w myślach.

Mężczyzna, któremu zaufałam i któremu oddałam serce. Mężczyzna, który mnie zgwałcił, który mnie bije i który z zimną krwią zamordował kompletnie nieznaną kobietę.

Może jeśli zdoła go skłonić, żeby mówił o sobie wystarczająco długo, wpadnie na jakiś pomysł, jak się wydostać z tego koszmaru.

- No dobrze - powiedział. Złożył na jej ustach lekki pocałunek, a potem wsparł się na łokciach i skrzyżował nogi. - Możesz pytać dalej.

25

- Masz zamiar mnie zabić? - Wszystkie jej pytania stopiły się w to jedno.

- Zabić cię? - Brad wydawał się naprawdę zaskoczony. - Na litość boską, dlaczego miałbym cię zabijać?! Przecież ja cię kocham, Jamie! Zapomniałaś o tym, czy jak?

Łzy napłynęły jej do oczu. Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale nie zdołała wykrztusić ani słowa.

- Czy to właśnie niepokoiło cię przez cały dzień? Czy dlatego tak dziwnie się zachowywałaś?

Jamie odwróciła głowę w stronę okna, starając się pojąć sens tego, co przed chwilą usłyszała.

Czy mówił poważnie? Czy naprawdę zastanawiał się nad jej zachowaniem i dziwił się, co ją niepokoiło? Czy to w ogóle możliwe?

- No sama powiedz, czy nie jesteś małym, zabawnym stworzonkiem... -

Wślizgnął się do łóżka obok niej i otoczył ją ramionami, jednocześnie całując w czoło.

- Czy naprawdę myślałaś, że chciałbym cię zabić? - Zachichotał.

- Sama już nie wiem, co myśleć. Jestem potwornie przerażona.

- Czy to ja cię przerażam?

- Nie rozumiem, co się stało - przyznała. Łzy wymknęły się jej spod powiek i rozlały po policzkach.

- Czego nie rozumiesz, Jamie, kochanie?

- Wszystkiego. - Zaczęła się kołysać w przód i w tył. - Nie rozumiem, co właściwie wydarzyło się w Atlancie.

- Trochę mnie poniosło, to wszystko. Już przecież cię za to przeprosiłem. - Gdzieś w tle znów pojawiła się znajoma nuta zniecierpliwienia.

- Nie o to mi chodzi.

- A o co?

- O wszystko - odparła. - Nie rozumiem, jak do tego doszło, Brad. Jak to możliwe, że coś podobnego w ogóle mogło się wydarzyć?

- Jamie, czasami pewne rzeczy zdarzają się bez powodu.

- Na litość boską, ale tutaj zginęła kobieta!
- Kobieta, której nienawidziłaś. Kobieta, która traktowała cię jak śmiecia.
- To jeszcze nie znaczy, że zasłużyła na śmierć.
- Według mnie tak.

- Chcesz powiedzieć, że zabiłeś ją dla mnie?

O Boże, pomyślała w tej samej sekundzie. O Boże, Boże!

- A co to za różnica, dlaczego ją zabiłem? Już jest martwa, wszystko jedno dlaczego!

- Proszę cię, Brad... Po prostu pomóż mi zrozumieć.

Brad oparł się o zagłówek i podłożył pod głowę splecione ręce, zupełnie jakby właśnie zażywał kąpieli słonecznej.

- Sam nie wiem, czy jestem w stanie to zrobić, Jamie, kochanie.

Jamie ze wszystkich sił usiłowała zmienić swoje obawy w myśli, myślom nadać kształt słów, słowa zaś ustawić w spójne, jasne zdania.

- Powiedz mi, co się zdarzyło - powiedziała w końcu, kiedy inne słowa zdawały się pozbawione sensu.

- Nie bardzo wiem, od czego mam zacząć?

- Dlaczego przyjechaliśmy do Atlanty?

- O co ci chodzi?

- Dlaczego przyjechaliśmy do Atlanty? - powtórzyła spokojnie.

- Po prostu tędy przejeżdżaliśmy - przypomniał jej. - Jedziemy przecież do Ohio.

- Nie - poprawiła go. - Ja chciałam jechać, dopóki nie dotrzemy do Barnsley Gardens. To ty domagałeś się, żebyśmy zatrzymali się na noc w Atlancie.

- Byłem zmęczony. Zwyczajnie chciałem odpocząć.

- Nieprawda. Chciałeś dostać się do jej domu - powiedziała. Nie była w stanie wymówić na głos nazwiska Laury Dennison. - Planowałeś to od dłuższego czasu.

- No dobrze, może masz rację - przyznał po chwili milczenia. - Po tym, jak opowiedziałaś mi, co się stało z twoimi kolczykami, pomyślałem, że może fajnie byłoby złożyć tej starej wiedźmie niespodziewaną wizytę.

- Już wtedy zdecydowałeś, że włamiesz się do jej domu.

- Przypominam, że razem włamaliśmy się do jej domu.
- Już wcześniej włamywałeś się do cudzych domów. - I znów było to raczej stwierdzenie niż pytanie.

Brad tylko się uśmiechnął.

- Raz czy dwa.
- I miałeś już wcześniej kłopoty.
- Raz czy dwa - powtórzył.
- Ale dlaczego musiałeś posunąć się aż do zabójstwa? - spytała.
- Ona widziała nas, Jamie. Co innego mogłem zrobić w tej sytuacji?
- Mogłeś uciec. Uciec razem ze mną.
- Najpierw musiałem zadbać o interesy.
- Jak... W jaki sposób ją zamordowałeś? - wydusiła wreszcie.
- Przecież wiesz, jak. Słyszałaś w telewizji.
- Pobiłeś ją na śmierć.
- Wcale nie było tak, jak usiłują to przedstawić w tych cholernych reportażach.

Po prostu kilka razy ją trzepnąłem. Nawet nie bardzo musiałem się wysilać.

- Uderzyłeś ją świecznikiem - powiedziała bezbarwnym głosem.
- Hej! Pan Fisher ze świecznikiem wdziera się do sypialni - roześmiał się Brad.
- Pamiętasz tę grę, Jamie? Trzeba było odgadnąć, kto kogo zabił, gdzie i w jaki sposób. Jak ona się nazywała? „Wskazówka”?

- „Wskazówka”?

Czyżby naprawdę rozmawiali o jakiejś kretyńskiej grze planszowej?

- Tak, właśnie o nią mi chodzi. Uwielbiałem w to grać.
- Przez cały czas planowałeś, że ją zabijesz, prawda?

Brad zmarszczył brwi i przechylił głowę na jedną stronę, jakby na serio zastanawiał się nad odpowiedzią.

- Raczej wpadłem na ten pomysł na miejscu - odparł.
- To dlatego przyniosłeś ten świecznik do jej pokoju.
- Masz na myśli ten, na którym wszędzie były twoje odciski palców? - zapytał figlarnie.

Te słowa odebrała jak uderzenie obuchem. Złapała za brzeg narzuty, żeby nie zwalić się na podłogę. Uśmiechnął się.

- Chyba masz rację, kochanie - powiedział i pomógł jej się podnieść.

- Dlaczego? - wyszeptała.

- Co „dlaczego”, Jamie, kochanie? Czego od niej oczekiwał?

- Zabiłeś już kiedyś kogoś? - usłyszała swój głos. Na kilka sekund zapadła cisza.

- Raz czy dwa - odparł.

- O Boże!

- Hej! Tylko nie zacznij mi znowu wyprawiać jakichś hysterii!

Jamie musiała bardzo się postarać, żeby zatrzymać w sobie krzyk, który za wszelką cenę usiłował wymknąć się na zewnątrz. Nagle przypomniała jej się złota karta kredytowa i wypisane na niej nazwisko.

- Grace Hastings?

- No, no, no! Brawo dla mojej dziewczynki! Jak nie należy ci się złota odznaka.

Wiesz, że jesteś prawdziwym malutkim detektywem?

- Kim jest ta Grace Hastings? Co jej zrobiłeś?

- Zaczekaj. Za każdym razem tylko jedno pytanie.

- Kim ona jest? - powtórzyła, starając się nie myśleć o biedaczce w czasie przeszłym.

Brad wzruszył ramionami.

- To przyjaciółka Beth. Chociaż ja zawsze podejrzewałem, że wzdychała do czegoś więcej... Hej, Jamie, zabawiałaś się kiedyś w układzie pod tytułem trójkaćik dwie na jednego?

- Co?!

- Przecież słyszałaś dokładnie, co powiedziałem.

- Brad, co się stało z Grace Hastings?

- Uhu! Już dosyć. Przez cały czas tylko ty zadawałaś pytania. Teraz moja kolej.

- Proszę...

- Byłaś kiedyś w układzie dwie na jednego? - powtórzył z uporem.

- Nie - odpowiedziała.

- A zdarzyło ci się kiedyś kochać z kobietą?

- Nie.

- I nigdy nie miałaś ochoty spróbować?

- Nie - odpowiedziała zdecydowanie.

- Nawet troszeczkę?

- Nie.

- To nie twoja działka, co? Przytaknęła. Co mu strzeliło do głowy?

- A gdybym ci powiedział, że cholernie mnie podnieca sama myśl o tym, że jesteś w łóżku z jakąś kobietą? Gdybym cię o to poprosił? Zrobiłabyś to dla mnie?

O Boże!

- Nie wiem.

- Przemyśl to sobie. - Brad przesunął się trochę, wyciągnął poduszkę spod narzuty i wsadził sobie pod głowę. - Beth była taka sama, jeśli o to chodzi. Żebyś widziała, jak była rozstrojona, kiedy pierwszy raz jej to zasugerowałem.

- Więc naprawdę twoja była żona mieszka w Ohio? - Jamie spróbowała przejąć kontrolę nad kierunkiem konwersacji.

- No jasne.

- A syn?

- Tak jest, madam. Corey Fisher. Lat pięć.

- Ale nie jesteś w najlepszych stosunkach z Beth, zgadza się?

Brad podrapał się po karku.

- Nie. Tak naprawdę to nie.

- Uciekła od ciebie, prawda? - mruknęła. Znała odpowiedź, zanim jeszcze sformułowała pytanie.

„To cecha dobrego prawnika”, powiedziała jej siostra.

Przez chwilę zastanawiała się, co też porabia Cynthia. Czy dziwne zachowanie siostry podczas rozmowy przez telefon nakłoniło ją do przeprowadzenia małego śledztwa? Ale co mogła zrobić? Jak miała się dowiedzieć, od czego powinna zacząć?

- Zabrała mojego dzieciaka - oznajmił Brad. - Nigdy nie powinna była tego robić.

- Opowiedz mi o niej - poprosiła Jamie. - Opowiedz mi o swoim małżeństwie.

Brad ziewnął, jakby sama wzmianka o tym śmiertelnie go znudziła.

- To zwyczajna historia o chłopaku i dziewczynie. Poznaliśmy się, zakochaliśmy w sobie, pobraliśmy, urodziło się dziecko... Na początku sprawy układały się całkiem nieźle, chociaż jej rodzina nigdy mnie nie zaaprobowała. Nie byłem wystarczająco dobry dla ich ukochanej córeczki, jak sędzę. Co prawda Beth opowiadała wszystkim dookoła, że jestem jak nieoszlifowany diament, ale nie kupili tych bzdur. Zresztą, rzecz wyglądała dokładnie tak samo z jej przyjaciółkami. Na początku były słodziutkie jak miód, jakby chciały mnie zabić tą swoją słodyczą, jeśli wiesz, co mam na myśli. Pewnie miały nadzieję, że sobie pójde do wszystkich diabłów, jeśli tylko wystarczająco długo będą mnie zamęczać - zachichotał. - Ale to one wyszły na idiotki. Nigdzie nie odszedłem, za to zacząłem się im odgryzać. Tak jest, madam, potrafiłem nieźle dać im do wiwatu. - Głos Brada zaczął zamierać, jakby ścigał jakieś odległe wspomnienie, które kryło się w zakamarkach mózgu.

- Ale dlaczego tak bardzo cię nienawidziły?

- Może ty mi powiesz. Potrafię przecież być naprawdę czarującym chłopcem.

Czyż nie mam racji?

- Mnie oczarowałeś.

- No cóż - wzruszył ramionami. - Cóż mogłaś na to poradzić, prawda?

- Więc co jej zrobiłeś?

- Nic.

- Zacząłeś ją bić?

- Co?

- Czy właśnie dlatego jej przyjaciółki zaczęły cię nienawidzić?

Spojrzał na nią cierpko.

- Ludzie czasami z sobą walczą - odparł enigmatycznie.

- To dlatego rozeszła się z tobą, tak?

- Kto mówi, że się rozeszliśmy?

- Chcesz powiedzieć, że nie?

Usiadł gwałtownie. Mięśnie na jego plecach naprężyły się, napinając czarny materiał koszulki.

- Według niej jesteśmy rozwiedzeni.

- A według ciebie?

- Co prawda przysłała mi przez jakiegoś pieprzonego prawnika list, w którym zawiadamia, że złożyła pozew o rozwód, ale to jeszcze wcale nie oznacza, że wyrażam na to zgodę. - Zerwał się z łóżka i podszedł do drzwi.

Dokąd się wybierał? Czy możliwe, że zamierzał otworzyć drzwi i wyjść stąd, jak gdyby nigdy nic, a ją zostawić?

Ale nawet jeśli miał taki zamiar, zmienił go, zanim sięgnął do klamki. Odwrócił się i oparł plecami o ścianę.

- Odpręż się, Jamie, kochanie - oznajmił, mylnie odczytując wyraz jej twarzy. - Jestem wolnym człowiekiem.

Skinęła głową, dokładając wszelkich starań, żeby się nie zorientował, jaką poczuła ulgę.

- Więc ona przysłała ci oficjalny list?

- Tak. Najpierw wsadziła mnie za kratki, a potem wystąpiła o rozwód.

- Byłeś w więzieniu? - Jamie z wrażenia wstrzymała oddech.

- Przez większą część roku.

- Dlatego, że ją biłeś?

Brad ostrożnie pokręcił głową, jakby męczyło go to, że wciąż źle rozumiała jego wypowiedzi.

- Nigdy jej nie uderzyłem. - Odsunął się od drzwi. - Czemu w ogóle mówisz takie rzeczy?

- Miałam na myśli...

- Psiakrew, takie właśnie są kobiety. Zawsze trzymacie się razem, co? - Znow pokręcił głową. - Jamie, czasami się zdarza, że dwoje ludzi trochę się pobije. Ona nie była osobą postronną, Bogu ducha winną, zapewniam cię. Nie była workiem treningowym, który tylko wisi i czeka, aż ktoś mu przyłoży. Mówię ci, ta kobieta miała niewyparzoną gębę. Jak raz zaczęła gderać na jakiś temat, to nic, co człowiek powiedział lub zrobił, nie było w stanie jej uciszyć. Czasami chciałem jedynie, żeby się zamknęła. Wiesz chyba, jak to jest? Człowiek marzy o chwili spokoju i ciszy, a tu twój cholerny dzieciak drze mordę, a żona pieprzy głupoty o czymś, co powiedziałeś do którejś z jej kretyńskich przyjaciółek...

- Po prostu nie miałeś wyboru - powiedziała Jamie.

- Ona wcale nie stała tam jak potulna owieczka. Sama zadała mi kilka całkiem niezłych ciosów. Do diabła, właściwie byłem tak samo poszkodowany jak ona - odrzekł z pełnym przekonaniem.

- To musiało być dla ciebie straszne.

A dobre dla niej, myślała, modląc się, żeby los zesłał jej okazję, dał dość siły i wytrzymałości.

- No cóż, fortuna kołem się toczy.

- Co to znaczy?

- To znaczy, że potrafię cholernie długo czekać na właściwy moment.

Jamie opuściła brodę aż na piersi i wpatrzyła się w długą, zniszczoną nitkę wyciągniętą z narzuty. Ciekawe, co by się stało, gdyby zaczęła za nią ciągnąć. Czy rozprułyby się cała narzuta?

- A dlaczego trafiłeś do więzienia?

- Och, to długa historia.

- Bardzo chciałabym ją usłyszeć.

Brad wyciągnął spod stołu krzesło, odwrócił je o sto osiemdziesiąt stopni i usiadł okrakiem, z ramionami skrzyżowanymi na oparciu. Wpatrzył się w ciężkie, brązowo-zielone zasłony, jakby mógł widzieć przez nie na wylot. Gdzieś poza nimi leżało Dayton, odległe o mniej niż pół godziny jazdy.

On myśli już o jutrzejszym dniu, uznała Jamie. Zamknęła oczy, żeby tego nie widzieć.

- Ale to ci się nie spodoba - powiedział wreszcie.

- Czy miało to związek z tym, co zrobiłeś z Grace Hastings?

- Z Gracie? Och, nie! - Roześmiał się, jakby sama ta myśl tak go rozbawiła. - Możesz mi wierzyć, nikt nigdy nie odnajdzie naszej dobrej, starej Gracie.

- To dlaczego trafiłeś do więzienia? - spytała. Lepiej było nie dociekać, co się stało z Grace Hastings.

Dziewczynka Gracie, pomyślała.

Dziewczynka Jamie.

Czyżby obydwie czekał ten sam los?

- No cóż, ale będziesz musiała mi obiecać, że się nie zmartwisz, dobrze? - zaczął. - Któregoś wieczoru w barze poznałem takiego grubasa w średnim wieku. Zaczęliśmy sobie rozmawiać. Opowiedział mi, że przyjechał do miasta na coś w rodzaju zjazdu producentów jakichś tam urzędzeń, że w Philly zostawił żonę i dwoje dzieci, takie tam bzdury... Trochę czasu mi zeszło, nim się zorientowałem, że facet zwyczajnie mnie podrywa. Nie byłem tym zachwycony, możesz mi wierzyć, ale zdecydowałem się podjąć grę. To znaczy, on stawiał drinki, a miał przy sobie taką kupę szmalu - pokazał rękami, jak wielką - i złoty spinacz do banknotów. Nigdy przedtem ani nigdy potem nie widziałem czegoś podobnego. - Pokręcił głową na samo wspomnienie. - W każdym razie, po kilku drinkach zaprosił mnie do swojego pokoju w hotelu, rzekomo po to, by pokazać mi kilka katalogów, zupełnie jakby mnie obchodziły jakieś pieprzone płyty grzejne do kuchenek czy cholerne lodówki. Pomyślałem sobie, że ten dureń nie tylko oszukuje swoją żonę, ale w dodatku jest pieprzonym pedałem, więc ktoś powinien dać mu nauczkę, prawda? No to poszedłem z nim do pokoju, wypilem jeszcze kilka drinków, a kiedy tylko spróbował położyć na mnie łapę, przywaliłem mu w łeb. - Wzruszył ramionami. - I chyba to uderzenie było trochę za mocne.

- Umarł?

- W gazetach napisali, że lekarze stwierdzili rozległy krwotok do mózgu.

- I zostałeś aresztowany?

- Do diabła, oczywiście że nie.

- Nie rozumiem.

- Nie było żadnych śladów, które by mnie łączyły z miejscem zbrodni. Nikt mnie nie znał ani nie widział, jak wchodzę do jego pokoju. Zachowaliśmy daleko posuniętą dyskrecję - dodał z szelmowskim mrugnięciem.

- Więc jak...?

- ...zostałem złapany? Jamie skinęła głową.

Twarz Brada nagle pociemniała.

- Nigdy nie należy ufać kobietom - powiedział złowieszczo.

- Zwierzyłeś się żonie! - Jamie nagle poskładała wszystkie elementy w całość.

- Tłukliśmy się przez cały dzień. Nawet nie pytaj, o co nam poszło. Powiedziała mi, że chce rozwodu, a ja jej na to, że prędzej zgnije w piekle. Chyba mi nie uwierzyła. - Pokręcił głową z nieudawanym zadziwieniem. - Wyprowadziła się. Następną rzeczą, jakiej się od niej dowiedziałem, było to, że zabiera naszego syna i przeprowadza się do Kalifornii. I chyba właśnie wtedy wyrwało mi się coś na temat mojej pedalskiej przygody w barze. Miało być to coś w rodzaju opowieści ku przestrodze, ale ku mojemu zdziwieniu kilka dni później przed naszymi drzwiami zjawiała się policja. Gdzieś z tyłu szuflady znaleźli ten cholerny klips do banknotów, który należał do tamtego faceta. A ja całkiem zapomniałem, że w ogóle wziąłem ten pieprzony drobiazg. W każdym razie, mówiąc krótko, zostałem aresztowany i odmówiono mi zwolnienia za kaucją, więc nasi stróże prawa zawlekli mnie za dupę do więzienia, gdzie spędziłem ponad rok w śmierdzącej celi. Tyle czasu trwało, zanim sędzia doszedł do wniosku, że dowody, jakie ma w ręku, są wysoce niewystarczające. Okazało się, że rewizja w moim domu była niezgodna z prawem, a klips do banknotów uznano za nielegalny dowód. Coś w tym stylu - zaśmiał się. - To prawdziwa ironia losu, co? Zostałem aresztowany z powodu jednego pedała, a dzięki innemu uniknąłem kary.

Brad znowu zarechotał i dla podkreślenia swoich słów parę razy uderzył pięścią w blat stolika.

- W każdym razie nie mieli wyjścia, musieli mnie wypuścić.

- Kiedy to było?

- Wyszedłem przed kilkoma tygodniami.

Więc Brad trafił do jej łóżka zaledwie kilka tygodni po wyjściu z więziennej celi?

- Wróciłem do domu tylko po to, żeby we własnym mieszkaniu znaleźć parę pedałów i przekonać się, że moja żona i syn zniknęli.

- Skąd się dowiedziałeś, gdzie teraz jest?

- No cóż, nasza mała przyjaciółeczka Gracie okazała się w tym względzie niezwykle pomocna.

- To ona ci powiedziała, że Beth jest w Ohio?

- Prawdę mówiąc, nie miała wyboru.

- Jestem pewna, że zadzwoniła, żeby ją ostrzec... - Jamie posłuchała, co mówi i nagle zamilkła, bo dotarła do niej śmieszność własnych słów. Grace Hastings nikogo nie ostrzegła. Nie miała na to najmniejszych szans.

Brad uśmiechał się od ucha do ucha, jakby czytał w jej myślach.

- Teraz moja kolej - oznajmił.

- Na co?

- Moja kolej na zadawanie pytań. Jak w *Milczeniu owiec*. Pamiętasz chyba *Milczenie owiec*, prawda?

Skinęła głową. Czy naprawdę jakiś film miał teraz stanowić przedmiot ich rozmowy? Najpierw gry planszowe, a teraz filmy?

- Wielkie kino. Wspaniałe kino - oświadczył uroczyście, jakby sam zgadzał się z własną oceną. - Nie sądzisz, że mam rację?

- Przypuszczam, że tak.

- Co masz na myśli, mówiąc „przypuszczam”? *Milczenie owiec* było wybitnym filmem, co do tego nie ma wątpliwości.

- Chodziło mi o to, że widziałam go dość dawno temu.

- Cóż, będziemy musieli go sobie wypożyczyć któregoś wieczora, kiedy to wszystko się ułoży.

- Co się ułoży?

- Jak już złożymy wizytę na ulicy Szalonej Rzeki. Jamie nagle wszystko zrozumiała.

- Chcesz ją zabić, zgadza się?

- Taki mam plan - odrzekł lekko.

- A gdzie w tym planie jest moje miejsce?

Brad podniósł się z fotela, wrócił do łóżka i sadowiąc się obok niej, pogłaskał ją po policzku.

- Twoje miejsce? Twoje miejsce jest zawsze przy mnie, Jamie. Jesteś przecież moją dziewczyną.

Co to ma znaczyć, myślała z przerażeniem. Co on chce jej powiedzieć?

- Spodziewasz się, że pomogę ci zamordować żonę, tak?

- Spodziewam się, że mi pomożesz - odparł. - Tak samo jak ja pomogłem ci w Atlancie.

26

Emma leżała w łóżku, gapiąc się na ścianę naprzeciwko, gdzie na nagiej, białej powierzchni rozgrywały się sceny z jej dzieciństwa, podobnie jak w staromodnym, niemym filmie. Widziała siebie jako trzy- lub czteroletnie puciołowate dziecko, wyrzucane wysoko w powietrze ponad głową ojca i jego pewne ręce, wyciągnięte ku niebu, żeby ją złapać; widziała, jak z rozmachem sadza ją na swoich szerokich ramionach, niczym worek ziarna, i cwałuje tam i z powrotem po ich rozległym podwórku, a jej zachwycony pisk niesie się w ślad za nimi. W tle rozlegał się zaniepokojony głos matki, która upominała ojca, żeby trochę zwolnił, był ostrożny i patrzył, dokąd biegnie.

- Nie - usłyszała gniewny protest dziecka, gdy grzmiący śmiech ojca wypełniał cały świat. - Szybciej, szybciej!

Następnie ujrzała, jak tuli się do poduszki w podwójnym łóżku na ramie z brązu, i nasłuchuje, jak w sąsiednim pokoju kłócą się rodzice. Dziecko nakryło się z główką blad różowym kocykiem, zupełnie jakby w ten sposób mogło uciszyć ich gniew, a kiedy stamtąd wychynęło, było starsze o kilka lat. Puciołowate niegdyś policzki znacznie wyszczuplały, a w wielkich, błękitnych oczach pojawiło się coś w rodzaju ostrożności. Nagle usłyszała gniewny głos matki, następnie jakiś hałas i zaraz potem następny, więc wyskoczyła z łóżka, przestraszona, że jej dom zaczyna się walić. Tak zresztą było, choć nie w dosłownym tego słowa znaczeniu. Emma ujrzała, jak jej młodsze „ja” gramoli się z pościeli i pędzi do pokoju rodziców, otwiera z rozmachem drzwi i kątem oka widzi na podłodze rozstrzaskane lustro, a tuż obok niego przewrócone krzesło. Ojciec, spocony ze złości, z ciemnymi włosami opadającymi na pociemniałe z wściekłości oczy biegnie w jej kierunku, porywa w ramiona i niesie z powrotem do łóżka.

- Co się stało? - pytała go bez przerwy. - Co się stało? Co się stało?

- Nic, nic, kochanie. Wszystko w porządku - zapewnił ją. - Śpij spokojnie, maleńka. Wszystko będzie dobrze.

Niestety następnego dnia odszedł i od tej pory już nic nie było tak jak trzeba.

Zamrugnęła, patrząc, jak smutna, mała dziewczynka przeistacza się w dziewięcio-, może dziesięcioletnie dziecko, które uderza gumową piłką o tylną ścianę sześciopiętrowego budynku w najbardziej szarej części miasta, gdzie mieszka razem z matką. Jej wyimaginowana przyjaciółka Sabrina stoi z boku i czeka na swoją kolej. Sabrina dostała imię po postaci granej przez Kate Jackson w *Aniołkach Charliego*, który to serial Emma wówczas dosłownie uwielbiała. Każdy odcinek powtarzano kilkakrotnie w ciągu dnia, starała się oglądać go tak często, jak tylko mogła. Niektóre z nich widziała tyle razy, że znała je na pamięć i potrafiła słowo w słowo wyrecytować dialogi. Najbardziej podobały się jej początkowe odcinki, te z pierwszymi aniołkami, choć z biegiem czasu polubiła Cheryl Ladd prawie tak samo, jak lubiła Farrah Fawcett. Jaclyn Smith była z pewnością najładniejsza, choć podczas grania nie mogła zbyt oddalać się od papierowej torby, jak z sarkazmem już po kilku sekundach oglądania zauważyła matka Emmy. Matce Emmy nie podobało się, że córka spędza tyle czasu przed telewizorem, ale nic nie mogła na to poradzić, bo rzadko bywała w domu. W dniach, które nastąpiły po odejściu ojca i nieco późniejszej licytacji ich domu, matka była zmuszona pracować na dwóch, a czasem na trzech posadach, żeby związać koniec z końcem. Z jednej pracy szła prosto do drugiej, bez żadnej przerwy; wychodziła o świcie i często wracała dopiero wtedy, kiedy Emma była już w łóżku. Emma zazwyczaj nie spała, gdy matka wchodziła do mieszkania, ale często udawała, że śpi. Nie miała ochoty rozmawiać z kobietą, którą wtedy uważała za przyczynę wszelkich niepowodzeń, jakie ją w życiu spotykały.

Jedyną przyjaciółką, którą zdołała pozyskać w nowej szkole, była przysadzista dziewczynka Judy Rico. Ona także była nowa. Jednak ta przyjaźń skończyła się dość brutalnie pewnego popołudnia, gdy Judy - najwyraźniej pragnąc pozyskać uznanie w oczach najbardziej popularnych koleżanek - oznajmiła wszem i wobec, że matka Emmy pracuje u niej w domu w charakterze sprzątaczkii. Emma skrzywiła się na samo wspomnienie, jak popchnęła Judy na ziemię i rzuciła się na nią niczym lwica, okładając pięściami po twarzy, aż tamtej krew pociekła z nosa i poplamiała białą

bluzeczkę. Nauczycielka pospieszyła Judy z pomocą i odciągnęła szarpiącą się Emmę, a następnie zaprowadziła ją prosto do gabinetu dyrektora. Po tym wszystkim Emma została zupełnie sama, ale to jej nie przeszkadzało. Kto potrzebuje przyjaciół, jeśli ma obok siebie aniołki Charliego?

Sprawy uległy pewnej poprawie, przynajmniej na krótki czas, kiedy obie przeprowadziły się do Detroit i matka dostała pracę w Bishop Lane School for Girls. Emma wyobraziła sobie siebie w starannie odprasowanym, szkolnym mundurku, z typowym dla nowicjuszek rumieńcem, gdy po raz pierwszy z dumą wsuwała ręce w rękawy ciemnozielonej marynarki. To właśnie tu jest moje miejsce, przypomniała sobie własne myśli, gdy tuż przed zrobieniem pamiątkowej fotografii ustawiano ją w ostatnim rzędzie wśród innych nastolatków.

Ale potem znów wszystko zaczęło się zamazywać.

Zamknęła oczy i przetoczyła się na brzuch, jakby nie chciała widzieć niczego więcej. Zresztą, czy było tam coś, co warto oglądać? Epizod z rozbudzoną seksualnie nauczycielką gimnastyki? Owszem, przydarzył się, ale nie jej, lecz Claire Eaton... Nauczycielka została zwolniona dyscyplinarnie natychmiast, jak tylko matka Claire złożyła skargę u dyrektorki, a owa dyrektorka zdecydowanie nie była matką Emmy. Ten fotograf, którego spotkała w barze McDonalda... No cóż, miał siedemnaście lat, a jego aparat był pożyczonym od ojca polaroidem. Emma wątpiła, czy w ogóle zauważył jej oczy, bo głównie zajmowało go gapienie się w świeżo rozkwitłe piersi.

- Dlaczego wciąż opowiadam, że pozowałam dla Maybelline? - jęknęła, odwracając się do sufitu.

Bo opowiadam te bzdury od tak dawna, że sama prawie zaczęłam w nie wierzyć, pomyślała po chwili. A zaczęło się całkiem niewinnie. Jakiś chłopak, który koniecznie chciał jej zaimponować - i bez wątpienia miał nadzieję na coś więcej - powiedział, że Emma ma przepiękne oczy i żartobliwie spytał, czy przypadkiem nie pozowała w reklamie tuszu do rzęs firmy Maybelline. Stąd był już tylko krok do wplątania się w kłamstwo. Kiedy następnym razem ktoś oznajmił, że jej oczy są naprawdę ładne, już bez oporów dopowiedziała resztę. Zresztą, wcale to nie było tak bardzo naciągane, bo jej oczy rzeczywiście miały ten sam kolor i kształt jak u

dziewczyny z reklamy. Kto by poznał różnicę? W jaki sposób ktokolwiek miałby dowiedzieć się prawdy?

Boże, a te wszystkie wyssane z palca bzdury, które wymyślała później... Że napisała wspomnienia z życia modelki i że zostały one wydrukowane w „Cosmopolitan”? Że jako dziecko wychowywała się w korpusie oficerskim i że jej ojciec zginął w Wietnamie?

Na tym właśnie polegał problem z kłamstwami. Mnożyły się jak króliki. Pół biedy, jeśli naopowiadała kłamstw komuś podobnemu Lily, kto był naiwny, łatwowierny i na tyle miły, żeby bez zastrzeżeń wierzyć w każde słowo. Lecz jeśli zaczynała fantazjować przed kimś tak dociekliwym jak Jan lub doświadczonym jak Jeff, oznaczało to, że sama się prosi o kłopoty. Wystarczy przypomnieć sobie pytania, jakie Jeff zaczął jej zadawać, gdy pili razem kawę. I wcale nie wyglądał na kogoś, kto przyjmuje jej odpowiedzi za dobrą monetę.

- Niech to diabli - warknęła, wysuwając nogi na podłogę. Pomaszerowała do szafy, wyciągnęła spod tylnej ścianki zniszczoną, brązową walizkę obitą płótnem i rzuciła ją na łóżko. Czas się stąd wynosić, myślała, otwierając wieko walizki i ciskając do środka wyciągane z szafy rzeczy. Pakowanie nie powinno zająć zbyt wiele czasu. Jej zapas ubrań był raczej skromny, nawet uwzględniając ostatnie „zakupy”, a Dylan miał ich jeszcze mniej. Szybko opróżniła szuflady komody i zaczęła zdejmować rzeczy z wieszaków. W ciągu dwudziestu minut ich cały dobytek - z wyjątkiem niebieskiej bawełnianej piżamy, którą miała na sobie - znajdował się w walizce.

- Ale ty jesteś sprytna - mruknęła do siebie, kiedy zorientowała się, że nie zostawiła na wierzchu niczego, co mogłaby na siebie włożyć.

Tylko dokąd miała iść?

- Dokądkolwiek - oznajmiła zdecydowanym tonem i sięgnąwszy po walizkę, wydłubała z niej parę dzinsów i ciemnoniebieski sweterek. Trudniej było znaleźć bieliznę i skończyło się na tym, że musiała rozpakować niemal cały bagaż i poukładać wszystko od początku. - Dokądkolwiek, byle nie tutaj.

Może miała wiele braków, ale jej instynkt działał bez zarzutu, i teraz podpowiadał, że nadszedł czas, by zerwać związek z tym miejscem i uciekać, bo ulica Szalonej Rzeki przestała być bezpieczną przystanią.

Mimo wszystko miała zapłacony czynsz do końca miesiąca, przypominała sobie i klapnęła na łóżku, jakby przytłoczyło ją nagłe zmęczenie. Gdyby wyruszyła teraz, w środku nocy, musiałaby zostawić swoje meble i parę innych rzeczy, a nie miała dość pieniędzy, żeby kupić wszystko na nowo, nawet gdyby kupowała używane. Poza tym, czy wolno jej było zabierać Dylana ze szkoły, kiedy rok szkolny prawie dobiegał końca? Przecież przed chwilą leżała z otwartymi oczyma, wspominając, jak bolesne były dla niej niezliczone przeprowadzki... Czy w końcu z tego powodu nie znienawidziła własnej matki? Chyba nie chciała, żeby Dylan poczuł do niej to samo?

- Psiakrew - zakłęła jeszcze raz i jednym ruchem strąciła walizkę z łóżka, patrząc, jak ubrania wysypują się na podłogę. Nie mogła wyjechać. I tak naprawdę wcale nie chciała tego robić. Nie, chciała czegoś wręcz przeciwnego - chciała zacząć nowe życie. Jutro rano powie Lily prawdę. Wyzna jej wszystko w nadziei, że Lily zrozumie i okaże się na tyle wielkoduszna, by wybaczyć. A potem pójdzie na siłownię Scully, odda to głupie trofeum, które nie wiadomo po co ukradła, i przeprosi Jan. Za kilka następnych miesięcy, kiedy okaże się, czy naprawdę jest bezpieczna, pozwoli może Dylanowi znów używać prawdziwego imienia. Ona zresztą zrobi to samo i zacznie nowe życie od odzyskania dawnej tożsamości. Osoba ukryta za zasłoną z kłamstw odnajdzie się na nowo.

Klapnęła na łóżko, przekręciła się na plecy i wpatrzyła w sufit. Jest tylko jeden jedyny problem, myślała. Nie bardzo wiem, kim naprawdę jestem.

Lily odwróciła się w łóżku na drugi bok i otworzyła oczy. Jeff Dawson leżał na poduszce obok i uśmiechał się do niej. Już zaczęła się zastanawiać, od jak dawna jej się przygląda, kiedy on, nie mówiąc ani słowa, wyciągnął ręce i przygarnął ją do siebie. Natychmiast poczuła, jak cała topnieje w jego ramionach.

- Do diabła, co ty wyprawiasz? - zdenerwował się stojący w nogach łóżka Kenny. - Na litość boską, to przecież kompletny nieudacznik! Wynos się stamtąd, dopóki jeszcze możesz.

Lily usiadła wyprostowana jak struna, z trudem łapiąc powietrze. Jej oczy wpatrywały się w ciemność w poszukiwaniu obydwu mężczyzn, ale ich nie było obok niej. Jeff nie leżał na sąsiedniej poduszce, a Kenny wcale nie stał w nogach łóżka.

- Wielki Boże... - wyszeptała, nasłuchując dobiegającego z oddali warkotu motocykla i zastanawiając się, czy to ten dźwięk zwabił Kenny'ego do jej snu.

Ciekawe, co by Kenny powiedział na temat Jeffa Dawsona? Czy uważałby go za życiowego nieudacznika, czy wręcz przeciwnie - polubiłby go od pierwszego wejrzenia?

- W każdym razie ja go lubię - szepnęła cichutko, jakby nie chciała, żeby to wyznanie odbiło się zbyt szerokim echem.

„Czy wy dwoje kręcicie ze sobą?” - przypomniała sobie pytanie Emmy, kiedy przyjaciółka zobaczyła ich po raz pierwszy razem.

„Oczywiście, że nie” - zaprzeczyła wtedy żarliwie, ale Emma i tak знаła prawdę.

Chociaż czy ktoś taki jak Emma w ogóle wiedział, co to jest prawda? Czy rzeczywiście nazywała się Emma Frost i ile kłamstw naopowiadała do tej pory?

Jeszcze raz odtworzyła w pamięci rozmowę z Jeffem - tę niewiarygodną historię o tym, jak przyłapał Emmę na kradzieży w sklepie. To nie mogło być prawdą. Choć z drugiej strony, dlaczego nie? Przecież tak naprawdę wcale nie znała Emmy. Niemal nic nie wiedziała o jej dotychczasowym życiu ani nie przebywała z nią wystarczająco długo, by pojąć jej sposób myślenia. Prawdę mówiąc, im więcej wiedziała na temat Emmy, tym trudniej było ją odgadnąć i zrozumieć.

Lily wygrzebała się z łóżka, podeszła do okna i wpatrzyła się w ciemną ulicę, zadając sobie wciąż to samo pytanie, które męczyło ją od chwili, gdy Jeff powiedział jej o swoim zaskakującym odkryciu: jeśli Emma Frost nie była tym, za kogo się podawała, to kim właściwie była? Do czego potrzebowała tych wszystkich kłamstw i wybiegów?

O mały włos nie wybuchnęła śmiechem. A kimże ona jest, żeby sądzić drugich? Czy miała prawo skarżyć się, że inni nie mówią jej prawdy? A jeśli Jeff tak szybko przejrzał Emmę, to ile czasu jeszcze potrzeba, aby jej odpowiedzi także przestały go satysfakcjonować?

Podeszła do szafy, otworzyła ją i popatrzyła na kilka wiszących wewnątrz ubrań. Może nadszedł czas, żeby się stąd zbierać? Nigdy nie planowała, że jej pobyt

w Dayton będzie czymś więcej niż tylko tymczasowym przystankiem, dopóki nie zarobi trochę grosza i nie zdecyduje, co dalej robić ze swoim życiem. Zawsze miała nadzieję, że może pewnego dnia uda się jej wrócić do domu. Chociaż jeszcze nie teraz. Wciąż było zbyt wcześnie, żeby podejmować takie decyzje.

Nawiasem mówiąc, zaczynała lubić to miejsce. Znalazła tu krąg przyjaciół, zdobyła pracę, nawet założyła klub książki. A Michael wyraźnie rozkwitał. Więc dlaczego miałyby wyjeżdżać? Bo poznała mężczyznę i czuła, że ich znajomość może przerodzić się w coś więcej? Bo zbyt wcześnie było, żeby myśleć o takich rzeczach? A może zbyt późno, pomyślała ze smutkiem. Zamknęła drzwi szafy i przysiadła w nogach łóżka.

Nie możesz budować związku na kłamstwie, powtarzała sobie. Tak samo, jak nie możesz bez końca uciekać od swojej przeszłości. Wcześniej czy później trzeba będzie zacząć mówić prawdę. O swoim małżeństwie. O śmierci Kenny'ego. O swoim udziale we wszystkim, co się zdarzyło.

„Prawda was uwolni”. Czy nie tak jej mówiono?

Czy nie mówiono także, że „wolność to po prostu inne określenie sytuacji, kiedy człowiek nie ma nic do stracenia”?

Zamknęła oczy. Ona miała wiele do stracenia, pomyślała, wczółgując się pod kołdrę. Utkwiła spojrzenie w suficie i zastanawiała się, co zrobi Jan, kiedy się dowie, że jej zaufana pracownica jest zwykłym łgarzem? Co pomyśli w głębi duszy jej przyjaciółki, gdy się zorientują, jak poważne były to kłamstwa? I jak postąpi Jeff Dawson, pomyślała półprzytomnie, bo sen zaczął się już wślizgiwać na obrzeża jej świadomości, kiedy stanie się jasne, że Emma Frost nie jest jedyną oszustką, która mieszka przy ulicy Szalonej Rzeki?

Jamie poczekała, aż nabrała pewności, że Brad zasnął, i dopiero wtedy otworzyła oczy. Od wielu godzin leżała obok, nasłuchując jego oddechu. Czekala, aż ten oddech stanie się regularny i wyrównany, a ona bez cienia wątpliwości upewni się, że naprawdę śpi, a nie tylko przeprowadza na niej kolejny test. Dzisiejszej nocy już raz spróbował ją sprawdzać, a ona o mały włos dała się na to nabrać.

Zerknęła na czerwone cyfry na tarczy budzika stojącego tuż przy łóżku, nie poruszając przy tym głową i zadrżała na samo wspomnienie. Ledwie udało się jej ująć

cało. To zdarzyło się tuż przed pierwszą w nocy, dwie godziny po tym, jak pocałował ją na dobranoc, kazał zdjąć ubranie i ułożyć się tak, żeby trzymać na niej rękę, kiedy będą spać. Na szczęście nie nalegał, żeby się z nim kochała, może dlatego, że wyczuwał, jak bardzo jest krucha i obolała. Albo był zbyt wyczerpany po całodziennej podróży samochodem. Wszystko jedno, jaki był powód, wydawał się całkiem usatysfakcjonowany, że leży obok niej; nadzwyczaj łatwo odpłynął w sen, z ręką ułożoną na jej nagim ciele, która jak ciężki łańcuch przykuwała ją do łóżka. Jamie leżała tak przez jakiś czas, który wydawał się jej wiecznością, aż w końcu zdołała się jakoś oswobodzić i ostrożnie wysunąć spod przygniatającego ją ciężaru. Brad nawet się nie poruszył. I dopiero gdy była już w nogach łóżka i sięgała po dzinsy, w ciemnościach rozległ się jego głos. Zamarła, zupełnie jakby uchwycił ją za ramię i zmusił, by została w miejscu.

- Co ty kombinujesz, do wszystkich diabłów? - To pytanie niczym jadowity wąż wtargnęło do jej wnętrza i uderzyło prosto w duszę.

Z całych sił starała się, żeby w jej głosie nie było słyhać cienia emocji, mimo że serce waliło jak oszalałe.

- Muszę iść do łazienki.

- Od kiedy to wkładasz dzinsy, żeby pójść się wysikać, co?

- Wcale ich nie wkładałam.

- Tylko co?

- Rozboliła mnie głowa. Myślałam, że mam w kieszeni resztkę excedryny.

- I co, znalazłaś?

Pstryknięciem włączył lampkę przy łóżku i przyglądał się jej podejrzliwie. Przeszukała kieszenie.

- Nie - odpowiedziała, a rezygnacja w jej głosie wcale nie była udawana. - Może jest w torebce.

- No to sprawdź - wskazał na torebkę stojącą na komodzie.

Powlokła się w tamtym kierunku, całkowicie świadoma, że Brad śledzi każdy ruch jej nagiego ciała. Chwyła torebkę i nerwowo zaczęła szukać czegokolwiek, co mogłoby uwiarygodnić jej historyjkę.

- Jest! - zawołała, a ulga zalała ją wielką falą. Spocona jak mysz podrzuciła w powietrze małą buteleczkę excedryny.

- No to lepiej może od razu połknij - powiedział. Skinęła głową, poszła do łazienki i połknęła dwie pastylki, popijając je wodą.

- Jak już tam jesteś, to nie zapomnij się wysikać - poradził. - Nie chcę, żebyś znowu budziła mnie po nocy. Jutro czeka nas wielki dzień - dodał z przerażającym uśmiechem.

Kiedy wróciła do sypialni, jej torebka i ubranie zniknęły. Pomyślała, że może powinna zapytać, gdzie są, ale się rozmyśliła. Najwyraźniej Brad położył je gdzieś, gdzie nie mogła łatwo po nie sięgnąć; w ten sposób zakomunikował, że nie ma zamiaru ryzykować i dalej jej ufać. Wdrapała się do łóżka i ułożyła tak jak poprzednio.

- Hej, Jamie - wyszeptał, muskając wargami jej szyję. - Słyszałem, że seks jest wspinałym lekarstwem na ból głowy.

- Brad, proszę cię...

- Odpręż się, skarbie - powiedział, obejmując ją w pół. Jego ramię jak kotwica przycisnęło ją do materaca i zatrzymało w miejscu. - Tylko żartowałem.

Zamknęła oczy i starała się przetykać łyzy.

- Słodkich snów, Jamie, kochanie.

Słodkich snów, Jamie, kochanie, powtarzała teraz, zastanawiając się, czy znajdzie w sobie dość odwagi, by podjąć jeszcze jedną próbę ucieczki. Dochodziła czwarta rano, ale choć od Dayton dzieliło ich tylko pół godziny jazdy, teraz znajdowali się w szczerym polu. Nawet gdyby udało się jej wydostać z pokoju i uciec z motelu, dokąd miałyby pójść? W recepcji o tej porze na pewno nie ma nikogo; bez drobnych czy karty telefonicznej nigdzie nie zadzwoni; nie ma tu nikogo, do kogo mogłaby zapukać bez ryzyka, że zostanie odkryta. Na litość boską, nie miała pieniędzy, butów ani ubrania. Czy naprawdę odważy się uciekać nago i na bosaka, z nadzieją, że może przypadkiem trafi na autostradę i znajdzie tam ratunek?

Jednak jeśli Brad zbudzi się i zobaczy, że uciekła, bez wątpienia zacznie ją ścigać. A jeśli ją dogoni? Co zrobi? „Wierz mi - nikt nigdy nie odnajdzie naszej starej przyjaciółki Gracie”, usłyszała w głowie jego głos.

Mimo wszystko, czy miała jakiś wybór? Już zamordował jedną kobietę - a przypuszczalnie dwie - i wiele wskazywało na to, że zamierza zabić następną. To tylko kwestia czasu, kiedy dojdzie do wniosku, że ona jest tak samo zbędna jak pozostałe. Musi przynajmniej spróbować ucieczki, bo dzisiejsza noc może być jej ostatnią szansą.

Poruszyła się lekko, jakby chciała we śnie przewrócić się na drugi bok. Brad drgnął, lecz się nie obudził. Jego ramię wciąż spoczywało na jej pośladku. Po chwili Jamie znowu zmieniła pozycję, tym razem przekręcając się na plecy. Brad poruszył się razem z nią. Jego ręka znalazła się teraz w okolicy żołądka Jamie, a gorący oddech owionął policzek. Westchnął, jakby właśnie śnił mu się jakiś rozkoszny sen. Czy widział w sennych marzeniach byłą żonę? A może planował, co z nią zrobi, kiedy wreszcie ją dorwie?

Jamie próbowała wyobrazić sobie byłą żonę Brada, ale jedyne, co widziała, to skuloną w kącie kobietę, zasłaniającą twarz posiniaczonym ramieniem, jakby chciała obronić się przed ciosami, które nieuchronnie miały na nią spaść. Ta kobieta znalazła w sobie odwagę, aby zabrać syna i uciec od swojego oprawcy. A mimo to, rok później, choć uzyskała rozwód i przejechała pół Ameryki, choć znalazła miejsce w Ohio, które wydawało się jej bezpieczną przystanią, stworzyła sobie nową tożsamość i nowe życie, wciąż nie była bezpieczna. On w jakiś sposób dowiedział się, gdzie się ukryła, i oto jechał, żeby wymierzyć jej karę. Jamie uświadomiła sobie, że z taką samą zjadłością ścigałby i ją, gdyby jakimś cudem zdołała uciec.

I nagle z przerażającą jasnością dotarło do niej, że nigdy nie będzie bezpieczna. Nigdy, dopóki Brad Fisher żyje.

Poczekala jeszcze pełną minutę, zanim się odważyła przewrócić na bok. Zrobiła to tak, żeby ramię Brada ześlizgnęło się z jej pośladka. Właśnie teraz nadeszła chwila, na którą czekałaś, uświadomiła sobie, choć nogi wciąż odmawiały jej posłuszeństwa. Gdzie zamierzasz pójść, zdawały się pytać. Dokąd chcesz uciekać?

To nie ma znaczenia, zdecydowała. Nie ma znaczenia, że nie wie, dokąd uciekać, że jest naga, bez pieniędzy, butów, bez jakiegokolwiek dokumentu tożsamości. Nic się nie liczy poza tym, że nareszcie ma okazję wyrwać się z tego piekła. O wszystko inne będzie się martwić później.

Powolutku zaczęła podnosić się z łóżka, aż wreszcie usiadła i prześcieradło ześlizgnęło się z jej piersi. Wtedy Brad drgnął, przesunął się w lewą stronę, a jego usta wykrzywił lekki grymas. Wstrzymała oddech; natychmiast zaczęła się zastanawiać, czy nie porzucić pierwotnego planu i nie położyć się z powrotem.

Musiało upłynąć kilka minut, zanim jej umysł na nowo podjął decyzję. Ostrożnie przesunęła stopy na brzeg łóżka i czekała jeszcze minutę, a potem opuściła je na podłogę. Dotyk wytartego dywanu pod palcami stóp sprawił, że przez nogi w głąb ciała popłynęła fala impulsów, jakby nagle wstąpiła na nieosłonięty przewód elektryczny. Do tego miejsca udało się jej dobrać poprzednim razem, pomyślała, czując na plecach spojrzenie Brada i drwiący uśmiezek. Za nią rozległo się jakieś poruszenie, więc wewnętrznie przygotowała się na to, że za moment poczuje na sobie jego rękę. Co tym razem mu powiedzieć? Czy w ogóle będzie miała szansę przemówić, zanim on uciszy ją na dobre?

Zebrała się na odwagę i obejrzała za siebie.

Nikogo za nią nie było. A kiedy zerknęła na łóżko, przekonała się, że Brad nadal leży pod prześcieradłem, pogrążony w głębokim śnie. O Boże, westchnęła bezgłośnie; natychmiast przyłożyła dłoń do ust, żeby stłumić własny, chrapliwy oddech. Musi być bardzo ostrożna. Nie wolno jej popełnić najmniejszego błędu. Nie teraz, kiedy znalazła się tak blisko celu.

Zaczęła stawiać krok za krokiem, stopniowo zwiększając ich długość. Jakaś część jej duszy pragnęła od razu rzucić się do szaleńczej ucieczki, ale wiedziała, że jeśli to zrobi, hałas może obudzić jej prześladowcę. Poza tym, ten pokój wciąż był dla niej obcy, mimo że oczy już dawno zdążyły przyzwyczać się do ciemności. Nie miała zamiaru ryzykować, że uderzy w jakiś mebel, albo w drodze do drzwi potknie się o buty. Każdy ruch powinien być ostrożny i wyważony.

Była już w połowie drogi, gdy dostrzegła ubranie Brada, przewieszzone na krześle, na którym wcześniej siedział. Powolutku wyciągnęła rękę i zacisnęła palce na czarnej koszulce, która leżała na wierzchu. Szybko wciągnęła ją na siebie, przeciskając głowę przez owalne wycięcie, podobna do ostrożnego żółwia, który wychyla się ze swojej skorupy. Jeśli Brad się teraz obudzi, powiem, że po prostu było mi zimno.

Odwróciła się w stronę łóżka po to, żeby się przekonać, że on wciąż leży w tej samej pozycji co poprzednio.

Czubki jej palców otarły się o materiał jego dżinsów. Czy kluczyki do samochodu wciąż spoczywały bezpiecznie w którejś kieszeni? I czy gdzieś tam krył się składany, sprężynowy nóż? Może udałoby się jej po cichu opróżnić kieszenie? Czy warto podejmować ryzyko? A nawet jeśli odzyska nóż, to co z tego? Czy będzie umiała zrobić z niego użytek, gdyby zaszła taka potrzeba? Czy w ogóle potrafi zadać innemu człowiekowi śmiertelny cios?

Nagle Brad poruszył się, jakby jej niespokojne myśli zaczęły go popychać w kierunku odzyskania świadomości. Zamarła z dłonią na nogawce spodni i wstrzymała oddech, ale on tylko ziewnął i przewrócił się na drugi bok. Z tej odległości nie mogła się przekonać, czy ma otwarte oczy i czy może tylko czeka, żeby zobaczyć, jak ona teraz postąpi. Nie zrobiła więc nic, tylko drżąca jak osika stała na środku pokoju do chwili, gdy jego oddech znów stał się głęboki i regularny.

Palce powoli powędrowały w stronę kieszeni dżinsów i ostrożnie wślizgnęły się do wnętrza. Kieszeń okazała się pusta: Jamie o mało nie wybuchnęła płaczem. Teraz należało przewrócić spodnie na drugą stronę, żeby sprawdzić następną kieszeń. Czy uda się zrobić to tak, żeby kluczyki nie zadźwięczały? Manewrowanie spodniami nie należało do łatwych zadań, bo w szlufkach tkwił ciężki, skórzany pas. Mimo wszystko, jeśli kluczyki od samochodu były w kieszeni i jeśli zdołałaby je odzyskać, jej szansa na wydostanie się stąd stałaby się całkiem realna. Wtedy będzie mogła pojechać prosto na posterunek policji, zapobiec horrorowi, który miał wydarzyć się jutro.

W jakiś sposób odwróciła dżinsy. Przez cały czas uważała, żeby metalowa klamra nie uderzyła o drewnianą ramę krzesła, a następnie wsunęła rękę do drugiej kieszeni. Nie było tam ani kluczyków, ani składanego noża. Spróbowała z tylną kieszenią, choć z góry przeczuwała, że rezultat będzie ten sam. Cholera, pomyślała, odkładając dżinsy na miejsce. Przygryzła dolną wargę, żeby nie zacząć wrzeszczeć. Cholera, cholera, cholera!

I właśnie wtedy poczuła, że coś się zmieniło. Może był to subtelny powiew powietrza, a może odblask światła zza okien. Cokolwiek. Nie musiała się odwracać,

by wiedzieć, że Brad patrzy na nią szeroko otwartymi oczyma, a na jego ustach błąka się dobrze jej znany, okrutny uśmiech.

- Czy jesteś gotowa na śmierć, Jamie? - zapytał, a w ciszy rozległ się przerażający trzask wysuwanego z pochwy noża.

Nie traciła czasu na oglądanie się. Rzuciła się ku drzwiom, rozerwała łańcuch i szarpnęła je do siebie, wrzeszcząc jak oszalała w ciemność nocy. Potem drzwi zostały zatrzaśnięte, a ona porwana za kark i ciśnięta przez pokój niczym jakimś łachman. Walczyła z całych sił, żeby utrzymać się na nogach, ale on znów doskoczył do niej, a jego pięść wylądowała na brzuchu Jamie w chwili, gdy prawie zdążyła się wyprostować. W jednej chwili uszło z niej całe powietrze i zwinęła się na podłogę, krztusząc się i próbując złapać oddech. Jego ręce porwały ją za włosy i pociągnęły do góry głowę, odsłaniając kontrastującą z czernią jego koszuli biel jej szyi. Ujrzała ostrze noża, które zmierzało w stronę jej gardła.

A potem nie widziała już niczego.

27

Emma zauważyła ten samochód zaraz, jak tylko otworzyła drzwi. Stał zaparkowany mniej więcej w połowie ulicy, przed domem pani Discala, i z nudów zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem syn pani Discala - lekarz, którym bez przerwy się przechwalała - nie kupił sobie nowego auta. Chociaż akurat to auto wyglądało tak, jakby najlepsze dni miało już za sobą. No cóż, pomyślała, i co z tego? Zawsze lubiła thunderbirdy za ich stylową linię nadwozia. W dodatku ten był błękitny, co dodawało mu pewnej tajemniczości, choć sama nie wiedziała dlaczego. Sama nigdy nie miała samochodu, nawet nie zrobiła prawa jazdy, ale zdecydowała, że jeśli kiedyś sprawi sobie wóz, to z pewnością będzie to thunderbird w jasnoniebieskim kolorze, dokładnie taki jak ten.

- W porządku, Dylan. Pośpiesz się, bo musimy już wychodzić.

- Idę! - zawołał z góry, ale minutę później nadal go nie było.

Emma cofnęła się do frontowego korytarzyka.

- Dylan, chodźże wreszcie. Spóźnisz się do szkoły. Wciąż nic.

- Dylan, proszę, nie każ mi wchodzić tam z powrotem.

Nagle jej synek pojawił się na ostatnim schodku. W dłoniach trzymał jakiś lśniący, okrągły przedmiot z brązu.

- Co to jest? - wyciągnął nad głową trofeum Jan, jakby właśnie wygrał drugą nagrodę na Kulturowym Konkursie dla Kobiet w Cincinnati, Ohio, w dwa tysiące drugim roku.

- Skąd to wzięłeś? - Emma była już w połowie drogi na górę, zanim Dylan zdążył zejść o jeden stopień.

W jednej chwili schował puchar z tyłu, za plecami, żeby nie mogła po niego sięgnąć.

- Zabieram go do szkoły na lekcję. Na taką, na którą dzieci przynoszą różne rzeczy i o nich opowiadają.

- Kto ci pozwolił grzebać w moich rzeczach?!

W oczach Dylana natychmiast pojawiły się wszechobecne łzy.

- Wcale nie grzebałem - odparł drżącym głosem. - To było w łazience. Znalazłem, jak szukałem moich mydełek zwierzątek.

- Ostatnie zużyłeś w zeszłym tygodniu, nie pamiętasz?

- A dlaczego nie mogę tego zabrać na lekcję pokazową?

- Bo to nie jest twoje.

Moje też nie, miała chęć powiedzieć na głos, ale się powstrzymała. Ostatecznie nie mogła być pewna, co Dylan zacznie paplać, kiedy stanie przed całą klasą.

- Ale jest ładne.

- Owszem. Jednak nie możesz tego zabrać do szkoły. Przykro mi, Dylan. A teraz mi to oddaj.

Niechętnie wyciągnął zza siebie puchar z brązu, a Emma wysupłała go spomiędzy jego paluszków.

- Nigdy nie przyniosłem na pokaz niczego ciekawego - chlipnął i z urazą wyduł wargi.

- No cóż, gdybyś zechciał powiedzieć mi o tym nieco wcześniej i nie czekał do ostatniej chwili, może udałoby mi się znaleźć coś interesującego - odparła z rozdrażnieniem.

- Na przykład?

- Na przykład nie mam pojęcia. - Wzięła go za rękę i zaczęła sprowadzać ze schodów, słuchając żalostnego pochlipywania. - No dobrze. Zaczekaj, znajdziemy coś.

Weszła do salonu, rzuciła puchar na kanapę i bezradnie rozejrzała się dookoła. Musi zwrócić Jan to paskudztwo. Ale kiedy? I jak? Co ma powiedzieć tej kobiecie i na ile szczerości może sobie pozwolić?

- Tutaj niczego nie ma - załkał Dylan.

- Owszem, jest! - Emma przypomniała sobie o czymś i pędem wbiegła do kuchni. - Mam dla ciebie coś, co na pewno ci się spodoba.

Dylan deptał jej po piętach, kiedy w pośpiechu przeszukiwała kuchenne szafki. Cholera, gdzie to wetknęła?

- Co to jest?

- Kubek - oznajmiła, zaciskając palce na niewygodnym uchu. Odwróciła się i wręczyła synkowi wielki, paskudny kubek.

- Dostałam go na siłowni Scully. Widzisz, z boku logo klubu?

Na Dylanie nie wywarło to najmniejszego wrażenia.

- A co to jest logo? - spytał.

- To coś w rodzaju nazwy - wyjaśniła szybko. Nie starczyło jej cierpliwości, żeby tłumaczyć dokładniej. - Po prostu pokaż to w klasie i powiedz, że taki kubek dostaje się, kiedy się wstępuje do klubu Scully, razem z darmowym T-shirtem.

Cholera, może w ten sposób choć trochę pomoże Jan w interesach, przez co łatwiej uzyska rozgrzeszenie.

- Mogę pokazać też tego T-shirta?

- Ale ja nie dostałam T-shirta.

- A czemu?

- Bo nie wstąpiłam do klubu.

- To skąd masz ten kubek?

- Dylan, chcesz go zabrać do szkoły czy nie?

Natychmiast przycisnął kubek do piersi, jakby się bał, że Emma za chwilę mu go wyrwie.

- Chcę - zawołał.

- Dobrze. Więc chodźmy już, bo spóźnisz się do szkoły.

Otworzyła frontowe drzwi i wyszła na zewnątrz, przytrzymując drzwi dla Dylana, ale rzuciwszy spojrzenie w głąb korytarza, przekonała się, że znowu zniknął.

- Dylan, na litość boską!

- Muszę do łazienki - krzyknął z góry i jego drobna postać zniknęła za zakrętem schodów.

- Niewiarygodne - mruknęła do siebie, puszczając drzwi. Zamknęły się z trzaskiem, a ona została na zewnątrz i z roztargnieniem gapiała się na ulicę. Niebieski thunderbird nadal parkował przed domem pani Discala. W środku chyba ktoś siedział, choć z tej odległości trudno było dostrzec, czy jest to jakaś osoba, czy może cień rzucany przez zwieszający się nad autem konar drzewa. Ciekawe, co to za drzewo, zastanawiała się, patrząc, jak Lily i jej syn wynurzają się z głębi ich domu. Lily z pewnością wiedziała, jaki rodzaj drzew rośnie przy ulicy Szalonej Rzeki. Takie osoby zazwyczaj wiedzą podobne rzeczy. Może nawet Emma ją o to zapyta. Zakładając oczywiście, że Lily nadal będzie chciała z nią rozmawiać. Emma nie miała pojęcia, czy Lily rozmawiała ostatnio z Jeffem Dawsonem, a jeśli tak, to czy powiedział jej o nieszczęsnym incydencie w sklepie Marshalla. Jak powinna to wytłumaczyć, myślała w popłochu, a postanowienia podjęte zeszłej nocy wyraźnie zaczęły słabnąć. Czy należało zaufać Lily i opowiedzieć jej całą prawdę o sobie? Ale czy miała jakiś wybór?

- Mamusiu... - Dylan pociągnął ją za rękaw dżinsowej kurtki. - Mamusiu, chodź, bo się spóźnimy.

- Co? Och, przepraszam. Nie słyszałam, kiedy zszedłeś. To co, jesteś gotowy? Chłopiec podniósł kubek wysoko nad głowę.

- Jeszcze się nie zdarzyło, żeby ktoś przyniósł kubek - oznajmił z dumą. - Hej, zobacz, tam jest Michael. Michael! - ryknął na całą ulicę i popędził tam, gdzie zatrzymała się Lily i jej syn. - Zobacz, co niosę na dzisiejszą lekcję!

- My też mamy takie kubki - rzekł Michael.

- Cześć - powiedziała Emma na powitanie.

- Cześć - odparła Lily i wbiła wzrok w chodnik.

Ona wie o wszystkim, pomyślała Emma i zatrzymała się o krok bliżej, niż zamierzała.

- Może przypadkiem wiesz, jakie to są drzewa? - rozłożyła ręce, jakby chciała tym gestem objąć wszystkie drzewa w okolicy.

- Pewnie, to przecież klony. - Lily wciąż udawało się unikać spojrzenia Emmy. Teraz patrzyła na trawnik przed domem.

- No jasne - zgodziła się Emma.

- A tamte to dęby. - Lily machnęła ręką w kierunku niebieskiego thunderbirda.

- Chyba powinnam wiedzieć takie rzeczy - westchnęła Emma.

- A dlaczego? - spytała Lily, ciągle odwracając wzrok. Właśnie skręciły w South Patterson.

- Sama nie wiem. - Emma wzruszyła ramionami. A może rzekoma oziębłość Lily była tylko wytworem jej wyobraźni? Może Lily wcale nie zachowuje się sztywno, a rezerwa w jej głosie jest czymś absolutnie naturalnym? Może Jeff o niczym jej nie powiedział. Emma już zaczęła się zastanawiać, czy istnieje jakiś sposób, żeby się o tym przekonać, nie zdradzając więcej, niż będzie konieczne.

- No więc, widziałas wczoraj wieczorem coś ciekawego? - usłyszała własny głos.

- Właściwie to nie.

Emma wzięła właśnie głęboki oddech, kiedy obaj chłopcy nagle pogalopowali przed siebie.

- Jeff wpadł do mnie wczoraj - odezwała się Lily Powietrze utkwilo w gardle Emmy i o mało nie zaczęła się krztusić.

- Powiedział mi, że widział cię wczoraj.

Emma nie odezwała się ani słowem, czekając, co Lily jeszcze powie.

- W sklepie Marshalla.

- Taak... - mruknęła Emma.

- Powiedział...

- Mamusiu - zawołał Michael. - Pośpiesz się. Strasznie wolno idziesz.

- Tak, tak, bardzo za wolno. - Dylan z zapalem zaczął go naśladować. Uniósł rączki wysoko nad głowę, a potem nagle opuścił je po bokach, żeby pokazać z zapalem, jak Emma zachowywała się wcześniej, kiedy była na niego zła.

- Uważaj na kubek! - ostrzegła, ale było już za późno. Kubek wysunął się z rąk jej synka i uderzył o płyty chodnika, rozbijając się w drobny mak.

- Psiakrew - wymamrotała, kiedy mały zaniósł się szlochem.

Lily natychmiast znalazła się obok i zaczęła zbierać potłuczone skorupy taniego porcelitu.

- No, nie płacz, kochanie. Wiem, gdzie można dostać zupełnie taki sam kubek.

- Ale ja potrzebuję go na dzisiaj rano.

- To zaraz ci go przyniesiemy. Zgoda? - Z matczyną czułością przesunęła palcem po policzkach Dylana, ocierając łzy. - Teraz grzecznie pójdziesz do szkoły, a twoja mama pojedzie ze mną autobusem na siłownię, weźmie następny kubek i za dziesięć minut przyniesie go do twojej klasy. Co ty na to?

- I będzie z powrotem za dziesięć minut?

- Może jeszcze szybciej.

Dylan skinął główką. Spod powiek wymknęło się kilka nowych łez i Emma wiedziała już, że synek nie przestanie płakać, aż nowy kubek trafi do jego rąk.

- Okay, Dylan. Teraz pójdziesz z Michael'em, a ja wrócę tak szybko, jak tylko zdołam.

- Za dziesięć minut - podkreślił.

- Idź. - Poglaskała go lekko po plecach, a potem lekko popchnęła w kierunku szkolnego podwórka przy końcu ulicy. - Nie będę ani chwili dłużej niż to konieczne.

- Mamy autobus. - Lily wskazała na autobus, który szybko zbliżał się do przystanku po przeciwnej stronie ulicy.

Emma pobiegła za nią. Kątem oka zdążyła jeszcze dostrzec, jak niebieski thunderbird pojawia się na zakręcie i zatrzymuje przy końcu ulicy. Przelotnie pomyślała, że ciekawe, po co to zrobił, po czym wskoczyła za Lily do autobusu i usiadła obok niej w ostatnim, zupełnie pustym rzędzie.

- Jeff powiedział mi, co się wczoraj wydarzyło u Marshalla. - Lily nie traciła czasu.

- To wcale nie było tak, jak myślisz - odparła szybko Emma.

- A jak?

Emma aż się Zjeżyła, słysząc to pytanie. Czy naprawdę była winna tej kobiecie jakieś wyjaśnienia?

Nagle autobus szarpnął i zatrzymał się, a do środka wskoczyły dwie rozchichotane nastolatki. Klapnęły na siedzenia obok Emmy, a wtedy książki zsunęły im się z kolan i rozsypały po całej podłodze.

- Rety! - zawołała ze śmiechem jedna z nich i sięgnęła przez nogi Emmy, żeby pozbiierać swój dobytek.

- Ale z ciebie niezdara - zachichotała druga, rzucając się po resztę.

- To wszystko przez ciebie - powiedziała ta pierwsza i obie zaczęły się śmiać jak szalone.

- Faktycznie, to chyba nie jest najlepszy moment, żeby roztrząsać te sprawy - przyznała Lily.

- Całkowicie się z tobą zgadzam.

- Ale tak czy inaczej, powinniśmy pogadać o pewnych rzeczach. Może spotkamy się, jak skończę pracę?

- Dobrze. - Emma zerknęła przez tylną szybę. Nigdzie ani śladu błękitnego thunderbirda. Szkoda, był w takim ładnym kolorze, pomyślała ponownie.

- Chyba masz poważne kłopoty - oznajmiła jedna z nastolatek swojej przyjaciółce, kiedy Emma odwróciła się w stronę przedniej szyby. Patrzyła wprost przed siebie, starając się nie myśleć o niczym.

- Dokąd ta suka się wybiera? - denerwował się Brad, gdy autobus przejechał obok szkolnego boiska. Przez cały czas starał się ukrywać błękitnego thunderbirda za białym lexusem. Teraz odwrócił się do kobiety siedzącej na fotelu pasażera, jakby oczekiwał od niej odpowiedzi na swoje pytanie.

Jamie nic nie powiedziała. Tego ranka Brad oznajmił, że nie życzy sobie słyszeć od niej choćby jednego słowa, aż bezpiecznie wyjadą z Ohio. W przeciwnym razie zabije ją. Powinien był zabić ją ostatniej nocy, co niechybnie by zrobił, gdyby Jamie nie zemdląca na widok przyłożonego do szyi noża. Z jakiegoś powodu uznał jej

postępek za zabawny, a nawet ujmujący, i oznajmił to, kiedy ocucił ją za pomocą szklanki zimnej wody wylanej prosto na twarz.

- Odważna z ciebie dziewczynka, moja mała Jamie - powiedział. - Może niezbyt bystra czy rozgarnięta, ale odważna - dodał ze śmiechem.

Moja matka nie ujęłaby tego lepiej, pomyślała Jamie i zastanowiła się, co ta biedna kobieta by powiedziała, gdyby teraz zobaczyła swoją córkę - z napuchniętymi i podbiegłymi krwią oczyma, pod którymi coraz wyraźniej rysowały się ciemnoczerwone półksiężycy, całą w siniakach, z rozciętymi wargami, na których zaschły strużki krwi, z poobijanymi ramionami i żołądkiem, który wciąż pękał z bólu po ostatnim ciosie, i bolącą szyją, która o mało nie odpadła jej od ramion, kiedy Brad zaczął ją szarpać. Dlaczego mnie nie zabił? - myślała z lękiem. Jaka perfidną rolę przeznaczył dla mnie w tym, co miało się zdarzyć w ciągu następnych kilku godzin?

- To już nie potrwa długo - odpowiedział, zupełnie jakby swoje wątpliwości wyraziła na głos. - Jak tylko dorwę tę sukę samą...

- To co wtedy? - spytała cicho.

- Właśnie wtedy potrzebna mi będzie twoja pomoc - oznajmił.

A potem, kiedy już ją zabije... Czy wtedy przyjdzie kolej na mnie?

Od samego początku wiedział, że ona zamierza uciec, jak poinformował ją ostatniej nocy, kiedy tylko skończył barykadować meblami drzwi. Gdyby nawet zapadł w sen - „co może się zdarzyć, biorąc pod uwagę, że przez całą noc nawet nie zmrużyłem oka”, powiedział, żeby jej dokuczyć - to hałas wywołany odsuwaniem bądź podnoszeniem stołu, dwóch krzeseł i całego stosu zgromadzonych pod drzwiami rzeczy z pewnością szybko postawi go na nogi.

- Więc nie spałeś przez cały ten czas? - spytała.

- Przez calutki. Kto zresztą mógłby spać, kiedy przez cały czas wierciłaś się, jakby oblażyły cię mrówki? Doszedłem do wniosku, że pewnie chcesz mnie sprawdzić i jak się okazało, miałem rację. Muszę jednak powiedzieć, że trochę zaczynałem już tracić cierpliwość, kiedy czekałem, aż się w końcu namyślisz i zaczniesz działać. Wreszcie usiadłaś i wtedy pomyślałem: okay, nareszcie coś się zaczyna dziać, i zebrałem się w sobie, choć przez cały czas starałem się odдыchać równo i spokojnie, żebyś myślała, że śpię głęboko. To więzienie uczy ludzi takich rzeczy. Widzisz, w

więzieniu przez cały czas człowiek musi się mieć na baczności, więc w pewnym momencie okazuje się, że potrafisz spać, mając jedno oko otwarte. - Wzdrygnął się na samo wspomnienie. - W każdym razie, pomyślałem, że jesteś naprawdę dzielną dziewczynką, choć w zasadzie nie miałaś najmniejszych szans. To całkiem mądre, że włożyłaś moją koszulkę, by nie uciekać nago, chociaż mówię ci, gotów byłbym zapłacić duże pieniądze, żeby to zobaczyć. Ja też byłem sprytny, że zostawiłem te dzinsy na krześle, prawda? Przyszło mi do głowy, że z pewnością dasz się skusić i zechcesz poszukać kluczyków. Może sprytniej by było od razu biec do drzwi, ale daję słowo - byłabyś martwa, zanim zdążyłabyś odplatać łańcuch. Wychodzi więc, że dobrze się stało dla ciebie, patrząc na to z perspektywy czasu... - oznajmił, podkreślając ostatnie dwa słowa - ...że zdecydowałaś się przeszukać mi kieszenie. To ocaliło ci życie. No i oczywiście to, że zemdlałaś. Nawet nie wiesz, jaka jesteś śliczna, kiedy leżysz nieprzytomna. - Podciągnął prześcieradło aż pod podbródek Jamie i przytulił się do niej, opierając ostrze noża tuż poniżej jej lewego ucha. - A teraz nie chcę słyszeć od ciebie ani słowa, dopóki bezpiecznie nie wydostaniemy się z Ohio, albo przysięgam, że cię zabiję.

I wtedy się uśmiechnął. Tak samo jak uśmiechał się teraz.

- Okay - powiedział. - Widzę, że masz tysiące pytań, więc będę miłym chłopcem i pozwolę ci zadać kilka z nich. No śmiało, wal.

Był w błędzie, pomyślała teraz Jamie. Wcale nie chciała zadawać mu tysiąca pytań. Chciała zapytać tylko o jedno.

- Czego ode mnie oczekujesz?

- No cóż, to w dużej mierze zależy od tego, co robi Beth. A teraz wygląda na to, że ma zamiar wysiąść z tego starego gruchota.

Jamie obserwowała, jak dwie kobiety mieszkające przy ulicy Szalonej Rzeki wysiadają na przystanku przed dość nijakim centrum handlowym i ruszają na ukos przez parking. Brad wciąż trzymał się w pewnej odległości za nimi.

- A co z twoim synem? - ośmieliła się zapytać.

- Ależ on urósł, co? - odezwał się z dumą, zupełnie jakby Jamie znała chłopca wcześniej. - Prawda, że to zdumiewające, jak szybko dzieciaki robią się duże? -

Zatrzymał się w miejscu, skąd świetnie widział, co robi jego była żona, a jednocześnie

miał pewność, że ona go nie zauważy. - Na razie nie będziemy z nim nic robić - padła z opóźnieniem odpowiedź, na którą Jamie czekała. - Przynajmniej dopóki nie rozprawimy się z jego matką.

- A potem? - Jamie patrzyła, jak obie kobiety mijają wystawy kolejnych sklepów, ledwie świadoma, że przed chwilą zadała jakieś pytanie.

- A potem? Nic. Wyjedziemy z Dodge i poczekamy, aż władze skontaktują się ze mną, żeby oznajmić mi straszliwą nowinę o przedwczesnym zgonie mojej byłej małżonki. Wtedy Corey wróci do swojego tatusia. Bez oporów i całkowicie legalnie.

- Ale przecież oni z pewnością zaczną podejrzewać...

- Hej, hej, hej! Dość pytań, jak na jeden poranek! Pozwól, że sam będę się martwił o resztę, zgoda?

Jamie skinęła głową. Czy on naprawdę sądził, że przedstawiciele władzy po prostu oddadzą małego chłopca w ręce faceta oskarżonego o popełnienie zbrodni, nawet jeśli jest to jego ojciec?

- Oczywiście, to niczego nie zmienia, jeśli chodzi o nas. Weźmiemy ślub i wreszcie gdzieś osiadziemy - Brad mrugnął do niej. - Mówiłaś, że zawsze chciałaś zobaczyć Teksas, prawda, Jamie, kochanie?

Jamie opadła głębiej w fotel. Coraz bardziej upewniała się w przekonaniu, że ją także zabije. Czy to możliwe, że otrzymała propozycję małżeństwa od mężczyzny, który zaledwie kilka godzin temu o mało nie poderżnął jej gardła?

- Zastanów się nad tym - dodał Brad, opierając ręce o kierownicę. Patrzył, jak dwie kobiety znikają za drzwiami siłowni Scully.

- Strasznie wczesnie dziś przyszłaś - zawołała Jan na widok Lily, która weszła do środka przed Emmą.

Emma dostrzegła błysk niepewności w wymalowanych na niebiesko oczach właścicielki siłowni, jakby za chwilę zamierzała zapytać ją o to, jak się nazywa i czy przypadkiem nie zamierza zapisać się do ich klubu.

- To ja, Emma - powiedziała, zanim Jan zdążyła ponownie wprawić je obie w zakłopotanie.

- Oczywiście, że ty jesteś Emma - zawołała tamta. - Co dobrego słyhać? Czy Jeff oddał ci kubek?

- Owszem, oddał.

Czy Jan zwróciła uwagę, że jedno z jej trofeów gdzieś znikło? I czy podejrzewała o to właśnie ją? Może powinna się przyznać, teraz i tutaj, a potem z całego serca przeprosić, błagać o wybaczenie i postarać się jakoś wytłumaczyć? Tylko jak można wytłumaczyć coś, czego wytłumaczyć się nie da?

- Niestety, przyszedłam właśnie z powodu tego kubka - powiedziała tylko. - Przydarzył się nam drobny wypadek.

- Jej synek uważał ten kubek za coś absolutnie wyjątkowego i zabrał go do szkoły na dzisiejszą lekcję pokazową - Lily podjęła wątek. - Ale w drodze do szkoły przypadkiem go upuścił i kubek się rozbił.

- No tak, oczywiście - westchnęła Jan, jakby tego typu sytuacja była czymś, co nieuchronnie musi się przydarzyć. - Rozumiem więc, że chcesz dostać drugi?

- Mogę go potem zwrócić - zaproponowała Emma.

- No nie żartuj - Jan sięgnęła pod kontuar i wręczyła Emmie następny kubek. - Tylko powiedz mu, że tym razem ma bardziej uważać.

- Będzie go pilnował jak oka w głowie.

- Może lepiej już idź - poradziła Lily.

- A ty nie wychodzisz?

- Za godzinę zaczynam pracę, więc nie ma sensu łązić tam i z powrotem.

Później pogadamy - dodała, kiedy Emma położyła rękę na klamce.

- Na pewno. - Emma wyszła na zewnątrz, machnęła ręką na pożegnanie i ruszyła przez parking w stronę przystanku. W sercu czuła ulgę, że jest już w drodze. Czyżby to następny błękitny thunderbird stał w samym rogu parkingu, pomyślała, kiedy zatrzymał się przed nią autobus. Wspięła się po stopniach i zaczęła grzebać w torebce w poszukiwaniu drobnych na bilet. Kiedy podniosła głowę, samochodu już nie było. A może wcale go tam nie było, uznała. Najwyraźniej tak sobie wbiła do głowy ten samochód, że wszędzie widziała błękitne thunderbirdy.

- Spóźniłaś się - oznajmił z wyrzutem Dylan, kiedy kilka minut potem odnalazła go w klasie. - Powiedziałaś, że będziesz tu za dziesięć minut.

Emma przeprosiła i wręczyła synkowi nowy kubek. Nawet jej nie podziękował ani się nie przytulił, tylko popędził z powrotem do klasy. Była już prawie w połowie drogi do wyjścia, kiedy zatrzymał ją jakiś kobiecy głos.

- Przepraszam panią! - W głosie pobrzmiwała nuta zaniepokojenia. -
Przepraszam, pani Frost...

Emma odwróciła się dokładnie w chwili, gdy dobiegła do niej alarmująco poważna panna Kensit, nauczycielka Dylana. Annabel Kensit należała do tych osób, które sprawiają wrażenie, że cały czas są w ruchu. Nosiła krótko obcięte, czarne włosy, spod których na świat spoglądały ciemne, malutkie oczka. Przebywanie w jej towarzystwie dłużej niż pięć minut zawsze wywoływało u Emmy objawy pewnej nerwowości.

- Miałam nadzieję, że w końcu uda mi się z panią porozmawiać - odezwała się młoda kobieta, niespokojnie Przeszczepując z nogi na nogę. Miała mniej więcej tyle lat, co Emma, ale wyglądała, jakby dopiero co przestała być nastolatką. Emma zaczęła się zastanawiać, czemu nagle wszyscy pilnie chcą z nią porozmawiać. Czyżby nauczycielka Dylana zajrzała wczoraj do sklepu Marshalla? Czy ona także będzie się domagała jakichś wyjaśnień?

- Czy wszystko jest w porządku? - spytała ostrożnie.

- Tak, tak, wszystko jest znakomicie. Po prostu chodziło mi o to, że dawno nie miałyśmy okazji porozmawiać. Spodziewałam się, że ujrzę panią na ostatnim zebraniu dla rodziców...

- Tak... Bardzo przepraszam, ale naprawdę tego dnia nie czułam się najlepiej.

- Och, przykro mi to słyszeć. - W małych oczkach panny Kensit błysnęło szczere zaniepokojenie. - Mam nadzieję, że teraz czuje się już pani dobrze.

- Tak, zupełnie dobrze.

- To świetnie.

- Czy ma pani z Dylanem jakiś kłopot?

Boże, niech ona powie, że nie, modliła się w duchu.

- Tak naprawdę, to nie. Po prostu jest parę spraw, które powinnam z panią przedyskutować.

- Na przykład jakich?

- No cóż, Dylan jest takim słodkim, grzecznym chłopczykiem, ale strasznie przejmuję się każdym drobiazgiem. Weźmy choćby dzisiejszy ranek... Gdyby pani widziała, jak bardzo się denerwował, kiedy pani się spóźniała.

Emma czuła, że nie zniesie dłużej tej rozmowy. Nie miała na to ani czasu, ani siły. Mimo że wieczne kłamstwa zaczynały niesamowicie ją męczyć, to smutna rzeczywistość wyglądała tak, że prawda przerażała ją w jeszcze większym stopniu. Prawda mogła jeszcze bardziej skomplikować niektóre rzeczy i pogorszyć parę spraw. Czuła, że perspektywa, by wreszcie stawić czoło demonom oraz szczerze wyznać grzechy, budzi w niej coraz większą niechęć. O wiele lepiej - nie wspominając o tym, że także o wiele prościej - było nadal uciekać, kryć się i udawać. Wyznanie prawdy oznaczało przyjęcie na siebie określonych konsekwencji, a tego zawsze starała się unikać. Może w końcu znajdzie w sobie dość odwagi, by któregoś dnia przestać uciekać. Żeby stać się kobietą, jaką chciała być przez te wszystkie lata - kobietą, która nie wstydzi się swojej przeszłości i jest pewna tego, co ją w życiu czeka; która widzi przed sobą mnóstwo wspaniałych perspektyw i która nie potrzebuje przesadzać ani niczego upiększać, żeby być dumną z samej siebie. Jednak teraz musi wrócić do domu, spakować walizkę i doprowadzić do końca to, co powinna była skończyć zeszłej nocy.

- Przepraszam panią, pani Kensit, ale naprawdę muszę już lecieć.

- Och, to ja przepraszam. A jak pani myśli, czy będzie mi pani mogła poświęcić kilka minut dziś po południu, kiedy przyjdzie pani po Dylana?

- Oczywiście. A więc do zobaczenia po południu.

Dlaczego nie, myślała w tej samej chwili. Równie dobrze mogła umawiać się na jakiegokolwiek spotkania, bo i tak nie zamierzała się na nich zjawić.

Kiedy tylko skręciła w ulicę Szalonej Rzeki, ujrzała przed sobą błękitnego thunderbirda. Stał zaparkowany na dawnym miejscu, przed domem starej pani Discala. Kiedy podeszła bliżej, przekonała się, że na przednich fotelach siedzi dwoje ludzi. Co oni tam robią, pomyślała? Czy to możliwe, żeby ktoś ją śledził? Może wrócili tu po to, żeby mieć oko na jej dom? A jeśli to policjanci w cywilnych ubraniach, przysłani na żądanie Jeffa Dawsona? Albo gorzej... Może miejsce jej pobytu przestało być tajemnicą i ci ludzie są tu po to, żeby odebrać jej syna?

Wszystkie jej zmysły pracowały na najwyższych obrotach, kiedy szła na ukos przez ulicę, zdeterminowana uciec od ludzi w samochodzie tak szybko, jak tylko możliwe. Ale coś było w tej kobiecie obok kierowcy - lekko przygarbionej i opartej plecami o drzwi, jakby wcale nie chciała tu być, jakby marzyła, żeby znaleźć się gdzie indziej - co sprawiło, że Emma zatrzymała się i odwróciła w tamtym kierunku. Ciekawość okazała się silniejsza. Podeszła do błękitnego thunderbirda i zapukała w boczną szybę.

- Przepraszam - zaczęła ostrożnie, kiedy szyba się opuściła.

Czy państwo mnie śledzą? Czy jest jakiś powód, dla którego obserwujecie mój dom? Czy przysłał was tu mój były mąż?

- Czy mogę państwu w czymś pomóc? - spytała, nie dając myślom dojść do głosu.

Kobieta na siedzeniu pasażera podniosła ku niej podbite, zapuchnięte oczy, podczas gdy mężczyzna za kierownicą odwrócił się powoli w jej kierunku.

- Tak - powiedział z lodowatym uśmiechem, na którego widok Emma z przerażenia wstrzymała oddech. - Wydaje mi się, że tak.

28

- Tak jest - mówiła do słuchawki Lily. - Tylko dwieście pięćdziesiąt dolarów za przystąpienie do klubu plus trzydzieści co miesiąc.

Zatrzymała się na moment, czekając, aż Jan wtrąci swój zwykły tekst o darmowym T-shircie i kubku, ale Jan była dziwnie milcząca. Lily rzuciła okiem w stronę gablotki, gdzie jej szefowa od dobrych czterdziestu minut polerowała swoje trofea.

- No cóż, mam nadzieję, że wkrótce pani do nas zajrzy. Proszę pamiętać, że nasza oferta jest ważna tylko do końca miesiąca. Dotyczy to również firmowego T-shirta i kubka.

Odłożywszy słuchawkę, uśmiechnęła się do Jan, czekając na pełne akceptacji spojrzenie, ale nic podobnego się nie zdarzyło.

- Coś się stało?

Jan nie odpowiedziała. Wpatrywała się w gablotkę takim wzrokiem, jakby właśnie przytrafiło się jej coś strasznego. Albo jakby przeczuwała, że coś strasznego się zbliża.

- Jan...

Wreszcie Jan odwróciła się do niej. Jej spojrzenie było zupełnie puste.

- Tak?

- Czy coś się stało? - powtórzyła Lily. - Masz jakiś kłopot? - dodała prędko, kiedy Jan się nie odezwała.

- Tak mi się wydaje.

- Wybacz, ale nie nadążam.

Jan przeniosła spojrzenie z Lily na gablotkę i z powrotem.

- Zginęła jedna z moich nagród.

- Jesteś pewna?

- Przeliczyłam je już z dziesięć razy. Powinno być trzydzieści, a jest tylko dwadzieścia dziewięć.

Lily wyszła zza kontuaru, stanęła obok szefowej i szybko policzyła trofea.

- Jesteś przekonana, że było ich trzydzieści? - spytała, bo nieraz była świadkiem, jak Jan mówiła ludziom, że zdobyła tyle nagród, że sama już straciła rachubę.

- Absolutnie. Po dziesięć na każdej półce.

- A może zabrałaś coś do domu?

- Czemu, do cholery, miałabym coś zabierać do domu? - prychnęła Jan z rozdrażnieniem, ale zaraz się opamiętała. - Przepraszam. Wiem, że starasz się mi pomóc.

- Wiesz przynajmniej, co ci zginęło?

- Właśnie próbuję do tego dojść.

Lily przyjrzała się badawczo trzem półkom, uginającym się pod ciężarem ukochanych nagród Jan, zróżnicowanych pod względem kształtów i rozmiarów. Równie dobrze mogłaby patrzeć na nie przez cały dzień, a i tak nie potrafiłaby się zorientować, której z nich brakuje. Jednak Jan bez wątplenia w końcu to odkryje. Te

trofea były jej dziećmi, i niewątpliwie budziły w niej zarówno dumę, jak i bardziej opiekuńcze uczucia.

- To na pewno nie jest żadna z tych większych - mówiła Jan. - Od razu bym zauważyła, gdyby którejś z nich zabrakło. Wobec tego chodzi o coś mniejszego, i nie za zdobycie pierwszego miejsca... Myślę, że to jakiś talerz albo puchar... - wymalowane grubą warstwą niebieskiego cienia oczy przesunęły się po najniższej półce. - Już wiem - ogłosiła, wskazując na honorowe miejsce, gdzie niedawno stało zaginione trofeum. - Brakuje brązowego pucharu za zdobycie drugiego miejsca w Zawodach Kulturowych Kobiet w Cincinnati, w dwa tysiące drugim roku! Zawsze stał tutaj. Do diabła! Gdzie się mógł podziać?

- Na pewno nie przestawiłaś go na inne miejsce? - Lily musiała zadać to pytanie, choć właściwie znała odpowiedź. Jan nigdzie nie przenosiła swoich trofeów. Miała na tym punkcie taką samą obsesję, jak w kwestii codziennej porcji ćwiczeń.

- Był dokładnie tutaj. Zawsze tutaj stał. Myślisz, że ktoś włamał się zeszłej nocy i go ukradł?

- Czy zauważyłaś jakieś ślady włamania? - spytała Lily, słysząc we własnym głosie odbicie głosu Jeffa. Zdecydowała, że lepiej nie zadawać bardziej oczywistego pytania: jeśli ktoś w ogóle zadawał sobie trud, żeby siłą sforsować drzwi do siłowni, to czemu zabrał jedynie stosunkowo mało wartościową nagrodę za zdobycie drugiego miejsca?

- Nie, nie ma żadnych śladów - przyznała Jan. - Poza tym, dziś rano otwierałam szafkę, a to oznacza, że ktokolwiek wziął moje trofeum, musiał mieć klucz. Na litość boską, jak myślisz, czy to sprawka Arta?

- A do czego twojemu byłemu mężowi twoje trofea?

- Nie wiem. Może próbuje odgrywać ze mną coś w rodzaju *Gasnącego płomienia*? Pamiętasz taki stary film, gdzie mąż Ingrid Bergman starał się doprowadzić ją do tego, żeby sama zaczęła myśleć, że zwariowała?

Lily pokręciła głową.

- Chyba nie.

- Co ty mówisz, nigdy nie widziałaś filmu *Gasnący płomień*?! - Ten fakt zdawał się przerażać Jan w równym stopniu, jak zniknięcie trofeum.

- Kiedy po raz ostatni otwierałaś gablotkę? - spytała Lily.

- Wtedy, kiedy wycierałam w środku kurz. Wydaje mi się, że to był zeszły poniedziałek.

- I jesteś zupełnie pewna, że wówczas wszystkie trofea były na swoich miejscach?

- Absolutnie.

Zadzwoił telefon, więc Lily podeszła do recepcji, żeby go odebrać.

- Siłownia Scully. Nie, bardzo mi przykro, ale chyba ma pan zły numer.

Odłożyła słuchawkę, postanawiając nie mówić Jan, że gość, który dzwonił, pytał o siłownię Arta Scully'ego.

- Zaczekaj! - zawołała Jan, a jej długie, pomalowane na pomarańczowo paznokcie przeszły powietrze. - Telefon!

- Telefon?

- Dzwonił mój siostrzeniec, a tutaj akurat była ta twoja przyjaciółka Emma. Właśnie pokazywałam jej trofea, kiedy zadzwonił.

Lily poczuła, że żołądek zaczyna ją boleć ze zdenerwowania.

- Kiedy to było?

- Wczoraj. Myślałam, że przyszła do ciebie, więc powiedziałam, że masz wolny dzień. Porozmawiałyśmy przez parę minut i w końcu zapytała o te trofea, a ja otworzyłam gablotkę, żeby mogła się lepiej przyjrzeć. No i wtedy zadzwonił Noah. Przeprosiłam ją, bo musiałam zamienić z nim kilka słów, a potem ona nagle wyszła.

- Zamknęłaś gablotkę dopiero po jej wyjściu, tak?

- Jak tylko skończyłam rozmawiać przez telefon.

Lily wbiła wzrok w podłogę. Czy to możliwe, żeby Emma ukradła trofeum Jan oprócz tych wszystkich rzeczy, które wyniosła ze sklepu Marshalla? Ale dlaczego? Czemu ktoś miałby robić coś takiego?

- Myślisz, że to robota tej twojej przyjaciółki? - spytała Jan, wypowiadając na głos pierwsze pytanie, jakie przed sekundą zadała sobie Lily.

Lily nie miała pojęcia, co o tym wszystkim myśleć. Do jasnej cholery, musi dowiedzieć się prawdy, i to zanim nadejdzie trzecia po południu!

- Posłuchaj, myślisz, że przez chwilę dasz sobie radę beze mnie?

- A dokąd się wybierasz?

Lily jednym szarpnięciem otworzyła drzwi.

- Idę przynieść twoje trofeum.

Do diabła, co się tutaj dzieje, myślała Lily, pędząc do autobusu, który właśnie wyjeżdżał z zatoczki. Biegła za nim prawie do połowy następnego przystanka i zrezygnowała dopiero wtedy, gdy stało się jasne, że kierowca nie ma zamiaru zatrzymać się ani nawet zwolnić. Zerknęła za zegarek; następny mógł być najwcześniej za piętnaście minut, więc prędzej dojdzie do domu na piechotę. Zresztą, może dobrze się stało, pomyślała, biorąc głęboki oddech i celowo zwalniając tempo marszu. Spacer na pewno pomoże wyciszyć i pozbierać myśli. Gdyby wtargnęła do domu Emmy wściekła, na ślepo miotając oskarżenia i domagając się wyjaśnień, bez wątpienia nikomu by to nie pomogło. Czyż własne, gorzkie doświadczenie nie podpowiadało jej, że konfrontacje służą głównie wyładowaniu własnego napięcia i że rzadko komukolwiek przynoszą korzyści? Jeśli chciała uzyskać konkretne odpowiedzi, najpierw musiała zadać przemyślane pytania. A jeśli dodatkowo pragnęła je zrozumieć, powinna naprawdę starannie się przygotować.

Lily próbowała wyobrazić sobie scenę, jaka za chwilę się rozegra, zupełnie jakby myślała o tworzeniu powieści. Oto spotykają się dwie młode kobiety i wkrótce nawiązuje się między nimi przyjaźń. Składają sobie wizyty, opiekują się nawzajem swoimi dziećmi, piją razem wino i wymieniają sekrety. I nagle jedna z nich odkrywa, że druga kłamała przez cały czas niemalże w każdej sprawie. Krótko mówiąc, przyjaciółka okazała się kimś zupełnie innym, niż wydawało się na początku. Ale ta historia tak naprawdę była interesująca przez to, że Lily to samo mogła powiedzieć o sobie.

Poczekala, aż światła przy sklepie Stewarta zmieniają się z czerwonych na zielone, a potem przeszła przez ulicę, rozmyślając, jak rozegrać tę scenę.

- Wcześniej przyszedł - mówi Emma, a w wielkich błękitnych oczach widać błysk paniki. - Spodziewałam się ciebie znacznie później.

- To nie mogło dłużej czekać.

Nie, pomyślała, to zbyt melodramatyczne. Spróbuj jeszcze raz.

- *Wcześniej przyszłaś - mówi Emma, najwyraźniej podenerwowana niespodziewanym pojawieniem się przyjaciółki. - Spodziewałam się ciebie znacznie później.*

- *Coś się wydarzyło.*

Emma nic nie mówi, ale odruchowo wstrzymuje oddech. Dwie kobiety stoją pośrodku skąpo umeblowanego salonu Emmy i mierzą się wzrokiem.

- *Zaginęło jedno z trofeów Jan. - Lily postanawia nie owijać niczego w bawełnę.*

- *Nie rozumiem.*

- *Myślę, że rozumiesz.*

Długa cisza, a potem nieśmiałe pytanie:

- *Uważasz, że ja je zabrałam?*

- *A zabrałaś?*

- *Oczywiście, że nie. Jak mogłabym zrobić coś podobnego?*

- *Byłaś tam wczoraj. Zachwycałaś się trofeami Jan, a potem jedno z nich zniknęło.*

- *Nie sądzisz, że Jan po prostu postawiła je gdzie indziej?*

Lily kręci głową.

- *Tak bym myślała, gdyby nie to, co zdarzyło się u Marshalla...*

- *Powiedziałam ci przecież, że nic nie rozumiesz, że to wszystko to jedno wielkie nieporozumienie.*

- *Naprawdę? Wy tłumacz mi więc, czego nie rozumiem?*

- *Nie będę więcej odpowiadać na takie pytania.*

- *Moim zdaniem powinnaś.*

- *Tak? No cóż, wydawało mi się, że jesteśmy przyjaciółkami...*

- *Bo jesteśmy.*

- *Według mnie przyjaźń wygląda trochę inaczej.*

- *Emmo...*

- *Dość. Ja już skończyłam z tobą rozmawiać. A teraz bądź tak uprzejma i wyjdź z mojego domu.*

Och, znakomicie, pomyślała Lily. Wspaniale. Zaczynj jeszcze raz, i tym razem poproszę o inne odpowiedzi.

- *Zaginęło jedno z trofeów Jan - Lily postanowiła od razu przejść do sedna sprawy.*

Długa cisza, a potem nieśmiałe pytanie:

- *Uważasz, że ja je zabrałam?*

- *A zabrałaś?*

- *Tak - odpowiedziała po prostu Emma. Tak już znacznie lepiej.*

- *Dlaczego?*

Znowu cisza. Widocznie odpowiedź na to pytanie nie jest tak łatwa ani oczywista, jak w poprzednim wypadku.

- *Dlaczego zabrałaś trofeum Jan?* - zapytała Lily na głos. Prawie potrafiła zrozumieć to, że Emma ukradła w sklepie Marshalla kilka ciuchów, choć może nie umiała tego zrozumienia uzasadnić. Emmie brakowało pieniędzy i nie miała żadnych perspektyw. Była biedna, pogrążona w depresji i zwyczajnie w chwili słabości uległa pokusie. Ale nagroda Jan w zawodach kulturystycznych? Nawet gdyby Emma zdołała oddać ją gdzieś w zastaw, w zamian dostałaby nie więcej niż kilka dolarów. Więc czy warto było ryzykować? Zwłaszcza że Emma znała Jan i wiedziała, że jest ona zarówno pracodawczynią, jak i przyjaciółką Lily. Ze strony Emmy była to po prostu perfidna zdrada.

Ale czy zdrada Emmy była czymś gorszym niż jej zdrada?

Lily zeszła z krawężnika, wprost pod koła czerwonego chryslera sebringa. Kierowca zatrąbił wściekle i ze złością wyrzucił w powietrze obie ręce.

- *Przepraszam - powiedziała bezgłośnie, poruszając wargami, choć nachmurzona mina tamtego mężczyzny świadczyła o tym, że bynajmniej nie dał się udobruchać. Przepraszam za wiele, wiele spraw, pomyślała.*

Jeśli chciała, żeby poczucie winy wreszcie przestało ją dręczyć, musiała zacząć mówić prawdę.

Jak mogła żądać od innych, by byli uczciwi wobec niej, skoro sama taka nie była?

Jej myśli powędrowały z powrotem do historii, która powstawała w jej głowie.

- *Wcześniej przysłaś - mówi Emma i odsuwa się na bok, żeby wpuścić Lily do środka. - Spodziewałam się ciebie znacznie później.*

- *To nie mogło dłużej czekać.*

- *Posłuchaj, jeśli chodzi o to, co się stało u Marshalla...*

- *Wcale nie o to.*

Emma przygląda się jej ze zdziwieniem, podczas gdy Lily kręci głową.

Czy może sobie na to pozwolić? Czy naprawdę powinna opowiedzieć Emmie o wszystkim?

- *Możemy usiąść na chwilę?*

Emma prowadzi Lily do salonu i wskazuje brązową kanapę, a potem czeka, aż Lily wygodnie się usadowi i dopiero wtedy sama siada obok.

- *Powiesz mi wreszcie, o co chodzi?*

- *Wiem, że od samego początku mnie oszukiwałaś - zaczyna Lily, starając się stopniowo przejść do własnych wynurzeń. - Wiem, że nigdy nie pozowałaś dla Maybelline ani że nie sprzedawałaś swoich wspomnień „Cosmopolitan”. Nawet nie jestem pewna, czy faktycznie nazywasz się Emma Frost.*

- *Chwileczkę! - przerywa jej Emma i zrywa się na równe nogi. - Do czego zmierzasz?*

- *Nie wiesz jednak, że ja również cię okłamywałam.*

- *Co? O czym ty mówisz, do cholery?*

- *Nie jestem taką osobą, za jaką mnie uważasz.*

Nie. Stop. Zaczynasz posługiwać się wyświechtanymi frazesami. Potrafisz przecież wymyślić coś lepszego.

- *Co takiego? O czym ty mówisz? - Emma jest wyraźnie zbita z tropu.*

Lily klepie poduszkę obok siebie.

- *Jeśli tylko zechcesz z powrotem usiąść...*

- *Nie chcę siadać. Co ty usiłujesz mi wmówić? Że wcale nie nazywasz się Lily?*

- *Nie, na imię rzeczywiście mam Lily. Jeśli o to chodzi, powiedziałam ci prawdę.*

- *A w czym mnie okłamałaś? - pyta natarczywie Emma, chwilowo zapominając o własnej obłudzie.*

- *W większej części tego, co o sobie opowiadałam.*

- *Co?!*

- *Pozwól mi zacząć od początku.*

Wielki Boże, pomyślała teraz. Czy ja wiem jeszcze, gdzie jest ten początek?

Może powinna zacząć od swojego szczęśliwego dzieciństwa i chwilowego wstrząsu, jaki przeżyła, gdy miała zaledwie dwanaście lat, a jej ojciec umierał na raka prostaty? Czy może lepiej opowiedzieć o bracie, który przejął ojcowskie obowiązki, stając się jej stróżem i opiekunem, choć był starszy zaledwie o rok? Albo o normalnym buncie okresu dojrzewania, niezliczonych przyjaciółkach i o chłopakach, z którymi umawiała się na randki? Czy te wszystkie sprawy miały jakieś znaczenie? A może należy zacząć od pierwszego spotkania z człowiekiem, który na zawsze zmienił jej życie? Od ich późniejszego małżeństwa i straszliwej śmierci Kenny'ego? Czy istnieje jakiś sposób, żeby streścić ostatnie pięć lat życia, żeby uczynić to streszczenie bardziej strawnym dla słuchacza i bardziej zrozumiałym?

- *Zacznijmy od tego, że moje małżeństwo nie było takie, jak myślisz - mówi Lily.*

- *To znaczy?*

- *Było kompletną klęską, podobnie jak twoje.*

Czy to możliwe, zastanawiała się, idąc ulicą, zupełnie głucha na to, co dzieje się wokół niej. Czyżby ona i Emma wybrały ten sam rodzaj mężczyzn? Może właśnie to przybliżyło je do siebie?

- *O czym ty mówisz? Przecież wyszłaś za idealnego faceta.*

- *Wyszłam za potwora.*

- *Opowiedz - prosi Emma. Tylko jak to opowiedzieć?*

Zacząć od tego, że każdy popełnia błędy, to zbyt banalne, choć właśnie to proste zdanie wydawało się najbliższe prawdy. W jej środowisku ani wychowaniu, jakie odebrała, trudno byłoby znaleźć cokolwiek, co pozwoliłoby przepowiedzieć późniejszą klęskę. Miała cudownych rodziców, uwielbianego starszego brata i przyjaciół, których darzyła podziwem. A potem na jakiejś imprezie poznała pewnego mężczyznę i zakochała się po uszy. Zaczęli się spotykać, ona zaszła w ciążę, i wtedy się pobrali. Mimo że jej rodzina i przyjaciele żywili pewne obawy, z początku każdy z nich chętnie odsunął na bok własne uprzedzenia i obdarzył męża Lily kredytem

zaufania. Tylko jej brat pozostał zdecydowanie nieufny wobec tego człowieka o ujmującym uśmiechu.

Wreszcie ta nieufność przerodziła się w otwartą pogardę.

I właśnie ta pogarda nieuchronnie prowadziła go ku śmierci.

Na tylnym siedzeniu motocykla.

- Zupełnie się przez ciebie pogubiłam - woła z niecierpliwością Emma, chodząc tam i z powrotem po niewielkiej przestrzeni swojego salonu. - Myślałam, że to twój mąż zginął w wypadku motocyklowym.

Lily przecząco kręci głową.

- Skłamałam. To nie był mój mąż. To był mój brat. Mój brat, powtarzała w głębi serca, wycierając kilka mimowolnych łez. Kenny, starszy od niej o niecały rok, był dla niej jak bliźniaczy brat, bliższy niż ktokolwiek inny na tej ziemi. Opętany ślepą wściekłością, ruszył w tę fatalną podróż z całkowicie chybnym pomysłem, aby pomścić świeże siniaki na twarzy i ramionach siostry; siniaki, których dłużej nie miała już siły ani woli ukrywać, ani też zbywać lekceważącym machnięciem ręki. „Ale ze mnie niezdarą, po prostu się poślizgnęłam; wpadłam na otwarte drzwi; potknęłam się o którąś z zabawek Michaela”. Aż nadszedł ten dzień, wypełniony klótniami i pogrozkami; dzień, w którym wreszcie zebrała się na odwagę i powiedziała mężowi, że chce rozwodu. W odpowiedzi usłyszała, że prędzej zgnije w piekle, niż on się na to zgodzi. A kiedy dzień zmienił się w noc, w ruch poszły pięści, ale nawet one nie były w stanie zmienić jej postanowienia, że zabierze syna i zakończy wreszcie tę parodię małżeństwa. Wtedy mąż rzucił ją o podłogę i zgwałcił, okrutnie i wielokrotnie, podczas gdy ich dziecko wyło za zamkniętymi drzwiami sąsiedniego pokoju. A kiedy skończył, zostawił ją zwiniętą w pozycji embrionalnej na zimnej podłodze z kafelków, płaczącą i zalaną krwią.

- Nigdzie stąd nie pójdziesz - zapowiedział.

Zaczekała, aż zaśnie, a potem złapała Michaela i uciekła do domu matki.

Akurat był tam Kenny; jedno spojrzenie wystarczyło, by dowiedział się tego, czego chciał się dowiedzieć.

- Proszę cię, Kenny! Tylko nie szalej! On nie jest tego wart - błagała, ale Kenny zdążył już wypaść przez drzwi, wskoczyć na motocykl i popędzić w wypełnioną deszczem noc.

Nawet teraz słyszała pisk opon na mokrych od deszczu ulicach Miami. Czowała wibrację potężnego motocykla, kiedy na śliskim zakręcie Kenny stracił nad nim kontrolę i wypadł z drogi prosto na potężną palmę. Słyszała ciche łkanie matki, gdy obie stały w szpitalnej sali, i jej głos przepełniony bólem, który wciąż zapewniał Lily, że ten wypadek nie zdarzył się z jej winy.

Lily wiedziała, że matka miała rację. Formalnie rzecz biorąc, nie mogła się oskarżać za to, że Kenny podjął nagłą decyzję o dorwaniu jej męża i nie była odpowiedzialna za to, że nie włożył kasku ani że gnał z obłądną prędkością przez zalane deszczem ulice. Mimo to nie chciała, żeby to poczucie winy ją opuściło, ponieważ oznaczało ostateczne odejście Kenny'ego, a na to wciąż nie była gotowa.

Jednak z pewnością nadszedł już czas, żeby jej przeszłość przestała sprawować kontrolę nad przyszłością. Najwyższa pora, żeby zacząć wszystko od początku, myślała, skręcając w ulicę Szalonej Rzeki.

Niemal natychmiast jej wzrok przyciągnął błękitny thunderbird i wtedy przypomniała sobie, że już widziała go wcześniej. Widocznie ktoś ma gości, pomyślała, przyglądając się, jak Carole McGowan wychodzi ze swojego domu z dwoma spasionymi sznaucerami. Carole machnęła ręką, a w tej samej chwili psy pociągnęły ją ku Lily.

- Cześć - zawołała Lily na powitanie. Oba psy po kolei zatrzymały się przy krawężniku, żeby na moment podnieść łapę. - Co robisz w domu o tej godzinie?

- Mortimer zachowywał się dziwnie przez cały weekend, więc postanowiłam iść z nim do weterynarza - odpowiedziała Carole.

- I co, wszystko w porządku?

- W jak największym. - Carole wyciągnęła rękę i podrapała psa po grzbiecie. - Okazało się, że to z Casperem są kłopoty - teraz nadeszła kolej na pieszczoty dla Caspera.

- Tak? A co się stało? - spytała z roztargnieniem Lily, spoglądając w kierunku domu Emmy.

- Wygląda na to, że znalazł gdzieś kość kurczęcia. Widzisz, jaki to świntuch? Prawda, Casper? Wszystko byś zjadł, co tylko się nawinie. - Jakby dla podkreślenia słów swojej pani Casper właśnie zaczął żuć żdźbła trawy, która rosła w pobliżu. - Szczerze mówiąc, ktoś mógłby pomyśleć, że ten pies nie dostaje w domu nic do jedzenia. W każdym razie weterynarz powiedział, że mieliśmy mnóstwo szczęścia, bo jakimś cudem kość nie popruła mu żołądka. I chyba teraz już nic mu nie dolega, a ostatecznie, jak mówi przysłowie: Wszystko dobre, co się dobrze kończy. Mam rację?

- Absolutnie tak - odparła Lily. Przez moment wydawało jej się, że dostrzega jakiś ruch za zasłonami salonu Emmy.

- Ta Emma to naprawdę szczególna osoba, prawda? - rzuciła Carole, zauważywszy spojrzenie Lily.

O czym Carole mówi? Czyżby Jan zdążyła już do niej zadzwonić i opowiedzieć o zaginięciu trofeum?

- Co chcesz przez to powiedzieć, Carole?

- Tylko tyle, że moim zdaniem to wspaniały nabytek dla naszego klubu. Jest bardzo rozgarnięta i dużo wie na każdy temat.

A to, czego nie wie, po prostu zmyśla, dodała po cichu Lily. Psy chyba się znudziły, bo zaczęły szarpać smycze.

- Muszę chyba pozwolić im skończyć spacer, zanim pójde do pracy.

Lily patrzyła, jak sąsiadka i jej psy znikają za zakrętem ulicy.

- Wszystko dobre, co się dobrze kończy - mruknęła pod nosem, przechodząc przez ulicę w stronę domu Emmy.

Oczywiście, nie wszystko kończyło się dobrze. Na przykład jej małżeństwo. Mąż Lily wypełnił co do joty swoje obietnice, że jeśli go opuści, uczyni z jej życia piekło na ziemi. Nękał ją w pracy, dniami i nocami wydzwaniał do jej przyjaciół... Po kilku miesiącach matka Lily wycierpiała już wszystko, co była w stanie wytrzymać, i przeprowadziła się do Kalifornii, żeby być bliżej swojej siostry. Lily ułożyła swoje sprawy tak, żeby wyjechać razem z nią, ale w ostatniej chwili jej plany zmienił sędzia, który zabronił wywozić Michaela poza granice stanu, dopóki sprawa opieki nad dzieckiem nie zostanie prawnie rozstrzygnięta.

- Dlaczego to robisz? - pytała męża.

- Ponieważ Michael jest moim synem.

To wtedy właśnie zaczął się przechwalać, co spotyka ludzi, którzy ośmielają się wejść mu w drogę, i opowiedział jej o pewnym sprzedawcy urządzeń elektrycznych w Miami, którego zabił gołymi rękoma.

- Powinnaś iść z tym na policję - nalegała jej przyjaciółka Grace.

- Nie uwierzą mi. Nawet nie wiem, czy to się naprawdę zdarzyło.

- Ależ wiesz.

- To tylko moje słowo przeciw jego słowom.

Jednak okazało się, że jej słowa wystarczyły, żeby nadać sprawie bieg. W dość krótkim czasie Ralph Fisher został aresztowany i - ponieważ istniało ryzyko ucieczki - odmówiono mu zwolnienia za kaucją. Lily poradziła się prawnika i niemal natychmiast wysłała mu papiery rozwodowe, a potem wróciła do panińskiego nazwiska, spakowała syna i pojechała na północ. W chwili obecnej Ralph siedział w więzieniu na Florydzie, oczekując na proces. Kiedy proces dobiegnie końca i Ralph zostanie zamknięty za kratkami na resztę życia - a przynajmniej taką Lily miała nadzieję - wówczas będzie mogła bezpiecznie dołączyć do matki. Tymczasem lepiej trzymać się w pewnej odległości od swoich bliskich, myślała. Po prostu na wypadek, gdyby coś poszło nie tak, i Ralph byłby w stanie wprowadzić w czyn którąś ze swoich wcześniejszych gróźb. Jej przyjaciółka Grace obiecała utrzymywać z nią regularny kontakt mailowy, ale od dobrych kilku tygodni Lily nie miała od niej wiadomości. Może później zajrzy do jakiejś kafejki internetowej i napisze parę słów.

Ale najpierw trzeba załatwić ważniejsze rzeczy, myślała, dzwoniąc do drzwi Emmy i nasłuchując odgłosu zbliżających się kroków. Przez kilka sekund nikt nie odpowiadał i Lily miała już zadzwonić drugi raz, kiedy usłyszała znajomy głos.

- Wejź - wołała Emma gdzieś ze środka domu.

Lily rzuciła przez ramię spojrzenie na błękitnego thunderbirda, wzięła głęboki oddech, otworzyła drzwi i weszła do środka.

Jamie siedziała na podłokietniku brązowo-zielonego fotela, niezdolna do wykonania najlżejszego ruchu. Usłyszała, jak frontowe drzwi się otwierają, a potem zamykają. W ciągu kilku minut przynajmniej jedna z tych kobiet będzie już martwa, a najpewniej obydwie. Jeśli będę miała szczęście, Brad zabije także mnie, przemknie jej przez głowę.

- Emma? - z głębi korytarza dobiegł głos tamtej. Cały dom sprawiał wrażenie nienaturalnie spokojnego, jakby on też wstrzymał oddech w oczekiwaniu na to, co się stanie.

- Jestem w salonie - odrzyknęła Emma. Jej głos wydawał się odległy i pełen napięcia, jakby przebywała gdzieś w drugim końcu budynku, a nie siedziała tuż obok Jamie.

- Przepraszam, że cię nachodzę bez uprzedzenia o tej porze, chociaż umawiałam się, że wpadnę znacznie później.

W drzwiach prowadzących do salonu pojawiła się przystojna młoda kobieta o blond włosach i niespokojnym spojrzeniu. Brad twierdził, że jego była żona miała na imię Beth, choć Emma upierała się, że jej przyjaciółka nazywa się Lily.

- Mam nadzieję, że nie przyszłam w złym momencie.

Jamie widziała, jak nieznajoma przygląda się im badawczo i jak na jej twarzy pojawia się nagle wyraz zakłopotania. Zaczęła się zastanawiać, czy tamta wyczuła grożące jej niebezpieczeństwo. Próbowwała wyobrazić sobie, co się dzieje w głowie Lily i ujrzeć całą sytuację z odwrotnej perspektywy: oto jej przyjaciółka Emma siedzi na krześle po prawej stronie kanapy wyprostowana jak struna i z poszarzałą twarzą, obok niej przycupnęła jakaś obca dziewczyna z podbitymi oczyma i posiniaczonym podbródkiem. Te siniaki ostro kontrastowały z parą prześlicznych złotych kolczyków z perłami, które miała w uszach.

- Najmocniej przepraszam... - zająknęła się. - Nie wiedziałam, że masz gościa.

- Nic nie szkodzi, wszystko w porządku - odparła Emma, choć najwyraźniej wcale tak nie było.

- Przyjdę później.

- Nie, nie wychodź - zawołała Emma, a w jej głosie zabrzmiało najprawdziwsze błaganie. - Proszę, wejdź do środka.

- Na pewno ci nie przeszkadzam?

- Na pewno.

Jamie przemknęło przez myśl, czy Emma wpadnie na to, żeby ich sobie przedstawić.

- Mam na imię Lily - powiedziała nieznajoma, zanim Emma zdążyła się odezwać, i wyciągnęła rękę. - Mieszkam przy tej samej ulicy, parę domów dalej.

- Bardzo mi miło - odpowiedziała Jamie, trzymając ręce przy sobie. - Lily, zgadza się?

- No cóż, tak naprawdę nazywam się Lily-Beth - wyjaśniła Lily. - Mniej więcej rok temu postanowiłam pozbyć się „Beth”. Ale ponieważ szczerść leży w naszym interesie... - Nagle urwała, a kiedy spojrzała w kierunku Emmy, jej policzki pokryły się rumieńcem. - Zresztą, może porozmawiamy na ten temat później. A ty jesteś...? - spytała, zwracając się do Jamie.

- Jamie. Jamie Kellogg.

- Kellogg? - powtórzyła Lily. Jamie odniosła wrażenie, że raczej chodziło jej o to, by wypełnić przykrą chwilę ciszy, niż żeby się czegoś dowiedzieć. - Masz coś wspólnego z tymi ludźmi od płatków zbożowych?

- Nie - odparła Jamie, ale nie pokręciła głową, bo każdy ruch kosztował ją zbyt wiele cierpienia.

- Przepraszam. Pewnie w kółko cię o to pytają.

- Teraz już nie tak często - odpowiedziała Jamie. Czy to możliwe, że naprawdę prowadziły taką bzdurną rozmowę?

Lily ponownie zerknęła na swoją przyjaciółkę.

Czyżby nie zwróciła uwagi na to, jak sztywno Emma siedzi? - pomyślała Jamie. Czyżby nie zauważyła, że podczas całej rozmowy nawet na moment nie poruszyła rękami, tylko trzymała je gdzieś za plecami, bo jej nadgarstki ciasno oplatał gruby sznur, który wrzynał się w delikatne ciało?

Nawet jeśli zauważyła, to nie dała tego po sobie poznać.

- No a wy, dziewczyny? - spytała Lily, jak gdyby nigdy nic. - Jesteście jakoś spokrewnione?

Emma nic nie odpowiedziała.

Lily powoli przysiadła na brzegu kanapy, a wówczas jej wzrok spoczął na małym pucharze z brązu, który leżał porzucony na jednej z poduszek.

- A więc jednak to ty go wzięłaś! - wykrzyknęła z oburzeniem, obracając się w stronę Emmy. - Nie mogę w to uwierzyć! Jak mogłaś zrobić coś podobnego!

- Tak mi przykro - wyjąkała Emma, a jej oczy napełniły się łzami.

- Nie rozumiem. Dlaczego ty... - wzrok Lily przesunął się od Emmy do Jamie. - Słuchajcie, co tu się dzieje?

Jamie wstrzymała oddech. Lekkie zawirowanie powietrza zdradziło jej, że Brad wysuwa się ze swojej kryjówki w kącie jadalni. Podniósł palec do ust, jakby zamierzał ją ostrzec, by siedziała cicho. Zresztą, czy mogła w jakikolwiek sposób uprzedzić Lily? Czy mogła, choćby w niewielkim stopniu, odpokutować za to, co wydarzyło się w Atlancie?

- No dobrze, widzę wyraźnie, że jednak wam przeszkodziłam - oznajmiła Lily. - W każdym razie i tak muszę za parę minut wracać do pracy, więc... - Poderwała się z miejsca, a wtedy Brad znów zniknął w kryjówce. - Zabiorę to i oddam Jan, a porozmawiamy później.

Ani Emma, ani Jamie nawet nie drgnęły.

Lily ruszyła w stronę drzwi, ale zatrzymała się, wyraźnie czymś zaniepokojona.

Nie zatrzymuj się, Jamie próbowała ostrzec ją oczyma. Uciekaj. Uciekaj tak szybko, jak tylko potrafisz.

Uciekaj, żeby ocalić życie.

- Powiedźcie mi, czy stało się coś złego? - spytała Lily, całkiem nieświadoma, że Brad skrada się w jej kierunku, że dzieli ich już tylko kilka centymetrów.

Muszę coś zrobić, myślała gorączkowo Jamie. Muszę ją ostrzec. Nie mogę po prostu siedzieć z założonymi rękoma i czekać, aż on z zimną krwią zamorduje kolejną ludzką istotę. Tak jak zamordował Laurę Dennison. Tak jak zamordował Grace Hastings. Tak jak zamordował tego przedstawiciela handlowego z Filadelfii. Tak jak zamordował Bóg wie kogo jeszcze.

- Wybierasz się dokądś, Lily-Beth? - zapytał.

Jamie dostrzegła, jak cała krew odpływa z twarzy Lily. W lot zrozumiała, że Lily nie musi się odwracać, żeby sprawdzić, kto za nią stoi; że nie musi patrzeć, by wiedzieć, że Brad się uśmiecha. Widziała, jak Lily zamyka oczy, jakby bez oporu zamierzała się poddać i zaakceptować swój smutny los. Może od samego początku przeczuwała, że pewnego dnia Brad ją odnajdzie. Może poczuła ulgę, że ten dzień wreszcie nadszedł.

Nagle Lily okręciła się wokół własnej osi i cisnęła brązowy puchar prosto w głowę Brada, a potem wykorzystwała moment zamieszania, żeby rzucić się w stronę drzwi. Jamie próbowała pójść za jej przykładem, ale nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Bezradnie patrzyła, jak Brad, zalany krwią wypływającą ze świeżej rany, oplata ramionami klatkę piersiową Lily i niczym pyton wyciska z niej całe powietrze, a potem unosi w górę, nie zważając na jej kopanie i rozpaczliwe próby złapania oddechu, i wraca do salonu, gdzie rzuca ją na podłogę prosto pod stopy Jamie.

- Okay, Emmo, kochanie - polecił szlochającej kobiecie, która siedziała obok - podejdź do mnie, a w tym czasie Jamie zwiąże Lily ręce za plecami. I nogi także - dodał i chwycił ramię Emmy, która zataczając się, zmierzała w jego kierunku. Bez zastanowienia przycisnął ostrze noża do jej gardła. - Pamiętaj, zarżnę ją jak świnie, jeśli nie zrobisz dokładnie tego, co ci powiem - zwrócił się ostrzegawczym tonem do Jamie.

Twarz Emmy przybrała barwę popiołu, a z ust wyrwał się okrzyk przest్రachu. Lily nie poruszyła się, kiedy Jamie wyciągała linę ukrytą pod zestawem białych stolików. Nie stawiała oporu, gdy wiązała na plecach jej ręce. Emma łkała rozpaczliwie, bo ostrze noża przesuwano się po nabrzmiałych żyłach na jej szyi.

- Tylko sprawdź, czy dobrze to zrobiłaś - ostrzegł Brad.

Jamie posłusznie sprawdziła więzy na nadgarstkach Lily, a potem zabrała się do wiązania jej nóg. Czy to możliwe, że robiła coś podobnego? Czy naprawdę pomagała unieszkodliwić kobietę równie bezradną jak ona? Dwie noce wcześniej siedziała w samochodzie, gdy Brad mordował bezbronną staruszkę. Dziś awansowała do roli współniczki. I nie liczyło się, że tak naprawdę nie miała wyboru, bo gdyby nie podporządkowała się jego rozkazom, bez wahania odebrałby jej życie. Zresztą i tak

szanse na to, że Brad w końcu ją zabije, były całkiem spore. Jeśli nie zrobi tego dziś, to jutro. Albo pojutrze.

Ale przecież w każdej sytuacji można znaleźć jakieś inne wyjście.

One były tutaj we trzy, przypomniała sobie. Trzy, a on tylko jeden. Lecz nawet pamiętając o ich liczebnej przewadze, wiedziała, że to niewiele znaczy. Trzy zmaltretowane i zastraszone kobiety nie były równorzędnym przeciwnikiem dla uzbrojonego w nóż szaleńca.

- Zwiąż i jej nogi. - Brad popchnął Emmę na podłogę obok Lily. Ze związanymi na plecach rękami nie mogła w żaden sposób zamortyzować upadku, więc uderzyła prawym ramieniem tak mocno, że aż krzyknęła z bólu.

Jamie pospiesznie zaczęła okręcać sznur dookoła jej kostek.

- Ralph, proszę... - zaczęła Lily.

- Teraz mam na imię Brad - przypomniał jej.

- Co takiego?

- Ty pozbyłaś się Beth, a ja dodałem sobie Brad - wyjaśnił.

- Ta sprawa nie dotyczy nikogo poza tobą i mną - powiedziała. - Nie ma powodu, żeby wciągać w to kogokolwiek.

- Coś mi się zdaje, że one i tak już są wciągnięte.

- Ralph...

- Brad - poprawił ją ze zniecierpliwieniem i kopnął w nogi Lily ciężkim, czarnym buciozem. - Nie każ mi powtarzać tego jeszcze raz.

- Brad... - wyszeptwała, posłusznie polykając łzy. - Proszę cię, pozwól im stąd odejść.

- No cóż, Lily-Beth... Właściwie czemu mam to zrobić? - Schylił się, żeby sprawdzić napięcie sznura, którym związane zostały obie kobiety. - Jamie przyjechała tutaj ze mną, ponieważ jest teraz moją dziewczyną. Siadaj, Jamie, kochanie - polecił, mrugając porozumiewawczo, a ona natychmiast usłuchała i przykucnęła na tej samej poręczy, na której siedziała wcześniej. - A jeśli chodzi o twoją przyjaciółkę Emmę, to znalazła się tutaj, ponieważ jest wścibską kretynką, która uwielbia wtykać nos w nie swoje sprawy. Chyba to prawda, co mówią, że ciekawość jest pierwszym krokiem do piekła.

- O mój Boże - zapłakała Emma.

- Nie musisz robić jej krzywdy, Brad. To przecież o mnie ci chodzi.

- Coś mi się zdaje, że masz rację, kotku.

Przez kilka sekund zdawał się nad czymś zastanawiać, jakby chciał przetrwać to, co usłyszał.

- Ale jak mogę ją wypuścić, skoro wiesz równie dobrze jak ja, że prosto stąd popędzi do gliniarzy?

- Nie - zaprotestowała Emma. - Nie zrobię tego, przysięgam.

- Przysięgaj sobie na co chcesz, kochanie. Nie mogę cię wypuścić.

- Proszę cię, Ralph... Brad - poprawiła się natychmiast, chociaż było już za późno, by zapobiec bliskiemu spotkaniu spiczastego czubka buta z jej łydką. - Ona ma syna.

- Taak... Widziałem go dziś rano. - Brad ukląkł obok Emmy. Nawet przez grubą dzins usłyszała, jak coś trzasnęło mu w kolanach. - Milutki dzieciak. Oczywiście nie tak miły jak Corey. Corey to mój syn. Pewnie dalej nazywasz go Michael, co? To Lily-Beth wymyśliła dla niego takie imię. Uparła się, żeby nazwać go tak, jak się nazywał jej ojciec. Cholernie jej na tym zależało. No więc, ponieważ fajny ze mnie facet, jak wiecie, wyraziłem zgodę. Nazwaliśmy go Michael Corey Fisher, choć ja osobiście zawsze wołałem Coreya. Tak samo jak wołałem Beth. Ale tak naprawdę niewiele było spraw, co do których się zgadzaliśmy, prawda, kochanie? - zwrócił się do Lily.

- Proszę - Załkała Emma. - Nie mam pojęcia, kim jesteś ani o czym mówisz.

- Nie? Więc ona nie opowiadała ci o mnie? Emma pokręciła głową.

- No cóż, to niezbyt ładnie z jej strony - powiedział. - Nie wspomnieć nikomu o miłości swojego życia, o ojcu jedyne go syna? Czuję się nieco urażony.

Wstał i wielkimi krokami zaczął się przechadzać tam i z powrotem, jakby ta informacja naprawdę sprawiła mu przykrość.

Jamie rozumiała, czemu Brad to robi. Po prostu bawił się z nimi, jak kot bawi się myszą, zanim zdecyduje się ją zabić. Dręczenie ich sprawiało mu prawie taką samą rozkosz jak sam moment zabijania. Zerknęła na Lily, wiedząc, że ona myśli dokładnie

o tym samym. Gdybym tylko miała choć część odwagi, jaką ma ta kobieta, pomyślała. Gdybym miała siłę, żeby choć spróbować stawić opór.

Ale on skradł całą jej odwagę, kiedy ją zgwałcił, i kiedy następnej nocy pięściami wymusił na niej uległość i posłuszeństwo. I co, czy dalej była tak nieustraszona? Nawet bez więzów czuła się równie spętana i bezradna jak te kobiety siedzące na podłodze obok niej.

- No, więc może opowiesz nam teraz coś o sobie? - zaproponował Brad, zwracając się do Emmy. - Właściwie nie mieliśmy okazji porozmawiać, zanim zjawiała się Beth. Jak twój synek ma na imię?

- Dylan - wyszeptała Emma.

- A ojciec Dylana? Co robi?

Emma zastanawiała się o ułamek sekundy za długo.

- Jest policjantem.

- Policjantem? - powtórzył Brad z figlarnym uśmiechem.

- Powinieneś stąd iść. On każdego dnia mniej więcej o tej porze przychodzi do domu na kawę.

- Naprawdę? No cóż, w takim wypadku rzeczywiście muszę się pospieszyć i jak najszybciej poderżnąć ci gardło. - Brad w jednej chwili opadł na kolana i pełną garścią złapał włosy Emmy. Emma zaczęła przeraźliwie wrzeszczeć, a Jamie zamknęła oczy i ukryła twarz w dłoniach.

- Zamknij się - warknął. - I przestań łąć jak suka. Nienawidzę, kiedy kobiety kłamią, choć właściwie powinienem już się do tego przyzwyczać.

- Wcale nie kłamię - Załkała Emma.

- Co ty myślisz, że masz do czynienia z idiotą, tak? Nie pamiętasz, że trochę się tu rozejrzałem, na samym początku, kiedy tylko weszliśmy do mieszkania? Byłem też na górze, kochanie, i zrobiłem mały przegląd twoich szaf. Wiem, że w tym domu nie mieszka żaden mężczyzna. Do diabła, naprawdę uważasz mnie za jakiegoś pieprzonego durnia?

- Wcale nie uważam, że jesteś durniem.

- Och, jak miło mi to słyszeć! Mów tak dalej, to może w końcu zdecyduję się darować ci życie.

- Proszę, nie zabijaj mnie - zaczęła go błagać.

- Jamie! - warknął ze złością. - Odsłoń twarz, i to już!

Jamie natychmiast opuściła rękę.

- Widzicie, jaka dobra dziewczynka? - zapał z zachwytu, a na policzkach Jamie zakwitł rumieniec wstydu. - No a teraz powiedz mi, gdzie naprawdę jest ojciec Dylana - polecił Emmie. - Tylko nie próbuj mnie okłamywać, bo będę o tym wiedział od samego początku. I nawet jeśli będzie to drobne, całkiem niewinne kłamstewko, wsadzę ci ten nóż prosto w serce szybciej, niż zdążysz mrugnąć. Czy dobrze się rozumiemy?

Emma postarała się kiwnąć głową, choć ręka trzymająca ją za włosy nie pozostawiała nazbyt wiele swobody ruchu.

- Na pewno nie będę kłamać - obiecała po raz drugi.

Jamie spostrzegła, że Lily pochyła się w przód, choć chyba wcale nie miała takiego zamiaru.

- No, więc gdzie mieszka twój stary?

- W San Diego.

- A jak długo jesteście po rozwodzie? Emma się zawahała.

- Chyba nie chcesz znowu kręcić, co? - Brad szturchnął ostrzem noża jej grdykę.

- Prawie dwa lata - odparła szybko.

- I jak się ten gość nazywa?

- Peter - odpowiedziała. - Peter Rice.

- A z czego się utrzymuje pan Peter? Wiemy już, że na pewno nie jest gliną.

- Jest handlowcem. Sprzedaje komputery, oprogramowanie, tego typu rzeczy.

- Ale jaja! - Brad wybuchnął głośnym śmiechem. - Ja też kiedyś zajmowałem się komputerowym biznesem, prawda, Jamie?

Jamie wbiła wzrok w podłogę i nie odezwała się ani słowem.

- A co takiego się stało, że porzuciłaś San Diego i pana Petera Rice'a?

- Nie miałam wyboru.

- Jak to?

- Chciał odebrać mi syna.

- To znaczy Dylana, tak? Emma znowu się zawahała.

- Martina - szepnęła po dłuższej chwili. - Mój syn ma na imię Martin.

Brad zaczął się śmiać.

- No proszę, kto by przypuszczał? Czy przy tej cholernej ulicy Szalonej Rzeki mieszka ktokolwiek, kto występuje pod własnym nazwiskiem?

Usiadł na podłodze obok Jamie, opierając się plecami o beżowo-zielone krzesło.

- Chodź do mnie, Jamie, kochanie - polecił, ciągnąc ją za rękę i zmuszając do zejścia na dół. - Przyłącz się do zabawy. Po kolei będziemy poznawać sekrety każdego, kto przebywa w tym pokoju.

Jamie świetnie wiedziała, że Brada wcale nie interesują sekrety Emmy czy jej własne. Po prostu chodziło mu o zabawianie się ich kosztem, bo przedłużając ich cierpienie, przedłużał własną przyjemność. Miał zamiar trzymać je przy życiu tak długo, jak długo stanowi to dla niego rozrywkę, a potem zacznie z zimną krwią mordować jedną po drugiej.

- Czyli chcesz nam powiedzieć, że zamiast pozwolić, by zabrał ci syna, postanowiłaś go uprzedzić i to ty zabrałaś syna jemu? - rzekł z rozbawieniem. - Według mnie nie pograłaś całkiem fair. Powiedz mi, Emmo, czy Peter Rice był złym ojcem?

Emma pokręciła głową.

- On był dobrym ojcem - przyznała. - Nie w tym rzecz.

- Naprawdę? A w czym?

- Po prostu myślałam, że mojemu synowi lepiej będzie ze mną.

- Czy sąd również był tego zdania?

- Nie. Staęli po stronie Petera.

- Chcesz mi powiedzieć, że przyznali mu opiekę nad dzieckiem? Nie uważasz, że to dość niezwykle? Sąd, który przyznaje prawa ojcu zamiast matce... Dlaczego tak postanowili?

Emma zamknęła oczy. Gdy kilka sekund później je otworzyła, po brzegi wypełnione były łzami.

- Mów prawdę, Emmo. Dlaczego uznano cię za niedobrą matkę?

- Ja jestem bardzo dobrą matką. - Emma spojrzała na Lily, jakby z jej strony oczekiwała potwierdzenia swoich słów. - Ale miałam na sumieniu pewne sprawy... Rzeczy, którymi trudno się chwalić...

- Jakie rzeczy?

- Na litość boską, proszę...

- Przestań odgrywać przed nami wstydliwą panienkę - ostrzegł Brad. - To powoli zaczyna być naprawdę interesujące. Jakie rzeczy?

Puścił jej włosy, a wtedy głowa Emmy opadła bezwładnie.

- Kradłam... I kłamałam.

- No pięknie, pięknie! Więc jesteś złodziejką, a do tego kłamczuchą, zgadza się?

- Tak - powiedziała Emma głośno i wyraźnie. - Jestem kłamczuchą.

Odwróciła się do Lily.

- Kłamałam ci od samego początku. O mojej przeszłości. O moim byłym mężu.

- Nie musisz się przede mną tłumaczyć.

- O tak, muszę. Jestem ci to winna. I jestem to winna Peterowi. A przede wszystkim jestem to winna mojemu synowi.

- Ejże, nie zapominaj o mnie - zawołał Brad ze śmiechem.

- Peter nie był potworem, jakiego z niego zrobiłam - ciągnęła Emma, choć nikt jej do tego nie zachęcał. - Wcale mnie nie zdradzał. Nie był żadnym zbrojnym. Peter jest dobrym człowiekiem... I strasznie żałuję, że sprawiłam mu tyle bólu. To zwyczajny, przyzwoity facet, który z pewnymi sprawami nie umiał dać sobie rady. Próbował zrozumieć, dlaczego robię rzeczy, które robiłam; dlaczego kłamię, kiedy równie dobrze można powiedzieć prawdę. A ja nie potrafiłam znaleźć odpowiedzi. Zresztą, co miałabym powiedzieć? I dlaczego on miałby uwierzyć w choć jedno moje słowo? Po jakimś czasie dał sobie spokój, powiedział, że więcej tego nie zniesie, chce rozwodu i uważa, że lepiej będzie, jeśli Martin zostanie z nim. Wiedziałam, że ma rację. I wiedziałam, że w sądzie nie mam najmniejszych szans, ale przecież nie mogłam pozwolić, by to on miał moje dziecko. Urodzenie Martina to jedyna przyzwoita rzecz, jaką zrobiłam w życiu... - Wzięła głęboki oddech, a potem powoli go wypuściła. - Tak bardzo go kocham... Wiesz o tym, prawda?

- Wiem... - wyszeptała Lily.

- Lily-Beth, masz skłonność do wybierania sobie dość specyficznych przyjaciółek - odezwał się Brad. - Ale muszę przyznać, że ta i tak jest o niebo lepsza niż nasza stara, dobra Gracie.

Lily otworzyła usta, a jej oczy stały się okrągłe ze zdumienia.

- Grace?

- Tak. Czyżbym zapomniał ci powiedzieć, że w zeszłym tygodniu wpadłem do niej z krótką wizytą?

- Co jej zrobiłeś? - W oczach Lily pojawiły się łzy.

- No cóż, na twoim miejscu nie wylewałbym łez nad starą Gracie. To właśnie ona cię wydała. To dzięki niej dowiedziałem się, gdzie cię szukać.

- Ralph, coś ty jej zrobił?

- Brad - przypomniał natychmiast.

- Zabiłeś ją, prawda?

- Cóż, muszę przyznać, że kiedy widziałem ją ostatni raz, rzeczywiście wyglądała na dość nieżywą. - Zaśmiał się, jakby właśnie powiedział najzabawniejszy dowcip na świecie. - Mój Boże, ale super się bawię. A wy, moje panie?

- Proszę - zaczęła znów Emma. - Proszę mnie puścić. Przysięgam, że nic nikomu nie powiem.

W ułamku sekundy ręka Brada poderwała się do góry. Nie spojrzawszy nawet w tym kierunku, zatopił ostrze noża głęboko w piersi Emmy. Jej oczy rozszerzyły się nagle, a z ust wyrwał się okrzyk niedowierzania.

- Pst - powiedział, wyciągając nóż. - Ostrzegałem przecież, żebyś nie próbowała mnie okłamywać.

Jamie gapiała się z przerażeniem na strumień krwi, który wypłynął z piersi Emmy i przesączał się przez jej śliczną, żółtą bluzeczkę. Rzeź się zaczęła, uświadomiła sobie natychmiast. Najpierw Emma, potem Lily, a na końcu ona. A nawet jeśli Brad ją oszczędzi, jeśli zdecyduje się zabić tamte dziewczyny, a jej pozwoli żyć, to czy ona wytrzyma sama ze sobą?

„Kiedy wreszcie zaczniesz brać odpowiedzialność za swoje czyny?” - usłyszała brzmiące unisono głosy siostry i matki.

Czyżby od samego początku miały rację co do niej?

I nagle cały pokój wypełnił potworny wrzask, kiedy Jamie rzuciła się na Brada, skacząc mu na plecy i z wściekłością sięgając pazurami do oczu. Okręcił się wokół własnej osi, żeby się jej wyrwać, ale trzymała go mocno, nawet wtedy, gdy na oślep zaczął ciąć ją po rękach już i tak ociekającym krwią ostrzem.

- Cholera!

Brad potknął się o stopy Emmy, kiedy związane nogi Lily kopnęły go gdzieś w okolicach kostek. Zwalił się na podłogę, po drodze gubiąc nóż. Jamie przeskoczyła przez niego i wyciągnęła rękę, ale już było za późno. Nawet w takiej sytuacji Brad potrafił ruszać się z zatrważającą szybkością. Jego palce zacisnęły się na lekko rozszerzanych ku dołowi nogawkach dżinsów Jamie dokładnie wtedy, gdy jej dłoń natrafiła na drewnianą, rzeźbioną rękojeść sprężynowego noża.

- Nie! - wrzasnęła, puszczając nóż, gdy Brad pociągnął ją do siebie na podłogę.

- Wiesz, że naprawdę jesteś ponętym stworzonkiem? - zaśmiał się, przekręcając ją na plecy. Jego obie ręce znalazły się teraz na jej szyi. - Będę za tobą tęsknił, Jamie, kochanie.

Nagle poczuła jakieś zawirowanie i ujrzała, jak Lily ląduje na plecach Brada. Uderzenie było wystarczająco silne, żeby wypchnąć mu z płuc całe powietrze. W ułamku sekundy obrócił się w jej kierunku i strząsnął ją z ramion, ale to wystarczyło, żeby Jamie zdołała się wyslizgnąć. Gorączkowo rozglądała się po podłodze w poszukiwaniu noża i znalazła go w tej chwili, w której Brad znów po nią sięgał. Co prawda, udało się jej poderwać na równe nogi, ale on był tuż za nią. Zanim zdołała dotknąć drzwi, chwycił ją ponownie i odwrócił przodem do siebie. Jego ręce znów zacisnęły się na jej gardle.

- Jesteś gotowa na śmierć, Jamie, kochanie? - spytał. I wtedy dostrzegła cień ruchu, nagły błysk metalu.

Nie widziała noża, kiedy wślizgiwał się pomiędzy żebra Brada; widziała jedynie ogromne zdumienie w jego oczach, kiedy zgiął się i upadł przed nią na kolana. Widziała, jak jego oczy uciekły gdzieś w tył, a on zwalił się ciężko na podłogę, z rękojeścią noża wystającą gdzieś w okolicy serca.

Wtedy popędziła do telefonu, wcisnęła dziewięćset jedenaste i ryknęła, żeby jak najszybciej przysłano ambulans. Potem rozwiązała ręce i nogi Lily, i obie rzuciły się do Emmy. Lily kołysała w ramionach półprzytomną przyjaciółkę.

- Wszystko będzie dobrze - zapewniała Jamie, starając się pięścią zatamować upływ krwi. - Słyszysz mnie, Emmo? Trzymaj się. Wyjdiesz z tego, zobaczysz.

Emma zwróciła głowę w stronę Lily i wyteżyła wszystkie siły, żeby wydobyć z siebie głos.

- Powiedz mojemu synowi, że bardzo go kocham - wyszeptala.

30

Jamie siedziała na beżowo-zielonym krześle, a łzy ciurkiem płynęły po jej policzkach. Nawet nie starała się ich wycierać, choć stojąca obok policjantka od czasu do czasu delikatnie przykładła jej do twarzy jednorazową chusteczkę, a ktoś inny bez przerwy pytał, czy wszystko w porządku i czy dobrze się czuje. Jak mogą się dobrze czuć, pytała ich bez słów. Zabiłam człowieka. Przeze mnie w Atlancie zginęła niewinna kobieta, a kolejna być może wykrwawi się na śmierć, choć medycy z ambulansu zdawali się mieć nadzieję, że Emma jednak przeżyje.

- Ona wciąż oddycha! - Jamie przywołała z pamięci czyjś okrzyk, gdy załoga ambulansu wkraczała do akcji, zakładając na poszarzałą twarz Emmy maskę tlenową i umieszczając na noszach jej bezwładne i zakrwawione ciało.

- O tym tutaj nie da się tego powiedzieć - dorzucił drugi, spoglądając na rozciągnięte na podłodze ciało Brada.

W uszach Jamie nadal rozbrzmiewało zawodzenie syreny, choć upłynęła już dobra godzina, odkąd ambulans odjechał z ulicy Szalonej Rzeki.

Policja zjawiała się w ciągu kilku minut od chwili, gdy oszalała ze strachu zadzwoniła pod numer dziewięć jeden jeden. Prawie natychmiast po ich przybyciu do środka wdarł się jeszcze jeden policjant, a tuż za nim wpadła jakaś kobieta w dopasowanym do figury, szarym stroju do ćwiczeń.

- Gdzie jest Lily?! - krzyknęła, gdy któryś z policjantów siłą wyciągał ją na zewnątrz. - Lily, czy wszystko dobrze? Jeff, zrób coś!

Oficer o imieniu Jeff zapewnił ją, że zadzwoni do niej później i że Lily nic się nie stało. Jamie podniosła głowę i spojrzała w stronę brązowej kanapy, gdzie teraz siedziała Lily, płacząc cicho w ramionach Jeffa. Najwyraźniej łączyło ich coś więcej niż tylko służbowe obowiązki Jeffa. Pokój był niewielki, więc Jamie nie musiała się wysilać, żeby usłyszeć szczegóły ich rozmowy.

- Odnaleźliśmy Petera Rice'a - dobiegły do niej słowa Jeffa. - Potwierdził, że jego była żona przed prawie dwoma laty porwała ich syna, kiedy sąd przyznał mu opiekę nad dzieckiem. Od tamtej pory przez cały czas ich szukał. Nawiasem mówiąc, ona ma na imię Susan.

Lily pokręciła głową.

- Nie wyglądała na Susan.

Jamie uśmiechnęła się smutno. Ludzie tak rzadko są tym, na kogo wyglądają.

- W każdym razie Rice ma tu przylecieć następnym samolotem.

- To dobrze. - Lily roztarta nadgarstek palcami drugiej ręki. W miejscach, gdzie niedawno był sznur, wciąż widniały czerwone ślady. - Musisz wiedzieć, że Emma nie była jedyną osobą, która mijala się z prawdą - wyznała Jeffowi. - Mam ci tyle do powiedzenia.

- Nie musisz mi mówić teraz.

- Mogę później? - uśmiech Lily przepelniony był wdzięcznością.

- Nigdzie nie odchodzę.

Lily wyciągnęła rękę i pogładziła jego dłoń.

- Skąd ci przyszło do głowy, żeby tutaj zajrzeć?

- Przyszedłem jak zwykle na siłownię i wtedy Jan powiedziała mi o tym głupim pucharze i o tym, jak wybiegłaś i dotąd nie wróciłaś. Była cała w nerwach i szczerze mówiąc, ja również, więc postanowiliśmy tu wpaść, żeby sprawdzić, co się dzieje. Gdy tylko skręciliśmy za róg, zobaczyłem wozy patrolowe i ambulans, i z przerażenia serce podeszło mi do gardła - wyznał.

Jamie uśmiechnęła się, widząc, jak Lily kładzie mu głowę na ramieniu i pomyślała, że Jeff Dawson wygląda na miłego faceta. To dobrze, że Lily go spotkała.

- No więc, jak to się stało? - usłyszała nagle głos policjantki. Jamie nie była pewna, ale wydawało jej się, że ta kobieta o hebanowej skórze przedstawiała się

wcześniej jako Angela Pauley. Pani oficer Pauley na oko sprawiała wrażenie o jakieś dziesięć lat starszej od Jamie i może o dziesięć kilo cięższej.

W odpowiedzi tylko wzruszyła ramionami. Co właściwie mogła im powiedzieć? Sama nie miała pojęcia, w jaki sposób do tego doszło. W jednej chwili siedziała na podłodze, w milczeniu przygotowując się na spotkanie smutnego przeznaczenia, a w następnej była już na nogach i jak lwica walczyła o własne życie. „Jesteś gotowa na śmierć, Jamie, kochanie?“, przywołała z pamięci drwiące pytanie Brada. Odpowiedź brzmiała - nie. Nie była gotowa na śmierć. Była gotowa żyć.

- Jakie piękne kolczyki - powiedziała Angela Pauley. Palce Jamie natychmiast powędrowały do uszu.

Zdjęła kolczyki i wręczyła policjantce.

- One były własnością mojej teściowej. Czy może pani dopilnować, żeby przekazano je jej synowi?

Angela Pauley przekazała kolczyki kręcącej się w pobliżu koleżance i wymieniła z nią zagadkowe spojrzenie.

- Czy jest pani już gotowa złożyć zeznania? - Policjantka przyklękła obok Jamie, a w jej rękach pojawiły się nagle papier i pióro.

Co powinnam im powiedzieć? - pomyślała Jamie. Od czego zacząć?

- Ona uratowała nam życie - wykrzyknęła Lily, nie ruszając się z brązowej kanapy, i posłała w stronę Jamie pełen wdzięczności uśmiech.

- Może zacznijmy od tego, co panią łączyło z Ralphem Fisherem? - pomogła policjantka Pauley.

- Byłam jego kochanką - odpowiedziała cicho Jamie.

- Była wręcz niesamowita - wtrąciła znowu Lily.

Jego towarzyszką podróży, jego współpracowniczką, jego ofiarą...

- Gdyby nie ona, już wszystkie byśmy nie żyły.

Jego morderczynią.

- Co pani i Ralph Fisher robiliście tutaj? - naciskała policjantka Pauley, próbując z innej strony.

Jamie popatrzyła w stronę dużego okna wychodzącego na ulicę Szalonej Rzeki. Czy potrafi powiedzieć cokolwiek, co choćby w niewielkim stopniu wyjaśniałoby

wydarzenia ostatnich kilku dni? Od czego powinna zacząć? Czy od obskurnego moteliku na przedmieściach Dayton, czy od majestatycznego, starego domu w Atlancie? A może od popularnego baru w West Palm Beach?

„Mów prawdę, całą prawdę i tylko prawdę”, usłyszała w jednym uchu szept matki.

„Nic im nie mów, dopóki nie skontaktujesz się ze swoim prawnikiem”, ostrzegła ją w drugim uchu siostra.

A potem obie kobiety zaczęły się sprzeczać, a ich pomieszane głosy brzęczały wewnątrz czaszki Jamie jak stado much. Jamie silnie potrząsnęła głową, żeby się ich stamtąd pozbyć. W jednej chwili zrozumiała, że teraz liczy się tylko jeden głos - jej własny.

- A może zacznijmy od tego, jak się pani nazywa - odezwała się łagodnie Angela Pauley.

- Jamie Kellogg.

- Czy masz na coś ochotę, Jamie? Chcesz szklanek wody?

- Nie, dziękuję.

- Jak sądzisz, czy jesteś już gotowa opowiedzieć nam, co się wydarzyło?

Jamie wzięła głęboki oddech. Jeden, a potem jeszcze jeden.

- Jestem gotowa - powiedziała.